

JULIE GARWOOD

Róża

Tytuł oryginału

FOR THE ROSES

Żaden człowiek nie jest samoistną, wyspą; każdy stanowi ułomek kontynentu, część lądu. Jeżeli morze zmyje choćby grudkę ziemi, Europa będzie pomniejszona, tak samo jak gdyby pochłonęło przylądek, włosć twoich przyjaciół czy twoją własną Śmierć każdego człowieka umniejsza mnie, albowiem jestem zespolony z ludzkością:

Przeto nigdy nie pytaj, komu bije dzwon; bije on tobie.

John Donne

Prolog

Nów Jork 1860

Znaleźli ją w śmieciach. Mieli szczęście; szczury jeszcze się do niej nie dobrały. Dwa gryzonie wdrapały się na wieko zamkniętego koszyka i zapamiętałe drapały pazurami wiklinę, a trzy inne ostrymi zębami gryzły ściany koszyka.

Szczury, czując zapach mleka i delikatnej, słodko pachnącej skóry, wpadły w szaf.

Zaułek ten był dla gangu domem. Trójka z czterech chłopców spała właśnie w drewnianych skrzyniach wysłanych starą słomą, które służyły im za łóżka.

Przez całą noc ciężko pracowali: kradli, naciągali i bili się. A teraz byli zbyt zmęczeni, by usłyszeć płacz niemowlęcia.

Douglas stał się więc jej wybawicielem. Jemu właśnie, czwartemu członkowi gangu, przypadła dzisiaj straż u wąskiego wylotu zaułka. Od jakiegoś już czasu obserwował kobietę w czarnym płaszczu. Gdy z koszykiem w ręku szła szybko w stronę zaułka, cichym gwizdnięciem ostrzegł resztę gangu o możliwych kłopotach i wycofał się do kryjówki za stertą starych, wypaczonych baryłek po whisky. Kobieta zatrzymała się w sklepionym przejściu, zerknęła ukradkiem na ulicę, a potem wbiegła na sam środek zaułka. Nagle się zatrzymała, a fałdy spódnicy podwinęły się wokół jej kostek. Chwyciła za rączkę koszyka, zamachnęła się, po czym rzuciła koszyk na górę śmieci, piętrzącą się pod przeciwną ścianą. Upadł bokiem, prawie na samej górze śmietnika. Kobieta cały czas mamrotała coś pod nosem. Douglas nic jednak nie rozumiał, bo jej głos zagłuszał inny dźwięk, dochodzący z wewnątrz koszyka. Brzmiało to według niego jak miauczenie kota. Koszykowi poświęcił tylko chwilę, skupiając uwagę na kobiecie.

Wyraźnie się bała. Zauważył, że trzęsą jej się ręce, gdy naciągała kaptur płaszcza, by zasłonić twarz. Pomyślał, że może się czuć winna, bo pozbywa się zwierzęcia. Było już

pewnie stare i chore i nikt go nie potrzebował. Ludzie są właśnie tacy, pomyślał Douglas. Nie chcą się też zajmować dziećmi i starcami. To pewnie dlatego, że za dużo z nimi kłopotów. Pokiwał głową z dezaprobatą. Mało brakowało, by wyraził głośno swoją opinię na temat kiepskiej sytuacji na świecie w ogóle, a na temat tchórzostwa kobiety w szczególności. Jeśli nie chciała tego zwierzęcia, to czemu go komuś nie oddała? Nie miał czasu, by rozmyślać nad możliwą odpowiedzią, bo kobieta obróciła się nagle i pobięła w stronę ulicy. Gwizdnął jeszcze raz, gdy dotarła już prawie do rogu, tym razem głośno i przenikliwie. Najstarszy członek gangu, zbiegły niewolnik imieniem Adam, skoczył na równe nogi, zwinny i szybki niczym drapieżne zwierzę. Douglas wskazał koszyk i ruszył w pogoń za kobietą.

Zauważył grubą kopertę wystającą z jej kieszeni i postanowił załatwić wreszcie swoje interesy. Był wszakże najlepszym jedenastoletnim kieszonkowcem na Market Street.

Adam obserwował odchodzącego Douglasa, po czym zajął się koszykiem.

Wiedział, że nie pójdzie mu z nim łatwo.

Szczury nie chciały zostawić zdobyczy. Jednego uderzył prosto w głowę zaostrzonym kamieniem. Kiedy paskudne stworzenie uciekło z piskiem w głąb ulicy, Adam zapalił pochodnię i zaczął nią machać nad koszykiem, by odstraszyć pozostałe gryzonie. Dopiero gdy był pewien, że wszystkie szczury uciekły, wziął koszyk. Podniósł go ze śmieci i zaniósł w stronę skrzyń, w których ciągle spali pozostali członkowie bandy.

O mało nie upuścił koszyka, gdy usłyszał odgłosy dochodzące ze środka.

- Travis, Cole, wstawajcie! Douglas coś znalazł.

Minął posłania i doszedł do końca zaułka. Usiadł na ziemi, zakładając długie, chude nogi jedna na drugą, i położył koszyk na ziemi. Oparł się o ceglana ścianę czekając, aż dołączą do niego pozostali dwaj chłopcy.

Cole usiadł na prawo od Adama, a Travis przykucnął po lewej, głośno ziewając.

- Szefie, co znalazłeś? - zwrócił się Travis do Adama zaspanym głosem.

Pozostali trzej członkowie gangu uznali miesiąc temu zbiegłego niewolnika za przywódcę. Tak mówił im zarówno rozsądek, jak i serce. Adam był najstarszy, miał już prawie czternaście lat. Rozsądek nakazywał więc, by to on przewodził reszcie. Poza tym był najinteligentniejszy z całej czwórki. Ponadto istniał jeszcze jeden, bardziej istotny powód. Adam, ryzykując własne życie, uratował ich od pewnej śmierci. W bocznych uliczkach Nowego Jorku, gdzie jedynym przykazaniem, na które zwracano uwagę, była zasada, że przeżyje ten, kto silniejszy, nie było miejsca na uprzedzenia. Głód i przemoc, które rządziły w nocy, nie rozróżniały koloru skóry.

- Szefie! - niecierpliwiał się Travis.

- Nie wiem, co to jest - odparł Adam.

Chciał dodać, że nie zaglądał jeszcze do środka, ale przeszkodził mu Cole.

- To jest koszyk, ot co - mruknął pod nosem. - Zasułka zamykająca wieko wygląda, jakby była ze złota. Myślisz, że to rzeczywiście złoto?

Adam wzruszył ramionami. Travis, najmłodszy z chłopców, powtórzył gest kolegi. Wziął od niego pochodnię i uniósł ją tak, by wszyscy widzieli koszyk.

- Czy nie powinniśmy poczekać z otwarciem tego na Douglasa? - spytał Travis. Spojrzał przez ramię na wylot zaułka. - Dokąd on poszedł?

Adam sięgnął po zasuwkę.

- Zaraz tu będzie.

- Szefie, zaczekaj - ostrzegł Cole. - Słysząc jakieś odgłosy ze środka. - Sięgnął po nóż. - Słyszysz, Travis?

- Słyszę. Nie wiem, czy to coś w środku nas nie ugryzie. Myślisz, że to ^ może być wąż?

- Oczywiście, że to nie wąż. - Cole był wyraźnie rozdrażniony. - Pieprzysz, jakbyś w ogóle nie myślał. Wężę nie piszcza jak koty.

Travis poczuł się dotknięty i spuścił wzrok.

- Jeżeli tego nie otworzymy, to nigdy się nie dowiemy, co tam jest - mruknął.

Szef zgodził się. Odsunął zasuwkę i uniósł wieko o parę centymetrów. Ale z koszyka nic nie wyskoczyło. Adam wypuścił powietrze, które cały czas trzymał w płucach, i podniósł wieko do końca. Zawiasy zaskrzypiały, a klapka opadła na tył koszyka.

Trzej chłopcy stali przyciskając łokcie mocno do ściany, a potem pochylili się, by zajrzeć do środka.

Nagle wszyscy wstrzymali oddech. Nie wierzyli własnym oczom: w koszyku smacznie spało niemowlę piękne jak aniołek. Miało zamknięte oczy, a w buzi trzymało małą piąstkę. Od czasu do czasu ssało ją i kwiliło - to był właśnie ten dźwięk, który chłopcy słyszeli.

Adam pierwszy przyszedł do siebie.

- O, Boże! - szepnął. - Jak ktoś mógł wyrzucić coś tak cudownego?

Kiedy Cole zobaczył dziecko, upuścił nóż. Teraz chciał go podnieść, ale zauważył, że ręka drży mu ze zdenerwowania. Zorientowawszy się, że przyczyną tego jest lęk przed zawartością koszyka, zawstydzził się swego tchórzostwa.

- Jasne, że mogli wyrzucić dziecko. - Mówił nieprzyjemnym tonem, chcąc ukryć zażenowanie. - Ludzie ciągle to robią, bez różnicy, biedni czy bogaci.

Jak im się coś znudzi, to wyrzucają, jak śmiecie. Prawda, Travis?

- Prawda - przytaknął Travis.

- Szeffie, czy nie słyszałeś tych historii o sierocińcach, które opowiadali Douglas i Travis?

- Widziałem tam dużo niemowląt - rzekł Travis, zanim Adam zdążył odpowiedzieć na pytanie Cole'a. - No, może nie dużo, ale trochę - sprostował, by być całkiem ścisły. - Trzymali je na trzecim piętrze i, o ile pamiętam, żaden z tych dzieciaków nie przeżył. Umieszczali je w tym przytułku i czasami po prostu zapominali, że one tam są. Przynajmniej tak mi się wydaje. - Jego głos zadrżał na wspomnienie okresu, który spędził w miejskim sierocińcu przeznaczonym dla podrzutków. - Ten berbeć nigdy by tam nie przeżył - dodał. - Jest jeszcze za mały.

- Widziałem jeszcze mniejsze na Main Street. Ta dziwka, Nellie, też miała takiego. A dlaczego myślisz, że to chłopiec?

- Chyba widzisz, że jest łysy. Tylko chłopcy rodzą się łysi.

Argument był najwyraźniej przekonujący. Cole pokiwał głową, po czym odwrócił się do przywódcy.

- Co z nim zrobimy?

- Przecież go nie wyrzucimy - oznajmił Douglas tak stanowczym tonem, że pozostali trzej chłopcy cofnęli się zaskoczeni. On jednak pokiwał głową, by dać im do zrozumienia, że powiedział dokładnie to, co miał na myśli, i dodał: - Widziałem, jak to się stało. Jakiś wystrojony facet we fraku z połami wysiadł z eleganckiej karety z tym koszykiem pod pachą. Stał pod uliczną lampą, więc oczywiście widziałem dobrze jego twarz. Później zobaczyłem twarz tej kobiety. Wyglądało na to, że czeka na niego za rogiem. Wysiadł z powozu i podszedł do niej. Naciągnęła kaptur na twarz, by się ukryć, ale nie myślę, żeby to była zła kobieta, chyba się po prostu bała. Facet zaczął się wściekać i od razu zgadłem dlaczego.

- No więc dlaczego tak się złościł? - zapytał Cole, gdy Douglas zawiesił na chwilę głos.

- Dlatego, że nie chciała wziąć koszyka - wyjaśnił Douglas. Ukucnął obok Tralisa, po czym ciągnął dalej. - Ona cały czas kręciła głową, a on zaczął na nią krzyczeć i wymachiwać jej palcem przed nosem. Potem wyciągnął grubą kopertę i pokazał jej. Wtedy ta kobieta podeszła i błyskawicznie wyrwała mu ją z rąk. Dlatego myślę, że w tej kopercie musiało być coś bardzo ważnego.

W końcu ona wzięła ten koszyk, a kiedy facet wsiadł z powrotem do powozu, wepchnęła sobie kopertę do kieszeni.

- No i co było potem? - spytał Travis.

- Zaczekała, aż karetka zniknęła za rogiem - odpowiedział Douglas. - Potem zakradła się na naszą uliczkę i wyrzuciła koszyk. Wtedy w ogóle nie zwróciłem na niego uwagi. Myślałem, że w środku jest jakiś stary kot. Nigdy bym się nie domyślił, że tam jest dziecko. Chyba bym nie odszedł, gdybym wiedział...

- A gdzie poszedłeś? - przerwał Cole.

- Strasznie byłem ciekaw, co jest w tej kopercie, więc poszedłem za nią.

- No i co? Udało ci się ją zwinąć? - dopytywał się Travis.

Douglas prychnął.

- Jasne. Chyba nie na próżno uważają mnie za najlepszego kieszonkowca na Market Street? Ta kobieta strasznie się spieszyła, ale sięgnąłem do jej kieszeni w dumie ludzi, którzy pchali się do pociągu odjeżdżającego o północy.

Nawet nie zauważyła, że jej dotknąłem. Głupia baba. Założę się, że dopiero teraz zobaczyła, co się stało.

- A co jest w tej kopercie? - spytał Cole.

- Nigdy byście nie uwierzyli.

Cole zaczął przewracać oczami. Douglas uwielbiał przedłużać swe opowieści, co doprowadzało wszystkich do szału.

- Przysięgam na Boga, Douglas, jeżeli natychmiast...

Travis przerwał mu.

- Mam coś ważnego do powiedzenia - wyrzucił z siebie. Zupełnie nie interesowała go zawartość koperty, natomiast przez cały czas myślał o dziecku.

- Uzgodniliśmy, że nie wyrzucimy tego smarkacza, więc teraz zastanawiam się, komu go damy.

- Nie znam nikogo, kto chciałby mieć dziecko - rzekł Cole. Potarł swój gładki podbródek tak, jak to podpatrzył u starszych i bardziej doświadczonych rzezimieszków. Wydawało mu się, że ten gest doda mu powagi. - A na co on komu?

- Pewnie na nic - odrzekł Travis. - W każdym razie jeszcze nie teraz. Ale może jak trochę urośnie...

- No to co wtedy? - spytał Douglas zaintrygowany.

- Pomyślałem, że moglibyśmy nauczyć go paru sztuczek.

- Na przykład jakich? - Douglas wyciągnął rękę i palcem wskazującym pogładził czoło niemowlęcia. - Ma skórę delikatną jak atlas.

Travis ożywił się na myśl o wychowaniu dziecka. Byłby przez to taki ważny i potrzebny.

- Douglas, ty mógłbyś go nauczyć, jak się obrabia kieszenie. Jesteś w tym naprawdę dobry. A ty, Cole, nauczyłbyś go, jak być niemiłym. Nieraz widziałem spojrzenie, jakim obrzucasz tych, którzy cię denerwują. Mógłbyś brzdącowi też to pokazać, ludzie się tego boją.

Cole uśmiechnął się. Komplement sprawił mu przyjemność.

- Zakosiłem pistolet - szepnął.

- Kiedy? - zapytał Douglas.

- Wczoraj.

- Już go widziałem - pochwalił się Travis.

- Zacznę strzelać, jak tylko zwinę jakieś naboje. Będę miał najlepszy pistolet na całej Market Street. A może nauczę tego gnojka i będzie taki dobry jakja.

- Ja mógłbym go nauczyć, jak ściągać różne rzeczy - oznajmił Travis. - Przecież jestem dobry w znajdowaniu tego, czego nam potrzeba, prawda szefie?

- Tak - zgodził się Adam. - Jesteś w tym świetny.

- Moglibyśmy stać się najlepszą bandą w całym Nowym Jorku. Wszyscy by się nas bali - wyszeptał Travis, a oczy błyszczały mu z podniecenia. - Nawet Lowell i jego skubani kolesie - dodał rozmarzonym głosem. Miał na myśli członków rywalizującego z nimi gangu, których w głębi duszy wszyscy oni się bali.

Chłopcy przez chwilę zamyślili się nad przedstawioną przez Travisa perspektywą. Cole znów potarł podbródek. Podobało mu się to.

- Szefie, mógłbyś opowiedzieć mi o tych wszystkich książkach, o których mówiła ci mama. Może wyrósłby na takiego mądrego faceta, jak ty - rzekł Cole, z trudem kryjąc entuzjazm.

- Mógłbyś nauczyć go czytać i nie dostawałby cięków, jakie ty obrywałeś za to, że chciałeś się uczyć - przerwał Travis.

- Jeżeli go zatrzymamy, to przede wszystkim musimy zdjąć z niego te ciotowate ciuchy - oznajmił Douglas. Popatrzył na długie, białe powijaki i pokręcił głową. - Nikt nie będzie się z niego wyśmiewał. Już nasza w tym głowa.

- Zabiję każdego, kto tylko spróbuje - dorzucił Cole.

- Wszystkie dzieci są tak ubrane - rzekł Travis. - Sam widziałem. One w tym śpią.

- Jak to? - spytał Douglas.

- Nie potrzeba im ubrań do chodzenia, bo jeszcze nie umieją chodzić.

- A jak będziemy go karmić? - zainteresował się Cole.

- Widzisz tę butelkę mleka, którą ktoś włożył do koszyka? Jak będzie pusta, to ją napelnię - obiecał Travis. - Pewnie jeszcze nie ma zębów, więc nie może jeść normalnego jedzenia. Na razie wystarczy mu mleko. Jest tu też parę suchych pieluch. Jak zabraknie, to pójdę po następne.

- Jakim cudem tak dobrze znasz się na dzieciach? - zapytał znów Cole.

- Po prostu się znam - Travis wzruszył ramionami.

- Kto go będzie przewijając, jak się zleje? - chciał dowiedzieć się Douglas.

- Może po prostu każdy po kolei? - zaproponował Cole.

- Widziałem, że jakieś pieluchy wiszą za domem McQueeny'ego. Ubranka też się tam suszyły, więc mógłbym skoczyć i wziąć parę dla małego. Słuchajcie, a jak go nazwiemy? - pytał Travis. - Macie jakieś pomysły?

- Może Mały Cole? - zaproponował Cole. - To dobrze brzmi.

- A może Mały Douglas? - zasugerował Douglas. - To brzmi jeszcze lepiej.

- Nie możemy nazwać go imieniem żadnego z nas - rzekł Travis. - Byśmy się cały czas bili, bo każdy chciałby mu dać swoje.

W końcu Cole i Douglas zgodzili się z Travisem.

- No dobra - powiedział Cole. - Ale to imię musi naprawdę dobrze brzmieć.

- Mój tata nazywał się Andrew - wtrącił Douglas.

- No i co z tego? - zapytał Cole. - Przecież podrzucił cię do sierocińca, jak tylko zmarła twoja matka.

- No tak - przyznał Douglas spuściwszy głowę.

- Chyba nie damy temu bobasowi imienia kogoś, kto pozbył się dziecka.

To nie byłoby w porządku. Mamy jakieś zasady, no nie? Ten tutaj już i tak znalazł się na śmietniku. Nie ma sensu mu o tym przypominać, dając mu imię twojego ojca. Nazwijmy go Sidney, jak ten elegancki facet, który wykręcał różne numery na Summit Street. Był z niego straszny twardziel. Pamiętasz go, Douglas? - spytał Cole.

- Pewnie, że go pamiętam. Był tu cholernie poważany.

- Tak było - powiedział Cole. - I umarł śmiercią naturalną. To chyba się liczy, nie? Nikt go nie wsypał i nikt go nie zaciukał.

- Podoba mi się to imię - rzucił Travis.

- Może zrobimy głosowanie?

Douglas podniósł prawą rękę. Była brudna i zabłocona.

- Kto jest za?

Cole i Travis podnieśli ręce. Adam nie poruszył się. Chyba jedynie Cole zauważył milczenie szefa w ciągu ostatnich kilkunastu minut. Odwrócił się, by spojrzeć na Adama.

- Coś nie w porządku, szefie?

- Dobrze wiesz, co jest nie w porządku - odpowiedział Adam głosem starego i zmęczonego człowieka. - Muszę wyjechać. Nie mam szans przetrwania w mieście. Już i tak za długo tu jestem. Jeśli chcę kiedykolwiek zostać wolnym człowiekiem i nie martwić się o to, że odnajdą mnie synowie mojego właściciela, to muszę jechać na Zachód. Co to za życie, które spędzam kryjąc się w zaułkach do późnej nocy? Któregoś dnia mogę zniknąć w ciemnościach na zawsze. Chyba to rozumiecie, prawda? Nie powinienem głosować w sprawie dziecka, bo nie będzie mnie tu, by pomóc wam je wychowywać.

- Nie poradzimy sobie bez ciebie! - wykrzyknął Travis. - Nie możesz nas opuścić - odezwał się głosem małego, przestraszonego chłopca. Po chwili rozkleił się zupełnie i zaczął płakać. - Proszę, zostań! - krzyczał przez łzy.

Dziecko, przestraszone hałasem, drgnęło i także zaczęło płakać.

Adam włożył rękę do koszyka i niezgrabnie poklepał je po brzuszku.

Natychmiast cofnął rękę.

- Test mokre.

- Jak to mokre? - spytał Cole. Sięgnął po butelkę, by zobaczyć, czy nie jest pęknięta.

- Po prostu się zlało - odpowiedział Travis. - Lepiej zdjąć z niego tę pieluchę, szefie, bo odparzy sobie pupę.

Niemowlę zaczęło się budzić. Chłopcy patrzyli na nie zafascynowani. Żaden z nich nigdy wcześniej nie widział z bliska takiego maleństwa.

- Kiedy się tak wykrzywia, wygląda, jakby miał zmarszczki - szepnął Douglas. - Ładny z niego facecik, nie?

Cole przytaknął i zwrócił się do Adama.

- Jak dotąd, Adam, dalej jesteś szefem, więc idź i go przewiń.

Najstarszy z chłopców nie miał zamiaru wykryć się od odpowiedzialności. Głęboko westchnął i skrzywił się. Wsunął ręce pod ramiona dziecka i powoli wyjął je z koszyka.

Niemowlę otworzyło oczy i wtedy, w świetle trzymanej przez Travisa pochodni, uderzył ich niezwykle błękit - Mógłby być twoim młodszym bratem, Cole. Twoje oczy są dokładnie tego samego koloru.

Adam trzymał dziecko w sztywno wyciągniętych rękach. Miał bolesny wyraz twarzy i pot ściekał mu z czoła. Noszenie dziecka napawało go lękiem.

Nie wiedział, czy może je mocniej ścisnąć i miał nadzieję, że dziecko, na miłość boską, nie zacznie się drzeć. Nie miał pojęcia, co by wtedy począł.

Ochryplym szeptem poprosił Cole'a, by wyjął pieluszkę.

- Dlaczego akurat ja? - skarżył się Cole.

- Bo Travis trzyma pochodnię, a Douglas stoi za daleko. A teraz się pospiesz, bo może znowu zacząć ryczeć. Boję się, że go upuszczę. Jest taki lekki jak powietrze.

- Ten mały jest strasznie ciekawski. - Travis zwrócił się do Douglasa.

- Popatrz, jak się nam przygląda. Strasznie poważny jak na takiego małego gnojka.

- Douglas, chodź tutaj i wytrzymaj mi brew - zażądał Adam. - Nic nie widzę, bo pot zalewa mi oczy.

Douglas złapał ścierkę i zrobił, co mu kazano. Adam zachowywał się tak, jakby trzymał w ręku ładunek wybuchowy. Był tak napięty, że samo patrzenie na niego niemal sprawiało ból.

Jedynie Travis dostrzegł rozbawienie na twarzy szefa. Zaśmiał się krótko.

- On nie wybuchnie, szefie. Jest taki sam, jak ty, tylko mniejszy.

Cole nie zwracał uwagi na gadanie chłopców. Wstrzymał oddech, kiedy wziął się do przewijania dziecka. Dotykanie mokrej pieluchy przyprawiło go o mdłości. Kiedy ją w końcu wyciągnął, spadła na ziemię obok koszyka.

Chłopcy marszcząc brwi spojrzeli w dół na ten odrażający obiekt. Cole wytarł ręce o nogawki spodni, po czym wyciągnął rękę, żeby z powrotem zawinąć krągłe uda niemowlęcia. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę z tego, co zobaczył.

Spojrzał jeszcze raz, żeby się upewnić.

Sidney był dziewczynką. Łysą dziewczynką, pomyślał. Zalała go fala gniewu. Co oni, do diabła, zrobią z bezużyteczną i nieprzydatną dziewczyną, która nigdy na siebie nie zarobi? Potrząsnął głową i natychmiast podjął decyzję.

Nie chciał mieć z nią nic wspólnego. Co to, to nie, na pewno nie on, nigdy w życiu. Trzeba ją będzie natychmiast wrzucić z powrotem do śmietnika.

Dziewczynka zmieniła jego postanowienie w jednej chwili. Właśnie wypracowywał sobie odpowiednio gniewną minę, kiedy przypadkiem zerknął na jej twarzyczkę. Patrzyła mu prosto w oczy. Przechylił się w lewo, gdzie był poza zasięgiem jej wzroku. Powiodła za nim ufnym spojrzeniem szeroko otwartych oczu. Cole próbował nie patrzeć w jej stronę, lecz mu się to nie udało. Wtedy dziewczynka przypuściła szturm i uśmiechnęła się do niego.

Przepadł z kretesem. W ciągu jednej chwili nawiązała się między nimi nić porozumienia.

Pozostali członkowie grupy pogodzili się z tym równie szybko.

- Musimy to dobrze zrobić - wyszeptał Cole.

Chłopcy spojrzeli na niego.

- Co musimy dobrze zrobić? - zapytał Travis.

Inni razem z nim czekali na odpowiedź.

- Nie mamy już co marzyć o tym, żeby być najlepszym gangiem w Nowym Jorku. Nie możemy tu zatrzymać dziecka. To nie byłoby w porządku.

Potrzebna jej rodzina, a nie banda uliczników, którzy będą nią pomiatać.

- Nią? - Adam o mały włos nie upuścił dziecka. - Czy chcesz mi powiedzieć, że przypuszczasz, iż Sidney jest dziewczynką?

- Ja nie przypuszczam. Jestem tego pewien. Nie ma odpowiednich części, by być chłopcem.

- Boże, dopomóż nam - wyszeptał Adam.

Cole zastanawiał się, co bardziej go rozśmieszyło: wyraz przerażenia na twarzy Adama, gdy przywoływał imię Stwórcy, czy też dziwaczny dźwięk, który wydobył się z jego gardła, kiedy wyartykułował swą prośbę. Sprawiało to wrażenie, jakby czymś się zakrztusił, na przykład kością kurczaka.

- Nie chcę tu żadnych dziewczyn - bąknął Travis. - Nie nadają się do niczego. Nienawidzę ich wszystkich. Potrafią tylko narzekać i ryczeć.

Chłopcy zignorowali Trávisa. Douglas i Cole obserwowali Adama. Ich szef wyglądał, jakby się źle poczuł.

- O co chodzi, szefie? - zapytał Cole.

- Czarny nie powinien trzymać w ramionach śnieżnobiałej dziewczynki - odrzekł Adam.

- Widziałem, jak uratowałeś ją przed pożarciem przez szczury - wtrącił Cole. - Gdyby była starsza i rozumiała to, byłaby ci bardzo wdzięczna.

- Bardzo wdzięczna - przytaknął ruchem głowy Douglas.

- Poza tym, ona nie wie, czy jesteś czarny czy biały - rzucił Cole.

- Myślisz, że ona jest ślepa? - zapytał Travis, oszołomiony.

- Nie jest ślepa - mruknął Cole zniecierpliwiony naiwnością najmłodszego członka bandy. - Jest po prostu jeszcze za mała, by rozumieć nienawiść. Dzieci, jak się rodzą, nie znają takich uczuć. Muszą się nauczyć. Kiedy patrzy na Adama, widzi w nim tylko eee... eee... brata. No, właśnie to widzi. A starsi bracia chronią swoje młodsze siostrzyczki, prawda? Czy nie takie jest święte prawo czy coś w tym rodzaju? Może ta mała już to wie.

- Dałem słowo mojej mamie - powtórzył jeszcze raz Adam. - Przysięgam jej, że będę szedł jak najdalej na zachód, dopóki nie znajdę miejsca, w którym będę bezpieczny. Mamusia powiedziała mi, iż nadchodzi wojna, a kiedy się skończy i wszystko zostanie postanowione, jest duża szansa, że będzie wolna.

Obiecała, że wtedy po mnie przyjedzie. A ja muszę zrobić wszystko, żeby dożyć do tego czasu. Obiecałem jej, że przeżyję, a syn nie łamie obietnic.

Muszę odnaleźć mamę.

- Weź dziecko ze sobą - powiedział Cole.

- Na pewno by mnie powiesili! - krzyknął Adam.

- Dobrze wiesz, że i tak cię powieszają za zabicie tego sukinsyna, który był twoim panem - rzekł Cole.

- Tylko w wypadku, gdyby cię złapali - wtrącił Douglas. - A ty jesteś za sprytny, by dać się złapać.

- Ja też czuję coś do tego dziecka - oznajmił Cole. Gdy pozostali chłopcy spojrzeli na niego, zmieszał się. - Nie mam się czego wstydzić - dodał pospiesznie. - Jestem silny, a ona jest małą drobiną, której potrzebni są tacy bracia jak Adam i ja. Trzeba dopilnować, by została odpowiednio wychowana.

- Odpowiednio? Co ty wiesz o tym, co jest odpowiednie? - W głosie Douglasa słychać było niedowierzanie.

- Nic - przyznał Cole. - Nic o tym nie wiem - dodał. - Ale Adam wie dużo na ten temat, prawda, Adam? Umiesz ładnie mówić, umiesz czytać i pisać, jak prawdziwy dżentelmen. Twoja mama nauczyła ciebie, a teraz ty możesz mnie nauczyć. Nie chcę uchodzić za idiotę wobec mojej młodszej siostry, to nie byłoby w porządku.

- Mógłby nauczyć nas wszystkich - rzekł Douglas. Nie chciał, by go pominięto.

- Może bym ją polubił, gdybym był jej starszym bratem - mruknął Travis.

- Będę bardzo silny, jak dorosnę, prawda Douglas?

- Tak, na pewno będziesz - potwierdził Douglas. - Wiesz, co myślę?

- Co takiego? - spytał Adam.

Pomimo zmartwień, jakie miał na głowie, rozpromienił się w odpowiedzi na skierowany do niego uśmiech małej. Wyglądała na zadowoloną, jakby podobało jej się, że jest obiektem ogólnego zainteresowania. Jak na takie maleństwo, miała nad nimi sporą przewagę. Wystarczyło, że się uśmiechnęła, by Adam poczuł się dobrze i bezpiecznie. Łatwość, z jaką go zaakceptowała, spowodowała, że pozbył się dokuczliwego ciężaru, jaki

nosił w sercu od dnia, kiedy musiał opuścić matkę. To dziecko - dar niebios powierzony jego opiece - musiało być teraz nakarmione, bezpieczne i otoczone miłością.

- Czasami zastanawiam się, czy Bóg wie, co robi - wyszeptał Adam.

- Oczywiście, że wie - odrzekł Douglas. - Ale wydaje mi się, że powinniśmy teraz wymyślić jakieś inne imię dla naszego dziecka. Sidney przestało już pasować. Mam nadzieję, że wyrosną jej włosy, bo nie chciałbym, żeby moja siostra była łysa.

- Mary - rzucił Cole.

- Roses - rzekł Adam dokładnie w tej samej chwili.

- Moja mama miała na imię Mary - wyjaśnił Cole. - Umarła, jak mnie rodziła. Sąsiedzi mówili mi, że była dobrą kobietą.

- Moja mama ma na imię Roses - powiedział Adam. - Ona też jest dobrą kobietą.

- Mała zaczyna zasypiać - szepnął Travis. - Włóż ją z powrotem do koszyka, a ja spróbuję zmienić jej pieluchę i wtedy będziecie mogli sprzeczać się o jej imię.

Adam zrobił, co mu kazano. Wszyscy patrzyli, jak Travis niezręcznie zakłada pieluszkę dziecku, które zasnęło, zanim chłopiec skończył się z tym mozolić.

- Nie ma się o co sprzeczać - rzekł Douglas.

Wyciągnął rękę, by przykryć dziecko, podczas kiedy Adam i Cole wymieniali powody, dla których niemowlę powinno nosić imię matki każdego z nich.

Douglas, chcąc zapobiec kłótni, powiedział: - Ja proponuję, żeby miała na imię Mary Roses. Mary na cześć mamy Cole'a, a Roses - mamy Adama.

Cole pierwszy przystał na tę propozycję i pierwszy się uśmiechnął. Wtedy Adam też się zgodził. Kiedy Travis zaczął się śmiać, Douglas uciszył go szturchnięciem łokcia, by nie obudził dziecka.

- Musimy coś zaplanować - szepnął Douglas. - Myślę, że powinniśmy stąd jak najszybciej wyjechać, może nawet jutro pociągiem o północy. Travis, masz czas do wyjazdu, żeby zdobyć rzeczy dla Mary Roses. Ja kupię bilety, a ty, Adam, będziesz się musiał schować w bagażówce razem z dzieckiem, dobra?

Adam zgodził się skinieniem głowy.

- Zrobię to, co postanowisz - dodał.

- A za co kupisz bilety? - spytał Cole.

- Koperta, którą zwinąłem tej kobiecie, co wyrzuciła Mary Roses, jest wypchana pieniędzmi. Są tam też jakieś stare papiery pięknie zapisane i zapieczętowane, tylko nie wiem, o co w nich chodzi, bo nie umiem czytać. Ale na pieniądzach się znam. Starczy ich na tyle, żeby Adam dojechał tam, gdzie musi, i jeszcze na jakiś kawałek ziemi.

- Pokaż mi te papiery - poprosił Adam.

Douglas wyciągnął kopertę z kieszeni i wręczył ją szefowi. Adam aż gwizdnął, gdy zobaczył, ile było w niej pieniędzy. Znalazł tam też dwa dokumenty. Jeden z nich był zapisany liczbami i bazgrołami, których nie mógł rozszyfrować, a drugi wyglądał jak czysta kartka wyrwana z zeszytu. Na górze było zaledwie kilka wierszy ręcznie pisanego tekstu podającego datę urodzenia i wagę dziecka. Przeczytał na głos treść kartki, by inni dowiedzieli się, co zawierała.

- Mało im było, że ją wyrzucili, to jeszcze musieli wywalić jej papiery - wyszeptał Douglas.

- Ja nie miałem papierów, jak mnie zostawili w sierocińcu - rzekł Travis.

- I tak dobrze, że wiedziałem, jak mam na imię, prawda, Cole?

- Chyba tak.

Travis uznał tę sprawę za nieistotną.

- Mam wam coś ważnego do powiedzenia, więc nie przerywajcie, dopóki mnie nie wysłuchacie, dobra? - Poczekał, aż wszyscy chłopcy się zgodzą, po czym kontynuował: - Jestem jedynym z nas wszystkich, który wie na pewno, że nie jest ścigany ani poszukiwany przez prawo, więc uważam, iż Mary Roses powinna nosić moje nazwisko - Claybome. Właściwie, jeżeli mamy to zrobić naprawdę dobrze, jak mówi Cole, to wszyscy powinniście nosić moje nazwisko. Bracia i siostry stanowią jedną rodzinę, więc muszą się tak samo nazywać. Postanówmy, że od tej chwili wszyscy jesteśmy Claybome'ami, zgadzacie się?

- Nikt nie uwierzy, że jestem Claybome - rzekł Adam.

- A kogo obchodzi, w co inni uwierzą? - spytał Cole. - Wcale nam na tym nie zależy, chcemy tylko, by zostawiono nas w spokoju. Jak powiesz, że jesteś Claybome, a my to potwierdzimy, to kto temu zaprzeczy? Każdy, kto cię zaczepi albo wejdzie nam w drogę, będzie miał z nami do czynienia.

I pamiętaj, że mam teraz pistolet. Już niedługo będę sobie mógł poradzić z każdym, kto nam się narazi.

Douglas i Travis skinęli głowami, a Adam westchnął. Następnie Douglas wyciągnął rękę nad koszykiem, dłonią w dół. Popatrzył na pozostałych członków szajki.

- Przysięgam, że pojedziemy po mamę Roses i że staniemy się rodziną dla naszej małej Mary Roses. Jesteśmy braćmi - wyszeptał.

Travis położył dłoń na ręku Douglasa.

- Braćmi - powtórzył.

- Dla Mary Roses i dla mamy Roses - złożył przysięgę Cole. - Będziemy braćmi aż do śmierci.

Adam wciąż się wahał i pozostałym chłopcom zdawało się, iż trwa to bardzo długo. W końcu podjął decyzję. Położył dłoń na rękę Cole'a.

- Braćmi aż do śmierci przysięgę.

- Dla obu – dodał - jego głos drżał z przejęcia, kiedy składał przysięgę.

3 lipca 1860

Droga Mamo Roses!

Piszę do Ciebie, aby dowiedzieć się o panią Livonię i modłę się o to, by ten list zastał was obie przy dobrym zdrowiu. Opowiem Ci o wszystkich wspaniałych przygodach, które spotkały mnie w drodze na Zachód, ale najpierw wyznam Ci coś bardzo ważnego. Chodzi o naszą rodzinę. Masz teraz imienniczkę, Mamo. Nazywa się Mary Roses...

Całuję Cię John Quincy Adam Claybome Montana Valley, 1879

Mary Roses nareszcie wracała do domu.

Cole czekał przy swym zaprzęgu na moment, kiedy dylizans wyłoni się zza ostatniego zakrętu. Był tak podniecony, że z trudem zachowywał spokój. Chmura pyłu unosząca się nad wzgórzem wskazywała, że Mary Roses jest już blisko. Pragnął zobaczyć ją jak najszybciej. Zastanawiał się, jak ona teraz wygląda po tych paru miesiącach, a potem roześmiał się głośno sam do siebie. Przecież była już dużą dziewczyną, kiedy wyjeżdżała, by rozpocząć ostatni rok nauki. Nie mógł sobie wyobrazić żadnych znaczących zmian w jej wyglądzie, chyba że doszło jej parę nowych piegów u nasady nosa albo trochę podrosły jej włosy.

Boże, jak on za nią tęsknił! Tak samo zresztą jak cała reszta. Życie na farmie zmuszało ich do harowania od świtu do nocy. Dopiero przy kolacji zdawali sobie sprawę, jak bardzo brakuje im tego wmuszania w nich nowych potraw, które przygotowywała. Dobrze przyrządzała tradycyjne dania, ale wymyślnych francuskich sosów, którymi podlewała wszystko, co się dało, żaden z nich nie mógł przełknąć.

Dylizans był już spóźniony o ponad godzinę, co oznaczało, że woźnicą był stary i zniedołężniały Clive Harrington. Z pewnością, zanim jeszcze wyruszyli, musiał opowiedzieć Mary Roses wszystkie ostatnie plotki. Cole domyślał się, że Clive oczekuje od dziewczyny zainteresowania i że ona, mając miękkie serce, da mu się wygadać.

Mary Roses szybko się z nim zaprzyjaźniła, chociaż nikt w Blue Belle nie mógł zrozumieć dlaczego. Clive Harrington był starym człowiekiem, kłótliwym i ponurym, łatwo

się irytował i narzekał na swój los. Cole uważał go za byle co, a poza tym był brzydki jak nieszczęście. Ulice pustoszały, gdy tylko pojawiał się w mieście, chyba że gdzieś obok znajdowała się Mary Roses. Wtedy następowała cudowna przemiana. Clive natychmiast z dzikusa przemieniał się w łagodnego baranka. Zachowywał się wtedy tak, jakby wszyscy byli jego najlepszymi przyjaciółmi, i szczyrzył zęby od rana do wieczora, co miało oznaczać: „czyż życie nie jest wspaniałe?” Harrington stanowił przedmiot kpin, gdyż kochał się w Mary Roses dlatego, że była dla niego bardzo dobra.

Naprawdę dbała o tego starego wariata. Zajmowała się nim, troszczyła się zawsze o to, by był zapraszany na święta i własnoręcznie naprawiała jego ubrania. Raz w roku Harrington chorował, zwykle w porze przeganiania bydła, a czasami nawet wcześniej. Przychodził wtedy do chłopców, trzymając w jednej ręce kapelusz, a w drugiej brudną chustkę, i pytał, jak wyleczyć dziwną dolegliwość. Oczywiście, wszystko to było kłamstwem. Mary Roses zawsze umieszczała Clive'a w pokoju gościnnym i tam pielęgnowała go przez cały tydzień, dopóki nie poczuł się lepiej.

Wszyscy w mieście nazywali tydzień niedomagań Clive'a jego corocznym urlopem. ze sposobu, w jaki starzec wycierał sobie chustką oczy i nos w czasie powożenia końmi, Cole wnioskował, że planuje sobie niedługo następne wakacje.

Ledwie dyliżans zdążył się zatrzymać, w otwartych drzwiczkach ukazała się Mary Roses.

- Nareszcie jestem w domu! - wykrzyknęła. Uniosła spódnicę i podbiegła do brata, kapelusz spadł jej z głowy na ziemię. Zaczęła się szczerze śmiać.

Cole usiłował zachować posępną minę, gdyż nie chciał, by Harrington później opowiadał, że się rozkleił. Cole był postrachem całego miasteczka i chciał, by tak o nim mówiono. Jednak radość siostry okazała się zaraźliwa - nie mógł się opanować i też się roześmiał. Pał sześć pozory.

Mary Roses wcale się nie zmieniła. Była tak samo jak dawniej niepohamowana i spontaniczna. Na Boga, pozostali bracia zmartwiliby się, gdyby zobaczyli, że nadal ma serce jak na dłoni.

Rzuciła się w jego ramiona. Jak na tak drobną osóbkę ścisnęła go bardzo mocno. Cole też ją uścisnął i pocałował w czoło. Potem zaproponował, żeby przestała się śmiać jak wariatka.

Mary Roses wcale się nie obraziła. Cofnęła się i z rękami na biodrach zaczęła bacznie obserwować brata.

- Jesteś ciągle tak piękny, jak zawsze, Cole. Przyznaj się, nie zabiłeś nikogo, w czasie gdy mnie nie było?

- Oczywiście że nie - odburknął Cole. Złożył ręce na piersi i oparł się o wóz. Próbował zrobić groźną minę.

- Wydaje mi się, że urosłeś o parę cali. I włosy jakby ci zjaśniały. A skąd masz ten strup na czole? Pobiliś się z kimś czy co?

Nim Cole zdążył odpowiedzieć na jej pytania, odwróciła się do Harringtona.

- Clive, czy mój brat pobił się z kimś, jak mnie nie było?

- O ile sobie przypominam, to nie, panienko Mary.

- A może pchnąłś kogoś nożem?

- Chyba nie - odpowiedział Cole.

Mary Roses zadowolona się tą odpowiedzią. Uśmiechnęła się.

- Tak się cieszę, że jestem w domu. Postanowiłam sobie, że już nigdy stąd nie wyjadę. Adam nie zmusi mnie do żadnego wyjazdu, bez względu na to, jak korzystny byłby dla kształtowania mojego umysłu czy duszy. Jestem teraz elegancką dziewczyną i mam papiery, żeby to udowodnić. Boże, jak ciepłą mamy wiosnę! Uwielbiam ten żar, piach, wiatr i ten kurz. Czy Travis nie pobił się z kimś w mieście? A zresztą, nieważne - dodała pośpiesznie. - I tak byś mi nie powiedział, gdyby coś przeszkrobał. Ale Adam mi na pewno powie.

Nawiasem mówiąc pisywał do mnie częściej niż ty. Czy już skończyliście budowę stajni? Dostałam list od mamy Róży na dzień przed zakończeniem szkoły. Poczta przyszła w samą porę, czy to nie jest niesamowite? Żyjemy teraz w tak wspaniałych czasach. A co z...

Cole z trudem nadażał za tym, co mówiła jego siostra. Była bardzo wygadana.

- Nie tak szybko - przerwał jej. - Nie mogę ci odpowiedzieć na wszystkie pytania na raz. Złap oddech, a ja pójdę pomóc Hamngtonowi rozładowywać twoje rzeczy.

Kilka minut później kufer, pudła i trzy walizki leżały w tylnej części wozu.

Mary Roses wspięła się na stopnie i zaczęła szukać czegoś w swoich rzeczach.

Cole zaproponował, by odłożyła to do czasu, gdy dojadą do domu.

Zignorowała go i po zamknięciu pierwszego pudła wzięła się do drugiego.

Harrington stał obok wozu i uśmiechał się do Mary Roses.

- Strasznie się za panią stęskniłem, panienko Mary - wyszeptał. Zacerwienił się przy tym jak mały chłopiec i zerknął na Cole'a, by sprawdzić, czy nie śmieje się z niego. Cole udał, że nie usłyszał tego wyznania. Odwrócił się jednak i westchnął, kiedy spostrzegł, że siostra jest wyraźnie zadowolona z tego, co usłyszała.

- Ja też się za tobą stęskniłam, Clive. Czy dostawałeś moje listy? - spytała Mary Roses.

- Oczywiście - odrzekł. - I czytałem każdy po parę razy.

Mary Roses uśmiechnęła się do swego przyjaciela. - Bardzo się z tego cieszę. Nie zapomniałam o twoich urodzinach. Nie odchodź jeszcze, bo mam coś dla ciebie.

Po dokładnym przetrząśnięciu zawartości walizki znalazła pudełko, którego szukała, i podała je Clive'owi.

- To dla ciebie. Obiecuj mi, że je otworzysz dopiero w domu.

- Panienska przywiozła mi prezent? - zapytał Clive ze zdumieniem.

- Dwa prezenty - wyjaśniła z uśmiechem. - Ten drugi włożony jest do pierwszego.

- A co to takiego? - spytał Clive. Zachowywał się jak mały chłopiec w Wigilię Bożego Narodzenia.

Mary Roses chwyciła go za rękę i zeszła z wozu.

- To niespodzianka - odpowiedziała. - Dlatego włożyłam ją do takiego ładnego pudełka. Dziękuję za odwiezienie mnie - dodała z dygnięciem. - To była piękna podróż.

- A czy panienska nie obraziła się, że nie dałem jej jechać zenną na koźle?

- Nie, wcale nie - zapewniła go.

Harrington odwrócił się do Cole'a, żeby wyjaśnić sprawę.

- Błagała mnie, bym jej pozwolił tam usiąść razem zenną, ale myślałem, że to nie byłoby odpowiednie miejsce dla tak eleganckiej panienski.

Cole przytaknął.

- Musimy się zbierać, Mary Roses - rzekł.

Nie pytając jej o zdanie odwrócił się i wspiął na wóz. Wziął lejce i poprosił siostrę, by się pospieszyła.

Mary Roses podniosła z ziemi kapelusz. Clive, trzymając kurczowo prezent, jakby był bezcennym skarbem, powoli skierował się do dyliżansu.

Nareszcie wracali do domu. Cole odpowiadał na pytania Mary Roses, a ona stopniowo rozwiewała jego złudzenia, że została dystyngowaną panienską. Zdjęła białe rękawiczki, a potem wyjęła szpilki, trzymające jej misternie upięty kok. Była zadowolona, gdy gęste jasne włosy opadły jej na ramiona.

Westchnęła z ulgą przeczesując je palcami.

- Mam już dosyć udawania damy - rzekła. - Wierz mi, to straszna męczarnia.

Cole roześmiał się. Mary Roses wiedziała, że nie może liczyć na pobłażanie z jego strony.

- Gdyby ci kazali nosić gorset, przestałbyś się śmiać. To strasznie ściska, a poza tym jest takie nienaturalne.

- A musiałaś to wkładać do szkoły? - zapytał Cole z przerażeniem.

- Tak - odpowiedziała. - Ale wcale go nie nosiłam. I tak nikt się nie zorientował, bo nigdy nie rozbierałam się przy innych.

- No, mam nadzieję, że nie.

Przyhamował konie, kiedy wjechali na stromo biegnącą drogę pierwszego zbocza. Mary Roses odwróciła się, by sprawdzić, czy nie spadła walizka leżąca z tyłu.

Kiedy dojechali na szczyt, ponownie się odwróciła. Zdjęła granatowy żakiet i rozwiesiła go na oparciu siedzenia. Potem rozpięła mankiety nakrochmalonej białej bluzki. Ponieważ kołnierzyk ścisnął jej szyję, odpięła pierwsze trzy guziczki.

- W szkole wydarzyła się dziwna historia i sama nie wiem, co o niej myśleć.

- A co się stało? - spytał.

- W styczniu do naszej klasy przysłała nowa dziewczyna z Chicago.

Rodzice przyjechali razem z nią, żeby pomóc jej się urządzić.

- No i co?

- To pewnie nic takiego - powiedziała wzruszając ramionami.

- Ale opowiedz mi o tym. Wyczuwam niepokój w twoim głosie.

- To nie niepokój - rzekła. - Tylko to było takie dziwne. Matka tej dziewczyny urodziła się i wychowała w Anglii. Ona twierdziła, że mnie zna.

- To niemożliwe. Przecież nigdy nie byłaś w Anglii. A może widziała cię gdzie indziej?

Mary Roses zaprzeczyła ruchem głowy.

- Na pewno bym ją pamiętała.

- Powiedz mi, co się stało.

- Przechodziłam przez jadalnię i uśmiechałam się uprzejmie do nowo przybyłych, żeby się lepiej poczuli w nowym miejscu. Wtedy nagle matka tej dziewczyny wydała z siebie krzyk, który mógłby wystraszyć kamienne gargulce na szczycie Emmet Building. Ja też się przestraszyłam.

- Dlaczego?

- Dlatego, że jak krzyczała, to pokazywała na mnie palcem - wyjaśniła Mary Roses. - Trochę mnie tym speszyła.

- I co się stało potem?

- Skrzyżowała ramiona na piersiach i wydawało się, że zaraz zemdleje.

- No dobra, Mary Roses. Co znowu nabroiłaś? - Zaczął podejrzewać, że siostra nie mówi całej prawdy. Zazwyczaj nie zdawała sobie sprawy z konsekwencji swych postępów.

- Nie zrobiłam nic złego! - zawołała urażona. - Zachowywałam się jak prawdziwa dama. Dlaczego od razu myślisz, że to ja doprowadziłam tę nieszczęsną kobietę do tego stanu?

- Bo na ogół tak bywa. Czy miałaś ze sobą rewolwer?

- Skądże! Nie zrobiłam nic nieodpowiedniego, nawet nie uciekłam. Zapewniam cię, że kiedy trzeba, umiem zachować się jak dama.

- No to o co chodziło tej kobiecie?

- Kiedy wreszcie się uspokoiła, powiedziała, że wzięła mnie za kobietę, którą kiedyś знаła. Ta kobieta nazywała się lady Agatha Jakaś Tam i podobno jestem do niej strasznie podobna.

- To nie jest takie dziwne - powiedział Cole. - Przecież wiele kobiet ma blond włosy i niebieskie oczy. Jakoś specjalnie się nie wyróżniasz.

- Czy chcesz powiedzieć, że jestem pospolita?

- Na to wychodzi.

To oczywiście było kłamstwem. Mary Roses z całą pewnością była zaprzeczeniem tego, co pospolite. Uroda jej rozkwitła pełnym blaskiem i dostrzegali to mieszkańcy miasteczka. Cole jednak tego nie widział. Ta słodka i dobra dziewczyna potrafiła być dokuczliwa. Dawniej strasznie dawała mu się we znaki, lecz teraz, gdy dojrzała, nie była już taka nieznośna.

- Adam mówi, że jestem ładna, a on nigdy nie kłamie - przekomarzała się. Potrafiła brata ramieniem. - Poza tym dobrze wiesz, że liczy się to, co jest wewnątrz człowieka. Mama Roses, chociaż nigdy mnie nie widziała, uważa, że jestem jej piękną córką.

- Czy przestaniesz się wreszcie chwalić?

- Tak. - Zaśmiała się.

- Ja bym się tak nie przejmował, gdybym był do kogoś podobny.

- Ale to jeszcze nie koniec - ciągnęła. - Miesiąc później zostałam wezwana do gabinetu dyrektorki. Czekał tam na mnie jakiś starszy mężczyzna i dyrektorka. Na jej biurku leżała teczka z moimi dokumentami.

- A skąd wiesz, że to były twoje dokumenty?

- Bo moja teczka jest najgrubsza z całej szkoły - odpowiedziała. - I ma podartą okładkę.

Spojrzała na brata i od razu wiedziała, o czym myśli.

- Mógłbyś przestać się tak głupkowato uśmiechać i udawać, że wszystko wiesz, Cole. Przyznaję, że pierwszy rok w szkole nie poszedł mi wspaniale, ale musiałam się zaadaptować. Teraz wiem, iż po prostu tęskniłam do domu i robiłam wszystko, by mnie wyrzucili. Chciałam was w ten sposób zmusić do przyjechania po mnie. Ale - dodała pośpiesznie - potem to się zmieniło i teraz mam doskonałe wyniki w nauce i to się chyba liczy.

- Powiedz mi coś o tym starszym facecie - poprosił Cole.

- Powiedział, że jest prawnikiem - rzekła. - Dopytywał się o moją rodzinę.

Koniecznien chciał wiedzieć, od kiedy mieszkamy w Montanie i dlaczego nie jesteśmy z matką. Chciał, żebym opisała wygląd moich braci. Nie odpowiedziałam na żadne z jego pytań, bo uważałam, że to nie jego sprawa. To był zupełnie obcy mężczyzna i wcale mi się nie podobał.

Cole'owi też się to nie podobało.

- Czy mówił, dlaczego tak cię wypytuje?

- Powiedział, że chodzi o jakiś spadek. Ale jak skończył ze mną rozmawiać, już nie był taki przekonany, że jestem jakąś daleką krewną. Zaniepokoiłam cię tą historią, prawda?

- Trochę - przyznał. - Nie lubię, jak ktoś o nas wypytuje.

Próbowała poprawić mu humor.

- To nie było znowu takie straszne - powiedziała. - Nie zdążyłam przygotować się wtedy do klasówki z angielskiego, bo Eleanor przez pół nocy opowiadała mi jakieś głupoty, ale ponieważ siedziałam tak długo w biurze dyrektorki, to klasówkę pisałam dopiero następnego dnia.

- Myślałem, że już nie będziesz chciała być z Eleanor przez drugi rok.

- Zapewniam cię, że nie miałam zamiaru, ale nikt inny nie chciał z nią mieszkać i wychowawczynie prawie na kolanach błagała mnie, bym wzięła Eleanor do mojego pokoju. Biedna Eleanor! Naprawdę ma bardzo dobre serce, tylko na ogół tego nie widać. Ona jest dla mnie próbą wytrzymałości.

Cole uśmiechnął się. Ta dziewczyna była jedyną skazą na szczęśliwym życiu jego siostry. Poza Mary Roses nikt inny w całej szkole nie mógł znieść Eleanor. Natomiast bracia Mary Roses chętnie słuchali różnych o niej historyjek i prosili siostrę o opowiedzenie którejś z nich, kiedy tylko chcieli się pośmiać.

- Czy jest ciągle tak samo zawzięta? - spytał Cole, mając nadzieję, że siostra opowie mu jakąś nową historię.

- Owszem - przyznała Mary Roses. - Dawniej zawsze miałam poczucie winy, kiedy wam o niej opowiadałam, ale Travis przekonał mnie, że nie ma w tym nic złego i że ona się

nigdy o tym nie dowie. Eleanor czasami potrafi być niesamowita. Czy wiesz, że wyjechała tydzień przed końcem roku szkolnego? Nawet się z nikim nie pożegnała. Coś było nie tak z jej ojcem, ale nie chciała mi powiedzieć co. Przez pięć ostatnich nocy płakała w poduszkę, a potem nagle wyjechała. Żałuję, że nie zaufała mi i nie podzieliła się ze mną swoimi kłopotami. Pomogłabym jej, gdybym tylko mogła. Jej ojciec wcale nie był chory. Wiem, bo spytałam o to dyrektorkę po wyjeździe Eleanor. Dyrektorka nie chciała mi nic powiedzieć, tylko wydeła usta, a to jest u niej oznaką wielkiego niezadowolenia. Ojciec Eleanor chciał podarować dużą sumę pieniędzy na budowę drugiego internatu. Dyrektorka powiedziała mi, że wszystko zostało odwołane. I wiesz, co jeszcze powiedziała?

- Co?

- Powiedziała, że została oszukana. Jak myślisz, o co jej mogło chodzić?

- Nie wiem.

- Przed samym wyjazdem zaprosiłam Eleanor, żeby przybyła do Rózanego Wzgórza, jeśli tylko będzie mnie potrzebować.

- Po co ją zaprosiłaś?

- Była taka biedna, płakała jak małe dziecko - usprawiedliwiała się Mary Roses. - Ale nie martw się, na pewno nie pojawi się na naszej farmie. To dla niej miejsce za mało ucywilizowane. Ona jest bardzo zmanierowana. Ale trochę mnie dotknęło, że się ze mną nie pożegnała. W końcu byłam jej jedyną przyjaciółką. Chociaż może nie taką najlepszą, prawda?

- A niby dlaczego?

- Dobrze wiesz dlaczego - odrzekła. - Opowiadam o niej różne historyjki, a to nie jest w porządku. Przyjaciółki nie powinny się obgadywać.

- Mówiłaś nam tylko o tym, co zdarzyło się naprawdę, a w szkole przecież jej broniłaś. Tam jej nie obgadywałaś, prawda?

- No nie.

- Więc nie widzę w tym nic złego. Nigdy jej nie krytykowałaś, nawet przy nas.

- Tak, ale...

- Staralaś się, by była zapraszana na przyjęcia i dzięki tobie nigdy nie była pomijana.

- Skąd o tym wiesz?

- Po prostu cię znam. Zawsze opiekujesz się wszystkimi niedołęgami.

- Eleanor wcale nie jest niedołągą.

- Widzisz? Znowu jej bronisz.

Uśmiechnęła się.

- Jak tylko podzielę się z tobą jakimś problemem, to od razu czuję się lepiej. Czy myślisz, że ten prawnik nie będzie się już nami interesować?

- Tak myślę - odpowiedział.

Westchnęła.

- Stęskniłam się za tobą, Cole.

- Ja za tobą też, smarkulo.

Znowu go szturchnęła. Zaczęli rozmawiać o farmie. Po jej wyjeździe z Różanego Wzgórza bracia kupili następny kawałek ziemi. Travis był w Hammond - kupował wszystko, co potrzebne do ogrodzenia dużej łąki dla koni, by mieć je na oku.

Dotarli do Różanego Wzgórza. Tę nazwę nadała domowi Mary Roses, kiedy miała osiem lat. Wtedy to znalazła na stokach kwiaty, które, jak jej się wydawało, były dzikimi różami, i uznała je za przesłanie od Boga. Miało ono oznaczać, że nigdy nie powinni opuszczać tego miejsca, gdyż jej imię, jak również jej matki, brzmiało Mary Roses. Adam nie chciał gasić jej zapału i dlatego nie powiedział jej, że nie były to róże, lecz wierzbówki. Zdawało mu się również, że nadanie nazwy ich farmie może dać siostrze trochę poczucia bezpieczeństwa. Nazwa przyjęła się i już po roku nawet mieszkańcy Blue Belle nie mówili o domu Clayborne'ów inaczej niż Różane Wzgórze.

Ich domostwo położone było w samym środku doliny głęboko w górach Montany. Wokół rancza rozciągała się kotlina o średnicy około pół mili. Cole nalegał, by zbudować dom w samym środku tej płaskiej równiny tak, aby można było zobaczyć każdego, kto wchodziłby na ich teren. Tak jak inni bracia nie lubił niespodzianek. Natychmiast po skończeniu budowy domu dorobił nad strychem wieżyczkę obserwacyjną, by mogli dostrzec każdego intruza.

Góry o szczytach przykrytych śniegiem stanowiły od północy i zachodu majestatyczne tło ich gospodarstwa. Od wschodniej strony znajdowały się niższe wzniesienia, które były bezużyteczne dla hodowli, gdyż nie nadawały się na pastwiska.

Ponieważ jednak było tu jeszcze sporo bobrów, niedźwiedzi i szarych wilków, myśliwi ciągle zastawiali na nie sidła. Od czasu do czasu jakiś zmęczony traper zatrzymywał się przy ich domu, by coś zjeść i trochę pogadać.

Adam nigdy nie pozwolił, by ktoś odszedł głodny, a jeśli gość chciał zostać do rana, miał zapewniony nocleg.

Do rancza wiodła tylko jedna przejezdna droga - była odgałęzieniem od głównego szlaku biegnącego przez wzgórze z miasteczka Blue Belle. Jednak nawet ta trasa była

męcząca dla przyjezdnych. Jeżeli ciągnęli za sobą wyładowane wozy, zajmowało im zwykle półtora dnia, aby dotrzeć do Blue Belle.

Większość z nich nie dojeżdżała dalej niż do Perry lub Hammond. Jedynie ci najtwardsi, zdeterminowani lub uciekający przed pościgiem nie przerywali podróży. Choć przebąkiwano o złożach złota w północnej części gór, nikt go nie znalazł i właśnie dzięki temu teren pozostał nie zamieszkały. Porządne, przestrzegające prawa rodziny, mając nadzieję na bezpłatną ziemię pod budowę domu, przepływały rzekę Missouri na dwumasztowcach lub podejmowały ryzyko wsiadając na pokład któregoś z kursujących po niej statków. Na ogół ludzie ci jednak osiadali tu, zanim udało im się dotrzeć do jakiegoś dużego miasta. Prawda, że w mieście wiedliby życie bardziej zorganizowane, co dla nabożnych rodzin ze wschodniego wybrzeża stanowiło potężną pokusę. Poważni obywatele nawoływali do przestrzegania porządku i prawa, a grupy patrolowe, w odpowiedzi na te apele, szybko oczyściły okolice z rzezimieszków włóczących się wokół większych miast, nie wyłączając Hammond.

Grupy patrolowe początkowo dobrze spełniały swe zadania, lecz z czasem stały się jeszcze groźniejszym problemem, ponieważ niektórzy z ich członków, szwendając się po okolicy, zaczęli zagrażać mieszkańcom dokładnie tak samo, jak ci, z którymi poprzednio walczyli. Wymiar sprawiedliwości działał pospiesznie, a często w ogóle go nie było. Pogłoska stanowiła często dowód winy wystarczający na to, by podejrzanego o przestępstwo wyciągnąć z domu i powiesić na najbliższym drzewie. Nawet noszenie odznaki nie dawało żadnej ochrony przed grupami patrolowymi.

Jednak prawdziwi przestępcy i bandyci rozglądający się za łatwym łupem, ci, którzy umieli działać szybko i podstępnie, uszli przed linczem, opuścili większe miasta, takie jak Hammond, i osiedlili się w Blue Belle oraz wokół niego.

Z tego właśnie powodu to miasto miało zupełnie słusznie jak najgorszą reputację. Mimo to mieszkało w Blue Belle kilka porządných rodzin.

Adam twierdził, że osiedliły się tam one, zanim uświadomiły sobie swą pomyłkę.

Nie pozwalano Mary Roses samej wyjeżdżać do Blue Belle. Ponieważ Adam nigdy, ale to nigdy nie opuszczał rancza, Mary Roses mogła liczyć tylko na to, że Travis, Douglas albo Cole będą mieli właśnie coś do załatwienia w mieście i że zabiorą ją ze sobą. Bracia robili to na zmianę, jeżeli jednak żaden z nich nie mógł wyjechać, Mary Roses nie ruszała się z domu.

Cole przyhamował konie, kiedy dojechali do szczytu góry, która oddzielała główną drogę wiodącą do miasta od posiadłości Claybome'ów. Wiedział, że kiedy dojadą do zakrętu prowadzącego ku dolinie, Mary Roses poprosi go, by się zatrzymał.

Zrobiła dokładnie to, co przewidział.

- Proszę, stańmy tu na chwilę. Tak dawno nie byłam w tych stronach.

Posłusznie zatrzymał konie i cierpliwie czekał na jej kolejną prośbę.

Wiedział, że potrwa chwilę, zanim siostra wprowadzi się w odpowiedni nastrój, a następnie łzy napłyną jej do oczu.

- Czy to czujesz? Czy czujesz to samo co ja? - zapytała.

- Za każdym razem, kiedy przywożę cię do domu, zadajesz mi to samo pytanie. Tak, czuję to - odparł z uśmiechem.

Wyciągnął chustkę do nosa i podał Mary Roses. Już dawno nauczył się stale nosić ją przy sobie. Kiedyś, gdy była jeszcze małą dziewczynką, wytarła nos w jego rękaw. Nie chciał, by się to powtórzyło.

Mieli stąd wspaniały rozległy widok na rancho i rysujące się w tle góry.

Za każdym razem, gdy wracała do domu, zachwycała się tym pięknym widokiem. Adam wyjaśniał, że dzieje się tak dlatego, iż podziwia dzieło Stwórcy, które napelnia ją pokorą. Mary Roses nie całkiem zgadzała się z nim, czuła jednak, że urok tej ziemi napawa ją głębokim wzruszeniem. Pragnęła, by jej bracia, tak jak ona, czuli istnienie więzi pomiędzy Bogiem a naturą.

Cole był skłonny wyznać, ale tylko jej, że ten widok porusza i jego. Krajobraz, który roztaczał się przed ich oczami, zmieniał się, lecz jednocześnie pozostawał taki sam.

- Ta ziemia jest tak samo piękna i żywa jak zawsze - rzekł.

- Dlaczego ty i Adam mówicie o stanie Montana tak, jakby to była kobieta?

- Bo zachowuje się jak kobieta.

Mówiąc to nie zaczerwienił się z zakłopotaniem, gdyż wiedział, że Mary Roses dobrze go rozumie.

- Jest zmienna, próżna i nie da się omamić żadnemu mężczyźnie. Dla mnie jest kobietą, i to jedyną, którą kiedykolwiek pokochałem.

- Przecież kochasz mnie.

- Ale ty nie jesteś kobietą, Mary Roses. Jesteś moją siostrą.

Zaśmiała się. Jej głos odbił się echem o ścianę sosnowego lasu. Cole wziął do rąk lejce i cmoknął na konie. Ich postój trwał już wystarczająco długo.

- Jeżeli rzeczywiście jest kobietą, to chyba właśnie wzięła nas w ramiona.

Zastanawiam się, czy moje róże już się przebudziły.

- Mogłabyś się wreszcie nauczyć, że to nie są róże, tylko wierzbówki.

- Wiem o tym - odrzekła. - Ale są podobne do róż.

- Wcale nie są do nich podobne.

Zaczęli się sprzeczać, lecz na twarzy Mary Roses malowało się zadowolenie.

Jej uwaga skupiona była na domu rodzinnym. Boże, jakże się cieszyła, że znowu widzi ranczo. Ich drewniany dom był skromny, ale pomimo to wydawał jej się piękny. Ganek czy też weranda, jak nazywał to Adam, ciągnęła się wzdłuż trzech ścian domu. Każdego letniego wieczoru siadywali tam i wsłuchiwali się w „muzykę nocy”.

Dojeżdżając do domu nie zauważyła tam najstarszego brata.

- Założę się, że Adam siedzi nad książkami - rzekła.

- Dlaczego tak myślisz?

- Jest taka ładna pogoda, że tylko książka mogłaby go zmusić do siedzenia w domu.

Nie mogę się doczekać, kiedy go zobaczę.

Pragnęła jak najszybciej spotkać się z braćmi. Miała prezenty dla każdego z nich: dla Adama pudło wypełnione książkami, z którymi na pewno nie będzie się rozstawał, dla Cole'a blok rysunkowy i pióra, aby mógł nakreślić projekt

przybudówki, lekarstwa i szczotki dla koni Douglasa, a dla Travaisa zeszyty do zapisywania historii rodziny. Wiozła poza tym nasiona do ogrodu, który z pomocą Adama miała zamiar założyć za domem, oraz czekoladki i nowe koszule flanelowe dla wszystkich chłopców.

Powitanie było tak wspaniałe, jak sobie wyobrażała. Siedzieli potem wszyscy do późnej nocy i rozmawiali, ale dopiero kiedy Mary Roses poszła spać, Cole powiedział chłopcom o adwokacie, który odwiedził ich siostrę w szkole. Nie chciał jej martwić, ale on sam bardzo się tym przejął. Żaden z chłopców nie sądził, że to po prostu zbieg okoliczności. Zaczęli się wspólnie zastanawiać, dlaczego adwokat zainteresował się właśnie rodziną Claybome'ów. Zarówno Douglas, jak i Cole będąc dziećmi robili rzeczy niezgodne z prawem. Te czasy jednak wydawały się tak odległe, iż byli przekonani, że ich przestępstwa poszły w niepamięć. Ale naprawdę bali się o Adama. Gdyby okazało się, że adwokat został wynajęty przez synów człowieka, którego niewolnikiem był kiedyś Adam, mogliby znaleźć się w tarapatkach.

Wszyscy czterej zdawali sobie sprawę, że morderstwo nigdy nie będzie zapomniane. Adam zabił jedną osobę, by uratować dwie inne. To był przypadek, lecz okoliczności się nie liczyły. Ważne było tylko to, że niewolnik zabił ojca tych ludzi.

Nigdy śmierć ojca nie zostanie zapomniana ani wybaczona. Będzie pomszczona.

Po godzinnej, szeptem przeprowadzonej dyskusji, Adam - głowa rodziny - powiedział, że na razie nie ma sensu denerwować się ani gubić w domysłach.

Jeżeli rzeczywiście istnieje jakieś zagrożenie, to jedynym sposobem przekonania się o tym jest oczekiwanie na rozwój wypadków.

- I co wtedy? - spytał Cole.

- Wtedy zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by się obronić - odpowiedział Adam.

- Nie pozwolimy, by cię powieszono. Przecież nie mogłeś postąpić wtedy inaczej - rzekł Travis.

- Niepotrzebnie się denerwujemy - zakończył dyskusję Adam. - Na razie musimy po prostu trzymać rękę na pulsie.

Następny miesiąc minął w spokoju. Chłopcy zajmowali się tym, co zwykle, a Cole i Douglas zaczęli mieć nadzieję, że wizyta prawnika nie będzie miała żadnych następstw.

Jednak wróg ujawnił się wreszcie. Nazywał się Harrison Stanford MacDonald i był człowiekiem, który już niedługo miał ich wszystkich zniszczyć.

To on stał się ich przeciwnikiem.

12 listopada 1860

Droga Mamo Roses!

Tfuj syn hciał, rzebym pokazał ci, jak umiem pisać, więc pisze ten list do ciebie. Wszyscy ćwiczymy gramatykę i ortografię, jak Mary Roses pujdzie spać.

Twuj syn jest dobrym nauczycielem. Nie śmieje się, jak robimy błędy i zawsze muwi nam coś miłego, jak jusz skończymy robotę. Poniewasz jesteśmy teras braćmi, myślę, że nalerzys: ies: 'Ju f.';;.

Twuj'! syn Harrison Stanford MacDonald zbierał informacje o rodzinie Claybome'ów bez zadawania pytań. Nikt go tu nie znał, więc powinien był się spotkać z podejrzliwością i brakiem zaufania. Wiele słyszał o dzikich, bezwzględnych i pełnych bezprawia miasteczkach na Zachodzie i czytał o nich wszystko, co wpadło mu w ręce. Wynikało z tego niezbitcie, że ludzie obcy dzielą się na dwie kategorie. Pierwszą stanowili ci, którym dawano święty spokój, gdyż byli małomówni, ale budzili lęk, a drugą - faceci, których zabijano, bo zadawali za dużo pytań.

Obowiązujący na Zachodzie kodeks honorowy wprawiał Hamsona w zdumienie. Były to najbardziej zacofane reguły, o jakich słyszał. Mieszkańcy na ogół bronili się razem, gdy przyszło im walczyć z jakimś przybyszem z zewnątrz, lecz nikogo nie dziwiło, jeśli któryś z

mieszkańców usiłował targnąć się na życie sąsiada. Zabijanie się było przez wszystkich akceptowane, jeśli tylko znajdowano po temu jakiś pretekst.

W czasie podróży do Blue Belle Harrison zastanawiał się, w jaki sposób ma dowiedzieć się tego, co trzeba, i w końcu wpadł na pomysł, który wydał mu się rozsądny. Postanowił użyć uprzedzenia mieszkańców miasteczka w stosunku do przyjezdnych jako broni przeciwko nim samym.

Przyjechał do Blue Belle około dziesiątej rano i od razu uznano go za najgorszego drania, jaki kiedykolwiek odwiedził to miasteczko. Zachowywał się bardzo podejrzanie dla każdego, kto ośmielił się na niego spojrzeć. Miał na sobie nowy czarny kapelusz nasunięty głęboko na czoło, podniesiony kołnierz długiego brązowego płaszcza i gniewny wyraz twarzy. Szedł powolnym krokiem główną, nie utwardzoną drogą miasteczka, którą nazywano tu ulicą, zachowując się tak, jakby był właścicielem tej miejscowości. Wyraz „posepny” nabierał w jego wykonaniu prawdziwego znaczenia. Chciał wyglądać tak, jakby był gotów zabić każdego, kto wejdzie mu w drogę. I chyba osiągnął ten cel, gdyż przechodząca obok kobieta z synkiem gwałtownie złapała dziecko za rękę i przerażona uciekła w przeciwnym kierunku, kiedy zobaczyła, że mężczyzna zmienia w jej stronę.

Chciał się uśmiechnąć, ale zrezygnował z tego zamiaru. Przecież nigdy nie dowie się niczego o Claybome'ach, jeśli będzie zbyt przyjacielski. Więc nadal zachowywał się tak, jakby nienawidził całego świata.

To robiło wrażenie.

Pierwsze kroki skierował do miejscowego saloonu. Taka knajpa stanowiła w każdej dziurze popularne miejsce spotkań i w Blue Belle było podobnie.

Hamson znalazł lokal w budynku mieszczącym się przy końcu ulicy. Wszedł do środka i poprosił o butelkę whisky. To zamówienie wydało się właścicielowi saloonu nieco dziwne o tak wczesnej porze, ale nic nie powiedział. Hamson zaniósł butelkę i szklankę do najciemniejszego zakątka sali. Usiadł przy okrągłym stoliku, zwrócony plecami do ściany, spodziewając się, że podejdzie do niego ktoś z ciekawskich i zacznie z nim rozmawiać.

Nie musiał długo czekać. Kiedy wchodził do knajpy - była zupełnie pusta, ale wieść o nowo przybyłym rozprzestrzeniła się z taką prędkością, że w dziesięć minut później Hamson doliczył się tam już dziewięciu mężczyzn.

Skupieni w grupki przy innych stolikach wgapiali się w niego.

Hamson, siedząc z ramionami pochylonymi do przodu, wpatrywał się w swoją szklankę. Wiedział, że wypicie alkoholu tak wcześnie rano wywołałoby u niego żołądkowe sensacje i nie miał najmniejszego zamiaru tego robić.

Kręcił więc w kółko szklanką wypełnioną ciemnym, bursztynowym płynem i starał się wyglądać tak, jakby intensywnie nad czymś rozmyślał.

Kiedy usłyszał szepty, a potem szuranie stóp po drewnianej podłodze, jego ręka odruchowo sięgnęła po broń. Odchylił płaszcz, pozostawiając dłoń na kolbie pistoletu. Jednak nie wyjął go i po chwili uświadomił sobie, że powinien był to zrobić, jeśli chciał kontynuować tę ponurą komedię.

- Czy pan jest przyjezdny?

Hamson powoli podniósł wzrok. Nie miał wątpliwości, że mężczyzna, który zadał to śmieszne pytanie, został wysłany przez innych. Był nie uzbrojony, miał około pięćdziesiątki i był jednym z najbrzydszych ludzi, jakich Hamson kiedykolwiek widział. Malutkie brązowe oczy ginęły w jego okrągłej, ospowatej twarzy. W oczy rzucał się jedynie ogromny nos w kształcie ziemniaka.

Nos ten, zdaniem Hamsona, wyśmienicie zwracał uwagę na jego właściciela.

- A kto chce wiedzieć? - spytał jak najsurowszym głosem.

Ziemniaczany Nos uśmiechnął się.

- Nazywam się Dooley - oznajmił. - Czy przeszkodzę siadając na chwilkę?

Harrison nie odpowiedział. Patrzył ciągle na mężczyznę, ciekaw, co dalej zrobi.

Dooley uznał milczenie za zgodę, przysunął krzesło i usiadł naprzeciwko Hamsona.

- Czy jesteś w mieście dlatego, że kogoś szukasz?

Harrison potrząsnął głową. Dooley odwrócił się w stronę widzów.

- Nikogo nie szuka! - krzyknął. - Billie, przynieś mi szklankę, chętnie bym się czegoś napił, jeśli nieznajomy jest gotów się ze mną podzielić.

Powrócił do rozmowy z Hamsonem.

- Jest pan rewolwerowcem?

- Nie lubię pytań - odpowiedział Harrison.

- Tak, nie myślałem, że jest pan zawiadaczem - powiedział Dooley. - Gdyby było inaczej, wiedziałby pan, że Webster zaledwie wczoraj opuścił miasto.

Chciał z kimś się postrzelać, ale nikt się nie zgodził. Nawet Cole Claybome, z którego powodu Webster tak naprawdę przyjechał. Cole jest najszybszym facetem w okolicy. Nie wdaje się już jednak w pojedynki, szczególnie, że jego siostra właśnie wróciła ze szkoły. Ona nie toleruje strzelaniny i nie chce, by Cole miał złą reputację. Poza tym Adam trzyma go w ryzach - dodał, porozumiewawczo kiwając głową. - Jest najstarszym z braci i naprawdę umie wszystkich spacyfikować. Zna się też na książkach, a gdy już się przyzwyczaisz do jego wyglądu, to zrozumiesz, że jest on człowiekiem, do którego należy zwracać się z problemami.

Najczęściej wie, co należy zrobić. Myśli pan może o osiedleniu się tutaj, czy jest pan tylko przejazdem?

Właściciel lokalu, Billie, podszedł niosąc dwie szklanki. Postawił je na stole, po czym zwrócił się do stojącego przy drzwiach mężczyzny:

- Henry, chodź no tutaj i ucisz swojego kolegę. Narobi sobie kłopotów zadając tyle pytań. Nie chcę, by zabito go przed lunchem, wpływa to źle na obrót.

Harrison udzielił niepełnych odpowiedzi na pytania, które po tym nastąpiły.

Henry dosiadł się do nich, a właściciel poszedł w jego ślady. Trzej mężczyźni byli najwyraźniej dobrymi przyjaciółmi. Lubili plotkować, więc już po chwili prześcigali się w opowiadaniu historii o wszystkich mieszkańcach miasteczka.

Przypominali Hamsonowi stare panny, które, choć wścibskie, nie chcą nikogo skrzywdzić. Harrison zapamiętywał wszystko, co mu mówili, sam nie zadając ani jednego pytania.

Rozmowa zesła w końcu na temat kobiet zamieszkujących w okolicy.

- W tych rejonach kobiety są równie rzadkie, jak diamenty, ale znajdzie się u nas siedem lub osiem odpowiednich. Niektóre z nich są naprawdę śliczne.

Na przykład taka Catherine Momson. Jej tatko jest właścicielem sklepu. Ona ma ładne ciemne włosy i wszystkie zęby.

- Nie dorasta do pięt Mary Roses Claybome - zaprotestował Billie.

W różnych stronach sali odezwały się głośne przytaknięcia. Cały saloon, jak się zdawało, przysłuchiwał się rozmowie.

- Ona nie tylko jest śliczna - zawołał siwiejący mężczyzna.

- Jej wygląd zwali cię z nóg - zgodził się z nim Henry. - W dodatku jest tak słodka, jak to tylko możliwe.

- Święta prawda - powiedział Dooley. - Jeśli ktoś potrzebuje pomocy, to ona tam jest, by mu ją zapewnić.

Jego wypowiedź poparły kolejne przytaknięcia.

- Indiance przyjeżdżają z daleka, by zdobyć odrobinę jej włosów. Bardzo ją to denerwuje, ale zawsze daje im kosmyk. Jej włosy zawsze wyglądają, jakby były ze złota. Indiance mówią, że przynoszą im szczęście. No nie? - Henry spytał Billie'ego.

Właściciel pokiwał głową.

- Kilku Metysów próbowało kiedyś porwać ją z rancho - powiedział. - Powiedzieli, że zahipnotyzowały ich jej niebieskie oczy. Mówili, że są magiczne. Chłopaki, pamiętacie, co się wtedy stało? - zwrócił się do przyjaciół.

Dooley zaśmiał się głośno.

- Pamiętam to tak, jakby zdarzyło się wczoraj. Adam nie był wtedy zbyt pokojowo nastawiony, prawda Duchu?

Mężczyzna z zupełnie białymi włosami i długą, zmierzwioną brodą pokiwał głową.

- Oj, nie był! - krzyknął. - O ile dobrze pamiętam, to o mało nie rozszarpał na pół jednego z nich. Od tego czasu nikt nie próbował jej wykraść.

- Niewiele osób zaleca się do panny Mary - powiedział Billie. - A szkoda.

Dwójka lub nawet trójka dzieci powinna już ją ciągnąć za spódnicę.

Harrison nie musiał nawet pytać, czemu nikt się do niej nie zaleca - Dooley chętnie sam wytłumaczył.

- Ma czterech braci, z którymi nikt nie chce zaczynać. Za nic w świecie.

Nie dostaniesz się do niej, nie spotkawszy ich wcześniej. Dlatego nie ma jeszcze męża. Lepiej trzymaj się od niej z daleka.

- Ona sama nie będzie chciała mieć z nim nic wspólnego - zawołał Duch.

- Lubi słabeuszy lub takich, co muszą udawać, że coś znaczą. Chyba myśli, że opieka nad nimi jest jej obowiązkiem. To dlatego, że ma takie dobre serce.

- Już mu o tym opowiadałem - powiedział Henry.

- Doprowadza braci do szału tym ciągłym ściąganiem do domu pożałowania godnych ludzi. Jednak nawet oni muszą się z tym pogodzić - powiedział Billie.

- Nas też lubi, a nie jesteśmy słabeuszami - Dooley chciał najwyraźniej, by wszystko było jasne.

- Oczywiście, że nie jesteśmy - zgodził się Henry. - Nie chcemy, by miał pan o nas niesłuszną opinię. Panna Mary lubi nas, bo jesteśmy tu od dawna.

Przyzwyczała się do nas. Za kilka godzin i pan będzie mógł rzucić na nią okiem. Około południa mamy zwyczaj ustawiać się przed sklepem, by móc w spokoju na nią z bliska popatrzeć. Każdemu z nas ma zawsze coś miłego do powiedzenia. Mam tylko nadzieję, że jako ochrona przyjedzie z nią Douglas.

- Czemu to? - spytał Billie.

- Moja klacz znów się dziwnie zachowuje i chcę, by doktor na nią spojrział.

- Jeśli potrzebuje pan dobrego konia, to Douglas ma ich pełną stajnię - powiedział Harrisonowi Dooley. - Oswaja dzikie mustangi i sprzedaje je od czasu do czasu. Musi cię jednak polubić, ma dziwne wymagania wobec osób, które od niego kupują konie. Nie jest prawdziwym weterynarzem, ale nazywamy go doktorem.

- On tego nie lubi, Dooley. Mówi, że nie jest doktorem i nie powinniśmy tak na niego mówić - zawołał Duch.

- Dobrze to wiem! - odkrzyknął wyraźnie rozdrażniony Dooley. - Dlatego nigdy tak przy nim nie mówimy Chłopak umie się jednak obchodzić ze zwierzętami, a jego lekarstwa są skuteczne.

- Jaką robotą pan się zajmuje? - spytał Hamsona Billie. - Pytam z życzliwości, proszę pana - dodał.

- Sprawy prawnicze - odpowiedział Harrison.

- Z takiej pracy nie starcza nawet na jedzenie, jeśli się chce jeść regularnie.

Robi pan coś jeszcze?

- Poluję.

- Więc jest pan traperem - zdecydował Henry.

Harrison potrząsnął głową.

- Nie całkiem - wykręcał się. Teraz też polował, ale nie mógł powiedzieć tym ludziom, że szuka skradzionego dziecka, które byłoby już teraz dorosłą kobietą.

- Jesteś traperem czy nie? - spytał Henry. - Masz ze sobą ekwipunek?

- Nie.

- Więc nie jesteś traperem - wytłumaczył Henry. - A prowadzenie rancza?

Próbowałeś już to kiedyś robić? Jesteś odpowiednio silny do takiej pracy. Nie spotkałem chyba jeszcze nikogo tak dużego jak ty ani o tak szerokich ramionach. Przychodzą mi na myśl niektórzy bracia Claybome, oraz oczywiście Johnny Simpson, ale i tak jesteś wyższy od nich o jakie pół głowy.

- Jest pan gotów się nam przedstawić? - spytał Henry.

- Harrison - odparł. - Nazywam się Harrison MacDonald.

- Pan nosi nazwisko jako imię, prawda? - zauważył Dooley. - Czy obrazi się pan, jeśli będę mówił Harrison, czy też woli pan być nazywany MacDonald?

- Mów mi Harrison.

- Tak będzie chyba lepiej, jeśli zamierzasz się tu osiedlić. Niektóre twoje słowa brzmią jakoś tak dziwnie - dodał, po czym pospiesznie uniósł ręce do góry. - Nie miałem zamiaru cię obrazić. Zastanawiam się po prostu, skąd przybywasz.

- Z Kalifornii? - zgadywał Henry.

- Myślę, że z Kentucky - oświadczył Duch.

Harrison potrząsnął głową.

- Urodziłem się w Szkocji, a wychowałem w Anglii - odparł. - Po drugiej stronie oceanu - dodał na wypadek, gdyby nie wiedzieli, gdzie te kraje są położone.

- Naszemu miasteczku przydałby się prawnik - wtrącił Billie. - Nie ma żadnego w tej okolicy. Jeśli Adam Clayborne nie zna odpowiedzi, to musimy jechać aż do Hammond, by zdobyć potrzebną pomoc. Sędzia Bums chętnie będzie cię miał w pobliżu. Denerwuje się, że musi pracować z... jak on nas nazywa? - spytał Dooleya.

- Ignoranci.

- O to mi chodziło. Jeśli chcesz znać moje zdanie, to uważam, że prawo zrobiło się bardzo zawiłe. Trzeba wypełniać zbyt wiele papierów dla rządu.

- Mądrze mówi! - krzyknął Duch. - Kiedyś łatwo było zdobyć kawałek gruntu. Rozbijales się tam i było twoje. Teraz trzeba wypełniać papiery i płacić.

- Więc osiedlisz się tutaj? Założę się, że Morrison chętnie wynajmie ci lokal naprzeciwko jego sklepu. Wywiesiłbyś swoją tabliczkę i zarabiałbyś co miesiąc parę dolarów. Harrison wzruszył ramionami.

- Nie wiem jeszcze, co zrobię. Może zamieszkać tutaj, a może nie. Za wcześnie na decyzję.

- Masz dość pieniędzy, by przeżyć do czasu decyzji? - spytał Henry.

Harrison wiedział, że nie należy przyznawać się do posiadanych pieniędzy.

- Nie - odpowiedział. - Nie sądzę, by starczyło mi na dłużej niż kilka dni.

- Dasz sobie radę - stwierdził Dooley. - Jesteś duży i umięśniony. Możesz zawsze wynająć się i zapracować na jedzenie.

- Tak też sobie myślałem - skłamał.

- Z jakiego właściwie powodu jesteś w Blue Belle? - spytał Billie. - Wiem, że to nie moja sprawa, ale jestem ciekawy. Mógłby nam pan powiedzieć?

- Mów mi Harrison - przypomniał. - Mogę powiedzieć wam, czemu tu jestem. Prowadzę jakieś bezcelowe poszukiwania. Człowiek, dla którego pracuję, uważa, że moja podróż jest pościgiem za marzeniami.

- Masz pracę? - spytał Dooley.

- Wziąłem urlop.

- Więc może się skończyć na tym, że tu zostaniesz. Czy tak to mniej więcej wygląda? - spytał Henry.

- Chyba tak.

- Według mnie powinieneś zostać - oznajmił Billie. - Nie pracuj dla nikogo poza samym sobą. Tak jak my. Nie musisz się nikomu tłumaczyć.

- Mógłbyś wyjaśnić nam coś związanego z prawem? - spytał Duch.

- Co chciałbyś wiedzieć?

- Poważnie myślę o kradzieży konia - stwierdził Duch. Wstał i podszedł do stolika, przy którym siedział Harrison. - Facet, którego zamierzam okraść, zabrał mi w zeszłym roku kobietę, więc według mnie to nie robię nic złego.

Prawo jest po mojej stronie, prawda?

Harrison oparł się wygodnie o krzesło. Rozbawiony pytaniem, w ostatniej chwili powstrzymał uśmiech. Nie chciał, by Duch pomyślał, że się z śmieje z niego.

- Przykro mi, ale muszę cię zawieść - powiedział. - Honor jest po twojej stronie, ale nie prawo.

Dooley trzasnął ręką w stół i znów wybuchnął śmiechem.

- Też mu to powiedziałem. - Niemalże krzyczał. - Zawieśnię na stryczku przez swój honor, jeśli ukradnie konia Lloyda.

Odpowiedź Hamsona nie podobała się Duchowi. Odszedł od stołu, mrużąc coś do siebie pod nosem. Jego pytanie zapoczątkowało jednak istną lawinę prawniczych problemów. Następną godzinę Harrison spędził na rozdawaniu darmowych porad prawniczych. Uczył się w Oksfordzie i odbywał praktyki w Anglii, ale pracował też dla właściciela dwóch fabryk. Harrison musiał zapoznać się z amerykańskim prawem eksportowo-improwym, gdyż firma często wysyłała towary na wschodnie wybrzeże Ameryki.

Różnica w interpretacji prawa przez sądy angielskie i amerykańskie fascynowała Hamsona. Godzinami studiował na temat nietypowych spraw i decyzji wszystko, co tylko wpadło mu w ręce.

Teksty te wydawały się strasznie nudne wszystkim jego współpracownikom - szczególnie dawniejsze sprawy, o których chciał z nimi podyskutować. Mówiono mu, że przypominają im czasy studenckie, gdy dręczono ich obowiązkowymi lekturami. Harrison nie zgadzał się z nimi. Uwielbiał czytać dzieła filozoficzne, szczególnie Platona. Lubił także studiować poglądy myślicieli, którzy stworzyli system prawny jego kraju. Lecz najbardziej ze wszystkiego kochał teksty prawnicze. Lubił precyzyjną organizację systemu sądowego.

Uważał za konieczną znajomość najnowszych precedensów, bo tylko wtedy mógł się stać jednym z najlepszych w swoim zawodzie. Być dobrym mu nie wystarczało - Harrison dążył do doskonałości we wszystkim, czego się podejmował. Nie rozwiązane zagadki doprowadzały go do szaleństwa, doprowadzał więc do końca wszystko, co zaczął.

Jego pasja praworządności i miłosierdzie wobec innych ludzi nie przysparzały mu życzliwych w wielu kręgach. Jedyne potęgą jego pracodawcy, lorda Biliona,

powstrzymywała środowisko przed odrzuceniem Hamsona. Kilka razy omal do tego nie doszło, gdyż Harrison był gotów zajmować się niepopularnymi sprawami. Szybko zdobywał reputację obrońcy mniej szczęśliwych mieszkańców londyńskich slumsów. Nie chciał oczywiście poświęcać się dla innych. Harrison postukałby się w czoło, gdyby ktoś w szkole powiedział mu, że zajmie się prawem karnym.

Mimowolna odmienność kosztowała go zerwanie zaręczyn z lady Edwiną Homer, która powiadomiła go w liście, że nie zniosłaby małżeństwa z człowiekiem podlegającym do skandali, cokolwiek by to miało znaczyć. Osoby, które nadal uważały się za jego przyjaciół, ostrzegały go, że musi pozbyć się szaleńczych idei na temat równouprawnienia biednych i bogatych w Anglii.

Harrison odmawiał przyjęcia elitarnego i wygodnego poglądu.

- Może te prawa w Anglii różnią się od naszych - zastanawiał się Duch.

Szedł przez salę w stronę Hamsona, patrząc na niego z nadzieją. - Myślę sobie, że może by mnie nie powiesili, gdybym ukradł konia, bo Lloyd pierwszy narobił dymu.

Harrison potrząsnął głową. Duch nie chciał się jednak poddać.

- Znam prawo amerykańskie wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że uznano by cię winnym.

- Mimo że to on nie był w porządku i sam narobił dymu?

Harrison nie znał tych dziwnych wyrażen, ale nadal uważał swoje rady za rozsądne.

- Mimo to.

Nastąpiła kolejna runda pytań. Zaciekawieni ludzie, którzy wcześniej obserwowali go z różnych miejsc w saloonie, podeszli do stolika, przy którym siedział, i otoczyli go półkolem. Wyglądało, że nie spieszy im się do własnej roboty.

Drzwi do saloonu otworzyły się gwałtownie.

- Panna Mary nadjeżdża!. Cole jedzie z nią.

Mężczyzna, który to ogłosił, pobiegł dalej wzdłuż chodnika.

Reakcja na tę wiadomość była dla Hamsona zadziwiająca. Wszyscy mężczyźni zerwali się na równe nogi i wybiegli na zewnątrz. Pędzący tłum mało nie wywrócił Dooleya. Gdy ten odzyskał równowagę, zwrócił się do Hamsona.

- Pan z nami nie idzie? Powinien pan przynajmniej rzucić okiem na pannę Mary. Jest warta straconego czasu.

Brak zainteresowania mógłby zdziwić Dooleya, więc Harrison wstał od stołu i poszedł w stronę drzwi wyjściowych. Nie spieszyło mu się, by spotkać młodą kobietę, więc gdy minął

słupki do przywiązywania koni, stojący przed narożnym budynkiem, Dooley był już półtorej przecznicy dalej.

Poszukiwania Szkota mogły się skończyć za kilka minut. Nagle wypełniły go sprzeczne uczucia. Obiecał lordowi Elliottowi, że ta wyprawa będzie ostatnią próbą rozwiązania zagadki. Całkiem możliwe, że Elliott miał rację.

Podróż do tak odległego miejsca może się okazać kolejnym bezsensownym przedsięwzięciem.

Hamson westchnął zmęczony. Fakty, zdaniem Elliotta, mówiły same za siebie. Mary Roses Claybome nie mogła być jego córką, bo Victoria była jego jedynym dzieckiem. Poza tym Mary Roses miała czterech starszych braci.

Jednak adwokat w Saint Louis, który potwierdził te informacje, dołączył do nich kilka słów komentarza, które zaciekały Harrisona. Podczas rozmowy z adwokatem Mary Roses miała się na baczności i odmówiła podania choćby imion jej rodzeństwa. Zachowywała się bardzo grzecznie, ale dla adwokata było oczywiste, że się boi. Nie był w stanie namówić jej do współpracy.

Na szczęście dyrektorka szkoły okazała się bardzo pomocna. Powiedziała adwokatowi, że na początku każdego semestru dwójka braci przyjeżdżała z Mary Roses do szkoły. Nie spotkała żadnego z nich, nie widziała ich nawet z daleka, więc nie mogła ich opisać. O jednym z braci słyszała niepokojącą pogłoskę, ale odmówiła podania jakichkolwiek szczegółów.

Stwierdziła, że nie lubi plotkować i że Mary Roses jest wzorową uczennicą.

Paskudna pogłoska puszczona przez jedną z uczennic została szybko zdementowana. Oczywiście, nikt by w nią i tak nie uwierzył. Plotki były dobre dla chłopów, a nie dla przyzwoitych młodych panienek.

Więcej nie dało się z niej wydobyć.

Hamson potrząsnął głową. Oczywiście, nie mógł polegać na plotkach.

Pewnie będzie tak, jak to przewidział Elliott. Kolejny przypadek dwóch podobnie wyglądających kobiet. Elliott nalegał, by Harrison dał sobie spokój i przyjął do wiadomości straszną prawdę, tak jak on sam w końcu zrobił. Mała Victoria Elliott umarła niedługo po porwaniu. W głębi serca wiedział, że Elliott ma rację. Jednak za każdym razem, gdy spojrzał na człowieka, który przez tyle lat ochraniał jego ojca, był gotów rozpocząć kolejne poszukiwania.

Harrison uważał się za człowieka trzeźwo myślącego, ale coś w głębi duszy kazało mu udać się do Montany i samemu odkryć prawdę. Nie porywał się jednak całkiem z motyką na

słońce. Był już w Ameryce, gdy dowiedział się z depechy, że ktoś widział córkę Elliotta. Z miejsca, w którym mieszkał, jechało się do Chicago niecały dzień. Szybko znalazł się na przedmieściu, gdzie mieszkała kobieta, która twierdziła, że widziała córkę Elliotta. Po rozmowie z panią Anną Middleshaw oraz po otrzymaniu raportu od adwokata, który rozmawiał z Mary Roses, Harrison uznał, że warto zagłębić się w ten dziki kraj.

Pani Middleshaw sprawiała wrażenie kobiety dosyć rozsądnej, a wierzyła z całego serca, że widziała lady Victorię. Nikt jej zdaniem nie mógł być tak bardzo do kogoś podobny, jeśli nie był z tym kimś spokrewniony. Rozumowała logicznie i Harrison chciał wierzyć, że miała rację.

Przygotował się na rozczarowanie, gdy schodził z drewnianego chodnika.

Nagle jego uwagę przyciągnął błysk metalu. Obrócił się więc, by spojrzeć na chodnik. Pięć metrów za nim z bocznej uliczki wystawała lufa strzelby wycelowana w grupkę osób stojących przed sklepem.

Harrison rozpoznał Henry'ego, Ducha i Dooleya, ale po drugiej stronie stało także trzech innych mężczyzn, których przedtem nie widział. Lufa strzelby podążyła za jasnym blondynem stojącym obok Henry'ego, gdy tylko zrobił krok do tyłu. Żółtowołosy poszedł jednak dalej i został przypadkowo zasłonięty przez Dooleya. Harrison zauważył, że lufa strzelby znów się opuściła.

Chciał się wtrącić, ale grupa mężczyzn weszła już do sklepu. Harrison przechodząc przez drogę zdjął płaszcz, przerzucił go przez słupek do przywiązywania koni i wszedł do środka.

Powietrze wypełniał zapach skóry i przypraw. Sklep był duży, rozmiarów jednej ze stajni Elliotta. Przez środek sklepu biegło szerokie przejście, a dwa węższe znajdowały się po bokach. Przeciążone półki ugięły się pod słojami z jedzeniem, stertami ubrań, wyrobami ze skóry, kilofami i łopatami oraz wieloma innymi rzeczami, których oko nie było w stanie na raz zauważyć.

Sklep był zbudowany z wielu gatunków drewna, choć jak w większości budynków w mieście, i tu przeważały deski sosnowe.

W całym swoim życiu Harrison nie widział jeszcze tak źle urządzonego, pod sufit zapchanego sklepu. Obsesyjnie lubił porządek i dyscyplinę, więc chaos w pomieszczeniu wywoływał w nim mdłości. W jednym kącie sklepu zwoje kolorowych materiałów były jak ułożono w przekrzywioną piramidę na blacie okrągłego stołu, tuż obok trzech ogromnych beczek z kiszonymi ogórkami. Harrison obserwował, jak niechlujny mężczyzna włożył rękę do solanki i wyciągnął duży ogórek, po czym otarł rękę o róg koronkowego materiału

zwisającego nad krawędzią stołu. Materiał spadł na ziemię pod nogi mężczyzny, który nadepnął na niego idąc w stronę kasy.

Pracując w takim bałaganie Harrison chyba by oszalał. Jak, na Boga, właściciel znajdował tu cokolwiek?

Westchnął, przestał myśleć o sklepie i przesunął się na bok, chcąc poczekać tam, dopóki nie zauważy żółtowlósego.

Gdzie się podział ten mężczyzna? Harrison był przynajmniej o głowę wyższy od pozostałych osób w sklepie, a mimo to nie mógł zauważyć żółtowlósego. W takim bałaganie wszystko było możliwe, ale nawet tu człowiek nie mógł rozplynać się w powietrzu.

Znajdujący się w lewej części sklepu Dooley zamachał ręką do Hamsona.

Stał przed ladą, rozmawiając szeptem z ładną młodą szatynką. Musiała to być Catherine Morrison, córka właściciela. Dooley chciał, by Harrison podszedł do lady, ale ten potrząsnął głową przecząco i nie ruszył się. Nie chciał przegapić żółtowlósego. Nawet go nie obchodziło, czy Dooley uzna jego zachowanie za nieodpowiednie.

Chwilę później usłyszał, jak Dooley mówi o nieśmiałości. Ponieważ starzec mówiąc patrzył na niego, Harrison uznał, że to o nim mowa. Była to dość dziwna ocena jego zachowania.

Tym razem kobieta za ladą pomachała ręką. Pochyliła się nad blatem i posłała mu prowokujący uśmiech typu: „chodź tu, kochasiu, i porozmawiaj ze mną”. Harrison nie odwzajemnił jej uśmiechu. Nie był w nastroju do flirtu, ponieważ uważał, że ostrzeżenie nieznanego jest najważniejsze.

Zazwyczaj nie wtrącał się w cudze porachunki, ale tym razem zachował się inaczej, bo głęboko wierzył w zasadę fair play. Napadanie na nic nie podejrzewającego człowieka było czynem tchórzliwym, a Harrison nie znosił tchórzy.

Jego cierpliwość skończyła się. Już ruszał szukać mężczyzny, gdy żółtowlósy pojawił się na końcu głównego przejścia. Na ramieniu niósł worek mąki lub pszenicy. Zza jego pleców wybiegła młoda kobieta, która wyminawszy go pospieszyła w stronę Hamsona.

Boże drogi, to była lady Victoria! Młoda i piękna kobieta idąca w jego stronę musiała być zaginioną ongiś córką Elliotta. Wyglądała jak lustrzane odbicie jego ostatniej żony. Ujrzawszy jej wysoko osadzone kości policzkowe i błyszczące błękitne oczy, Harrison nie był w stanie odetchnąć. Zdumienie całkowicie go sparaliżowało. Serce zaczęło łomotać mu w piersi, aż ból zmusił go do zaczerpnięcia tchu.

Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Uroczą kobietą wyglądała tak, jakby ledwo co zesza z olejnego portretu lady Agathy, wiszącego nad kominkiem w bibliotece Elliotta. Była

oczywiście inaczej ubrana, ale poza tym, na wszystkie świętości, nawet piegi na jej nosie wyglądały identycznie. Nagle przestała go obchodzić liczba jej braci. Pani Middleshaw miała rację. Nikt nie mógł być tak bardzo podobny do kogoś nie będąc spokrewniony.

Mary Roses Claybome. W miarę jak zbliżała się do niego, zauważał coraz subtelniejsze różnice. Jej oczy były jaśniejsze niż oczy jej matki na portrecie z młodości. Harrison westchnął zawiedziony. Egzotyczne oczy kształtu migdałów i rysy twarzy wydawały się dokładnie takie jak matki; jednak gdy podeszła bliżej, nie był już całkiem pewien. Niech to diabli, trochę przypominała nawet żółtowłosego. Miała ten sam kolor włosów. Nie, właściwie nie był to ten sam odcień. Jej były jaśniejsze, z pasemkami koloru miodu. Boże, była piękna, ale mogła równie dobrze być młodszą siostrą żółtowłosego. Jednak jakże mogła nią być, jeśli tak przypominała żonę Elliotta?

Ostatni raz widział lady Agathę, gdy był jeszcze bardzo mały, więc nie mógł dokładnie pamiętać jej wyglądu. Miał zaledwie dziesięć lat, gdy wyjechała z mężem do Ameryki, by uczestniczyć w uroczystym otwarciu fabryki w pobliżu Nowego Jorku. Pamiętał tylko głupie szczegóły, na przykład cudowny jej zapach, niczym kwiatów po deszczu, sposób, w jaki się do niego uśmiechała z miłością i dobrocią i obejmowała ciepło i delikatnie. Wszystkie te wspomnienia, cenne dla sieroty, który stracił matkę, nie mogły mu teraz pomóc.

Nigdy już więcej nie widział lady Agathy. Opowiadano mu, że po powrocie do Londynu pozostawała dzień i noc w swojej sypialni, w ciemności oplakując zaginięcie czteromiesięcznej córki.

Czy kobieta idąca w jego stronę była lady Victorią? Miłosierny Boże, nie wiedział!

Rozpaczliwie szukał sposobu odkrycia prawdy. Wtedy przypomniał sobie, co o Mary Roses Claybome mówił Dooley i inni mężczyźni. Była opiekunką słabych i doprowadzała swoich braci do wściekłości przyprowadzając do domu różnych dziwaków.

Harrison wiedział już, co musi zrobić.

Już nie będzie największym twardzielem, jaki kiedykolwiek wpadł do tego miasteczka. Takie zachowanie pomogło mu zdobyć informacje, której potrzebował, oraz akceptację mężczyzn w saloonie, ale nie przyda się na nic wobec Mary Roses Claybome. Lubiała starców i żółtodziobów, więc postanowił stać się jednym z nich. Będzie naiwnym mieszczuchem udającym ważniaka, który ma zbyt mało zdrowego rozsądku, by przeżyć. Miał nadzieję, że podstęp się uda.

Mary Roses Claybome natychmiast zauważyła nieznajomego opierającego się o okno. Był tak duży, że nie dało się go nie zauważyć. Miał ciemnobrązowe włosy i niezwykle

wyraziste szare oczy. Wydał się jej przystojny, choć surowy, ale wygląd nie miał dla niej znaczenia. Był zdecydowanie smutny i tak blady, jakby zobaczył coś bardzo niepokojącego.

Uśmiechnęła się na myśl, że przypomina jej ducha. Ale to Duch, a nie ona, widział zjawy z zaświatów, i to tylko po łyknięciu samogonu, który zapewniał wizje. ‘*

Było jej przykro, że jest taki smutny. Postanowiła go poznać - może zdoła się dowiedzieć, co go tak trapi. Może będzie w stanie mu pomóc.

Już chciała się odezwać, ale zmieniła zdanie, bo zauważyła, że nieznajomy ma na sobie pas z bronią. Sześciostrzałowiec był wetknięty w olstra na udzie.

Mary Roses zdała sobie sprawę, że obcy może być kolejnym zawiadakią, który przybył do miasta tylko po to, by wdać się w strzelaninę z jej bratem. Jeśli o to mu chodziło, to nie miała zamiaru być dla niego miła ani pomocna.

Chętnie sama by go nawet zastrzeliła.

Uznała, że dochodzi do pochopnych wniosków. Postanowiła, że najlepiej będzie go zignorować. Doszła do drzwi i chciała otworzyć bratu. Cole stał tuż za nią, rękami podtrzymywał jednak worek, który niósł na ramieniu. Harrison szybkim ruchem zablokował wyjście. Oparł się o framugę i czekał, aż ona na niego spojrzy.

Jej się jednak nie spieszyło.

- Jeszcze bym nie wychodził, proszę pani.

- Nie wychodziłby pan?

Harrison potrząsnął głową.

- Nie. Nie robiłbym tego.

Mary Roses spojrzała na niego zdumiona. Wreszcie się uśmiechnął. Też chciała się uśmiechnąć, ale w porę powstrzymała się. Stała tak blisko niego, że musiała odchylić całkiem głowę do tyłu, by mu spojrzeć w oczy. Zauważyła w nich wyraźny błysk. Nie rozumiała, co mogło go tak rozbawić. Nabrał ponownie kolorów na twarzy, a poza tym całkiem przyjemnie pachniał wyprawioną skórą i pustymi, dzikimi przestrzeniami. Wiedziała też, że spędził dużo czasu na słońcu, bo był bardzo opalony.

Mary Roses otrząsnęła się z osłupienia.

- Dlaczego miałabym nie wychodzić?

Harrison wiedział, że musi przestać się w nią wpatrywać i odpowiedzieć na pytanie. Boże, była bardzo ładna. Poczul woń jej perfum, bardzo łagodną i delikatną, podobną do zapachu perfum, których używała jej matka. Wiedział, że zachowuje się jak uczeń, ale nie mógł się powstrzymać. Była tak śliczna, że nie potrafił przestać się do niej uśmiechać.

Rzeczywistość szybko sprowadziła go na ziemię.

- Otwórz drzwi, Mary Roses - rozkazał żółtowłosey, patrząc na Harrisona.

- Ten dżentelmen nie chce, żebyśmy wychodzili - odpowiedziała. Odwróciła się do brata i wzruszyła ramionami. - Nie wiem dlaczego.

Cole spojrział z nienawiścią na Harrisona.

- Wie pan, są lepsze sposoby zawierania znajomości. - Jego głos był pełen sarkazmu. - Jeśli chce pan poznać moją siostrę, proszę zaczekać, aż odłożę worek. Wtedy może pozwolę panu z nią porozmawiać.

Mary Roses nie dopuściła, by nieznajomy został wprowadzony w błąd.

- On nie pozwoli panu ze mną rozmawiać - wytłumaczyła. - Mój brat nigdy nie pozwala mi rozmawiać z nieznajomymi. Nazywam się Mary Roses Claybome. A kim pan jest, jeśli mogę spytać?

- Harrison Stanford MacDonald.

Pokiwała głową.

- Miło mi pana poznać, panie MacDonald. Czy teraz mogę już wyjść?

- Chciałbym najpierw porozmawiać z pani bratem.

Mary Roses cofnęła się o krok, nadeptując na but brata.

- Czy jest pan rewolwerowcem?

Powiedziała to tak, jakby go oskarżała. Nie pozwoliła mu odpowiedzieć, uznając, że zna już odpowiedź. Zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową.

- Może pan o tym zapomnieć, jeśli chce pan wyzwąć mojego brata.

W ogóle go to nie interesuje. Radziłabym, aby opuścił pan jak najszybciej Blue Belle, bo nie jest tu pan mile widziany.

- Na Boga, Mary Roses! Mogę mówić za siebie. Jest pan rewolwerowcem?

Harrison potrząsnął przecząco głową. Był ogromnie zdziwiony obrotem sprawy.

- Nie - odpowiedział. - Nie jestem. - Spojrział znów na Mary Roses. - Dlaczego pani zdaniem chce go wyzwąć?

Jej oczy zrobiły się duże ze zdziwienia.

- Cole, on nawet nie wie, po co się wyzywa. Skąd pan przybywa, panie MacDonald?

- ze Szkocji.

W tej okolicy rzadko spotykało się taką odpowiedź.

- Co pan robi w Blue Belle?

- Szukam miejsca, żeby się osiedlić.

- Więc nie przyjechał pan tutaj, by walczyć z moim bratem?

Przestała się krzywić, ale w jej głosie ciągle było słychać nieufność. Było oczywiste, że do końca jej nie przekonał.

Postanowił odpowiedzieć pytaniem na pytanie.

- Czemuż miałbym to zrobić? Przecież nawet nie znam pani brata.

Dziewczyna westchnęła z ulgą.

- No cóż... - Mary Roses zaczesła ręką włosy do tyłu i uśmiechnęła się słodko. Uważała to za bardzo kobiece zachowanie. - Nie sądziłam, że jest pan rewolwerowcem, ale nie mogłam być pewna. Gdy pomyślę...

Cole nie pozwolił jej dokończyć.

- Na miłość boską, Mary Roses, otwórz wreszcie te drzwi! - ponaglił ją.

- Ale nie przedstawiłam cię jeszcze panu MacDonaldowi - zaprotestowała.

- Nie mam ochoty go poznać - burknął pod nosem Cole. - Douglas czeka z wozem. Musisz tylko otworzyć drzwi.

Ponury głos brata zdawał się nie mieć żadnego wpływu na Mary Roses, Uśmiechała się ciągle do Harrisona, zachowując się tak, jakby mieli dla siebie całą wieczność.

- Mój brat ma na imię Cole Claybome. Ma drugie imię, ale jest dosyć czuły na jego punkcie i zabiłby mnie, gdybym je panu zdradziła. Cole, chciałabym, byś poznał pana Harrisona...

- Mary Roses, przysięgam na Boga, że za chwilę upuszczę ten ciężki worek mąki prosto na twoją głowę.

- Mój brat jest naprawdę bardzo miły, gdy już kogoś lepiej pozna - westchnęła.

Harrison nie był do końca przekonany. Cole nie wyglądał na człowieka, który potrafi być miły. Grymas na jego twarzy zdawał się umieszczony tam na stałe. Jedno było pewne. Brat Mary Roses nie będzie dłużej czekać. Harrison postanowił pospieszyć się i powiedzieć o zasadzce, zanim ten niecierpliwy mężczyzna postanowi wywalić szybę w drzwiach. Wyglądał na wystarczająco silnego i zdeterminowanego, by to zrobić.

- Ktoś na zewnątrz mierzy do pana ze strzelby - zaczął Harrison. Mówił cicho, tak, by inni klienci nie słyszeli. - Ktoś, kto chce pana zabić, chowa się w przejściu po drugiej stronie ulicy. Pomyślałem, że może to pana zainteresować.

Cole natychmiast uspokoił się.

- Widział pan tego kolesia?

Harrison zaprzeczył.

- Zastanawiałem się, czy nie wytrącić mu strzałem strzelby z rąk, ale szczerze mówiąc dopiero co kupiłem rewolwer i jeszcze go nie wypróbowałem - powiedział. - Jeszcze bym kogoś zranił.

- To rzeczywiście przydatna informacja. - W głosie Cole'a słychać było rozgoryczenie.

- Przykro mi, że nie mogę panu pomóc - stwierdził Harrison. - Ale dopóki nie nauczę się dokładnie...

Harrison specjalnie nie dokończył zdania. Chciał, by Mary Roses i jej brat wyciągnęli wnioski sami.

Nie musiał długo czekać. Mary Roses cichutko westchnęła.

- Ma pan przy sobie broń i nigdy jej jeszcze pan nie użył?

- W samej rzeczy, proszę pani.

Nie chciał znów kłamać, ale nie powiedział też całej prawdy. Świadomie pominął najważniejszą informację, wiedząc, że kobieta pójdzie tą drogą, którą sama wybierze. Nie podobała mu się taka manipulacja, ale był gotów zrobić wszystko, co trzeba, by zdobyć jej zaufanie. Tylko wtedy mógł uzyskać informację, której potrzebował. Ponieważ lubił dziwaków, uznał, że musi zostać jednym z nich.

- Czy pan kompletnie zwariował? - spytała go Mary Roses.

- Chyba nie - odrzekł.

- Drogi Boże, nie ma pan nic lepszego do roboty, tylko chodzić po mieście z bronią na wierzchu? Jest pan tak duży, że ktoś na pewno wdałby się z panem w jakąś walkę. Będzie pan martwy, zanim to pan zauważy. Czy tak bardzo panu na tym zależy, panie MacDonald?

Trzymała ręce na biodrach, patrząc na niego, jakby nie miał za grosz rozumu w głowie. Przypominała Hamsonowi nauczycielkę upominającą jednego z uczniów. Nigdy jednak nie uczył go ktoś tak młody i piękny. Wszyscy jego nauczyciele byli starzy, nudni i wysuszeni jak zeszłoroczne liście.

Najwyraźniej martwiła się o niego. Podobało mu się, że zwraca na niego tyle uwagi. Bycie dziwakiem nie będzie chyba aż tak straszne.

Harrison próbował wyglądać na zmartwionego.

- Nie, proszę pani. Nie chcę zostać zabity. Chcę się nauczyć używać mojego nowego rewolweru, a nigdy mi się to nie uda, jeśli będzie zapakowany.

Cole westchnął głośno. Hamson natychmiast zwrócił na niego uwagę.

- Czy chciałby pan, żebym wyniósł panu ten worek? Mógłbym włożyć go na wóz i pójść po szeryfa.

- W Blue Belle nie mamy szeryfa - wytłumaczyła mu Mary Roses.

Hamson nie musiał udawać zdziwienia.

- Więc kto pilnuje tutaj porządku?

- Nikt - odparła. - Dlatego jest to niebezpieczne miejsce dla kogoś takiego jak pan. Był pan wychowany w mieście, czyż nie tak?

Starął się nie zdenerwować wyraźnym w jej głosie współczuciem.

- Rzeczywiście, wychowałem się w mieście. Proszę do mnie mówić Harrison. „Proszę pana” wydaje się zbyt formalne jak na to miasto.

- Dobrze - zgodziła się. - Będę do ciebie mówić Hamson. Proszę, zdejmij pas z bronią. Naprawdę nie powinieneś go nosić. Pewnie ktoś ci powiedział albo gdzieś przeczytałeś, że jest to modne w tych stronach, prawda?

- Przeczytałem, że to konieczna część wyposażenia.

- To ładnie - westchnęła.

Cole miał już dosyć czekania. Przechylił się, oparł worek o ścianę, wyprostował się, po czym napiął barki, by rozluźnić mięśnie karku.

Hamson i Mary Roses odsunęli się na bok, gdy sięgnął do drzwi. Cole nie wydawał się zbyt przejęty zasadzką. Szturchnął siostrę, by się bardziej odsunęła, wyjął rewolwer i uchylił drzwi.

Douglas czekał na zewnątrz. Brat Cole'a stał obok wozu, opierając się o słupek do przywiązywania koni. Wyglądał, jakby spał. Cole zagwizdał, by przyciągnąć jego uwagę.

Hamson spojrzał na Mary Roses. Zdziwiło go jej zachowanie. Zasłoniła rękami uszy i spoglądała na sufit ze zrezygnowanym wyrazem twarzy, gdy tylko jej brat sięgnął po broń.

- Douglas, padnij.

Chwilę po wydaniu bratu rozkazu Cole wychylił się przez drzwi, wycelował i oddał trzy szybkie strzały. Odgłos strzelania odbił się echem w okolicy sklepu. Szyby w oknie sklepu zadrżały od huku.

Szybki niczym błyskawica, Cole schował broń z powrotem do olstra.

- To powinno wystarczyć.

Potem podniósł worek i wyszedł na dwór. Jego spokój i obojętność były dosyć zdumiewające, ale Harrisona bardziej zdziwił kompletny brak zainteresowania ze strony pozostałych klientów. Jeśli zdziwiło ich, że Cole Claybome przed chwilą stał w drzwiach i strzelał, to nie dali tego po sobie poznać.

Ciekawe, czy zdarzało się to na co dzień? Hamson był już w stanie w to uwierzyć.

- Zapomniałeś podziękować Harrisonowi, Cole - zawołała Mary Roses.

- Dzięki za ostrzeżenie - powiedział Cole przez ramię.

Jego wdzięczność wydała się Mary Roses sztuczna, ale nie powiedziała mu o tym. Wiedziała, że dziękowanie komukolwiek przychodziło bratu z trudem.

Irytował go pewnie także fakt, że jakiś cudzoziemiec uratował mu życie.

- Jak myślisz, kto tym razem próbował napaść na ciebie? - spytała.

- Proszę bardzo! - zawołał jednocześnie Hamson.

Cole wrzucił worek mąki na tył wozu obok reszty zakupów, po czym odwrócił się do siostry, by odpowiedzieć na pytanie.

- To pewnie Webster, ten matko... - powstrzymał się przed dokończeniem swojej niepocholebnej opinii o nędzarzu, który szykował zasadzkę na niego. - Ma mi za złe, że nie chciałem z nim walczyć w zeszłym tygodniu. Chyba należało go wtedy zabić. Przynajmniej go trafiłem, więc będzie się musiał wylizać, zanim znów spróbuje. Jesteś gotowa do odjazdu, Mary Roses?

- Zaczekajcie jeszcze chwilkę.

Mary Roses zwróciła się do Harrisona.

- To bardzo miło, że ostrzegł pan mojego brata. On też to docenia, tylko nie potrafi tego okazać. Nie lubi mieć długów, nawet wdzięczności.

- Twój brat nie jest mi nic winny. Każdy by to zrobił na moim miejscu.

- Chciałabym, by to było prawdą - odparła. - Może w Szkocji sąsiad pomaga sąsiadowi, ale w okolicach Blue Belle sprawy mają się trochę inaczej.

Pokiwał głową, przyjmując do wiadomości jej słowa. Ciągłe patrzył na nią, próbując znaleźć nowy temat rozmowy. Już po chwili czuł się jak prostaczek.

Wymykała mu się z rąk, a on nie mógł wymyślić nic, by zatrzymać ją chociaż na kilka minut.

Dostrzegał w dodatku ironię sytuacji. Był prawnikiem, człowiekiem zarabiającym na życie za pomocą dyskusowania, kłócenia się i przekonywania, a teraz zapomniał języka w gębie. Jeśli to nie było absurdem, to nie wiedział, co mogłoby nim być.

Boże, ma śliczne oczy.

W momencie gdy o tym pomyślał, wiedział, że zaczynają się kłopoty.

Młoda dama, która tak słodko się do niego uśmiechała, przerabiała jego mózg na papkę. Był całkowicie zbrzydzonej samą sobą. Nie powinien pozwolić cielesnemu powabowi pomieszać jego planów.

Mary Roses uznała, że czeka już wystarczająco długo. Nie chciała jednak jechać jeszcze do domu, wmawiając sobie, że zwleka jedynie z powodu niepokoju o los naiwnego nieznajomego.

- Zastanawiałam się...

- Tak? - Wyrzucił z siebie to słowo niczym mały chłopiec, który ma właśnie dostać prezent.

- Dlaczego chce pan nauczyć się strzelać?

Cholera, będzie musiał znów skłamać. Zaczynało go to męczyć. Może byłoby łatwiej, gdyby ona nie patrzyła na niego takim ufnym i niewinnym wzrokiem.

Prawdy nie mógł jednak odkryć. Wiedział, że jeśli przyzna się, że całkiem dobrze umie obchodzić się z bronią, to Mary Roses odejdzie, nie odwracając się nawet na chwilę.

Zatajanie swych umiejętności drażniło jego dumę. W czasach studenckich zdobywał nagrody za celność na strzelnicy oraz w polu, a służąc w wojsku nauczył się szybkości. Nie lubił sześciostrzałowców, bo były ulubioną bronią pospólstwa, ale nauczył się nimi posługiwać. Musiał przyznać, że rewolwer czasem się przydawał, a jego własna szybkość ocaliła mu skórę nieraz.

- Proszę, niech mi pan powie, dlaczego chce pan nauczyć się używać broni? - spytała ponownie.

- Myślę o zostaniu kowbojem - powiedział. - Sądzę, że broń może się wtedy okazać przydatna.

- Mamy ranczo kilka mil za miastem, nazywa się Różane Wzgórze. Czy słyszał pan może o nim?

To było głupie pytanie i żałowała, że je zadała. Oczywiście, nie mógł słyszeć o Różanym Wzgórzku, bo ledwo co przyjechał do miasta. Jednak była to jedyna rzecz, która przyszła jej do głowy, a bardzo chciała podtrzymać rozmowę. Boże, jaki wspaniały był jego głos. Egzotyczna wymowa, basowa i wibrująca, była dla niej muzyką.

- Nie, nie słyszałem o waszym ranczo - odpowiedział.

Jeszcze przez chwilę patrzyli w milczeniu na siebie, po czym Mary Roses odwróciła się, chcąc odejść. Zatrzymała się jednak zaraz po wyjściu za drzwi.

Cole i Douglas patrzyli na nią, oparci o wóz. Stali z rękami założonymi na piersiach; zauważyła też, że obaj mają jedną stopę założoną na drugą. Wyraz ich twarzy był wyraźnie zrezygnowany.

Byli przyzwyczajeni do spóźnień Mary Roses.

Uśmiechnęła się do obydwu, po czym odwróciła się do Hamsona. Ucieszyło ją, że wyszedł za nią na dwór. Patrzył na Douglasa, więc Mary Roses uznała, że zastanawia się, kim on jest. Musi pamiętać, by go przedstawić, gdy skończy opowiadać Harrisonowi o swych planach dotyczących jego najbliższej przyszłości.

Musiała jakoś pomóc temu mężczyźnie, który wyglądał na samotnego i zagubionego.

- Nie mogę zostawić cię tutaj na pastwę losu.

Swoim oświadczeniem momentalnie skupiła na sobie jego uwagę.

- Nie możesz? - spytał.

Obejrzała się do tyłu, chcąc zobaczyć, czy bracia nadal ją obserwują. Nie dość, że patrzyli na nią, ale robili to z wyraźną dezaprobatą w oczach.

Uśmiechnęła się w ich stronę, żeby wiedzieli, że jest zadowolona rozmawiając z nieznajomym. Potem wzięła Hamsona za rękę i pociągnęła z dala od wejścia do sklepu. Chciała oddalić się trochę od braci. Wiedziała, że natychmiast by jej przeszkadzili, gdyby wiedzieli, co zamierza zrobić.

- Stanowczo nie mogę cię tu zostawić. Wpadniesz w tarapaty, jeśli czegoś nie zrobię.

- Dlaczego sądzisz, że będę miał kłopoty?

- Dlaczego? - powtórzyła.

Nie mogła uwierzyć, że o to pyta, choć widziała jego zdziwioną twarz. Na litość boską, ten biedny człowiek nie zdawał sobie nawet sprawy z grożących mu niebezpieczeństw. Uznała, że jej obowiązkiem jest wytłumaczyć mu sytuację, w jakiej się znajduje.

- Przyznałeś, choć nie otwarcie, że nie potrafisz się obronić. Jestem pewna, że kilka osób w sklepie słyszało, jak to mówiłeś. W tym mieście każdy musi wiedzieć, co inni robią i mówią. Wieść się rozejdzie, a muszę z przykrością stwierdzić, że nasze miasteczko ma pokątną gromadę niemiłych dręczycieli.

Dopadną cię, jak tylko dowiedzą się o twojej bezbronności. Tutaj nie będziesz bezpieczny.

- Czy chcesz powiedzieć, że moje plany są niedorzeczne? - Harrison wydawał się zaszokowany.

Postanowiła być z nim szczerą. Pewnie urazi tym jego uczucia, ale odrobina prawdy dobrze mu zrobi.

- Tak, są niedorzeczne.

Musiał przypomnieć sobie, że sprawy idą po jego myśli. Brała na siebie odpowiedzialność za niego. Dooley i Henry mieli rację. Rzeczywiście, opiekowała się słabymi i bezbronnymi.

Jego ambicja otrzymała jednak niezłe cięgi. Piekielnie go irytowało, że jakaś kobieta uważa go za cherlaka.

Postanowił leciutko zaprotestować, by odzyskać wiarę w siebie.

- Panienko, nie przypominam sobie, bym mówił, że nie jestem w stanie zatroszczyć się o siebie.

Zachowywała się tak, jakby tego nie usłyszała.

- Boję się, że naprawdę będzie pan musiał pojechać ze mną do domu.

Próbował się nie uśmiechać.

- Nie wydaje mi się to dobrym pomysłem. Muszę w końcu przyzwycząić się do tego rewolweru. Dużo za niego zapłaciłem i mam nadzieję, że jest celny.

Mary Roses wyglądała na zdenerwowaną.

- Broń palna nigdy nie jest celna, celni mogą być jedynie ludzie jej używający. Udanie się ze mną jest rozsądnym rozwiązaniem. Proszę, spróbuj mnie zrozumieć. Jesteś tak dużym mężczyzną, że stanowisz uczciwy cel. Ludzie tutaj mają pewne wymagania.

Nie wiedział, o czym ona mówi.

- Co ma wielkość osoby do...

Nie pozwoliła mu dokończyć.

- Spodziewają się po tobie, że będziesz walczyć w obronie siebie i swojego dobytku. Zabiją cię przed końcem tygodnia, jeśli szybko nie nauczysz się używać swoich pięści i rewolweru. - Świadomie złagodziła prawdę, nie chcąc go za bardzo denerwować. Naprawdę nie wierzyła, by przeżył sam nawet jeden dzień. - Jestem pewna, że moi bracia chętnie cię wszystkiego nauczą.

Uratowałeś przecież życie Cole'owi. Sam z chęcią nauczy cię strzelać, byś mógł lepiej o siebie zadbać.

Harrison odetchnął głęboko, zanim zaczął mówić. Nie mógł się powstrzymać od dyskusowania z nią, choć wiedział, że może wszystko popsuć własną arogancją. Wiedział, że potrafi udawać tylko trochę bezbronnego i nie miał zamiaru zachowywać się jak zupełny nieudacznik. Niech to, pomyślał, musi być jakaś prostsza droga.

- Naprawdę potrafię o siebie zadbać. Nie wiem, skąd przyszło ci do głowy, że tak nie jest. Używałem już kiedyś pięści i...

Nie chciała tego słuchać. Pokiwała głową ze współczuciem i powiedziała:

- Jest duża różnica między myśleniem i działaniem, Harrison. Niebezpiecznie jest uważać, że się ma w czymś wprawę, jeśli tak nie jest. Brałeś kiedyś udział w pojedynku?

Musiał zaprzeczyć.

- Czy teraz rozumiesz?

Zachowywała się tak, jakby była przekonana, że już dawno wszystko zrozumiała. Zastanawiał się, czy pojedynek jest jej zdaniem pewnego rodzaju rytuałem, po którego przejściu byłby dopiero wystarczająco przygotowany do zamieszkania w Blue Belle.

- Przecież wielu mężczyzn, którzy tu mieszkają, nigdy się nie pojedynkowało. - Nie mógł nic poradzić na to, że brzmiało to nieprzekonywająco.

Prawnik nie powinien dać się wyprowadzić na manowce i Harrison nigdy przedtem do tego nie dopuścił. Jednak ta urocza kobieta właśnie to robiła i Harrison, zakłopotany, próbował zrozumieć, jak do tego doszło.

- Oczywiście - odpowiedziała.

- Więc czemu mnie o to spytałaś?

Spojrzała na niego ze złością.

- Na pewno zauważyłeś, że mężczyźni w sklepie nie noszą pasów z bronią. Nie robi tego większość mężczyzn, ponieważ widok broni jest swego rodzaju demonstracją, Harrison. Jeśli nosisz broń, to musisz być gotowy udowodnić, że potrafisz jej używać. Cieszę się, że nie brałeś jeszcze udziału w strzelaninie, i mam nadzieję, że nigdy nie będziesz musiał nikogo zabić.

Rewolweru nie można używać dla sportu lub zemsty. Zabijamy węże i gryzonie, ale nie ludzi. Niestety, inni mieszkańcy oraz przyjezdni nie widzą w tym żadnej różnicy.

- Twój brat, jak zauważyłem, nosi broń.

- To co innego - upierała się. - Cole musi, a ty nie. Rewolwerowcy szukający sławy wciąż gnębią mojego brata, bo uważają go za szybszego, niż jest w rzeczywistości. Pewność siebie ich zabija, choć nie z rąk Cole'a. Od lat nikogo nie zabił, bo nie jest rewolwerowcem - dodała dobitnie Mary Roses.

Najwyraźniej chciała, by się z nią zgodził.

- Rozumiem.

- Nosi broń, by się bronić. Nauczył się jej używać, by zapewnić nam bezpieczeństwo. To nie jego wina, że jest szybki. Też będziesz musiał nauczyć się bronić, jeśli chcesz się tu osiedlić. Właściwie Różane Wzgórze jest doskonałym miejscem, by nauczyć się prowadzić ranczo. Będziesz miał wspaniałych nauczycieli. Adam może nawet zapłaci ci za pracę, a pracując wszystkiego się nauczysz.

- Adam?

- Mój najstarszy brat - wytłumaczyła. - Mam ich czterech. Jestem najmłodsza w rodzinie, a dalej po kolei są: Travis, Cole, Douglas i Adam.

Ponieważ tak otwarcie o tym mówiła, postanowił zadać tyle pytań, ile tylko było możliwe.

- Czy twoi rodzice jeszcze żyją?

- Tylko matka - odpowiedziała. - Obecnie mieszka na Południu, ale niedługo przeprowadzi się do nas. Powinieneś pójść zabrać swoje rzeczy. Jeśli chcesz, to pójdę z tobą.

- Nie uważasz, że powinnaś zapytać braci, zanim zaoferujesz mi ich usługi?

Poprzednie doświadczenia nauczyły ją, że pytanie o zgodę nie jest dobrym pomysłem.

- Nie trzeba, później ich przekonam. Proszę cię, mów na mnie Mary Roses, albo po prostu Mary, tak jak wszyscy w tym mieście. Masz konia lub powóz, czy też przyjechałeś do Blue Belle dylizansem?

- Mam konia.

- Możemy więc już iść?

Najwyraźniej uznała temat za zamknięty. Zeszła z chodnika, minęła braci, uśmiechając się do nich, i poszła w stronę stajni. Harrison zdecydował się minutę lub dwie, więc dogonił ją dopiero w pół drogi.

- Ten dżentelmen obok Cole'a to mój brat Douglas - wytłumaczyła. - Chyba zaczekam chwilkę, zanim cię jemu przedstawię, niedługo powinien mu się polepszyć humor.

- Rzeczywiście, zdaje się, że jest czymś zdenerwowany - zauważył Harrison.

Przyjrzał się dobrze mężczyźnie, gdy go mijał. Szedł obok Mary Roses trzymając ręce za plecami, i zastanawiał się, jak delikatnie wypytać ją o Douglasa.

- Czy Douglas jest twoim przyrodnim bratem? - starał się, by brzmiało to naturalnie.

- Nie. Czemu pytasz?

- Nie jest podobny ani do ciebie, ani do Cole'a. Nie zgadłbym, że jesteście spokrewnieni. Przypomina mi mojego przyjaciela Nicholasa, który urodził się i wychował we Włoszech.

- Nie sądzę, by Douglas był Włochem. Być może jest Irlandczykiem. Tak, tak mi się wydaje.

- Tak ci się wydaje?

Potwierdziła kiwnięciem głowy, ale nic więcej już nie powiedziała. Harrison przestał cokolwiek rozumieć.

- Czy twój ojciec ożenił się dwukrotnie?

- Nie. Tylko ja i Cole z całej rodziny jesteśmy do siebie podobni.

Czekał, aż powie mu więcej. Mary Roses nie dodała jednak nawet słowa o swoich braciach. W dodatku teraz ona zaczęła go wypytywać.

- A ty masz jakichś braci?

- Nie.

- A siostry?

- Niestety nie.

- Jaka szkoda - stwierdziła. - Bycie jedynakiem musiało być strasznie nudne. Z kim się białeś, gdy dorastałeś?

- Z nikim - powiedział śmiejąc się Harrison.

Nic dziwnego, że biedak nie potrafił się obronić. Wszystko zaczynało być dla niej zupełnie jasne. Nie miał starszych braci, którzy nauczyliby go wszystkich ważnych rzeczy, o których powinien wiedzieć.

Harrison jeszcze raz spojrzął przez ramię na Douglasa.

Jego opinia nie zmieniła się - ciągle nie wierzył, by Douglas był spokrewniony z Mary Roses. Wyglądał też zupełnie inaczej niż Cole. Miał ciemnobrązowe kręcone włosy, brązowe oczy, kwadratową szczękę oraz szerokie i wyraziste kości policzkowe. Za to rysy twarzy Cole'a były bardziej szlachetne, miał niemalże orli nos. Harrison nie potrafił ocenić, który z nich jest starszy.

Wydawali się, o dziwo, mniej więcej w tym samym wieku. Może urodzili się w rocznym odstępnie, a Douglas miał rysy jednego z dalszych przodków?

Wiedział, że wszystko jest możliwe, ale cholernie chciał już wiedzieć, czy traci czas, czy nie.

- Nie wyglądasz na Irlandkę.

- Naprawdę? - Szła dalej uśmiechając się do niego. Najwyraźniej nie chciała już o tym rozmawiać.

- Mary Roses, dokąd idziesz, do cholery?

Jej brat Douglas wykrzyczał to pytanie. Odwróciła się do niego.

- Idę do stajni! - Niemalże wrzasnęła. Szybko odwróciła się, przyspieszyła kroku i dopiero wtedy dokończyła odpowiedź.

- Pan MacDonald zje z nami obiad.

Dwóch braci patrzyło, jak ich siostra, prawie biegnąc, oddalała się. Cole zaczekał minutę, po czym wyciągnął do brata otwartą dłoń.

Douglas mruknął coś do siebie pod nosem, sięgnął do kieszeni i wyciągnął srebrnego dolara.

- Nigdy nie zakładaj się, gdy jest pewne, że przegrasz - poradził Cole.

Douglas wcisnął mu w rękę srebrną monetę, patrząc ciągle na nieznajomego.

- Nie rozumiem - westchnął. - Jak na mój gust jest w zupełnie niezłej formie. Góruje nad nią, więc ma ponad metr osiemdziesiąt, a mięśni też mu nie brakuje. Sam przecież widzisz.

- Oczywiście, że widzę - zaśmiał się Cole.

- Chodzi tak jak ty, od razu to zauważyłem, a jego wzrok niczego nie przegapia. Jak Boga kocham, nie rozumiem, co ona w nim widzi. Jest chyba całkiem zwyczajny.

Cole cieszył się, bo wygrał zakład, co denerwowało Douglasa.

- Cholera jasna, nosi przy sobie broń. Uważałbym, gdybym go spotkał w ciemnej ulicy.

- To nowy rewolwer. ‘

- Co z tego?

- Nigdy go nie używał.

- Więc czemu ma na sobie tak fachowy pas na broń?

Cole wzruszył ramionami.

- Pewnie myślał, że tak trzeba. Nie ma nawet jednego zadraśnięcia lub plamy, więc też jest nowy.

- W takim razie to głupek?

- Na to wygląda.

Douglas potrząsnął głową.

- Lada moment da się zabić.

- Dlatego nasza siostra bierze go do domu. - Cole uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Douglas chciał dostać z powrotem swoje pieniądze.

- Czy wiedziałeś to wszystko, gdy się ze mną zakładałeś?

- Mogłeś wtedy mnie spytać. Nie wiedziałem.

Douglas zaakceptował w końcu porażkę. Spojrzał znów na nieznajomego.

Obserwował go, dopóki ten nie zniknął za stajnią.

- Dooley powiedział Mormonowi, że facet jest ze Szkocji. Mówił też, że jest mądry, jakby książki czytał.

- Więc jest z miasta?

- Na to wygląda - zgodził się Cole. - Nie umie strzelać ze swojego nowego rewolweru, a bić się też chyba nie potrafi. Nie widziałeś żadnych blizn na jego twarzy, prawda?

- Nie, nie widziałem. Chyba miałby jakieś, gdyby walczył na noże.

- O to właśnie mi chodzi - powiedział Cole. - Rozmawiałem z nim kilka minut. Jest wykształcony, ale za grosz nie ma zdrowego rozsądku. Powiedział, że bał się strzelać do

Webstera. Mówił, że boi się kogoś zranić. - Douglas zaśmiał się. Cole zaczekał, aż brat się uspokoi, po czym dodał: - Jakby choć trochę myślał, to nie nosiłby broni. Sugeruje wszystkim dookoła, że się nadaje do walki.

- Szkoda - westchnął Douglas. - Ktoś tak duży jak on powinien umieć się bić. Mógłby być naprawdę niezły, gdyby wiedział, jak to robić.

- Straszna szkoda. - Cole przyznał mu rację.

- Mary Roses powiedziała, że jak się nazywa?

- MacDonald - odparł Cole. Śmiejąc się dodał: - Straszna-Szkoda MacDonald.

lutego 1861

Droga Mamo Roses!

Mieliśmy małe KŁopoty w St. Louis. Niosłem wŁAŚnie Mary Roses, gdy podszedł do nas szukający zwady człowiek i starał się nam dokuczyć. Dzidzia ma już loczki na całej głowie i jest bardzo miła dla każdego, kto na nią spojrzy.

Uśmiechnęła się więc do mężczyzny, pokazując cztery przednie zębki i śliniąc się, a on zaczął się wtedy zastanawiać na głos, dlaczego ona zupełnie nie jest do mnie podobna. Próbował mi ją zabrać, ale przyszedł Cole, który wygląda przecież jak brat małej Mary Roses, bo ma tak samo jasne włosy i niebieskie oczy. W każdym razie wziął dzidzię na ręce i powiedział temu panu, żeby zajął się własnymi sprawami.

Po tej przygodzie uznaliśmy, że trzeba iść dalej, dopóki nie znajdziemy miejsca, gdzie ludzie nie wsadzają nosa w nie swoje sprawy. Adam uważa, że na prerii będziemy wystarczająco daleko od ludzi, więc jutro zwijamy naszą budę i ruszamy w drogę. Strasznie żałuję, że nie możesz nam jeszcze odpisać, ale przyślemy ci nasz adres, jak tylko zadamowimy się gdzieś na dobre.

Adam patrzy właśnie na mój list i prosi, żeby ci przekazać, że musimy znaleźć sobie prawdziwą chatę. Mary Roses wszędzie się wczołguje i ziemia, która zastępuje w naszej budzie podłogę, przylepia się jej do rączek i nówek.

Próbuje ją jeść, gdy nie patrzymy, i nikt z nas nie wie, dlaczego to robi. Mimo wszystko jest jednak szczęśliwą, małą istotką. Wszyscy na zmianę układamy ją do snu. Każdej nocy śpi z jednym z nas i muszę ci powiedzieć, że mam już dosyć budzenia się z jej siuškami na sobie. Moczy wszystko, co na nią wkładamy. Ale to chyba normalne, prawda?

Bardzo byśmy chcieli cię zobaczyć, żeby wiedzieć, jak wygląda nasza mama.

Kocham cię Twój ulubiony syn Douglas Douglasa bardzo rozbawił przydomek wymyślony przez brata dla ofiary nowej akcji charytatywnej ich siostry. Jego humor zmienił

się całkowicie, gdy zobaczył wierzchowca pana Strasznej-Szkody. Nagle zapragnął zabić tego człowieka. Nie zmieniał tego faktu, że MacDonald pewnie nie byłby w stanie się obronić. Jeśli ten skurwysyn był odpowiedzialny za opłakany stan wierzchowca, to, na Boga, powinien umrzeć.

Cole wraz z bratem podjechali wozem pod stajnię. Jej właściciel, rudy olbrzym z ogromnym brzuchem o imieniu Simpson powiedział im, że Mary Roses poszła z nieznajomym na tył stajni, do corralu. Cole chciał zabrać konia swojego oraz Mary Roses, ale Simpson zaproponował, że sam je osiodła i wyprowadzi. Cole pojechał więc z bratem za róg, gdzie znajdował się koń MacDonalda. Ledwo się zatrzymali, gdy Douglas rzucił Cole'owi lejce i sięgnął po strzelbę leżącą na dyszlu. Cole był szybszy. Wyszarpnął broń z rąk brata i rzucił na tył wozu.

Wiedział, o czym myślał Douglas.

- Najpierw się upewnij - zaproponował cicho. - Wtedy dopiero możesz go zabić.

Douglas przytaknął szybkim kiwnięciem głowy, po czym zeskoczył na ziemię. Pomaszerował w stronę Mary Roses i MacDonalda, którzy stali przy wybiegu, przyglądając się zwierzęciu.

Na widok konia Mary Roses odebrało mowę, ale szybko opanowała się.

Przyglądała się ogierowi, zastanawiając się, czemu ktoś tak okrutnie go traktował. Białe wypukłe blizny pokrywały całą jego skórę. Mary Roses nie rozumiała, jak biedne zwierzę mogło to przeżyć.

Uznała, że należy poznać szczegóły.

- Od jak dawna posiadasz tego konia? - spytała głosem pełnym bólu.

- Niedługo będą już trzy tygodnie.

- Dzięki Bogu - szepnęła. Chciała jeszcze o coś spytać, ale zauważyła nadchodzącego Douglasa. Widząc wściekłość malującą się na twarzy brata, pospiesznie ustawiła się pomiędzy mężczyznami.

- Ma tego konia tylko trzy tygodnie, Douglas. Tylko trzy tygodnie.

Jej zachowanie zdziwiło Hamsona.

- Czemu krzyczysz? - spytał.

- Zależało mi na tym, żeby Douglas mnie usłyszał. Nie chcę, żeby cię zabił.

Nawet jeśli zaskoczyła go jej bezceremonialność, to nie dał tego po sobie poznać. Swoją uwagę skupił na nadchodzącym bracie. Zauważył czerwoną twarz Douglasa i natychmiast wszystko zrozumiał. Brat Mary Roses z wściekłością przyglądał się ogierowi.

- Douglas świetnie opiekuje się zwierzętami - powiedziała Mary Roses. - Kowboje przyjeżdżają do niego z daleka po porady. Mój brat szczególnie kocha konie. Jest strasznie opiekuńczy, więc gdy zobaczył blizny na twoim wierzchowcu...

- Zauważył jedynie blizny.

- Tak - przyznała mu rację. - Ktoś bił go batem, prawda? Wiesz, widząc go z daleka myślałam, że jest białej maści, dopiero potem zobaczyłam tę odrobinę złota. Kto mu to zrobił?

- Nie wiem kto - odparł Harrison. - Pytałem, ale nikt nie wiedział.

Zapomniałem już o bliznach MacHugha.

- MacHugh? Dosyć dziwne imię dla konia - zauważyła. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że może go obrazić. - Chciałam powiedzieć, że to dosyć dobre imię - poprawiła się pospiesznie. - Dziwne, ale dobre - stwierdziła na koniec, starając się, by zabrzmiało to szczerze.

Robiła wszystko, by go nie urazić. On zareagował na to uśmiechem. Miała złote serce i wydawała się zupełnie niewinna. Jeśli rzeczywiście tak było, to mogła okazać się miłą odmianą wobec wszystkich kobiet, które znał.

Zastanawiało go, czy zdaje sobie sprawę, jak pięknie wygląda.

Powrócił jednak do tematu, o którym mówili.

- Nazwałem go na cześć mojego przodka. Wydawał mi się do niego podobny.

- Naprawdę?

- Dosyć brzydki z niego koń - odezwał się stojący z tyłu Cole. Harrison odpowiedział nie odwracając się:

- Zapomnij o bliznach, a zobaczysz, że jest to świetny koń.

- Naprawdę uważasz, że jest dobry? - wyszeptwała Maiy Roses.

- Tak.

Westchnęła cicho, czując jak topnieje jej serce. Harrison był dobrym i uczciwym człowiekiem. Mężczyźni tak rzadko dostrzegali coś więcej, niż było widać na zewnątrz. Do takiego wniosku doszła po odesłaniu z kwitkiem przynajmniej kilku aroganckich i upartych pretendentów do jej ręki. Znała jedynie czterech mężczyzn, którzy potrafili spojrzeć głębiej, aż do samego serca. Jej bracia byli dobrzy i przyzwoici, nawet gdy tego nie chcieli, więc może i Harrison taki był. Boże, pragnęła się nie mylić. W tych czasach coraz trudniej było znaleźć dobrych mężczyzn, szczególnie na obszarze Terytorium Montana.

Tacy często młodo umierali. Zabijały ich zbyt wysokie normy moralne.

Mary Roses przysięgła sobie, że Harrison nie podzieli ich losu. Postanowiła pomóc mu, nauczyć go przeżyć w tym dzikim kraju. Nie było to aż tak trudne, gdy się raz zrozumiało.

MacHugh bardzo starał się zabawić widzów. Stawał dęba, parskał i zachowywał się tak, jakby kompletnie oszalał. Harrison przyzwyczał się już do tych wyczynów i wiedział, że MacHugh próbuje ich zastraszyć. Zobaczywszy przestraszoną twarz Mary Roses patrzącej na ogiera, który szarżował w stronę ogrodzenia, uznał, że koń wywarł na niej spore wrażenie. Podeszła do brata, nieświadomie szukając ochrony przed zwierzęciem.

Harrison uświadomił sobie, że pragnął, by to do niego podeszła.

- Czy pozwala ci się dosiadać? - spytała Mary Roses.

Douglas uspokoił się na tyle, że mógł się odezwać.

- Przecież by go nie kupił, gdyby nie mógł na nim jeździć. Pomyśl chwilę, zanim coś powiesz, na Boga! - pouczył siostrę.

- Kupiłbym go, nawet gdybym nie mógł na nim jeździć - powiedział Harrison.

- To już zupełna głupota - zauważył Cole.

- Być może - Harrison nie pozwolił się sprowokować.

- Z powodu podobieństwa, które zauważyłeś? - spytała Mary Roses.

Harrison pokiwał głową.

- Powiedz mi więc, w jaki sposób jest podobny - poprosiła.

- Słyszałem, że mój przodek był równie uparty, jak ten koń. W jego oczach płonie ogień, ale jest też coś więcej. Może cierpliwość dla ludzi, którzy go nie rozumieli?

Mary Roses ponownie westchnęła.

- Cierpliwość - wyszeptała.

Harrison przytaknął. Nie rozumiał, dlaczego jej oczy zaszkliły się nagle, jakby patrzyła na coś odległego. Zastanawiał się, o czym myślała.

Uświadomiła sobie, że być może właśnie się zakochuje. Była to kapryśna myśl, typowa dla uczennicy z pensji, ale jej to nie obchodziło. Nie było w tym nic złego, dopóki nikomu o tym nie powiedziała, prawda?

- Pomyślałem sobie, że mogę się od niego kilku rzeczy nauczyć - powiedział Douglasowi Harrison. - Brakuje mi cierpliwości.

Byłby z niego świetny mąż, pomyślała Mary Roses. Pragnie być cierpliwy.

- Ma silne nogi - zauważył Douglas, podchodząc bliżej płotu. - Wydaje się całkiem zdrowy. Czy obejrzałeś go przy zakupie i zajrzałeś mu do pyska?

- Tak.

- Jakieś choroby, o których wiesz?

- Żadnych.

- Gdzie go kupiłeś?

- Tuż przed Hammond, u Finieya. Słyszałeś o nim?

- Byłeś u Finieya? - Oczy Mary Roses rozszerzyły się z przerażenia. - Przecież on kupuje konie tylko po to, by je potem zabić i sprzedać ich mięso.

Ile za niego zapłaciłeś?

- Dwanaście dolarów - odpowiedział Harrison.

- Więc zostałeś okradziony, MacDonald - Cole radośnie wyraził swoją opinię.

Douglas nie zgodził się z bratem.

- Nie byłbym taki pewien, Cole. Być może był to bardzo dobry zakup.

- To był dobry zakup - upierał się Harrison. - Miałem też dużo szczęścia, bo godzinę później MacHugh byłby pewnie martwy.

- Więc dlatego kupiłbyś go nawet wtedy, gdybyś nie mógł na nim jeździć.

Mary Roses ucieszył własny wniosek. Odwróciła się w stronę Cole'a.

- Czyż nie jest miły? - wyszeptała.

- Jest głupi - odszepnął jej Cole.

Harrison usłyszał tę wymianę zdań. Wzruszył ramionami i podszedł do bramy. MacHugh poszedł za nim. Wcześniej zachowywał się tak, jakby chciał rozerwać Hamsona na kawałki. Gdy ten wszedł jednak do środka corralu, MacHugh szturchnął go jedynie głową i uspokoił się.

Był spokojny i potulny, dopóki Douglas nie spróbował do niego podejść.

Harrison schwycił konia za siodło i uspokoił go.

Brat Mary Roses zamknął bramę i ruszył przed siebie. Koń natychmiast zaczął się ponownie niepokoić.

- Zostań tam, gdzie jesteś - zawołał Harrison. - Pozwól mu podejść do ciebie. Nic ci nie zrobi, jeśli nie będziesz się ruszał.

Douglas kiwnął potakująco głową. Stał z nogami szeroko rozstawionymi, uważnie obserwując ruchy konia.

Nie musiał długo czekać. Koń zaszarżował w jego stronę, gdy tylko Harrison puścił siodło. Mary Roses była pewna, że MacHugh zabije jej brata.

Wiele ją kosztowało, by zachować się cicho. Cole był pewien, że zobaczył szaleństwo w oczach konia i sięgnął po rewolwer. Był gotów raczej zatrzeć bestię, niż pozwolić jej zdeptać na śmierć brata.

- Douglas, czy ty nie masz za grosz rozsądku? - westchnął Cole.

MacHugh zatrzymał się kilka centymetrów przed Douglasem. Nie był to jednak koniec straszenia. Dwukrotnie stanął jeszcze dęba i dopiero wtedy postanowił zachowywać się, jak przystoi.

Nogi Mary Roses były jak z waty. Podeszła do Cole'a i oparła się o niego.

- Teraz możesz go dotknąć, jeśli chcesz - wytłumaczył Douglasowi Harrison, po czym podszedł do konia i stanął obok niego. - Mówiłem, że nic ci nie zrobi. Po prostu lubi się trochę powyglądać. Nic ci nie jest?

Zadał to pytanie, zauważywszy, jak blada jest twarz Douglasa. Brat Mary Roses odpowiedział dopiero po chwili:

- Zapomniałeś wspomnieć, że potrafi człowieka śmiertelnie nastraszyć.

Wyciągnął dłoń, chcąc poklepać konia po pysku. MacHugh natychmiast pchnął go pół metra do tyłu. Douglas zaśmiał się głośno i spróbował jeszcze raz.

- Dopiero z bliska widać, jaki dobry z niego koń. Po prostu trzeba zapomnieć o bliźnach. Już dawno nie widziałem tak dobrego konia. - W jego głosie, choć niechętnym, słychać było podziw. - Wybrałeś dobrze.

Harrison nie mógł przyjąć komplementu.

- To on wybrał, nie ja.

Nie powiedział nic więcej, a Douglas o nic więcej nie pytał. Zdawał się rozumieć.

- Ma prawie siedemnaście dłoni w kłębie, prawda? Jest też bardzo łagodny jak na ogiera - zauważył Douglas.

- Mamy większe w Szkocji - odparł Harrison.

- Czy stamtąd pochodzisz?

Harrison przytaknął.

- Ty podobno jesteś Irlandczykiem. - Harrison liczył, że wciągnie brata Mary Roses w rozmowę o ich pochodzeniu.

- Kto ci to powiedział? - Douglas wyglądał na zdziwionego.

- Twoja siostra.

- Chyba rzeczywiście nim jestem... przynajmniej czasami. - Uśmiechnął się.

Co to miało znaczyć? Harrison bardzo chciał się dowiedzieć, ale rozsądniej było powrócić do kwestii ogiera. Douglas najwyraźniej zaczynał się czegoś domyślać, bo uśmiech zniknął z jego twarzy równie szybko, jak się tam pojawił. Teraz wyglądał już bardzo czujnie.

- Nie daj się oszukać MacHughowi. Jest łagodny tylko, jeśli tego chce.

Może być śmiertelnie groźny, szczególnie gdy czuje się osaczony.

Douglas zapamiętał to sobie.

- Wiele ludzi zachowuje się podobnie.

Potem Douglas przedstawił się i powiedział Harrisonowi, że nie przeszkadza mu, jeśli przyjdzie do nich na obiad. Pomiedzy dwoma mężczyznami powstała cienka nić przyjaźni. Łączyła ich miłość, jaką Douglas darzył zwierzęta, oraz wyraźne przywiązanie Harrisona do MacHugha.

Cole uznał, że czekał już wystarczająco długo. Nie miał zamiaru być gorszy od brata. Jeśli Douglas mógł podejść do piekielnego zwierzęcia, to i on mógł to zrobić.

Po kilku minutach miał już za sobą koszmarną próbę, przez którą i Douglas przeszedł. Jego twarz dopiero po jakimś czasie odzyskała kolory.

Mary Roses też chciała to zrobić, choć obaj bracia kazali jej zostać na zewnątrz corralu.

- MacHugh ma słabość do kobiet.

Harrison nie przekonał Douglasa i Cole'a, którzy z dezaprobatą obserwowali, jak ich siostra wchodzi przez bramę.

- Nigdy nas nie słucha - westchnął Cole.

Douglas uznał, że powinien jej bronić.

- Często ma własne zdanie - powiedział Harrisonowi.

- Zdążyłem to już zauważyć.

Mary Roses stanęła tuż za bramą i starała się wyglądać na pewną siebie.

Pragnęła zamknąć oczy, ale nie śmiała tego zrobić. Nie chciała, by bracia się z niej śmiali. W obecności Harrisona byłoby to bardzo upokarzające.

Ogier całkowicie ją zignorował. Poczekała kilka minut, po czym zbliżyła się.

MacHugh podbiegł do niej klusem. Poklepała go po pysku, mówiąc czule do niego, zupełnie jakby był małym dzieckiem, a nie koniem. MacHugh reagował przyjaźnie, wyraźnie podobał mu się jej zapach. Wydawał się lubić czule gesty.

- Polubisz Różane Wzgórze - wyszeptała. - Może nawet wraz z Harrisonem zostaniesz u nas na bardzo, bardzo długo.

Wiedziała, że marzy o rzeczach niemożliwych. Znała Harrisona jedynie dwadzieścia minut, może pół godziny. Poza tym już na początku powiedział, że jedynie zastanawia się nad zamieszkaniem w okolicy. Mógł uznać, że życie jest tu zbyt surowe, spakować swoje rzeczy i odjechać przed nadejściem zimy.

Spojrzała zza konia na Harrisona. Coś nagle znów zapało jej dech w piersi.

Nie rozumiała, co się z nią dzieje.

Nie wierzyła, że jej dziwaczna reakcja na tego mężczyznę była spowodowana jego wyglądem. Rzeczywiście, wydawał jej się przystojny, ale nie to sprawiało, że brakło jej tchu. Było tak, ponieważ był strasznie miłym człowiekiem. Bardzo szybko doszła do tego wniosku. Miał także dobre serce, MacHugh był tego najlepszym dowodem.

Nie mogła przestać na niego patrzeć. Czy miłość mogła ją tak szybko zaślepić? Wszystkie dziewczęta na pensji twierdziły, że tak się zawsze dzieje, ale ona nie wierzyła w takie głupstwa.

Teraz nie była już taka pewna. Jej bracia twierdzili, że w końcu wyjdzie za mąż i w głębi serca wiedziała, że pewnie mają rację. Do dzisiaj dostawała mdłości na myśl o tym, że dzień w dzień miałyby przebywać z jednym, tym samym mężczyzną. Nagle wszystko się zmieniło. Jeszcze nigdy nie straciła tchu w piersiach. Pomyślała, że ta nieprzyjemna dolegliwość jest być może warunkiem, bez którego nie można być zaślepioną przez miłość.

Uznała, że kolejnym warunkiem byłaby pozytywna reakcja na jego pocałunek, gdyby kiedykolwiek do tego doszło. Była dopiero kilka razy całowana i zawsze czuła się tak, jakby ustami dotykała meduzy. Całkowicie ją to odrzucało.

Postanowiła sprawdzić, jak Harrison całuje. Na samą myśl o tym jeszcze raz cichutko westchnęła. Wiedziała, że jej myśli są bezwstydne, ale nic jej to nie obchodziło.

Ostatni raz poklepała MacHugh'a, po czym odwróciła się i wyszła z corralu.

Ogier potulnie poszedł za nią.

Obaj bracia zauważyli, że siostra gapi się na Harrisona. On też się zorientował i próbował zrozumieć, co ją nagle napadło.

Wtedy wszyscy trzej usłyszeli jej śpiew.

- Co się z tą dziewczyną dzieje? - zapytał Cole swojego brata.

- Zbytńio fantazjuje - stwierdził Douglas.

Harrison nic nie powiedział. Stał na środku corralu i obserwował Mary Roses, która rzeczywiście zachowywała się dziwnie. Oszłomienie rysowało się na jej twarzy, gdy na niego patrzyła. O czym myślała? Strasznie chciałby znać odpowiedź.

Zaczynała przejawiać cechy osoby nieprzewidywalnej. Harrison nie lubił tej cechy u ludzi.

Znajomość cudzych myśli była bardzo przydatna w jego pracy. Nie umiał oczywiście czytać w cudzych umysłach, ale był bystrym obserwatorem i najczęściej przewidywał reakcje innych ludzi.

- Opuść sobie, MacDonald - powiedział Cole i udał się w stronę stajni.

Miał już dosyć czekania, aż stary Simpson ruszy swój tyłek i osiodła konie.

Postanowił sam się tym zająć.

- Odpuść sobie co? - spytał Cole'a Harrison.

- Nie próbuj jej zrozumieć - zawołał przez ramię idący w stronę wozu Douglas. - Mary Roses nie da się rozpracować.

Cole doszedł do drzwi stajni i odwrócił się.

- Harrison, nie sądzisz, że powinieneś złapać swojego konia? Próbuje pójść za moją siostrą do naszego domu.

Harrison zaklął i pobiegł za koniem. Co się z nim działo, na Boga? Nawet nie zauważył nieobecności MacHugha.

Cole wiedział już, że Harrison niczego nie zauważył, gdy tylko zobaczył zdziwiony wyraz jego twarzy. Miał niezłą zabawę kosztem Strasznej-Szkody MacDonalda i specjalnie mu nie przeszkadzało, że zachował się bardzo niegrzecznie.

Nagła zmiana lojalności MacHugha specjalnie nie zdziwiła Cole'a. Ogier zachowywał się podobnie jak większość zwierząt w okolicy. Umiały poznać coś lub kogoś dobrego.

Niezależnie, czy był to człowiek, czy zwierzę, wszyscy szli za Mary Roses do jej domu.

Mieszkała w samym środku raj. Harrison zatrzymał się na wzniesieniu górującym nad posiadłością Claybome'ów, patrząc z zachwytem na dolinę u jego stóp. Była cała porośnięta bujną trawą, która pięła się aż na okoliczne wzgórza. Była tak jasno i soczyście zielona, że z trudem można było na nią patrzeć - Harrison instynktownie przymrużył oczy. Miał wrażenie, że słońce spadło na ziemię i zmieniło się w szmaragdy. Gdziekolwiek spojrzeł, w trawie błyszczały resztki porannej rosy. Na tym cudnym dywanie były nieregularnie rozrzucone różowe, żółte, czerwone, pomarańczowe, fioletowe i niebieskie plamki - polne kwiaty w takiej obfitości, że nikt nie był w stanie ich policzyć.

Wszystkie rośliny płonęły żywymi barwami, a ich słodki zapach mieszał się z rześkim powietrzem.

Góry stare jak świat otaczały dolinę od północy i zachodu, a szeroki strumień pełen błękitnej wody spływał zakolami ze wschodnich stoków.

Okolica była nieziemsko piękna i bardzo przypominała szkockie doliny.

Harrison zatęsknił nagle za swoją ojczyzną i domem, który musiał opuścić.

Jak to możliwe, by jeden raj na ziemi tak bardzo przypominał mu inny?

Nie wierzył, by było to możliwe. Widział go jednak przed sobą, rozpostarty niczym wspaniała boska szata.

Melancholia minęła równie szybko, jak nadeszła, pozostawiając jedynie uczucie pogody i zadowolenia.

Wszechobecny spokój otulił go niczym ciepły koc. Poczł się pocieszony, uspokojony i nasycony. Jego tęsknota za domem zmniejszała się z każdym łykiem górskiego powietrza.

Był gotów zostać tu na zawsze.

Nagła zachcianka wstrząsnęła nim. Zmusił się, by odrzucić tę zdradziecką myśl. Jego serce należało do Szkocji. Pewnego dnia, gdy będzie już potężny i bogaty, powróci i odzyska to, co do niego należało.

Zwrócił w końcu uwagę na ranczo Claybome'ów. Wyobrażał sobie, że mieszkają w drewnianej chałupie, podobnej do większości domów, które widział podczas swojej podróży. Claybome'owie mieszkali jednak w dwupiętrowym domu obłożonym białymi deskami. Jego rozmiar i wygląd były dosyć skromne, lecz Harrisonowi i tak dom wydawał się godny króla.

Oparta na białych słupach weranda otaczała dom z trzech stron. Wszystko wyglądało jak świeżo malowane.

Na tyłach domu stały w pewnej odległości od niego dwie duże stodoły.

Były oddalone od siebie o jakieś pięćdziesiąt metrów, wokół nich znajdowały się corrale. Harrison doliczył się pięciu.

- Ile macie koni?

- Czasami wydaje się, że setki - odpowiedziała Mary Roses. - Są naszym głównym źródłem dochodu - hodujemy je, a potem sprzedajemy. Nigdy nie mamy jednak więcej niż sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt, a czasami jedynie trzydzieści. Cole sprowadza od czasu do czasu dzikie mustangi. Mamy też bydło, ale mniej, niż życzyłby sobie Travis.

- Travis to twój najmłodszy brat?

Uznała za miłe z jego strony, że próbował sobie ich wszystkich ułożyć w głowie.

- Tak, jest najmłodszy.

- Ile miał lat, gdy się urodziłaś?

- Dziewięć, prawie dziesięć. Czemu pytasz? - spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Tak sobie, bez powodu. - Harrison wzruszył ramionami. - Czy Travis bardziej przypomina Douglasa, czy też ciebie i Cole'a?

- Wygląda jak... Travis. Wiesz, zadajesz strasznie dużo pytań.

- Naprawdę? - odparł, nie widząc lepszej odpowiedzi.

Mary Roses przytaknęła kiwnięciem głowy.

- Co sądzisz o moim domu?

Zanim jej odpowiedział, Harrison odwrócił się i spojrzał ponownie na otaczający go krajobraz. Nazwanie doliny piękną było nieadekwatne do uczucia, jakie w nim budziło to wspaniałe miejsce. Nie wiedzieć czemu, znalezienie odpowiednich słów było w tym momencie ogromnie dla niego ważne. Postanowił wyrazić swoje uczucia tak dokładnie, jak to możliwe. Raj wymagał czegoś więcej niż chwilowej refleksji. Raj wymagał uznania.

W końcu powiedział to, co czuł głęboko w sercu.

- Twój dom przypomina mi Szkocję, a to największa pochwała, jaką możesz usłyszeć z ust szkockiego górala.

Uśmiechnęła się z zadowoleniem. Oczy Hamsona świadczyły o szczerości.

Miała ochotę kolejny raz westchnąć, tak bardzo polubiła tego dobrego człowieka.

Przechyliła się w siodle, by znaleźć się bliżej niego.

- Czy wiesz, co sobie myślę? - wyszeptwała.

Harrison też się nachylił.

- Nie - odszepnął. - Co myślisz?

- Jesteśmy bardzo do siebie podobni.

To stwierdzenie przeraziło Hamsona. Musiała postradać zmysły, jeśli sądziła, że są choć trochę podobni. Jego zdaniem byli całkowitym przeciwieństwem. Zdążył zauważyć, że było w niej miejsce jedynie dla uczuć. On na pewno taki nie był. Rzadko pozwalał komuś wiedzieć, co czuje lub sądzi.

Podchodził do wszystkiego z dystansem i spokojem. Nienawidził niespodzianek, gdyż w jego zawodzie bywały śmiertelnie groźne, więc długo opracowywał plan działania przed podjęciem jakiegokolwiek decyzji. Wymagał od życia, by było uporządkowane, a z tego co wiedział, Mary Roses najlepiej czuła się w chaosie. Poza tym strasznie się rozczułała, była naiwna i zbyt otwarta dla obcych. A jej ufność - dobry Boże, ta dziewczyna ufała każdemu, kogo spotkała. Wystarczyło jej pięć minut, by zdecydować się na zabranie go do swojego domu. A przecież mógł równie dobrze być bezlitosnym mordercą.

O nie, nie byli ani trochę do siebie podobni. On nie ufał nikomu. Był cyniczny, bo taka była jego natura i tego wymagał jego zawód.

Ona nie mogła jednak zgadnąć, jak źle go oceniła, bo nic o nim nie wiedziała. W swej niewinności uwierzyła we wszystko, co jej powiedział.

Dopóki dalej będzie udawał naiwnego mieszczaucha, który nosi rewolwer, bo uważa, że tak wypada, dopóty ona będzie uważać, że zostali dla siebie stworzeni.

- Czy nie zastanawiasz się, czemu tak sądzę? - spytała.

- Czemu? - przygotował się na najgorsze.

- Tak samo jak ja patrzysz na świat - odpowiedziała. - Przestań się tak krzywić, przecież cię chyba nie obraziłam.

Pewnie, ani trochę go nie obraziła.

- Oczywiście że nie - zgodził się. - Powiedz mi, jak właściwie na ten świat patrzymy?

- Patrzysz na niego sercem.

- Dawno temu nauczyłem się przedkładać logikę i rozsądek nad uczucia - stwierdził Harrison. - Moja filozofia życiowa jest naprawdę bardzo prosta.

- Powiesz mi, jaka to filozofia?

- Najpierw głową, potem sercem.

Nie zrobiło to na niej żadnego wrażenia.

- Więc nigdy nie pozwalasz sobie po prostu... czuć? Musisz o tym najpierw pomyśleć?

- Oczywiście że tak - przyznał. Cieszył się, że zrozumiała. Pomyślał, że jej też przydałoby się przyjąć tę zasadę.

- Jaki ty jesteś dokładny, Hamsonie.

- Dziękuję za komplement. - Uśmiechnął się.

- Jesteś też sztywny.

- Tak.

Spojrzała błagalnym wzrokiem w niebo.

- Adam cię polubi - oznajmiła.

- Czemu to?

- Mój brat ma podobne zasady, jak ty. Czasem doprowadzam go chyba do szaleństwa. Żałuję, że się tak martwi, ale nie potrafię nie być sobą. Gdy patrzę na moją dolinę...

Nagle ucichła i zaczęła się czerwienić.

- Tak? - zachęcił ją.

- Pomyślisz, że zwariowałam.

- Nie pomyślę.

Wzięła głęboki oddech.

- Możesz się z tego śmiać, ale czasem czuję, że łączy mnie z tą ziemią jakaś więź. Jeśli jestem bardzo cicha i staram się jedynie słuchać i czuć, to niemalże słyszę jej serce tętniące dookoła mnie.

Uważnie mu się przyglądała. Nie uśmiechał się, ale wyglądał tak, jakby miał na to ochotę. Poczwała, że musi się bronić.

- Myślałam, że ty też to poczułeś. Ciągle nie jestem do końca pewna, czy...

- Może się wreszcie ruszysz, Mary Roses! Na Boga, straciłem już cały dzień na czekanie na ciebie.

Cole wykrzyknął rozkaz zza ich pleców. Mary Roses natychmiast ruszyła naprzód.

- Mój brat nie lubi tracić czasu na głupstwa. W głębi duszy jest bardzo cierpliwy, ale nie lubi tego okazywać.

To była chyba największa nieprawda sezonu. Harrison uważał, że Cole nie ma za grosz cierpliwości. Zastanawiał się, czemu jeszcze nikt tego człowieka nie zastrzelił. Cole był nie tylko nadpobudliwy - był też najbardziej szorstkim i nieprzyjemnym człowiekiem, jakiego Harrison kiedykolwiek spotkał.

W dodatku były to chyba najlepsze cechy Cole'a.

Najmłodszy z braci napotkał ich przed główną stodołą, ale musiał zaczekać, aż zostanie przedstawiony gościowi. Harrison zsiadł już z konia i próbował namówić MacHugha, by wszedł do stajni. Ogier nie miał jednak na to ochoty.

Stanął kilka razy dęba, po czym zaczął parskać, tupać i szturchać Harrisona w ramię.

Harrison kazał koniowi uspokoić się i zwierzęciu nie spodobał się chyba ton jego głosu. MacHugh popchnął go z taką siłą, że Harrison znalazł się na ziemi w tumanie kurzu.

Nieumiejętność opanowania zwierzęcia była dla niego piekielnie upokarzająca. Mary Roses, współczując mu, próbowała przekonać braci, żeby pomogli Harrisonowi. Ci byli jednak zbyt rozsądni, by zbliżyć się do bestii. Douglas uśmiechał się, na tyle dobrze wychowany, żeby nie zaśmiać się, nawet gdy Harrison po raz drugi wylądował na ziemi.

Cole nie był aż tak powściągliwy i śmiał się do łez. Harrison miał ochotę go zabić. Oczywiście nie mógł tego zrobić, jeśli chciał zostać u nich na obiedzie i dowiedzieć się, kim właściwie są. Domyślił się już, że rudy mężczyzna stojący za Mary Roses to Travis lub Adam.

Znów swoim śmiechem Cole zwrócił na siebie uwagę. Może Harrisonowi udałoby się władować pięść w jego niemłą twarz i połamać kilka kości? Komu by to przeszkadzało? Całą siłą woli odpędził pokusę.

Rozsądek wziął górę. Mary Roses byłaby na pewno niezadowolona, gdyby Harrison stłukł jej brata. Poza tym dowiedziałyby się, że potrafi sobie w życiu radzić.

Boże, nienawidził swego podstępu tak bardzo, jak w tej chwili nienawidził Cole'a Claybome'a.

Wreszcie Harrison miał już dosyć szaleństw MacHugha i pozwolił ogierowi wygrać. Puścił lejce i poszedł w stronę wybiegu. MacHugh parsknął głośno, tupnął kilka razy i ruszył za nim.

Doszedłszy stępa do środka kolistego corralu, MacHugh stanął nieruchomo niczym głaz, podczas gdy Harrison zdejmował z niego uprząż.

- Jeśli przeskoczysz przez płot, to będziesz się sam o siebie martwił.

Rozumiesz?

- Harrison, chodź poznać Trávisa - zawołała Mary Roses.

- Cóż to za imię Harrison? - Travis spytał wystarczająco głośno, by Harrison to usłyszał.

- Tradycyjne imię w rodzinie - odpowiedział mu Harrison. Zawiesił siodło i koc na płocie, zamknął za sobą bramę i podszedł do najmłodszego z braci Mary Roses.

- Co to za imię Travis? Irlandzkie?

- Być może - odpowiedział z uśmiechem Travis.

Cóż to miało znaczyć? Nie mógł zapytać, bo Mary Roses zaczęła już opowiadać, jak to spotkała Han-isona, który jest dobry i rozsądny, bo ostrzegł Cole'a przed zasadzką.

Obserwując Trávisa podczas długiej opowieści Mary Roses, Harrison myślał tylko o jednym. Za nic w świecie ten człowiek nie mógł być z nimi spokrewniony, gdyż wyglądał zupełnie inaczej niż pozostała trójka. Zastanawiał się, czy jedyną ich wspólną cechą nie jest odmienny wygląd. Cholera, Travis najbardziej przypominał MacHugh'a.

To porównanie rozbawiło Han-isona. Travis miał rudobrązowe włosy i zielone oczy. Jego twarz była kwadratowa, podczas gdy Mary Roses miała ją doskonale owalną. Był mniej więcej tego wzrostu co Douglas, ale nie tak potężnie zbudowany. Najmłodszy z braci był chudy jak trzcina i w przeciwieństwie do Cole'a niezbyt umięśniony.

Nic już nie mogło zdziwić Hamsona. Nie mrugnąłby nawet okiem, gdyby Mary Roses powiedziała mu, że Travis ma bliźniaka, który jest pełnokrwistym Indianinem Crow. Może nawet nie roześmiałby się, pytając bliźniaka, czy też jest Irlandczykiem.

Zwrócił uwagę na słowa Mary Roses w chwili, gdy powiedziała Travisowi, że Harrison zostanie u nich na obiedzie. Jej brat nie wydawał się tym zdenerwowany. Wyglądał raczej na zrezygnowanego.

Harrison na początku myślał, że ten brat nie jest aż tak irytujący jak Cole, ale szybko zmienił zdanie.

- Potrzeba sporo odwagi, by jeździć na tak ohydny koniu.

- Travis, nie bądź niemiły - rozkazała Mary Roses.

- Nie byłem niemiły - odparł. - To miał być komplement, naprawdę wymaga to niezłej odwagi. - Powiedziawszy to odwrócił się do gościa. - Przykro mi, jeśli cię uraziłem.

- Harrison, czy będziesz jutro siodłał MacHugha? - zawołał Cole z tyłu wozu - Czemu pytasz? - Harrison od razu stał się podejrzliwy.

Cole zarzucił sobie na ramię worek mąki, nim odpowiedział.

- Chcę się temu przyglądać.

Harrison wiedział, że będzie żałował, jeśli cokolwiek powie. Postanowił być cicho, choć było to śmiertelnie męczące.

Obserwował, jak Cole przechodzi przez werandę i wchodzi do środka domu. Dopiero wtedy zauważył czarnoskórego mężczyznę opierającego się o słup. Osoba nieznanego robiła wrażenie - miał szerokie ramiona, czarne, srebrzące się na końcach włosy oraz połączone okulary, które nadawały jego twarzy akademicki wygląd. Nosił kraciastą czerwoną koszulę z rozpiętym kołnierzem oraz ciemnobrązowe spodnie. Był zrelaksowany, jakby był u siebie w domu.

Harrison zastanawiał się, czy to kolejna zagubiona dusza, którą Mary Roses znalazła i zaprosiła na obiad. Jeśli tak rzeczywiście było, to mężczyzna postanowił najwyraźniej zostać na dłużej.

- Nie zwracaj uwagi na Cole'a. Lubi denerwować ludzi, to wszystko. Nie chce zranic twoich uczuć, naprawdę jest dobrym i dużo rozumiejącym człowiekiem.

Uśmiechnęła się do niego, chcąc, by uwierzył w te bzdury. Wiele go kosztowało, by nie zaśmiać się jej prosto w twarz.

- Na Boga, Mary Roses, Harrison jest mężczyzną, a nie małym chłopcem - Travis wygłosił swoją krytykę, po czym zrównał krok z nowym gościem. - Potrzeba trochę czasu, by przyzwyczaić się do mojej siostry. Zawsze martwi się o cudze uczucia i nie potrafi nic na to poradzić. Trzeba ją po prostu ignorować. My tak robimy.

Udzielwszy mu tej krótkiej rady pobiegł naprzód.

- Jeszcze jeden brat i będziesz już znać nas wszystkich. Pospiesz się, Adam czeka na nas.

Mary Roses wbiegła po schodach i zatrzymała się obok nieznanego.

Harrison uznał, że przedstawi mu drugiego gościa, zanim spotkają Adama.

Mylił się.

- Adamie, chciałabym, abyś poznał mojego przyjaciela, Harrisona MacDonalda. Przyjechał tu ze Szkocji.

Adam odsunął się od słupa i podszedł do Harrisona.

- Naprawdę? Witamy na Różanym Wzgórzu, panie MacDonald.

Harrison był zbyt zdziwiony, by coś powiedzieć. Spojrzał w bok na Mary Roses, po czym znowu na Adama. Nie wiedział, co ma zrobić. Mary Roses i Adam nie dawali mu żadnych wskazówek. Stali patrząc na niego, oczekując jego reakcji.

Z chęcią dowiedziałby się, jakim cudem ten czarnoskóry mężczyzna nazywał się jej bratem i czemu ona go za takiego uważała.

W końcu udało mu się skupić i opanować. Nie wypadało mu zadawać pytań, a oni nie mieli powodu, by się tłumaczyć. Mimo to miał nadzieję, że ktoś mu coś wyjaśni.

- Miło mi pana poznać. Pańska siostra była tak urocza, że zaprosiła mnie na obiad. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu. - Harrison wyciągnął rękę, chcąc się przywitać. Gest ten najwyraźniej zdziwił Adama.

Zastanowił się sekundę lub dwie, zanim w końcu podał mu rękę.

- To żaden problem. Przyzwyczailiśmy się już, że Mary Roses zaprasza nieznajomych na obiad. - Przerwał na chwilę i uśmiechnął się do siostry. - Daleko stąd do Szkocji.

Harrison zgodził się z nim kiwając głową.

- Obiad czeka - oznajmił Adam. - Może się pan umyć w środku.

Adam poszedł przodem, Mary Roses szła tuż za nim. Harrison stał w miejscu, próbując uporządkować szalone myśli kłębiące się w jego głowie.

Nie widział żadnego rozsądnego wytłumaczenia. Jak, na Boga, znalazła sobie czterech tak różnych, na pewno nie spokrewnionych z nią braci?

Mary Roses trzymała siatkowe drzwi otwarte i cierpliwie na niego czekała.

Otrząsnął się z zadumy.

- Jeśli chodzi o Adama... - zaczęła.

- Tak? - Przygotował się na kolejną niespodziankę, spodziewając się, że znów zostanie porażony jakąś wiadomością.

- Jeszcze o to nie pytałeś, ale postanowiłam i tak odpowiedzieć.

Harrison pragnął podskoczyć z radości. Wreszcie uzyska jakieś prawdziwe i rzetelne wytłumaczenie.

- Tak?

Mary Roses uśmiechnęła się do niego.

- On nie jest Irlandczykiem.

/ lipca 1862

Droga Mamo Roses!

Mamy straszne kłopoty z nauczaniem dzidzi, by przestała moczyć majtki.

Będąc chłopcami robimy to wszystko trochę inaczej. Dzidzia zobaczyła kiedyś Trávisa i od tego czasu zawsze wstaje. Próbowaliśmy jej wytłumaczyć, że dziewczynki tak tego nie robią, ale nie słucha głosu zdrowego rozsądku.

Zaczynamy więc myśleć, że może nie rozumie, że jest dziewczynką; Adam przysięga, że jest mądra jak mało kto, ale też uparta jak Cole, a wiesz przecież, jakim osłem on nieraz bywa. Wykombinowaliśmy, że potrzebujemy do pomocy kobiety. Adam wymyślił, że trzeba zabrać dziewczynkę do budy Belle, która jest jedyną kobietą w pobliżu. Cole a strasznie ten pomysł - wkurzył. Nie chciał, by mała Mary Roses przebywała u kurwy, aleja pomyślałem, że liczy się przecież dobre serce Belle. Poza tym każdy wie, że ona nienawidzi tego, co musi robić, by mieć jedzenie na stole. Przecież ona tak nie znosi oddawania się, że opowiada każdemu mężczyźnie, który ją wynajmuje, jaki to ma czarny humor.

Więc doszło do tego, że ludzie ze współczucia nie mówią na nią kurwa, lecz po imieniu, Belle...

Twój kochający syn Douglas Claybome

Kolacja zamieniła się w przesłuchanie. Harrison wiedział, że w każdym momencie mógłby przyjąć inicjatywę w przepytывaniu albo przynajmniej je zakończyć, ale postanowił wziąć udział w zabawie i być tak usłuznym, jak to tylko możliwe. Miał ku temu dobre powody. Pytania zadawane przez Claybome'ów oraz ich reakcje na jego odpowiedzi dawały mu dużo informacji na temat ich rodziny.

Każdy z mężczyzn miał inne podejście. Cole starał się być bezceremonialny i groźny. Douglas był bezpośredni i często wplatał w pytania drobne szczegóły z życia rodziny, Travis był zarówno dokładny, jak i dyplomatyczny. Adam spośród nich wszystkich najbardziej wymykał się ocenie. W ciągu całego obiadu zachował stoicki spokój, nie dając Hamsonowi najmniejszej szansy odgadnięcia, o czym myśli.

Adam był przeciwieństwem siostry. Intencje Mary Roses można było wyczytać, niczym ze szkolnego elementarza, gdyż wszystkie uczucia rysowały się na jej twarzy i w jej oczach. Harrison jeszcze nigdy nie spotkał kogoś takiego. Była bezpośrednia, szczerza i niesamowicie ufna. Harrison bardzo chciał ją lepiej poznać.

Był wystarczająco szczerzy wobec samego siebie, by przyznać, że pociągał go też jej wygląd. Była piękną kobietą i musiałby być martwy, żeby tego nie zauważyć. Jej oczy hipnotyzowały, a widok jej słodkich ust powodował, że myślał o rzeczach, które nie miały prawa pojawiać się nawet w snach.

Choć zwrócił na nią uwagę z powodu urody, to do pozostania przy niej zachęcało go jej serce.

Na szczęście potrafił się na tyle opanować, by nie wyjść na zupełnego idiotę. Powstrzymał się przed patrzeniem jak sroka w gnat przez całą kolację.

Bracia Mary Roses nie potrafili tak dobrze kontrolować swoich zachowań.

Obserwowali Harrisona od momentu, gdy jedzenie pojawiło się na stole, do chwili, gdy zebrano talerze. Zachowywali się niekulturalnie, wiedzieli o tym i ani trochę się tym nie przejmowali.

Zaczekali, aż ich kubki znów napełnią się kawą, i zaczęli wiercić mu dziurę w brzuchu. Harrison oparł się wygodnie o krzesło i pozwolił im się wypytywać.

Hierarchia w rodzinie stała się jasna jak tylko wszyscy usiedli przy stole.

Adam siedział u szczytu stołu, co Harrison uznał za istotne i intrygujące. Mary Roses siedziała po jego lewej stronie, a Cole po prawej. Douglas siedział obok siostry, a najmłodszy Travis obok Cole'a. Harrisona posadzono na drugim końcu stołu, naprzeciwko mężczyzny, którego w swych myślach określił jako patriarchę rodziny Claybome'ów.

- Czy pańska porcja była wystarczająca, panie MacDonald? - spytał Adam.

- Tak, dziękuję. Duszone mięso było pyszne. Proszę mi mówić Harrison.

Adam pokiwał głową.

- W takim razie musisz mi mówić Adam - zaproponował. - W Anglii niektórzy mężczyźni noszą tytuły szlacheckie. Czy w Szkocji jest podobnie?

- Dokładnie tak samo.

- A ty nosisz jakiś tytuł? - spytał Douglas.

Harrison nie odpowiedział. Czuł się nieswojo rozmawiając na ten temat, musiał przyznać, że czuł się nawet lekko zawstydzony. Dżentelmen z tytułem szlacheckim wydał mu się nagle pompatyczny, na pewno nie pasował do tutejszej okolicy - No jak, masz czy nie? - Cole domagał się odpowiedzi.

- Szczerze mówiąc, tak, mam tytuł - przyznał. - Był przekazywany z pokolenia na pokolenie, dziś jest to już bardziej tradycja.

- Jaki to tytuł?

Szkot westchnął. Nie miał jak uniknąć odpowiedzi.

- Jestem hrabią Stanfordu na Hawk Isle.

- Ciężko musiało się dorastać z takim bagażem - zauważył Douglas. - Czy urodziłeś się z tytułem?

- Nie, odziedziczyłem go, gdy umarł mój ojciec.

- Jak mówią do ciebie tamtejsi ludzie? Sir? - spytał Cole.

- Służba tak mówiła.

- A pozostali? - dopytywał się Cole.

- Milordzie.

Cole uśmiechnął się szeroko.

- Brani strasznie wydumanie jak na mój gust - stwierdził. - Masz więc kupę pieniędzy i ziemi?

- Nie.

Mary Roses zauważyła, że gość czuł się nieswojo. Postanowiła zakończyć rozmowę o tytułach szlacheckich.

- To Adam przygotował duszone mięso na kolację, dzisiaj jest jego kolej, by pomagać Samuelowi.

- Kim jest Samuel? - spytał Harrison.

- To nasz kucharz - wytłumaczyła. - Jeszcze go nie spotkałeś. Czasem siedzi z nami przy stole, ale dziś jest zajęty.

- Wcale nie - zaprzeczył Cole, po czym zwrócił się do Harrisona: - Udaje, że ma coś do roboty, bo nienawidzi obcych. Nie zobaczysz go, dopóki on sam nie będzie gotów się pokazać. Co spowodowało, że postanowiłeś opuścić Szkocję?

Nagła zmiana tematu nie zdziwiła Harrisona, wręcz trochę rozbawiła. Sam często używał podobnych chwytów w sądzie, gdyż zaskoczeni świadkowie często odpowiadali bez zastanowienia.

- Chciałem zobaczyć Stany.

Cole wyglądał tak, jakby mu nie wierzył, ale Harrison nie miał zamiaru go przekonywać. Nie mówiąc nic więcej patrzył na Cole'a, czekając na kolejne pytanie.

- Mary Roses powiedziała mi, że chcesz nauczyć się prowadzić ranczo - wtrącił się Douglas.

- Tak.

- Czemu? - spytał Travis.

- Odpowiada mi takie życie.

Travis najwyraźniej oczekiwał dłuższej i bardziej wyczerpującej odpowiedzi, ale Harrison nie zaspokoił jego ciekawości. Zamierzał zmusić go do większego wysiłku, jeśli chłopak chciał uzyskać pełną odpowiedź.

- To mordercza praca - powiedział Douglas.

- Tak też ją sobie wyobrażam - zgodził się Harrison.

- Co właściwie odpowiada ci w życiu na ranczo? - nalegał Travis.

- Dużo czasu spędza się na dworze - odpowiedział Harrison. - Oraz pracuje się własnymi rękami.

- Jest wiele rzeczy, które mógłbyś robić, by być na dworze - zauważył Cole.

- Mówisz tak, jakbyś dotychczas był zamknięty w biurze - powiedział Travis.

- Masz rację - odparł Harrison. - Troszkę tak to brzmi, prawda?

- A co, naprawdę byłeś? - spytał najmłodszy z braci, wyraźnie zbity z tropu brakiem bardziej satysfakcjonującej odpowiedzi.

- Większość czasu spędzałem w zamkniętych pomieszczeniach - przyznał Harrison. - Ale ostatnio miałem okazję podróżować w celach zawodowych.

- Dla kogo pracujesz? - spytał Douglas.

- Dla lorda Williama EUiotta - odpowiedział. - Wziąłem jednak zwolnienie od moich obowiązków.

- Więc on także ma wydumany tytuł - zauważył Douglas.

Harrison zgodził się kiwając głową, nie wdając się w szczegóły.

Rozmowa toczyła się i nie widać było końca. Harrison udzielał czasami wymijającej odpowiedzi lub odbiegał nieco od tematu, by zobaczyć, który z braci powróci do omawianej kwestii. Zdziwiło go, że najbardziej zdeterminowany był najmłodszy, Travis. Niezle też wszystko analizował.

Byłby niezłym adwokatem.

- Czemu nie zostałeś w Stanach? - spytał Travis.

- W Stanach? - powtórzył Harrison, nie do końca rozumiejąc.

- Montana nie jest stanem - wytłumaczył Douglas.

- Tak - przytaknął Harrison. - Zapomniałem o tym. Sądzicie, że będzie stanem już niedługo?

- To tylko kwestia czasu - odpowiedział Douglas.

Harrison chciał dokładniej wyjaśnić kwestię Montany, ale Travis mu w tym przeszkodził.

- Więc czemu przejechałeś taki kawał drogi?

Znów zatoczyli koło, wracając do punktu wyjścia. Harrison z trudem ukrywał uśmiech.

- Chciałem zobaczyć ten kraj. Chyba już o tym mówiłem, Travis.

- Proszę, przestańcie go męczyć. - Mary Roses wstawiła się za Harrisonem.

Pochyliła się do przodu, kładąc łokieć na stole, oparła głowę na otwartej dłoni i uśmiechnęła się do Harrisona.

- Jak ci się podoba nasz dom? - spytała.

Harrison, odpowiadając na pytanie, obserwował Adama. Najstarszy z braci od jakiegoś już czasu nic nie mówił. Wyglądał tak, jakby przysypiał, i Harrison zaczynał się zastanawiać, czy w ogóle przysłuchuje się rozmowie. Jednak gdy tylko jego siostra położyła łokieć na stole, powoli sięgnął w jej stronę i dotknął ręką ramienia. Było to bardzo subtelne upomnienie. Mary Roses instynktownie odwróciła się w stronę brata, by dowiedzieć się, o co mu chodzi. Adam nic jednak nie wytłumaczył. Harrison wiedział, że najstarszy brat nie chce zwracać jego uwagi na niepoprawne zachowanie siostry. Adam musiał jednak najwyraźniej nacisnąć lekko na ramię Mary Roses, gdyż ta wyprostowała się nagle, kładąc ręce na kolanach.

Potem uśmiechnęła się do Adama, a on mrugnął do niej okiem.

Harrison udawał, że nic nie zauważył. Przesunął swój kubek z jednego miejsca na stole w inne i zmienił pozycję na twardym krześle.

- To piękny dom - stwierdził.

- Nie widziałeś jeszcze zbyt wiele - zaprotestował Douglas.

- Widział już parter - zauważył Cole. - To wszystko, co kiedykolwiek zobaczy. Nie masz wstępu na piętro, Harrison.

- Tam są tylko sypialnie - pośpiesznie dodała Mary Roses. Chcąc upomnieć Cole'a za niemiłe zachowanie, Mary Roses spojrzała na niego krzywo, po czym ponownie zwróciła się w stronę gościa.

Harrison uśmiechnął się do niej.

- Ten dom całkiem mnie zaskoczył. Nie spodziewałem się...

- Czy sądziłeś, że żyjemy jak dzikusy? - przerwał mu Cole.

Harrison miał już dosyć jego zachowania. Postanowił rozdrażnić go na tyle, by stracił kontrolę nad sobą.

- Czy uważasz, że mógłbym tak sądzić, bo zachowujesz się czasem jak dzikus?

Cole zaczął podnosić się z krzesła, ale Mary Roses uspokoiła go.

- Nie chciał cię obrazić - powiedziała bratu. - Bywasz czasem groźny, niektórzy mogliby cię nazwać zawiadką.

- Już tak na niego mówią - powiedział Travis. - Przynajmniej w mieście.

Cole potrząsnął głową.

- Nie mogę przyznać się do czegoś, co nie jest prawdą - powiedział. - Harrison, ludzie myślą, że jestem antyspołeczny. Niestety, nie dorobiłem się jeszcze tytułu zawadiaki, ale ciężko nad tym pracuję.

Cole obrócił się do siostry.

- W każdym razie dzięki, Mary Roses.

Mary Roses zaczekała, aż Cole zauważy, że ją rozniewał, po czym wytłumaczyła Hamsonowi:

- W tej okolicy bycie zawadiaką ma pewne zalety. Ludzie zostawiają cię w spokoju, a Cole to lubi. Dlatego też twoja uwaga, że zachowuje się jak dzikus, była naprawdę pochwałą. Rozumiesz?

- Czy to znaczy, że właśnie powiedziałem mu komplement? - Starał się, jak mógł, by nie zabrzmiało to niedowierzająco. Widząc uśmiechy na twarzach braci, zrozumiał, że to mu się nie udało.

Mary Roses nie uśmiechała się.

- Właśnie - powiedziała.

Pragnął gwałtownie zaprotestować, ale Mary Roses mówiła szczerze i zdawała się martwić tym, że nie uwierzył w nieprawdopodobną historię mającą ułagodzić jej brata. Postanowił więc kontynuować tę zabawę.

- Więc chyba rzeczywiście tak było.

Nie zadławił się własnymi słowami i uznał to za chwalebny wysiłek ze swej strony. Odpowiedź najwyraźniej ulżyła dziewczynie, więc Harrison uznał, że warto było pohamować swoją ambicję.

- Co cię tak zdziwiło? - spytał Travis.

Harrison nie pamiętał, o czym rozmawiali, i była to oczywiście wina Mary Roses, która tymczasem uśmiechnęła się do niego, szczęśliwa, że próbuje dogadać się z Cole'em. Harrison nie sądził, by z nim flirtowała udając nieśmiałą, a mimo to nie wiedział, jak się przy niej zachować. Była słodka i piękna, momentami prowokująca. Nie potrafił nie myśleć o tym, jakby się czuł trzymając ją w ramionach.

- Harrison? - zawołał go Douglas.

- Tak? Czy mógłbyś powtórzyć, o co pytałeś?

- O nic cię nie pytałem - odparł Douglas. - To Travis cię pytał.

- Może byłbyś w stanie się skupić, gdybyś przestał gapić się na naszą siostrę - powiedział Cole.

Travis kazał bratu przestać podpuszczać gościa, po czym powtórzył swoje pytanie.

- Zastanawiałem się, co cię tak w naszym domu zdziwiło.

- Z zewnątrz wygląda bardzo skromnie - wytłumaczył Harrison. - Jednak w środku...

- Jest równie skromny - dokończył za niego Cole.

- Może jeśli się dokładnie nie przyjrzysz - zgodził się. - Ale ja zawsze zauważam szczegóły.

- No i co?

- Uwaga, jaką przykładacie do detali, jest zadziwiająca - przyznał Harrison. Uważał, by nie patrzeć na Mary Roses, by nawet nie zerknąć w jej kierunku. - Gzymsy przy wejściu są niezwykle, a ozdoby schodów robią równie duże wrażenie.

- Gzymsy? - powtórzył Travis.

- Te między sufitem a ścianami - wytłumaczył Harrison.

- Wiem, co to są gzymsy - oburzył się Travis. - Zdziwiło mnie tylko, że zauważasz takie drobiazgi.

- Nie spodziewałem się tylu pokoi. Macie duży salonik, tę jadalnię oczywiście, oraz bibliotekę aż pod sufit wypchaną książkami, których na pewno tutaj nie kupiliście.

- Cole zaprojektował dom - pochwaliła brata Mary Roses. - Wszyscy bracia pomogli przy budowie, zajęła im lata.

- Nie pozwolił pomóc sobie przy poręczach ani przy ścianach koło wejścia.

To wszystko jego robota - powiedział Travis.

- Jak więc widzisz, właśnie złożyłeś Cole'owi kolejny wyraz uznania - stwierdziła Mary Roses.

Hamsonowi było przykro to usłyszeć. Nie chciał odkrywać w Cole'u Claybome'ie imponujących cech, gdyż miał on manieri godne dzika. Jednak jego rzemiosło było pierwszej próby i Harrison wiedział, że to efekt wielu miesięcy ciężkiej pracy. Nie mógł nie podziwiać jego talentu i poświęcenia.

- Co jeszcze cię zaskoczyło? - spytał Douglas.

Harrison ponownie miał ochotę się uśmiechnąć, tak wyraziste były miny czterech braci. Nie chodziło im o zwykłą opinię o ich domu - oczekiwali pochwały.

- Macie w saloniku fortepian, od razu go zauważyłem.

- Pewnie, że zauważyłeś - powiedział Cole. - To jedyna rzecz, która tam stoi.

- To Steinway - oświadczył Douglas. - Mamy go od czasu, gdy Mary Roses była wystarczająco duża, by na nim grać.

- Kto ją uczył? - spytał Harrison.

- Nauczyciel przyjechał wraz z fortepianem - wytłumaczył Douglas.

Uśmiechnął się do Trayisa, po czym dodał: - W każdym razie tak jakby.

Harrison nie wiedział, jak ma rozumieć tę dziwną uwagę. Postanowił nie pytać, gdyż wolał zachować pytania dla ważniejszych kwestii.

- Ile miałaś lat, gdy zaczęłaś brać lekcje? - spytał Mary Roses.

Nie była pewna, więc spojrzała pytającym wzrokiem na Adama.

- Miała sześć lat - odpowiedział.

- Ja miałem siedem - przyznał Harrison.

- Więc też grasz na fortepianie? - Sama taka możliwość już zachwyciła Mary Roses.

- Tak.

- Pewnie, że umie - zakpił Cole. - Nie umie bić się ani strzelać, ale na fortepianie grać umie. Cóż, granie na nim nie pomoże ci tutaj przeżyć.

- Mógłby grać w saloonie Billie'ego - powiedział Douglas.

- I zarobić kulkę w łeb, jak ten poprzedni? - argumentował Travis.

- Czemu został zastrzelony? - zapytał Harrison, choć wcześniej postanowił nie pytać, jeśli odpowiedzi nie dadzą mu informacji o rodzinie.

- Komuś nie podobały się melodie, które grał - powiedział Cole.

- Rozumiem. - Harrison pokiwał głową, choć w rzeczywistości nic nie rozumiał.

- Po co nauczyłeś się grać na fortepianie? Wydaje mi się to dosyć osobliwe - powiedział Cole.

- To była część mojej edukacji - wytłumaczył Harrison. Nastawienie Cole'a nie obraziło go, przeciwnie, trochę nawet rozbawiło. Cole myślał chyba, że gra na fortepianie jest czymś, czego mężczyźni nie powinni robić.

- W takim razie zostałeś źle wykształcony - powiedział Cole. - Dziewczynki grają na fortepianie, nie chłopcy. Czy twój ojciec nigdy nie wziął cię na tył domu i nie pokazał, jak się używa pięści?

- Nie - odpowiedział Harrison. - A twój?

Cole zaczął już odpowiadać, po czym zmienił zdanie. Usiadł głębiej w krześle i wzruszył ramionami.

- Cole, czy słyszałeś kiedyś o Chopinie lub Mozarcie? Byli kompozytorami - powiedział Harrison. - Pisali utwory, a potem grali je... na fortepianie.

Cole znów wzruszył ramionami. Najwyraźniej argumenty Harrisona go nie przekonały.

Szkot postanowił zmienić temat.

- Gdzie kupiliście tę porcelanę?

- Mamy tylko sześć filiżanek, w dodatku dwie nie są od kompletu. Nie mamy nawet talerzy. Kupiłem je w St. Louis, żeby Mary Roses mogła urządzić podwieczorki.

- Byłam wtedy dużo młodsza - powiedziała. - Parzenie i podawanie herbaty było częścią mojego wykształcenia.

- A kto cię tego uczył? - spytał Harrison. Uśmiechnął się, gdy pomyślał, jak mała Mary Roses uczyła się zachowywać jak dama.

- Douglas - odpowiedziała.

- Musieliśmy robić to na zmianę - pospiesznie dodał Douglas.

Harrison widząc, jak patrzy na Mary Roses, domyślił się, że Douglas nie jest zadowolony, że wygadała się o ich podwieczorkach. Mary Roses zachowywała się, jakby nie zauważyła jego spojrzenia.

- Musi cię dziwić, że jesteśmy tak zafascynowani tym, co myślisz o naszym domu - powiedziała. - Normalnie nie pytamy gości o ich opinie, ale ty jesteś inny, taki wyrafinowany i światowy.

Harrison słysząc to uniósł brwi. Mary Roses odebrała to jako wyraz sprzeciwu.

- Naprawdę jesteś wyrafinowany - nalegała. - Widać to po twoim sposobie mówienia i patrzenia na różne sprawy. Najwyraźniej zostałeś wychowany w wyrafinowanym środowisku.

- Jesteś kimś, kto powinien docenić dobrą jakość - powiedział Douglas.

Cholernie się cieszył, że zeszli z tematu podwieczorków. - Większość ludzi w okolicy nie zwraca uwagi na te piękniejsze rzeczy w życiu. Właściwie nie dziwię się im, są zajęci złozeniem własnego życia.

- Hammond staje się wyrafinowane - powiedział Travis. - A w Blue Belle mieszkają wszystkie wybrakowane typy.

- Bo panuje tu bezprawie - wtrącił Cole.

Wszyscy pokiwali głowami.

- Chyba zastanawialiśmy się, czy uznasz, że dorastamy do twojego poziomu - powiedział Travis. - Douglas ma rację. Tutejsi ludzie nie zajrzeli nigdy do naszej biblioteki, nie mówiąc już o pożyczeniu jakiejś książki. Adam pozwoliłby im, ale ich to nie interesuje i nie mają na to czasu.

- Przeczytaliście wszystkie książki z biblioteki? - spytał Harrison.

- Oczywiście, że tak - powiedział Cole.

- Travis nie wspomniał, że większość naszych sąsiadów nie umie czytać, to dlatego nie pożyczają od nas książek - powiedziała Mary Roses.

Harrison pokiwał głową, zanim zwrócił się do Trávisa.

- Spytałeś mnie, czy uważam, że dorośliście do poziomu - przypomniał najmłodszemu bratu. - Do jakiego poziomu? Mojego czy waszego? Jeśli wypełniliście dom skarbami tylko po to, by zrobić wrażenie na obcych, to nie, w mojej opinii nie dorośliście do żadnego poziomu. Ale nie z takim zamiarem to robiliście, prawda?

- Skąd wiesz, że nie? - spytał Cole.

- Prosta dedukcja - odparł Harrison. - Fortepian nie stoi w saloniku, by zbierać pochwały i kurz. Kupiliście go z zamiarem kształcenia waszej siostry. Mogliście kupić wiele innych rzeczy za te pieniądze, ale wy zdecydowaliście się na fortepian. Chcieliście, by wasza siostra ceniła muzykę, z czego wnioskuję, że rozumiecie i docenicie wszelkie formy edukacji. Fakt, że przeczytaliście wszystkie książki w bibliotece, jest kolejnym dowodem.

Jeśli chodzi o bycie wyrafinowanym i dobrze wychowanym, to myślę, że jesteście lepiej wychowani, niż to po sobie okazujecie. Jesteście wszyscy bez wątpienia dobrze wykształceni. Wiem to po tytułach książek, które wybraliście.

- Żaden z nas nie skończył jak ty uniwersytetu - zauważył Douglas.

- Studia na uniwersytecie są tylko jedną z dróg do wiedzy. Są też inne.

Stopień naukowy nie chroni przed ignorancją. Udowodnili to już niektórzy z moich kolegów.

- Pochlebiasz nam, prawda? - spytał Travis.

- Chyba rzeczywiście.

Mary Roses westchnęła tak głośno, by wszyscy usłyszeli. Harrison uśmiechnął się do niej. Ona natychmiast odpowiedziała tym samym.

- Moim ulubionym przedmiotem jest właśnie fortepian - powiedziała. - Czy miałeś w domu jedną wyjątkową rzecz, której za nic nie chciałeś opuścić?

- Moje książki - przyznał się Harrison.

Adam pokiwał głową.

- Też mam słabość do książek - stwierdził. - Najwyraźniej mamy wspólne zainteresowania.

Harrison był zadowolony, że najstarszy z braci włączył się znów do rozmowy. Adam okazał się bardzo powściągliwym człowiekiem, i z tego powodu najtrudniej było go zrozumieć. Harrison chciał wyciągnąć z niego więcej informacji, ale wiedział, że musi to robić bardzo ostrożnie.

- Zauważyłem sentencję, którą powiesiliście w bibliotece - powiedział.

- Co zauważyłeś? - spytał Travis.

- Chodzi ci o cytat, który Adam powiesił na ścianie? - Douglas nie pozwolił Harrisonowi odpowiedzieć.

- Tak, to jeden z moich ulubionych - powiedział Harrison.

Cole postanowił podać to w wątpliwość.

- Naprawdę go znasz? Nie wiem, w jakiej książce Adam go znalazł, ale przepisanie go bez błędu oraz oprawienie zajęło mu dobre kilka godzin.

Pamiętał, by u dołu strony napisać, co to za wiersz, by ludzie nie myśleli, że chce sobie przypisać jego autorstwo.

- Oczywiście, że go znam. Czytałem go tyle razy, że znam go już chyba na pamięć.

Cole zdawał się nie wierzyć.

- Sprawdźmy, czy rzeczywiście tak jest - wyzwał Harrisona. - Wyrecytuj od początku do końca.

Harrison postanowił zadośćuczynić prośbie Cole'a, choć wydała mu się ona nieco dziecinna.

- Żaden człowiek wyspą nie jest...

Pominał tylko jedną linijkę, którą dopowiedział za niego Adam. Mimo to zrobił na najstarszym z braci duże wrażenie, jeśli jego uśmiech mógł być tego dowodem. Harrison powoli przekonywał się, że ze wszystkich braci Adam był najbardziej do niego podobny. Mary Roses uśmiechała się niczym nauczycielka dumna z popisu swojego ucznia.

Harrison poczuł się jak idiota.

- Dobra robota - pochwaliła go. - Adam gra na fortepianie - wygadała się. - Więc i to was łączy.

- Po co mu o tym powiedziałaś? - Cole domagał się odpowiedzi. Wyglądał, jakby chciał udusić siostrę.

Nie przejęła się jego spojrzeniem i surowym głosem.

- Cały wieczór zachowujesz się bardzo niegrzecznie - powiedziała. - Wiesz, że nie powinieneś, Harrison jest przecież gościem. Zapamiętaj to sobie łaskawie.

- Nie musisz mi mówić, co mam robić i mówić, Sidney. Może sobie to zapamiętasz?

Mary Roses westchnęła.

- Jesteś nieznośny - wyszeptała.

Harrison nie rozumiał, co się stało. Mary Roses była wściekła na brata. Jeśli spojrzenie mogłoby zabić, to jej brat byłby już martwy. Harrison nie widział jednak powodu,

dla którego tak się zdenerwowała. Musiało to mieć związek, którego Harrison nie potrafił znaleźć, z tym męskim imieniem.

- Nazwałeś swoją siostrę Sidney? - zapytał z ciekawości.

- Tak - odparł szorstko Cole.

- Dlaczego?

- Zaczynała zbyt zadzierać nosa.

- Naprawdę?

- Słuchaj, Harrison. W tej okolicy niebezpiecznie jest zadawać zbyt wiele pytań.

Powinieneś o tym pamiętać.

Harrison zaczął się śmiać. Nie takiej reakcji Cole się spodziewał.

- Co cię tak rozbawiło?

- Ty - powiedział Harrison. - Sam od ponad godziny zadajesz mi pytania.

- To nasz dom. My w nim ustalamy zasady, nie ty - uśmiechnął się Cole.

- Czemu jesteś tak niegościnnie? - zganiała go Mary Roses.

Chciała dalej mówić, ale zmieniła zdanie, gdy napotkała wzrokiem spojrzenie najstarszego brata. Adam pochylił się do przodu i spojrzał na Mary Roses, która natychmiast uspokoiła się i ucichła. Wtedy obrócił się w stronę Cole'a, który także opanował swoje emocje.

Adam najwyraźniej zażądał rozejmu. Nie użył przy tym nawet jednego słowa, co zrobiło na Harrisonie duże wrażenie.

- Chętnie dowiedziałbym się czegoś o Szkocji, jeśli nie jesteś jeszcze zmęczony - powiedział Adam. - Nie miałem nigdy okazji wyjechać za granicę, ale sporo podróżowałem dzięki moim lekturom.

- Chciałbyś kiedyś pojechać do Szkocji? - spytała Mary Roses.

- Oczywiście, ale najpierw wolalbym zobaczyć mój dom.

- Gdzie on jest? - spytał Harrison.

- Moim domem jest Afryka - odparł Adam. - Zauważyłeś chyba jakiego koloru jest moja skóra.

Jego uśmiech był szczery. Nie drwił z Hamsona - po prostu był szczery.

- Urodziłeś się w Afryce? - zainteresował się Harrison.

- Nie. Urodziłem się niewolnikiem na Południu, ale gdy wystarczająco dorosłem, by siedzieć spokojnie i słuchać, moi rodzice opowiadali mi wspaniałe historie o przodkach i ich wioskach. Chciałbym zobaczyć mój kraj przed śmiercią.

- Jeśli jeszcze tam będzie - wtrącił Cole. - Wioski bywają wypalane.

- Tak, jeśli - zgodził się z nim Adam.

- Nie pojedziesz do Afryki - powiedział Douglas. - Nigdy stąd nie wyjeżdżasz.

- Myślę, że spodobałaby ci się Szkocja. - Harrison powrócił do tematu, o którym miał mówić. - Wasza dolina przypomina mi partie szkockich wyżyn.

- Opowiedz nam o swoim domu - poprosił Travis.

Harrison spełnił jego życzenie. Przez jakieś pięć do dziesięciu minut opowiadał o tamtejszej ziemi i rozmaitych majątkach, stwierdzając na koniec:

- Łóżko mojego ojca stało zawsze przed oknem, by mógł patrzeć na ojczystą ziemię. To mu wystarczało.

Chciał dalej mówić, ale się powstrzymał.

- Przepraszam za dygresje. Teraz już wiecie, że niebezpiecznie jest prosić szkockiego górala, by opowiadał o swojej ojczyźnie. Będzie nudził was godzinami.

- To nie było nudne - powiedział Cole.

- Byłeś wielce wymowny - zapewnił Adam.

- Powiedziałeś, że łóżko twego ojca stało przed oknem - przypomniał Cole. - Czy był zniedołężniały?

- Tak.

- Jak długo?

- Nigdy nie widziałem go stojącego. Czemu pytasz?

Cole czuł się podle. Przypomniał sobie, że spytał Hamsona, czemu jego ojciec nie zabrał go nigdy na tył domu i nie pokazał, jak się bije mężczyzna.

Teraz powód był oczywisty - ojciec nie mógł tego zrobić. Boże, brzydził się samym sobą.

- Po prostu z ciekawości - odpowiedział Cole. - Co się stało twemu ojcu?

- Kula trafiła go w kręgosłup.

Cole'em wstrząsnął dreszcz.

- Więc był sparaliżowany?

- Tak.

- To był wypadek?

- Nie - odparł zwięźle Harrison.

- Ale zostałeś z nim, mimo że byłeś wystarczająco dorosły, by go opuścić - powiedział Cole.

Harrison uznał, że to opinia na granicy przyzwoitości.

- Tak, zostałem z nim. Na Boga, byłem przecież jego synem.

- On niekoniecznie zostałby przy tobie, gdybyś to ty dzień i noc leżał w łóżku. Większość ojców też by się tak zachowała.

- Mylisz się - stwierdził Harrison. - Większość zostałaaby. Mój na pewno by to zrobił.

- Spełniłeś swój obowiązek nie opuszczając go. - Cole zdawał się zadowolony.

Najwyraźniej wszystko już sobie w głowie ułożył.

- Nie robiłem tego z obowiązku - Harrison poczuł się obrażony.

- Zrobiło się nagle gorąco, co? - Cole uśmiechał się bezczelnie.

Harrison poczuł nagle ochotę roztrzaskać mu twarz.

- Obrażasz honor mój i mego ojca, wypowiadając tak kłamliwe opinie. - Harrison był wściekły.

Cole wrzucił ramionami. Złość Szkota nie zrobiła na nim wrażenia.

- Powinien tu zostać, żeby poznać prawdziwe życie. - Cole zwrócił się do Adama. - Jesteś gotów znieść jego obecność?

- Być może - stwierdził Adam.

- Jest wystarczająco duży, ale brakuje mu sprytu - wtrącił Douglas.

Cole parsknął.

- Został z ojcem, nie? To wystarczający dowód sprytu. Travis, jak myślisz?

- W porządku jak dla mnie, choć trochę za bardzo interesuje się naszą siostrą. Mogą z tym być kłopoty.

- Wszyscy się nią interesują. Zdziwiłbym się, gdyby Harrison tego nie robił. Myślę, że powinniśmy dać mu szansę.

Bracia pokiwali głowami na zgodę. Mary Roses nie mogła być bardziej szczęśliwa. Splotła ręce i uśmiechnęła się do Harrisona.

Nie był w stanie uwierzyć, że przed chwilą bracia rozmawiali o nim, jakby już wyszedł z jadalni. Ich zachowanie było tak skandaliczne, że niemal śmieszne.

Mary Roses wstała, a Harrison natychmiast zrobił to samo. Czwórka braci nawet się nie ruszyła.

- Właśnie zaproponowano ci, byś z nami został - powiedziała Mary Roses Harrisonowi. - Tym razem wszyscy o dziwo są w tej kwestii zgodni - dodała kiwając głową. - Cole zazwyczaj się nie zgadza. Ciebie lubi - czy to nie jest miłe?

Harrison nie mógł się powstrzymać od odrobiny szczerości.

- Niespecjalnie - powiedział.

Wszyscy się roześmiali, łącznie z Mary Roses.

- Masz wspaniałe poczucie humoru, Harrison - zauważyła.

Harrison nie żartował, ale postanowił zostawić tę kwestię w spokoju. Mary Roses, obszedłszy stół, stanęła przed nim.

- Pokażę ci, gdzie będziesz spał. Adamie, czy możemy już odejść od stołu?

- Oczywiście. Dobranoc, Harrison.

Mary Roses zwróciła się w kierunku wyjścia. Harrison podziękował braciom za kolację, życzył wszystkim dobrej nocy, po czym udał się za dziewczyną.

Żaden z braci nie poszedł z nimi. Trochę go to zdziwiło, szczególnie gdy wziął pod uwagę niepokój, jaki wzbudziło w Travisie jego zainteresowanie Mary Roses.

Tak Harrison, jak i Mary Roses nie powiedzieli ani słowa, dopóki nie wyszli z domu. Przynajmniej tysiąc gwiazd oświetlało drogę do baraku.

- Lubisz moich braci?

- Czasami - Harrison chciał być szczery. - Są dosyć dziwnymi ludźmi.

- Nie są dziwni, jedynie trochę inni od wszystkich.

Harrison zaplótł ręce za plecami i zwolnił kroku, by móc iść obok Mary Roses. Rozważył kilka sposobów poruszenia męczącego go tematu, po czym postanowił dowiedzieć się wprost.

- Czy mogę cię o coś spytać?

- Tak?

- Czemu mnie wcześniej nie uprzedziłaś?

- O Adamie?

- Tak, o nim.

- Po co miałabym cię uprzedzać? Mogłeś go zaakceptować albo nie, wybór należał do ciebie.

- Nie jesteście ze sobą spokrewnieni, prawda?

- Nie. Mimo to jesteśmy rodziną, Harrison. Nie tylko krew łączy ludzi.

- Oczywiście, że nie. - Przyznał jej rację. - Jesteście już razem chyba od dość dawna?

- Tak - odparła. - Jak zgadłeś?

- Zachowujecie się jak rodzeństwo. Opiekujecie się sobą i jesteście sobie wierni, ale kłóćcie się o drobne, nic nie znaczące rzeczy. Z waszego zachowania przy kolacji wywnioskowałem, że jesteście razem już bardzo długo.

- Rzeczywiście tak jest - uśmiechnęła się. - Czyż nie jest tu pięknie?

Nie chciał rozmawiać o tym, czy jest pięknie. Wyraźnie zmieniała temat rozmowy. Pozwolił jej na to, gdyż uznał, że zadał wystarczająco dużo pytań jak na jeden wieczór. Jutro dowie się więcej.

- Rzeczywiście, jest tu wspaniale. Powietrze odświeża umysł.

- Jeśli tylko to zauważyłeś, to spędziłeś chyba za dużo czasu w mieście.

W pełni się co do tego zgadzał.

- W Londynie nie zawsze widać gwiazdy, bo niebo jest pełne pyłu i wylotów, które przesłaniają gwiazdy.

- W Nowym Jorku jest podobnie - zauważyła.

Harrison nagle zatrzymał się. Czuł się tak, jakby właśnie dostał ataku serca.

- Co powiedziałaś?

Mary Roses powtórzyła uwagę.

- Wydajesz się zdziwiony - dodała.

Najwyraźniej nie ukrył zbyt dobrze swoich uczuć. Z trudem udało mu się uśmiechnąć.

- Rzeczywiście, jestem trochę zaskoczony. - Starał się mówić obojętnym tonem. - Nie zdawałem sobie sprawy, że byłaś kiedyś w Nowym Jorku.

- Byłam wtedy bardzo mała, więc nie pamiętam wyglądu miasta, ale moi bracia pamiętają wszystko. Powiedzieli mi, że wszędzie były fabryki, dym i tłumy kręcących się bez celu ludzi.

Harrison odetchnął głęboko. Kawałki układanki zaczynały do siebie pasować. Musiał tylko odkryć, kto zabrał ją rodzicom oraz pomógł chłopcom dostać się aż do Montany.

- Nowy Jork jest tylko miejscami zatłoczony - powiedział. - Tak naprawdę to całkiem interesujące miasto.

- Podobno trzeba tam na siebie bardzo uważać.

- Wszędzie trzeba być ostrożnym.

- Znów mówisz jak Adam. Zawsze każe mi na siebie uważać. Czasem nie zwracam uwagi na to, co się dookoła mnie dzieje - przyznała. - Travis bardzo się dziwił, że nikt mnie nie okradł w St. Louis, gdy chodziłam tam do szkoły.

Na naszym ranczo jest za to bardzo bezpiecznie. Nie chcę stąd już nigdy wyjeżdżać. Strasznie tęskniłam za domem.

Harrison nie ucieszył się słysząc te słowa.

- Może spodobałaby ci się Anglia i Szkocja? - zasugerował.

- Na pewno. Wiem, że są na świecie piękne miejsca i chciałabym je zobaczyć. Ale zawsze tęskniłabym za moją doliną. Jest tu tyle do zrobienia i zawsze mam za mało czasu. Ciągłe odbywam coś nowego i ciekawego.

Właśnie dowiedziałam się o pewnej kobiecie, która mieszka sama na Grani Dzików. Jej rodzina została zaatakowana przez Indian zaraz po osiedleniu się tutaj. Mąż i syn zginęli, a

ją oskalpowano i pozostawiono, by umarła. Jednak przeżyła. Travis powiedział mi, że słyszał jak Billie i Dooley szeptem o niej rozmawiali. Wszyscy uważają, że jest szalona. Biedna kobieta była sama tyle lat, a ja dopiero teraz się o niej dowiedziałam. Pójdę i odwiedzę ją, jak tylko mi Adam pozwoli.

- Jeśli jest chora na umyśle, to może być niebezpieczna, Mary Roses. Nie powinnaś...

- Znow mówisz zupełnie tak jak Adam - przerwała mu. - Teraz, gdy już o niej wiem, muszę spróbować jej pomóc. Chyba mnie rozumiesz.

Harrison zmienił nieco temat rozmowy.

- Mógłbym być szczęśliwy mieszkając w waszej dolinie. Ty mogłabyś być szczęśliwa żyjąc w Szkocji lub Anglii, gdybyś się tylko przyzwyczaiła.

- Czemu? Bo przypominałyby mi się rodzinne strony? To trochę tak, jakbym kochała mężczyznę, bo przypomina mi innego. Podobałoby mi się w Szkocji, ale nigdy nie byłabym tam szczęśliwa. Wszędzie jest dobrze, ale w domu najlepiej.

Harrison westchnął.

- Jesteś zbyt młoda, by tak odrzucać zmiany.

- Czy mogę zadać ci osobiste pytanie? Nie musisz odpowiadać, jeśli nie chcesz.

- Oczywiście, że tak - zgodził się. - Co chciałabyś wiedzieć?

- Czy całowałaś już bardzo wiele kobiet?

Nie był przygotowany na takie pytanie.

- Dlaczego pytasz?

Spytała go jeszcze raz. Nie zaśmiał się, bo wyglądała śmiertelnie poważnie.

- Dlaczego pomyślałaś o całowaniu?

Nie miała zamiaru powiedzieć prawdy. Myślała o tym za każdym razem, gdy na niego spojrzała. Tylko to miała w głowie od czasu, gdy zobaczyła jak dobry i łagodny był dla nerwowego ogiera. Chciała, by ją pocałował, i nic jej nie obchodziło, że to dosyć bezwstydna myśl.

- Byłam ciekawa. Bardzo wiele?

- Chyba dosyć dużo.

- Czy myślisz o całowaniu kogoś, zanim to zrobisz, czy jest to bardziej spontaniczne?

- Myślisz o bardzo dziwnych rzeczach.

- Zdarza mi się to dosyć często.

Doszli do wejścia do baraku. Położył dłoń na kłamce i obrócił się, by na nią spojrzeć.

- Pamiętasz, co powiedziałem ci, gdy patrzyliśmy na dolinę? Odpowiedz najpierw umysłem, potem sercem. To jest odpowiedź na twoje pytanie. Zawsze pomyśl, zanim coś zrobisz.

Była zawiedziona tą odpowiedzią.

- Jesteś bardzo opanowanym człowiekiem.

- Też mi się tak wydaje.

Potrząsnęła głową. Harrison nie wiedział, jak zareagować na ten oczywisty gest nagany. Opanowanie - to zaleta, nie wada. Czyżby nie rozumiała tej podstawowej zasady?

- Nie jestem tak opanowana.

Pokiwał głową. Doszedł już sam do tego wniosku. Otworzył drzwi i cofnął się odrobinę, by mogła wejść pierwsza, jeśli tego chciała.

Nie ruszyła się z miejsca przed progiem.

- W środku jest dwanaście łóżek, ale dzisiejszej nocy będziesz spał sam.

Gdybyś czegoś potrzebował, to nie wstydź się komuś z nas o tym powiedzieć.

- Muszę chyba spytać Douglasa, gdzie mam umieścić na noc MacHugha.

- Wstaw go do pierwszego boksu z lewej strony - wyjaśniła. - Jest trochę większy od pozostałych. Pasza powinna już być nasypana. Myślisz, że chętniej wejdzie do środka, bo miał już czas się do nas przyzwyczaić?

- Tak.

- A ty, Harrison, przyzwyczajasz się do nas?

- Oczywiście - uśmiechnął się.

Mary Roses też się uśmiechnęła. Boże, jakaż była piękna.

- Czy mogę cię prosić o przysługę?

Stała niecałe pół metra od niego, z twarzą zwróconą w jego stronę, a jej oczy w świetle księżyca miały kolor szafirów. Nie śmiał spojrzeć na jej usta, bo wiedział, że wtedy nie zapanowałby nad sobą. Już teraz myślał, co by to było, gdyby się do niego mocno przytuliła. Sztywniał na myśl o spróbowaniu tej słodczy. Jej delikatność i ciepło zachęcały, by pochylił się i wziął to, co mu ofiarowała.

Czuł, że zaraz oszaleje.

- O jaką przysługę?

Miał uczucie, że łamie mu się głos, ale ona nic chyba nie zauważyła.

Najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy z wrażenia, jakie na nim robiła, bo nie stanęłaby wtedy na palcach, zbliżając się do niego. Wspaniale pachniała, niczym łąka dzikich

kwiatów po deszczu. Oparła dłonie o jego pierś. Jego serce zaczęło łomotać w szalonym tempie.

- Proszę, czy mógłbyś mnie pocałować?

O niczym innym nie myślał.

- Do diabła, nie, nie mógłbym.

Jego odmowa zabolą ją. Zachował się jej zdaniem tak, jakby poprosiła, by pocałował kożę. Natychmiast zawstydzila się własnej odwagi. Ręce jej opadły. Zrobiła z siebie kompletną idiotkę, ale musiała odłożyć na później śmierć ze wstydu. Jediną ważną rzeczą było zachowanie choć odrobiny godności.

Wymagało to działania z jej strony, co wcale nie było łatwe. Najchętniej podciągnęłaby spódnice i pobiegła niczym błyskawica do domu, ale nie miała zamiaru zachowywać się jak dziecko. Nie robiąc nawet jednego kroku w tył zmusiła się, by spojrzeć na niego tak, jakby zrobiła to dojrzała kobieta.

- Nie mogłam nie zauważyć przerażenia w twoim głosie. Czy uważasz, że był to okropny pomysł?

- Nie byłem przerażony. Mężczyźni nigdy nie bywają przerażeni.

Był chyba bardzo rozgniewany. Nie spytała go jednak, czy tak jest, bo usłyszałaby pewnie, że mężczyźni nigdy nie bywają rozgniewani.

- Dobranoc, Harrison. śpij dobrze.

Nie żartowała sobie z niego. Szalona dziewczyna, nie wiedziała, co mu właśnie zrobiła. Nie było mowy o spaniu.

Oparłszy się o framugę obserwował, jak wracała do domu. Zachowywała się tak, jakby nic jej nie obchodziło. Miał przez nią pustkę w głowie i skręcało go w brzuchu, lecz, do cholery, nie zdziwiłby się, gdyby zaczęła nucić jakąś piosenkę.

Zastanawiał się, jak bardzo byłaby rozplomieniona, gdyby powiedział jej to, co naprawdę chciał z nią zrobić i czego pragnął, by ona uczyniła swoimi słodkimi i prowokującymi ustami.

Potrafił się na tyle powstrzymać, by nie myśleć o przespaniu się z nią.

Przypomniał sobie, że jest człowiekiem, a nie zwierzęciem, i że potrafi kontrolować swoje najprymitywniejsze popędy. Niemalże już siebie przekonał, gdy zauważył jak idąc delikatnie kołysała biodrami. Jego wyobraźnia wypełniła się wieloma zmysłowymi obrazami.

śpij dobrze? To raczej niemożliwe.

4 sierpnia 1862

Droga Mamo Roses!

W zeszłym tygodniu nieźle się wystraszyliśmy. Mary Roses bardzo się rozchorowała. Powinniśmy się byli wcześniej domyślić, że nie czuje się dobrze, ale nie wpadło nam do głowy, że powodem jej złego humoru może być choroba.

Zazwyczaj jest bardzo wesoła, a wzeszły wtorek zaczęła się paskudnie zachowywać. Po południu jeszcze się pogorszyło. Douglas uprał jej ulubiony kocyk, który lubi trzymać przy nosie, gdy ssie kciuk. Gdy zobaczyła kocyk suszący się na krzaku, wpadła w humor zły jak rzadko. Wrzasnęła tak, że jeszcze nam w uszach dzwoni. Nie chciała się zdrzemnąć i cały czas płakała. Nawet Adam nie mógł jej pocieszyć, nie tknęła też kolacji. W końcu uznaliśmy, że coś jest nie tak, bo zazwyczaj ma bardzo dobry apetyt. O północy miała już gorączkę.

Wszyscy na zmianę siedzieliśmy przy niej i ścieraliśmy z niej pot. Ci, co nie trzymali jej za rękę lub nie bujali na fotelu, wpadali na siebie krążąc wokół po pokoju.

Gorączka utrzymywała się trzy dni i noc. Leżąc w łóżeczku wydawała się taka mała i bezbronna. Potrzebowała doktora, ale nie ma tu żadnego, nawet w Hammond.

Chyba nigdy jeszcze się tak nie bałem. Cole też był przerażony, ale ukrywał to, złoścąc się na wszystko. W kółko powtarzał, że błędem było sprowadzać ją w tak dziką, okolicę. Sumienie gryzło go tak samo jak całą resztę. Wiedzieliśmy, że ma racje, ale co mieliśmy wtedy zrobić? Zostawić ją w śmieciach, by zjadły ją, szczury?

Kochanie kogoś tak małego i delikatnego strasznie nas przeraża. Jest we wszystkim od nas uzależniona. Musimy pamiętać o krojeniu mięsa na kawałeczki, żeby się nie udławiła. Ciągłe musimy też wszyscy uważać, by nie nadepnęła na węża. Czasem w głębi siebie tak się o nią martwię, że z trudem zasypiam.

Modliłem się cały czas, gdy była chora. Próbowalem nawet wymienić jej życie na moje. Bóg chciał jednak, byśmy jeszcze trochę pobyli razem, gdyż w sobotę rano gorączka opadła i Mary Roses powróciła do nas.

Było to taką ulgą dla mnie, Douglasa i Adama, że się popłakaliśmy. Nie wstydzę się przyznać, bo nikt tego nie widział. Cole też ukradkiem ocierał łzy.

Wybiegł na dwór i nie wracał przez godzinę, ale i tak dobrze wiemy, co robił.

Jego oczy były równie czerwone i opuchnięte, jak nasze.

Módl się za nas. Mamo Roses. Przyda nam się każda pomoc. Możesz być pewna, że my modlimy się za Ciebie. Bardzo się o Ciebie teraz boimy, gdy walki toczą się tak blisko ciebie. Gazety, które dostajemy, są zawsze nieaktualne, ale Adam stara się dowiedzieć o każdej stoczonych bitwie. Wygląda na to, że Południe może wygrać tę wojnę, której nikt oficjalnie jeszcze wojną nie nazwał.

Dbaj o siebie, proszę. Potrzebujemy Ciebie.

Twój syn Travis P.S. Niemalże zapomniałem o dobrych wiadomościach. Dwa tygodnie temu przybyli tu Morrisonowie. Chcą budować sklep niedaleko budy Belle. Wszyscy oczywiście są bardzo z tego zadowoleni. Zamawianie towarów tak blisko domu będzie wielkim luksusem. Poczta też będzie dostarczana do sklepu, choć na razie tylko raz na tydzień.

Morrisonowie mają córkę Catherine, o półtora roku starszą od Mary Roses.

Nasza siostra potrzebuje koleżanki, z którą mogłaby się bawić, przynajmniej Adam tak uważa. Morrisonowie wydają się dobrymi ludźmi, więc Cole nie ma nic przeciwko temu, by dziewczynki razem się bawiły.

Harrison nie spał zbyt dobrze i obudził się, gdy tylko zaczęło świtać.

W nocy zbudził go Cole, który zakradł się do baraku i przeszukał jego rzeczy.

Po jego wyjściu Harrison nie mógł już zasnąć. Zastanawiał się, czy nie spytać Cole'a, czego szuka, ale postanowił w końcu udawać, że śpi.

Nie martwił się, że Cole znajdzie coś ważnego. Harrison nie miał przy sobie żadnych akt ani dokumentów. Wszystkie zebrane przez niego informacje, łącznie z raportem otrzymanym od adwokata w St. Louis, zostały już wysłane do Londynu. Mimo to był porządnie zdenerwowany i tylko od swojego nastroju w ciągu dnia uzależniał, czy poruszy kwestię wtargnięcia Cole'a.

Jego humor nie poprawił się do rana. Umyty i ubrany poszedł do stodoły zająć się MacHughiem. Stracił dwadzieścia minut na namawianie upartego zwierzęcia, by wyszło z boksu.

Chciał wyprowadzić konia z powrotem na wybieg, ale MacHugh wolał pozostać w stajni. Wyszarpnął uzdę z rąk Hamsona, po czym próbował go zdeptać, gdy ten, podniósłszy uzdę, zbliżał się w jego stronę. Niewdzięczne zwierzę robiło tyle hałasu, by zbudzić wszystkich mieszkańców rancza. Cierpliwość Hamsona w końcu się wyczerpała. Przez kilka minut klął na zwierzę w kilku językach i choć nie uspokoiło to konia, Harrison poczuł się o wiele lepiej, wyrzuciwszy z siebie złość i frustrację.

W końcu poddał się. Nie miał nic przeciwko temu, by MacHugh zgnął w boksie. Zostawiwszy otwartą bramkę, odwrócił się, by wyjść, i szybko zatrzymał się. W wejściu do stodoły stali Cole i Douglas. Głupie uśmiechy na ich twarzach świadczyły, że wszystko widzieli.

- W domu czeka na ciebie śniadanie - poinformował go Douglas. - Jak tylko zjesz, Cole pokaże ci twoją pracę.

- Co będę robił? - spytał Harrison.

- Chciałem, byś pomógł mi oswoić kilka mustangów, ale zmieniłem zdanie, gdy zobaczyłem, jak radzisz sobie ze swoim koniem. Lepiej będzie, jak zostaniesz w domu i pograsz sobie na fortepianie.

Harrison natychmiast wpadł w złość. Przypomniawszy sobie, jak zareagował Cole, gdy Mary Roses wygadała się, że Adam także gra na fortepianie.

Postanowił podrażnić nieco aroganckiego mężczyznę.

- Będę grał przed czy po Adamie?

Cole podbiegł do niego i zatrzymał się dopiero kilkanaście centymetrów przed Harrisonem. Nie wyglądał jednak na wściekłego, lecz bardziej na zmartwionego. Harrison nie bardzo rozumiał dlaczego.

- Posłuchaj, MacDonald, Adam nauczył się grać tylko po to, by pomóc w tym Mary Roses. Musiał udawać, że go to bawi. Rozumiesz? Nie chciał, ale musiał.

Douglas także postanowił bronić starszego brata.

- Nie chcemy, byś pomyślał, że Adam jest zniewieściał. Da sobie radę w każdej bijatyce, prawda, Cole?

- Jasne, że tak. Co ty na to, MacDonald?

Harrison nawet nie próbował być dyplomatyczny.

- Myślę, że obaj jesteście zwariowani. - Zdawało mu się, że muszą zrozumieć, że trzeba mieć źle poukładane w głowie, by być tak głupio uprzedzonym. Każde uprzedzenie było dla niego nie tylko przejawem ignorancji, ale także - jako całkowicie nierozsądne i irracjonalne - objawem szaleństwa.

Douglas zrobił się cały czerwony, gdy usłyszał opinię Hamsona. Cole ukrywał swoje uczucia. Harrison postanowił dać sobie z nimi spokój. Chciał wyjść na dwór, by odetchnąć świeżym powietrzem. Miał już tego zupełnie dosyć.

Cole stanął mu na drodze, ale Douglas odepchnął go na bok.

- Jeszcze go nie bij - powiedział bratu. - Chcę go najpierw o coś spytać.

- Czemu myślisz, że jesteśmy zwariowani? - Opinia Hamsona najwyraźniej go oszołomiła.

- Uważacie, że tylko kobiety powinny grać na fortepianie, prawda?

Żaden z braci nie odpowiedział. Harrison potrząsnął głową.

- Wasze nastawienie jest śmieszne, a zarazem pozbawione sensu. Adam jest dobrze ułożonym mężczyzną, jego wykształcenie jest zaletą, nie wadą. - Ty, z kolei... - zwrócił się do Cole'a.

Douglas przerwał mu w pół słowa.

- Nie chcę żadnych bijatyk w moich stajniach - oznajmił. - Konie się denerwują. Cole. Nie rozumiem, czemu Harrison nie może pomóc przy mustangach.

- Jestem pewien, że dam sobie radę - wtrącił Harrison. - Nie może to być zbyt trudne, a już na pewno nie wymaga zbyt wiele inteligencji.

- Co przez to rozumiesz? - spytał Douglas.

- Przecież robi to Cole - uśmiechnął się Harrison.

Cierpliwie zaczekał, gdyż Cole dopiero po kilku sekundach zrozumiał, że został znieważony. Spodziewał się, że Cole sięgnie po broń lub użyje pięści.

Był przygotowany na obie sytuacje.

Źrenice Cole'a poszerzyły się. Cofnął się o krok, potrząsnął głową i wybuchnął śmiechem.

Harrison bardzo się zawiódł, gdyż był już gotów się bić.

- Łatwo cię polubić, Harrison - powiedział Cole. - Jak Boga kocham, łatwo.

- Zabiję cię, jeśli jeszcze raz będziesz grzebać w moich rzeczach.

- Słyszałeś mnie dziś w nocy? - Cole był zdziwiony.

- Trudno było nie słyszeć.

- Tracisz formę, Cole.

- Chyba tak. Myślałem, że byłem zupełnie cicho.

- Czego właściwie szukałeś? - spytał Harrison.

- Niczego specjalnie - odparł Cole. - Byłem po prostu ciekawy.

- Musisz wybaczyć mu ciekawość - pospiesznie wytłumaczył Douglas. - Trudno nam było uwierzyć, że będąc tak dużym mężczyzną nie umiesz się obronić. Wszystko oczywiście zrozumiałem, gdy powiedziałeś, że grasz na fortepianie.

- Co rozumiałeś?

- No wiesz... że twój ojciec był chory i w ogóle... Cole, nie powinieneś być grzebać w jego rzeczach, tak się wobec gościa nie postępuje.

- Przecież sam mi kazałeś - przypomniał bratu Cole.

Douglas nie mógł sobie przypomnieć, by coś takiego mówił, więc obaj zaczęli się zązarcie klócić. Przechodząc z jednego tematu na drugi, zaczęli w końcu wymawiać sobie winy sprzed lat. Harrison czuł, że zaczęłyby walić głową w ścianę, gdyby tylko obok jakiegś stał. Claybome'owie doprowadzali go do rozpacz.

Postanowił więc przejąć inicjatywę.

- Potrafię o siebie zadbać - wyrzucił, zmuszając braci do zapomnienia na chwilę o urazach z dzieciństwa. - Chcę nauczyć się prowadzić ranczo, ale wy dwaj nie musicie tracić

czasu na uczenie mnie strzelania i bicia się. Chętnie wam to udowodnię, jeśli zechcecie wyjść na dwór.

- Jak chcesz to udowodnić? - zaśmiał się Cole. - Zastrzelisz nas?

Harrison potrząsnął głową.

- Nie jest to zły pomysł - przyznał. - Uznałem jednak, że wystarczy zbić was obu na kwaśne jabłko.

Douglas spojrział na niego z litością.

- Harrison, nie musisz się wstydzić, że nie umiesz się bić. Nauczymy cię wszystkiego, co trzeba. Cieszę się jednak, że potrafisz się złościć. Musisz być trochę zapalczywy, jeśli chcesz dogadać się z ludźmi.

- To niepoważne.

- Być może - zgodził się Cole. - Ale tak to wygląda w naszej okolicy.

Chcesz, by ludzie cię szanowali, czy nie?

Harrison miał już dosyć dyskusji z tymi półgłówkami. Wiedział, że sam ich przekonał o swoim nieprzystosowaniu do takiego życia. Wtedy wydawało się to niezłym pomysłem. Mary Roses opiekowała się słabymi, więc udawał, że jest właśnie taki.

Nagle uświadomił sobie, że myśli równie nielogicznie, jak dwaj bracia.

Osiągnął dokładnie to, czego chciał. Powinien być z siebie zadowolony.

Tak jednak nie było. A wszystko dlatego, że nie chciał, by Mary Roses uważała go za słabego.

Co, na Boga, z nim się działo? Harrison zostawił braci i poszedł do domu.

Zmusił się, by pomyśleć o prawdziwych powodach, dla których przyjechał aż do Montany. Lady Victoria. Nie miał już żadnych wątpliwości. Mary Roses musiała być zaginioną córką lorda Elliotta.

Chciałby ją po prostu podnieść, przerzucić przez grzbiet MacHugha i zawieźć do Anglii, do jej prawdziwego domu. Na drodze stało jednak kilka olbrzymich przeszkód. Musi przede wszystkim znaleźć osobę, która ją porwała.

Jeśli tego nie zrobi, rodzina Elliotta nie będzie bezpieczna.

Pozostałymi przeszkodami utrudniającymi spotkanie zrozpaczonego ojca z córką byli czterej bracia Claybome'owie.

Cholera, byłoby lepiej, gdyby ich nie lubił. Nawet szalone poglądy Cole'a na życie zaczynały go bawić. Poza tym nie mógł nie docenić i nie szanować miłości, jaką wszyscy bracia darzyli młodszą siostrę, oraz ich wzajemnej lojalności.

Każdy z nich prędzej zginie, niż pozwoli mu ją zabrać, i nie można na to nic poradzić.

Harrison nie sądził, by sama Mary Roses sprawiała zbyt wiele kłopotów.

Nie opierałaby się nieuchronnym wydarzeniom. Oczywiście, że chciała zostać na zawsze w swojej dolinie, ale wiedział, że zmieniłaby zdanie dowiedziawszy się, że w Anglii czeka na nią ojciec. Miała zbyt dobre serce, by przynajmniej nie pojechać, aby go spotkać. Namówienie jej do pozostania w Londynie byłoby już kłopotem jej ojca. Zadanie Hamsona byłoby wykonane.

Przestał nad tym rozmyślać, przyspieszył kroku i właśnie chciał skrócić za róg, by wejść do kuchni przez tylne drzwi, gdy zobaczył Mary Roses spieszącą w przeciwnym kierunku. Szła w stronę mniejszej stajni, ale okrężną drogą, jakby nie chciała być zauważona. Przez ramię miała przełożony wiklinowy koszyk.

- Dzień dobry, Harrison - powiedział zza jego pleców Travis.

Harrison obrócił się.

- Dzień dobry - odpowiedział. - Dokąd wybiera się twoja siostra? Chyba bardzo się spieszy.

Travis uśmiechnął się.

- Wymyka się z domu, ale ja wiem dokąd. Dam jej kilka minut, po czym pojedę za nią. Adam będzie zły, gdy się o tym dowie.

- Dowie się o czym?

- Mary Roses jedzie odwiedzić szaloną Comelię.

- Tę, która przeżyła najazd Indian?

- Już o niej słyszałeś?

- Twoja siostra powiedziała mi o niej wczoraj.

- Pewnie, że to Corrie. Podobno jest porządnie stuknięta. Każdy by taki był, gdyby go oskalpowano. Nawet Indianie jej teraz unikają, bo się jej boją.

Tak jak większość ludzi z Blue Belle. Zastanawiają się, czy jej nie wykurzyć.

- Wykurzyć z czego?

- Z jej chałupy - wytłumaczył Travis. - Jakiś traper myślał, że jest opuszczona. O mało nie rozwaliła mu głowy strzałem ze strzelby, gdy podchodził do drzwi. Corrie siedzi tam na górze od czasu ataku, a to było już dobre piętnaście lat temu. W każdym razie Mary Roses dowiedziała się niedawno o niej i teraz musi ją odwiedzić. Uważa, że kobiecie przyda się przyjaciółka. Adam zabronił jej jechać, bo jest to zbyt niebezpieczne. Nie wiadomo, co ta kobieta może zrobić. Wiedziałem jednak, że Mary Roses go nie posłucha. Nigdy tego nie robi. O, właśnie wychodzi. Na Boga, Adam ją chyba zabije.

Travis pobiegł truchtem za siostrą.

- Powiedz moim braciom, dokąd poszedłem, dobrze? - zawołał przez ramię.

Najmłodszy z braci był gotów na wszystko. Harrisona cieszyło, że Claybome'owie opiekują się siostrą.

Usłyszał, jak Travis mruczy pod nosem, że jest ciągle narażany na niewygodę, i zareagował na to uśmiechem.

Była to ostatnia radosna chwila na długi, długi czas.

Oswajanie mustangów nie było trudne. Było nie do wykonania. Harrison uchwycił, o co w tym chodzi, dopiero po tygodniu, podczas którego musiał znieść jedno upokorzenie za drugim. Był cały brudny i posiniaczony, a poniżenie, jakiego doznał, było równie bolesne. Spędzał więcej czasu leżąc na plecach w piachu niż stojąc na nogach, dostarczając tym samym wiele zabawy rodzinie Claybome'ów.

Cole potrafił doskonale rozplanować swój czas. Cokolwiek robił, zawsze przebywał niedaleko wybiegu akurat wtedy, gdy Harrison zlatywał z siodła.

Najpierw wzdrygał się przesadnie, po czym potrzasał głową i mówił: - To będzie bolało. - Po czym zaczynał się śmiać.

Harrison chciał zabić Cole'a. Dopadnięcie go wymagało jednak siły, a tej mu po prostu brakowało.

Nie mógł się zdecydować, która pora dnia była najgorsza. Wieczorami wił się z bólu, a rano czuł się tak, jakby nastąpiło już u niego pośmiertne stężenie mięśni. Chodził jak stary, zgarbiony człowiek i w dodatku równie jak stary człowiek jęczał.

Pewnego dnia późnym wieczorem Mary Roses przyszła do jego baraku. Na szczęście miał jeszcze na sobie spodnie. Zdjął już podartą koszulę i leżał twarzą w dół na pościeli, ledwo żywy ze zmęczenia. Nawet nie unióś głowy, gdy weszła do środka.

- Harrison, twoje plecy strasznie wyglądają - westchnęła. Usiadła obok niego na łóżku i delikatnie go poklepała. - Adam przysłał ci maść. Czy chcesz, bym natarła ci nią ramiona?

Maść bardziej przydałaby mu się na poślądkach, ale wiedział, że nie wypada o to prosić.

- Owszem.

- Jesteś strasznie zmęczony, prawda?

Harrison nie odpowiedział. Mary Roses otworzyła więc butelkę i wylała odrobinę chłodnego płynu na jego plecy, które zaczęła rozmasowywać. Skrzywiła nos, poczuwszy zapach maści. Miała nadzieję, że Harrison nic nie zauważy.

- Na miłość boską, co tak śmierdzi?

Spojrzał na otwarte drzwi, sądząc, że zapach pochodzi z zewnątrz.

- To ta maść - wyjaśniła.

- Ohydny zapach.

- Konie to lubią.

Harrison uniósł głowę.

- Uzywacie tego dla koni?

Pchnęła jego głowę z powrotem na poduszkę.

- Można to stosować i dla ludzi. Zapach zniknie za chwilę. Spróbuj się rozluźnić.

Pozwól, wetrę ci tę maść w mięśnie. Zaraz poczujesz się lepiej.

Nie wierzył jej. Wiedział, że nadal będą go bolały pośladki.

- Zostaw mi butelkę - zaproponował. - Jeśli okaże się, że maść działa, to nałożę też trochę na... nogę.

- Dobrze - zgodziła się. - Teraz zamknij oczy i spróbuj zasnąć.

Pięć minut później Harrison sądził, że jest już w niebie. Jej ręce zdziałały cuda. Ból w mięśniach został uśmierzony. Ani trochę nie podniecała go jednak jej bliskość lub dotyk. Jego zdaniem wynikało z tego jasno, że jest już martwy.

Jęczał z zadowolenia, nie chcąc, by przestała.

Mary Roses pomyślała, że zasnął. Jego twarz była odwrócona w stronę drzwi. Wyglądał spokojnie i przystojnie w surowy sposób. Włosy opadły mu na czoło, a jednodniowy zarost na twarzy wyglądał jak cień brody. Nagle zapragnęła dotknąć takiego zarostu. Czowała się bezpiecznie, wiedząc, że Harrison śpi i nie zauważy jej bezwstydного zachowania. Dotknąwszy najpierw jego czoła, nabrała większej odwagi. Zauważyła siniak na jednej ze skroni i zaczęła go powoli masować czubkami palców. Skóra Hamsona była miękka i ciepła w dotyku.

Zebrawszy się na odwagę przejechała palcami po idealnie zarysowanym nosie i kościach policzkowych, aż do szyi. Króciutki zarost łaskotał ją w palce.

Uległa pragnieniu dotknięcia jego ust. Badała je długo i powoli swoimi palcami.

Uświadomiła sobie, że nic jej w tym mężczyźnie nie denerwuje. Jego powierzchowność wydała się jej równie piękna, jak wnętrze. Co najważniejsze, miał piękne i dobre serce.

Pochyliła się nad nim i pocałowała w czoło. Nie mogła uwierzyć, że zachowuje się tak śmiało. Zazwyczaj w obecności mężczyzn była bardzo powściągliwa, wręcz nieśmiała. Tego wieczoru, przy Hamsonie, stała się inna.

Westchnęła cicho i pocałowała go w policzek, po czym wyprostowała się i zaczęła ponownie masować mu ramiona. Pragnęła go dotykać. Co się z nią działo? Czowała, że jej ciało reaguje na bliskość Hamsona, ale była zbyt niedoświadczona, by wiedzieć, co to oznacza.

„Przestań” - rzekła do siebie w duchu. Ale nie przestała, bo dotykanie jego skóry sprawiało jej przyjemność. Był ciepły i świetnie umięśniony. Drżała z podniecenia.

Pomyślała, że pocałuje go jeszcze raz...

- Mary Roses! Co tu robisz z półnagim mężczyzną? Czy całkiem zwariowałaś? - zapytał Cole stając w drzwiach.

Po chwili zbliżył się do łóżka.

- Cicho bądź! - szepnęła - On śpi. Zostawiłam drzwi otwarte, żeby to wyglądało przyzwoicie. Co z tego, że jest półnagi? Przecież nic mi nie robi.

Poza tym obiecuję ci, że nie wykorzystam sytuacji.

Nie uważała za stosowne wyznać bratu, że już to zrobiła. Jak Cole mógł zrozumieć jej ciekawość, skoro sama jej nie rozumiała?

- Nie mów takich rzeczy, to nie przystoi dziewczynie. Nie chodziło mi o to, że wykorzystasz sytuację, przecież i tak nie wiedziałabyś jak.

- A powinnam wiedzieć, prawda? Czy nie sądzisz, że już najwyższy czas, żebyś wyjaśnił mi parę rzeczy?

- Później, Mary Roses. Porozmawiamy o tym później.

- Zawsze tak mówisz - mruknęła. - A zresztą, to nieważne. Sama już wszystko sobie wytłumaczyłam.

Cole chciał zmienić temat. Przykucnął, by z bliska przyjrzeć się twarzy Hamsona, po czym wstał.

- Czy on oddycha?

- Oczywiście, że tak.

- Wygląda, jakby już umarł.

- Wcale nie - zapewniła. - Na razie jeszcze nie umarł. Kiedy mu wreszcie dacie spokój?

- Uczymy go wszystkiego, co musi wiedzieć, jeżeli chce prowadzić życie na farmie.

- Przecież wy go dobijecie.

Uśmiechnął się na myśl o tym, że wyprowadził z równowagi Mary Roses.

- Nie sądzę. Jest silniejszy, niż myślisz.

Mary Roses zaprzeczyła.

- Właśnie że nie. Jest słabszy, niż ci się wydaje. Czy lepiej idzie mu ujeżdżanie koni?

Cole westchnął.

- Douglas mówi, że tak, ale ja nie widzę żadnej poprawy. Harrison jest trochę sfiksowany.

- Dlaczego tak sądzisz?

- On rozmawia z końmi. Douglas mówi, że wszystko im tłumaczy i jest pewien, że one go rozumieją i będą z nim współdziałać. Poza tym nigdy nie podnosi głosu, a przeklina wtedy, kiedy skończy robotę. Chodź do domu. Robi się późno.

Cole chciał wyjść, ale zmienił zdanie.

- Tak przy okazji. Ojciec Catherine Momson mówił Douglasowi, iż ona chciałaby, żeby zapytał Hamsona, czy ma zamiar starać się o nią.

Mary Roses była zaskoczona i wściekła, jednak nie ujawniła tego przed bratem i zajęła się masowaniem ramion Hamsona.

- To śmieszne - rzekła. - Morrisonowie nawet nie znają Hamsona.

- Ale mają zamiar zaprosić go na kolację w niedzielę - odparł Cole.

- On nie może iść.

- Dlaczego?

- Bo będzie zajęty.

- Travis na pewno nie będzie zadowolony z tego, że Harrison został zaproszony.

Catherine mu się podoba.

- Naprawdę? Nie rozumiem go. Ja jej nie lubię.

- Dlaczego nie lubisz?

- Bo jest arogancka i wszystkich uwodzi - odparła Mary Roses - A oprócz tego jest bezczelna.

- Jakoś nigdy tego nie zauważyłem.

- To dlatego, że faceci nie zauważają takich rzeczy. Poza tym ona z tobą nigdy nie flirtuje, bo się ciebie boi.

Cole uśmiechnął się.

- I to cię trochę denerwuje, prawda?

- Co mnie denerwuje?

- To, że inne kobiety interesują się Harrisonem.

- Wcale nie.

Gdyby Harrison nie udawał, że śpi, to na pewno by zaprotestował.

Delikatny masaż, który robiła mu Mary Roses, zamienił się w silne uderzenia.

Nie wiedział, jak długo jeszcze będzie w stanie to wytrzymać.

- Przecież ktoś musi się opiekować Harrisonem. On jest bardzo naiwny.

- Nie zauważyłem.

- i zbyt ufny.

- Naprawdę?

- Mówię zupełnie poważnie. Cole, przestań się tak głupkowato uśmiechać. Harrison jest uprzejmym, delikatnym człowiekiem. Na pewno to zauważyłeś.

- No, jakoś nie - rzekł Cole.

- Wszyscy powinniśmy na niego uważać. Jesteśmy za niego odpowiedzialni.

- A właściwie dlaczego się tak niepokoisz? Myślisz, że Catherine go ugryzie czy co?

- Wcale nie byłabym taka pewna - powiedziała Mary Roses.

Czuła, że zachowuje się nierozsądnie, ale się tym nie przejmowała. - Zdaję sobie sprawę z tego, że jestem niemila, ale wyobrażam sobie, że Catherine może okazać się zmija. Powinieneś powiedzieć Momsonom, że Harrison nie jest zainteresowany.

Cole westchnął.

- Jadę jutro z Harrisonem do miasta po jakąś uprzęż i wtedy osobiście będzie mógł powiedzieć Momsonom, czy chce do nich pójść na kolację, czy nie. On sam powinien podjąć tę decyzję, Mary Roses.

- Pojadę z wami do miasta.

Kiedy Cole odwrócił się i wyszedł, Harrison, który nie mógł już dłużej wytrzymać, otworzył oczy.

- Już możesz przestać mnie masować - rzekł.

Błyskawicznie przerwała masaż, gdy tylko się odezwał.

- Ty wcale nie śpisz!

Uznał, że nie musi tego potwierdzać.

- Czy ramiona mniej cię bolą?

W rzeczywistości bolały go jeszcze bardziej niż przed masażem, gdyż Mary Roses ugniatała go zbyt mocno.

- Tak, czuję się znacznie lepiej. Dziękuję.

Zakręciła butelkę, postawiła ją na podłodze obok siebie i wstała.

- Kiedy się obudziłeś? - spytała, udając nie bardzo zainteresowaną.

Naprawdę jednak była przerażona, zastanawiała się, ile słyszał z rozmowy. Na Boga, może w ogóle nie spał, tylko wypoczywał? Może wie, że go całowała?

- W tej chwili - skłamał. - A bo co?

Oblała się rumieńcem. Hamsonowi chciało się śmiać, lecz nie zrobił tego, gdyż wiedział, że to może ją jeszcze bardziej zawstydzić. Podniósł się z łóżka i stanął boso na drewnianej podłodze. Był zdecydowanie za blisko niej.

Wiedział, że powinien się odsunąć, ale jakoś nie mógł tego zrobić.

- Zastanawiałam się tylko, czy słyszałeś, co mówił Cole - odparła. - Przyszedł, żeby zobaczyć, jak się czujesz.

- Dziękuję, że się o mnie troszczysz.

- Dlaczego sądzisz, że się o ciebie troszczę? - zapytała zaskoczona.

- Bo widzę tu płyn do masażu - odrzekł.

Odetchnęła z ulgą i zwróciła się ku niemu.

- Harrison...

- Słucham.

- Właśnie mówiłam Cole'owi, że zamierzam zrobić kolację w niedzielę.

Sama wszystko ugotuję. Mam nadzieję, że będziesz mógł przyjść. Może nawet zaproszę Dooleya, Henry'ego, Billie'ego i Ducha.

Harrison z trudem powstrzymywał się od śmiechu.

- To brzmi zachęcająco - odparł.

Uśmiechnęła się.

- A czy chciałbyś poznać moją przyjaciółkę? Spodobałbyś się jej.

- Tę stukniętą Corrie? - spytał zaintrygowany.

- Nie mów tak o niej - poprosiła Mary Roses. - Ona jest nieśmiała i nieufna. Ty byś też był taki, gdyby cię zaatakowali Indianie.

- Pewnie tak - zgodził się Harrison. - Czy odezwała się do ciebie?

- Nie, ale dojrzeła do tego. Wiem o tym.

- Jeżeli nie rozmawiałaś z nią, to skąd wiesz, że niedługo się odezwie?

Uśmiechnęła się czy...

- Ja się z nią nawet nie widziałam, nie pozwoliła mi na to.

- To skąd wiesz, że nie jest wariatką?

- Stąd, że mnie nie zastrzeliła.

Zamknął oczy i policzył do dziesięciu, nim zadał kolejne pytanie.

- Powiedz mi, co właściwie się stało? Zapukałaś do drzwi? Weszłaś do środka?

- Nie zbliżyłam się do drzwi. Nawet nie dotarłam do ganku. Ona naprawdę jest bardzo nieśmiała.

- A jak blisko jej chaty byłaś?

- Doszłam aż do polany, która jest przed nią - odrzekła. - Corrie strzelała w ziemię, tuż przed moimi stopami, lecz celowo nie trafiała. Chciała mi w ten sposób dać do zrozumienia, że nie chce, bym podchodziła bliżej.

- I co wtedy zrobiłaś?

- Powiedziałam, kim jestem i że dopiero co dowiedziałam się o jej istnieniu. Wspomniałam, jak trudno było mi znaleźć jej chatę. Wiesz przecież, że strasznie trudno do niej trafić. A potem rozmawiałyśmy. Opowiedziałam jej o mojej rodzinie. Musiałam strasznie krzyczeć, żeby ona cokolwiek usłyszała, a jak już nie miałam siły, to powiedziałam, że przyniosłam jej koszyk wypełniony słoikami z dżemem, chlebem i ciasteczkami. Spytałam, czy mogę go gdzieś zostawić. Upewniłam się, że dobrze zrozumiała moje intencje, że nie robię tego z litości, lecz w imię przyjaźni. Nie chciałam urazić jej dumy.

Mam nadzieję, że to zrozumiała. Pozwoliła mi się zbliżyć o parę metrów.

Zostawiłam koszyk i obiecałam, że wrócę jutro, też z koszem pełnym prezentów. Poprosiłam ją również o to, żeby uprzejmie zostawiła pusty koszyk na polanie, bym mogła zabrać go do domu.

- Czy masz zamiar chodzić tam codziennie?

- Nie, nie mogę, gdyż nie miałabym czasu na nic innego, poza tym tu jest tyle do roboty. Jak tylko Corrie zacznie ze mną rozmawiać i lepiej się poznamy, wtedy chyba wystarczy, jak pójdę tam raz na tydzień z dłuższą wizytą. Myślę, że się zaprzyjaźnimy. Jeszcze nie powiedziałeś mi, czy się zgadzasz, czy nie.

- Chodzi ci o niedzielną kolację?

Przytaknęła.

- Jeżeli zadasz sobie tyle trudu, żeby przyrządzić posiłek, to oczywiście przyjdę - zawiesił głos. - Adam był zły, że sobie poszłaś nie mówiąc nikomu dokąd idziesz, prawda?

- Nie był zły. Był rozczarowany. - Westchnęła. - A to jeszcze gorsze, bo gdyby na mnie nawrzeszczał, nie miałabym takiego poczucia winy.

- Powiesz mu o jutrzejszych planach?

- Już to omówiliśmy i on się zgadza. Zrozum, Harrison, Adam nie chce, bym pytała go o zgodę na wszystko. Dobrze wie, że jestem na tyle dorosła, by sama podejmować decyzje. Po prostu chce, bym była ostrożna. Obiecałam, że już nigdy nie pójdę tam sama. A ty możesz się zająć - dodała. - Powinieneś włożyć coś na siebie. Dobranoc.

Skierowała się do wyjścia. Harrison chciał, by została. Złapał ją za ramię.

- Poczekaj - rzekł.

Odwróciła się do niego.

- Słucham?

- Nigdy nie znałem nikogo takiego jak ty.

Sam nie mógł uwierzyć, że powiedział coś tak banalnego.

- Jesteś bardzo dobra - dodał.

Mary Roses pamiętała, jakie okropne rzeczy o Catharine Moirison mówiła Cole'owi zaledwie parę minut temu, więc nie mogła zgodzić się na niesłuszną opinię Hamsona.

- Wcale nie jestem dobra - zaprzeczyła. - Staram się, ale czasami bywam jędzą. Potrafię być bardzo okrutna.

Harrison nie puszczał jej ramienia. Przyciągnął ją do siebie. Zdawał sobie sprawę, że traci głowę. Po raz pierwszy w życiu nie mógł i nie chciał powodować się zdrowym rozsądkiem. Już przedtem zdecydował, że nie będzie

się wiązał z Mary Roses.

Mimo to zamierzał ją pocałować.

- Co robisz?

- Obejmuję cię.

- Po co?

- Żeby cię pocałować.

- Mówisz poważnie? - zdziwiła się Mary Roses.

- Całkiem poważnie.

Powiedział to w sposób bardzo uwodzicielski. Chciała westchnąć, ale powstrzymała się.

- Czy chcesz, żebym cię pocałował?

- Nie o to chodzi - zawahała się. - Po prostu cię nie rozumiem. Prawie w ogóle się do mnie nie odzywasz przez cały tydzień, nawet nie patrzysz w moją stronę i nagle chcesz mnie całować? To bardzo nielogiczne.

Te wnioski zdziwiły ją samą. Hamson zaśmiał się.

- Wiem, że nie postępuję logicznie.

- Dlaczego chcesz mnie pocałować?

Postanowiła zmienić role. Teraz ona będzie zadawać pytania.

- Dlatego, że wierzę w uczciwą grę.

Nadal nie rozumiała. Przyciągnął ją do siebie, schylił głowę i pocałował ją w czoło, po czym chwycił jej ręce i oplótł nimi swą szyję.

Nie opierała się. Nadal była zdumiona, choć nie zażenowana. Nie objął jej i nie zamierzał tego zrobić, gdyby Mary Roses opierała się.

- Ty mnie całowałaś tyle razy - wyjaśnił. - O ile dobrze pamiętam. Teraz moja kolej, Mary Roses, i to właśnie nazywam uczciwą gra.

- O Boże, ty wcale nie spałeś!

Usłyszał w jej głosie zakłopotanie. Zwróciła wzrok ku jego torsowi.

Hamson uniósł jej głowę do góry. Przycisnął wargi do jej policzka, dokładnie tak samo, jak ona zrobiła to przedtem, a następnie pocałował ją w nasadę nosa.

W jednej chwili minęło jej onieśmienie.

- Było ci wtedy dobrze, prawda?

- Wcale nie - odrzekł.

- Nie? Dlaczego?

- Strasznie mnie rozbudziłaś, bo całujesz jak mała dziewczynka.

Zaczęła się bawić włosami Hamsona. Były delikatne jak jedwab. Westchnęła i przysunęła się jeszcze bliżej. Sprawiało jej przyjemność doznanie, jakie odczuwała, gdy przywierał do niej całym ciałem.

Emanujący z niego żar rozgrzewał ją.

- Pokaż mi, Hamson, jak chciałbyś, żebym cię całowała.

W końcu objął ją i poprosił, by rozchyliła wargi. Próbowana spytać dlaczego, lecz wtedy zamknął jej usta swymi, a ona zapomniała o wszystkim.

Przeszył ją dreszcz i instynktownie zacisnęła wokół niego swe ramiona.

Był to najcudowniejszy pocałunek, jakiego kiedykolwiek doświadczyła.

Usta Hamsona były gorące, pożądliwe, a zarazem delikatne. Jego język wsunął się do jej ust i zaczął się powoli poruszać. Namiętny pocałunek Hamsona sprawił, że osłabła z rozkoszy. Kurczowo przylgnęła do niego. Oplótł jeszcze silniej jej delikatne ciało. Czula jego drżenie i wiedziała, że jest tak jak ona podniecony pocałunkiem. Nagle zdała sobie sprawę, że dorównuje mu siłą i że

w tym samym stopniu, co on, panuje nad sytuacją. Jego wygłodniałe usta władczo pochyliły się nad nią. Mary Roses oddała mu równie namiętny pocałunek.

Przerwał pocałunek, chociaż ona chciała, by trwał wiecznie. Nie odsunęła się od niego nawet wówczas, gdy opuścił ręce. Pozostała przytulona twarzą do jego ciała. Słyszała bicie jego serca - a może było to tylko pulsowanie krwi w jej skroniach?

Oboje byli jednakowo podnieceni.

- Wcale nie chciałam przerwać tego pocałunku - wyszeptała zakłopotana.

Hamson zrobił głęboki wdech, próbując odzyskać panowanie nad sobą.

Chwiał się na nogach oszołomiony, ponieważ nigdy dotychczas nie czuł tak gwałtownego pożądania wobec kobiety.

- Czy chciałeś zakończyć ten pocałunek? - zapytała bez tchu.

Sprawilo mu przyjemność, że Mary Roses jest tak samo przejęta, jak on.

- Nie, nie chciałem - przyznał. - I właśnie dlatego go przerwałem. Puść mnie, Mary Roses. Już czas, żebyś wróciła do siebie.

Nie chciała odejść, ale wiedziała, że nie wypada zmuszać go do pocałunków. Powoli odwróciła się i podeszła do drzwi.

Odwróciła się od progu. Chciała powiedzieć dobranoc, lecz słowa uwięzły jej w gardle. Stała i zapatrzyła się w niego: wyglądał wspaniale. Padał na niego blask lampy naftowej i w tym świetle jego skóra przybrała złoty kolor.

Hamson opierał się o poręcz łóżka, a gdy zmienił pozycję, dojrzała, jak grają jego mięśnie. Douglas kiedyś powiedział jej, że Hamson ma siłę trzech mężczyzn, ale Mary Roses wiedziała, że nigdy nie użyje tej siły przeciw niej.

- Czuję się bezpiecznie, kiedy jestem z tobą.

Zdziwiła się, że powiedziała te słowa. Hamson uśmiechnął się.

- Powinnaś się tak czuć. Nigdy bym cię nie skrzywdził, Mary Roses.

- Czy znowu całowałam cię jak dziewczynka?

Hamson pokręcił głową.

- Nie, całowałaś jak kobieta. To, co zdarzyło się dzisiaj, nie może się powtórzyć. Nie powinienem był zaczynać czegoś, czego nie mogę dokończyć.

Zaczął pieścić jej włosy, ale wyczuwała, że robi to z pewnym napięciem.

- Nie możemy się angażować.

- Przecież już jesteśmy zaangażowani.

- Wcale nie - rzekł stanowczo.

Mary Roses nie mogła zrozumieć, co się z nim stało. Pokiwała głową i odeszła. Potem, leżąc w łóżku, ciągle myślała o tym, co zaszło. ze sposobu, w jaki ją całował, domyślała się, że nie jest Hamsonowi obojętna. Nie należała do osób cierpliwych, ale postanowiła, że spokojnie poczeka, aż dowie się, o co mu chodzi. Musiał istnieć jakiś ważny powód, dla którego nie chciał się angażować. Ten człowiek nie robił niczego bez powodu. Postanowiła poczekać, aż sam jej powie, o co w tym wszystkim chodzi i co stanowi tu przeszkodę.

Wtedy ona znajdzie sposób pokonania jej, bez względu na to, co to za przeszkoda.

Włożyła pantofle i szlafrok, po czym zeszła na dół do biblioteki. Był tam Adam, który po raz kolejny czytał którąś ze swych ulubionych książek.

Siedział w zniszczonym fotelu z brązowej skóry. Ogień trzaskający na kominku ogrzewał pokój.

- Adamie, czy mogę ci przeszkodzić?

Spojrzał na nią i uśmiechnął się.

- Oczywiście - rzekł. Zamknął książkę i położył ją na stoliku.

Po drugiej stronie kominka stał identyczny brązowy fotel, lecz Mary Roses przeszła obok niego i usiadła na podnóżku, na którym Adam opierał stopy.

- Chciałabym porozmawiać z tobą o Harrisonie.

- Czy coś się stało?

- Nie - zapewniła. - Nic się nie stało. Lubię go... i to nawet bardzo. Wydaje mi się, że on też mnie lubi.

- No to o co chodzi?

Spuściła wzrok.

- W zeszłym tygodniu poprosiłam, by mnie pocałował. W końcu dziś wieczorem się zgodził.

Rzuciła okiem na brata, by zobaczyć, jak zareagował. Adam nie zmienił wyrazu twarzy. Zdjął binokle i starannie położył je na książce.

- Pocałował cię?

- Tak - odrzekła.

- I co się stało potem?

- Powiedział, że już nigdy tego nie zrobi.

- Rozumiem - na jego twarzy odmalowała się ulga. - Czy powiedział ci dlaczego?

- Tak, ale jego wyjaśnienia były bezsensowne. Wiem, że mój pocałunek sprawił mu przyjemność, bo zachowywał się tak, jakby mu było miło. Teraz, kiedy o tym myślę, dochodzę do wniosku, że może wcale nie.

- Powiedziałaś, że podobało ci się, jak cię całował. Myślę, że musimy o tym porozmawiać.

- Owszem, bardzo podobał mi się ten pocałunek. Lubię Hamsona, ale on twierdzi, że nie możemy się ze sobą wiązać, i nie chce mi powiedzieć dlaczego.

Może obawia się, że będę za nim tęsknić - zastanawiała się. - Wraca do Szkocji, więc woli nie wiązać się z dziewczyną, którą musiałby wkrótce opuścić. A może jest taki jak Cole?

- A jaki on jest?

- Cole nie chce ulec żadnej kobiecie. Zawsze mi powtarza, że nigdy się nie ożeni. Czy myślisz, że Harrison jest taki sam?

- Nie znam go tak dobrze, by odpowiedzieć na to pytanie, ale za to znam Cole'a. On tylko tak mówi. Kiedy pozna kobietę, która przypadnie mu do gustu, zmienia zdanie.

- Dlaczego mężczyźni myślą o ślubie jak o jakiejś pułapce? Przecież, na miłość boską, kobiety nie odbierają im wolności?

- W pewnym sensie odbierają. Jak już ktoś jest żonaty, to na całe życie.

A jeżeli mężczyzna dokona złego wyboru, to znajdzie się w pułapce, prawda?

- Tak, ale kobieta też jest w pułapce.

Adam zamyślił się. Zdał sobie sprawę, że powinien dowiedzieć się czegoś więcej o Harrisonie. Jeżeli Mary Roses miała zamiar się z nim związać, to obowiązkiem Adama było dopilnowanie, by siostra nie została skrzywdzona.

- Adam...

- Tak?

- O czym myślisz?

- O Harrisonie - odpowiedział. - Myślę, że wcale nie wiemy o nim tak wiele. Uważam, że powinnaś trochę odczekać, zanim znowu poprosisz go, by cię pocałował.

Mary Roses skinęła głową.

- Postaram się - rzekła.

- Cole powiedział mi, że powinienem porozmawiać z tobą o mężczyznach, kobietach i...

- Sprawach intymnych - dokończyła.

- Tak, właśnie o tych sprawach.

- Już rozmawialiśmy o tym parę lat temu.

- Pamiętam i myślałem, że ty też o tym pamiętasz, ale Cole powiedział, że znowu pytałaś go, skąd się biorą dzieci. On uważa, że nic nie rozumiałaś.

Czy to prawda?

- Nie. Wszystko dobrze rozumiałam, gdyż świetnie mi wyjaśniłeś.

- Tak też myślałem. Zadawałaś wtedy bardzo dużo pytań.

- A ty cierpliwie na nie odpowiadałaś. Jako jedyny z braci powiedziałeś coś sensownego. Travis sprowadził wszystko do pszczoł i roślinek, a potem zaczął mi opowiadać jakieś biblijne przypowieści. Potem mówił o bochenkach chleba, które się same rozmnażały, i wtedy już się zupełnie zgubiłam. Jeszcze dodał, że za parę lat ja też się rozmnożę, zupełnie jak ten chleb. Kiedy zapytałam go, jak to się stanie, wysłał mnie do Douglasa.

- A co ci powiedział Douglas? - spytał Adam. Mimo że już dobrze znał tę historię, bardzo lubił jej słuchać.

- Powiedział mi, bym ruszyła głową. Zachowywał się jak gbur, widocznie ten temat go krępuje. Nawet nie chciał na mnie spojrzeć. Przez cały czas powtarzał: „na miłość boską” i w końcu powiedział, że mieszkam na wsi i wystarczy, żebym się rozejrzała dokoła, a wtedy na pewno wszystko zrozumie. Powiedziałam mu, że rozglądam się dokoła przez ostatnie jedenaście lat, ale i tak niczego nie rozumiem. W desperacji pokazał mi konie i rzekł, że jak dorosnę, to będę jak klacz, a jakiś mężczyzna przyjdzie do mnie jak ogier.

Adam śmiał się tak, że łzy napłynęły mu do oczu.

- Powiedz mi jeszcze raz, jak zareagowałaś na to porównanie?

- Byłam bardzo dotknięta, a porównanie uznałam za niesmaczne, więc Douglas przysłał mnie do ciebie.

Wytarł oczy wierzchem dłoni i w końcu się uspokoił.

- Skoro tak dobrze pamiętałaś naszą rozmowę, to dlaczego chciałaś, żeby Cole ci to jeszcze wyjaśniał?

- Nie mogłam się powstrzymać - przyznała. - Cole się wtedy tak śmiesznie zachowuje. Od razu się czerwieni i robi się taki podniecony, a to, jak wiesz, zupełnie do niego nie pasuje. Będę tak długo go pytać, aż mi w końcu odpowie.

Adam ponownie się zaśmiał.

- Koniecznie tak zrób. Ciekaw jestem, jakiego porównania użyje tym razem. Na pewno jakiegoś śmiesznego.

Westchnął i zmienił temat na bardziej poważny.

- Chyba teraz powinniśmy porozmawiać o tym, co czułaś, kiedy całowałaś się z Harrisonem.

Mary Roses nie oponowała. Nie czuła się bynajmniej skrępowana czy zawstydzona, ponieważ Adam zawsze działał na nią kojąco. Nie było tematu, którego nie mogłaby z nim poruszyć. Gdy opowiadała mu o tym, co ją dręczy, zawsze umiał wysłuchać jej z uwagą. Więc między nią i Adamem była bardzo silna, a jej wiara w jego poczucie sprawiedliwości - bezgraniczna.

Adama niepokoiło, że mogła być zaskoczona swymi uczuciami do Harrisona. Przypuszczał, że Mary Roses źle zinterpretowała swą namiętność i ponieważ jej nie rozumie, będzie przed nią uciekać. Pragnął, by jego siostra nie bała się niczego i nikogo. Uważał, że powinna cieszyć się życiem, a nie, tak jak on sam przez wiele lat, obawiać się go.

- Mężczyzna może iść do łóżka z kobietą nie kochając jej. Czy to rozumiesz?

- Tak, rozumiem. Kobieta może zachować się w ten sam sposób, prawda?

- Tak czasem bywa.

- Chciałbyś, żebym zdała sobie sprawę z tego, że pożądanie nie musi iść w parze z miłością?

- Tak.

- Nie martw się o mnie. Niepokoisz się, bo jestem niewinna, ale pamiętaj, że niewinna nie znaczy głupia.

- Tak, masz rację.

Rozmawiali jeszcze parę minut, dopóki Mary Roses nie zachciało się spać.

Pocałowała Adama na dobranoc.

- Szkoda, że nie ma z nami mamy. Tęsknię za nią.

- Kiedyś na pewno będzie z nami - zapewnił Adam. - Koszmar, który przeżywa, musi się skończyć. Być może pani Livonia zmieni zdanie i pozwoli mamie odejść. Wątpię, czy mama zechce odejść sama, zanim Livonia umrze.

W tej chwili jest ona całkowicie uzależniona od mamy.

- Nie mogę sobie wyobrazić, jak zachowywałabym się, gdybym była niewidoma. Nie sądzę jednak, bym stała się tak złośliwa jak Livonia.

- Ona zwłaszcza teraz potrzebuje mamy bardziej niż ty, Mary Roses.

- Czy jej synowie są rzeczywiście tacy nieczuli, że zapomnieli o własnej matce?

- Znasz odpowiedź na to pytanie. Zrobią wszystko, żeby zagarnąć jej majątek. Roses i Livonia mieszkają teraz w chacie koło dawnej posiadłości, którą synowie już sprzedali. Na razie jakoś sobie we dwie radzą. Tak długo, jak synowie Livonii zostawią je w spokoju, nie stanie im się żadna krzywda.

- Wysyłacie im pieniądze regularnie, prawda?

- Robimy, co możemy. Idź już do łóżka. Chcę jeszcze skończyć czytać ten rozdział o konstytucji. Mam zamiar podyskutować z Harrisonem jutro wieczorem i chcę być do tego przygotowany.

- Zanim pójde spać, napiszę do mamy list. Muszę jej opowiedzieć o Harrisonie. Na pewno chciałaby znać każdy szczegół.

- Myślałem, że już jej o nim pisałaś.

- Tak, ale to było, zanim mnie pocałował. Koniecznie muszę mamie o tym napisać. Dobranoc. Kocham cię.

- Ja też cię kocham, siostrzyczko.

Mary Roses poszła spać i zasypiając myślała o tym, jakie cudowne jest jej życie. Mieszka w pięknej dolinie ze wspaniałymi braćmi, a na dodatek ma wielbiciela, który kiedyś zacznie ją uwodzić. Najpierw będzie się z nim trochę droczyć, a potem da się usidlić.

Jej plany były wielkie, a życie - wspaniałe.

Była zakochana.

17 maja 1863

Droga Mamo Roses!

Słyszeliśmy tyle sprzecznych wiadomości o wojnie, że nie wiemy, co o tym myśleć. Zarówno Północ, jak i Południe przypisują sobie wszystkie zwycięstwa, więc kiedy docierają jakieś wieści, na ogół nie można im wierzyć. Jedyna rzecz, którą wiemy na pewno, to fakt, że giną setki młodych ludzi. Próbujemy jednak, tak jak nam radziłaś, nie przejmować się tym wszystkim, lecz jest to bardzo trudne. Ciągłe jesteś obecna w naszych myślach, modlitwach i sercach.

Twój list przyniósł nam ogromną ulgę. Byliśmy tak szczęśliwi, iż wreszcie, po prawie miesiącu oczekiwań, mamy od Ciebie jakieś wiadomości, że uczciliśmy to uroczystą kolacją: Cole zrobił potrawę z wiewiórek, Douglas upiekł ciastka, a ja przygotowałem świeże warzywa z naszego ogródka. Na deser jedliśmy pieczone jabłka i miętowe cukierki. Po kolacji zaczęliśmy śpiewać.

Wydaje mi się, że ja i Cole byliśmy zupełnie niezli, a Douglas i Travis beznadziejni, lecz nikt tak strasznie nie fałszował, jak Mary Roses. Twoja imienniczka nie śpiewała, tylko po prostu wyła.

Zacząłem się zastanawiać nad kupnem fortepianu, kiedy trochę, podrośnie, ale oczywiście musielibyśmy znaleźć jej nauczyciela, żeby ją, odpowiednio przeszkolił. Teraz wydaje mi się, że nie jest to najlepszy pomysł. Chyba byłoby to stratą czasu, ponieważ mała zupełnie nie ma słuchu. Mimo to uważamy, że powinna być dobrze wykształcona i ważne jest, by choć trochę znała się na muzyce. Zastanawiamy się, co powinna umieć. Travis uważa, że musi nauczyć się francuskiego. Mówi, że wykształceni ludzie władają co najmniej dwoma językami. Na razie jednak ograniczamy się do angielskiego. Najgorzej jest z gramatyką, z którą ma duże kłopoty - zwłaszcza z czasownikami. Zgodnie z Twoją radą nie przesadzamy z poprawianiem jej i zawsze chwalimy, kiedy dobrze wykona jakieś zadanie. Lubi sprawiać nam radość, a gdy się uśmiecha, to tak, jak gdyby promień słońca zawitał w nasze progi. Ona oświetla pokój, Mamo, niczym tysiące zapalonych świec.

Cole pokazał nam projekt domu, który chce wybudować. Byliśmy oszołomieni każdym szczegółem, nie wiedzieliśmy, że jest tak uzdolniony. Obawiam się, że bierze na siebie za dużą odpowiedzialność, ale nie chcę go zniechęcać.

Dom, którego projekt nam przedstawił, ma być dwupiętrowy z pięcioma sypialniami i tak ogromny, jak w eleganckich posiadłościach na Południu.

Zasugerowałem, by na zewnątrz był bardzo skromny, żeby nie przyciągał niczyjej uwagi. Z mojego doświadczenia wynika, że jeśli ludzie widzą jakiś ładny dom, to uważają, że w środku są bogactwa i stają się zawistni. Jeżeli ktoś posiada coś lepszego niż oni, to zaraz chcieliby to mieć za darmo i nie mają zamiaru na to zapracować. Ludzie z Blue Belle nie są tacy jak mieszcuchy. My tutaj szanujemy cudzą własność. Mam teraz siedem książek w mojej bibliotece, a Travis wybiera się w przyszłym tygodniu do Hammond i rozejrzy się, co można stamtąd przywieźć. Douglas zaczął oswajać parę dzikich mustangów, które schwytał razem z Cole'em. Douglas ma dar porozumiewania się ze zwierzętami. Mówi, że nie rozmawiają z nim, ale dają mu znać, kiedy coś jest nie tak.

Powoli zaczynamy dzielić się obowiązkami. Popatrz, jakie to ciekawe, że Bóg obdarzył każdego z nas jakimś szczególnym talentem. Ja mam głowę do cyfr, więc prowadzę rachunki. Jest cała kupa papierkowej roboty związanej z zakupem ziemi, a poza tym zacząłem prowadzić księgę naszych wydatków.

Morrison zaproponował nam kredyt na materiały budowlane. Będziemy musieli go spłacać co drugi miesiąc, a odsetki ustali on sam. Według mnie to coś w rodzaju pożyczki. Jeśli w pudełku po cygarach nie mamy już pieniędzy, to radzimy sobie bez nich. Nigdy nie jeżdżę do miasta. Postąpiłem tak, jak mi radziłaś, i staram się zwracać na siebie jak najmniej uwagi. Wszyscy sąsiedzi już tu byli, żeby mnie poznać, i myślę, że oswoili się z moją obecnością. Nowi przybysze są nieco zdziwieni, kiedy się dowiadują że żyje wśród nich Murzyn, ale jestem pewien, że kiedy poznają pozostałych członków rodziny, będą całkiem zdezorientowani. Cole twierdzi, że ponieważ mieszkańcy Blue Belle akceptują mnie, to ci nowi wyobrażają sobie, że tak musi być. Oczywiście pomogło tu zdobycie przyjaźni Morrisona. Byli naprawdę w kłopotcie, kiedy zapadł się im dach. Poszedłem wtedy do miasta i pomogłem położyć nowy. Pani Morrison zajęła się w tym czasie Mary Roses i mimo tego, że, jak twierdzi nasza siostrzyczka, mała Cathrine uderzyła ją i szarpała za włosy, jesteśmy przekonani, że bawiła się dobrze z nową przyjaciółką;

Chyba trochę odbiegłem od tematu. Skończyłem na tym, że Bóg dał każdemu z nas jakiś określony dar, a potem zacząłem się chwalić. Teraz napiszę ci o moich braciach. Cole ciągle ćwiczy się w sztuce strzelania, dzięki czemu chroni nas i poluje. I chociaż

przyznajemy, że jest w tym bardzo dobry, nie chcemy, żeby stał się bandytą. Cieszę się, że jest uzdolniony również w stawianiu domów i że przy okazji pomaga też innym. Douglas oswaja dzikie konie, a Side Camp wspomniał kiedyś, że chętnie kupi takiego, który nada się pod siodło. Douglas chce postawić stajnię, zanim zbudujemy dom, i ciągle sprzeczą się z Cole 'em, od czego należałoby zacząć. Cole w końcu ustąpi Douglasowi, ale chce się z nim trochę podroczyć.

Travis dba o zaopatrzenie naszego gospodarstwa. Ten chłopak potrafi każdego zagadać. Kiedy tylko czegoś potrzebujemy, zawsze potrafi to załatwić.

Jeszcze nie wiemy, jakim talentem została obdarzona nasza siostrzyczka.

Na pewno nie ma to nic wspólnego ze sztuką. Na dowód załączam rysunek, który zrobiła dla Ciebie. Ma on przedstawiać naszą chatkę, ale wątpię, czy byś się tego domyśliła. Dla mnie to po prostu bazgroły. Ponieważ była bardzo dumna ze swego dzieła, tośmy oczywiście ją bardzo chwalili. Nie znosi, jak nazywamy ją dzieckiem. Nie reaguje też na imię Mary. Jeżeli chcemy, by nam odpowiedziała, musimy zawołać ją pełnym imieniem. To naprawdę głupie bez przerwy zwracać się do niej Mary Roses Claybome, ale bardzo jej na tym zależy, więc niech już tak będzie. Każdego dnia zadaje nam setki pytań. Nadal uważam, że jest mądrzejsza od nas wszystkich razem wziętych, a moi bracia widząc, w jaki sposób wymusza na nas wszystko, czego chce, całkowicie się ze mną zgadzają. Pilnujemy, żeby zachowywała się jak należy. Jeżeli nas nie słucha, zamykamy ją samą dopóki nie zrozumie, że źle postąpiła. Jest bardzo nieszczęśliwa, kiedy się o niej zapomina. Cole zawsze gotów jest jej ustąpić, ponieważ ma miękkie serce, ale on także zdaje sobie sprawę, iż mała musi wiedzieć, że nie będziemy wszystkiego tolerować.

Wcale nie wydaje mi się, aby była taka nieszczęśliwa, kiedy zostawiamy ją samą. Nie dalej niż wczoraj pracowała ze mną w ogrodzie. Chciała, żebym przerwał, wziął ją do domu i dał miętowego cukierka. Kiedy odmówiłem, poszła tam sama i wzięła go sobie. Dobrze wiedziała, że będzie ukarana, ponieważ nie zadowolili się jednym cukierkiem. Zjadła wszystkie co do jednego. Po kilku minutach wyszła na zewnątrz, a na jej buzi widoczne były zielone plamy. Niosła swój kocyk i szmacianą lalkę, którą zrobił dla niej Travis. Przeszła tuż koło mnie i skierowała się przez podwórze w stronę wielkiego pnia, po czym na nim usiadła i zaczęła szlochać. Rozpracowała każdego z nas, Mamo. Musiałem odwrócić głowę, by nie wybuchnąć śmiechem.

Na tym skończę. Travis i Douglas dali mi już swoje listy do Ciebie, a Cole właśnie kończy pisać. Sprawia nam wielką przyjemność, że adresujesz do każdego z nas osobny

liścik. Każdy z nas lubi spędzić chociaż małą chwilę tylko z Tobą i jestem pewien, że kiedy Mary Roses podrośnie i będzie umiała czytać, także to doceni.

Moi bracia rozważają możliwość wstąpienia do armii i zrobienia wszystkiego, co w ich mocy, by Północ wygrała tę wojnę. Wścieka mnie każda wzmianka na ten temat, ale myślę, iż udało mi się wreszcie ich przekonać, że choć pobudki ich są słuszne, nie mogą stąd wyjeżdżać. Wszyscy złożyliśmy ślubowanie naszej siostrze i musimy jej dobro przedkładać nade wszystko.

Travis był zdania, że dziecko nie potrzebuje nas wszystkich naraz, ale kiedy zwróciłem uwagę na to, że każdy z nas spełnia tu jakąś pożyteczną rolę, zgodził się ze mną. To prawda, Mamo, potrzeba aż czterech prawie dorosłych mężczyzn, by zajmować się Mary Roses. Życie tu jest ciężkie. Trzeba dać z siebie wszystko.

aby przeżyć.

Co noc modlimy się za dzielnych żołnierzy z Północy.

Nie chciałbym jednak kończyć mego listu tak smutnym akcentem. Zdziwiliśmy się, gdy ten śliczny medalion, który wysłałaś, dotarł tu do nas. Paczka nie była nawet naruszona. Mary Roses przyłapała nas, kiedyśmy go podziwiali.

Powiedzieliśmy jej, że przysłałaś to dla niej, lecz dostanie go dopiero na swoje szesnaste urodziny. I wiesz co, Mamo? Urządziła nam niezłą awanturę, ale żaden z nas nie ustąpił. Znaleźliśmy kompromisowe wyjście i obiecaliśmy małej, że będzie mogła popatrzeć na medalion każdego wieczora, zanim pójdzie spać. I w ten sposób mamy już trzeci wieczorny zwyczaj. Mała musi napić się wody, wysłuchać bajki do poduszki, a teraz jeszcze ogląda swój medalion.

Na pewno jest przy niej sporo roboty, ale za to ile sprawia nam radości.

Kochający cię Adam Delikatny i dobroduszny Harrison, na oczach Mary Roses przemienił się nagle we wściekłego szaleńca. Dzień stał się prawdziwym koszmarem. Postanowiła powiedzieć Adamowi o tym przy kolacji.

Według niej wszystkiemu zawinił Harrison. Była tak na niego wściekła, że postanowiła z nim nie rozmawiać.

Dzień zaczął się zupełnie normalnie. Mary Roses spędziła przeszło godzinę szykując się do wyjazdu. Chciała wyglądać jak najładniej, właśnie dla Harrisona. Wcale nie uważała, że jest próżna, ponieważ na ogół nosiła to, co było wygodne. Ale tego dnia chciała wyglądać pięknie dla mężczyzny jej snów, który pocałował ją zeszłego wieczora. Wiedziała, że to śmieszne, ale nie przejmowała się tym. Po przymierzeniu trzech strojów wybrała błękitną

spódniczkę i białą bluzkę, a włosy związała biało-niebieską wstążką. Nie była zachwycona swoim wyglądem, ale sądziła, że z urodą, którą dał jej Bóg, nie może wyglądać lepiej.

Szybko zdała sobie sprawę, że niepotrzebnie zawraca sobie głowę. Po zdawkowym przywitaniu, Harrison zachowywał się całkiem obojętnie.

Do miasta pojechali wszyscy oprócz Adama. Travis chciał tam odebrać paczkę, Cole i Harrison mieli kupić nowe uzdy, a Douglas wybierał się do kuźni, żeby porozmawiać z kowalem. Mary Roses natomiast chciała kupić różne rzeczy, które mogłyby się przydać jej nowej przyjaciółce, Corrie.

Mary Roses pogodziła się z tym, że Harrison ją ignoruje, ale była oburzona jego nierozsądnym zachowaniem. Uparł się, że weźmie ze sobą stary rewolwer, do tego naładowany, i zapewniał Cole'a, iż będzie w stanie się nim obronić.

Mary Roses trudno było zrozumieć, dlaczego jest taki zawzięty. Wiedziała, że jej bracia są uzbrojeni, ale oni umieli obchodzić się z bronią i robili to dla ochrony. Głupawy rewolwerowiec Webster wraz ze swymi kompanami ciągle grasował po okolicy i dopóki Clayborne'owie nie byli pewni, czy opuścił ten teren, musieli mieć się na baczności.

Ponieważ był czwartek, nikt nie spodziewał się zobaczyć któregoś z Clayborne'ów w mieście. Idąc do sklepu pana Momsona Mary Roses modliła się, by nie spotkać tam Catherine. Wiedziała, że widok tej dziewczyny bez żenady flirtującej z Hamsonem sprawi jej przykrość. On był taki naiwny (zresztą jak większość mężczyzn, którzy dają zwodzić się kobietom), że nie podejrzewał, do czego zmierza Catherine, ale Mary Roses dobrze to wiedziała. Catherine chciała po prostu złowić Harrisona w pułapkę małżeństwa. Znalezienie mężczyzny nie stanowiło w tej okolicy problemu, ponieważ było ich prawie sto razy więcej niż kobiet, lecz znalezienie dobrego człowieka należało tu do rzadkości.

Mary Roses wcale nie uważała, że jest zazdrosna. Po prostu opiekowała się swoim gościem, a Catherine powinna sobie znaleźć kogoś innego. W czasie jazdy do miasta Mary Roses co najmniej pięć razy prosiła Douglasa i Cole'a, by zajęli się Hamsonem. Obu braciom szybko znudziło się składanie obietnic, że to zrobią, więc nakazali jej, by zostawiła ich w spokoju. Miała zamiar poprosić o to samo Trayisa, lecz ten jechał na koniu tuż obok Harrisona, a Mary Roses nie chciała, by gość dowiedział się o jej przesadnej trosce.

Ku jej radości w sklepie nie było Catherine. Mary Roses widziała, jak Harrison rozmawia z panem Morrisonem i jak zostaje przedstawiony Floydowi Penneyville'owi, mieszkającemu od niedawna w tych stronach. Tematem rozmowy był coroczny spęd bydła, który skończył się trzy tygodnie temu. Obaj mężczyźni żalowali, że nie uczestniczyli w tym wydarzeniu.

Mary Roses wychodziła ze sklepu, by pojechać po Douglasa do kuźni, kiedy spotkała Dooleya. W tym czasie Cole, Travis i Harrison rozmawiali z Floydem.

- Dzień dobry, panno Mary. Jak pani dziś pięknie wygląda. Henry mnie pogonił - powiedział i przypominając sobie o dobrych obyczajach, zdjął kapelusz. - Już powiedzieliśmy Cole'owi, że Webster jest tu razem ze swoimi kumplami. Szuka tylko kłopotów.

- Zawsze trzeba być na wszystko przygotowanym - przytoczyła słowa Adama.

Przeszli przez drewnianą kładkę.

- Henry mówił mi, że panienka zanosí różne rzeczy szalonej Corrie. Czy to prawda?

- Tak, ale Corrie wcale nie jest wariatką. I powiedz to swoim znajomym.

Ona jest moją przyjaciółką.

- Henry mówił, że panienka na pewno to powie. Mam dla panienki złą wiadomość. Bickley razem ze swoimi kumplami ze straży chce jechać na górę i wyrzucić stamtąd Corrie. Uważają, że jest niebezpieczna dla otoczenia.

Mary Roses przeraziła się.

- Jak oni mogą! - wykrzyknęła. Złapała Dooleya za ramię. - Czy już wyjechali?

- Jeszcze nie, ale przygotowują się do wyjazdu - wyjaśnił Dooley. - Na razie rozmawiają z nimi Henry i Duch. Panienka sama wie, jak Bickley lubi się chwalić. Chyba jest bratem samego diabła, panno Mary. Jego miejsce jest w Hammond, a nie tutaj, gdzie udaje takiego ważniaka. Jego kumple są jeszcze gorsi niż on. Jeden z nich jest taki brzydki, że chce mi się rzygać, jak na niego patrzę. Mówią, że są ze straży, i myślą, że im wszystko wolno.

Staruszek aż się zasapał. Chciał splunąć, jednak uznał, że nie wypada tego robić przy Mary Roses.

- Gdzie oni są teraz?

- W saloonie. Ale lada chwilę wyjeżdżają. Henry'emu zaczyna brakować pytań, a wiesz, jaki jest Duch. Od czasu, kiedy pije samogon swojej produkcji, zachowuje się jakoś dziwnie. Zanim zrozumie, o czym mowa, mijają całe godziny. Nie może się na niczym skupić, bo twierdzi, że cały czas rozmawia z duchami. Wydaje mi się, że bardziej niż to uderzenie pioruna zaszkodził mu alkohol. Panno Mary, dokąd panienka mnie ciągnie?

- Do saloonu.

- Chyba panienka nie ma zamiaru wchodzić do środka?

- Jeżeli będę musiała, to wejdę - rzekła. - Trzeba temu przeszkodzić.

Zaczęli biec, jednak Dooleyowi wkrótce zaczęło brakować tchu.

- Panienka pozwoli, że pójdę po jej braci - błagał sapiąc. - Niech panienka tu poczeka.

Mary Roses uznała, iż wejście do saloonu w asyście jest rozsądnym pomysłem. Zgodziła się poczekać, lecz zanim zdążyła usiąść na ławeczce pod knajpą, Bickley razem ze swoimi kompanami wyszli na zewnątrz. Pod saloonem czekały na nich przywiązane do słupów konie.

Postanowiła nie czekać ani chwili dłużej. Modliła się, by mężczyźni nie byli wstawieni. Nie знаła Bickleya osobiście, ale słyszała o nim historie, których nie warto było nawet powtarzać. Jego wygląd był równie okropny jak charakter. Miał długie brązowe włosy i małe świdrujące oczka. Wyglądał na oprycha i chyba rzeczywiście nim był. Miał niewiele ponad pięć stóp wzrostu i Adam zawsze mówił, że to człowiek, który jest mały, a stara się być duży.

- Bickley? Czy mogę zamienić z panem parę słów?

Mary Roses stała na chodniku i czekała, aż zostanie dostrzeżona. Miała nadzieję, że Bickley podejdzie do niej sam, a jego przyjaciele poczekają przy wejściu do saloonu.

Odwrócił się, gdy usłyszał swoje imię. Uśmiechnął się, zmrużył oczy, gdyż świeciło słońce, i zaczął zbliżać się ku niej. Niestety, za nim szli jego kompani.

- Co mogę dla panienki zrobić, panno Mary?

Bickley śmierdział przetrawionym alkoholem i potem. Mary Roses nie zdziwiła się, że znał jej imię. W Blue Belle mieszkało tak niewiele kobiet, że wszyscy mężczyźni z miasteczka i okolic wiedzieli, kim one są. Mary Roses była znana nawet w Hammond.

- Czy wybieracie się do Boar Ridge?

- Tak, właśnie tam jedziemy. Załatwimy tę wariatkę, zanim ona kogoś wykończy. Szanujemy prawo, a ponieważ w Blue Belle nie ma szeryfa, ja postanowiłem przejąć jego funkcje.

- Nie rozumiem, jak może pan uważać, że jest odpowiedzialny za kogokolwiek z Blue Belle - rzekła. - Mieszka pan przecież w Hammond, a nie tu.

Potrafimy sami dbać o nasze interesy.

Chciała mu powiedzieć, by wrócił tam, skąd przybył, i zajął się swoimi sprawami, ale bała się, że może go to sprowokować do zrobienia czegoś nieprzewidzianego.

- Szeryf z Hammond wcale nie chce mojej pomocy - rzekł - a tutejsi ludzie na pewno będą mi wdzięczni.

Jeden z jego kolegów zaczął się śmiać. Mary Roses próbowała się opanować.

Zrobiła głęboki wdech i zaczęła dyskutować z tą kreaturą.

- Nie dalej niż wczoraj pojechałam do jej domu i bardzo miło spędziłam tam czas. Corrie wcale nie jest szalona, tylko po prostu nieśmiała. Nie lubi, jak obcy ludzie wtrącają się do jej spraw, zresztą chyba nikt tego nie toleruje.

Corrie lubi tylko mieszkańców Blue Belle i okolic.

- Próbujesz nas odwieść od wykonania naszych obowiązków?

- Corrie jest moją przyjaciółką. Chcę, żebyście zostawili ją w spokoju - powiedziała twardo.

- Wcale nie muszę się panienki słuchać. Już postanowiliśmy, że tam jedziemy, prawda chłopcy?

Mary Roses nie mogła wytrzymać ani chwili dłużej.

- Jeżeli zrobicie krzywdę tej miłej dziewczynie, to sama pójde do sędziego Bumsa i złożę odpowiednią skargę. Każdego z was oskarżę o morderstwo z premedytacją i wszyscy moi przyjaciele z Blue Belle bardzo się ucieszą, jak zobaczą was na szubienicy.

Bickley nie znosił, gdy mu ktoś groził, zwłaszcza kobieta. Ponieważ był pijany, zapomniał o braciach Claybome. Uznał, że już najwyższy czas, by ktoś rozprawił się z tą, jak ją nazywał, bezczelną suką, i że on nadaje się do tego najlepiej. Pokaże jej, jak należy się zachowywać, a ona zaraz się uspokoi.

- A niby kim ty jesteś, że się tak do mnie odzywasz? - spytał tak gwałtownie, że krople śliny trysnęły mu z ust.

- Jestem osobą, która z daleka potrafi rozpoznać głupca - odpowiedziała.

Bickley nie odznaczał się szczególną błyskotliwością w mowie, lecz w ruchach był bardzo szybki. Zanim Mary Roses zorientowała się, co ten człowiek chce zrobić, złapał ją mocno za rękę i usiłował przyciągnąć do siebie. Wtedy kopnęła go w kolano. Przeszył go dojmujący ból. Uderzył ją w twarz najpierw grzbietem dłoni, a następnie pięścią.

- Zwariowałaś, Bickley? - spytał nerwowo jeden z jego towarzyszy. - Zostaw ją, bo jej bracia zaraz zaczną strzelać.

- Nie mam zamiaru dać jej spokoju, dopóki mnie o to sama nie poprosi.

Dobrze wiem, że sprawiam jej ból i o to mi chodzi. Połamie jej kości, jeśli mnie nie przeprosi i nie odszczeka tego, co powiedziała. A Claybome'ów powystrzelam wszystkich, jeśli tylko spróbują mnie powstrzymać.

Mary Roses szybko przysła do siebie po tych ciosach. Czowała krew w ustach i na pękniętych wargach. Przypuszczała, że silnie krwawi, gdyż coś spływało jej po podbródku. Ból jednak nie był na tyle silny, by zapomniała, jaki cel jej przyświecał. Musiała powstrzymać Bickleya od wyprawy do Corrie. To było konieczne, niezależnie od ceny.

Kopnęła go więc ponownie, i to znacznie mocniej niż poprzednio, a kiedy zwinął się z bólu, uderzyła go pięścią w prawą skroń tak silnie, że stracił równowagę i upadł. Adam zawsze powtarzał, że Mary Roses ma bardzo dobry lewy sierpowy. Chciała teraz udowodnić, iż komplement ten był zasłużony.

Myślała, że Bickley ją puści, ale on trzymał tak mocno, że o mało się nie przewróciła, po czym cisnął nią o słup. Uderzyła się w głowę i upadła na ziemię.

Straciła przytomność. Kiedy po paru minutach ocknęła się, ból rozsadzał jej głowę. Zamknęła oczy i próbowała opanować łomotanie w skroniach.

W uszach cały czas jej dudniło, co gorsza nasilało się to. Otworzyła oczy i uznała, że czuje się lepiej, gdyż przestała widzieć wokół siebie wirujące kolorowe światełka. Kompani Bickleya w popłochu biegli do swoich koni, potykając się o nią. Jeden kopnął ją w brzuch. Zawyla z bólu, zwinęła się w pół i próbowała przewrócić się na bok. Inny nadepnął na nią, wsiadając na konia, i podał jej suknię ostrogami.

Nadal była półprzytomna, więc nie mogła się osłonić. Cudem nie zginęła stratowana przez konie, czy raczej przez tchórzliwych towarzyszy Bickleya, którzy rzucili się nagle do ucieczki. Oczy same jej się zamykały. W pewnym momencie poczuła, że ktoś ją podnosi, a potem znów straciła przytomność.

W ciągu następnych minut wielokrotnie zapadała w ciemność i budziła się; gdy wreszcie odzyskała przytomność, zobaczyła, że wszyscy czmychnęli.

Usiadła i spostrzegła odjeżdżającego galopem Bickleya. Próbowała wstać, by go dogonić i zapobiec skrzywdzeniu Corrie. Prawie udało jej się uklęknąć, lecz to, co zobaczyła, tak ją zaskoczyło, że przewróciła się ponownie.

Oto spokojny i opanowany Hamson przeistoczył się nagle w barbarzyńcę.

Pojawił się jak anioł zemsty i wydawało się, że spada z nieba, gdy zaatakował uciekającego Bickleya. Wydawał przy tym nieludzki ryk.

Z wściekłością chwycił Bickleya i zrzucił go z konia. Wrzeszczeli teraz obaj. Mary Roses modliła się, by bijatyka się skończyła. Głowa bolała ją coraz bardziej. Hamson zamilkł, a jego śmiertelnie spokojny wyraz twarzy nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do jego zamiarów. Mary Roses była pewna, że jeżeli ktoś natychmiast nie powstrzyma Harrisona - on zabije Bickleya.

Widok Harrisona sprawił, że przeszył ją dreszcz grozy. Był taki okrutnie metodyczny w walce. Ani on, ani jego przeciwnik nie bił się jak dżentelmen.

Bickley usiłował wydobyć rewolwer, lecz Hamson nogą wybił mu broń z ręki.

Wtedy Bickley sięgnął po nóż. Wydawało się, że ta taktyka odpowiada Hamsonowi, gdyż od paru chwil się uśmiechał. Kiedy Bickley skierował na niego ostrze noża, ruszył na przeciwnika z niezwykłą szybkością i wytrącił mu go z ręki.

Usłyszała daleki strzał i ujrzała idącego ku niej Douglasa. Miał zawieszoną na ramieniu dubeltówkę, a w ręce trzymał gotowy do strzału rewolwer.

Kompani Bickleya, rozbrojeni i bez koni, szli teraz z powrotem do saloonu pod eskortą brata. Mary Roses domyśliła się, że Douglas zatrzymał ich przed stajnią.

Cole stał za Hamsonem z rękami skrzyżowanymi na piersiach i uśmiechał się, obserwując nieczystą walkę Bickleya.

Nagle zjawił się Travis i ukląkł u boku Mary Roses. Delikatnie wziął ją na ręce i wstał.

- Mój Boże, siostrzyczko, czy dobrze się czujesz? - spytał przerażony jej wyglądem.

Chciała kiwnąć głową, ale bała się, że sprawi sobie tym ruchem dodatkowy ból.

- Tak, wszystko w porządku, naprawdę. A ty się dobrze czujesz? Masz krew na koszuli.

- To nie moja krew, tylko twoja. Całą twarz masz pokrwawioną, chyba mocno cię pobił?

- Travis, dlaczego nie było was tak długo? Czekałam i czekałam, a was ciągle nie było.

- Mary Roses, to wszystko zdarzyło się tak szybko, chyba straciłaś przytomność. Czy naprawdę dobrze się czujesz?

- Dlaczego Hanison bije się z Bickleym? Przecież on podobno nie umie się bić. Idź do niego, zanim Bickley zrobi mu krzywdę. Przecież on może go zabić.

- A po co miałbym tam iść? Wszyscy widzieliśmy, co ten drań ci zrobił.

A Harrison jest szybki. Pewnie widziałaś, że złapał Bickleya, zanim ja czy Cole zdążyliśmy do nich dobiec.

- Proszę, postaw mnie na ziemi. Mogę stać sama.

- Nie puszczę cię, bo polecisz za Harrisonem. On nie zabije Bickleya - zapewniał. - Ale Cole pewnie by to zrobił, gdyby na ciebie spojrział. Wyglądasz strasznie, siostrzyczko. Krew płynie ci z czoła i z ust.

Henry i Duch byli w pobliżu, więc Travis zwrócił się do nich.

- Czy możecie się zająć moją siostrą? Muszę pomóc Hamsonowi.

- Zostaw ją z nami - rzekł Henry. - My się nią zajmujemy, prawda, Dooley?

- Oczywiście - obiecał jego przyjaciel.

Ciągle próbował opanować zadyszkę. Powiedział, że zdążył zaledwie dobiec do sklepu i zawiadomić braci, kiedy Bickley wyszedł z lokalu i zaczął bić panienkę Mary.

- To wszystko zdarzyło się tak niespodziewanie.

- To prawda - zgodził się Henry.

Uniósł Mary Roses w ramionach i przytulił do siebie. Ta próba ukojenia i osłonięcia jej prawie uniemożliwiła Mary Roses oddychanie.

- Ona jest lekka jak piórko - zauważył.

- Proszę, postaw mnie na ziemi, będę opierać się o ciebie i Dooleya.

- No dobrze - zgodził się. - Ale jak ci się zaczniesz kręcić w głowie, to cię z powrotem wezmę na ręce.

- Niech lepiej obieca, że nigdzie sobie nie pójdzie - rzekł Dooley Henry uznał, że to wspomniały pomysł, i zażądał od swej zakładniczki, żeby przy nim pozostała.

Duch wyszedł z saloonu.

- Przynies panience Mary krzesło, miskę wody i ręczniki, które są za barem - poprosił Henry. - Posadźmy ją pod ścianą i umyjemy, zanim Cole ją zobaczy.

- Powinniśmy się raczej starać, żeby Harrison nie widział jej w tym stanie.

- On już ją widział - rzekł Henry. - Jak sądzisz, dlaczego on jest taki wściekły?

- Wygląda na to, że się rozprawił z Bickleyem. Myślisz, że go zabił?

- Nie. Bickley jeszcze się rusza.

- Może to ostatnie podrygi przed śmiercią? - zasugerował dowcipnie Dooley. Potarł podbródek i zerknął na leżącego na ziemi i skrzęcającego się z bólu mężczyznę.

- Znając stosunek Hamsona do prawa, sądzę, że Bickley żyje.

- Założę się o pięć centów, że nie - oponował Dooley.

- W porządku.

- Jeżeli Bickley umrze, to ja wygrywam.

Henry pokiwał głową. Mary Roses błagała w duchu wszystkich obecnych, by wreszcie przestali gadać. Cała jej uwaga była skupiona na bandzie Bickleya.

Douglas usiłował zmusić jego kompanów, by zbliżyli się do Hamsona. Byli nadal uzbrojeni i Mary Roses obawiała się, że któryś z nich będzie próbował zabić Hamsona albo Cole'a.

- Widziałem, jak jeden z nich kopnął pannę Mary w brzuch - mruknął Henry. - A drugi na nią nadepnął. Widziałem to wszystko na własne oczy. Czy to nie okropne, że mężczyźni tak traktują kobiety?

Dooley zgadzał się z nim. Przemyślał to i uznał, że musi powiedzieć braciom i Hamsonowi, że też to widział. Pośpieszył w ich stronę.

- Harrison! Cole! Jeden z tych bandziorów kopnął Mary Roses w brzuch.

A ten drugi o mało jej nie zdeptał. A jeszcze inny podarł jej piękną sukienkę.

Zapewniam, że właśnie tak było.

Mary Roses, gdyby mogła, udusiłaby Dooleya. Specjalnie podburzał Hamsona i jej braci. Zanim zdążyła mu zamknąć usta, było już za późno. Harrison zdążył usłyszeć każde jego słowo. Nic nie powiedział. Wcale zresztą nie musiał, bo jego wyraz twarzy mówił sam za siebie.

- Dlaczego powiedziałeś o tym Hamsonowi? Cole lepiej posługuje się bronią - zauważył Henry. Pociągnął Mary Roses bliżej drogi, aby lepiej widziała przebieg walki.

- Powiedziałem Hamsonowi i Cole'owi - rzekł Dooley. - Ale wydaje mi się, że Harrison lepiej da sobie radę. Sam widziałeś, jak szybko rzucił się na Bickleya. Poza tym Cole słyszał, co miałem do powiedzenia. Czy ci bandyci zrobili panience jeszcze jakąś krzywdę?

Spojrzała na Dooleya z pobłażaniem. Nawet gdyby kumple Bickleya zrobili jej jeszcze coś, na pewno nie powiedziała o tym największemu plotkarzowi w mieście. Zanim Henry i Dooley zorientowali się, już jej nie było.

- Łap ją! - wrzasnął Henry. - Jeżeli będzie jakaś strzelanina, to ona nie wyjdzie z tego cała. Jest ciągle w szoku, Dooley. Sam przecież widzisz.

Dooley zdążył dobiec do Mary Roses, chwycić ją wpół i przyciągnąć z powrotem.

- Co to ja miałem przynieść? - zapytał Duch stając w drzwiach.

Podczas gdy Henry cierpliwie tłumaczył mu, co miał przynieść, Mary Roses znowu próbowała się wymknąć.

Nie spuszczała Harrisona z oczu. Stał w odległości około piętnastu stóp od Cole'a i Trava, którzy osłaniali go od tyłu i bacznie obserwowali zbliżających się ku nim kumpli Bickleya.

Najszybciej z nich sięgnął po rewolwer. Celnym strzałem Cole wytrącił mu broń z ręki, zanim tamten zdołał wyciągnąć ją do końca.

Pozostali bandyci natychmiast podnieśli ręce do góry. Najwyraźniej obawiali się dalszej strzelaniny.

Harrison obrócił się do Cole'a.

- Nie wtrącaj się! - rozkazał. - Ja sam ich załatwię!

Cole uśmiechnął się, a Travis pokręcił głową.

- Oni cię zabiją, a tego Mary Roses nie przeżyje - szepnął, by tylko Hamson i Cole go usłyszeli.

Harrison odwrócił się ponownie ku bandytom.

- Rzućcie broń! - krzyknął.

Czekał, aż spełnią jego polecenie, a wtedy zdjął własny pas z bronią i rzucił go Travisowi. Cole trzymał swój sześciopalcowy rewolwer wodząc nim po napastnikach. Zostało mu jeszcze tylko pięć kul - dokładnie tyle, ilu ich było.

Gdyby strzelali, nie miał zamiaru ich oszczędzać. Miał ochotę zabić któregoś z bandytów.

Niestety, nie dano mu tej szansy. Harrison skinął na ludzi Bickleya, by do niego podeszli.

- Czy on zamierza załatwić ich wszystkich naraz? - zapytał Travis.

- Zrobię tak, do cholery! - odpowiedział Harrison.

Cole znów się uśmiechnął. Obaj z Travisem cofnęli się o krok, by zostawić Harrisonowi więcej miejsca.

- Tyle powinno wystarczyć - wycedził Cole.

Mary Roses zaczęła żałować, że nie ma przy sobie rewolweru. Była tak wściekła, że pozabijałaby wszystkich, którzy nawinęliby się jej pod rękę, nie wyłączając braci oraz Harrisona. W pierwszym rzędzie zastrzeliłaby Cole'a, który całkiem nieźle się tu bawił.

Harrison zniknął w grupce mężczyzn, a w chwilę potem widziała już tylko kłębiące się ciała. Nie mogła dłużej na to patrzeć.

Odwróciła się i weszła do saloonu. Usiadła przy stoliku pod oknem, lecz nawet nie rzuciła okiem na zewnątrz. Duch stał przy barze z butelką w rękę, Postawił ją, kiedy spostrzegł Mary Roses.

- Co to ja miałem przynieść, panno Mary? - zapytał, drapiąc się w głowę.

- Nie przejmuj się. Pij sobie spokojnie.

- To dużo lepsze niż mój samogon.

- Dlaczego nie oglądasz walki jak wszyscy inni?

- Wprowadzam się w odpowiedni nastrój - odparł Duch.

Mary Roses zamknęła oczy. Wszystko ją bolało. Miała ochotę się rozplakać.

I pomyśleć, że tak bardzo pragnęła wyjść z domu. Pocieszała się myślą, że mogło być gorzej. Jednak myliła się. Jej udręka nie dobiegła jeszcze końca.

- Już panienka może wyjść. Nie powinna panienka siedzieć w saloonie.

Co by na to powiedział Adam?

W drzwiach pojawił się Dooley.

- Czy przyniosłeś wreszcie... - zapytał.

- A co to ja miałem przynieść?

- Wodę, miskę i ręczniki - rzekła Mary Roses z rezygnacją w głosie.

- A, rzeczywiście. Tak jest, pamiętam! - wykrzyknął śmiejąc się Duch i napełnił kolejną szklanekę.

- O! Właśnie nadchodzi Hamson i pani bracia - oznajmił Dooley.

Gdyby tu było tylne wyjście, Mary Roses z pewnością by z niego skorzystała. Nie życzyła sobie, by któryś z nich zobaczył ją w tym stanie, a przynajmniej tak to sobie tłumaczyła. Nie chciała nawet myśleć o prawdziwym powodzie, a było nim to, iż Hamson zmienił się nie do poznania. Nie wiedziała, co ma o tym myśleć. Stał się taki bezwzględny. Na Boga, nie myślała, że jest zdolny do takiego zachowania.

- Nie chcę, by Harrison mnie zobaczył. Każ mu czekać na zewnątrz, Dooley - zażądała.

Dooley podbiegł do niej.

- I tak już panienkę widział. Przecież to on panienkę znalazł. Kiedy upewnił się, że panienka oddycha, pognął za Bickleyem.

Cole i Travis weszli do środka w chwili, gdy Dooley kończył swoją kwestię. Za nimi szedł Harrison.

- Nie pamiętam tego - przyznała.

Spuściła wzrok, nie wiedząc, jak zareaguje na Harrisona.

- Straciłaś przytomność, Mary Roses - rzekł Cole - więc nie możesz tego pamiętać.

Następnie zwrócił się do Harrisona.

- Powinieneś był go zabić albo przynajmniej pozwolić, bym ja to zrobił - mruknął.

- Hamson złamał Bickleyowi rękę - wyjaśniła Mary Roses.

- Wcale nie złamał, tylko wykręcił - sprostował Henry. - Douglas prowadzi ich wszystkich do składu, a Momson poszedł po sznur.

- Jak to? - zapytał Dooley. - Czyżby mieli zamiar ich powiesić?

- Nie - odparł Henry. - Paru ludzi z miasta odwiezie ich z powrotem do Hammond. Tamtejszy szeryf pewnie ich przymknie.

- Czy jest tu w okolicy jakiś doktor, który by mógł opatrzeć Mary Roses?

- zapytał Hamson.

- Najbliższy mieszka w Hammond - odparł Cole.

- To za daleko - wtrącił Travis. - Lepiej zawieźmy ją do Morrisonów.

Pani Momson się nią zajmie.

- Chciałabym pojechać do domu.

- Już niedługo pojedziesz - obiecał Cole.

Ukląkł obok siostry.

- Dlaczego w ogóle na nas nie patrzysz? - spytał cicho.

- Bo nie chcę - odpowiedziała. - Chcę do domu. Natychmiast.

- Czy jesteś na nas obrażona?

Przytaknęła, po czym zaczęła jęczeć z bólu. Zdała sobie sprawę, że w ogóle nie powinna była siadać. Jej nogi tak zdrętwiały, że nie mogła wstać o własnych siłach.

- To dlaczego nie krzyczysz?

- To by mnie za bardzo bolało - wyjaśniła.

Nagle Hamson odepchnął Cole'a i wziął Mary Roses na ręce. Obchodził się z nią bardzo delikatnie. Kiedy zdała sobie z tego sprawę, była już prawie gotowa na niego spojrzeć.

- Co jej jest? - spytał Travis. - Czy jest wystraszona?

- Nie, gniewa się na nas - odpowiedział Cole. - Wolę być daleko, kiedy wybuchnie.

- Założę się, że w życiu nie widziałeś niczego podobnego - rzekł Travis do Harrisona.

Obaj z Cole'em wybuchnęli śmiechem, co bardzo dotknęło Mary Roses.

- Nie rozumiem, co w tym takiego śmiesznego! - krzyknęła.

- Po prostu cieszymy się, że Bickley cię nie zabił - wyjaśnił Travis.

Mary Roses popatrzyła na brata z niedowierzaniem. Cole próbował ją uspokoić.

- Spójrzmy na to z innej strony - rzekł. - Dziś już nie może zdarzyć się nic gorszego, więc na pewno będzie lepiej.

„Rzeczywiście - pomyślała. - Na pewno będzie lepiej. Chyba że Hamson znowu zacznie się popisywać.”

/ września 1863

Droga Mamo Roses!

Niezły numerek z tej Twojej córki. Wczoraj rano powiedziała Cole 'owi, żeby był cicho, a parę minut temu kazała Travisowi nie wtrącać się do nie swoich spraw. Zawsze niesłuchanie nas zdumiewa, kiedy mówi w ten sposób, i wtedy z trudem powstrzymujemy śmiech. Uwielbia nam rozkazywać, a ostatnio zaczęła powtarzać różne przekleństwa, które słyszała od Cole'a. Mieliśmy nauczkę i teraz staramy się nie mówić przy niej żadnych nieprzyzwoitych słów. Dużo czasu spędza sama i wtedy strasznie płacze. Naprawdę, potrafi być nieznośna.

Zaczęliśmy ją niedawno uczyć alfabetu. Na razie jest za mała, żeby zrozumieć, o co w nim chodzi, ale lubi być w centrum zainteresowania. Travis kupił jej tabliczkę i dwa pudełka kredy. Zjadła jeden kawałek i potem była chora. Nie sądzę, by zrobiła to jeszcze raz.

Wszyscy się o Ciebie martwimy, Mamo Roses. Bardzo się niepokoimy. Wiemy, że wojna trwa i dlatego nie dostajemy od Ciebie żadnych listów. Modlimy się o bezpieczeństwo Twoje i pani Livonii. Uspokoilibyśmy się trochę, gdyby dotarł od Was jakiś list. Wiemy, że piszesz, ale na pocztach jest teraz taki bałagan, że nie jesteśmy pewni, czy dostajesz nasze listy. Wierzę, że Bóg będzie się Tobą opiekował, a kiedy skończy się ten koszmar, będziesz wolną kobietą i przyjedziesz do swojej rodziny. Mary Roses bardzo Cię potrzebuje...

Niech Bóg ma Cię w swojej opiece, Douglas Nie powinna była podejmować wyzwania losu. Sprawy toczyły się coraz gorzej. Zaledwie dziesięć minut po upokarzającej napaści znalazła się w przykłej sytuacji. Siedziała w salonie Momsonów na fotelu, trzymając nogi na taborecie.

Wszyscy zniknęli w kuchni. Matka Catherine poszła po ręcznik i wodę, aby obmyć twarz Mary Roses, a jej córka zabawiała w kuchni pozostałych gości.

Mary Roses uważała, że zasłużyła na swój los, gdyż robiła krytyczne uwagi pod adresem Catherine. Chociaż w większości przypadków miała rację, nie powinna była jednak obgadywać koleżanki, która starała się spełnić wszystkie jej oczekiwania. Na początku, gdy Mary Roses weszła do tego domu, Catherine okazywała uprzejmość, ale pewnie dlatego, że miała widownię. Odegrała tę rolę znakomicie: nawet zapłakała widząc, w jak okropnym stanie znalazła się jej, jak to ujęła, „ukochana przyjaciółka”. Ale Mary Roses nie dała się zwieść pozorom. Wiele lat temu przejrzała Catherine. Gdy Catherine była małą dziewczynką, udawała przed rodzicami i braćmi Claybome, że jest miłą dla Mary Roses, lecz gdy tylko się odwrócili, natychmiast zaczynała ją bić. Niestety, czas nie wpłynął na zmianę tego zachowania. Jej współczucie dla Mary Roses skończyło się w momencie, gdy pani Morrison wyprowadziła mężczyzn do kuchni. Niby przypadkiem Catherine trzepnęła Mary Roses w twarz ręcznikiem, który wręczyła jej matka, po czym zajęła się uwodzeniem Hamsona.

Travis, Cole, Harrison i Dooley siedzieli przy kuchennym stole i zajadali się plackiem z jeżynami, który pani Morrison właśnie wyjęła z pieca. Z miejsca, gdzie siedziała, Mary Roses wyraźnie widziała Hamsona i niemal na nim uwieszoną Catherine. Kiedy stawiała przed nim talerzyk z ciastem, położyła dłoń na jego ręce. Mary Roses zdawało się, że minęła cała wieczność, nim się wyprostowała, i że Harrisonowi zupełnie to nie przeszkadzało.

Dla Mary Roses widok Catherine flirtującej z Harrisonem był okropną męczarnią, zwłaszcza że nie mogła nic na to poradzić. Travis koniecznie chciał zwrócić na siebie uwagę Catherine i przez cały czas obsypywał ją idiotycznymi komplementami.

- Ale żeś się wściekł, Harrison - rzekł pełnym podziwu głosem Dooley. - Myślałem, że wpadłeś w jakiś trans, kiedy ich tłukłeś, i pewnie wcale nie czułeś ich ciosów.

- Wcale nie straciłem głowy - zaprzeczył Harrison. - Dobrze wiedziałem, co robię.

Dooley nie miał zamiaru kończyć relacji o wydarzeniach, które miały miejsce w miasteczku.

- Kto by pomyślał - powiedział Dooley - że tak szacowny prawnik jak ty umie się bić. Cole zeszywniał.

- To on jest prawnikiem? - spytał.

- Tak - odpowiedział Dooley.

Cole powoli odłożył łyżkę, odwrócił się do Harrisona i mocno uderzył go w szczękę. Harrison comął się. Pocierając miejsce, gdzie otrzymał cios, wpatrywał się w Cole'a.

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Bo jesteś prawnikiem - odpowiedział Cole.

Wziął do ręki łyżkę i zaczął jeść.

- Dlaczego, do cholery jasnej, nam o tym nie powiedziałeś?

- Przecież to nie żadna tajemnica - rzekł Dooley. Podszedł do pieca i oparł się o niego.

W kuchni nie było na czym siedzieć, ale on nie miał zamiaru z niej wychodzić po krzesło, by nie stracić niczego z tej wymiany zdań.

Zjadł następny kawałek ciasta i rzekł:

- Wszyscy w mieście wiedzą, jak Harrison zarabia na życie. Nawet rozważaliśmy możliwość otwarcia biura adwokackiego naprzeciw sklepu.

- Jak spróbujesz mnie jeszcze raz uderzyć, to cię rąbnę - powiedział Harrison.

- Nie znoszę prawników.

- Na to wygląda - rzekł sucho Harrison. - A możesz mi powiedzieć dlaczego?

- Sam bym cię uderzył, ale Cole był szybszy - wymamrotał Travis.

- Cole właściwie mało kogo lubi, Harrison. Czy jeszcze o tym nie wiesz?

- spytał Dooley - Nie znosimy prawników, bo wszędzie wtykają swoje nosy. Ktoś powinien ich wszystkich razem powiesić, a potem uczcić to piknikiem.

- Mało brakowało, a mielibyśmy w mieście parę egzekucji tego ranka, panno Catherine - powiedział Dooley.

Harrison zaglądał co chwilę do salonu, by zobaczyć, jak czuje się Mary Roses. Bardzo długo trwały poszukiwania przez panią Morrison rzeczy potrzebnych do opatrzenia Mary Roses. Hamson stracił już nadzieję, że to kiedyś nastąpi.

- Po co tam chodzisz? - spytał Cole.

- Chodzi o twoją siostrę - przyznał Hamson ponownie wstając. - Pójdę zobaczyć, czy mogę jej w czymś pomóc.

- Niech lepiej pani Morrison to zrobi - rzekł Travis. - Kobiety wolą, żeby zajmowały się nimi inne kobiety.

Harrison usiadł.

- Ale jakoś im to strasznie wolno idzie - mruknął.

- Spokojnie, Harrison - rzekł Travis. Rzucił okiem przez ramię na siostrę, po czym odwrócił się do stołu. - Chyba czuje się dobrze. Nie martw się o nią.

- Ktoś się musi o nią martwić - z uporem wracał do tematu Harrison. - Ty i Cole zachowujecie się tak, jakby Mary Roses miała tylko stłuczone kolano, a przecież, na miłość boską, ona straciła przytomność. Mogłaby...

- Lepiej niech nie wie, że się o nią troszczysz - ostrzegł Cole.

Travis uśmiechnął się.

- To dobra rada. Dobrze ją sobie zapamiętaj.

Hamson nie mógł uwierzyć, że bracia byli tak obojętni na los Mary Roses.

Cole domyślił się tej refleksji, gdy tylko na niego spojrział.

- Ona jest nieduża, ale za to silna - zapewnił.

- Co z tego, jeżeli czuje się fatalnie - odparł Harrison. - Na Boga, nie pytaj jej, jak się czuje - ostrzegł Travis.

- Dlaczego?

- Jesteś podobno prawnikiem, więc sam się domyśl - odpowiedział Cole.

- Czy naprawdę myślisz o rzuceniu prawa i zajęciu się gospodarstwem?

- Tak - odrzekł Hamson. - Właśnie o tym myślę.

- Panie MacDonald, uwielbiam, jak pan mówi - odezwała się Catherine Morrison. Kiedy przechodziła obok gościa, żeby położyć na stole obrus, niby przypadkiem otarła się o niego. - Pan mówi tak oryginalnie, prawda, Travis?

- Według mnie to brzmi raczej tak, jakby coś utkwilo mu w gardle - wyrzucił z siebie Travis. Nie podobało mu się, że kobieta, z którą chciał się związać, zachwyca się kimś innym.

- Och, Travis, jesteś taki rozkoszny, kiedy żartujesz.

Cole i Hamson wymienili spojrzenie pełne irytacji. Harrisonowi zdawało się, że widzi na wylot rzekomo nieśmiałą Catherine. Cole uważał, że panna Morrison zachowuje się jak stara panna, która desperacko usiłuje znaleźć męża.

Natomiast Travis sądził, że jest najbardziej urzekającą istotą w całym Blue Belle.

Catherine nie przestawała flirtować. Mary Roses nie mogła już tego dłużej słuchać. Miała dosyć siedzenia samotnie w salonie. Chciała wracać do domu i pragnęła, by ktoś się nią zajął. Wydawało jej się, że gdyby nie to, iż rany na czole i ustach przestały krwawić, dawno by umarła, gdyż nikt się nią nie zainteresował.

Zdrętwiała od siedzenia z nogami na taborecie. Wstała i zachwiała się, lecz odzyskała równowagę. Wyprostowała się i zajrzała do kuchni, by sprawdzić, czy ktoś zauważył, że się podniosła, lecz nikt tego nie spostrzegł. Wcale jej to nie zdziwiło - wszyscy pochłonięci byli jedzeniem ciasta.

Wyszła na zewnątrz i zobaczyła, że konie są przywiązane do płotu. Kiedy schodziła po stopniach ganku, nadjechał Douglas.

- Okropnie wyglądasz, Mary Roses.

- Czy to takie dziwne? Przecież zostałam pobita. Kiedy o tym pomyślę...

Przerwał jej, zanim wyliczyła wszystkie swe obrażenia.

- Już dobrze. Nie ma co narzekać - powiedział Douglas.

Zszedł z konia i udał się w kierunku werandy.

- Gdzie są wszyscy?

- W środku. Jedzą ciasto pani Morrison. Podobno jest pyszne, ale ja oczywiście nie wiem, jak smakuje, bo nikt mnie nie poczęstował.

- A ty ciągle to samo. Od narzekania nie będziesz się lepiej czuła.

Podszedł do niej i poklepał ją po ramieniu.

- Właśnie że będzie mi lepiej - zapewniła go. - Lubię narzekać.

- Wiem - rzekł zrezygnowanym głosem.

Uśmiechnął się. Jego dobry humor rozdrażnił Mary Roses. „Co, na Boga, mam zrobić, żeby zyskać odrobinę współczucia?” - pomyślała.

- Kiedy wspomnę to, co dziś przeszłam...

- A właściwie dokąd się wybierasz?

- Do domu - odpowiedziała, - I nie próbuj mnie od tego powstrzymać!

Douglas w końcu zrozumiał, że jego siostra jest zrozpaczona. Zdawało się, że za chwilę wybuchnie płaczem.

- W porządku - rzekł. - Pojedziemy do domu. Poczekaj tu, a ja pójde po innych i wrócimy wszyscy razem. Obiecuję, że nie będę zwlekał.

Udała, że się zgadza, bo chciała, by poszedł sobie jak najszybciej. Dobrze wiedziała, że chociaż Douglas zamierza dotrzymać obietnicy, kiedy tylko wejdzie do kuchni pani Morrison, zapomni o zabraniu jej gdziekolwiek.

„Och, ci mężczyźni - myślała Mary Roses. - Tak łatwo nad nimi zapanować.

Wystarczy pogłaskać po głowie, dać coś dobrego do jedzenia, a pójda za tobą wszędzie. Dodaj do tego uśmiech i parę głupich komplementów, a od razu zapomną o wszystkich swoich zobowiązaniach, jak na przykład o udzieleniu pomocy siostrze konającej na werandzie. Na Boga, ktoś musi mnie pocieszyć, nawet gdybym musiała jechać do samego Hammond i prosić o to jakiegoś obcego człowieka” - użała się nad sobą w duchu.

Usadowiła się wygodnie w siodle i ruszyła do domu. Zmusiła się do zmiany nastroju. Wcale nie czuła się teraz tak źle. Zawsze, kiedy zdarzyło jej się coś niemiłego, starała się to porównać z czymś, co spotkało ją wcześniej. Teraz przypomniała sobie, jak została zaatakowana przez pszczoły i doszła do wniosku, że pobicie jej przez Bickleya nie było najstraszniejszą rzeczą, którą przeżyła.

Wtedy, jako dziecko, użadłona przez cały rój pszczoł, o mało nie umarła.

Tak przynajmniej opowiadał jej Adam. Ona sama pamiętała niewiele, oprócz strasznego bólu. Mimo to nie użała się nad sobą, choć bracia nie mieliby jej wtedy tego za złe.

- Mary Roses, zwolnij trochę i poczekaj na nas! - krzyknął Douglas.

Zrobiła, jak kazał, lecz kiedy dogonił ją i ujrzała okruchy ciasta w kącikach jego ust, zachmurzyła się.

- Czy ona może sama jechać? - spytał Harrison.

- Ona próbuje - odpowiedziała Mary Roses.

- Może byś się lepiej czuła, gdybyś jechała ze mną? - wykrzyczał pytanie Cole.

- Wątpię. Pupa mnie strasznie boli. Chyba zapomniałeś, co mi się przytrafiło.

- A ty mi chcesz przypomnieć, tak?

Już chciała się uśmiechnąć, ale powstrzymała się w ostatniej chwili. Nie chciała, by któryś z braci zrozumiał jej grę. Nie byłoby całej zabawy, gdyby domyślili się, że głównym powodem, dla którego narzekała, było zdenerwowanie braci.

- Zostałam brutalnie skopana...

- Naprawdę nie ma co tego wspominać.

Cole dogonił ją i wziął przed siebie na siodło.

- Widzisz, teraz będziesz się czuć dużo lepiej - rzekł.

Cole zachowywał się tak, jakby nie spotkała jej żadna przykrość. Bracia i nawet Harrison także taką przyjęli postawę. Mary Roses, żeby zdenerwować Cole'a, znowu zaczęła narzekać. Tym razem znalazł się w pułapce. Mogła jęczeć, ile tylko chciała, a on musiał jej wysłuchać. Na ogół, kiedy tylko zaczynała się użalać, wszyscy wychodzili. Zauważyła to już parę lat temu i właśnie dlatego wymyśliła swoją zabawę. Gdy chciała być sama, zaczynała narzekać, a potem wygodnie siadała i obserwowała braci, jak uciekają od niej, byle dalej. Jej gra zawsze odnosiła skutek.

W tej chwili pragnęła jak najszybciej wrócić na swojego konia. Chciała, by wszyscy zostawili ją w spokoju, by mogła spokojnie przeanalizować dziwne zachowanie Hamsona. Jego charakter nagle zmienił się tak, jakby ktoś rzucił na niego czar. Co, na miłość boską, stało się z tym delikatnym mężczyzną, którego tak lubiła? Postanowiła, że zanim spojrzy mu w oczy, wszystko uporządkuje sobie w myślach.

Cole'owi szybko znudziło się słuchanie jej skarg, jednakże nie chciał, by sama jechała na koniu. Przekazał ją Douglasowi, który wytrzymał niecałe pięć minut. W końcu trafiła do Travisa.

„Mam już trzech z głowy, został tylko jeden” - pomyślała.

- Mary Roses, głowa boli od twojego gadania - poskarżył się Travis. - Poczekaj, aż zajedziemy do domu. Wtedy sobie wygodnie usiądziesz i napiszesz długi list do mamy Roses. Opowiesz jej, jak strasznie się czujesz, dobrze?

- Nie, nie mogę tego zrobić - odpowiedziała Mary Roses. - Mama wcale nie będzie chciała tego czytać. Powiedziała mi kiedyś, że młodej damie nie przystoi narzekać, nawet jeżeli sprawia jej to przyjemność.

Travis zaśmiał się.

- Skarżyłaś się na nas w swoich listach, prawda?

- Byłam wtedy bardzo mała - broniła się Mary Roses. - Dzięki mamie przestałam to robić. Mówiła, że nie jestem lojalna w stosunku do moich braci i że nigdy nie powinnam na nikogo skarżyć. Ale gdyby mnie teraz zobaczyła, to by mi na pewno bardzo współczuła. Przecież on mnie mocno uderzył i...

- Harrison, teraz twoja kolej! - krzyknął Travis.

- Już nie będę narzekać - szepnęła.

Travis nie uwierzył jej. Przerzucił ją na konia Hamsona i Mary Roses wylądowała na jego muskularnych udach.

Harrison powiedział, by oparła się o niego. Zrobiła to i zaraz odprężyła się trochę. Patrzyła przed siebie, myśląc o tym, jak delikatnie on ją obejmuje.

Pogrążyła się w myślach. Nagle zdała sobie sprawę, że wygląda okropnie, lecz doszła do wniosku, że nie pora teraz martwić się swym wyglądem. Wiedziała, że nie potrafi logicznie myśleć o Hamsonie. Ciągle się na niego gniewała, chociaż bardzo jej zaimponował, gdy pogonił Bickleya i jego kumpli. A już dziesięć minut później nie była w stanie znieść widoku flirtującej z nim Catherine.

Była jeszcze oszołomiona wszystkimi wydarzeniami.

Harrison nie mógł dłużej znieść milczenia.

Odgarnął jej włosy z czoła i przywarł do niej.

- Czy cierpisz. Mary Roses?

- Nie.

- Potrzebna ci pomoc - stwierdził. - Jeżeli chcesz, mogę pojechać do Hammond po lekarza.

- Nie trzeba, czuję się dobrze, naprawdę - zapewniła. Delikatnie uścisnęła Mary Roses.

- Spróbuj się odprężyć.

Kiedy parę minut później wyszeptał jej imię z tym swoim irlandzkim akcentem, niemal zdrząła z podniecenia, jednak opanowała się.

To był na pewno skutek tego uderzenia - przecież gniewała się na niego.

- Dlaczego nie chcesz na mnie spojrzeć? Czy przestraszyłem cię? - spytał tkliwie. Był teraz miły, delikatny i ujmujący. Miała ochotę go za to uderzyć.

Nie odpowiedziała. Harrison westchnął.

- Zapomnij, że o to pytałem - powiedział. - Chyba się pomyliłem.

Kilkanaście następnych minut minęło w ciszy, jednak poczucie winy w końcu zmobilizowało ją do powiedzenia mu prawdy - Niezupełnie się myliłeś. Nie bałam się ciebie, lecz tego, co się z tobą stało. Mówiłeś, że potrafisz się obronić, a ja ci nie wierzyłam. Nie lubię mężczyzn, którzy się biją.

- W takim razie chyba nie znosisz swoich braci.

- Kocham moich braci, ale nie ciebie.

Wiedział, że go nie kocha, jednak nie chciał usłyszeć tego z jej ust.

- Wciąż nie wiem, co się ze mną wtedy stało.

- Czy ktoś rzucił na ciebie czary? - spytała z niepokojem.

Harrison próbował nie roześmiać się.

- Nie sędę. Kiedy wziąłem cię w ramiona, coś się ze mną stało. Nie mogę tego wyjaśnić. Byłaś bezwładna i zakrwawiona. Nie wiedziałem, czy oddychasz. Nie wiedziałem, czy jeszcze...

Mary Roses była zadziwiona tym, co mówił. Nie mogła powstrzymać się od przerwania Hamsonowi.

- Ty mnie podniosłeś? Dooley mówił, że tak było, ale nie chciałam mu wierzyć.

- Byłaś nieprzytomna, więc niczego nie pamiętasz - wyjaśnił. - Musiałem coś zrobić, bo zostałabyś stratowana przez konie. Wiem, że zjawiłem się może trochę za późno. Leżałaś na ziemi i, na miłość boską, nawet nie starałaś się chronić głowy.

Harrison wzdrygnął się na samo wspomnienie.

Instynktownie przytulił ją mocniej do siebie i Mary Roses zdała sobie sprawę, że Harrison musiał się tym bardzo przejąć, - A co zrobiłeś, kiedy mnie podniosłeś?

- Zanim cię podniosłem, zobaczyłem, że oddychasz. Powinienem był cię wtedy trochę uspokoić, ale tego nie zrobiłem. Zostawiłem cię tam, gdzie wiedziałem, że będziesz bezpieczna, i ruszyłem za tym draniem.

Teraz wcale go już nie słuchała. Była za bardzo rozmarzona. Czyż nie mówiła mu, że są do siebie podobni? A jak się wtedy z nią o to sprzeczał!

Pamiętała nie tylko każde jego słowo, ale także to, jak wtedy pobladł.

Zastanawiała się, czy byłoby nietaktowne teraz mu o tym przypomnieć.

Może przyznałby jej rację.

- Z tego wynika, że wcale nie zastanawiałeś się nad tym, co robisz.

Działałeś pod wpływem chwili, prawda?

Wiedział dokładnie, dokąd zmierza zadając mu to pytanie. Wzruszył ramionami opanowując uśmiech. „Boże, jaka ona jest bystra” - pomyślał.

- Wcale nie mówiłem...

- A właśnie że mówiłeś. Twoja filozofia trochę cię zawiodła. Pamiętasz, co mówiłeś? Rób najpierw to, co dyktuje ci serce, a dopiero potem to, co każe rozum.

- Pomyliło ci się. To miało być odwrotnie.

- Wiem - rzekła z uśmiechem. - Sędę, że po prostu zapomniałeś. Czy zdajesz sobie sprawę, jaki mi powiedziałeś komplement?

- Naprawdę? A ty mnie obraziłaś.

Zaczęła się śmiać. Najwyraźniej w ogóle nie była skruszona. Odgłosy jej radości dobiegły do Cole'a. Kiedy tylko ich dogonił, spostrzegł, jak blisko siebie Harrison trzymał Mary Roses. Wyglądało to tak, jakby się do niej przytulał.

- Czy nie trzymasz mojej siostry za blisko siebie?

- Nie wtrącaj się, Cole - odpowiedział Harrison.

Mary Roses uśmiechnęła się. Cole był zdziwiony, że ktoś odezwał się do niego takim tonem. Nie był do tego przyzwyczajony. Żaden z dotychczasowych gości Różanego Wzgórza nie ośmieliłby się w ten sposób odpowiedzieć któremukolwiek z braci. Mary Roses nie знаła nikogo takiego jak Harrison.

Cole postanowił tego nie roztrząsać. Zwrócił się do siostry i uśmiechnął, co zdarzało mu się bardzo rzadko. Kiedy nadal się uśmiechał, Mary Roses zorientowała się, że coś jest nie tak.

- Dlaczego tak się do mnie uśmiechasz? - spytała podejrzliwie.

Wcale nie zamierzał powiedzieć jej prawdy - Mary Roses i tak wyglądała żałośnie. Na jej posklejanych krwią włosach smętnie wyglądała niebiesko-biała wstążka. Skrzepła krew pokrywała także jej czoło i szyję.

„Dostanie ataku serca, jak zobaczy się w lustrze” - pomyślał Cole.

- Cieszy mnie, że lepiej się czujesz - powiedział siostrze.

Ciągle jechał obok nich, co denerwowało Mary Roses, gdyż chciała zostać sama z Hamsonem. Nie skończył jej jeszcze opowiadać, co czuł, i Mary Roses była pewna, że nie będzie kontynuować, dopóki Cole nie odjedzie. Chciała, by brat zostawił ich w spokoju, i wiedziała, jak go do tego skłonić.

- Wcale nie czuję się lepiej.

- Jak to? Przecież przed chwilą się zaśmiewałaś.

- Ja majaczę, bo strasznie cierpię. Czy już zdążyłeś zapomnieć, co się wydarzyło? Rozsadza mi głowę, a moje biodro...

Nie musiała mówić nic więcej. Cole od razu zniknął. Zdążyła tylko zobaczyć, że przejmuje prowadzenie od Tralisa. Douglas natomiast jechał w sporej odległości za wszystkimi, by móc ich chronić przed ewentualnymi niespodziankami.

- Na czym to skończyliśmy?

- Że bardzo się o ciebie niepokoję. Czy bardzo cierpisz? Potrzebny ci lekarz - nalegał znowu.

Pogłaskała go po dłoni.

- Naprawdę, czuję się dobrze. Pamiętam, co mówiłeś...

- Czy na pewno czujesz się dobrze? Byłaś taka słaba, kiedy rozmawiałaś z Cole'em. Uważam, że powinien jednak obejrzeć cię lekarz.

Znów pogłaskała jego dłoń.

- Jesteś bardzo miły, że się tak o mnie niepokoisz, ale, wierz mi, czuję się dobrze. Nie możesz nic na to poradzić, prawda?

- Na co? Że jestem taki miły?

Uśmiechnęła się.

- Nie. Na to, że się tak o mnie troszczysz.

Właśnie teraz nadeszła chwila, by powiedzieć, co do niej czuje.

- Oczywiście, że się troszczę o ciebie. O twoich braci też. Przecież przygarnęliście mnie do swego domu i nakarmiliście. Daliście mi łóżko i...

- Wystarczy cię przytulić i nakarmić, a do końca życia będziesz zobowiązany.

- Co ty opowiadasz?

- Nieważne.

- Czy wreszcie na mnie spojrzysz?

- Już prawie jestem gotowa - rzekła. - Ale najpierw musisz mi coś obiecać.

- Co takiego?

- Nie daj na siebie rzucić żadnych czarów. Bądź taki, za jakiego cię uważam, dobrze?

- Nikt nie rzucił na mnie żadnego czaru. Mary Roses, i zanim zrobię, o co prosisz, chciałbym dowiedzieć się, za kogo ty mnie uważasz.

Uznała, że może przystać na taki układ, i zwróciła ku niemu twarz, jednak bardzo szybko zaczęła tego żałować. Harrison przez chwilę wydał się zdumiony, po czym uśmiechnął się głupkowato dokładnie tak, jak zrobił to Cole parę minut wcześniej.

Nim zdążyła spytać, wyjaśnił swą reakcję.

- Trochę przypominasz mi Ducha - rzekł.

- A czy to źle? - wyszeptwała.

Zaczął poprawiać jej włosy.

- Przecież wyglądałam tak samo w mieście, a jakoś wtedy się nie śmiałeś.

- Byłem wtedy zdenerwowany, a teraz jestem spokojny. Poza tym twoje włosy..

- Czy coś jest z nimi nie w porządku?

Odepchnęła rękę Hamsona, by samej ułożyć włosy.

- Mam nadzieję, że ich końce nie sterczą do góry i że nie są sklezione.

O Boże, czy ja naprawdę wyglądam jak Duch?

- Nie, on ma przedziałek z boku, a ty nie.

- Mary Roses, nigdy nie zgadniesz, kto na nas czeka! - krzyknął Cole. - Clive Harrington jest na naszym podwórku.

Cole stał w miejscu, skąd dobrze było widać ich dom. Mary Roses natychmiast zapomniała o tym, jak wygląda, i kazała Harrisonowi dogonić brata.

- Pewnie Clive jest chory - zawołała.

Cole zaprzeczył ruchem głowy.

- Chyba nie.

Travis jako drugi dotarł do wzniesienia.

- Co ten woźnica robi na naszym podwórku?

Mary Roses była pewna, że coś musiało się wydarzyć. Clive trzymał się pewnych zasad. Nigdy nie wjeżdżał swoim pojazdem na teren cudzej posiadłości. Na ogół zostawiał pasażerów po drodze i sami musieli poradzić sobie z dotarciem do domu. Goście byli traktowani na tych samych zasadach. Clive nie przejmował się ani bagażem, ani samymi przyjezdnymi. Zawsze mówił Mary Roses, że ma ważniejsze sprawy na głowie.

Za każdym razem dawał jej do zrozumienia, że specjalnie dla niej może zmienić swoje zasady, ale Mary Roses nie chciała być traktowana inaczej niż inni. Clive uważał, że jest ona aniołem zesłanym z niebios, który ma mu pomóc postępować zgodnie z zasadami.

Kiedy wreszcie razem z Hamsonem dotarła do wzniesienia nad doliną, spostrzegła Clive'a chodzącego tam i z powrotem.

- Musiało się zdarzyć coś strasznego - oznajmiła. - Zobaczcie, jaki jest wzburzony.

- Gdzie jest Adam? - spytał Travis.

- Pewnie w domu - odezwał się Douglas.

- Chyba rzeczywiście coś się musiało stać.

- Po co od razu spodziewać się najgorszego? - powiedział Harrison. - Może właśnie stało się coś cudownego i woźnica z niecierpliwością czeka, by móc nam o tym powiedzieć.

Odwróciła ku niemu niezadowoloną twarz, by zobaczyć, jak bardzo zdenerwowały ją te bezsensowne przypuszczenia.

- Może go okradli? - spekulował Travis.

- Wątpię - odpowiedział Cole. - Przecież wszyscy wiedzą, że nigdy nie nosi ze sobą nic wartościowego.

- Pospieszmy się - błagała Mary Roses. - Muszę pomóc Clive'owi. Na pewno ma jakieś kłopoty.

- A może Harrison ma rację? - zastanawiał się Cole. - Może Clive przyjechał z jakąś dobrą wiadomością?

- Po tym, co przesłałam dziś rano, to musi być coś niedobrego. Zasłużyłam na to.

- Znowu zaczynasz?

- Powiedziałam wiele niemiłych słów o Catherine - wyznała bratu. - Wszystko, co mówiłam na jej temat, jest prawdą, ale nie powinnam była tego mówić. Lecz mam jeden argument na swoją obronę: gdybyś wiedział, jakie męki przeszedłam przez nią w dzieciństwie, kiedy była moją jedyną koleżanką, to byś natychmiast mi wybaczył. Ona była gorsza od jadowego węża.

Travis uśmiechnął się do Harrisona.

- Mary Roses ciągle ma żal do Catherine za to, że obcięła jej włosy.

- Obcięcie włosów jest akurat najmniej ważne. Albo wszyscy jedziemy do domu, albo odsuńcie się i dajcie nam przejechać.

Bracia w końcu ruszyli i po paru minutach wszyscy byli już na farmie.

Clive pospieszył, by pomóc Mary Roses zejść z konia.

- Mój Boże, co się panience stało?

- Bickley mnie uderzył.

- Zabiję go, zobaczy panienska, że go zabiję! - uniósł się Clive.

- Clive, nie oburzaj się tak. To szkodzi na trawienie. Bickley razem ze swoimi kompanami już został odwieziony do Hammond i tam zajmie się nimi szeryf.

Bardzo mi miło, że się o mnie troszczysz. Jesteś takim dobrym przyjacielem.

- Czy panienkę bardzo boli? - Clive wcale nie miał zamiaru zmieniać tematu.

- Nie, wszystko w porządku, naprawdę - zapewniła. - Jak tylko wreszcie umyję twarz i przebiorę się, nie będzie nic widać.

- I niech się panienska jeszcze uczesze.

Znowu spróbowała przyczesać swe zmierzwione włosy.

- Co cię tu sprowadza? Czy coś się stało?

- Owszem, stało się, i nie wyobraża sobie panienska co - odpowiedział. - Tak się cieszę, że nareszcie jesteście w domu. A po co panienska jechała do Blue Belle? Przecież dziś nie jest sobota. Czyżby panienska o tym zapomniała?

- Nie zapomniałam, ale musiałam kupić parę drobiazgów dla przyjaciółki.

To była szczególna okazja.

- Jak szczególna okazja, to w porządku - zgodził się. Szybko jednak wrócił do poprzedniego tematu. - Mimo że panienska wygląda jak po jakimś strasznym wypadku, to i tak jest radością dla moich zmęczonych życiem oczu. Panienska koniecznie musi mi pomóc!

Mary Roses rzuciła na braci szybkie spojrzenie, które miało oznaczać: „A nie mówiłam, że on ma coś strasznego do powiedzenia?” - po czym zwróciła się do Clive’a.

- Oczywiście, pomogę ci, tylko powiedz, co się stało.

- Musisz mi pomóc wydostać ją z dyliżansu. Ona nie chce się ruszyć i nawet krzyczy, jak Adam próbuje do niej podejść. Mówi, że nie pozwoli, by jakiś parobek podawał jej rękę, że to nie byłoby właściwe. Właśnie tak się wyraziła. Próbowałem jej wytłumaczyć, jak tu wszystko wygląda, ale nie miała zamiaru mnie słuchać. Nie chce uwierzyć, że Adam jest bratem panienki.

Zresztą, to akurat rozumiem. Ona nie pochodzi stąd, więc nie jest przyzwyczajona do pewnych rzeczy. Adam w końcu dał spokój i wrócił do domu. Nie chciał zginąć, bo ona cały czas groziła, że go zabije, jeżeli on jeszcze raz zbliży się do dyliżansu. Panienki brat zaprosił mnie do środka i poczęstował chłodnym napojem, ale nie śmiałem skorzystać z tej propozycji. Poza tym nie chciałem zostawić jej tu samej, bo nie wiedziałem, co może jej przyjść do głowy. Próbowałem na różne sposoby ją stamtąd wyciągnąć, ale nic nie skutkowało. Zażądała odpowiedniego powitania i powiedziała, że nie wyjdzie, dopóki nie otrzyma tego, co chce. Już tam siedzi jakieś dobre dwie godziny.

Nigdy jeszcze nie widziałem kogoś takiego.

- Kto to jest? - spytał Douglas. Próbował zajrzeć do środka, ale nic nie zobaczył przez ciemne zasłonki.

- Panna Border - Clive wzdrygnął się wypowiadając to nazwisko.

- Eleanor?! - Mary Roses była wstrząśnięta. Nie mogła w to uwierzyć. Co, na miłość boską, Eleanor Border robiła na jej podwórku?

Douglas odwrócił się i popatrzył na siostrę.

- Czy to ta sama Eleanor?

Nim Mary Roses zdążyła odpowiedzieć, Clive pociągnął ją za rękę.

- Niech panienka ją stąd zabierze. Obiecuję, że zrobię wszystko, o co panienka poprosi. Jeżeli panienka zechce, to zacznę nawet błagać.

Cole, jako jedyny z braci, był tym rozbawiony. Jego oczy zabłyśły.

- Przecież już błągasz - rzekł i zaczął się śmiać.

Współlokatorka siostry, o której słyszał tyle nieprawdopodobnych historii, dziewczyna, która zamieniła wiele lat życia Mary Roses w koszmar, przyjeżdżała teraz, by złożyć jej wizytę.

- Co ona tu robi? - pragnął dowiedzieć się Travis, którego ta sytuacja rozwścieczyła.

- Czy ty ją zaprosiłaś? - spytał Douglas.

- Tak jakby - odpowiedziała cicho.

- Co to znaczy „tak jakby”? - Douglas stanął przed siostrą. - No, słucham?

- Owszem, zaprosiłam ją, ale byłam pewna, że się tu nie zjawi. Ona nie lubi tych okolic. Uważa, że mieszkają tu barbarzyńcy i ludzie niecywilizowani.

Douglas, przestań się tak we mnie wpatrywać. Co się stało, już się nie odstanie.

- Czy ona była kiedyś na zachód od St. Louis? - spytał Travis.

- Nie, ale ma o tej części Stanów złe zdanie - wyjaśniła Mary Roses.

- Chciałbym, żebyś stwierdziła, czy to jest ta sama Eleanor, o której opowiadałaś nam przez te wszystkie lata - poprosił Douglas.

Chwycił ją mocno za ramię, by spełniła jego prośbę.

- Dobrze wiesz, że to ta sama Eleanor - wyszeptała.

Próbowała wyrwać się z jego uścisku, bo chciała zająć się gościem.

- Chyba ukręcę ci głowę - wysyczał Travis.

- Przestań! Zachowujesz się jak dziecko! - krzyknęła Mary Roses. - I mów trochę ciszej, bo nie chcę, by usłyszała, że o niej mówimy. Bardzo łatwo ją zranić.

Cole ponownie się zaśmiał.

- Clive, może zawieziesz ją z powrotem do Blue Belle? - zasugerował Douglas. - Może tam przenocować w jednym z pokoi nad saloonem.

- Bądź rozsądny. Tylko pijacy tam nocują. Eleanor jest dystyngowaną panią - zaprotestowała Mary Roses.

- Chyba nie rozumiecie, o co chodzi! - wykrzyknął Clive. - Muszę się jej pozbyć, bo chcę jeszcze przed zmrokiem dotrzeć do Morton Junction, gdzie na mnie czekają.

- Wszystko w porządku, zaraz ci pomożemy - uciszała go Mary Roses.

Clive wcale jej nie słuchał. Gniew narastał w nim od dwóch godzin i teraz doszło do wybuchu.

- Jeżeli ktoś się dowie, że złamałem moje zasady i przywiozłem ją wam do domu, nie będę się mógł pokazać w mieście! - Clive zwrócił się do braci.

- Mówię wam, chłopaki, z niej jest niezły numer. Ja się jej nie będę sprzeciwiał, wystarczy, że zrobiła dziurę w moim kapeluszu. Dzięki Bogu nie miałem go wtedy na głowie. Powiedziała mi, że zabije mnie jak psa, jeżeli będę się zachowywać nie po jej myśli. Nie wiem, czy ona rzeczywiście jest taka dystyngowana, ale jedno jest pewne: panią musi szybko coś zrobić, bo ja chcę się stąd wydostać żywy.

- Zaraz się nią zajmę - obiecała Mary Roses. - Douglas, puść mnie wreszcie. Musimy być gościnni, już i tak byliśmy nieuprzejmi, że kazaliśmy jej tyle czasu czekać.

Hamson stał obok MacHugha i patrzył. Był zdziwiony reakcją wszystkich na niepożądanego gościa. Sama Eleanor Border też go zainteresowała.

- Czy myślisz, że ją tu wpuszczę po tym, jak się zachowała wobec mego brata? - spytał Douglas.

- Ona nie rozumiała.

- Niby czego nie rozumiała? - spytał Travis. - Słyszałaś, co mówił Clive.

Powiedział jej, że Adam jest twoim bratem.

- Najwyraźniej mu nie uwierzyła - upierała się Mary Roses.

- Groziła, że go zabije - wtrącił Clive.

Cole przestał się uśmiechać.

- Co takiego? - Prawie krzyknął.

- Nigdy nie opowiadałam nikomu o mojej rodzinie. Cole, uspokój się.

Pamiętasz? Sam nalegałeś, żebym nikomu nic o tym nie mówiła - ściszyła głos i dodała: - Pewnie Eleanor myślała, że Clive chce się jej pozbyć.

- Ale ja rzeczywiście chciałem się jej pozbyć! - wrzasnął Clive.

Mary Roses zamknęła oczy. Czowała ból, gdy Douglas i Clive ciągnęli ją za ręce z obu stron. Zdecydowanie to nie był dla niej dobry dzień. Nie chciała teraz tracić czasu na naprawianie czegoś, co i tak nie da się naprawić. Czy im się to podobało, czy nie, byli skazani na Eleanor Border.

- Ona przeprosi Adama - obiecała Mary Roses.

- A jak tego nie zrobi, to co? - spytał Travis.

- To stąd wyjedzie.

- A co ja mam zrobić? Nazwała mnie tępym mułem i brudasem. Mówiła o mnie jeszcze dużo innych bzdur, ale nie zamierzam ich powtarzać. Była wściekła jak osa. I za co mnie to wszystko spotkało? Za to, że próbowałem ją zostawić na drodze. Powiedzcie mi, czy to przestępstwo? Wicie, że mam swoje zwyczaje.

- Tak, wiem. Obiecuję, że nikt nigdy się nie dowie, że ją odwiozłeś do samego domu. Nikt z nas nikomu nie powie, a Eleanor ciebie też przeprosi i kupi ci nowy kapelusz. Czy poczujesz się lepiej?

Clive wyglądał, jakby za chwilę miał się rozplakać z wdzięczności. Mary Roses poklepała go po ramieniu.

- Dobry z ciebie człowiek. Sama wiem, jaka ona potrafi być. Mieszkałam z nią w jednym pokoju. Przykro mi, że miałeś z nią tyle zwracania głowy.

Clive zbliżył się do Mary Roses.

- A jaki byłem sterroryzowany! Wcale nie wstydzę się do tego przyznać.

- Proponuję, żebyśmy podpalili ten dyliżans, wtedy na pewno przestanie się ociągać z wyjściem - rzekł Cole przewracając oczami. - A tobie, Clive, kupię nowy.

Mary Roses ponownie przymknęła oczy. Zdecydowała nie tracić więcej czasu na uspokajanie wszystkich. Wyrwała się bratu i podbiegła do dyliżansu.

Clive wycofał się na schodki prowadzące na ganek.

Mary Roses zapukała do drzwiczek i próbowała je otworzyć, lecz nie ustępowały.

- Eleanor, już wróciłam! Proszę, otwórz drzwi! - krzyknęła. - To ja. Mary Roses!

Usłyszawszy zgrzyt zamka otworzyła drzwiczki i weszła do środka, po czym natychmiast zamknęła je za sobą.

Mimo że okna były zasłonięte, światło dostawało się przez szpary do środka. Kiedy Mary Roses spojrzała na Eleanor, zrobiło jej się przykro, że opowiadała na jej temat różne nieprzyjemne rzeczy. Eleanor wyglądała na przerażoną.

Siedziała skulona w rogu powozu i trzęsła się ze strachu, a łzy jak groch płynęły jej po twarzy.

Mary Roses usiadła naprzeciwko swej dawnej współlokatorce. Kiedy chciała uścisnąć jej rękę, zauważyła, że Eleanor trzyma w niej rewolwer, którego lufa skierowana jest na Mary Roses.

Panna Claybome nie wpadła w panikę, ale trochę się zdenerwowała. Chociaż Eleanor patrzyła prosto na nią, Mary Roses miała wrażenie, że jej nie widzi.

- Od kiedy masz ten rewolwer? - spytała.

- Od tygodnia.

- Czy wiesz, jak się nim posługiwać?

- Jeszcze nie, ale nauczę się.

- Broń jest niebezpieczna. Nie powinnaś nosić przy sobie rewolweru.

- Obcięłam włosy. Podoba ci się?

Mary Roses wcale nie zdziwiło to pytanie. Dla Eleanor wygląd zewnętrzny był ważniejszy niż wszystko inne - jak się teraz okazało, nawet niż strach.

Tej biednej dziewczynie ręce dygotały z przerażenia. W jej spojrzeniu była rozpacz, niczym u samej złapanej w potrzask.

Eleanor była piękną dziewczyną o ciemnobrązowych włosach i jasnozielonych oczach. Wspaniałe loki, które do niedawna sięgały jej do ramion, teraz ledwie zakrywały uszy.

- Tak, bardzo mi się podobasz. Wyglądasz ślicznie - wyszeptała. Chciała ją uspokoić. Powoli skierowała lufę rewolweru w dół i ostrożnie wyjęła broń z ręki Eleanor. Ta, mimo że się temu bacznie przyglądała, nie próbowała oponować.

- Nie musisz się już niczego bać. Jesteś bezpieczna. Wszystko będzie w porządku.

- Nieprawda! Nic już nie będzie tak, jak było. Wcale tu nie chciałam przyjeżdżać. Dobrze wiesz, że nie znoszę takich warunków.

- Jeżeli nie chciałaś tu przyjeżdżać, to dlaczego to zrobiłaś?

- Bo nie miałam się gdzie podziać.

W końcu spojrzała na Mary Roses. Jej oczy napełniły się łzami.

Ciągle była wystraszona i źle wyglądała. Mary Roses postanowiła dowiedzieć się, co wywołało ten lęk. Eleanor nigdy dotychczas nie dawała się ponieść uczuciom i była raczej powściągliwa. Wyjątkiem były noce, w czasie których Eleanor zawsze szlochała.

- Sama sobie zaprzeczasz, Eleanor - stwierdziła. - Powiedz mi, co się stało. Przecież po skończeniu szkoły miałaś jechać z ojcem do Europy.

- Wszystko to było kłamstwem - odpowiedziała. - Ojciec uciekł. Nawet nie powiedział mi, że wyjeżdża. Po prostu znikł.

- Dlaczego?

- A skąd ja mam wiedzieć? W szkole zjawili się ludzie, którzy prowadzili dochodzenie. Dopiero gdy mnie przesłuchiwali, dowiedziałam się, co on zrobił.

Oczywiście musiałam opuścić szkołę. Dyrektorka była wściekła. Okazało się, że ojciec obiecał ofiarować pieniądze na budowę nowego budynku.

- Przecież nie mogła cię tak po prostu wyrzucić.

- Ale mnie wyrzuciła. Ostatnia rata czesnego nie została zapłacona. Ci urzędnicy, którzy prowadzili dochodzenie, powiedzieli mi, że pieniądze, którymi ojciec płacił, wcale do niego nie należały. Przez te wszystkie lata okradał swoich klientów. Sam żył w dostatku. Ubierał się modnie i elegancko. Miał chyba z pięćdziesiąt garniturów i zawsze z nim była jakaś młoda kobieta.

- No i co? No i co? - dopytywała się Mary Roses.

- Ojciec chciał uchodzić za młodszego, niż był, a moja obecność uświadamiała mu, jaki jest już stary. No więc odesłał mnie do internatu i miał spokój.

- Skąd wiesz, że byłaś mu niepotrzebna i że cię nie chciał?

- Wiem. Tyle razy mi to powtarzał, że nie mogłam już tego słuchać. Nigdy mnie nie chciał. Z moją mamą musiał się ożenić, bo zaszła z nim w ciążę.

Umarła w czasie porodu. Ale przynajmniej miała na palcu upragnioną obrączkę.

Mary Roses przeraziło to, co usłyszała. Bardzo było jej żal koleżanki, nie chciała jednak okazywać zbyt jawnie swego współczucia. Obawiała się, że Eleanor może poczuć się dotknięta, biorąc to za litość.

Duma z pewnością często przeszkadza znaleźć sensowne wyjście z sytuacji.

- Myślałam, że pędziliście z ojcem ciekawe życie. Czy jeździłaś na wakacje do tych różnych egzotycznych miejsc?...

- Ja nigdy nie wyjeżdżałam, zostawałam w domu z gospodynią.

- Przecież tyle opowiadałaś mi o...

- Czytałam o tych miejscach, to wszystko. Chciałam ci zaimponować.

- Po co?

- Nie wiem. - Eleanor wzruszyła ramionami.

- Czemu nie powiedziałaś mi prawdy?

- Musiałam zachować pozory - wymamrotała. - Taka córka, jaki ojciec. - jak sądzę. Gdybym ci powiedziała, zaczęłabyś się nade mną litować.

- Co się stało z twoim ojcem? Gdzie teraz jest?

- Nie mam pojęcia. Nikt tego nie wie. Władze ciągle go szukają. Powinna się cieszyć, że opłacił część mojego czesnego, ale tak nie jest. Zrobił to za cudze pieniądze. Nie zostawił mi wiadomości, dokąd pojechał. Policja mi nie wierzyła i aresztowała mnie. Spędziłam w więzieniu dwie noce. To było straszne. W końcu musieli mnie wypuścić. Zrobił się z tego oczywiście wielki skandal. Nawet w Chicago ludzie mnie nienawidzą, bo wiedzą, że jestem z nim spokrewniona. Wszyscy myślą chyba, że wiem, gdzie się ukrywa. Dom był obserwowany w dzień i w nocy. Nie mogłam tego wytrzymać, chowałam się za zasłonami, wmawiając sobie, że nic się nie stało.

- Tak mi przykro - wyszeptała Mary Roses.

Eleanor mówiła dalej, jakby nic nie usłyszała.

- Myślałam, że dom jest naszą własnością, ale tak nie było. Właścicielka wyrzuciła mnie. Nie miałam gdzie się podziać, a ty mówiłaś, że mogę do ciebie przyjechać, gdybym tylko potrzebowała. Czy mówiłaś to szczerze?

- Oczywiście, że tak.

- Nie odeślesz mnie z powrotem?

- Nie, nie odeślę - obiecała. - Martwiłaś się, że nie pozwolę ci zostać, bo w przeszłości nie zawsze mogliśmy się dogadać?

- Byłaś jedyną osobą w całej szkole, która przynajmniej od czasu do czasu zadawała się ze mną. Wiem, że bywam trudna do zniesienia. Nienawidziłam cię, bo wiedziałam, że mi współczułaś.

- Nie współczułam ci. Masz zamiar wysiąść wreszcie z dyliżansu?

- Tak.

Eleanor sięgnęła w stronę klamki. Mary Roses schwyciła ją za rękę.

- Zaczekaj chwilę - poprosiła. - Chciałabym porozmawiać z tobą o moich braciach, zanim ich poznasz. Adam...

- To ten Murzyn?

- Tak.

- Nie uwierzysz, co ten woźnica mi naopowiadał. Twierdził, że ten czarnuch jest twoim bratem. Uwierzyłybyś w tak nieprawdopodobne...

- Adam jest moim bratem. Jako najstarszy jest też głową naszej rodziny.

Eleanor otworzyła usta ze zdziwienia.

- Żartujesz.

- Mówię zupełnie poważnie. Będziesz musiała go przeprosić, zanim wpuścimy cię do domu.

Eleanor ze zdumienia odebrało mowę. Oparła się o poduszki i patrzyła na Mary Roses.

- Jak, na Boga...

- Nieważne jak - stwierdziła Mary Roses. - Adam jest moim bratem, Którego kocham całym sercem.

- Nie może być twoim bratem.

Mary Roses była już zmęczona przekonywaniem koleżanki.

- Jest nim - powiedziała stanowczo. - Adam i pozostali bracia wychowywali mnie od czasu, gdy byłam bardzo mała. Jesteśmy rodziną, Eleanor, - rodzina jest najważniejszą rzeczą na świecie.

- Czy ludzie z okolicy akceptują was wszystkich?

- Oczywiście.

- Czemu?

Mary Roses głośno westchnęła.

- Mieszkamy tutaj od dawna, więc sądzą, że wszyscy przyzwyczaili się do nas. No to co? Masz zamiar go przeprosić?

Eleanor pokiwała głową.

- Nie chciałam go obrazić. Nie powiedziałam nic niemiłego, Mary Roses.

Myślałam, że woźnica kłamie. Przedtem próbował mnie wyrzucić na jakimś pustkowi. Możesz to sobie wyobrazić?

- Woźnica nazywa się Clive Harrington i jest uczciwym człowiekiem. Jego też będziesz musiała przeprosić. Naprawdę, nie powinnaś była strzelać do niego.

Eleanor wzruszyła ramionami. Nie wyglądała na zbyt skruszoną.

- Nie chciałam strzelać, ale nie sądzę, bym miała ochotę mu to powiedzieć.

Mógłby się zdenerwować wiedząc, że broń sama wypaliła.

- On już jest zły.

- To był przypadek - przekonywała ją Eleanor. - Czemu mam przeproszać za coś, czego nie chciałam zrobić?

- Mogłaś go zabić.

- Ale tak się nie stało.

- Narobiłaś mu kłopotów - powiedziała Mary Roses. - Uraziłaś też jego uczucia. Obiecałam mu, że go przeprosisz. Dałam też słowo, że kupisz mu nowy kapelusz. Przedziurawiłaś jedyny, który posiada.

- Nie mogę mu kupić kapelusza, bo nie mam tyle pieniędzy.

- Dam ci więc pieniądze - powiedziała Mary Roses. - Tylko nie pozwól, by Clive się o tym dowiedział. Udawaj, że kupujesz go za własne pieniądze.

- Czemu tak o niego dbasz?

- Clive jest moim przyjacielem.

- No tak, rozumiem - mruknęła Eleanor. - Widzę, że będziesz upierać się przy swoim. Przeproszę go i kupię nowy kapelusz. Nigdy nie powiedziałaś mi o Adamie. Bałaś się, że powiem innym?

Mary Roses potrząsnęła głową.

- Czemu miałoby mnie obchodzić, czy komuś powiesz?

- Bo wszyscy odsunęliby się od ciebie.

Cierpliwość Mary Roses kończyła się. Jedyne, czego chciała, to ciepłej kąpieli i odrobiny wygody. Wiedziała jednak, że na nic nie może liczyć, dopóki nie nastawi odpowiednio swojego gościa.

- Obie dobrze wiemy, czym są uprzedzenia rasowe, Eleanor. Nie przejęłabym się bardzo, gdyby odrzuciła mnie grupa ignoranckich pań. Szczerze mówiąc, moja rodzina nauczyła się nie tracić czasu dla ludzi, którzy nienawidzą. Wszyscy moi bracia są wspaniałymi i dumnymi ludźmi. Nie wstydzę się mojej rodziny.

- Więc czemu nic nie powiedziałaś?

- Rodzina to coś prywatnego - wytłumaczyła Mary Roses, powtarzając słowa tyle razy mówione przez jej braci. - Nikogo nie powinno obchodzić, kim jesteście i co robicie.

- Teraz uświadomiłam sobie, że o innych braciach też mi nigdy nie opowiadałaś - powiedziała Eleanor. - Wiedziałam tylko, że masz ich czterech.

Czy wszyscy są... tacy jak Adam?

- Tak - odparła Mary Roses. - Są równie mili i dobroduszni, choć Douglas i Cole bywają zbyt uparci.

Eleanor nie była w stanie się pozbierać. To, czego dowiedziała się od Mary Roses, było dla niej szokiem.

- Możemy już wsiąść.

- Za chwilę - wyszeptała Eleanor. - Tutaj wszystko wygląda inaczej, prawda?

- Są tu inne warunki niż w mieście - wytłumaczyła Mary Roses. - Ale rodzina jest rodziną, niezależnie od tego, gdzie jest jej dom.

- Na Boga, co chcesz przez to powiedzieć?

- Teraz, gdy wiem już o twoim ojcu i życiu rodzinnym, widzę, czemu nie możesz niczego pojąć. Gdy już się do nas przyzwyczaisz, to życie tutaj chyba ci się spodoba. Strasznie tu duszno, Eleanor. Wsiądźmy już.

- Adam jest głową twojego domostwa i z tego powodu będę go szanować.

Obiecuję ci to.

Mary Roses potrząsnęła głową.

- Nie, będziesz go szanować, bo powinnaś. Jego pozycja w rodzinie nie ma z tym nic wspólnego. Obiecuję, że gdy go poznasz, będziesz go szanować za to, kim, a nie czym jest.

- Mówiąc szczerze, Mary Roses, robisz mi w głowie straszne zamieszanie.

Adam jest jedyną osobą, która może kazać mi odjechać, prawda?

Mary Roses uznała, że nie dogada się z Eleanor.

- Na Boga! - jęknęła. - Chcę się wykapać. Mogłabyś przestać się ze mną kłócić i wsiąść?

Eleanor zauważyła w końcu, jak koszmarnie Mary Roses wyglądała.

- Co ci się stało?

- Mała różnica zdań - odparła Mary Roses.

- Ale to nie twoi bracia...

- Oczywiście, że nie. Możesz mi wierzyć, Eleanor, nie jesteśmy barbarzyńcami. Wsiadam, zanim zemdleję.

- Gorąco tu, prawda?

Mary Roses schwyciła klamkę.

- Będiesz miła dla wszystkich, dobrze? - Nie wymagałaby obietnicy, gdyby nie wiedziała, do czego Eleanor jest zdolna. - Nawet nie próbuj swoich numerów przy moich braciach. Nie zniosą tego.

- Jakich numerów?

- Wiesz dobrze, o czym mówię.

- Daj mi przykład. ‘

- Pogardliwe spojrzenia, które wszystkim rozdzielasz - powiedziała Mary Roses. -
Także te...

- Już wystarczy. Będę miła - mam nadzieję, że wiem, jak to się robi.

Mary Roses też się nad tym zastanawiała. W końcu otworzyła drzwi i spróbowała wysiąść. Upał osłabił ją, więc kontakt ze świeżym powietrzem był równie odświeżający, co łyk chłodnej wody po dniu pracy w ogrodzie.

Drzwi uderzyły Hamsona, który stał blisko nich na wypadek, gdyby Mary Roses potrzebowała pomocy. Podał jej rękę i pomógł stanąć na ziemi.

Wyglądał na zmartwionego. Uśmiechnęła się, by wiedział, że wszystko w porządku. W rękę ciągle trzymała rewolwer Eleanor, celując nim w ziemię.

Harrison, zauważywszy broń, natychmiast ją zabrał i rzucił do Cole'a, który włożył ją sobie za pas.

Eleanor chwilę później wysiadła z dylizansu i stanęła obok Mary Roses.

Mrużąc oczy z powodu słońca, skupiła swój wzrok na przyjaciółce.

Mary Roses najpierw przedstawiła Hamsona, gdyż ten stał najbliżej. Potem kazała podejść braciom i przedstawiła im nowego gościa.

Clive stał przy schodach z takim wyrazem twarzy, jakby chciał powiesić Eleanor na stryczku na najbliższym drzewie.

Eleanor i Mary Roses podeszły do woźnicy, którego Eleanor szeptem przeprosiła.

Clive'owi to nie wystarczyło - Musisz powiedzieć to głośno i wyraźnie, żeby wszyscy usłyszeli, i musisz nazwać mnie panem Harringtonem, żeby było naprawdę z szacunkiem.

Mary Roses udało się nakłonić do tego Eleanor. Clive nadal się nie uśmiechał, ale Mary Roses wiedziała, że jest zadowolony z przeprosin Eleanor, gdyż wyraz jego twarzy nie był już tak groźny.

- Panno Mary, czy ona dotrzyma słowa w sprawie kapelusza?

- Tak - obiecała Mary Roses.

Clive pokiwał głową. Wrócił do dylizansu, mrużąc ciągle pod nosem. Mary Roses wiedziała, że udaje rozgniewanego z powodu obecności innych mężczyzn. Nie mógł pokazać, że odczuł ulgę, jeśli chciał zachować reputację niemiłego twardziela.

Usiadł na koźle, schwycił lejce w obie dłonie, po czym zawołał do Mary Roses:

- Na początku tygodnia czułem się nie najlepiej, ale teraz...

Przerwał, by spojrzeć na Eleanor.

- Teraz już sam nie wiem, jak się czuję. Jak długo ona tu zostanie?

- Trochę - odpowiedziała Mary Roses. - Ale dla ciebie zawsze znajdzie się miejsce, Clive. Dobrze to wiesz.

- Już się lepiej czuję - powiedział. - Może uda mi się zwalczyć tę chorobę... choć na chwilę. Do widzenia, panno Mary.

- O co wam chodziło? - spytała Eleanor.

Mary Roses pomachała przyjacielowi na pożegnanie, zanim jej odpowiedziała.

- Mówił mi, że nie rozchoruje się, dopóki ty nie odjedziesz. Może usiądziesz sobie na werandzie, a ja pójdę porozmawiać z Adamem. To może chwilę potrwać. Będzie musiał cię przywitać, zanim będziesz mogła postawić nogę w naszym domu.

- Co się stanie, jeśli nie będzie chciał mnie przywitać?

Mary Roses nie rozważała takiej możliwości.

- Adam jest litościwy. Będę musiała powiedzieć mu, co ci się przydarzyło.

Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

- Czy powie o tym wszystkim?

- Nie - zapewniła Mary Roses.

Eleanor zgodziła się.

- Czy muszę tu siedzieć sama?

Mary Roses rozejrzała się, szukając kogoś, kto dotrzymałby Eleanor towarzystwa. Jedynym kandydatem stał się Harrison, gdyż najwolniej się oddalał.

Cole zdążył dotrzeć do głównej stajni, a Travis i Douglas deptali mu po piętach.

Harrison nie miał na to ochoty, ale był wystarczająco szarmancki, by się zgodzić.

Zmusił jednak Mary Roses, by go o to błagała. Było to jej zdaniem bardzo niemiłe z jego strony.

Musiała też za nim gonić.

- Mógłbyś trochę zwolnić? - zażądała, gdy go wreszcie dogoniła. - Czemu się tak krzywisz?

- Martwiłem się o ciebie - przyznał. - Nie powinnaś była wchodzić do środka. Ona miała rewolwer, Mary Roses. Mogło ci się coś stać. Strzelała już do Clive'a - przypomniał jej.

- Eleanor nie zraniłaby ani mnie, ani nikogo innego. Ona jest przestraszona, Hamsonie. Ostatnio zdarzyło jej się wiele przykrych rzeczy. Bądź dla niej miły.

Harrison wiedział, że musi się zachować jak dżentelmen. Zawołał Douglasa, by zabrał MacHugha. Zaczekał, aż ten przyjdzie, i dopiero wtedy poszedł za Mary Roses na werandę.

Mary Roses mogła wreszcie wejść do środka. Adam siedział za biurkiem w bibliotece. Pilnie studiował jedną ze swoich ksiąg rachunkowych, więc dopiero po chwili zauważył jej obecność.

Czekała cierpliwie, cały czas powstrzymując łzy zbierające się w kącikach oczu.

W końcu nie była w stanie się już opanować. Wiedziała, że walczy z czymś nieuniknionym. Odkąd tylko pamiętała, jej zachowanie było zawsze okropnie przewidywalne. Potrafiła zachować spokój i godność do momentu, gdy wróciła do domu i zobaczyła najstarszego brata.

Wtedy coś w niej pękło.

Było to równie przewidywalne, jak oberwanie chmury podczas majówki.

Wystarczyło, by Adam ją zauważył.

- Siostrzyczko, co ci się stało?

Mary Roses natychmiast wybuchnęła płaczem i rzuciła się w ramiona swojego dużego brata.

13 lutego 1864

Droga Mamo Roses!

Właśnie skończyliśmy oglądać gazetę sprzed miesiąca, na którą, Travis wymienił kilka skór w pobliżu Perry. Dżentelmen imieniem Benson przedrukował w niej mowę, którą Lincoln wygłosił w Gettysburgu. Czytaliśmy już o bitwie, która odbyła się w lipcu, wielu dzielnych ludzi straciło tam życie.

Benson pisze, że prezydent wygłosił swoją mowę w miejscu, gdzie na polu bitwy znajduje się cmentarz. Adam płakał, gdy to czytał, a potem przepisał co do słowa, byśmy mogli Ci wysłać.

Cole sądzi, że pewnie już to czytałaś, Mamo, ale uważamy, że jest to tak ważne, by przeczytać przynajmniej dwa razy.

Modlimy się za Ciebie i Lincolna, Douglas Mary Roses rzuciła się Adamowi w ramiona i rozplakała się jak mała dziewczynka. On objął ją i klepał po plecach, dopóki się nie

uspokoiła. Zajął jej to dobre kilka minut. Potem usiadła na skraju biurka i wyrzuciła z siebie wszystko, co jej ciążyło na sercu. Opowiedziała, co się jej przydarzyło w mieście, nie pomijając żadnego szczegółu. Szczególnie skrupulatnie opowiedziała historię z Camerine Morrison. Adam przyglądał się jej obrażeniom, uspokajając siostrę, mówiąc co chwila swoim łagodnym głosem: - Naprawdę?

- Ledwo się obejrzała, a znów czuła się dobrze.

Adam zabrał ją do kuchni i umył twarz, by móc lepiej przyjrzeć się ranom i ustalić, czy szwy będą konieczne. Mary Roses wstrzymała oddech czekając na werdykt, po czym uśmiechnęła się, słysząc decyzję brata. Szwy okazały się niepotrzebne.

Była gotowa znów zająć się zaplanowanymi na ten dzień sprawami. Chciała oddać Adamowi jego chustkę, ale widząc, że jest cała w krwi i łzach, wrzuciła ją do kosza z bielizną do prania.

Starszy brat poradził jej, by poszła na górę i doprowadziła się do porządku.

Sam wrócił do biblioteki, by dokończyć czytanie.

- Odpocznij po południu. Mary Roses. Miałaś już wystarczająco dużo emocji jak na jeden dzień.

Pobiegła za nim. Nie mogła rozpieszczać się kąpielą, gdy na werandzie siedziała rozzłoszczona Eleanor. Musiała ją ulokować, a potem zawieść Corrie zapasy, które dla niej kupiła. Obiecała powrócić tego samego dnia i nie chciała złamać danego słowa.

- Wystarczająco długo rozczulałam się nad sobą - powiedziała bratu. Stojąc w drzwiach obserwowała, jak Adam siada za biurkiem. Zauważyła otwartą księgę rachunkową, wiedziała, że przeszkadza mu w pracy. Uznała jednak, że brat będzie musiał wykazać jeszcze odrobinę cierpliwości. Książki mogły poczekać, w przeciwieństwie do Eleanor.

- Pamiętaj przyłożyć na te rany jakieś lekarstwo.

- Nie zapomnę - powiedziała. - Musimy porozmawiać o Eleanor. Czeką teraz na werandzie, gdyż powiedziałam jej, że nie może wejść, dopóki ty się nie zgodzisz. Mógłbyś porozmawiać z nią... na osobności? Chciałaby opowiedzieć ci, co się jej przydarzyło, zanim postanowisz, czy może zostać.

Prośba ta zdziwiła Adama.

- Pamiętasz, że bym kiedykolwiek kogoś odesłał?

- Nie, ale z Eleanor jest trochę inaczej. Ona może wprowadzić pewien chaos do naszej rodziny. Jesteś gotów z nią wytrzymać?

- A co z twoimi braćmi? Oni nie mają prawa głosu?

- Zrobią to, co ty uważasz za słuszne - broniła się Mary Roses. - Cole będzie wymyślał trudności, ale znajdzie sposób, by unikać Eleanor, dopóki ona się nie uspokoi.

- Jak długo miałyby u nas zostać? - Adam spojrzał niepewnie na Mary Roses.

- Trochę - odpowiedziała nie patrząc na brata.

- Naprawdę? Mary Roses, jak długo trwa takie trochę?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Sama chciałabym wiedzieć - wyszeptała. - Proszę cię, porozmawiaj z nią. Jest przestraszona i potrzebuje miejsca, gdzie mogłaby się czuć bezpiecznie.

Adam westchnął. Wstał i obszedł biurko.

- No dobrze - zgodził się. - Pójdź na górę, a ja zajmę się Eleanor. Jak ma na nazwisko?

- Border - odpowiedziała Mary Roses. - Czy nie powinnam być tu na dole, gdy będziesz z nią rozmawiać?

- Nie jest to konieczne. - Adam potrząsnął głową.

Mary Roses poszła po schodach na piętro. Adam niemalże doszedł do drzwi wejściowych, gdy go zawołała.

- Chcę mieć pewność, że...

- że co? - Adam odwrócił się i spojrzał na siostrę.

- Że cię przeprosi. Obraziła cię i nie chcę, by wchodziła do mojego domu, zanim nie powie ci, że jest jej z tego powodu przykro.

- Na Boga, idź już na górę. Głowa zaczyna mnie boleć od tego wszystkiego. Dam sobie radę.

Adam otworzył drzwi. Eleanor siedziała na wiklinowym krześle i rozmawiała z Harrisonem, który stał oparty o słup werandy. Słuchał jej z rękami skrzyżowanymi na piersi, z wyrazem irytacji i znudzenia na twarzy.

Adam zaczekał, aż Eleanor przestanie narzekać na upał.

- Panno Border, czy zechce pani pójść ze mną do biblioteki? Chciałbym z panią porozmawiać.

Jej reakcja zadziwiła go. Nie podniósł nawet głosu, a ona zareagowała tak, jakby na nią krzyczał. Zerwała się na równe nogi tak szybko, że wywróciła krzesło, na którym siedziała.

Harrison pochylił się i podniósł je.

Eleanor ruszyła w stronę Adama, ale zatrzymała się nagle i zacisnęła dłonie w pięści.

- Nie mogę wejść do środka, panie Claybome.

- Nie możesz? Czemu to? - spytał Adam.

- Mary Roses powiedziała, że muszę najpierw pana przeprosić. Jest mi przykro, naprawdę przykro, że pana uraziłam. Nie wierzyłam temu straszemu woźnicy. Myślałam, że mnie okłamuje, by się mnie pozbyć. Na pewno nie chciałam zasugerować, że ponieważ jest pan... no, wie pan, że nie mogłam... bo to wcale nie o to chodziło. Nie wierzyłam nawet, że ten człowiek dowiózł mnie do domu Mary Roses.

Przerwała w końcu, by złapać oddech. Adam w tym czasie nawet nie mrugnął. Zrobiło to spore wrażenie na Hamsonie, który nie mógł powstrzymać uśmiechu. Miał ochotę spytać ją, za kogo właściwie uważała Adama, jedynie po to, by patrzeć, jak wije się z zakłopotania. Był jednak dżentelmenem, więc nie poddał się chwilowemu pragnieniu.

Cole nie miał takich zahamowań. Bycie dżentelmenem najwyraźniej nie było jego ambicją. Doszedł do schodów prowadzących na werandę w momencie, gdy Eleanor zaczęła się tłumaczyć.

- Adam jest: „no wie pan”? Co to takiego? - spytał.

Obróciła się.

- Przepraszałam, bo nie wierzyłam, że Adam jest bratem Mary Roses.

Mówiła mi jedynie, że ma czterech starszych braci i mamę mieszkającą gdzieś na Południu, ale nigdy nie wdawała się w szczegóły. Muszę przyznać, że sama nigdy o to nie spytałam.

Przerwała, by przyjrzeć się Cole'owi od stóp do głowy.

- Wasza siostra najwyraźniej żartowała sobie ze mnie mówiąc, że ty i dwaj pozostali bracia jesteście dokładnie tacy jak Adam. Nie jesteście, oczywiście.

Eleanor przestała zaprzętać swoje myśli Cole'em i powróciła do przerwanej rozmowy z Adamem.

- Czy mogę wejść do środka?

- Proszę bardzo - powiedział Adam. - Chętnie cię u nas przyjmimy.

- Zaczekajcie chwilę. Ciągle nie wiem...

- Odpuść sobie, Cole - poradził mu Adam. Ton jego głosu nie dopuszczał sprzeciwu.

Eleanor podeszła do drzwi. Pomachała ręką w stronę Hamsona, gestem, który kojarzył mu się z angielską królową.

- Weź moje torby z tego piachu i zanieś do pokoju - rozkazała.

Cole wyszczerzył zęby w uśmiechu do Hamsona. Ten odwzajemnił się uśmiechem, po czym odwrócił się w stronę Eleanor.

- Przykro mi, panienko, ale nie mogę tego zrobić - oznajmił. - Nie mam wstępu na drugie piętro. - Zszedł po schodkach. - Zdaje się, że zostajesz ty - powiedział cicho, przechodząc obok Cole'a.

- Pamiętaj otrzepać je przed wejściem do środka, Kyle - powiedziała stanowczo.

Harrison usłyszał przekleństwo i natychmiast uznał, że dzień zaczyna się robić miły. Spozrzegł wybiegającego ze stajni Douglasa. MacHugh biegł tuż za nim. Ogier miał najwyraźniej jeden z napadów złego humoru i wyładowywał swoją złość na jednym z braci. Tak jest, dzień z każdą chwilą stawał się przyjemniejszy.

- Adam, mam do ciebie bardzo ważną sprawę! - zawołał Cole. Musiał krzyczeć, tak głośno śmiał się Harrison.

Adam pozwolił Eleanor przejść, zanim odpowiedział Cole'owi.

- Zaraz przyjdę - obiecał.

- Co masz teraz do roboty?

- Muszę porozmawiać z panną Border - odpowiedział. - To zajmie mi jedynie chwilę.

Adam pomylił się nieco w swojej ocenie. Rozmowa z Eleanor nie zajęła chwili - trwała trzy długie godziny.

Na początku atmosfera była dosyć napięta, ale już po godzinie Adam po raz drugi tego dnia miał mokrą koszulę. Eleanor okazała się bardzo podobna do Mary Roses. Najpierw uparcie twierdziła, że nigdy, przenigdy nie płacze, po czym zmoczyła go całego swymi łzami.

Cole zmęczył się czekaniem na koniec rozmowy. Musiał porozmawiać z Adamem o Hamsonie. Zdenerwował się odkrywszy, że Harrison jest adwokatem, i chciał poznać opinię Adama przed zrobieniem z tego afery.

Usłyszał zamieszanie w bibliotece, otworzył drzwi, by zobaczyć, co się tam dzieje, i oszołomiony zamarł niczym słup. Eleanor obejmowała Adama w pasie, próbując jednocześnie mówić i płakać. Cole nie mógł rozróżnić słów, dziewczyna zdawała się bełkotać bez sensu. Adam zachowywał się dosyć zabawnie. Stał na środku biblioteki z rękami uniesionymi do góry, jakby ktoś mu kazał sięgnąć nieba. Sytuacja była dla niego chyba niewygodna, gdyż wyglądał zupełnie bezradnie.

Opuścił w końcu jedną rękę i poklepał Eleanor po ramieniu. Zauważył stojącego w drzwiach Cole'a, spojrział z dezaprobatą na jego uśmiech i kiwnął głową, nakazując mu, by sobie poszedł.

Cole natychmiast zamknął drzwi.

Obaj bracia nie wspomnieli przy kolacji o incydencie. Eleanor postanowiła zostać w swoim pokoju. Mary Roses zaniósł jej jedzenie i dzbanek świeżej herbaty. Miała nadzieję, że to uspokoi zdenerwowaną dziewczynę.

Zjawiała się więc przy stole jako ostatnia.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziała. - Eleanor nie zejdzie na dół i nie zje z nami kolacji dzisiejszego wieczoru. Jest zupełnie wyczerpana.

Usiadła na swoim miejscu obok Adama.

- Zdecydowanie ciebie lubi - szepnęła na ucho najstarszemu bratu. - Oczywiście nie wie jeszcze, jak bardzo potrafisz być uparty.

- Sądzę, że nie lubi Adama - wtrącił Douglas. - Wydaje mi się, że może być uprzedzona rasowo.

Cole potrząsnął głową. Też tak sądził, dopóki nie zobaczył Eleanor obejmującej Adama. Nie przytulałaby się do osoby, której nienawidzi.

- Nieprawda, jest po prostu źle wychowana - powiedział do całej rodziny.

- Jesteś pewien? - spytał Douglas. - Jeśli nie jesteś pewien, to nie chcę jej tutaj widzieć.

- Tak, jestem.

- Wyglądasz, jakbyś miała muchy w nosie, Mary Roses. Coś cię chyba bardzo męczy - zmartwił się Travis.

- Nie pozwoliłem jej pojechać w góry do Corrie po południu - powiedział Adam.

- Nie jestem już dzieckiem. Nie wiem czemu myślisz, że...

- Mamy w domu gościa - zauważył Adam. - Łaskawie nie zapominaj o tym.

Natychmiast zamknęła usta, po czym odwróciła się do Harrisona.

- Czy moglibyśmy zacząć jeść? Umieram z głodu - poprosił Douglas.

Sięgał już po miskę z ziemniakami, ale zatrzymał się, gdyż Adam kazał mu chwilę poczekać.

- Harrison? Czy umiesz przypadkiem mówić po francusku?

- Tak. Czemu pytasz?

- Chciałbym, byś nam w czymś pomógł.

- Z chęcią. - Harrison zgodził się, choć nie miał zielonego pojęcia, o co chodzi.

Adam spojrział na całą rodzinę.

- Przez ostatnie tygodnie zaniedbaliśmy się. Zapominaliśmy odmawiać modlitwę dziękczynną przed jedzeniem. Mary Roses, czy mogłabyś odmówić modlitwę?

Pokiwała głową, po czym pochyliła ją i złożyła ręce do modlitwy.

- Au nom du Pere...

Rodzina Claybome'ów po raz kolejny zaskoczyła Harrisona. Przez cały wieczór cała piątka mówiła po francusku. Zauważył, że Mary Roses ma najbogatszy zasób słów, i uznał, że uczyła się francuskiego na pensji.

Znajomość francuskiego i łaciny była zapewne wymagana. Dobry akcent oraz łatwość, z jaką przychodziło jej mówienie, wskazywały, że uczy się od dawna.

Najśmieszniej słuchało się Tralisa, który mówił płynnie, ale z fatalnym akcentem. Wymowa niektórych słów przyprawiłaby o zawał serca niejednego Francuza.

Harrison znał modlitwę, którą odmówiła Mary Roses, ale nie mógł jej sobie dokładnie przypomnieć. Nie pamiętał nawet, gdzie i kiedy ją słyszał.

- Czy mogę o coś zapytać?

- Znów? Harrison, co tym razem jest nie tak? - spytał Cole.

Harrison zignorował jego sarkazm.

- Znam modlitwę, którą odmówiliście, ale nie mogę sobie przypomnieć, gdzie ją słyszałem.

- To katolicka modlitwa dziękczynna - odpowiedziała Mary Roses. - Odmawiamy ją przed jedzeniem.

- Święty Boże, jesteście katolikami!

Dopiero gdy wszyscy na niego spojrzeli, zorientował się, że powiedział to na głos. Wszyscy Claybome'owie wyglądali na zdziwionych i zatrwożonych.

- Co masz przeciw katolikom?

- Nic - odpowiedział Harrison. - Po prostu się zdziwiłem. Nie wiem czemu uznałem, że jesteście... czymś innym.

- Jesteśmy - powiedziała Mary Roses.

- Jesteście czym? - Harrison niewiele już rozumiał.

- Czymś innym. Nie zawsze jesteśmy katolikami.

Harrison usiadł wygodniej na swoim krześle. Ciągle jeszcze się nie uspokoił, Lord Elliott na pewno będzie przerażony. Jego rodzina nie tylko należała do kościoła anglikańskiego, ale siedziała w pierwszych jego ławach.

Dlaczego, na Boga, Harrison uznał, że Claybome'owie należą do kościoła anglikańskiego?

Jego początkowa reakcja teraz go bawiła. Lord Elliott będzie przecież kochał Mary Roses niezależnie od wyznania, choć nie zaprzestanie jej nawracać.

W końcu dotarły do jego świadomości słowa Mary Roses. Claybome'owie tylko czasem byli katolikami i to było dla Harrisona zupełnie niezrozumiałe.

- Zaczekajcie - powiedział nagle. - Nie możecie być katolikami od czasu do czasu. Dobrze wiem, bo mój najlepszy przyjaciel jest katolikiem.

- Lecz mimo to nie lubisz... - zaczął mówić Cole.

- Nie mam nic przeciw katolikom - Harrison nie pozwolił mu dokończyć.

- Zdziwiłem się, gdy powiedzieliście mi, że jesteście katolikami, to wszystko.

- Czemu nie możemy być katolikami tylko od czasu do czasu? - spytał Tra vis.

- Jesteśmy - Mary Roses upierała się przy swoim.

Harrison postanowił kontynuować zabawę. Przy odrobinie cierpliwości i logicznego myślenia zmusi ich w końcu, by zrozumieli, że nie mogą sobie z niego żartować.

- Dobrze, załóżmy, że tylko czasem jesteście katolikami. Możecie mi powiedzieć kiedy?

- W kwietniu, maju i czerwcu - odpowiedziała.

Harrison nawet nie mrugnął okiem.

- A co z lipcem, sierpniem i wrześniem?

- Wtedy jesteśmy luteranami - powiedział Travis.

- A przez następne trzy miesiące?

- Wtedy przyjmujemy jeszcze inną wiarę. Jesteśmy baptystami, przynajmniej próbujemy przestrzegać ich zasad.

Harrison miał już dosyć.

- Mary Roses, czy skończyłaś już...

Chciał dowiedzieć się, czy przestała już stroić z niego żarty. Ona nie pozwoliła mu jednak dokończyć zdania.

- Nie, jeszcze nie. Na jakim miesiącu skończyliśmy?

- Styczeń - przypomniał jej Cole.

- W styczniu, lutym i marcu jesteśmy wyznania mojżeszowego.

- W styczniu wyznania mojżeszowego? - Harrison niemalże krzyknął.

- Co, na Boga, masz przeciwko żydom? - spytał Cole. - Jesteś strasznie uprzedzony do różnych ludzi.

Harrison zamknął oczy i policzył do dziesięciu, po czym ponownie spróbował ogarnąć chaos, jaki stworzyli w jego myślach Claybome'owie.

- Nie mam żadnych uprzedzeń - odparł. - Próbuję jedynie zrozumieć.

Żadne z was nie może być wiernym tylu religiom na raz. Wiara w jej święte zasady jedynie przez trzy miesiące jest kpiną ubliżającą każdej z tych religii.

Adam w końcu zlitował się nad nim.

- Staramy się dowiedzieć jak najwięcej o różnych religiach. Uważamy, że należy rozumieć i szanować cudze wierzenia. Czy ty wierzysz w Boga?

- Tak, wierzę.

- My też - zauważył Adam. - Nie należymy jednak do zorganizowanego kościoła.

- Pewnie dlatego, że w Blue Belle nie ma żadnego - wtrącił Douglas. - Ludzie najpierw mówią o budowie kościoła, ale potem zaczynają się kłócić, jakiego ma być wyznania, i nic nie zostaje uzgodnione.

- Wychowano cię pewnie w religii twego ojca, prawda? - spytał Travis.

- Rzeczywiście tak było - zgodził się z nim Harrison.

- Jako dziecko nie myślałeś nigdy o wstąpieniu do innego kościoła. Żadne z nas nie miało ojca, który by nami pokierował. Sami robimy więc, co możemy, Harrisonie.

- Samokształcenie. - Nic nie mógł zarzucić takiemu rozumowaniu.

- Także zrozumienie - dodał Adam.

Harrison pokiwał głową.

- Jest wiele religii na świecie. Czy zamierzacie nauczyć się czegoś o każdej z nich?

- Nawet gdy poświęcimy nasze umysły, serca i dusze jednej wierze, to będziemy patrzeć ze zrozumieniem na cudze przekonania. Wiedza daje wolność, a wolność zrozumienie.

- W Hammond mieszka kilka rodzin żydowskich. Odwiedzamy je tak często, jak tylko się da. Niektórzy mieszkańcy nie lubią ich. Wydaje się to nieprawdopodobne, ale nie lubią tego, czego nie rozumieją. Niektórzy się nawet z nich naśmiewają, ich ignorancja jest zawstydzająca. Żadne z nas nie urodziło się żydem, więc nie możemy stać się praktykującymi żydami. Wywnioskowaliśmy to z naszych rozmów z żydowskimi rodzinami. Ich tradycje są bogate i wiele dla nich znaczą. Sami odkrywamy, że wiele zyskujemy dowiadując się o ich wierze. Należy podziwiać każdego, kto żyje zgodnie ze swoimi wierzeniami, a nie naśmiewać się z niego. Czy nas rozumiesz?

- Tak - odparł Harrison. - Teraz powiedzcie mi, czemu rozmawiacie po francusku. Czy chcecie zrozumieć, jak żyją ludzie we Francji?

Harrison nawet z drugiego końca stołu zauważył błysk w oku Adama.

Przygotował się więc na kolejną porcję zdumienia.

- Mówimy po francusku, bo jest dziś czwartek.

- Tak? - Harrison z uśmiechem starał dowiedzieć się więcej.

- We wtorki, czwartki i soboty zawsze mówimy po francusku. - Mary Roses uśmiechnęła się do niego.

Znów się zaczyna, pomyślał Harrison. Wiedział dobrze, w jakim kierunku zmierza ta rozmowa.

- Czy ta rozmowa będzie podobna do rozmowy o Irlandczykach?

- Być może - przyznała.

- Co on chciał powiedzieć mówiąc o Irlandczykach? - spytał Travis.

Mary Roses odwróciła się do brata, chcąc mu wszystko wytłumaczyć.

- Harrison pragnął, byśmy wszyscy okazali się Irlandczykami. Nawet nie wiem, czemu tak mu na tym zależało. Staralam się po prostu być uprzejma, jest przecież naszym gościem. Chciałam, by odczuł, że jest tu mile widziany.

- Więc dlatego powiedziałaś mu, że jestem Irlandczykiem. - Travis pokiwał głową.

- Jesteś Irlandczykiem, Travis.

- Wiem, Cole. Zastanawiałem się tylko, czemu jest to dla niego ważne.

Dziwne z niego stworzenie, co?

Cole przyznał mu rację, po czym odwrócił się w stronę Harrisona.

- Może chciał, byśmy byli Irlandczykami, a może wręcz przeciwnie. Na zdrowy rozum, pochodząc ze Szkocji powinien chcieć, byśmy byli Szkotami, a nie Irlandczykami. Harrison, co takiego masz przeciw Irlandczykom? Czy zrobili ci kiedyś coś złego?

Harrison miał ochotę uderzyć głową o ścianę. Nie mógł zrozumieć, w jaki sposób ich rozmowa zesłała na obronę Irlandczyków.

Odetchnął głęboko i po raz kolejny spróbował być rozsądny.

- Nie obchodzi mnie, czy jesteście Irlandczykami, czy nie - powiedział.

- Czemu nie? - Cole nie był usatysfakcjonowany tą odpowiedzią.

Harrison spojrzał ze złością na natrętnego brata. Doszedł do wniosku, że prowadzenie normalnej rozmowy z kimkolwiek z Claybome'ów jest dla niego po prostu zbyt trudne. Był już gotów poddać się.

- Modlę się do Boga, bym nigdy nie musiał w sali sądowej porównywać waszych zeznań - powiedział z sarkazmem.

- Zaczekaj, co jest z nami nie tak? - spytał Douglas. - Byliśmy bardzo gościnni, czyż nie?

- Ludzie, wasze myślenie jest całkowicie pozbawione logiki. To jest nie w porządku - oświadczył Harrison. Nie zważał już na to, czy ich obraził.

Wszystko miało wszakże swoje granice.

- Może jesteśmy dla ciebie troszkę zbyt logiczni - zastanawiał się Cole. - Rozważyłeś taką możliwość?

- Zastanawiałem się po prostu, czemu przez trzy wieczory w tygodniu mówicie po francusku - odparł.

- We wtorki, czwartki i soboty. - Cole przypomniał mu ze złośliwym uśmiechem na twarzy.

Jego zdenerwowanie bawiło wszystkich czterech braci. Harrison potrzebował chwili, by cokolwiek zrozumieć, ale nie był kompletnym idiotą. Doszedł do wniosku, że wystarczy już zabawy Rozmyślnie zmienił więc temat.

- Mary Roses, czy czujesz się dobrze?

- Tak, dziękuję. - odpowiedziała.

- Nieźle oberwała dzisiaj rano - poinformował Harrison Adama.

- Najwyraźniej. - Adam się z nim zgodził. Jego głos był miły i łagodny.

- Wygląda już lepiej - zauważył Douglas.

Słowo „lepiej” nie pasowało do opinii Harrisona na ten temat. Uważał, że mimo sińców była równie piękna jak zwykle. Na czole w pobliżu skroni miała guza wielkości monety. Rany nie było widać, gdyż zasłaniały ją loki. Miała także spuchnięty kącik ust. Pewnie ją boli, pomyślał. Nie miało to dla niego żadnego znaczenia. Tak czy inaczej pragnął ją pocałować.

- Cole, on znów to robi.

- Kto co robi?

- Harrison gapi się na Mary Roses.

- Przyglądałem się jedynie jej obrażeniom - bronił się Harrison. - Jesteś bardzo dzielna, Mary Roses. Należy ci się za to pochwała.

- Wcale nie jestem taka delikatna - odparła. Spojrzała złowrogo na Adama, po czym dodała: - Moi bracia nie mogą przyjąć tego do wiadomości.

- Nie zaczynaj z nami, Mary Roses - ostrzegł ją Cole.

- Nie zaczynaj czego? - Mary Roses stała się nagle słodka i niewinna jak niemowlę.

- Wyglądasz delikatnie - zauważył Harrison.

- Ale taka nie jestem, więc nie myśl sobie, że możesz mi rozkazywać.

Mam już dosyć takich bzdur.

Gwałtowny ton jej głosu zaskoczył Harrisona. Mary Roses była najwyraźniej w złym humorze. Nie był pewien, co ją zdenerwowało, ale miał wystarczająco dużo oleju w głowie,

by o nic nie pytać. Wyglądała tak, jakby zamierzała urwać komuś głowę. Uznał, że woli mieć swoją na miejscu.

- O nic jej nie pytaj - powiedział teatralnym szeptem Cole.

- Nawet bym się nie ważył - odparł Harrison.

- O czym chciałeś ze mną porozmawiać? - spytał Cole'a Adam.

- O Harrisonie - odpowiedział Cole. - Chciałem porozmawiać o naszym gościu. Miałem dosyć czekania, aż ty skończysz rozmawiać z Eleanor, więc wróciłem do pracy. W każdym razie wiem już, czemu Harrison zadaje tyle pytań. Po prostu nie może się powstrzymać. Słyszałeś, co mówił o porównywaniu naszych zeznań, więc domyśliłeś się już pewnie...

- Jest prawnikiem - wtrącił Travis, nie pozwalając Cole'owi dokończyć.

Cole spojrzał gniewnie na brata, który odebrał mu efektowną puentę.

Wkrótce zapomniał o złości i mówił dalej.

- Mówi, że myślał, że już nam o tym powiedział, ale wydaje mi się możliwe, że specjalnie o tym nie wspomniał. Pewnie domyślił się, że nie mógłby tu zostać, gdybyśmy wiedzieli, jak zarabia na życie. Mamy przecież swoje zasady.

Wieść ta zaszokowała Douglasa, co zdziwiło Cole'a.

- Nie słuchałeś, co mówił kilka minut temu? Jedyne prawnicy porównują zeznania - powiedział Cole.

- Za bardzo nie uważałem - przyznał Douglas. - Czemu nam o tym nie powiedział? Miał ku temu wiele okazji.

- Rozmawianie o gościu w jego obecności jest bardzo niegrzeczne - wtrącił Harrison.

- Jest to chyba lepsze od rozmawiania za jego plecami, gdy sobie pójdzie - zauważył Cole.

- W ogóle nie powinno się o nim rozmawiać - poinformował go Harrison.

- Czemu nam nie powiedziałeś? - Douglas był nadal ciekawy.

- Myślał, że o tym wspomniał - powiedział Cole. - Wszyscy w mieście o tym wiedzą, nawet Dooley.

- No, a my o tym nie wiedzieliśmy, czyż nie? - zauważył Douglas. - Jak Boga kocham, jestem tak wkurzony, że chciałbym go trzasnąć.

- Już to zrobiłem - pochwalił się Cole.

- On nie kłamie - potwierdziła Mary Roses. Jej spojrzenie było zabójcze.

- Zrobił to na środku kuchni Momsonów. Masz świetnie wychowanego brata, Adamie.

Zgodzisz się ze mną, Harrisonie?

Cała rodzina spojrzała na niego, chcąc wiedzieć, po czyjej stronie się opowie. Harrison postanowił być zupełnie szczery.

- Być może - przyznał. - Muszę jednak zauważyć, że chciałem mu oddać, ale spostrzegłem, że się temu przyglądasz.

- Wiedziałaś, że was obserwowałam? - spytała.

Pokiwał głową. Mary Roses jeszcze bardziej zmarszczyła brwi.

- Mimo to pozwoliłaś Catherine Morrison, by się do ciebie lepiła?

- Nie lepiła się do mnie, prawda Cole?

Harrison przed chwilą go obronił, więc Cole uznał, że musi się odwdziżyć.

- Wcale tego nie robiła. Zachowywała się jedynie uprzejmie. Travis może to poświadczyć.

- Trochę zbyt uprzejmie jak dla mnie - powiedział Travis. - Ale wobec mnie też się tak zachowywała, więc chyba nie było w tym nic złego.

- Innymi słowy, lepiła się też do ciebie - stwierdziła ze złością Mary Roses.

Harrison patrzył właśnie na Adama i ze zdziwieniem zauważył, że najstarszy brat uśmiecha się. Stosunek Mary Roses do Catherine najwyraźniej go bawił.

- Czemu tak cię interesuje, co ona robi z Hamsonem? - spytał Cole.

- Tak się dziwnie składa, że moim zdaniem gospodyni powinna być trochę mniej gościnna.

- Gościnna to ona rzeczywiście była - przyznał Cole.

- Gdybyś tylko przestała z uporem zachowywać do niej urazę z dzieciństwa, to zobaczyłabyś, jaką miłą stała się dziewczyną. Jest słodka, niewinna i ma dobre serce.

Adam zmienił nagle temat rozmowy.

- Mam do was wszystkich pytanie - oznajmił. Poczekał, aż wszyscy zwrócą na niego uwagę, po czym powiedział: - Chciałbym wiedzieć, gdzie byliście, gdy Mary Roses pobito. Możecie mi to wytłumaczyć?

Wszyscy czterej mężczyźni i kobieta zaczęli się jednocześnie tłumaczyć.

Cole uznał, że za tym pytaniem kryje się zarzut, i tak się zdenerwował, że zapomniał mówić po francusku, gdy wymieniał listę powodów, dla których nie mógł pilnować siostry.

Mary Roses próbowała wyjaśnić, że potrafi zupełnie dobrze sama o siebie zadbać. Nikt jednak nie zwracał na nią uwagi.

Zmiana, jaka zaszła w Adamie, zafascynowała Hamsona. Był wściekły.

Najstarszy z braci pierwszy raz w obecności Szkota okazał emocje. Jego wzrok mroził krew w żyłach, równie jak ton jego głosu. Travis wymyślał na oczekaniu wyjaśnienia, słowa

Cole'a były całkiem pozbawione sensu, a Douglas bezskutecznie im przerywał, by samemu się wytłumaczyć.

Bardzo dziwiło też Hamsona własne zachowanie. Nie dość, że uczestniczył w kłótni, to jeszcze znalazł się w samym jej środku. Za każdym razem, gdy chciał przekrzyczeć resztę, był równie głośny i natrętny, jak Cole.

Bawił się jak rzadko. Wszystkie kolacje w Anglii były bardzo poważne i nudne. Wszyscy porozumiewali się szeptem i nikt nikomu nie przerywał.

Rozmawiano tylko o błahostkach. Harrison dopiero teraz zrozumiał, jak monotonne, jednostajne i jak bardzo wyregulowane było jego życie.

- Adamie, czy mógłbyś mnie posłuchać? - zażądała Mary Roses, niemalże krzyżąc. Waliła pięścią w stół, chcąc zwrócić na siebie uwagę. - Chciałabym, byś przyjął do wiadomości, że jestem w pełni dojrzałą kobietą i potrafię zadbać o siebie. Czy nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo obraźliwa jest dla mnie ta kłótnia?

Odpowiedź brata nie przypadła jej do gustu.

- Możesz już odejść od stołu, siostrze. Idź może do saloniku i poświęć granie. Już dawno nie słyszałem, jak grasz.

Chciała zaprotestować, ale wyraz twarzy brata zmusił ją do zmiany zdania.

Najpierw Harrison, a za nim wszyscy bracia wstali, gdy wychodziła z jadalni. Jak tylko zniknęła za drzwiami, usiedli z powrotem i znów zaczęli krzyżeć.

Harrison już nie próbował zwrócić na siebie uwagi Adama. Oparł się wygodnie o krzesło i obserwował, jak się toczy bitwa.

Cole wystarczająco się uspokoił, by znów mówić po francusku. Przeklinał więc w tym języku, znał chyba każde barwne przekleństwo, jakie istniało.

- Jak Boga kocham, w pewnej chwili jeszcze tam była, a potem już jej nie było. Wystarczyło odwrócić się na chwilę, by zniknęła.

Jego wytłumaczenie jako jedyne miało sens. Travis ciągle wykręcał się, choć nadal nie było to wiarygodne. Douglas zarzucał Cole'owi, że nie uważał.

Przypomniał też wszystkim, że był w stajni, więc nie można się było spodziewać, że będzie pilnować Mary Roses. Nikt nie może być w dwóch miejscach jednocześnie.

- Więc czemu uważasz, że ja mogłem być jednocześnie w sklepie i przed nim? - spytał Cole.

- Dobrze, już dobrze! - krzyżał Travis. - Szedłem, żeby się zobaczyć z Catherine. Powinienem być zostać w mieście, ale myślałem, że ty na nią uważasz, Douglas.

Adam spojrział na Hamsona.

- A co ty robiłeś?

- Biorę na siebie pełną odpowiedzialność. - Nie próbował się tłumaczyć.

- Wdałem się w dyskusję o pędzeniu bydła i nie zauważyłem, że ona opuściła sklep. Adam pokiwał głową. Przyjrzał się dokładnie wszystkim, zanim znów się odezwał.

- To nie może się już nigdy powtórzyć. Mary Roses potrafi o siebie zadbać i dobrze wiem, że nie jesteśmy jej strażnikami. Też zawiniła, ponieważ sama szukała zwady. Wie, że nie powinna. W dodatku nie miała nawet przy sobie broni - dodał potrząsając głową. - Nasza siostra pozwoliła złości wziąć górę nad rozsądkiem. Ponieważ jest już w saloniku i nie może zaprotestować, przypomnę wam, że w rzeczywistości jest delikatna. Może nie lubić swoich fizycznych ograniczeń, ale dla nas to nie jest ważne. Mogła zostać zabita.

- Rzeczywiście, było to możliwe - zgodził się Cole. - Bickley jest niski, ale waży od niej więcej i ma dwa razy więcej mięśni.

- Jego kumple byli wysocy - powiedział Douglas.

- Kumple? Krzywdzili ją jeszcze inni mężczyźni?

Wszyscy bracia skulili się słysząc ryk, jaki wydał z siebie wściekły Adam.

Cole i Travis spojrzeli na Hamsona, prosząc wzrokiem o wsparcie. Douglas uparcie wpatrywał się w swój kubek z kawą.

- Nikt inny jej nie uderzył - wytłumaczył Harrison. - Udało mi się też przekonać Bickleya, by nie uciekał. Twoi bracia zrobiliby to samo, byłem po prostu pierwszym, który do niej dobiegł.

- Jak przekonałeś Bickleya? - spytał Adam. Uspokoiwszy się trochę mówił już normalnym głosem.

- Pięściami - przyznał się Harrison. - Straciłem kontrolę nad sobą, niczego jednak nie żałuję. Mogłem ich wszystkich zabić, ale tego nie zrobiłem. Zabrano ich do Hammond, gdzie zajmą się nimi władze.

- Czemu myślisz, że szeryf coś zrobi? - spytał Adam.

- Uważasz, że tak nie będzie? - odpowiedział pytaniem Harrison.

- Mało prawdopodobne. Mieszkamy w Blue Belle, a ludzie w Hammond zajmują się tylko własnym bezpieczeństwem. Bóg jeden wie, ile roboty szeryf ma na miejscu. Możliwe, że trzaśnie ich jedynie po łapach i wypuści.

- Sądzisz, że wrócą wtedy do Blue Belle? - Harrison był ciekawy.

- W końcu to zrobią - odparł Adam. - Szumowiny zawsze znosi do naszego miasta. Bickley nie będzie, jak sądzę, szukał tym razem Mary Roses Ty stałeś się jego celem, Harrison. Lepiej będzie, jeśli wszyscy będziemy ostrożni.

Bracia byli skorzy przyznać mu rację. Adam uśmiechnął się.

- Cieszę się, że oczyściliśmy trochę atmosferę. Hamsonie, jakiś miesiąc temu kupiliśmy trzysta sztuk bydła od właściciela rancza w pobliżu wodospadu. Czy zostaniesz tutaj wystarczająco długo, by pomóc nam przegonić je do Różanego Wzgórza?

Szkotowi nie dano jednak czasu na udzielenie odpowiedzi. Swoją opinię jako pierwszy wyraził Douglas.

- Adam, on nie umie nawet związać byczka. Prawda, Harrison?

- Nie umiem, ale...

- Niech zgadnę - powiedział powoli Cole. - „To nie może być zbyt trudne”, tak? O ile pamiętam, mówiłeś to samo o oswojeniu koni.

- Było to trochę niedorzeczne - uznał Harrison. - Jestem jednak pewien, że jeśli dacie mi linę i pokażecie, jak jej używać, nauczę się tego w mig.

- Strasznie się narzuca, choć go potem przez to boli - zauważył Douglas, - Kiedy w końcu zrozumiesz, że to nie jest robota dla ciebie? - spytał Cole.

- Zaraz po tym, jak rozgniotę ci twarz.

Wszyscy zaśmiali się. Uważali, że nie mówi tego na serio.

- O tak, trudno ciebie nie lubić - powiedział Cole.

- A to czemu? - spytał Harrison.

- Jesteś jedyną osobą, która mu się stawia - wytłumaczył Douglas.

- Dlatego cię lubi. Może nie masz zbyt wiele rozumu, ale na pewno jesteś odważny. Cole nie jest przyzwyczajony, by ktoś mu bezczelnie odpowiadał.

Harrison wzruszył ramionami.

- Jak daleko stąd jest ranczo, w którym kupiliście bydło?

- Jakieś dwa dni jazdy stąd - odpowiedział Cole. - Możesz zacząć ćwiczyć z liną pojutrze. Najpierw musisz skończyć z mustangami. Pozostał ci jeszcze ten uparty, pamiętasz?

- Pamiętam - westchnął Harrison. - Ten plamisty. Nie jest jeszcze gotowy, by posłuchać głosu rozsądku, ale powoli zbiera się do tego. Czuję, że zaczyna go to intrygować. Jest bardzo podobny do ciebie, Cole. Naprawdę uparty. Jutro będę miał z nim pewnie więcej szczęścia.

- Skończyłbyś już dawno, gdybyś nie tracił tyle czasu na omawianie wszystkiego z końmi. Nie rozumieją ani słowa z tego, co im mówisz. Musisz to pojąć.

- Przyzwyczajam ich do mojego głosu - wytłumaczył Harrison. - Są uparte, owszem, ale także przestraszone. Nie jestem jedyny, który mówi do koni. Spytaj Douglasa.

- Ma rację - przyznał Douglas. - Też do nich mówię.

- Douglas, czy mógłbyś pójść przypomnieć Mary Roses, że sprząta dzisiaj ze stołu? Harrison, możesz to zrobić jutro wieczorem.

- Oczywiście. Na czym to polega?

- Nigdy nie sprzątałeś po kolacji? - spytał Cole, - Nie.

- Nieźle cię rozpieszczano, co? - Travis był zdziwiony.

- Chyba tak.

Douglas wstał od stołu i podszedł do drzwi. Zatrzymał się na progu, po czym obrócił się i szybko wrócił do stołu.

- Nie wchodzę tam. Travis, ty po nią idź.

Douglas usiadł, jak tylko Travis wstał.

- Gra Beethovena - ostrzegł Douglas.

- Którą? - spytał Travis.

- Piątą.

Najmłodszy z braci usiadł z powrotem.

- Wyślijmy Harrisona.

Wszyscy bracia zaśmiali się. Cole wytłumaczył Harrisonowi, co ich tak rozbawiło.

- Lepiej nie zbliżać się do Mary Roses, gdy gra Beethovena.

- Dlaczego?

- Ma wtedy bardzo kiepski humor - wyjaśnił Cole. - Uciekamy najszybciej, jak się da, gdy tylko słyszemy Piątą. Jesteś bezpieczny, jeśli to Mozart lub Chopin - dodał. - Porządnie wali dzisiaj w te klawisze, prawda, Adamie?

Najstarszy brat uśmiechnął się i przyznał mu rację.

- Harrison, czy jesteś już gotowy pójść do biblioteki?

Harrison pokiwał głową, po czym wstał i wyszedł za Adamem z pokoju.

Dwaj mężczyźni popadli w zwyczaj kończenia wieczoru żywą dyskusją.

Harrison codziennie oczekiwał tych umysłowych zapasów. Pierwsze kilka razy pozwolił Adamowi wygrać, przynajmniej uważał, że to on umożliwił mu zwycięstwo. W końcu jednak duch współzawodnictwa wziął w nim górę i zmusił Harrisona do kilku zwycięstw.

Diskusje z Adamem nie były łatwe. Hamson uwielbiał je prawie tak samo, jak Adam.

Usiadł w jednym ze skórzanych foteli stojących przy kominku i podniósł ze stolika notatnik. Przyniósł kałamarz i pióro, by łatwiej mu było sięgnąć.

Adam nalał do dwóch szklanek brandy. Podał drinka Harrisonowi, po czym usiadł naprzeciw gościa.

- Jaki jest nasz dzisiejszy temat? - Harrison wyciągnął nogi opierając je na podnóżku.

- Po długim namyśle wybrałem koniec inwazji na Kartaginę. - Adam delectował się każdym słowem.

- Nie możemy rozmawiać o końcu, nie przyjrząwszy się początkowi - odparł Harrison.

- Słusznie - Adam trzasnął ręką w kolano. - Musisz zdać sobie sprawę, że Grecy byli dumnym i bardzo inteligentnym narodem.

To pierwsze stwierdzenie określiło jego stanowisko. Harrison ripostował.

- Tak samo, jak Spartanie, którzy także byli nie do pokonania w walce, wybitnie zdolni w każdej dziedzinie, łącznie z taktyką. Ich przewaga nie budzi żadnych wątpliwości.

Tak zaczęła się dyskusja. Obaj kłócili się przez ponad godzinę. Gdy Adam zasugerował, by skończyć, Harrison podsumował argumenty każdego z nich.

Tego wieczoru dyskusja zakończyła się remisem.

Adam pozostał w bibliotece, chcąc poczytać przed snem. Harrison powiedział mu dobranoc i udał się w stronę baraku.

Mary Roses czekała na niego na werandzie. Jej złote włosy lśniły w świetle księżyca niczym latarnia.

- Czemu nie jesteś w łóżku? Już późno.

- Musiałam się przewietrzyć - odparła. - Przejdę się z tobą, Harrison zaczął na nią u stóp schodów. Razem poszli przez podwórze.

- Będzie to chyba dla mnie bezsenna noc.

- Beethoven nie pomógł ci pozbyć się złości?

Zauważyła rozbawienie w jego głosie i zareagowała uśmiechem.

- Nie byłam zła, jedynie sfrustrowana. Moi bracia przesadzają czasem z wtrącaniem się w moje życie.

- Uważam, że za mało to robią - powiedział Harrison. - Mieszkacie w niebezpiecznej okolicy.

- A ja jestem małą i słabą kobietą?

Potrząsnął głową.

- Nie chcę wdawać się w dyskusję. W moim baraku nie ma fortepianu, więc to mnie by się oberwało.

- Więc uważasz, że jestem niezdolna do...

- Nie wyraziłem opinii w tej sprawie - zauważył. - Jedna twoja cecha strasznie mnie denerwuje, Mary Roses. Wyciągasz wnioski nie poznawszy wszystkich faktów.

Jej dłoń dotknęła jego ręki.

- Naprawdę?

- Tak.

Znów naumyślnie otarła się o Hamsona, on tego jednak nie zauważył.

Uznała, że musi być tępy lub nieśmiały. Nie warto było tracić czasu na subtelności. Zrozumiała, że musi być zuchwała, jeśli chce, by zareagował.

Wniosek ten strasznie ją zbił z tropu.

Schwyciła rękę Hamsona, przysuwając się do niego. Musiałby ją odepchnąć, a wiedziała, że jest zbyt dobrze wychowany, by to zrobić. Musieli więc tak pozostać niezależnie od tego, czy mu się to podobało.

Jej zachowanie zaskoczyło Hamsona. Jednak zamiast puścić jej rękę, ścisnął ją mocno.

- Spędzasz strasznie dużo czasu na rozmowach z Adamem - zauważyła, starając się, by brzmiało to beztrosko. Czowała się niepewnie poruszając ten temat, a nie chciała, by to zauważył.

- Naprawdę tak sądzisz?

- Tak.

Nie dodał nic więcej. Miała nadzieję, że wytłumaczy, czemu to robi. On jednak milczał, więc postanowiła go przycisnąć.

- Ciekawa jestem, czemu z nim co wieczór rozmawiasz - zaczęła od nowa.

Jej głos był napięty. Spojrzał na nią, by zobaczyć, czy martwi się czymś, czy też po prostu czegoś się boi.

Jedynie, co widział, to czubek jej głowy. Patrzyła na swoje stopy i nie chciała na niego spojrzeć. Poznał jednak po drzeniu ręki, że jest czymś przejęta.

Nie mógł być szczery, jeśli chciał dowiedzieć się, co się stało. Skłonić Mary Roses do mówienia z sensem można było jedynie okrężną drogą.

- Rozmowa z nim sprawia mi przyjemność.

- Tak mi się zdawało. O czym rozmawiacie?

- O tym i owym.

- A konkretniej?

- Czemu tak bardzo chcesz wiedzieć?

- Jestem ciekawa.

- Rozmawiamy o wielu różnych rzeczach.

- Na przykład?

- Na przykład o waszej wojnie domowej i dlaczego nikt nie nazywał jej wojną, gdy trwała. A ty sądziłaś, że o czym rozmawiamy?

- Myślałam, że może zadajesz mu pytania. Jesteś z natury bardzo ciekawy różnych rzeczy.

- O co miałbym go pytać?

- O jego pochodzenie.

- Nie pytałem go o to.

Dopiero gdy się do tego przyznał, uświadomił sobie, jakie popełnił głupstwo. Nie zadając najstarszemu bratu żadnych pytań, przepuścił świetną okazję uzyskania informacji o Claybome'ach.

Własne zachowanie zadziwiło go. Zapomniał o najważniejszej sprawie i to było przerażające. Przyjechał do Montany w poszukiwaniu prawdy, a teraz, gdy potrzebował tylko jednej istotnej informacji, by złożyć wszystkie fakty razem i znaleźć osobę winną porwania, dał za wygraną.

Rozumiał dobrze swoją niechęć - wiedział, że prawda zniszczy rodzinę Claybome'ów. Samo myślenie o bólu, jakiego by im przysporzył, było dla Hamsona męczarnią.

Mary Roses teraz trzymała go za rękę, okazując swoje uczucie, ale znienawidziłaby go wiedząc, w jakim celu zamieszkał z jej rodziną.

Nie chciał, by go nienawidziła; chciał i potrzebował jej miłości.

Harrison przyspieszył kroku. Był na siebie wściekły i pragnął przemyśleć kilka spraw, by dojść do jakichś wniosków. Związał się emocjonalnie z rodziną Claybome'ów, nie zauważając nawet, kiedy to nastąpiło. Lubił ich wszystkich i martwił się o nich, bo mu na nich zależało. Niech to, lubił nawet to, że nie przepadał za Cole'em.

Tak, tego wieczoru miał wiele do przemyślenia.

- Harrison, nie chciałam cię urazić sugerując, że jesteś wścibski - wyszeptała Mary Roses.

- Nie pomyślałem tego - odpowiedział.

- Nie jesteś więc zły?

- Nie, oczywiście, że nie. - Zwolnił kroku, próbując się uspokoić.

- Więc przestań ścisnąć tak moją rękę.

Natychmiast ją puścił.

- Jest dzisiaj bardzo zimno. Powinnaś wrócić do domu - powiedział nagle.

- Nie jest mi zimno - odpowiedziała. Uświadomiła sobie wreszcie, że, być może, Harrison chce się jej pozbyć.

Żarliwie pragnęła się mylić.

- Martwisz się czymś?

- Na przykład czym? - spytał.

- Że znów cię pocałuję.

Pomysł był tak absurdalny, że nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

- To ja cię pocałowałem - przypomniał.

- Pomagałam ci.

- Dobrze, oboje byliśmy winni.

- Winni - powtórzyła. - Ty naprawdę jesteś prawnikiem. Wolałabym, żebyś nim nie był.

- Wyjaśnij mi to.

- Prawnicy nas dręczą.

- Dlaczego?

Wzruszyła ramionami. Nie miała zamiaru więcej tłumaczyć. Harrison nie dał jednak za wygraną. Uznał, że najwyższa pora otrzymać zadowalającą odpowiedź.

- Martwiłaś się, że będę pytać Adama o waszą rodzinę lub jego pochodzenie?

Zatrzymali się i stanęli naprzeciwko siebie. Księżyc roztaczał dookoła nich złotą poświatę.

- Nie chciałam, byś go męczył. Adam nie lubi mówić o niektórych epizodach ze swojej młodości. Był niewolnikiem. Więcej nie musisz chyba wiedzieć.

- O czym on lubi rozmawiać? Czy czas, który spędził w Nowym Jorku, także nie jest dobrym tematem?

- Nie jest.

- A podróż do Montany? Będzie chciał ze mną o tym mówić, czy też powinienem unikać tematu?

- Sądzę, że nie miałyby nic przeciwko rozmowie na ten temat. Moi bracia są dumni z tego, czego dokonali.

Harrison nie mógł się już powstrzymać. Schwycił ją i przyciągnął bliżej do siebie. Tym razem nie była to fizyczna reakcja. Po prostu chciał być blisko niej tak długo, jak tylko się da.

Rozumiała chyba, czego pragnął, gdyż objęła go w pasie i mocno ścisnęła.

- Byłeś bardzo samotny dorastając, prawda?

- Jeśli byłem, to tego nie zauważałem - odparł. Pochylił się, opierając brodę na czubku jej głowy. Zamknął oczy i skupił się na przyjemności, jaką dawała mu jej obecność.

- Aż do teraz? - szepnęła w kołnierzyk jego koszuli.

- Tak, do teraz.

Próbowała go pocieszyć. Delikatność i zrozumienie oszołomiły Hamsona.

Było w niej tyle miłości. Dzięki niej czuł się... bogatszy. Życie było dotychczas bezsensowne, puste i straszliwie zimne. Mary Roses, słodka, kochająca Mary Roses. Co, na Boga, miał z nią zrobić?

W końcu zmusił się, by ją puścić. Jeszcze trudniej było nakłonić do tego Mary Roses. Musiał oderwać od siebie jej ręce.

- Nie będę cię prosiła, byś mnie pocałował, nie musisz się o to martwić.

- Musisz wrócić już do domu, Mary Roses. Chodź, odprowadzę cię.

- Przecież właśnie ja odprowadzałam cię do twojego domu.

- W takim razie dobranoc.

- Dobranoc.

Odwróciła się, chcąc odejść. Harrison obserwował z rękami założonymi za głowę, jak odchodzi. Nie przypuszczał, że nagle odwróci się i rzuci w jego ramiona. Objęła go mocno za szyję, stanęła na palcach, po czym oddała mu długi, a mimo to wciąż zbyt krótki pocałunek.

Nie mógł się powstrzymać. Objął ją ramionami, po czym pokazał jej, jak pragnie być całowany. Jego gorące i otwarte usta niemalże ją pożerały. Język wsunął się do środka jej ust. Czuł, że cokolwiek zrobi, ciągle będzie pragnął więcej.

Pocałunek był niesamowicie zmysłowy. Harrison pragnął, by chwila ta nigdy się nie skończyła. Upajał się chrapliwym dźwiękiem, jaki dobiegał z gardła Mary Roses. Wszystko, co robiła, miało dla niego magiczny czar.

W chwili jednak, gdy zrozumiał, że chciałby od niej o wiele, wiele więcej, natychmiast przestał.

Spojrzała na niego, a jej oczy były zamglone przez namiętność. Wargi miała pąsowe i nabrzmiałe od jego pocałunków. Marzył o wzięciu jej ponownie w ramiona.

- Dobranoc - powiedziała gardłowym szeptem.

Nie ruszyła się jednak. Jej wahanie uradowało Hamsona. Zrozumiał, że to uczucie jest dla niej czymś nowym, a ponieważ nie miała żadnego doświadczenia, którym mogłaby się kierować, była bezbronna, bo mu ufała. Mary Roses była silną kobietą i nie pozwoliłaby się wykorzystać żadnemu mężczyźnie.

Była niewinna i czysta, a mimo to wobec niego okazała się bezsilna. Obowiązkiem Harrisona było więc pilnować, by nic się jej nie stało.

Obserwował ją, dopóki nie weszła do domu. Nawet wtedy nie ruszył się z miejsca. Co na Boga miał zrobić? Mary Roses była coraz bardziej w nim zakochana. Mógł powstrzymać to uczucie, zanim stanie się ono poważnym problemem, a jednak nic nie zrobił.

Dlaczego nic nie zrobił? Harrison ukrywał przed samym sobą prawdę, choć już od ponad tygodnia rzucała się prosto w oczy. Dobrze wiedział, czemu jej do siebie nie zniechęcał.

On także się w niej zakochał.

2 sierpnia 1864

Droga Mamo Roses!

W gazecie z Hammond przeczytaliśmy, że stoczono kolejną, bitwę niedaleko miejsca, gdzie Ty i pani Livonia mieszkacie. Wszyscy zaczęliśmy się oczywiście martwić. Słyszeliśmy straszne historie o zamieszkach spowodowanych brakiem żywności i lekarstw. Tydzień później nadszedł Twój list, piszesz w nim, że wszystko jest w porządku. Dziwisz się pewnie naszej głupocie. Powtarzasz, byśmy ufali Bogu i pozwolili Jemu martwić się o Ciebie, ale czasem trudno jest przekazać wszystko w Jego ręce. Próbujemy, Mamo, a to się chyba liczy.

Bardzo nam przykro, że kuracja nie poprawiła wzroku pani Livonii. Czy nie myślisz, że wszystkie te razy, jakie otrzymała od męża, mogły spowodować uszkodzenie jej wzroku? Pamiętam ją całą zakrwawioną i posiniaczoną. Proszę, powiedz jej, że o niej myślimy i modlimy się, by zdjęto z niej jej krzyż.

Mam nadzieję, że jej synowie zostawiają, was w spokoju. Niedobrze się nam robi na myśl o krzywdach, jakie wyrządzili własnej mamie. Dlaczego są wobec niej tak okrutni? Cole bał się, że będą nękać Cię tak, jak to robił ich ojciec, ale kazałem mu mieć więcej wiary w Ciebie. Dopóki będziesz uważać i trzymać się blisko ich matki, nie ośmielą się nic zrobić. Modlę się, bym miał rację.

W gazecie przedrukowano kolejną, doskonałą mowę Lincolna. Wygłosił ją, kilka lat temu, Mamo. Czy wiesz, że nazwał nas Czarnymi, a nie niewolnikami?

Czarny wydaje mi się bardziej godną nazwą od innych, które słyszałem. Cole nie rozumie, czemu wszyscy nie mogą być po prostu nazywani mężczyznami lub kobietami. Nie widzi powodu, by dokładniej określać ludzi. Chciałbym, żeby wszystko było tak proste. Niestety, ludzie myślą sobie dziwne rzeczy o osobach, które się od nich różnią. Dlaczego ludzie nienawidzą się z powodu innego koloru skóry?

Jednego wieczoru zaczęliśmy dyskutować o różnicach między rasami. Spytałem Trávisa, czy ludzie, którzy napisali dla nas Deklarację Niepodległości, zastanawiali się nad kolorami skóry. Nasze prawo mówi, że wszyscy ludzie zostali stworzeni równi. Powiedziałem

braciom, że moim zdaniem Jefferson, pisząc zasady rządzenia, nie myślał o Czarnych, ale Douglas powiedział, że to niczego nie zmienia. Równy znaczy równy, niezależnie od koloru skóry, wyznania i tak dalej. W końcu wszyscy zgodziliśmy się co do jednej kwestii - wiele ludzi z Południa nigdy nie przeczytało uważnie Konstytucji.

Mary Roses lubi pomagać przy zmywaniu naczyń. Bardzo uważa na dwie filiżanki z porcelany, które dał jej Travis. Obiecał, że pokaże jej, jak wygląda prawdziwy podwieczorek, gdy tylko wymieni skóry na więcej takich filiżanek.

Obecnie poszukuje czajniczka. Znając Trávisa, wiem, że w końcu go znajdzie, nie wie on, oczywiście, nic o prawdziwym podwieczorku, ale jest pewien, że pani Morrison chętnie mu wszystko wytłumaczy i wtedy będzie mógł nauczyć swoją siostrę. Cole przysięga, że nie będzie miał nic wspólnego z podwieczorkami, ale zmieni zdanie. Zawsze tak robi.

Cole zaczął w końcu pracować przy budowie naszego domu. W zeszłym roku ciągle coś mu przeszkadzało. Najpierw musiał zrobić stajnię dla Douglasa, potem nie zdążył wykopać piwnicy przed zimą, a na wiosnę musiał ciągle polować na jedzenie i konie na wymianę. Sprzedaliśmy wszystkie mustangi, które złapał - w okolicznych górach jest ich pełno. Cole nie może pracować przy budowie domu, gdy jego bracia łapią konie. wie, że nasze dochody zależą od tego, czy złapiemy i wytresujemy dzikie konie, zanim inni zaczną to robić.

Douglas zaczyna mieć dobrą reputację w okolicach Blue Belle. Ludzie przyjeżdżają z daleka, by zasięgnąć opinii o chorej krowie lub grymaśnej kurze.

Mój brat zawsze wie, co należy zrobić.

Cieężko pracujemy nad oczyszczeniem naszej mowy z brzydkich wyrazów, gdyż Mary Roses cały czas teraz przeklina. Cole wpadł na pomysł, by każdego ranka pisać na tablicy nowe słowo, którego każdy musiałby używać w ciągu dnia. Uważa, że przydałoby nam się powiększenie zasobu słów, a oczywiście nasza siostra też na tym skorzysta. Ona bowiem nie lubi być wyłączone z czegokolwiek, co my robimy.

Załączam osobiste listy do Ciebie od każdego z nas. Napiszę znów naprawdę szybko.

Niech Bóg ma cię w swej opiece Adam W piątek odbyła się kolejna lekcja pokory. Harrison wstał wczesnym rankiem, z zamiarem uspokojenia i oswojenia do południa ostatniego z przydzielonych mu koni.

Przekroczył termin o dobre kilka godzin, ale późnym popołudniem, po zdobyciu co najmniej dziesięciu nowych siniaków, zmusił plamistego mustanga do posłuszeństwa.

Douglas był pod wrażeniem cierpliwości i wytrzymałości Hamsona. Zawołał Cole'a, by przyszedł i zobaczył, jaki kawał dobrej roboty wykonał ich gość.

- Zobacz, jaki słodki i potulny jest teraz Plamka - zauważył. - Harrison uspokoił go na dobre.

Douglas trzymał się płotu. Wskazał Harrisonowi, że ma podjechać na Plamce bliżej. Chciał go pochwalić.

- Wykonałeś niezłą robotę - powiedział z uznaniem.

- Osiągnąłem to dzięki cierpliwości i zrozumieniu zwierząt - odparł Harrison. Chwaląc się patrzył na Cole'a. - Wiele byś zyskał, ucząc się jednego, jak i drugiego.

- Cierpliwość i zrozumienie? - zakpił z niego Cole. - Do diabła, Harrison, gadałeś i gadałeś, aż biedne zwierzę gotowe było zrobić wszystko, by cię uciszyć.

Harrison nie dał się wciągnąć w sprzeczkę. Miał ważniejsze sprawy na głowie od upartego, nigdy nie ustępującego brata Mary Roses.

Zsiadł z konia i zdjął siodło i koc. Plamka podszedł za nim do ogrodzenia.

Harrison powiesił uprząż na płocie, po czym schwycił konia za uzdę i zaprowadził do największego corralu, gdzie trzymano pozostałe mustangi.

Wejście z Plamką do środka wybiegu okazało się błędem. Zdjęcie z konia uprzęży zajęło mu dużo, dużo czasu, gdyż wokół nich zebrały się pozostałe mustangi. Podgryzały się wzajemnie, chcąc zwrócić na siebie uwagę Hamsona.

Każdy koń chciał być zauważony i Szkot nie mógł wyjść, zanim nie poklepał i nie pochwalił każdego z nich.

Wyszedł z wybiegu okrężną drogą, nie chcąc wdawać się w dyskusję z Cole'em. Zabrał po drodze siodło i koc, po czym poszedł do stajni.

Douglas i Cole nadal obserwowali konie.

- Widziałeś to? - wyszeptał Douglas do brata.

Cole uśmiechnął się.

- Pewnie, że widziałem. - Potrząsnął głową. Konie były tak urzeczone, że zbite w grupkę krążyły po wybiegu za chodzącym na zewnątrz Hamsonem.

- Jeszcze nigdy nie widziałem, by zwierzęta tak reagowały - powiedział Douglas. - Musisz przyznać, że rozmawianie z końmi kryje w sobie odrobinę magii.

Cole wzruszył ramionami.

- Przyznam to, ale nie przy Hamsonie. Ciekaw jestem, czy będzie próbował namówić byki, by poszły za nim do naszego domu?

- Pewnie tak - odparł Douglas. - Widziałeś Tralisa? - spytał.

- Chowa się w stajni.

Douglas nie musiał pytać, czemu najmłodszy z braci to robi, gdyż przyczyna jego zachowania siedziała na werandzie.

Eleanor Border kiwała się w ulubionym fotelu Adama, z cennym, używanym tylko przy specjalnych okazjach wachlarzem Mary Roses w rękę.

Bracia spojrzeli na nie chcianego gościa w momencie, gdy ich siostra wybiegła ze środka ze szklanką soku dla Eleanor.

- Ta kobieta zupełnie wykończy Mary Roses - stwierdził Cole.

Douglas pokiwał głową, przyznając mu rację.

- Myślisz, że pozwoli kiedyś naszej siostrze pojechać do Comelii? - spytał.

- Nie sądzę - odpowiedział Cole. - Przynajmniej nie dzisiaj. Mary Roses próbuje bezskutecznie od samego rana, a dochodzi trzecia.

- Sama sobie winna, że tak jej czas ucieka - zauważył Douglas. - Pozwala, by Eleanor nią rządziła. Rano dwa razy nosiła jej jedzenie. Eleanor nie smakowało śniadanie, które zrobił kucharz, więc nasza siostra przygotowała jej inne.

Cole potrząsnął głową.

- Nam nigdy nie pozwala sobą rządzić - powiedział. - Nie powinna była jej czegokolwiek przygotowywać. Eleanor nie zachowywałaby się jak kapryśna księżniczka, gdyby nie była traktowana po królewsku.

- Sądzę, że powinniśmy wieczorem porozmawiać o tym z Adamem - zaproponował Douglas. - Robi błąd pozwalając Eleanor pozostać u nas. Ty, Travis i ja możemy połączyć się przeciw niemu. Wszyscy trzej zagłosujemy za wyrzuceniem jej stąd. Mary Roses i Adam będą oczywiście głosować przeciw nam, ale to nic nie zmieni. Większość decyduje.

Sumienie Cole'a nie pozwalało mu się zgodzić. Nie mógł zapomnieć zachowania Eleanor z poprzedniego dnia. Biedna dziewczyna wzbudziła w nim litość, gdy płakała oparta o Adama. Nie chciał się do tego przyznać, ale na samą myśl o tym bolało go serce.

- Nie wyciągajmy pochopnych wniosków, Douglas. Uważam, że powinniśmy poczekać kilka dni, zanim poddamy to pod głosowanie. Adam musiał mieć powód, jeśli pozwolił jej zostać.

- Czemu nam o nim nie powiedział?

- Pewnie nie jest jeszcze gotów - odparł Cole. - Może za dzień lub dwa Eleanor przestanie tak narzekać. Poruszyła już prawie każdy możliwy temat.

- Zacznie od nowa - przewidywał Douglas. - Chyba lubi słuchać swojego jęczenia.

Cole uśmiechnął się i spojrzął na dziewczynę, o której mówili. Musiał przyznać, że byłaby bardzo ładna, gdyby tylko się uśmiechnęła.

- To te rude włosy - powiedział bratu. - To przez nie jest taka kapryśna.

- Travis też jest rudy, a nie jest kapryśny.

- Chowa się przecież w stajni. Moim skromnym zdaniem to dosyć kapryśne zachowanie.

Harrison dołączył do dwóch braci.

- Nie uwierzysz! Cole broni Eleanor - powiedział mu Douglas.

- Zauważyłem tylko, że powinniśmy dać jej trochę czasu, zanim przegłosujemy, by ją stąd wyrzucić - bronił się Cole. - Myślę, że jest taka arogancka ze strachu.

- Też mi się tak wydaje - zgodził się z nim Harrison. - Sprawianie kłopotów daje jej poczucie większej pewności.

Douglas potrząsnął głową.

- Strasznie obaj rozmięklicie. Jadę z Travisem do Hammond, by sprzedać kilka koni lub je wymienić. Chcecie się z nami zabrać?

- Zatrzymacie się u Pauliny? - spytał Cole.

- Kim jest Paulina? - Harrison był ciekaw.

- Prowadzi dom za miastem - powiedział Douglas. - Tuż za Sneeze Junction.

- Ona jest... - zaczął Harrison.

- Przyjazna - dokończył za niego Cole.

Harrison nie przyjął zaproszenia. Cole, Travis i Douglas odjechali w stronę skrzyżowania. Bracia uznali, że siostra nie będzie chciała o tak późnej porze jechać w góry, by zawieźć produkty dla szalonej Corrie.

Pomylili się - zadanie eskortowania Mary Roses spadło zatem na haiki Adama lub Hamsona.

Adam zostawił decyzję Harrisonowi. Zawołał go do kuchni i wyjaśnił mu sytuację.

- Jeden z nas musi zostać i dotrzymać towarzystwa Eleanor. Drugi musi pojechać z Mary Roses.

- Myślałem, że nigdy nie opuszczasz rancza - zdziwił się Harrison.

- Kto ci to powiedział?

- Ludzie w mieście. Dooley i Duch wspominali o tym.

- Unikam jedynie miasta. Moim domem są góry. Często poluję z Cole'em, uwielbiam chodzić na ryby - dodał kiwając głową.

- Wolałbym pojechać z Mary Roses - zdecydował Harrison.

- Naprawdę umiesz strzelać czy też trochę koloryzowałeś? Nie chcę cię obrazić, ale muszę wiedzieć, czy w razie potrzeby będziesz w stanie obronić moją siostrę.

- Umiem posługiwać się bronią - zapewnił go Harrison. - Mogę wziąć dwa rewolwery, jeśli będziesz się przez to lepiej czuł.

- Przyczep sobie też do siodła strzelbę - poradził Adam. - Od czasu, gdy tu mieszkamy, tylko raz mieliśmy niemiłe spotkanie z niedźwiedziem, ale o tej porze roku łatwo jest na nie trafić. Krążą po okolicy w poszukiwaniu jedzenia.

- Będę uważał.

- Mary Roses potrafi oczywiście o siebie zadbać. Nie chcę, byś myślał, że niczego jej nie nauczyliśmy. Cole pokazał jej, jak strzelać, by zabijać. Dzięki Bogu, nie miała jeszcze okazji wykorzystać swych umiejętności.

- Powinniśmy już jechać - Harrison przypomniał sobie, że jest późno.

- Zaczekaj jeszcze sekundę - poprosił Adam. - Nie chcę owijać w bawełnę, więc powiem wprost. Podobasz się Mary Roses, a widząc, jak na nią patrzysz podczas kolacji, zakładam, że uczucie jest wzajemne. Oczekuję, że będziesz się zachowywać jak dżentelmen. Zdaję sobie sprawę, że obrażam cię, ale Mary Roses jest dla mnie ważniejsza od twoich uczuć. Czy możesz mi to obiecać?

Harrison nie czuł się obrażony. Każdy kochający brat tak by się zachował i Harrison niczego innego się po nim nie spodziewał.

- Masz moje słowo. Obronię twoją siostrę albo zginę usiłując jej bronić, Adamie, a już na pewno nie narażę jej honoru.

Uścisnęli dłonie, po czym Adam odprowadził Szkota do drzwi frontowych.

- Wolałbym, żeby poczekała z tym do jutra, ale dobrze wiesz, jaka bywa uparta.

- Już to zauważyłem.

Adam uśmiechnął się.

- Oczywiście. Ciekaw jestem twojej opinii o Corrie. Mary Roses zauważa tylko dobre cechy u ludzi. Uważaj na nią, gdy będzie rozmawiać ze swą nową przyjaciółką. Nie podoba mi się, że ta kobieta mierzy w nią cały czas ze strzelby.

Eleanor podniosła się, gdy dwaj mężczyźni wyszli na werandę. Kiwnęła głową w stronę Harrisona, po czym zwróciła się do Adama.

- Pozwalasz jej pojechać? Chyba będzie padać. Zniszczy sobie ubranie, jeśli nadejdzie burza. Ucieszyłabym się, gdybyś kazał jej zostać.

- Gdzie jest teraz Mary Roses?

- W stajni - odpowiedziała Eleanor.

- Może wejdiesz do domu? Mogłabyś porozmawiać ze mną, gdy będę robił kolację.

Propozycja Adama ucieszyła Eleanor. Skwapliwie kiwnęła głową i weszła za Adamem do domu.

Harrison i Mary Roses potrzebowali dwóch godzin, by dotrzeć do odosobnionej chaty na samym szczycie górskiego pasma. Wspinali się powoli, gdyż zniszczony szlak chwilami zupełnie zanikał.

Czas upłynął Harrisonowi zbyt szybko. Krajobraz napawał go stałym lękiem. Zmieniał się za każdym zakrętem, wraz z barwami i zapachami, a pilnowanie Mary Roses wymagało też pełnej koncentracji. Jego wzrok chciał zatrzymać się przez chwilę zarówno na wodospadzie huczącym na prawo od wijącej się ścieżki, jak i na wzgórzach po lewej stronie, porośniętych gęstym sosnowym lasem, poprzątkanym polankami. Dookoła było pełno dzikiej zwierzyny, która zesła z wyższych partii gór, by zrzucić zimowe futra i pożywić się jagodami i słodką wiosenną trawą. Widział samy i łosie, kozły i wiewiórki. Młody jelonek, bardziej zaciekawiony niż przestraszony, pozwolił im przejechać w odległości niecałego metra. Harrison był pewien, że dotknąłby jego brązowego, wilgotnego nosa, gdyby tylko sięgnął ręką.

Mary Roses chętnie opowiadała mu o tej zaczarowanej krainie. Nazywała wszystkie dzikie kwiaty, których nigdy przedtem nie widział, wskazała też kilka roślin o leczniczych właściwościach. Jechali obok siebie, gdy tylko szlak na to pozwalał. Mary Roses zatrzymała się kilka razy, by pokazać mu wyjątkowo interesujące widoki lub zwierzęta.

Im wyżej się wspinali, tym wyraźniej widział jej miłość do tej ziemi.

Wskazała na kłępkę karmiącą małe w pobliżu źródła i wyszeptła, że jej zdaniem to godne uwielbienia.

Kolejny raz zatrzymała się prawie u szczytu i wskazała wzgórze poniżej.

- Brunatne niedźwiedzie - szepnęła. - Po lewej stronie strumienia. Widzisz je, Harrison? Jeden właśnie wchodzi do wody. Gdybyśmy mieli więcej czasu, nalegałabym, byśmy popatrzyli, jak łowią ryby. Robią to o wiele lepiej niż ludzie.

- Skąd wiesz, że to nie są grizzli?

Nawet jeśli uznała jego pytanie za głupie, nie dała tego po sobie poznać.

- Grizzly ma wyraźny garb tuż za głową - wytłumaczyła. - Nie spotykamy ich zbyt często i nie ma czego żałować. Spotkania z nimi bywają kłopotliwe.

- Słyszałem, że niektórzy mieszkańcy gór polują na niedźwiedzie grizzly.

Mary Roses wzniosła oczy do nieba.

- Przeczytałeś o tym w jakiejś książce? To wszystko zmyślone historie.

Ludzie polujący na grizzly? Musieliby być bardzo nierozsądni - stwierdziła.

Lekka zmarszczka, która przecięła jej czoło, gdy udzielała poważnych wyjaśnień, oraz entuzjastyczny głos, gdy go pouczała, rozbawiły Harrisona.

Nagle uświadomił sobie, że Mary Roses budzi w nim równie wielką cześć, jak okoliczna przyroda.

- Czemu się uśmiechasz? Nie wierzysz mi? - spytała.

- Oczywiście, że ci wierzę. Uśmiecham się, bo dzięki tobie jestem szczęśliwy.

Jego komplement ucieszył ją niezwykle.

- Dziękuję - powiedziała.

- Mary Roses?

- Tak?

- Dlaczego szepczemy?

Jej zdziwiony wyraz twarzy uświadomił mu, że Mary Roses także nie zdawała sobie z tego sprawy. Zauważywszy to, roześmiała się zachwycona.

- Adam i ja zawsze szepotaliśmy, gdy tu byliśmy. Byłam wtedy dużo mniejsza i pozwalał mi robić to, co chciałam.

- Ale czemu chciałaś szeptać? - spytał.

- Będziesz się ze mnie śmiał.

Zapewnił ją, że tego nie zrobi. Potem musiał to jej obiecać.

- Szeptalam, bo myślałam, że jestem w ogródku Boga.

- Gdzie?

- Nie miałeś często do czynienia z dziećmi, prawda?

- Raczej nie. Naprawdę myślałaś, że jesteś...

- Właśnie tak - przerwała mu. - Szeptanie wydawało mi się odpowiednim sposobem okazania szacunku.

- A teraz, gdy już dorosłaś? Co sobie myślisz?

Postanowiła być zupełnie szczerą.

- Nadal uważam, że jestem w Bożym ogródku.

Wybuchnął śmiechem, więc musiała poczekać, aż się uspokoi, nim znów się odezwała.

- Lubię, gdy się śmiejesz, nawet jeśli obiecałeś mi przedtem, że tego nie zrobisz. Gdy tylko się uśmiechasz, co nie zdarza się zbyt często, kąciki oczu marszczą ci się w bardzo miły sposób. Przejmujesz się chyba wszystkim zbyt łatwo.

- Tak sądzisz? - Opinia dziewczyny naprawdę go zaskoczyła. Nie wyobrażał sobie, by ktoś mógł się zbyt łatwo przejmować. Pojęcie to było mu obce.

Człowiek, który się czymś przejmuje, ma oczy ciągle otwarte, jest zawsze gotowy na każdą ewentualność.

- Och tak, naprawdę za bardzo się przejmujesz.

Uśmiechem złagodziła swoją krytykę. On natychmiast też się uśmiechnął.

Stali w miejscu i żadne z nich nie chciało się ruszyć, czując, że zbliża się coś wspianiałego. Nowa bliskość wytworzyła się między nimi w tej spokojnej chwili, której zewnętrzny świat nie mógł naruszyć. W tym momencie ona należała tylko do niego i nie musiał się z nikim nią dzielić.

W oddali rozległ się huk grzmotu, ale Harrison zignorował to ostrzeżenie.

Podobnie Mary Roses. Całą uwagę skupiła na nim, on równie chętnie patrzył na nią.

Gdzieś za nimi trzasnęła złamana gałązka. Harrison był szybki niczym błyskawica. Wyciągnął strzelbę, obrócił się w siodle i z bronią gotową do strzału czekał na kolejny odgłos. Wtedy przez szlak przebiegł zając i Harrison odłożył strzelbę.

Mary Roses obserwowała go ze zdziwieniem. Nigdy nie widziała, by ktoś reagował tak szybko - oczywiście poza Cole'em, ale rodzina przecież się nie liczyła. Zaczęła się zastanawiać, gdzie i jak Harrison wyrobił sobie taki refleks.

Może był to tylko instynkt?

Znów ją zaniepokoił. Miał zdecydowanie więcej niż jedno oblicze i nie była pewna, czy jej to odpowiada.

- Teraz ty się czymś martwisz. O co chodzi? - spytał.

- Twoja reakcja przed sekundą była dosyć dziwna. Jesteś przyzwyczajony do czujności, prawda?

Nie odpowiedział na to pytanie. Mary Roses potrząsnęła głową.

- Masz skomplikowaną osobowość. Zachowujesz się w pewien sposób, po czym robisz coś, co zmienia moją opinię o tobie. Wolałabym, żeby tak nie było.

- Niespodzianki bywają przecież miłe, nieprawda?

- Czemu?

- Bywają intrygujące - odparł. - Zaskoczenie może czasami być...

Nie pozwoliła mu dokończyć.

- Już jestem zaintrygowana. Lubię cię takim właśnie, jaki jesteś.

- Lubisz mnie takim, jaki myślisz, że jestem.

- Oszaleję przez ciebie, Harrisonie.

- Ty także doprowadzasz mnie do szaleństwa, Mary Roses - zaśmiał się.

Odwróciła się od niego.

- Nie będę zaczynać teraz dyskusji o twoich wadach. Nie mamy na to czasu. Zaczyna się robić późno i jeśli się nie pospieszymy, to prawie wcale nie porozmawiam z moją przyjaciółką. Proszę cię, przestań marnować czas.

Harrison nie chciał, by Mary Roses miała ostatnie zdanie w dyskusji.

- Jeszcze nigdy w życiu nie zmarnowałem czasu.

Niegodne damy parsknięcie było jedyną repliką.

Nie był zirytowany, przeciwnie, nie mógł powstrzymać uśmiechu. Od dawna nie czuł się tak dobrze. Spokój i zadowolenie zdawały się promieniować z okolicznych gór. Gdy dojrzał radość w oczach Mary Roses, poczuł, że mógłby zrobić wszystko, czego by tylko zechciał, niezależnie od przeszkód. Czuł się... pełnym człowiekiem, gdy z nią przebywał, a wszystko dzięki zaufaniu i akceptacji, jakie czytał w jej oczach.

Akceptacja. Czy całe życie nie próbował tego zdobyć? Czyż nie było prawdą, że tak obsesyjnie poszukiwał córki lorda Elliotta, bo chciał, by ten zaakceptował go jako równego sobie? A może była to zapłata za jego dobroć?

Harrison nie znał odpowiedzi. Wiedział, że jest wdzięczny Bilionowi za opiekę nad ojcem. Lord Elliott był jedynym człowiekiem, który nie odwrócił się do swego przyjaciela plecami, tak jak zrobił to cały London. Dał im pieniądze i opłacił podatki. Zadbał, by najlepsza służba była do ich usług, gdy okazała się konieczna stała opieka nad ojcem. Dzięki jego hojności ani ojcu, ani jemu samemu nigdy niczego nie brakowało. Elliott opłacił nawet kształcenie Hamsona.

Miał ogromny dług do spłacenia Elliottowi, a honor nakazywał mu spłacać go całe życie. Harrison nie uchylał się od odpowiedzialności. Na pewno nie mógł wymagać niczego więcej... nawet szczęścia.

Mary Roses. Boże, przez nią myślał tyle o rzeczach, które nigdy się nie zdarzą. Kochał ją i tylko siebie mógł za to winić. Dobrze wiedział, że nie powinien się być angażować, a właśnie to zrobił.

Elliott miał co do swojej córki plany już w miesiąc po jej urodzeniu. Nie obejmowały one wtedy Harrisona i wiedział, że nie zmienią się po ich powrocie do Anglii.

Honor powstrzymywał go przed poproszeniem jej o rękę. Nie był wystarczająco godny i zabezpieczony finansowo, by dać jej swoje nazwisko.

Nie chciał myśleć o przyszłości. Postanowił cieszyć się czasem, który spędzał z Mary Roses, by mieć co wspominać w zimne noce, które go jeszcze w życiu czekały.

Ucieszył się, gdy dojechali do chaty Corrie, gdyż wtedy nie miał już okazji do zamartwiania się.

Mary Roses nie pozwoliła mu zbliżyć się do polany. Kazała mu zostać dobre kilkaset metrów w tyle, tłumacząc, że nie chce denerwować Corrie, a jego osoba mogłaby już na pierwszy rzut oka każdego zdenerwować. Harrison natychmiast uznał to za zarzut.

- Co, twoim zdaniem, jest nie w porządku z moim wyglądem?

- Jesteś nie ogolony, a twoje włosy powinny być przycięte już dwa tygodnie temu.

- I co z tego?

- Widzę, że muszę powiedzieć to wprost - powiedziała. - Wyglądasz groźnie i... parszywie. Mnie się to podoba, ale ona będzie innego zdania.

Westchnął z niedowierzaniem, po czym roześmiał się. Na litość boską, zaczynał się zachowywać tak, jak ona.

- Przepraszam, jeśli trafiłam w twoje czułe miejsce - powiedziała.

- Nie mam czułych miejsc.

- Tak, no cóż, jak tylko otworzysz usta i coś powiesz, wszyscy od razu wiedzą, jaki jesteś subtelny i dobrze wychowany.

- Subtelni i dobrze wychowani ludzie mogą okazać się zabójcami, Mary Roses. Wykształcenie nie zapewnia przyzwoitości.

Wzruszyła ramionami. Nie chciała tracić czasu na kłótnie. Duszne powietrze oznaczało, że zbliża się burza, a była gotowa przemoknąć dopiero po milej wizycie u nowej przyjaciółki.

Nie pozwoliła nawet Harrisonowi wnieść produktów na polanę. Sama trzy razy chodziła tam i z powrotem, aż wszystkie jej prezenty były ułożone w stertę na samym środku polany. Mary Roses była bardzo przejęta, gdyż Corrie pozwoliła jej podejść o wiele bliżej werandy niż zeszłym razem. Uznała to za duży krok naprzód w ich przyjaźni.

Nie przeszkadzało jej, że cały czas miała w sobie wycelowaną strzelbę.

Była jedynie zadowolona, że Harrison stoi zbyt daleko, by to zauważyć. Na pewno zrobiłby scenę, gdyby wiedział, że jest w niebezpieczeństwie.

Jednak Harrison nie pozostał tam, gdzie mu kazała. Bezszelestnie przesunął się do miejsca, w którym, całkowicie zasłonięty przez roślinność, widział dokładnie, co się dzieje przed chatą.

Jego serce niemalże przestało bić, gdy zobaczył lufę strzelby wystającą z okna. Była wycelowana prosto w Mary Roses. Chciał wyciągnąć rewolwer i siizelić w strzelbę. Jedyne wielkim wysiłkiem woli powstrzymał się przed ingerencją. Cały się spocił, ale po dziesięciu lub piętnastu minutach zrozumiał, że strzelba jest tylko na pokaz. Nie miał zamiaru, oczywiście, spuścić z niej oczu, ale mógł znów normalnie oddychać.

Zachowanie Maiy Roses oraz monolog, którym zastępowała rozmowę z milczącą przyjaciółką, były dziwaczne, ale budziły sympatię.

Nie mówiłaby bez przerwy wiedząc, że Harrison wszystko słyszy, a on nie zamierzał dopuścić, by się o tym dowiedziała.

Ułożywszy na stercie ostatni słoik, wyprostowała się i otarła czoło rękawem.

Potem przeprosiła, że nie dotrzymała słowa i nie odwiedziła Corrie dzień wcześniej.

- Zawsze dotrzymuję słowa, Corrie, chyba że coś straszego mnie powstrzyma. Zrozumiesz, dlaczego się spóźniłam, gdy opowiem ci o wszystkich przykrych rzeczach, które mi się przydarzyły - zapewniła kobietę. Potem dokładnie opisała wszystko, co robiła. Harrison zauważył, że nie powiedziała nic o przyczynie, dla której goniła Bickleya. Najwyraźniej nie chciała, by Corrie martwiła się, że jego banda powróci, by ją spalić. Mary Roses powiedziała jedynie, że różnili się opiniami i próbowała rozsądnie rozmawiać z tym człowiekiem. I tak, od słowa do słowa, ledwo się obejrzała, a już została zaatakowana.

Uśmiechnął się słuchając jej wersji wydarzeń. Nie wspomniała o bólu, jakiego doznała, nie powiedziała, że o mały włos nie została zabita. Nie, traciła czas na opisywanie, jak podarto jej piękną spódnicę i jak strasznie wyglądały jej włosy.

Nie był to koniec opowieści o kłopotach. Długo opisywała przeżycie, jakim było czekanie w salonie Catherine Morrison. Wtedy Harrison zrozumiał, że Mary Roses uważa go za swoją własność. Nie musiał zgadywać, gdyż Mary Roses dokładnie opowiedziała Corrie, że ma prawo go „posiadać”. Wymieniła nawet powody, dla których do niej należał.

- Zabrałam go do domu, zanim dał się zastrzelić. Chce mi się płakać na myśl o tym, co mogło się biedactwu przytrafić. Czy może coś poradzić na to, że jest dziwakiem i niezdara? Oczywiście, że nie. Jest też strasznie naiwny, Corrie. Wjechał do miasta z rewolwerem u pasa, nie wiedząc nawet, jak go używać. Potrafisz sobie wyobrazić taką głupotę? Przysięgam ci, on potrzebuje opiekunki. Boże zmiłuj się, nawet nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo jest nieudolny. Nikt poza Cole'em nie ma serca, by mu o tym mówić. Harrison bił się wprawdzie z mężczyznami, którzy podarli mi ubranie i zniszczyli fryzurę, ale to byli mali, mizerni ludzie, więc udało mu się kilka razy nieźle im przyłożyć. Najpierw martwiłam się widząc, że wdał się w bójkę, ale potem zrozumiałam, że dzięki złości stał się silniejszy, a poza tym miał trochę szczęścia. Zaskoczył mnie, gdy tu jechaliśmy, ale przemyślawszy to uznałam, że wcale nie powinnam się była zdziwić. Widzisz, wydało mu się, że coś usłyszał i rach-ciach miał już w ręku strzelbę. Szybki to on jest, ale nie trafiłby pewnie nawet w stodołę. Szybkość nie jest wiele warta, gdy nie potrafi się w nic trafić, prawda?

Przerwała, by westchnąć przeciągle. Harrison czuł, że zaczyna się czerwienić. Miał ochotę wparadować na polanę i wyprowadzić tę małą kobietkę z błędu. Na Boga, nie był aż takim dziwakiem.

Mary Roses nie skończyła jeszcze drzeć na strzepy jego dumy.

- Powinnaś była zobaczyć, jak uczył się oswajać konie Douglasa. To był naprawdę smutny widok. Schowałam się w moim pokoju i obserwowałam go przez okno, bo był już i tak wystarczająco upokorzony. Na szczęście nie skręcił sobie karku, Corrie, dziękujmy Bogu.

Harrison zazgrzytał zębami i zaczął liczyć do dziesięciu. Cały w środku gotował się.

- Nie chcę, byś martwiła się Harrisonem - ciągnęła dalej Mary Roses. - Opowiedziałam ci o nim, bo przyjechał tu ze mną. Podobno ma mnie bronić.

Dlatego wzięłam swój rewolwer, Corrie, abym w razie czego ja mogła go obronić. W każdym razie nie będzie cię dręczył. Jest dobrym i uczynnym człowiekiem. Po mojej ostatniej wizycie znasz mnie chyba zresztą wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nie zniosłabym jego towarzystwa, gdyby był choć trochę niemiły. Czy opowiadałam ci już, jak Catherine Morrison rzuciła się na niego?

Doszła do wniosku, że jeszcze o tym nie opowiadała i zaczęła długą, całkowicie przerysowaną opowieść o wszystkich złych rzeczach, jakie w ciągu lat zrobiła jej ta młoda kobieta. Mary Roses nazbierała się spora porcja urazów wobec Catherine, które teraz po kolei wymieniała, wracając aż do wczesnego dzieciństwa. Ponieważ Corrie nie mogła lub nie chciała kazać jej przestać, stała się spełnieniem wszystkich marzeń Mary Roses. Uwięziony słuchacz, który nie mógł od niej uciec.

Harrison martwił się na początku, że Corrie zastrzeli Mary Roses, gdyż jest tak szalona, jak wszyscy opowiadają. Gdy jednostronna rozmowa dobiegła końca, zastanawiał się już nad czym innym. Nie mógł mianowicie zrozumieć, dlaczego Corrie nie strzeliła, by zapewnić sobie spokój.

Mary Roses cały czas wtrącała coś o Harrisonie. Niezłe mu się oberwało i przysiągł sobie, że udusi ją, jeśli tylko jeszcze raz spróbuje „dziękować Bogu”.

W końcu jej głos ucichł. Obiecała przyjaciółce, że powróci tak szybko, jak tylko się da, i odwróciła się, by odejść. Potem przypomniała sobie, że nie powiedziała nic o najnowszym gościu i natychmiast zatrzymała się.

Corrie i Harrison wysłuchali kolejnego przemówienia, tym razem o Eleanor.

- Lada moment powinna się uspokoić - mówiła pewnym głosem Mary Roses. - Może się nawet okazać dobrą przyjaciółką, jeśli tylko przestanie ciągle się nad sobą litować. Boże,

jak ten czas szybko płynie. Pamiętaj wnieść te produkty do środka, zanim spadnie deszcz. Więc do zobaczenia, Corrie. Niech Bóg ma cię w swojej opiece.

Harrison nie ruszył się, dopóki Mary Roses nie opuściła polany. Po minucie lufa strzelby schowała się. Harrison wycofał się, zatoczył duże koło wokół Mary Roses i dotarł do miejsca, gdzie kazała mu czekać, zanim ona tam doszła.

- Wizyta się udała? - spytał.

- O tak - odpowiedziała. Miała zachrypnięty głos. - To dobra kobieta.

Nie potrafił sobie wyobrazić, skąd o tym wiedziała.

- Czy powiedziała coś do ciebie? - spytał.

- Nie, ale niedługo to zrobi - zapewniła Mary Roses. - Powinniśmy jechać, jest już późno.

- Skąd wiesz, że niedługo coś powie? - spytał ignorując jej radę.

- Pozwoliła mi podejść o wiele bliżej środka polany - wytłumaczyła. - Najwyraźniej jesteśmy już przyjaciółkami.

- Bo do ciebie nie strzeliła?

- Tak. - Była zadowolona, że zrozumiał.

Zdaniem Hamsona mówiła równie rozsądnie, jak rozszoszczony dwulatek.

- To, co mówisz, jest pozbawione sensu - powiedział. - Zdajesz sobie z tego sprawę?

Mary Roses potrząsnęła zdenerwowana głową.

- Doszukiwanie się w ludziach dobrych cech uważasz za bezsensowne?

Każdy człowiek przecież coś czuje. „Żaden człowiek nie jest samoistną wyspą”.

Pamiętasz jeszcze cytat, do którego ty i Adam macie taką słabość?

- Tak, oczywiście, ale...

- Nie możemy istnieć bez innych. Czy słowa: „śmierć każdego człowieka umniejsza mnie, albowiem jestem zespolony z ludzkością”, znaczą dla ciebie to samo co dla mnie? Wszyscy jesteśmy członkami jednej wielkiej rodziny.

Corrie potrzebuje tego samego co inni. Teraz już rozumiesz?

- Punkt dla ciebie, panno Claybome.

Na jej twarzy rozkwitł promienny uśmiech.

- To chyba pierwsza dyskusja z tobą, którą udało mi się wygrać.

- To nie była dyskusja - odparł.

- Tak to wyglądało. Naprawdę, musimy już jechać. - Ruszyła w stronę konia, patrząc na niebo. - Teraz na pewno nieźle przemokniemy. Lubisz się grzebać, co?

Harrison posadził ją na siodło i podał jej wodze. Zaczął się odwracać, po czym zmienił zdanie. Sięgnął w jej stronę i położył swoje dłonie na jej rękach.

Spojrzała mu prosto w oczy, chcąc odkryć, czemu nagle zapragnął tu dłużej pozostać. Jego uśmiech przyciągnął całą jej uwagę. Boże, jak lubiła, gdy był pogodny. Jego oczy stały się równie ciepłe i przyjazne, jak promienie słoneczne. Poczowała ciepło w głębi ciała.

- Masz bardzo dobre serce, Mary Roses. - Słowa te były dla Mary Roses pieśczęcią. Chciała mu podziękować, ale on zdążył wcześniej wszystko zepsuć.

- Staram się o tym pamiętać, gdy doprowadzasz mnie do rozpaczki.

Puścił ją i podszedł do MacHugha. Jednym płynnym ruchem usiadł w siodle, z gracją, która zrobiła wrażenie na Mary Roses. Uznała, że wielokrotne wsiadanie na konie, z których co chwila spadał, na coś się jednak przydało.

- Co chciałeś przez to powiedzieć? - spytała.

- Chciałem powiedzieć, że wiem, na czym polega twoja gra. To ty spędziłaś o wiele za dużo czasu na rozmowie z Corrie, a teraz twierdzisz, że zmokniemy przeze mnie. Grzebię się? Coś mi się nie wydaje.

- Jesteś zbyt mądry jak dla mnie, Hamsonie. - Uniosła wodze i ruszyła w stronę domu.

- Czy twierdziłam kiedyś, że jestem doskonała?

- Nie, nie twierdziłaś tego. - Przyznał jej rację śmiejąc się.

- Ty też nie jesteś doskonała. Niesamowicie lubisz dyskutować, ale musisz sobie chyba zdawać z tego sprawę. Miewasz też napady złego humoru, ale nie sądzę, byś mógł coś na to poradzić.

- Ciągłe wyciągasz wnioski z niekompletnych informacji. Wiesz o tym?

Poza tym nie mam napadów złego humoru, kobieto.

- Zazwyczaj jesteś doskonałym dżentelmenem, ale w mgnieniu oka potrafisz stać się oszalałym lunatykiem. - Jak inaczej mogła nazwać jego przypadłość? Miewał zły humor i nie miała zamiaru o tym dyskutować. Wolała omówić z nim coś równie ważnego.

- Musisz zrozumieć, że nieraz trzeba działać, zanim zdobędzie się setki dokumentów na poparcie tezy. Gdybym czekała, aż dowiem się każdego szczegółu o tobie, zanim zaprosiłam cię do siebie, to pewnie byś już nie żył.

Tak samo jak ja - dodała. - Umarłabym ze starości.

- Innymi słowy skaczesz nie patrząc, czyż nie tak?

- Przynajmniej mam odwagę skoczyć.

- Przez takie nastawienie umiera w tych okolicach wielu młodych ludzi.

- Działanie jest często skuteczniejsze od słów.

- Być może jest tak w niecywilizowanym świecie. Mary Roses, pamiętaj, że wszyscy odpowiadamy za nasze czyny.

- Nie mieszkamy na sali sądowej.

- Powinniśmy się zachowywać, jakby właśnie tak było.

- Prędzej umrzesz, niż się ze mną zgodzisz, prawda?

Roześmiała się po zadaniu pytania, na co Harrison uśmiechnął się.

- Być może - przyznał. - Lubię zwyciężać.

- Życie nie polega na zwyciężaniu, lecz na przetrwaniu.

- W mojej pracy przeżycie i zwycięstwo są tym samym.

Musiała długo zastanowić się nad tym, co powiedział, zanim udzieliła mu odpowiedzi. Kłócenie się z nim najwyraźniej sprawiało jej przyjemność. On bawił się równie dobrze. Uważał, że jej poglądy są krzepiące i niezwykle szczere, nawet gdy nie miały najmniejszego sensu.

Do cholery, nie miał ataków złego humoru.

- Moim zdaniem powinieneś znaleźć sobie jakąś inną pracę.

Zignorował jej radę.

- Dyskutując nie można zejść na zbyt osobisty poziom.

- Czy właśnie to robimy?

- Dyskutujemy?

- Tak. Czy teraz dyskutujemy?

- Tak mi się wydawało. A ty myślałaś, że co robimy?

- Schodzimy na osobisty poziom.

Zaśmiał się.

- O czym właściwie dyskutowaliśmy?

Nie miał zielonego pojęcia. Nie miał jednak zamiaru jej tego powiedzieć.

Postanowił wymyślić coś, co rozsądnie brzmiało, by móc się dalej z nią kłócić.

- Dyskutujemy o różnicach w naszej filozofii życiowej.

- My i nasze? Mój Boże, jak na mój gust słowa te właśnie oznaczają zejście na osobisty poziom.

- Kolejny punkt dla ciebie, panno Claybome.

Mary Roses kiwnęła dystyngowanie głową.

- Mogę opisać różnice między nami w dwóch słowach.

- Też to potrafię - zapewnił ją.

- Damy mają pierwszeństwo?

- Oczywiście.

- Doświadczenie i obserwacja. Ja doświadczam życia. Ty je obserwujesz.

Mogłabym się założyć, że chciałeś właśnie to powiedzieć.

- Przegrałabyś zakład - odparł. - Powiedziałbym: logiczne wobec nielogicznego, porządek wobec chaosu, zdrowy rozsądek wobec szaleństwa...

- Prawnicy uwielbiają nawijać, prawda?

- Niektórzy.

- Zdajesz sobie sprawę, że właśnie nazwałeś mnie nielogiczną, szaloną i chaotyczną?

- A ty zdajesz sobie sprawę, że powiedziałaś, że tylko obserwuję życie.

To nie jest prawda.

- Zaczyna padać. Chyba powinniśmy skończyć.

Na niebie rozbłysnął piorun.

- Będzie chyba jeszcze gorzej - przewidział Harrison.

- Pewnie tak. Znam jaskinię jakieś ćwierć mili stąd. Musimy cofnąć się odrobinę, powinniśmy się też pospieszyć. Szlak już niedługo stanie się zbyt niebezpieczny dla MacHugha i Millie.

Nie chciał tu zostawać, ale robiło się ciemno i jazda dalej nie była zbyt rozsądna. Miał nadzieję osiągnąć szczyt nad ich domem przed nadejściem nocy.

Szlak był tam o wiele szerszy i bezpieczny dla koni, które mogą trafić do stajni bez światła, kierowane instynktem i głodem.

Spędzenie nocy z Mary Roses było dla niego równie niebezpieczne, jak dla koni kroczenie po śliskich kamieniach.

Zachowałby się oczywiście jak dżentelmen, tak jak go wychowano. Obiecał to Adamowi i musiał dotrzymać danego słowa. Poza tym postąpiłby szlachetnie niezależnie od obietnicy. Nie miał wyjścia, musiał przecierpieć niepotrzebny sprawdzian z powściągliwości. Zacisnął odruchowo zęby, przeczuwając pełną cierpień noc, która go czekała.

- Harrison, pospiesz się - zawołała Mary Roses. - Na razie tylko mży, ale lada moment będzie z tego niezłe oberwanie chmury. Nie chcę zmoknąć, jeśli mogę tego uniknąć.

Harrison uważał, że przesadza. Chwilę później, doszczętnie przemoknięty i zmarznięty, musiał przyznać jej rację.

Jaskinia, którą znaleźli, była właściwie długim nawisem skalnym. Weszli do środka z dwóch powodów. Po pierwsze, nie była zamieszкана, co bywało problemem zważając na nocne zwyczaje niektórych zwierząt. Po drugie, jaskinia była sucha. Powietrze było równie

wilgotne i przyjemne, jak padający deszcz ze śniegiem, ale na szczęście nie było przeciągów. Musieli się zadowolić tym, co mieli.

MacHugh nie chciał wejść za Millie w głąb jaskini. Harrison zdjął z konia uprząż i pozwolił mu stać w pobliżu wyjścia. Koń zmienił zdanie i poszedł do tyłu z chwilą, gdy Mary Roses rozpałała ognisko z patyków i gałązek zebranych przez Hamsona, który sam przez dziesięć minut próbował rozpałać wilgotne drewno. Okazało się, że Mary Roses miała więcej doświadczenia i wiedziała, jak pomiędzy ustawione patyki upchnąć suche liście z podłoża jaskini.

Harrison wytarł konie najlepiej, jak tylko mógł, po czym nabrał wody do prowizorycznego wiadra, zrobionego z wodoodpornej płachty, którą przezornie zabrał ze sobą. Najpierw dał wody Millie, a gdy została napojona, pozwolił MacHughowi zaspokoić pragnienie.

Mary Roses osuszyła wilgotne koce i zrobiła z nich posłania, jedno obok drugiego.

Wolałby mieć swoje po drugiej stronie ogniska, ale nie narzekał wiedząc, że robi to z rozsądku. Musieli być blisko siebie, by lepiej utrzymać w nocy ciepło.

Mary Roses zdjęła buty, odsunęła je od ognia, po czym wyciągnęła wetknięty w kieszeń spodnicy rewolwer, którego wcześniej nie zauważył, i schowała go pod posłanie.

Harrison poszedł na drugą stronę ogniska i stanął, próbując się ogrzać.

- Często biwakowałaś poza domem? - spytał.

- Nie.

- Zachowujesz się tak, jakbyś nieraz już to robiła.

Uklękła i dorzuciła kilka gałązek do ognia.

- Wolę spać we własnym łóżku, ale i w takich warunkach trzeba zrobić, co się da, by nie zmarznąć. Mam rację?

- Nie jesteś bardzo wybredna.

- Na Boga, mam nadzieję, że w ogóle nie jestem wybredna. Myślałeś, że jestem?

Potrząsnął głową. Nie rozumiała świata, z którego pochodził, w którym wysoko urodzone kobiety mdlały wobec perspektywy choćby odrobinę nieodpowiedniego zachowania. Sfery te były tak delikatne, że reputację mógł zrujnować czyjś najlżejszy szept. Królowa Wiktoria wprawdzie propagowała roztropność, trzeźwość i ostrożność, ale choć ukazywała się światu jako niezależna i inteligentna osoba, to angielskie kobiety, z którymi zadawał się Harrison, bynajmniej nie pragnęły kształcić się ani naśladować swojej królowej.

Harrison i jego najlepszy przyjaciel Nicholas obracali się w takim właśnie towarzystwie. Kobiety, z którymi przestawali, polegały na innych we wszystkich sprawach, nawet w rozrywkach. Jeśli któraś z nich się nudziła, to była to na pewno czyjaś wina.

Boże, jakie nieciekawe i ograniczone było jego dotychczasowe życie.

Piekielnie nijakie, nie chciał nawet o nim myśleć.

Mary Roses Claybome była dla niego jak powiew świeżego powietrza. Nie wierzył, że potrafi sama o siebie zadbać. Teraz, gdy zdążył się nad tym zastanowić, zrozumiał, że źle ją oceniał, opierając się na ograniczonej wiedzy o kobietach, które znał w przeszłości.

Udowodniła mu, że się mylił. Jej trzeźwa ocena sytuacji zrobiła na nim wrażenie. Zaczynał sądzić, że ma o wiele więcej zdrowego rozsądku, niż się początkowo spodziewał.

Wtedy Mary Roses zdjęła ubranie. Kolana o mało nie ugięły się pod nim, gdy zobaczył, co robi. Jego opinia o niej natychmiast się zmieniła. Naiwna dziewczyna nie miała za grosz zdrowego rozsądku.

- Na Boga, co ty robisz?! - krzyk oburzenia odbił się echem od ścian jaskini.

- Rozbieram się. Co w tym dziwnego?

- Włóż z powrotem bluzkę!

Zignorowała jego polecenie. Zdjęła ubranie i pochyliła się, by zdjąć skarpetki. Stała na kocu, by nie ubrudzić stóp.

Wyprostowała się ponownie, trzymając mokre skarpetki i uśmiechnęła się do niego.

Cały czas patrzył na nią. Pomyślała, że patrzy na jej medalionik.

- Ładny medalionik, prawda?

- Co?

- Mój medalion. Myślałam, że to na niego patrzysz.

- Owszem - skłamał. - Skąd go masz?

- Moja matka mi go przysłała. To był prezent z okazji szesnastych urodzin.

Medalion nie otwiera się, ale to mi nie przeszkadza. Widzisz, że jest na nim wygrawerowana róża?

Zrobiła krok w jego stronę, by mógł się lepiej przyjrzeć. Uniósł rękę, by się zatrzymała.

- Widzę, nawet z daleka.

- Powiedziała mi, że wybrała medalion w kształcie serca, bo jej serce jest z moim splecione. Czy to nie słodkie? Pewnego dnia przekażę go mojej córce.

- Jest bardzo ładny - stwierdził.

Kiwnęła głową.

- Gdy mam go na sobie, czuję się bliżej niej, więc zawsze go noszę.

Poklepała medalionik, westchnęła i znów zajęła się rozgrzewaniem.

Podowała Hamsonowi nad ogniskiem skarpety.

- Mógłbyś je potrzymać? Są nieco wilgotne. Nie pozwól, by zwisały zbyt blisko płomieni.

Chętnie jej pomógł, gdyż mając wolne ręce mogła włożyć z powrotem bluzkę.

- Nie stój tak blisko ognia. Travis mnie zabije, jeśli je zniszczę.

- Chodzisz w skarpetach swoich braci?

Nie wiedział, czy się z tego śmiać, czy płakać. Uśmiechała się do niego, rozwiązując wstążkę z tyłu szyi. Próbował patrzeć na ścianę za jej plecami i nie myśleć o czymś koronkowym, ciasno oblepiającym jej ciało. Pełne piersi zwracały jego uwagę przy każdym poruszeniu. Poczował, że oblewa go zimny pot.

- Tylko wtedy, gdy uda mi się je złapać ze sznura od bielizny, a on tego nie zauważy.

O czym ona mówiła?

- Co złapać? - spytał.

- Jego skarpetki.

- Czemu nie nosisz własnych? Nie masz żadnych?

- Oczywiście, że mam, ale wolę nosić skarpety braci. Są grubsze i nie obchodzi mnie, jak w nich wyglądam. Chodzę w nich tylko wtedy, gdy noszę wysokie buty, więc nikt ich nigdy nie widzi. Poza tym lepiej grzeją nogi. Czy to nie najważniejsze?

Mówiła rozsądnie, ale on nie chciał, by chodziła w męskich skarpetach, nawet swoich braci. Jedna myśl prowadziła oczywiście do drugiej. Nie miałby nic przeciwko temu, gdyby chciała nosić jego skarpety. Właściwie to by mu się nawet podobało.

Na litość boską, to szaleństwo. To wszystko była jej wina. Rozpraszała jego uwagę każdym swoim ruchem.

- Włóż bluzkę! - rozkazał.

Znów go zignorowała. Rozpuściła włosy, by nie zlepiły się razem i szybciej wyschły, upuściła na koc różową wstążkę i dopiero wtedy zwróciła na niego uwagę.

- Dlaczego miałabym włożyć bluzkę? Dopiero co ją zdjęłam, jest mokra - przypomniała mu. - Na Boga, przestań tak na mnie patrzeć, jakbyś chciał mnie udusić. Staram się zachowywać rozsądnie. Czy chcesz, bym się przeziębila i umarła? Lepiej przestań się wstydzić i zdejmij swoje ubranie. Dostaniesz gruźlicy i będę musiała się tobą opiekować. Myślisz, że bardzo mi na tym zależy? Wcale nie mam na to ochoty. Nic innego byś nie robił, tylko narzekał.

Przedstawiając swoje argumenty, oparła dłonie na biodrach, a gdy skończyła, zaczęła manipulować przy zapięciu paska.

Był zbyt oszołomiony, by zrozumieć, co robi. Usiłował na nią nie patrzeć i odwrócił wzrok w stronę ogniska zaraz po tym, jak jej spódnica opadła na ziemię. Powinien był dalej patrzeć na ścianę, gdyż odwróciwszy się nie mógł nie zauważyć jej nóg. Były niezwykle. Długie, zgrabne, doskonałe.

Ile jeszcze będzie musiał wycierpieć tej straszliwej nocy, nim nastanie świt?

Harrison nie miał pojęcia, ale uznał, że już gorzej być nie może. Jedyne, co miał, to tę nadzieję, więc desperacko się jej schwycił, niczym tonący, który chwyta się liny.

Poszedł do swoich juków, chcąc sprawdzić, czy nie ma tam czegoś, co Mary Roses mogłaby na siebie włożyć. Szukając, przez cały czas przeklinał pod nosem swój brak opanowania.

Próbował się rozłoczyć, by nie myśleć o niczym innym. O takich rzeczach jak jej nogi... jej zgrabna talia... jej delikatna skóra...

- Wstyd nie ma nic wspólnego z tym, że się rozbierasz - powiedział przez zęby, chcąc wszystko wyjaśnić.

Rzucił jej ciemną flanelową koszulę i kazał ją włożyć.

- Ty nie potrzebujesz tego, by się ogrzać?

- Włóż to!

Ton jego głosu nie pozwalał na sprzeciw, więc włożyła koszulę. Musiała podwinąć rękawy, ale po zapięciu guzików znów było jej ciepło. Koszula była oczywiście dla niej o wiele za duża, więc zasłaniała znaczną część jej ud.

- Dziękuję.

Nie zwrócił uwagi na podziękowanie. Usiadł naprzeciwko niej po drugiej stronie ogniska i spojrzał jej prosto w oczy.

Mary Roses także usiadła, skrzyżowane nogi przykryła kocem, po czym podniosła swoją bluzkę. Trzymała ją blisko ognia dla wysuszenia.

- Zauważyłam, że cały czas patrzysz na mnie spod oka, mówisz też grubiańskim tonem. Czy obraziłam cię jakoś?

Spojrzał na nią tak, że przeszły ją ciarki.

- Nie jestem jednym z twoich braci.

- Nie myślałam, że jesteś. - Uznała, że to rozsądna odpowiedź.

Harrison uznał, że jest tępą jak but.

- Dłużej już tego nie wytrzymam.

- Czego nie wytrzymasz? Na Boga, czy nigdy dotąd nie musiałeś spać na dworze? Nigdy wcześniej nie złapała cię burza? Nic na to nie poradzę, że tu jest niewygodnie.

Rozpiął koszulę, zdjął ją i zaczął suszyć nad ogniem.

- Jest mi bardzo wygodnie.

- Czy zdejmiesz też spodnie?

- Na miłość boską, nie!

- Nie musisz się od razu denerwować. Czy są mokre?

- Nie na tyle, by je zdejmować.

- Nie mam ochoty paść ofiarą twego złego humoru.

- Ty naprawdę nic nie rozumiesz? Nie, nie wierzę, nawet przez chwilę nie chce mi się w to wierzyć. Dobrze wiesz, że cię pragnę, i świadomie mnie kusisz. Przestań natychmiast, to skończy się mój zły humor.

Światelko w jej głowie rozbłysło dopiero po chwili, ale nawet wtedy nie zawstydziła się własnej głupoty.

Pragnął jej, a ona miała na sobie skarpety brata. Zaczerwieniła się ze wstydu. Boże, była ubrana jak dzikus. Mogła się założyć, że Catherine Morrison nigdy nie nosiła skarpet swego ojca. Żadna szanująca się panna, myśląca już o małżeństwie, nie zrobiłaby tego.

- Możesz mi to obiecać? - zapytał.

- Tak.

Po zawarciu rozejmu nastąpiła cisza. Mary Roses zaczęła kilka minut, by Harrison uspokoił się.

- Zazwyczaj chodzę w jedwabnych pończochach z koronką u góry - wyrzuciła z siebie Mary Roses.

Nie mógł zrozumieć, dlaczego to powiedziała. Nie był to jednak koniec wypowiedzi na temat ubrania.

- Bardzo rzadko noszę skarpety braci. Nie chciałabym, żebyś pomyślał, że lubię chodzić w męskich ubraniach, bo tak nie jest.

- Nigdy by mi to do głowy nie przyszło.

- To dobrze, bo naprawdę tak nie jest.

- Ta koszula chyba nigdy nie wyschnie.

Harrison obrócił koszulę na drugą stronę i dopiero wtedy spojrzał na jej twarz. Była równie czerwona jak płomień.

- Dobrze się czujesz?

- Tak, oczywiście.

- Odsuń się lepiej od ogniska. Twoja twarz wygląda tak, jakby się przypaliła.

Ten facet był idiotą i dziękowała za to Bogu. Odsunęła się od ognia, mając nadzieję, że w końcu jej rumieniec zniknie. Próbowwała wynaleźć jakiś błahy temat rozmowy. Chciała, żeby zapomniał o skarpetach.

- Będę musiała przez tydzień zmywać naczynia.

- Dlaczego?

- Nie użyłam słowa na ten dzień.

- Jakiego słowa?

- Tego, które jest wypisane na tablicy. Nawet nie wiem, jakie to słowo.

Harrison zamknął oczy i wyobraził sobie kuchnię, po czym uśmiechnął się.

- Niepowodzenie.

- Jesteś tego pewien?

- Oczywiście.

- Skąd ty to...

- Adam zaprosił mnie do kuchni i wtedy zauważyłem to słowo. Nawiasem mówiąc, nadal nie widziałem kucharza. Wydaje mi się, że on nie istnieje.

- Nie wiem, o co chodzi.

- To znaczy, że moim zdaniem całą historię o nim zmyśliliście.

- To słowo, Harrison. Co znaczy niepowodzenie?

- Nieszczęście.

Uśmiechnęła się radośnie.

- Użyłam tego słowa.

- Ale nie w obecności braci - zauważył.

- Naprawdę mamy kucharza. Zobacysz go, gdy będzie gotów się z tobą spotkać. Do tego czasu radzę ci go omijać, gdyż bywa złośliwy. To dlatego, że miał niepowodzenie w życiu.

Harrison zaśmiał się.

- Nie powiodło mu się, prawda?

- Jak najbardziej. Proszę cię, bądź moim świadkiem i poświadcz moje słowa przy jutrzejszej kolacji.

- Nie wiem, czy twoi bracia nie zabiją mnie do tego czasu.

- Dlaczego?

- Spędzamy razem noc. - Nie mógł uwierzyć, że musi jej przypominać o ich sytuacji. - Na miejscu twoich braci byłbym wystarczająco wściekły, by zabić.

- Moi bracia ufają nam. Adam nigdy by mnie z tobą nie puścił, gdyby uważał cię za rozpustnika.

- Rozpustnik był chyba słowem dnia w zeszłym tygodniu?

- We wtorek - sprecyzowała. - Wcale nie jesteś rozpustny.

Potrząsnął głową.

- Zostałaś bardzo dobrze wychowana. - Powstrzymał się przed dodaniem, że jej ojca bardzo ucieszyłby wysiłek, jaki włożyli w to bracia.

Rozłożył koszulę na siodle, mając nadzieję, że wyschnie do rana, po czym usiadł na swoim posłaniu. Oparłszy plecy o kamienną ścianę, zamknął oczy.

Kamień nie był zbyt wygodny, ale nie chciało mu się ruszyć.

- Jesteś głodny?

- Nie, a ty?

- Też nie.

Mary Roses odwróciła się i spojrzała na niego.

- Nie martw się, bracia nic sobie złego nie pomyślą. Tylko Cole może być nieznośny, ale będzie się musiał opanować. Pewnie uderzy cię, to wszystko.

- Nie uderzy mnie.

- Nie?

- Nie pozwolę mu. Jeden raz wystarczy.

- Może mieć inne zdanie w tej sprawie.

- To nic nie zmienia. Nie pozwolę się uderzyć.

Dziewczyna westchnęła.

- Cieszę się, że ciągle jesteś pewny siebie - stwierdziła. - Widzę, że tydzień, który spędziłeś na obijaniu pośladków, nie popsuł ci humoru.

- Nie spędziłem tego tygodnia na obijaniu pośladków.

- Skoro tak twierdzisz...

- Moglibyśmy porozmawiać o czymś innym? - poprosił.

- Oczywiście - zgodziła się. - Chcę tylko powiedzieć, że Cole'a jest mi najłatwiej ustawić spośród wszystkich braci. Jest naprawdę bardzo miłym człowiekiem.

- Nigdy nie powiedziałem, że jest niemiły - zaoponował. - Owijasz go wokół małego palca, prawda?

- To nie tak. Po prostu on nie lubi, gdy się martwię. Staje po mojej stronie, kiedy tylko może.

Harrison uważał swoją interpretację za bliższą prawdy.

- Czy dorastanie bez matki i ojca było trudne?
- Mam matkę - odparła. - Mamę Roses.
- Dlaczego ona nie mieszka z tobą i z twymi braćmi?
- Ona nie może... jeszcze nie. Przyjedzie do nas tak szybko, jak to tylko będzie

możliwe.

- Czy wszyscy twoi bracia mówią do niej mammo?
- Tak. Czemu pytasz?
- Byłem ciekawy. A co z twoim ojcem?
- Nie mam nikogo takiego.
- Żałujesz, że nie masz?
- Jak mogę żałować, skoro go nigdy nie miałam?

Mary Roses uznała, że bluzka jest już wystarczająco sucha. Złożywszy ją, zajęła się swoją spódnicą.

Harrison obserwował każdy jej ruch. Była według niego pełna gracji, cudownie kobieca, a zarazem bardzo praktyczna. Wspaniała kombinacja.

- Jesteś równie czysta, jak twój raj.
- Naprawdę?
- Mama Roses jest matką Adama, prawda?
- Moją także.
- Ale urodziła jedynie Adama.
- Tak. Skąd wiesz?
- Prosta dedukcja. Mieszka na Południu. Nigdy jej nie widziałeś, jak sądzę.
- To nie dedukcja. Zgadywałeś - stwierdziła. - Nie wiesz, skąd pochodzą moi bracia.

Przecież mogli mieszkać na Południu. Masz rację, nie widziałam nigdy mamy, ale dobrze ją znam. Pisze do mnie co tydzień, czasem nawet częściej. Nigdy tego nie zaniedbuje od czasu, gdy zaczęłam do niej pisać.

W czasie wojny, gdy byłam za mała, by czytać lub pisać, kilka razy nie wysłała listu. Nie pamiętam tego, ale wiem, że bracia bardzo się tym martwili.

Oczywiście przeżyła, tak jak i my. Przyjedzie do nas, gdy przyjdzie na to czas.

- Ale jeszcze nie teraz?
- Nie.

Jej pospieszna odpowiedź przekonała go, by nie drażnić tematu.

Kilka minut spędzili w przyjemnej ciszy. Cały czas myślał, jak ładnie Mary Roses wygląda w jego koszuli.

Ona w tym czasie myślała o tym, jak strasznie wygląda w skarpetach brata.

- O czym myślisz, Harrisonie?

- O tym, jak ładnie wyglądasz.

Zaśmiała się.

- Chyba spędziłeś zbyt wiele czasu z dala od miasta, skoro uważasz, że ładnie wyglądam. Na Boga, siedzę tu nie uczesana i w męskiej koszuli.

Siedzisz w mojej koszuli, poprawił ją w myślach. To w jego oczach wszystko zmieniało. Poczł się bardzo zachłanny, widząc ją w swojej ulubionej wytartej koszuli. Podniecało go wszystko, co robiła. Chciał ją chronić, pocieszać, obejmować, kochać. W głębi serca oczekiwał od niej tego samego.

Próbował przypomnieć sobie życie w Anglii. Nie mógł z przyjemnością wspominać niczego z przeszłości. Nim przyjechał do Montany, jego życie było zimne i puste. Nie wiedział nawet, jak się czuje człowiek, który żyje pełnią życia. Zawsze czuł, jakby stał z boku samego siebie i patrzył z zewnątrz.

Obserwował. Czy Mary Roses nie opisała właśnie tak jego postawy? Zastanawiał się, czy zdawała sobie sprawę, jak trafne było to określenie.

- A teraz o czym myślisz? Wyglądasz na smutnego. Czy naprawdę nic się nie stało?

- Nie.

- Ja właśnie żałowałam, że włożyłam tak grubą spódnice, gdyż nie chce wyschnąć. Teraz ty musisz mi powiedzieć, o czym myślałeś. Mam tylko nadzieję, że o czymś ciekawszym niż ja.

- Myślałaś o praktycznych rzeczach, ja nie. Wspominałem moje życie w Anglii.

- Nie miałaś na myśli Szkocji?

- Wszystko, co w życiu osiągnąłem, znajduje się w Anglii. Mieszkam w Londynie i rzadko mam czas, żeby pojechać w góry Szkocji.

- Z powodu pracy?

- Tak.

- Ale tęsknisz za górami?

- Tęsknię za tym, co uosabiają.

- Co to takiego?

- Wolność.

Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, jakiego użył słowa.

- Obowiązki stały się twoimi kajdanami, prawda?

- Najważniejsze to spłacić swoje długi.

- Jesteś dłużny swojemu pracodawcy? Dlatego nigdy nie miałeś czasu, by zrealizować swoje marzenia?

- Tak i nie - odpowiedział enigmatycznie. - Tak, jestem mu dłużny. Ale nie jest to takie proste. Moje marzenia się zmieniły. Kiedyś kochałem swoją pracę, teraz już nie. Masz może rację, Mary Roses, może w życiu nie chodzi tylko o zwycięstwo.

- Miło słyszeć, że to mówisz - powiedziała. - Lubisz nasz raj, prawda?

- Tak.

- Jesteś tu szczęśliwy?

- Tak.

- Więc przestań wszystko komplikować. Zostań tu i bądź szczęśliwy.

Widzisz, jakie to proste?

- To wcale nie jest proste.

- Zadam ci tylko jeszcze jedno pytanie - obiecała. - Gdyby to było proste, tobyś tu został?

- Bez chwili namysłu.

Dopiero co obiecała nie zadawać już więcej pytań, ale nie mogła się powstrzymać przed jeszcze jednym.

- Postanowiłeś więc odjechać?

Trzymała swoją spódnicę, modląc się, by powiedział słowa, które desperacko chciała usłyszeć.

- Niczego jeszcze nie postanowiłem. Nie robię uników, jedynie jestem szczery. Nie mam wystarczająco dużo informacji, by wiedzieć, którą drogą powinienem pójść.

- Nie rozumiem.

Ręce zaczynały jej drętwieć od trzymania w górze spódnicy, więc poddała się i odłożyła wilgotne jeszcze ubranie na bok. Potem comeła się, przykryła nogi i usiadła obok Harrisona, tak blisko, że jej prawe ramię dotykało jego ręki.

Patrzyła w ogień, zahipnotyzowana tańcem płomieni. Nie chciała dopuścić myśli, że Harrison mógłby wyjechać, właśnie teraz, gdy postanowiła się w nim zakochać. Próbowwała więc myśleć o czymś innym.

- Musisz być głodny. Chętnie poszukam czegoś do jedzenia.

- Gdzie? - spytał.

- Tam. - Machnęła ręką w stronę gór.

- Nie jestem bardzo głodny. Jeśli ty jesteś, to wyjdę i poszukam czegoś do jedzenia.

Uśmiechnęła się, ale nie spojrzała na niego. W głosie Harrisona słychać było arogancję.

- Nie miałeś często okazji, by nocować w takich warunkach, prawda?

- Szczerze mówiąc, robiłem to często podczas służby - odparł.

- Chodzi ci o wojsko?

- Tak.

- Opowiedz mi o Londynie. Jak się mieszka w takim mieście?

- Jest piękny. Architektura jest wspaniała. Cole doceniłby jakość materiałów i wykonania. Chyba podobałoby ci się życie w Londynie - dodał. - Po przyzwyczajeniu się do różnic.

Nie potrafiła wyobrazić sobie życia w mieście. Raj był tym, czego potrzebowała i pragnęła. Dlaczego Harrison nie chciał tego zrozumieć?

- Czy w Szkocji lub Anglii musiałeś kiedyś nocować w takich warunkach z kobietą?

Harrison próbował się roześmiać.

- Byłbym już żonaty, gdybym to zrobił.

- Dlaczego?

- Reputacja tej kobiety byłaby zrujnowana. Małżeństwo byłoby jedynym wyjściem z honorem.

- A gdyby nic się nie zdarzyło? Gdyby było równie niewinnie, jak dzisiaj?

- Nie zrobiłoby to żadnej różnicy - odpowiedział. - Byłaby i tak potępiona.

- A co z mężczyzną? Co by się tobie stało?

- Niewiele - przyznał po chwili zastanowienia. - Oczywiście, nie zawsze.

Gdyby pochodziła ze znanej rodziny, lub jakiś wpływowy przyjaciel postanowiłby jej pomóc, to możliwe, że nie zostałaby odrzucona przez towarzystwo.

Mało prawdopodobne - dodał - ale możliwe. Zanim zbyt surowo ocenisz Anglików, chciałbym ci przypomnieć, że w Nowym Jorku jest dokładnie tak samo.

- To nie moje środowisko - stwierdziła stanowczo. - W tych stronach nie mamy czasu na takie bzdury.

Nagła myśl bardzo ją rozbawiła.

- Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, to będąc w Anglii musiałbyś się ze mną jutro ożenić. Tam ludzie też mają własny raj, prawda?

- Tak - zapewnił ją. - Są tam równie piękne miejsca, nie tknięte ludzką stopą.

- Szczerze mówisz?

- Szczerze.

- A co z moim pierwszym pytaniem? Musielibyśmy wziąć ślub?

Obróciła się w jego stronę, on powoli zrobił to samo. Zobaczyła błysk w jego oczach oraz jeszcze coś, czego nie potrafiła dokładnie opisać.

- Chyba nie - odpowiedział. - Mój pracodawca jest bardzo wpływowym człowiekiem i na pewno by ci pomógł.

Mary Roses zrobiła bardzo skwaszoną minę. Roześmiał się.

Od opierania się o kamienną ścianę zaczęła ją boleć szyja. Podniosła się na kolana, obróciła w stronę Harrisona i usiadła na piętach. Bokiem uda dotykała jego nogi.

Harrison po raz kolejny próbował nie myśleć o jej bliskości i skąpym ubiorze. Pomagało, gdy patrzył na jej czoło - niewiele oczywiście, ale był gotów zadowolić się tym, co miał.

- Zaczekaj, czemu się tak krzywisz? Powiedz mi, proszę, o czym myślisz.

- O świętości.

Nie rozumiała, a on nie miał zamiaru jej oświecić.

- Jesteś zagadkową osobą, Harrison. Najpierw się śmiejesz, a za chwilę krzywisz niczym niedźwiedź.

- Niedźwiedzie się nie krzywią.

- To była metafora.

- Kolejne słowo z waszej tablicy?

Pokiwała głową.

- Lubię to słowo. Brzmi... inteligentnie.

- Mary Roses, czy chcesz mnie zmusić do wyjścia i pozostania na dworze?

- Dlaczego?

- Zachowujesz się prowokująco.

- Naprawdę? - Jego uwaga ucieszyła ją.

- To, co przed chwilą powiedziałem, nie jest komplementem. Kusisz mnie z premedytacją. Przestań.

Nie potrafiła ukryć rozbawienia.

- Teraz ty jesteś próżna - mruknął pod nosem.

Nie mogła się nie zgodzić.

- Kobieta lubi wiedzieć, że jest atrakcyjna - wytłumaczyła. - Przestanę z tobą flirtować, gdy tylko zrozumiem, co złego robię.

- Mogłabyś zacząć od zdjęcia ręki z mojego uda.

Nie zdawała sobie sprawy z tego, gdzie położyła dłoń. Natychmiast ją stamtąd zdjęła.

- Co dalej?

- Przestań tak na mnie patrzeć.

- Jak?

- Jakbyś chciała, bym cię pocałował.

- Ale ja chcę, żebyś mnie pocałował.

- Nie dojdzie do tego, więc przestań - nakazał ponownie.

Poprawiła koc przykrywający jej nogi, po czym położyła ręce na kolanach.

- Co by się stało, gdyby nikt nas nie odkrył?

- Gdzie?

- W Anglii, po razem spędzonej nocy?

Myślał, że skończyli już ten temat. Najwyraźniej ciągle fascynowały ją zwyczajne środowiska, w którym kiedyś żył.

- Ktoś na pewno by to odkrył. Plotki roznoszą się szybciej niż zaraza.

Każdy wie wszystko o życiu innych.

- Wiesz, co bym wtedy zrobiła?

- Nie.

- Dałabym im coś, o czym mogliby rozmawiać. Wszyscy muszą być strasznie znudzeni, jeśli tak się interesują cudzymi sprawami. Byłabym więc niedyskretna. Gdybym kochała mężczyznę, z którym spędziłam noc, gdybym wiedziała, że chce się ze mną ożenić, a ja też bym tego pragnęła, to wtedy...

Harrison zakrył jej ręką usta.

- Nie, nie zrobiłabyś tego. Musiałabyś dbać o swoją cześć. Pozostałabyś wierna sobie, takiej, jaka jesteś.

Odezwała się dopiero po jakimś czasie. Musiała przyznać mu rację.

- Rzeczywiście - powiedziała. - Jednak życie upadłej kobiety wydaje mi się dość fascynujące. Pewnie zawsze ubierałabym się na czerwono.

Potrząsnął głową.

- Pomyśl o kosztach - poradził.

Spojrzała w niebo.

- Zawsze prawnik - szepnęła. - Dobrze. Pomyślmy o kosztach. Powiesz mi wszystko na ten temat, prawda?

Pokiwał głową.

- Jeśli stracisz część siebie, to w końcu stracisz siebie całą - zauważył.

- Masz rację, Harrison.

On nie zdał sobie jednak sprawy, że Mary Roses się z nim zgadza.

- Jeśli stracisz siebie, to stracisz wszystko.

- Innymi słowy nie pocałujesz mnie.

- Widzę, że dobrze mnie zrozumiałaś.

- Masz sińce na całej klatce piersiowej. I na szyi. Mogę się założyć, że z tyłu jesteś cały czarno-niebieski.

- Nie dam ci okazji, by to sprawdzić.

Sięgnęła ręką i dotknęła stłuczenia w pobliżu jego lewego ramienia. Ciepłymi czubkami palców musnęła jego skórę.

Wiedział, że Mary Roses nie zdaje sobie sprawy z tego, co robi. Była wyraźnie zmartwiona jego poobijanym ciałem.

Gdy dotknęła siniaka w pobliżu pępka, schwycił ją za rękę.

- Powinieneś dbać o siebie - powiedziała. - Uważam, że nie powinieneś jechać z moimi braćmi po bydło, które kupiliśmy.

- Dlaczego?

- Bo skręcisz sobie pewnie kark.

- Widzę, że masz do mnie duże zaufanie.

- Wierzę w ciebie.

Delikatny szept poruszył go do głębi. Jej wiara w niego była wzruszająca.

Patrzyli sobie prosto w oczy przez zapierającą dech w piersiach chwilę, po czym odwrócili się od siebie. Żadne z nich nie było gotowe podjąć kolejnego kroku. Harrison wiedział, że ją kocha, ale nie mógł tego wyznać, gdyż byłyby to puste słowa w obliczu przyszłości spędzonej oddzielnie. Najpierw musiałby zadeklarować swoje zamiary lordowi Elliottowi i udowodnić mu, że ma wystarczającą niezależność finansową, by zapewnić jego córce takie życie, jakiego Elliott dla niej pragnął.

Mary Roses bała się zakochać w Harrisonie. Chciała ochronić swoje serce przed zranieniem. Szczerze i otwarcie mówił o możliwości opuszczenia jej, a ona nie miała prawa przeszkadzać mu w realizowaniu jego przeznaczenia i marzeń.

Jestem strasznie praktyczna, uznała z dużą dozą obrzydzenia. Nie skorzysta z pierwszej lepszej okazji, dopóki nie będzie pewna wyniku. Desperacko pragnęła się ochronić, ale już teraz o mało nie płakała na myśl o przyszłości bez Hamsona.

- O czym tak myślisz?

Wysunęła rękę z jego dłoni, po czym odpowiedziała.

- Dzisiaj tutaj, jutro już gdzie indziej. A ty o czym myślałeś?

- O latach, których potrzebuję, by być równym pod względem fortuny mojemu pracodawcy.

W obu głosach brzmiało wielkie zniechęcenie.

- Gdybyśmy mieszkali w Londynie, to nie miałabym prawdopodobnie wątpliwości, że potrafiśz zatroszczyć się o siebie.

- Prawdopodobnie? - Harrison uniósł brwi.

Uśmiechnęła się. Uwielbiała, gdy mówił tak gwałtownym i zdenerwowanym tonem. Wiedziała, że wymusiła to na nim, gdy on starał się zejść na bezpieczniejsze, mniej osobiste tematy.

- Nie, nie „prawdopodobnie”. - Mary Roses zmieniła zdanie. - Jestem pewna, że potrafiłbyś o siebie zadbać.

- Mam nadzieję.

- Nie myślę o tobie źle, przecież to niedorzeczne. Wierzę w ciebie, Harrisonie. Rozmawiamy teraz o twoim doświadczeniu.

- Co jest nie w porządku z moim doświadczeniem życiowym?

- Za grosz go nie masz.

Poklepała go po kolanie gestem przesadnej sympatii.

- Nigdy przedtem nie pracowałeś z bydlęciem. Wątpię nawet, czy umiesz używać lasa. Dlatego byłoby to dla ciebie niebezpieczne. Czy znów uraziłam twoje uczucia?

- Idź już spać.

Postanowiła nie obrażać się na ten grubiański rozkaz.

- Jestem zmęczona - przyznała. - Bieganie w górę i w dół po tych schodach szybko się nudzi.

- Czemu tak po nich biegałaś?

- Musiałam zrobić sprawunki.

- Dla Eleanor, prawda?

Mary Roses nie odpowiedziała. Harrison potrząsnął głową. Wiedział, jak męcząca była ta wymagająca pannica. Widział Eleanor w akcji, gdy zabrała się do Trávisa. Chciała, by coś jej przyniósł, i po dziesięciu minutach nadskakowania najmłodszy z braci uległ. Powiedział potem Harrisonowi, że zrobiłby wszystko, by zamilkła.

Mary Roses wygładziła koce i położyła się na boku, trzymając plecy blisko uda Hamsona. Podłożywszy ręce pod głowę przymknęła oczy.

- Jak długo pozwolisz, by Eleanor trzymała cię na smyczy?

- Na litość boską, ledwo co przyjechała. Ona nie trzyma mnie na smyczy.

Staram się tylko, by czuła się dobrze.

- Czy jest przynajmniej dla ciebie miła, gdy nikogo nie ma w pobliżu?

Mary Roses długo się zastanawiała, zanim odrzekła:

- Nie.

- Więc czemu się z nią zadajesz?

Dziewczyna przewróciła się na plecy i spojrzała na Hamsona. Spoglądał na nią z góry z groźnym wyrazem twarzy. Dziwne rzeczy denerwowały tego człowieka.

- Dlaczego ty zadajesz się z MacHughiem?

- Dlaczego? Bo jest porządnym, godnym zaufania koniem.

- Taka jest też Eleanor. Porządna i godna zaufania.

- Nie możesz być tego pewna.

- Ty też nie mogłeś mieć pewności, że twój koń będzie porządny i godny zaufania.

Zaufałeś instyktom, prawda?

- Nie. Wystarczyło jedno spojrzenie na MacHugh'a, bym wiedział, dlaczego sprawia kłopoty. Jego bliźni mówią same za siebie.

- Tak samo jest z jej bliźniami - zauważyła. - Eleanor nosi je w sobie, więc ludzie ich nie widzą i wyrządzają jej jeszcze większą krzywdę. Często bywa źle rozumiana.

Harrison osunął się w dół, położył się na plecach, włożył ręce pod głowę i zaczął przyglądać się kamiennemu sklepieniu jaskini, myśląc o Eleanor.

- Travis zamierza doprowadzić do wyrzucenia jej.

- Nieprawda.

- Nie może chować się w stajni aż do czasu jej wyjazdu, Mary Roses.

Douglas, jak zauważyłem, robi to samo. Zbyt wiele wymagasz od swoich braci.

Powinni mieć takie same prawa jak ty.

- Mają dokładnie takie same prawa. - Odwróciła się w jego stronę i oparła głowę na łokciu, tak aby było jej wygodniej dyskutować.

- Moi bracia nie są zbyt cierpliwi - zaczęła. - Ale mimo to wiedzą, że nie mogą jej wyrzucić. To nie byłoby przyzwoite, a wszyscy moi bracia są szlachetnymi ludźmi.

- Istnieje łatwy sposób zmuszenia Eleanor, by zachowywała się porządnie - powiedział Harrison. Przestał patrzeć na sklepienie i spojrzał w oczy Mary Roses, pozwalając się hipnotyzować ich intensywnym, oszłamiającym kolorem.

Mary Roses przysunęła się w jego stronę.

- Jaki? - spytała.

- Gdy coś nie skutkuje, to próbujesz czegoś innego, prawda?

- Prawda - zgodziła się.
- Czy Eleanor spodziewa się dostawać codziennie śniadanie do łóżka?
- Tak mi powiedziała.
- Co by się stało, gdyby nikt nie zaniósł na górę tacy?
- Byłaby wściekła.
- Oraz głodna - dodał Harrison. - Musiałaby w końcu zejść na dół.
- Nie chciałabym tam wtedy być. Jej złość bywa kłopotliwa.
- Popisy.
- Popisy?
- Robi to na pokaz. Nie możesz zwracać uwagi na jej złość. Określ swoje stanowisko,

przedstaw zasady obowiązujące w twoim domu i...

- Jakie zasady?
- Kiedy jecie, a kiedy nie - powiedział. - Tego rodzaju.
- Rozumiem. A co potem?

Uśmiechnął się diabelsko.

- Uciekaj, jakby się pod tobą paliło. Możesz schować się w stajni razem z braćmi.

Zaśmiała się.

- Wszyscy pokochają Eleanor, jak tylko ją zrozumieją.

- Tak długo, jak tu jest, powinna mieć swoje obowiązki. Zakładam, oczywiście, że Eleanor zamierza zostać tu na dłużej.

Mary Roses usiadła i pochyliła się nad nim.

- Powiem ci coś, ale musisz obiecać, że nie powiesz o tym Travisowi, Dogulasowi ani Cole'owi.

- A co z Adamem?

- On już wie.

Położyła dłoń na jego piersi. Jego serce omal się nie przekreśliło. Nie mógł się powstrzymać od dotknięcia jej. Dłonią przykrył jej delikatne palce.

- O czym nie chcesz, by twoi bracia wiedzieli?
- Eleanor nie opuści naszego domu.
- Chcesz powiedzieć, że nie nastąpi to szybko?
- Chcę powiedzieć, że nigdy.
- Mój Boże!

- Naprawdę - szepnęła. - Nie ma innego miejsca, dokąd mogłaby się udać.

Czy teraz już rozumiesz? Ona nie ma żadnej rodziny. Jej ojciec uciekł od niej oraz przed policją. Uczynił straszne rzeczy innym ludziom i sprawiedliwości musiało w końcu stać się zadość.

- Jakie straszne rzeczy?

- Zabrał im pieniądze. Udawał, że jest inwestorem, a nim nie był.

- Zabrał ich oszczędności?

- Tak.

- A co się stało z jej matką?

- Dawno temu umarła. Eleanor jest ich jedynym dzieckiem, biedactwo.

- Nie ma żadnych ciotek lub wujów, do których mogłaby zwrócić się o pomoc?

- Nie - odpowiedziała. - Ma przeciw sobie większość mieszkańców rodzinnego miasta.

Nie ma ani jednej przyjaciółki.

- Nie dziwi mnie to zbytnio.

- Okaż choć trochę współczucia.

- Czemu? Ty okazujesz go tyle, że starczy za nas oboje, kochanie.

Mary Roses otworzyła szerzej oczy.

- Powiedziałeś do mnie kochanie.

- Przepraszam.

- Nie przepraszaj. To było miłe. Powiedz to jeszcze raz.

- Nie. Rozmawialiśmy o Eleanor - przypomniał jej.

- Nie powinniśmy o kimkolwiek rozmawiać. To nieeleganckie.

- Chciałem tylko, byś wiedziała, co o niej myśli Travis. Jest gotów zarządzić głosowanie i wyrzucić twojego gościa z domu. Lepiej z nim porozmawiaj.

Wyciągnęła dłoń spod jego ręki, po czym pogładziła go po policzku.

Szczecinka zarostu przyjemnie łaskotała ją w palce.

Harrison nie przerwał jej pieściot, gdyż zbyt mu się to podobało. Ujął dłonią jej kark i przeczesał palcami jej jedwabne włosy.

Potem nagle przyciągnął ją do siebie i pocałował długo i mocno. Przycisnął jej brodę, zmuszając do otwarcia ust. Uwodził ją bez ogródek, chęć ponownego poczucia smaku jej ust była silniejsza od rozsądku. Uznał, że nic się nie stanie, jeśli pocałuje ją na dobranoc. Wiedział, że jest wystarczająco doświadczony, by w odpowiednim momencie przerwać.

Mary Roses otworzyła usta, gdy tylko zrozumiała jego zamiary. Harrison wniknął między jej wargi językiem, jakby chcąc pojąć ją w całości. Zdawało mu się, że dziewczyna

topnieje pod jego dotknięciem. Powstrzymał jej cichutkie westchnienie, po czym pocałował ją jeszcze namiętniej.

Obcowali ze sobą, stykając się ustami i językami, dopóki nie pochłonęła jej namiętność. Przeszedł ją dreszcz pożądania, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie czuła. W myślach błagała o więcej za każdym razem, gdy jego język wślizgiwał się i wychodził z jej ust. Paznokciami wbiła się głęboko w jego łopatki, a całym ciałem tuliła się do Hamsona, mówiąc mu bez słów, jak bardzo go pragnie.

Harrison pragnął jeszcze więcej, gdy usłyszał cichy odgłos dobiegający z głębi jej gardła.

Był to tylko jeden pocałunek, a mimo to oboje drżeli, gdy wreszcie się skończył.

Położył głowę między jej szyją i ramieniem, próbując odzyskać zdrowy rozsądek. Odetchnął głęboko, wdychając delikatne perfumy i jeszcze bardziej się odurzył. Boże, była doskonała. Wydawała się wspaniała, jakby stworzona dla ramion, którymi ją obejmował.

- Harrison, ciężko mi się oddycha. Musisz się troszkę przesunąć.

Leżał na niej. Jak, na miłość boską, do tego doszło? Obejmował ją w talii ramionami, choć nie pamiętał, by je tam kładł. Chcąc oswobodzić ręce, musiał razem z nią przetoczyć się na bok.

Trzymał ją dalej w objęciach, choć przerażał go brak kontroli nad własnym ciałem. Miał kolano zaklinowane między jej udami. Nie czuł przez spodnie jej skóry, ale wiedział, że całe jej ciało jest delikatne niczym jedwab. Na myśl o tym jego członek twardniał jeszcze bardziej.

Obejmowała ramionami szyję Hamsona, a jej palce ciągle go gładziły, nie pozwalając mu się skupić.

Uniosła się do góry i pocałowała go w brodę, po czym spróbowała wydostać się z jego objęć. Należało to zrobić w tej sytuacji. Nie mogła się jednak do tego zmusić, tak cudownie było leżeć w jego ramionach.

Wetknęła głowę pod jego brodę i zamknęła oczy.

- Czy moglibyśmy tak spać? Będzie nam wtedy ciepło - zapewniła. - Chociaż przez chwilę?

Pocałował czubek jej głowy.

- Tylko przez krótką chwilę - zgodził się.

Cofnęła się odrobinę; chciała patrzeć na niego mówiąc mu dobranoc. Jej serce zaczęło bić szybciej, gdy zobaczyła czułość w jego oczach.

- Twoje oczy są teraz ciemne niczym nocne niebo. Jesteś bardzo przystojnym mężczyzną.

Harrison objął dłońmi jej twarz.

- A ty jesteś bardzo piękną kobietą.

Potarł kciukiem jej wargi, które nabrały koloru i nabrzmiały pod wpływem jego pocałunków. Widząc jej zamglone namiętnością oczy nie mógł się powstrzymać przed ponownym pocałunkiem.

- Jesteś tak niesamowicie delikatna - wyszeptał tuż przed zamknięciem jej warg swoimi ustami. Pocałunek był silny, zachłanny i niezwykle podniecający.

Pożądanie rozpało się w nich. Równie szalona jak on, pragnęła poznać smak i kształt jego ust.

Dłonie Hamsona pieściły jej szyję, potem ramiona, po czym zsunęły się i dotarły do uroczych pośladków. Mary Roses poruszała się w jego objęciach, ocierając się o jego ciało. Fala rozkoszy przepłynęła przez jej ciało, gdy przycisnęła łono do jego kolana. Przechyliwszy głowę ponownie ją pocałował, po czym zmienił pozycję. Odsunął kolano i łagodnie skłonił ją, by rozsunęła nogi. Przycisnął ją do siebie w miejscu, gdzie stykały się jej uda, powstrzymał ustami wydobywający się z niej jęk, po czym sam wydał z siebie pomruk rozkoszy. Jedyne czego pragnął, to by ją zaspokoić.

Namiętność przeskakiwała niczym błyskawica między ich ciałami. Harrison czuł, że ciągle ma jej za mało. Jego ręka wniknęła pod flanelową koszulę, chcąc pieścić ją w bardziej intymnych miejscach. Odsunął na bok delikatny materiał staniczka i śmiało objął jej pierś. Jego kciuk pocierał sutek, dopóki ten nie stał się twardą grudką, którą jego usta mogły pochłonąć.

Pieszczoty były wspaniałe. Jęczała, a jej ciało wygięło się w łuk, prosząc o więcej.

Chciała go obejmować przez całą wieczność. Pragnęła bliskości jego ciała, delikatności, z jaką ją trzymał. Jej palce czuły siłę napiętych mięśni i chwaliły pod niebiosami wiedzę, że każdą delikatną pieszczotą sprawiała mu tyle przyjemności, ile on dawał jej. Wiedziała to słysząc pozbawione sensu, słodkie, pełne miłości słowa, które szeptał jej do ucha.

Była zniewolona jego bliskością. Wiedziała, że jest wystarczająco silny, by ją zgnieść, ale pamiętała też, że był gotów oddać życie w jej obronie. Czowała słony posmak jego skóry, kładąc wilgotne pocałunki na jego szyi, wchłaniała jego męski zapach, mieszający się z jej własnym. Ich serca były szaleńczo w cudownej harmonii.

Jego pieszczoty stały się bardziej zdecydowane, gdyż zachęcały go jej ciche szepty. Pragnął zbliżyć się do źródła jej ciepła, dotknąć tego, co najbardziej pragnął posiadać. Jego ręka wślizgnęła się między jej uda, a ciało przeszedł jeszcze jeden nieopanowany dreszcz pożądania. Jej skóra była słodka i jedwabista - tak, jak się tego spodziewał. Jego palce wniknęły pod jej ubranie i wreszcie znalazły. Przestał nad sobą panować, gdy dotknął i poczuł ciepłą wilgoć między jej nogami. Rozpalał w niej ogień, zasilając go własnym płomieniem. Jego palce pocierały ukryte miejsce. Wiedział, że doprowadzi ją to do szaleństwa. Niemalże wybuchnął czując, jak jej ciało wygina się, i słysząc cichy krzyk ekstazy.

Nie miał zamiaru przestać. Zaczął rozpinąć guziki spodni. Trzęsącymi się rękami z trudem odpiął pierwszy z nich.

Choć twardy członek Hamsona naciskał na jej ciało, nie czuła się przestraszona ani zakłopotana. W głębi serca wiedziała, że przestanie jej dotykać, gdy tylko o to poprosi.

Całkowicie ufała Harrisonowi. Był człowiekiem honoru i zrobiłby dla niej wszystko, o co go poprosi, pod warunkiem że nie przyniesie to ujmy jego honorowi.

Na Boga, o co go teraz prosiła? Czy nie poświęcał swego honoru, by ją zaspokoić?

Ze wstydu zrobiło jej się niedobrze. Nie mogła ryzykować.

Nagle zamarła i zacisnęła oczy, nie chcąc się rozplakać.

- Musimy już przestać.

Powiedziała to przerywanym szeptem w pobliżu jego szyi. Choć usłyszał jej słowa, potrzebował trochę czasu, by na nie zareagować.

Potem wypuścił powietrze, zacisnął szczęki i z wielkim trudem odsunął się od niej. Czuł się, jakby umierał.

Czuł fizyczny ból z powodu własnej frustracji i głupoty. Doprowadzało go to do szaleństwa. Co, na Boga, sobie myślał? Stracił panowanie nad sobą i od jakiegoś już czasu w ogóle nie myślał. Jeszcze przy żadnej kobiecie nie zachowywał się tak, jak przy Mary Roses. Była na pewno inna, a także bardziej niebezpieczna.

Mary Roses także miała kłopoty ze złapaniem oddechu. Poczula się opuszczona i samotna, gdy tylko Harrison odsunął się od niej. Z zimna i żalu przeszedł ją dreszcz. Czuła się poniżona swoim zawstydzającym zachowaniem.

Żaden mężczyzna nie dotykał jej jeszcze w tak intymnych miejscach. Głaskał jej piersi, jej brzuch, jej pośladki, jej... O Boże, chyba oszalała. Nie mogła powstrzymać zbierających się w oczach łez.

Co by się stało, gdyby nie kazała mu przestać? Dobrze znała odpowiedź.

Poprosiłby ją o rękę.

Nie była to przyjemna myśl. Wręcz przeciwnie, przerażała ją. Zrobiłby to, gdyż jest prawym człowiekiem. Jedynie Bóg mógł wiedzieć, jak bardzo Harrison był przyzwyczajony do ciężaru odpowiedzialności. Jego ramiona już dawno powinny były opaść od odpowiedzialności, którą, dobrze wiedziała, nosił na swoich barkach już jako mały chłopiec. Odpowiedzialność pozbawiła go dzieciństwa.

Niczego więcej nie chciała mu już zabierać. Zrobiło jej się niedobrze i o mało nie zwymiotowała ze wstydu. Zmuszanie mężczyzny do małżeństwa z powodu własnej żądy było czymś więcej niż powodem do wstydu. Było niewybaczalne.

Usiadła tyłem do Hamsona i patrząc na ścianę wygładziła koce. Włosy opadały jej na twarz, więc niecierpliwie odsunęła je do tyłu. Dopiero wtedy zauważyła, że trzęsą się jej ręce.

Wiedziała, że musi się odezwać, przeprosić go jakoś i wytłumaczyć swoje zachowanie, ale nie mogła znaleźć odpowiednich słów.

Harrisonowi nie było wygodnie leżeć. Usiadł więc, opierając się plecami o kamienną ścianę. Lodowaty kamień chłodził jego ramiona.

Nadal jej pragnął. Czuł ją na swoich ustach i usiłował nie myśleć, jak było wspaniale, jaka była słodka i gorąca, jak wilgotna i...

- Cholera! - Słowo zabrzmiało raczej jak warknięcie.

Mary Roses odwróciła się do Hamsona. W jego oczach był chłód, który zawstydział ją bardziej od własnego poczucia winy.

Patrzył na nią przez dobrą minutę i uświadomił sobie, że znów budzi się w nim pożądanie. Namiętność nadal przesłaniała mgłą jej oczy, a jej wargi były nabrzmięte od pocałunków. Podrapał jej twarz zarostem. Zdał sobie sprawę, że ślady zadrapań też go podniecają. Wiedział, że poczułby swój własny zapach, gdyby tylko wziął ją w ramiona. Gdyby wziął ją znów w ramiona, poczułby swój własny zapach.

Do diabła, poznał każdy fragment jej ciała. Zaczął patrzeć na sklepienie, próbując wypalić w nim wzrokiem dziurę.

- Zdajesz sobie sprawę, do czego o mało nie doszło?

Skuliła się, słysząc złość w jego głosie.

- Tak - odpowiedziała. - Dobrze to rozumiem. Sądzę, że nie powinniśmy się już więcej tak... angażować... To zbyt niebezpieczne.

- Jasne jak cholera, że niebezpieczne.

- Przykro mi - wyszeptała.

Nie miał nic do powiedzenia na ten temat. Odwróciła się, by na niego spojrzeć, i pasmo włosów znów zakryło jej oko. Nerwowo odgarnęła je do tyłu.

Jego włosy były równie zmierzwione, jak jej własne. Wyglądał, jakby dopiero co się obudził. Był jej zdaniem najprzystojniejszym mężczyzną na świecie.

Odwróciła się od niego. Cisza zaczynała ją denerwować. Spojrzała na ognisko i zdała sobie sprawę, że prawie wygasło, więc natychmiast dorzuciła do niego kilka gałązek.

- Długo będziesz się gniewać?

- Idź spać, Mary Roses, zanim zapomnę o pilnowaniu twojej czci.

Natychmiast na niego spojrzała.

- Czy dlatego przestałeś?

- Nie - odparł. - Przestałem, bo mnie o to poprosiłaś.

Spojrzał na nią ponownie i natychmiast trochę się uspokoił. Widział łzy w jej oczach i nagle uświadomił sobie, że w ogóle nie myślał o jej uczuciach, tak był zajęty sobą. Boże, był niezłym chamem! Nigdy jeszcze nie odczuła takiej namiętności, świadczyły o tym jej reakcje. Wypalające ją od środka pragnienie musiało być przerażające.

- Co ma do tego moja cześć, jeśli przestałeś, bo ja cię o to poprosiłam?

Harrison westchnął. Nie mógł uwierzyć, że musi to tłumaczyć.

- Kochanie, byłem cholernie blisko odebrania ci dziewictwa i czci. Kilka minut później bym to zrobił.

Uspokoiły ją nie tyle jego słowa, ile sposób, w jaki je powiedział. Jego głos był łagodniejszy, bardziej ludzki, niemalże kochający. Instynktownie rozluźniła ramiona i przestała kurczowo zaciskać dłonie.

- Więc dlatego się rozzłościłeś?

- Tak.

Odetchnęła głęboko.

- Ośmielam się z tobą nie zgodzić.

- Naprawdę? - Uśmiechnął się słysząc nagłą złość w jej głosie.

Nie takiej reakcji spodziewała się Mary Roses.

- Czujesz się chyba zadowolony z siebie i traktujesz to wszystko jak przystało na mężczyznę, prawda?

- Nie wydaje mi się.

- Więc oświecę cię odrobinę. Nie byłeś blisko odebrania mi czegokolwiek.

Mogłam oddać ci moje dziewictwo i cześć, ale postanowiłam tego nie robić.

To ja poprosiłam, byś przestał. Ty byłeś zajęty rozpinaniem guzików rozporka.

Pamiętasz jeszcze?

Gwałtowność jej głosu była zaskakująca. Czuł, że znów wzbiera w nim złość, tylko dlatego że przypomniała mu o braku panowania nad sobą.

- Powiedz mi, dlaczego przestałaś.

Mary Roses potrząsnęła głową.

- Jesteś prawnikiem. Sam to wykombinuj.

- Bałaś się?

- Nie.

- Posłuchaj, wiem, że mnie pragnęłaś. Byłaś równie rozpalona, jak ja.

Ciągle jeszcze czuję na plecach ślady, jakie zrobiłaś mi paznokciami. Mam nadzieję, że pamiętasz jeszcze, gdzie znajdowały się twoje ręce.

Czuła, że pąsowieje, przypominając sobie własne zachowanie. Obserwowała, jak Harrison podciąga jedną nogę i obejmuje ją ramieniem. Podniecał ją każdy jego ruch.

Boże, była godna pogardy. Nie była wiele lepsza od królicy podczas rui.

- Oczywiście, że pamiętam, i nie jest mi przykro.

- Mnie także nie.

Emocja, z jaką to przyznał, rozgrzała ją, ale spowodowała też dreszcze.

Własne reakcje wydawały się jej pozbawione sensu. Uznała, że to jego wina, gdyż świadomie doprowadzał ją do szaleństwa.

- Przestań tak na mnie patrzeć.

- Jak?

- Dobrze wiesz.

On jednak nie wiedział. Odwrócił się więc w stronę ogniska.

- Ciągle nie powiedziałaś, dlaczego kazałaś mi przestać.

- A ty się nie poddasz, dopóki tego nie zrobię?

- Tak - przyznał jej rację. - Jeśli nie ze strachu, to dlaczego? Podobał ci się sposób, w jaki cię dotykałem. Nie udawaj, że tak nie było. Pamiętaj o twoich reakcjach. Byłaś gorąca i wilgotna.

Ich spojrzenia spotkały się. Znów patrzył na nią tak, że wydawało jej się, że zaraz się rozplynie.

- Przestań tak mówić - rozkazała głosem, który wydał jej się strasznie słaby.

- Powiedz mi, czemu przestałaś - zażądał ponownie. - Wtedy przestanę ci to przypominać.

Zamknęła oczy. Była to jedyna metoda ucieczki od niego, jaka przyszła jej do głowy.

- Jesteś dosyć tępy jak na prawnika. Nigdy nie przyszłoby ci do głowy, że zrobiłam to dla twojego honoru, a nie mojej czci?

- Dla mojego honoru?

Widziała, że jej nie wierzy. Wmawiała sobie, że nic jej to nie obchodzi.

Czy wszyscy mężczyźni są równie aroganccy, jak Hamson i jej bracia? Miała szczerą nadzieję, że tak nie jest.

- Tak, Hamson, dla twojego honoru - powtórzyła.

- Mówisz na serio? Mój honor... - wyszeptał Hamson.

Cóż, do diabła, ciągle nie był pewien, czy wierzyć. Jednak dojrzał szczerą w jej oczach, gdy ponownie je otworzyła. Poczul się jak rażony piorunem.

- Twój honor - szepnęła. Potem spojrzała na chwilę w niebo i odwróciła się.

Była najwyraźniej zdegustowana jego zachowaniem. Nie miał jednak czasu, by o tym myśleć. Cały wysiłek skupiał na zrozumieniu, jak się czuje, wiedząc, że to ona go chroniła.

- Jesteś bardziej ode mnie opanowana.

Przyznanie się do tego wiele go kosztowało. Mary Roses pomyślała, że zabrzmiało to tak, jakby było dla niego obraźliwe.

- Jakie to męskie uważać, że tylko mężczyzna może myśleć o tak szlachetnych rzeczach, jak honor i godność. Możesz w to wierzyć lub nie, ale kobiety też nieraz chronią mężczyzn. Nie jest to mój wymysł. Takie są fakty.

Nie słyszałeś nigdy o Joannie d'Arc? Oddała życie za honor Francji i swój własny.

- Joanna d'Arc? - Chętnie zaśmiałyby się z tego porównania, ale nie chciał zostać zabity. - Nie wierzę, by kiedykolwiek robiła to, co my właśnie robiliśmy.

- Oczywiście, że nie. Była przecież świętą, na litość boską. Ja taka nie jestem. Nie porównywałam się z nią. Po prostu chciałam powiedzieć, że nie mogłbyś odzyskać wewnętrznego spokoju po przebytych ze mną intymnym stosunku.

- To był intymny stosunek. Pamiętasz, gdzie były moje palce?

- Och, idź już lepiej spać.

Odsunęła się na skraj koca, jak najdalej od Hamsona. Przykryła się, zamknęła oczy i próbowała zasnąć.

Wiedział, że powinien był przestać ją męczyć, ale jej reakcje były tak czarujące, że nie mógł się powstrzymać. Gdy się wstydziła, na jej twarzy pojawiał się najpiękniejszy na świecie rumieniec.

Był wdzięczny, że się na niego zdenerwowała. Chciał wzbudzić w niej złość i wiedział, że uda mu się, jeśli będą kontynuować sprzeczkę. Nie był chamem.

Było to szlachetne zachowanie, przynajmniej jego zdaniem. Rozzłoszczona Mary Roses pozostanie z dala od niego. Żadna kobieta nie będzie się całować z mężczyzną, którego ma ochotę zabić. Wydawało mu się to bardzo rozsądne.

Do diabła, kogo próbował oszukać? Tak naprawdę starał się siebie chronić.

Mary Roses udowodniła już, że jest bardziej od niego opanowana. Potrzebował niewiele, by zapomnieć o swoich dobrych intencjach. Wystarczyło, by kiwnęła palcem w jego stronę, by po chwili znów na niej leżał. Zasmakował rajy i nie musiał udawać, że nie było to wspaniałe.

Tej nocy spał niewiele. Rewolwer trzymał w ręce przy boku i pilnie słuchał każdego dźwięku. Przysnął na chwilę może ze dwa razy. Za pierwszym razem obudził go łagodny łopot. Ktoś lub coś było z nimi w jaskini. Hamson zamarł i uchyliwszy nieco powieki zobaczył kobietę. Jego reakcja była natychmiastowa - zacisnął rękę na kolbie rewolweru leżącego pod kocem. Wiele go kosztowało, by do niej nie strzelić, i dziękował Bogu, że na niego w tym momencie nie patrzyła. Stała nad Mary Roses z pikowaną kołdra w dłoniach i patrzyła na śpiącą dziewczynę.

Szalona Corrie. Gdy ją zobaczył, zaczął się zastanawiać, czy całkiem nie postradała zmysłów. Twarz kobiety była tak strasznie zniekształcona, że chciał się od niej odwrócić. Nie zrobił tego oczywiście. W ogóle się nie poruszył. Po prostu czekał na to, co Corrie zrobi.

Napatrzywszy się wystarczająco, szalona Corrie przykryła Mary Roses kołdrą i wyszła z jaskini. Nie wydała przy tym żadnego dźwięku.

Chciał ją zawołać, przynajmniej podziękować, ale tego nie zrobił. Gdyby chciała być zauważona, toby ich obudziła. Najwyraźniej nie chciała, a Harrison był gotów to uszanować.

Początkowe obrzydzenie, jakie wzbudził w nim jej widok, napawało go teraz wstydem. Zamknął jednak oczy i ponownie odpłynął w sen. Mary Roses przysunęła się już bliżej niego, ale czuł się bezpieczny wiedząc, że nie musi martwić się pokusą i swoim przerażającym brakiem opanowania.

Gdy się obudził, poczuł, że jej twarz jest wciśnięta w jego pachwinę.

Pomyślał, że jest już w niebie, ale gdy tylko trochę się rozbudził, zrozumiał, że w rzeczywistości poszedł prosto do czyścica. Mary Roses już go nie uwodziła.

Spała głębokim snem, że stopami wetkniętymi pod jego brodę. Po prostu próbowała się ogrzać.

Powoli odsuwał się tak, by jej nie obudzić. Gdy już to zrobił, wstał tak cicho, jak tylko potrafił, bosy wyszedł z jaskini i stanął na deszczu.

Ani trochę mu to nie pomogło.

11 lipca 1865

Droga Mamo Roses!

Dzisiaj są, moje urodziny. Bardzo chciałbym, żebyś mogła je tutaj ze mną, spędzać.

Teraz, gdy wojna się już skończyła, będziesz mogła przyjechać do swojej rodziny. To będzie najlepszy prezent, jaki Twój syn mógłby dostać na urodziny.

Modlimy się co wieczór za duszę Lincolna. Próbuje się nie denerwować jego bezsensowną, śmiercią, pocieszają mnie słowa jego ostatniego orędzia inauguracyjnego. Ten fragment lubię najbardziej:

„Bez złej woli wobec kogokolwiek, niosąc pomoc wszystkim potrzebującym, broniąc sprawy, którą, dzięki Bożemu objawieniu uważamy za słuszną, doprowadźmy do końca podjęte dzieło. Opatrzmy rany naszego narodu, otoczmy opieką tych, którzy cierpią, na polu walki, oraz wdowy i sieroty po nich - uczynmy wszystko, by osiągnąć trwałą i sprawiedliwą pokój; pokój wewnętrzny i pokój z wszystkimi narodami świata”. *

Kocham Cię Travis Jakiś skurwysyn strzelił do nich, gdy wracali do domu, choć Harrison miał się na baczności. Gdy tylko zobaczył błysk metalu między sosnami, w miejscu gdzie zakreślał szlak, natychmiast zepchnął Mary Roses z konia, wyciągnął swój sześciostrzałowiec i wystrzelił, o sekundę za późno.

Pocisk napastnika trafił go w prawy bok. Harrison nie zareagował na ból.

Pochyliwszy się w stronę siodła Mary Roses skupił uwagę na rozpościerającym się przed nimi lesie. Gdyby wtedy znajdowała się na swoim wierzchowcu, to pocisk, który go trafił, na pewno by ją zabił.

Gdy sobie to uświadomił, przebrała się miarka.

- Leż na ziemi - rozkazał.

Nie spojrzął nawet, na co upadła. Zmusił MacHugha do pełnego galopu.

Jedyne, na czym mu zależało, to dorwać skurwysyna i zabić go gołymi rękami.

Dobrze się przyjrzał twarzy napastnika, ale ten zdążył uciec, zanim Harrison dojechał do kolejnego zakrętu. Harrison ruszył po świeżych śladach i rozczerował się widząc, że kończą się na krawędzi wysokiego, stromego zbocza nad rzeką, do której tchórz musiał skoczyć. Harrison miał nadzieję, że przynajmniej się utopił.

Zawrócił i znalazł Mary Roses siedzącą na kamieniu z rewolwerem w dłoni.

Zdawała się nie poruszona tym, co zaszło.

- Nic ci nie jest? - zapytał Harrison opryskliwie i ze złością.

- Nie, dziękuję. - Jej głos był nijaki niczym szklanka wody - Czy mógłbyś przyprowadzić Millie?

Harrison kiwnął głową i poszedł szukać klaczy. Gdy powrócił, zastał Mary Roses na środku drogi. Odłożywszy broń próbowała się uczesać.

Podał jej wodze, po czym zaczął zsiadać, chcąc jej pomóc. Mary Roses była jednak szybsza. Wsiadła na koń, uśmiechnęła się do Hamsona i trąciła Millie, zachęcając ją do pójścia stępa.

Na litość boską, zachowywała się tak, jakby codziennie ktoś na nią napadał.

- Na pewno nic ci nie jest? - spytał ponownie.

- Mój tyłek będzie równie posiniaczony, jak twój. Twardo wylądowałam, wrzuciłeś mnie w krzaki. Następnym razem wystarczy, jeśli każesz mi się pochylić.

Hamson pozwolił jej jechać przodem. Nie chciał, by zauważyła, że przygląda się swojej ranie. Czuł wilgoć pod koszulą, a gdy spojrzał w dół, zobaczył rosnącą plamę sączącej się krwi.

Nie czuł się jednak tak, jakby był poważnie ranny. Krew nie tryskała, co uznał za dobry znak. Dziękował Bogu, że pocisk przeszedł na wylot.

Powoli wyjął z juków skórzaną kamizelkę, po czym włożył ją tak szybko, jak tylko mógł. Wykrzywił się z bólu, jaki spowodował ruch prawym ramieniem. Potem z wysiłkiem uśmiechnął się, gdyż Mary Roses odwróciła się w jego stronę. Ponaglił MacHugha, chcąc jechać obok niej.

- Zimno ci? Możesz otulić się kołdrą Corrie - zaproponowała.

- Jest mi dobrze - odparł. - A tobie nie zimno?

- Nie, moje ubranie zdążyło wyschnąć. Jest pomięte, ale ciepłe. Złapałeś tego kogoś, kto chciał nas zabić?

- Nie. - Spojrzał na nią nieprzyjemnym wzrokiem. Nie mógł nie zauważyć jej opanowania. - Zachowujesz się tak, jakby takie rzeczy zdarzały się co chwila. Czy tak tu jest?

- Nie, oczywiście, że nie.

- Więc dlaczego jesteś taka spokojna?

Zaczekała, aż ją dogoni, zanim odpowiedziała.

- Bo ty nie jesteś.

- Jaki nie jestem?

- Spokojny.

Wydawało mu się, że zachowuje się i mówi zupełnie spokojnie. Chyba jednak tak nie było.

- Twoje oczy przeczą temu, co mówisz.

- Co jest nie w porządku z moimi oczami?

- Jest w nich chłód, złość... jesteś wściekły, że nie dopadłeś tego mężczyzny, prawda?

- Skoczył ze skały. Mam nadzieję, że utonął.

- Pewnie tak się stało.

- Więc w ogóle się nie bałaś?

- Pewnie, że się bałam.

- Gratuluję ci więc. Umiesz lepiej kryć swoje uczucia niż ja. Wydawało mi się, że jestem w tym mistrzem.

- Czy bycie mistrzem jest aż tak ważne?

- W sali sądowej tak.

Uśmiechnęła się i poklepała go po kolanie.

- Jestem pewna, że radzisz sobie bardzo dobrze na sali sądowej.

- Jesteś naprawdę inna od wszystkich, Mary Roses, jak Boga Kocham.

Nie wiedziała, czy ją pochwalił, czy obraził. Uśmiechał się, więc uznała to za pochwałę.

- Mieszkając z Cole'em przyzwyczailiśmy się do niespodzianek. Teraz jest to częścią naszego życia.

- Twoi bracia są już pewnie w domu.

- Pewnie tak. Gdzieś za pół godziny dojedziemy do rancza.

- Jak myślisz, czego on chciał?

- Kto?

- Tchórz, który próbował nas zabić.

- Naszych koni lub pieniędzy. Być może i tego, i tego.

- Do diabła!

- Przestań się nim przejmować. Już go tu nie ma. Porozmawiajmy lepiej o czymś innym. Ciągle myślę o Corrie. Musiała sporo przejść, by przynieść nam tę kołdrę. Nie sądzisz, że wymamgało to sporej odwagi?

- Chciała ją dać tylko tobie - poprawił ją.

- Nie możesz być tego pewien - odparła.

Harrison uśmiechnął się. Wiedział dobrze, że Corrie przykryła Mary Roses, ale nie przyznał się, że widział kobietę. Corrie jak gdyby przynależała do Mary Roses i chciał, by to ona pierwsza zobaczyła swoją przyjaciółkę... jeśli ta będzie kiedykolwiek gotowa się pokazać.

- Hamson, nadal wyglądasz na rozzłoszczonego.

Nie mógł na to nic poradzić.

- Do cholery, Mary Roses, mogłaś zostać zabita. Mam prawo być zdenerwowany. Jeśli cokolwiek by ci się stało...

Odwróciła się w jego stronę.

- Tak?

- Twoi bracia by mnie zabili - westchnął.

- Nie potrafisz się przyznać, że by ci mnie brakowało?

- Pewnie, że potrafię. To oczywiste, że bym za tobą tęsknił.

Była ogromnie z tego zadowolona. Ponownie zmieniła temat.

- Myślałam o tym, co mówiłeś o Travisie i postanowiłam z nim porozmawiać. Nie chcę, by się za bardzo przejmował Eleanor. Z nią też poważnie rozmawiam. Nie może tak komenderować moimi braćmi. Travis posłucha się mnie, Eleanor pewnie nie. Mimo to spróbuję. Zbliżają się urodziny Trávisa.

Będzie się zachowywał najlepiej, jak potrafi, więc dam mu ładny prezent.

- Kiedy są jego urodziny?

- Jedenastego lipca - odpowiedziała. - Prawie skończyłam robić dla niego sweter. Sądzę, że spodoba mu się. Kolor pasuje do jego oczu, choć oczywiście nic go to nie obchodzi. Spodoba mu się, bo będzie mu w nim ciepło. Kiedy masz urodziny?

- Siedemnastego lutego.

Nie spytał jej o to samo. Założył, że nie zna prawdziwej daty i że jej bracia wymyślili jakiś dzień, żeby mogła mieć swoje święto.

Poza tym wiedział już, że lady Victoria urodziła się drugiego stycznia.

- Drugiego stycznia.

Mary Roses powiedziała to chwilę po tym, jak to pomyślał. Był pewien, że się przesłyszał, potem uznał, że sam powiedział tę datę na głos.

- Czy ty właśnie... Co powiedziałaś?

- Drugiego stycznia - powtórzyła. - Dzień moich urodzin. Czy drugiego stycznia jest złą datą? Wydajesz się lekko oszołomiony.

Nie był w stanie odpowiedzieć, gdyż jego gardło odmówiło posłuszeństwa. Oszołomiony? Ładny eufemizm. Jego umysł desperacko poszukiwał jakiegoś wytłumaczenia. Jak, na Boga, mogła znać prawdziwą datę swoich urodzin?

- Adam ma urodziny dwudziestego listopada. Cole piętnastego kwietnia, choć, szczerze mówiąc, nie jest pewien tej daty, bo nie ma żadnego dowodu.

Jego sąsiad pamiętał go i powiedział mu, że chyba wtedy się urodził, więc postanowił uznać te datę. Urodziny Douglasa przypadają na ostatni dzień marca. Nie zapomniałam o nikim?

Ponownie potrząsnął głową.

- Sama wymyśliłaś datę swoich urodzin czy masz jakiś dowód na to, że urodziłaś się drugiego stycznia?

- Mam na to dowód - odparła. - Razem ze mną były jakieś dokumenty.

Harrison pochylił się do tyłu, pozwalając jej słowom odbijać się echem w jego głowie.

Razem z nią były dokumenty.

Wszyscy na nich czekali. Eleanor chodziła tam i z powrotem po werandzie, Adam stał w drzwiach, Douglas i Travis siedzieli na balustradzie werandy, opierając się o słupy.

Cole właśnie wychodził z głównej stajni, gdy zawołał go Douglas, wskazując na nich.

Harrison zauważył, że Cole natychmiast sięgnął po broń. Z wyrazu jego twarzy można było wywnioskować, że poważnie zastanawia się nad jej użyciem.

Harrison westchnął. Miał już dosyć i nie chciał tracić czasu na nonsensy.

Czuł się piekielnie źle, wydawało mu się, że jego bok się pali. Wiedział jednak, że cały dzień będzie niewiele lepszy, gdyż postanowił już dłużej nie czekać.

Niech się dzieje, co chce, przyszłość Mary Roses będzie rozstrzygnięta, zanim on pójdzie spać. Miał zamiar powiedzieć braciom prawdę o ich siostrze. Musiał oczywiście zdobyć wcześniej potrzebne informacje. Jeśliby musiał zabić w tym celu kilka osób, to, Boże dopomóż, miał zamiar to zrobić.

Nie miał zamiaru dłużej zwlekać. Będzie żonaty z szóstką dzieci, jeśli szybko czegoś nie zrobi.

- Harrison, nie martw się.

- Przepraszam. Myślałem o zabiciu twoich braci.

- Proszę cię, nie - szepnęła. - Staraj się uśmiechać.

- Wyglądają jak tłum gotowy do samosądu.

Ponownie spojrzała na braci. Harrison miał rację. Trzech z nich wyglądało tak, jakby chcieli powiesić Hamsona na najbliższym drzewie. Eleanor zdawała się chętna do przyniesienia powroza. Patrzyła na nich pełnym wstrętu wzrokiem, trzymając nerwowo ręce na biodrach.

- Adam wydaje się cieszyć z naszego powrotu. Jestem pewna, że zachowa się rozsądnie. Musisz po prostu szybko się wytłumaczyć, zanim Cole...

- Kochanie, nie zrobiliśmy nic złego.

- Więc dlaczego czuję się tak, jakbyśmy coś zrobili?

Uśmiechnął się, zdawszy sobie sprawę, że też się tak czuje.

- Ja zajmę się Cole'em. Ty zadbaj o resztę.

- Ty bierzesz na siebie Cole'a, a ja mam zająć się resztą? Jak dla mnie, to jest sprawiedliwy układ - powiedziała z przekąsem.

Patrzyła, jak jedzie w stronę stajni. Millie chciała podążyć za MacHughiem, ale Mary Roses zmusiła klacz do pójścia w stronę domu.

- Lepiej odepnij broń - poradziła Harrisonowi głośnym szeptem. - Cole zazwyczaj nie strzela do bezbronnych.

Harrison potrząsnął głową i pojechał dalej. Zsunął się z MacHugh'a na niecały metr przed Cole'em. Ogier sam wszedł do stajni. Harrison miał zamiar zająć się nim po załatwieniu sprawy z Cole'em.

Cole pędem zbliżył się do Hamsona.

- Ty śmierdzący skurwysynu! Jeśli...

Dopadł Hamsona nie dokończywszy swojej groźby i zamierzał go uderzyć.

Harrison tym razem był gotowy. Schwycił pięść Cole'a lewą dłonią i mocno ją zacisnął. Powoli zaczął ścisnąć coraz mocniej.

- Jeśli co? - domagał się odpowiedzi tonem zimnym niczym środek stycznia.

Wyraz twarzy Cole'a zmienił się w mgnieniu oka z rozzłoszczonego na zadziwionego.

- Jeśli... Cholera, jesteś szybki. Puść mnie. Ściskasz mi palec od spustu.

- Będziesz próbował mnie uderzyć?

- Nie, myślę już teraz o zastrzeleniu ciebie. Potem zabiję Mary Roses.

- Prędzej ja ciebie zabiję.

- Do diabła!

- Nic się nie stało, Cole. Złapała nas burza, to wszystko. Wejdz ze mną do stajni. Zostałem postrzelony. Chcę przyrzeć się ranie, nie pokazując jej Mary Roses.

- Co ci się stało? Próbowałeś coś jej zrobić? Czy to ona cię postrzeliła?

- Oczywiście, że nie - odparł krótko Harrison. Zatrzymał się obok lampy naftowej i zaczekał, aż Cole ją zapali.

- Gdzie cię trafiło?

- W bok. Pocisk tylko mnie drasnął, przeszedł na wylot.

- Daj, niech się przyjrzę.

Cole zapomniał o wszystkim innym. Odsunął na bok ramię Hamsona i powoli podciągnął mu koszulę. Potem przykucnął, chcąc lepiej przyrzeć się ranie.

Osoba bardziej wrażliwa zbladłaby na ten widok.

- To tylko draśnięcie, prawda?

Cole wyprostował się. Zastanawiał się, czy Harrison zdaje sobie sprawę, jak słabo brzmi jego głos.

- Tylko draśnięcie - potwierdził.

Harrison zaczął wtykać z powrotem koszulę w spodnie.

- Jakiś tchórz próbował napaść na nas w pobliżu grzbietu. Gonilem go, ale wskoczył do rzeki.

- Zdążyłeś przyjrzeć się jego twarzy?

Harrison skinął głową, po czym ruszył w stronę wyjścia.

- Powinienem porozmawiać z Adamem, zanim rozsiodłam konia.

Cole podszedł do Hamsona i założył sobie na ramię jego lewą rękę. Zmusił go, żeby się na nim oparł.

Jego głos brzmiał łagodnie.

- On da ci coś na twoją małą ranę. Zachowałeś się jak dżentelmen, prawda?

Ja na pewno bym tego nie zrobił w towarzystwie ładnej dziewczyny; Oczywiście, z moją siostrą to co innego. Musiałbym cię zabić, gdybyś jej dotknął.

- Będę pamiętał, by cię poinformować, jeśli to kiedyś zrobię - odparł Harrison.

Cole'a zdziwiło, że Harrison nie zauważył, że jest podtrzymywany. Zmartwiło go to, gdyż Harrison nie był zazwyczaj tak pokojowo nastawiony.

- Zabieram cię do baraku. Adam przyjdzie ci z pomocą. To małe draśnięcie jest trochę większe, niż ci powiedziałem. Jest właściwie niewielkie, ale wiesz, jesteś mieszczuchem i w ogóle, cóż, ktoś powinien je opatrzyć. Ja tymczasem pójdę uratować Mary Roses. Teraz moja kolej - ty już zająłeś się jakimś zawadiaką.

- Przed kim chcesz ją ratować?

- Przed moimi braćmi. Wiesz, czemu wszyscy byli tacy wściekli? Zabrałeś Mary Roses, a nas zostawiłeś z tą jędzą. Nie wiem, czy kiedykolwiek ci to wybaczę. Strzeliła do Douglasa. Mówi, że przez przypadek, ale on jej nie wierzy po tym, jak „przypadkowo” strzeliła do woźnicy. Nikt jej nie wierzy.

Wyrzucimy ją stąd, zanim któregoś z nas zastrzeli.

Harrison uśmiechnął się słabo.

- Więc nie martwiłeś się o cnotę swojej siostry?

Oczywiście, że się martwił, ale nie miał zamiaru się do tego przyznawać.

Widział, w jaki sposób Harrison patrzy na jego siostrę. Mary Roses była równie zajęta patrzeniem na Hamsona.

- Nie, o to się nie martwiłem. Chciałem za to powiedzieć, że jeśli odjedziesz z Mary Roses, a nas zostawisz ponownie z Eleanor, to wszyscy czterej będziemy po kolei próbowali cię zabić. To właśnie chciałem powiedzieć, ale postanowiłem, że za pomocą uderzenia szybciej ci to wyjaśnię.

Harrison zachwiał się, odzyskał równowagę i szedł dalej. Cole uznał, że potknął się o jakiś kamień.

- Cholera, chcesz chyba, żebym cię niósł!

Harrison nie odpowiedział. Nie mógł, gdyż tymczasem zemdłał.

Mary Roses krzyknęła, schwyciła spódnice i pobięła w ich stronę. Reszta mieszkańców Różanego Wzgórza pospieszyła za nią.

- Co ty mu zrobiłeś? Na Boga, co mu zrobiłeś?

- Nawet go nie dotknąłem! - krzyknął Cole.

Nie wierzyła.

- Co się stało Hamsonowi?

Pochyliła się nad Szkotem, patrząc na jego twarz. Zobaczyła, jaki jest blady, i natychmiast wybuchnęła płaczem.

Douglas dobiegł do nich jako drugi.

- Zabiłeś go? - spytał.

- Nie.

Rana była poważna, ale nie śmiertelna, więc według Cole'a wypadło się z Hamsona naśmiewać.

- Co się stało? - spytał Adam.

Uśmiech Cole'a był szatański.

- Zemdłał.

15 stycznia 1866

Droga Mamo Roses!

Twoji synowie są, dla mnie niedobrzy. Adam karze mi siedzieć samemu przy stole, bo kopnęłam Tralisa. Adam jest niegłecznym chłopcem. Powiec mu, Że nie mószę tam sama siedzieć. Narysowałam dla ciebie obrazek.

Mary Roses Nie mieli zamiaru pozwolić mu o tym zapomnieć. Traperzy najwyraźniej nigdy nie mdleli i wszyscy bracia, łącznie z Adamem, przypominali mu o tym z wielką uciechą. Raz za razem.

Harrison jakoś to przeżył, choć tylko dlatego, że nie miał innego wyboru.

Był zbyt słaby, aby oponować, a gdy odzyskał w końcu siły, trójka braci odjechała. Adam pozostał oczywiście w domu, ale jego Harrison zostawił w spokoju. Najstarszy z braci musiał pilnować Eleanor. Zdaniem Hamsona była to wystarczająca kara dla każdego.

Postanowiwszy powiedzieć braciom o córce Elliotta, nie mógł się doczekać chwili, gdy to zrobi. Chciał to zrobić, gdy wszyscy będą na ranczo, gdyż uważał, że tak wypada. Nie byłoby w porządku, gdyby któryś z nich dowiedział się o tym z drugiej ręki. Nie, Harrison był zdecydowany powiedzieć wszystkim jednocześnie.

Czekając stał się ponury. Adam dwa razy pojechał z Mary Roses w góry, by mogła odwiedzić kobietę, którą teraz nazywała swoją najlepszą przyjaciółką.

Podczas ich nieobecności zabawianie Eleanor spadało na Hamsona. Nie było to trudne zajęcie, ale dosyć ogłupiające. Polegało na siedzeniu na werandzie i udawaniu, że słucha się jej narzekań.

Odzyskanie sił zajęło mu dobre dwa tygodnie. Gdy tylko poczuł się dobrze, przypadło mu zawieszenie Eleanor do Blue Belle.

Cole wrócił wreszcie z polowania. W drodze powrotnej, udał się specjalnie do Hammond po rzeczy, o których kupno - gdyby tamtędy przejeżdżał - poprosił go Harrison. Uznał więc, że ma prawo żądać czegoś w zamian. Chciał, by Harrison pojechał z nim do miasta. Douglas i Travis, którzy też polowali z Cole'em, teraz czekali na nich w mieście. Do Blue Belle przybyło kilku obcych i Cole chciał, by Harrison się im przyjrzał.

Jeśli jeden z nich był draniem, który go postrzelił, to Cole był gotów się nim zająć.

Harrison chętnie pojechałby wszędzie, jeśli oddalało go to od Eleanor.

Siedział właśnie na werandzie z nogą założoną na balustradę, gdy Cole zaproponował wspólny wyjazd. Eleanor siedziała obok Hamsona, wachlując się gazetą sprzed tygodnia i narzekając na upał.

Cole ignorował ją zupełnie. Poszedł do kuchni po coś do jedzenia i wrócił po kilku minutach. Oparłszy się o słup, opowiedział Hamsonowi o swoich planach. Eleanor przestała narzekać i zaczęła słuchać.

Też chciała jechać.

- Coś mi się wydaje, że z wami pojedę. Muszę odkupić czapkę woźnicy.

- Nie, nie możesz z nami jechać. - Głos Cole'a był bardzo niemiły.

Pierwszy raz od dwóch tygodni odezwał się wprost do Eleanor.

Nie zwróciła uwagi na odmowę. Wstała, rzuciła gazetę na ziemię i pomaszerowała do domu.

- Jeszcze zobaczymy - powiedziała pod nosem.

- Widzisz, jakie to proste. - Cole był z siebie zadowolony. - Chyba jestem jedyny, który potrafi się z nią uporać. Powiedziałem nie, więc sobie poszła.

Harrison uśmiechnął się.

- Poszła po Adama. Zmusi go, by kazał nam ją zabrać.

Cole roześmiał się z niedowierzaniem. Po minucie Mary Roses wybiegła na werandę. Dostrzegła leżącą na ziemi gazetę i szybko ją podniosła.

- Czy mogę pojechać z wami i Eleanor do miasta? Muszę załatwić kilka spraw.

Harrison i Cole jednocześnie odmówili.

Stanowcza odmowa zdenerwowała ją. Przypominała Hamsonowi roztargnionego anioła. Miała na sobie ciemnoniebieską suknię, na którą włożyła bladożółty fartuch. Włosy miała upięte na czubku głowy, nie chciały się jednak ułożyć i kilka kosmyków opadło wokół jej twarzy.

Cole uznał, że wygląda na bardzo zmęczoną, więc jej to powiedział.

Nie zwróciła uwagi na krytykę.

- Proszę, pozwólcie mi z wami jechać. Nie będziecie musieli na mnie czekać. Przysięgam, że nie.

- Pilnowanie dwóch kobiet to zbyt wiele dla Cole'a i Hamsona. Powinnaś zostać w domu, Mary Roses - powiedział stojący w drzwiach Adam.

- Dwie kobiety? - spytał brata Cole. Już się skrzywił, widząc, dokąd zmierza ta rozmowa.

Uśmiech pojawił się na twarzy Hamsona.

- A nie mówiłem?

Mary Roses nie dała za wygraną. Uważała chyba, że ciągle ma szansę jechać, gdyż jednocześnie próbowała zdjąć fartuch i poprawić fryzurę.

Tego dnia bardzo ładnie wyglądała. Harrison starał się nie przyglądać się jej zbyt długo, gdyż wiedział, że Cole na pewno to zauważy. Wracając do zdrowia, trzymał się tak daleko od Mary Roses, jak tylko możliwe, choć nie było to łatwe. Ciągle kręciła się w pobliżu i doglądała, czy rana dobrze się goi. Jedyne, co mógł robić, to udawać, że śpi, gdy tylko wchodziła do baraku.

Nie rozumiał, czemu nie wydawało jej się dziwne, że cały czas śpi, ale dziękował Bogu, że tak było.

- Adamie, nie mogę pozwolić, by Eleanor sama weszła do sklepu Morrisona. Nigdy już tam nas nie wpuszczą, jeśli wykreci jeden ze swoich numerów.

Proszę, zastanów się. Nie będzie ze mną żadnych kłopotów.

Adam spojrzał na Cole'a. Ten wzruszył ramionami.

- W mieście są przyjezdni. Mogą być kłopoty z upilnowaniem dwóch kobiet. Co będzie, jeśli on znów zemdleje? Ciągłe nie najlepiej wygląda.

- Będziesz miał okazję przejechać się sam na sam z Eleanor - odwzajemnił się Harrison.

Cole potrząsnął głową, a Harrison zwrócił się do Adama.

- Mary Roses potrafi się o siebie zatroszczyć, jeśli pomyśli, zanim coś zrobi.

- Nie myślała goniąc za Bickleyem, prawda? - spytał Adam. Potrząsnął głową, przypominając sobie skutki jej pochopnego działania. - Mamy szczęście, że to przeżyła.

- Tak, to prawda - zgodził się Harrison. - Jest bardzo piękną dziewczyną.

Mężczyźni mają tendencję do robienia głupich rzeczy na widok ładnej twarzy.

Nie możemy przewidzieć, jak zareagują przyjezdni. Dlatego też Mary Roses i Eleanor powinny zostać w domu - wywnioskował.

Miał wrażenie, że to rozsądne argumenty. Nie wygrał jednak, gdyż Adam pozwolił kobietom jechać.

Mary Roses pobiegła przygotować się. Eleanor była już na górze i właśnie się przebierała. Harrison nie mógł zrozumieć, po co wkłada czyste ubranie - nie robiła nic, co mogłoby ubrudzić suknię, którą miała na sobie.

Adam zaczekał, aż obie dziewczyny weszły do domu, po czym wyszedł na werandę i usiadł obok Hamsona.

- Nie wiem, czy kieruje mną zdrowy rozsądek, czy też desperacja.

Perspektywa kilku godzin ciszy i spokoju jest bardzo kusząca.

- Eleanor też doprowadza cię do rozpacz? - spytał Cole.

Adam niechętnie skinął głową.

- Jest dla mnie miła, więc nie powinnienem narzekać, ale...

- Zrobiła w tym domu niezłe zamieszanie - stwierdził Harrison.

- Pewnie - zgodził się z nim Adam.

- Nie jest głupia, tylko złośliwa - powiedział Cole, po czym dodał z uśmiechem: - Lubię dosyć tę cechę u kobiet - przyznał.

- Którą? Głupotę czy złośliwość? - Harrison chciał go rozdrażnić.

- Złośliwość, oczywiście. Eleanor nie ugryzie ręki, która pozwala jej tu zostać.

- Chciałbym, by przestała wreszcie sprawiać tyle kłopotów. - Adam wyglądał na zmęczonego i skołowanego całą sytuacją.

- Będziesz musiał coś z tym zrobić - powiedział bratu Cole.

- Na przykład?

Harrison wstał.

- Pozwólcie mi ją sprać. Cole, będziesz musiał mi pomóc.

- Nie lubię bić kobiet. Szczerze mówiąc, nigdy tego nie robiłem. Nie wydaje mi się to w porządku.

- Nie mówiłem tego na serio. - Harrison zauważył uśmiech na twarzy Cole'a i zdał sobie sprawę, że żartuje.

- Mary Roses twierdzi, że Eleanor jest wystraszona - odezwał się Adam.

- Spędziłem sporo czasu z tą dziewczyną i chyba muszę się zgodzić z moją siostrą.

- Dlatego oboje jesteście wobec niej tak cierpliwi. Ale to na nic - powiedział Harrison.

- Zdradź nam jeszcze jedną taką tajemnicę, mieszczechu.

- Cole, przestań go denerwować, próbuje nam pomóc. Harrison, czy masz opracowany jakiś plan?

- Tak. Taktykę łagodnego terroru.

Z góry dobiegł krzyk rozwścieczonej Eleanor. Cole zamknął oczy, Adam zacisnął zęby.

- Boże, ma kobieta przenikliwy głos - powiedział pod nosem Cole. - Czy ona musi się na okrągło drzeć?

Harrison uznał, że pytanie Cole'a nie wymaga odpowiedzi. Wyjaśnił braciom swój plan i czekał na głosy protestu.

Nie usłyszał żadnych.

- Więc to ja będę naszym zbawcą - stwierdził Cole. - A co z Mary Roses?

Ona na to nie pójdzie.

- Zaczekamy, aż będziemy wracać z miasta. Travis i Douglas pojedą przodem z Mary Roses... - powiedział Harrison.

- Czemu ja nie mogę jej załatwić? - spytał Cole. - Mnie lepiej się udaje być złośliwym.

- Nie chcę, żeby cię znienawidziła. ze mną to co innego - wytłumaczył Harrison.

- Więc będziesz musiał pojechać z nią wozem. Pójdę zaprząć konie - stwierdził Cole.

Kilka minut później zeszła na dół Mary Roses. Na Eleanor trzeba było czekać jeszcze pół godziny.

Harrison z Mary Roses czekali na nią w hallu wejściowym. Adam poszedł do kuchni pomóc przygotować obiad.

Eleanor wreszcie raczyła się zjawić. Była ubrana w suknię Mary Roses.

Harrison dobrze ją pamiętał, gdyż Mary Roses wyjątkowo ładnie wyglądała w tym odcieniu błękitu.

Ubiór gościa zdziwił lekko Mary Roses. Nic jednak nie powiedziała, więc Harrison też postanowił milczeć - przynajmniej na razie.

Eleanor też wyglądała nie najgorzej w tej sukni. Gdyby tak go nie drażniło jej zachowanie, to musiałby przyznać, że jest ładną dziewczyną. Miała śliczne włosy, krótkie i mocno skręcone. Nie był pewien, czy ma ładny uśmiech, gdyż nigdy go nie widział. Jej wargi były zawsze skrzywione z obrzydzeniem, jakby właśnie połknęła łyżkę rycyny - Czy jesteś już gotowa, Eleanor? Cole czeka na dworze.

- Czy w mieście jest restauracja? Sądzę, że będę chciała się pokrzepić, zanim wrócimy, odrobinką herbaty z ciasteczkami. Będę potrzebowała dodatkowych funduszy, Mary Roses. Bądź taka dobra i daj mi trochę pieniędzy.

- Jedyne miejsce, gdzie można coś zjeść, to saloon, a tam nie możemy wejść.

- Jakie to barbarzyńskie! Dlaczego nie możemy?

- Bo nie wypada. Czy możemy już jechać?

Harrison przytrzymał drzwi. Eleanor wyszła pierwsza, po czym gwałtownie się zatrzymała. Mary Roses wpadła na nią.

Eleanor, zauważywszy stojący na drodze wóz, zaczęła potrząsać z niezadowoleniem głową. Cole szedł właśnie do sajni po pozostałe konie.

Eleanor zawołała do niego.

- Ej, ty! Podprowadź powozik. Wóz się nie nadaje.

Cole zatrzymał się, po czym powoli odwrócił się w stronę Eleanor. Miał wściekłą minę.

- Nie słyszałeś, chłopcze? Idź po powozik.

Harrison mógłby przysiąc, że oczy Cole'a dymiły. Po prostu spalał się ze złości.

- Eleanor, może jednak wóz wystarczy? - spytała Mary Roses. Próbowała zapobiec awanturze. - Strasznie denerwujesz mojego brata. Spróbuj czasem być bezkonfliktowa.

Harrison stał za dziewczętami z szerokim uśmiechem na twarzy, jakby chciał powiedzieć: „Czyż życie nie jest wspaniałe?” Cieszył się, że Cole jest zły i w dodatku nie może nic na to poradzić.

- Nie mówisz chyba tego na serio? - zdziwiła się Eleanor. - Spalę sobie skórę jadąc wozem. Chcesz, żeby wyskoczyły mi piegi?

- Ja mam piegi i jakoś nie narzekam - powiedziała Mary Roses.

- Tak, moja droga, wiem.

Mary Roses westchnęła i zwróciła się do Cole'a.

- Proszę cię, zgódź się! - zawołała. - Pomogę ci przy zaprzęgnięciu koni.

Cole powiedział coś zbyt cicho, żeby mogli usłyszeć. Harrison domyślił się, że jest to wyjątkowo nieprzyzwoite przekleństwo.

- Ja mu pomogę - zaoferował się Harrison. - Niech panie zaczekają tutaj.

Mary Roses? - zawołał schodząc po schodach.

- Słucham?

- Mnie się twoje piegi podobają.

Harrison pojechał oczywiście z Eleanor. Gdy dojeżdżali do Blue Belle, zaczął widzieć dobre strony upicia się.

Słowa krytyki dzwoniły mu w uszach. Ta pannica nigdy nie miała dosyć.

Jechał za szybko. Za bardzo zostawał w tyle. Siedział zbyt blisko niej. Jego odpowiedzi były niemiłe. Był niegrzeczny, bo nie chciał z nią rozmawiać.

Travis i Douglas siedzieli w saloonie. Wybiegli na dwór, gdy tylko zauważyli nadjeżdżającego Cole'a i Mary Roses. Douglas dostał zadanie pilnowania siostry. Zgodził się, zanim zauważył nadjeżdżający powozik. Wtedy zrozumiał, że ma też na karku Eleanor i zaczął narzekać.

Nikt nie zwracał na niego uwagi. Travis szybko wszedł z powrotem do środka. Chciał obserwować trzech nieprzyjemnie wyglądających przyjezdnych, by zauważyć ich reakcję na wejście Hamsona.

Mary Roses i Eleanor szły jedna obok drugiej w dół ulicy. Douglas trzymał się z tyłu.

- Gdy wejdziemy do sklepu, zauważysz pewnie młodą dziewczynę stojącą za ladą. Nazywa się Catherine Morrison. Jej ojciec jest właścicielem sklepu - powiedziała Mary Roses.

- Czy ona jest ważną osobą?

- W jakim sensie?

- Nieważne - odparła Eleanor. - Dlaczego mi o niej mówisz, jeśli jest tylko zwykłą sprzedawczynią?

- Interesuje się Hamsonem - powiedziała Mary Roses.

- Jestem pewna, że mogłaby się lepiej postarać.

- Co ci się nie podoba u Hamsona?

- Tyle tego jest, że nie wiem od czego zacząć - powiedziała Eleanor. - Zastanówmy się. Nie potrafi włączyć się nawet do najprostszej rozmowy.

Mruczy pod nosem jedno słowo jako odpowiedź i cały czas się krzywi. Czasem wydaje się też dosyć groźny. Na pewno to zauważyłaś.

- Zauważyłam, że jest wspaniałym, dobrym, rozsądnym i serdecznym człowiekiem - odparła Mary Roses. - Nie chcę, by Catherine z nim flirtowała.

- Więc?

- Więc gdybyś zobaczyła przypadkiem, że Catherine kręci się wokół Hamsona, to mogłabyś... wiesz.

- Przerwać im?

- Tak.

- Czemu miałabym to zrobić?

- Żeby mi pomóc! - krzyknęła Mary Roses, wyraźnie zdenerwowana. - Nie umrzesz, jeśli od czasu do czasu komuś pomożesz. Choć nie, nieważne.

Zapomnij, że w ogóle mówiłam o Catherine. Poza tym powinnaś była mnie spytać, zanim włożyłaś moją suknię.

- Jest na mnie za ciasna.

Eleanor nie przeprosiła, ale Mary Roses nie spodziewała się tego. Doszły do sklepu. Mary Roses otworzyła drzwi i puściła Eleanor przodem.

Douglas upewnił się, że w środku nie ma żadnych niemiłych typów, po czym wyszedł, by zaczekać na dworze. Chciał zmusić siostrę do pilnowania Eleanor.

Harrison zauważył człowieka, który go napadł, zaraz po wejściu do saloonu.

Skurwysyn natychmiast odwrócił od niego wzrok. Harrison udał, że go nie poznał. Idąc w stronę kontuaru przyjrzał się pozostałym dwóm.

Zamówił jedną whisky i wypił ją jednym haustem. Mógł przysiąc, że głos Eleanor ciągle obijał mu się w głowie niczym młot.

Travis podszedł do Hamsona z lewej strony, a Cole stanął przy prawym boku Szkota. Oparłszy się plecami o bar obserwowali nieznajomych.

- No? - szepnął Cole. Obrócił się częściowo i spytał: - Czy jest tutaj?

Harrison nie odpowiedział. Travis spojrział na niego i powiedział:

- Kilku facetów kręci się wokół domu Belle, im też powinieneś się przyjrzeć. Nie mają powodu, żeby tutaj przebywać. Belle już od pół roku jest w Hammond i wszyscy dobrze wiedzą, że wróci dopiero w lipcu. Zawsze wraca na moje urodziny i zostaje tutaj, dopóki nie zrobi się zimno. Jesteś pewien, że pamiętasz, jak wyglądał facet, który do ciebie strzelał?

- O czym tak szepcecie, chłopcy? Nie chcę mieć tutaj żadnej strzelaniny, Cole. Lepiej o tym pamiętaj. - Billie zaczął się niepokoić.

- Właśnie chciałem powiedzieć Travisowi i Cole'owi, by nie wtykali nosa w nie swoje sprawy - powiedział Harrison do właściciela saloonu.

- Nie przypominam sobie, żeby ktokolwiek kazał Cole'owi Claybome'owi, by nie wtykał w czyjeś sprawy nosa.

- To nic obraźliwego - powiedział Cole. - Harrison od jakiegoś czasu nie czuje się zbyt dobrze.

Billie pokiwał z sympatią głową i pochylił się nad kontuarem.

- Słyszałem, że zdarza ci się zemdleć. Czy zemdlałeś ostatnio, a ja o tym nie wiem?

Harrison spojrział ze złością na Cole'a, który starał się przybrać niewinny wygląd. Niestety, nie udało mu się.

- Nie powiedziałem Billie'emu - upierał się.

- Wszystko wygadał Dooleyowi - z radością dodał Travis.

- Wiesz, kim są ci ludzie siedzący w kącie obok okna? - spytał Billie'ego Harrison.

- Nie, czemu pytasz?

- Zastanawiam się, kim są - odparł Harrison.

- Ktoś powinien kazać im się umyć. Czuję ich smród nawet stąd. - Cole powiedział to wystarczająco głośno, by ludzie w kącie usłyszeli to.

- Nie wtrącaj się w moje sprawy, Cole - odparł opryskliwie Harrison.

- Chciałem się trochę zabawić.

- Chcesz pójść pod dom Belle czy nie? - spytał Travis.

- Powiedz mi najpierw, kim jest ta Belle.

- Nie wiesz, że to nasza tutejsza kurwa? - wtrącił Billie. Wydawał się niesłychanie dumny z tego powodu. - Belle jest wyjątkowo miłą kobietą.

Prawda, Travis?

- Pewnie, że tak.

Cole nie przysłuchiwał się ich rozmowie. Jeden z trzech mężczyzn podniósł się i wyszedł na zewnątrz. Cole czekał, co zrobią dwaj pozostali.

- Oczywiście, posunęła się trochę przez lata - mówił dalej Billie. - Ale ciągle ma miły i delikatny dotyk. Sędzia Bums zawsze wpada do niej, by się przywitać i wstawić buty pod jej łóżko, gdy tylko przejeżdża przez miasto podczas swych polowań na bandziorów. Wszyscy bardzo ją sobie cenimy. Pewnie już to zauważyłeś, skoro nasze miasto jest nazwane od jej imienia.

- Nazwaliście miasto na cześć kurwy? - Harrison nie mógł w to uwierzyć.

Potrząsnął głową i wybuchnął śmiechem.

- Co cię tak śmieszy? - spytał Billie.

- Myślałem, że nazwa pochodzi od jakiegoś kwiatu albo czegoś takiego - przyznał.

Billie zaśmiał się pod nosem.

- Czemu mielibyśmy zrobić coś tak głupiego? Nie jesteśmy mieszczuchami, Harrison. Nigdy nie nazwalibyśmy miasta jak jakiegoś kwiatu. To w ogóle nie miałoby sensu. Myślę, że od ciągłych omdleń stałeś się takim świrem jak Duch.

- Zemlałem tylko raz - oświadczył Harrison.

- Oczywiście że tak - zgodził się z nim Billie. Jego łaskawy ton głosu wskazywał, że za grosz nie wierzył Hamsonowi.

Cole ciągle obserwował dwóch mężczyzn wciśniętych za stół w kącie.

Jeden z nich mówił coś do drugiego, który tylko kiwał głową. W końcu kiwający głową wstał i wyszedł na zewnątrz.

- Travis, może byś poszedł na dwór - proponował szeptem Cole. - Wyjdź tylnymi drzwiami.

- U Billie'ego nie ma tylnych drzwi - przypomniał bratu Travis.

- Więc je sobie zrób.

- Kazałem wam się w to nie mieszać - powtórzył Harrison.

Cole wzruszył ramionami. Travis już się podniósł i szedł w stronę zaplecza.

Harrison położył na stole monetę.

- Dzięki, Billie, za drinka.

Odwróciwszy się w stronę sali, podszedł do mężczyzny, który próbował go zabić.

Obcy przestał przyglądać się swojemu kieliszкови i spojrzał skrzywiony na Hamsona. Prawa jego ręka powoli przesuwiała się w stronę bioder.

- Znam skądś twoją twarz, skurwysynu.

- O czym ty mówisz?

Harrison wytłumaczył mu używając wszystkich plugawych słów, jakie mu tylko przychodziły do głowy. Reakcja nastąpiła dopiero po słowie tchórz - zbir najwyraźniej poczuł się dotknięty.

Zaczął się podnosić. Głos Cole'a natychmiast go zatrzymał.

- Harrison, rozmawiasz z najbardziej obrzydliwym bydlakiem, jakiego w życiu widziałem. Nawet przy barze czuć jego smród. Będę musiał go zabić, jeśli znów poruszy ręką.

- Na miłość matki, Cole, nie zaczynaj tu awantury - błagał Billie.

Wydawało się, że lada chwila może się rozpląkać. - Właśnie postawiłem na ścianie nowe lustro. Wyjdźcie, proszę, na dwór. Błagam was.

- Cole, nie ruszaj się. To moja walka, nie twoja. Jak ci na imię, tchórze?

- Zabiję cię. Nikt nie nazywa Szybkiego tchórzem. A nazywają mnie Szybki, bo jestem szybki niczym wąż.

Wypowiedziawszy swą pogroźkę Szybki wstał i majestatycznym krokiem wyszedł na dwór. Miał przy pasie dwa rewolwery. Harrison nosił tylko jeden.

Cole podszedł do drzwi, chcąc wszystko obserwować. Billie wyskoczył zza baru i podbiegł do okna.

- Nie uważasz, że lepiej będzie, jeśli tam pójdziesz i pomożesz swojemu przyjacielowi? Wszyscy dobrze wiedzą, że Harrison nie jest zdolny trafić nawet w stóg siana. Zabijają go, zobaczysz. Szkoda, że nie ma tu Dooleya. Poszedł dziś na ryby. Będzie żałował, że to przegapił.

Cole był zajęty obserwowaniem dachów budynków. Próbował zlokalizować pozostałych dwóch mężczyzn. Zniknęli, ale na pewno ukryli się w pobliżu.

Ludzie, którzy raz na kogoś napadli, zrobią to ponownie, tak przynajmniej uważał Cole. Wszyscy trzej myśleli zapewne podobnie. Tchórze zadawali się tylko z tchórzami.

- Zaraz, zaraz, czemu Harrison stoi na środku drogi i rozmawia z Szybkim? - spytał Billie.

- Pewnie bawi się w prawnika - odparł Cole.

- Jego mędrkowanie wyraźnie doprowadza do szału Szybkiego-Niczym-Wąż. Nawet stąd to widać.

Harrison chciał przed postrzeleniem Szybkiego zmusić go, by przyznał się do winy. Był gotów zachować się jak człowiek cywilizowany i nie odbierać bandycie życia, jeśli ten zechciałby się ukorzyć. Wtedy pozwoliłby mu się odczołgać... po jakimś czasie. Najpierw dałby mu oczywiście popalić.

- Twój pocisk mógł zabić Mary Roses Claybome - ryknął.

Szybki cofnął się o krok, widząc dziką wściekłość w oczach Harrisona.

- Zabiję cię - wyjąkał ponownie. - Tu i teraz, w obecności świadków.

Będziemy mieli pojedynek.

Harrison kiwnął głową. Skończył już z gadaniem.

- Wyjaśnij mi zasady.

- Co?

- Wyjaśnij mi zasady pojedynku.

Szybki splunął w piach i zachichotał cicho.

- Bardzo powoli każdy z nas cofa się jakieś dziesięć kroków.

- Potrafisz policzyć do dziesięciu.

- Zabicie cię sprawi mi niezłą przyjemność - szepnął mrużąc oczy Szybki, po czym dalej tłumaczył: - Gdy jeden z nas się zatrzyma, to i drugi to robi.

Potem strzelamy do siebie. Będziesz martwy, zanim zdążysz dotknąć swojego rewolweru. Nie na darmo zważ mnie Szybki-Niczym-Wąsz.

Zachichotał ponownie, po czym zaczął się cofać. Harrison zrobił to samo.

Odwrócili się, będąc niecałe pięć metrów od siebie.

Szybki zaczął nagle energicznie potrząsać głową.

- Nie strzelaj! - jęknął.

- Czemu, do jasnej cholery? - krzyknął Harrison.

- Nie będę się pojedynkował. Unoszę ręce do góry, spokojnie i powoli.

Nie chcę strzelać.

Harrison był wściekły.

- Czemu zmieniłeś zdanie?

- Nie podoba mi się stosunek sił.

Harrison nadal miał ochotę go zastrzelić. Zdał sobie sprawę, że zachowuje się jak dzikus, ale nic go to nie obchodziło. Skurwysyn mógł zabić Mary Roses, a życie bez niej wydawało się Hamsonowi niemożliwe.

Odetchnął głęboko i spróbował się uspokoić.

- Dobrze, podnieś ręce do góry. Pozwolę sędziowi Bumsowi powiesić cię.

Szybki uniósł ręce. Harrison ruszył w jego stronę. Spojrzawszy przypadkiem w stronę chodnika zobaczył Mary Roses wyglądającą przez okno sklepu Momsona. Wydawała się bardzo zdenerwowana.

Nawet mu nie przeszkadzało, że wszystko widziała. Żałował, że nie miał okazji wystrzelić rewolweru z ręki Szybkiego. Może wtedy uwierzyłaby, że jest równie dobry, jak jej bracia.

Musiał się zadowolić tym, co osiągnął. Zmierzenie się z Szybkim też chyba się liczyło.

Zdał sobie sprawę, że powinien stąd uciekać tak szybko, jak tylko się da.

Zaczynał myśleć i zachowywać się zupełnie jak Cole.

Gdzie jest Cole? Harrison nie musiał się nawet odwracać. Cole stał trzy metry za nim, odrobinę na lewo. Nie był sam. Obok niego stali Travis i Douglas.

- Od jak dawna tam stoicie? - wrzasnął Harrison.

- Wystarczająco długo - odpowiedział Cole. - Na twoim miejscu nie odwracałbym się plecami do Węża. Wygląda na to, że palce go świerzbią, by strzelić ci w plecy.

- Mówilem wam...

Hamson spostrzegł mężczyznę wychylającego się z okna pustego magazynu. Wyciągnął rewolwer i strzelił w momencie, gdy ten unosił broń.

Jeden strzał wystarczył. Rewolwer wyleciał z ręki zbira, który ryknął z bólu.

Szybki korzystając z zamieszania sięgnął po broń. Trzeci bandyta wybiegł pomiędzy dwóch budynków i zaczął strzelać.

Cole postrzelił mężczyznę wybiegającego z uliczki, po czym odwrócił się w stronę Szybkiego. Był zbyt wolny. Travis go uprzedził. Schował broń z powrotem w olstra, zanim Cole zdążył ponownie naciągnąć spust.

- Szybko się z tym uporaliśmy - powiedział pod nosem Travis.

Douglas stanął tyłem do braci, aby móc ochraniać ich przed kolejnymi niespodziankami.

Hamson pragnął zastrzelić wszystkich trzech braci.

Był już wystarczająco upokorzony, ale Cole postanowił wykazać, jak głupie było jego zachowanie.

- Nie zastanowiłeś się, gdzie podzieli się dwaj pozostali? Gdybym się nie wtrącił, to leżałbyś z twarzą w piachu i kulą w plecach. Zacznij używać głowy, Hamson. Narwańcy nie żyją długo w tym mieście.

Hamson oddychał głęboko. Wiedział, że Cole ma rację. Własna złość o mały włos go nie zabiła.

- Masz rację. Nie myślałem.

- Myślałeś, dobrze wiem. Myślałeś o tym, że Szybki mógł zabić Mary Roses, prawda?

Hamson pokiwał głową. Zaczynał czuć się jak zupełny idiota.

- Posłuchaj, mieszczechu. Tutaj obowiązuje tylko jedna zasada. Ktoś musi być szybszy. Zawsze. Będziesz żył, dopóki będziesz o tym pamiętał i w to wierzył. - Cole dźgnął Harrisona palcem w klatkę piersiową. - Zrozumiane?

Hamson przytaknął. Cole zaklął.

- Nie zabiliśmy żadnego z nich.

- Szkoda, bardzo na to liczyłem - przyznał się Hamson. - Sądzę, że trzeba ich zabrać i zanknąć w pustym magazynie.

- Nic to nie pomoże. Uciekną stamtąd. Pozwól szeryfowi się tym zająć.

- Przecież nie ma tutaj szeryfa.

Cole wzruszył ramionami.

- W takim razie rób, co chcesz. Byłeś tak wściekły, że nie wymusiłeś na Szybkim zeznania. Teraz na pewno tego nie zrobisz. Przygotuj się, nadchodzi Mary Roses. Jest chyba zła niczym szerszeń.

Hamson nie chciał na nią patrzeć. Mary Roses podeszła do Douglasa.

- Mógłbyś przyprowadzić konie? Odjeżdżamy. Zaraz.

- Czemu jesteś taka wściekła?

- Właśnie wystrzelałeś pół miasta.

- Do nikogo nie strzelałem. To oni. Hamson wszystko zaczął.

- Nie mam ochoty słuchać twoich wymówek. Brałeś w tym wszystkim udział.

- Czemu masz taki zły humor? Coś jeszcze się stało?

- Eleanor właśnie nazwała panią Morrison tłustą krową. To się stało.

Chodźmy.

Cole odwrócił się, nie chcąc, by Mary Roses zobaczyła uśmiech na jego twarzy. Nazwanie pani Morrison tłustą krową było czymś wyjątkowo złośliwym. Musiał przyznać, że dużo odwagi musiało kosztować Eleanor postawienie się kobiecie, która ważyła cztery razy więcej niż ona. Było to też wyjątkowo głupie, ale nad tym nie miał ochoty się zastanawiać.

Travisowi nie było do śmiechu. To, co Eleanor powiedziała mamie Catherine, wydawało mu się okropne.

- Przyznam, że jest pokaźną kobietą, ale to nie powód, by nazywać ją krową - powiedział do siostry.

- Mary Roses, chodź tutaj! Potrzebuję więcej pieniędzy. Zobaczyłam coś, co chciałabym sobie kupić! - krzyknęła Eleanor z chodnika przed sklepem.

Mary Roses zignorowała ją - poszła z Douglasem po konie.

Cole wytłumaczył plan Harrisona Travisowi i kazał mu powiedzieć o nim Douglasowi, gdy nie będzie w pobliżu ich siostry.

Hamson wsiadł do powozika. Zrezygnował z aresztowania rannych zbirów.

Miał nadzieję, że wykrwawia się na śmierć.

Trzej bracia odjechali wraz ze swoją siostrą kilka minut później. Eleanor zdała sobie w końcu sprawę, że została opuszczona, i pobiegła w stronę powozika.

Hamson nie pomógł jej wsiąść.

- Byłeś już kiedyś świadkiem tak nieprzyjemnego zajścia? - spytała pod nosem Eleanor. - Jakim prawem Mary Roses pojechała beze mnie? Jestem jej gościem, jeszcze to zapamiętacie.

Hamson zacisnął zęby i przez pół drogi nic nie powiedział. Potem zatrzymał powozik na skraju drogi.

- Nie jesteś gościem. Jesteś obiektem miłosierdzia Mary Roses.

Próbowała go spoliczkować. Schwycił jej rękę i po chwili puścił.

- Przynajmniej byłaś kimś takim.

- Jak śmiesz mówić do mnie w taki sposób?

- Eleanor, wysiadaj.

Zaczęła ciężko oddychać. Ręką schwyciła się za gardło.

- Co powiedziałeś?

- Dobrze słyszałaś. Wysiadaj.

- Nie.

- W porządku. Sam cię wyrzucę.

- Nie możesz mówić tego poważnie.

Harrison sięgnął po jej rękę. Wydała z siebie krzyk, od którego mogły pękać kamienie.

Potem wysiadła z powozu.

- Postradałeś zmysły. Gdy Mary Roses się o tym dowie...

Nie pozwolił jej dokończyć pogroźki.

- Nie sądzę, żebyś dotarła do rancza, więc nie muszę się chyba tym przejmować.

- Nie możesz mnie tak traktować! - Wybuchnęła płaczem, zakrywając twarz rękami.

- Bracia Mary Roses mnie poprą. Wykonuję za nich brudną robotę - sami mieli zamiar jutro wyrzucić cię z rancza.

Eleanor była niesamowita. Przestała płakać jak na zawołanie.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Zmuszą cię do wyjazdu.

- Mary Roses na to nie pozwoli.

- Głosowali wszyscy - powiedział. Czuł się całkiem nieźle zakłócając jej dobre samopoczucie. Najwyższa pora, potrzebny był jej jakiś wstrząs.

Zachowywała się jak rozpieszczona królewna, której wbił się w pupę kolec.

Młoda kobieta musiała się nauczyć ponosić konsekwencje swojego zachowania.

- Adam głosowałby za tym, żebyś została - jęknęła.

- Zrobiłby to, gdyby tylko mógł - zgodził się z nią Harrison. - Ale jest głową rodziny, więc zawsze wstrzymuje się od głosu. Cole, Travis i Douglas głosowali przeciw tobie. Też bym to zrobił, ale nie pozwolili mi głosować, gdyż nie jestem członkiem rodziny. W domu Claybome'ów panuje demokracja, Eleanor. Dano ci wiele szans, które zmarnowałeś. Mary Roses chciała pomóc ci się spakować wieczorem. Oszczędziłem jej tego wysiłku.

- Nie odejdę.

- Jeśli jakimś cudem dotrzesz do rancza, to jeden z braci zawiezie cię z powrotem do miasta i tam zostawi.

Harrison nie okazywał nawet odrobiny miłosierdzia. Zrobiło mu się trochę głupio, gdy zdał sobie sprawę, jak dobrze się przy tym bawi.

Eleanor wpadła w histerię. Harrison schwycił lejce i ruszył w stronę rancza.

Do jego uszu ciągle dobiegały jej wrzaski. Zaczął gwizdać, by zagłuszyć ten niemiły dźwięk. Nagle zdał sobie sprawę, że zamiast cichnąć, krzyki stają się coraz głośniejsze. Odwrócił się i zobaczył, że Eleanor biegnie w jego stronę.

Potrafiła się ruszać, gdy tego chciała. Dziwne, rano nie miała siły, by zejść na wspólne śniadanie, ale mogła biec pod górę równie szybko, jak kłusujące konie.

Krzyczała pod jego adresem malownicze wyzwiska. Harrison skupił swoją uwagę ponownie na drodze i pogonił konie. Cole miał według planu czekać za następnym zakrętem. Pewnie już teraz obserwował Eleanor, pilnując, by nie zraniła się lub nie wpadła w jakieś tarapaty.

Cole miał się stać wybawicielem Eleanor. Miał zmusić ją do obietnicy dobrego zachowania, po czym zabrać ze sobą do domu.

Reszta drogi wydała się Hamsonowi uroczo spokojna. Myśląc o sobie zapomniał o Eleanor. Nie był w stanie pogodzić się z tym, że świadomie sprowokował strzelaninę. Nie zachowywał się jak człowiek cywilizowany. Bez wątplenia z każdym dniem spędzonym na ranczo stawał się bardziej barbarzyński.

Jego myśli wybiegły do konfrontacji, która go czekała. Teraz, gdy wszyscy bracia byli w domu, postanowił z nimi porozmawiać. Bał się tego, wiedząc, że zwlekał także z powodu uczuć, którymi darzył czwórkę braci. Byli dobrymi, uczciwymi ludźmi. Cholera, może byłoby lepiej, gdyby tacy nie byli.

Harrison nie chciał nawet myśleć, co zrobi Mary Roses, gdy dowie się, że od początku działał pod fałszywymi pozorami.

Zaczął zjeżdżać ze wzgórza, spostrzegł w oddali ranczo i poczuł się nagle tak, jakby wracał do domu. Trzej bracia siedzieli na werandzie. Adam pracował na wybiegu, ujeżdżając

czarnego konia, którego Harrison jeszcze nigdy nie widział. Zwierzę próbowało zrzucić jeźdźca. Adam nie miał kłopotu z utrzymaniem się na koniu, co było dużym osiągnięciem, biorąc pod uwagę, że jeździł bez siodła. Wyglądało to tak, jakby był przyklejony do zwierzęcia. Ruchy Adama były płynne i pełne gracji. Nie było to jednak łatwe zadanie. Adam jeździł bez koszuli i Harrison widział pot błyszczący na jego ramionach.

Harrison pomachał do niego, mijając corral, i pojechał w stronę stajni.

Travis zawołał go, wskazując na butelkę, którą trzymał w ręce. Harrison skinął głową. Wjechał powozikiem do stajni, wyprzągnął konie i wypuścił je na pastwisko z tyłu domu, by nieco ochłonęły, po czym wprowadził MacHugha na pusty wybieg, by mógł sobie trochę pobiegać. Potem udał się do domu.

Z radością myślał o czymś zimnym do picia.

- Gdzie jest Mary Roses? - zawołał.

- W środku! - odkrzyknął Douglas.

Adam zsiadł z konia i otwierał właśnie bramę wybiegu, gdy Harrison przeszedł obok niego. Zatrzymał się na chwilę.

- Dzisiaj po kolacji chciałbym porozmawiać z tobą i z resztą braci.

- W porządku - zgodził się Adam. - O czym chcesz porozmawiać?

- Później wam wytłumaczę - wykręcał się Harrison. - Nie chcę, by Mary Roses się temu przysłuchiwała.

Adam kiwnął głową. Rozwinął koszulę i włożył ją na siebie, po czym zamyślony poszedł z Harrisonem. O dziwo, nie zadał więcej pytań.

- Gorąco dzisiaj, prawda, Harrison? - zauważył Cole.

- Pewnie, że tak - Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, do kogo mówi.

- Co ty tu robisz? - krzyknął.

- Mieszkam tutaj - odparł Cole.

- Gdzie Eleanor? - spytał Harrison.

- Przecież jest z tobą - powiedział zza jego pleców Adam.

- Cole miał z nią być - odpowiedział Harrison. - Co się stało? Czy zabrałeś ją z powrotem do miasta i tam zostawiłeś?

Zadał pytanie, choć znał odpowiedź. Było niemożliwe, by Cole zdążył zawieźć Eleanor do Blue Belle i powrócić przed powrotem Hamsona.

Chyba że pojechał na skróty.

Harrison bardzo się zdenerwował tą możliwością.

- Jest w domu, prawda?

Douglas uśmiechnął się. Cole przechylił do tyłu krzesło, założył nogę na balustradę, poprawił kapelusz i zanknął oczy.

Harrison odwrócił się w stronę Adama. Najstarszy z braci zdawał się przerażony sytuacją.

- Nie ma jej w domu - oznajmił Adam, po czym zwrócił się do Cole'a:

- Przysięgam, że zedrę ci skórę z tyłka, jeśli pozwoliłeś, by coś się jej stało.

Nie miałeś przypadkiem przywieźć jej ze sobą?

- Miałem. - Cole nie otworzył nawet oczu.

Adam doszedł do schodów i zatrzymał się. Harrison usiadł na górnym stopniu. Postanowił pozwolić Adamowi zająć się sprawą. Jako starszy brat Cole'a miał większe szanse coś z niego wyciągnąć.

- Co się stało? - spytał Adam.

- Nic jej nie jest - powiedział Cole.

- Zdajesz sobie sprawę, co jej grozi? Kompletnie już oszalałeś? Na miłość boską, po górach krążą dzikie zwierzęta. O czym ty w ogóle myślałeś?

- Nie skrzywdzi żadnego zwierzęcia. Nie musisz się tak martwić, Adamie.

- To wcale nie jest śmieszne - odparł Adam.

Harrison chciał się uśmiechnąć, ale zmienił zdanie, gdy Adam na niego spojrział. Wiedział jednak, że nic się nie mogło stać Eleanor. Po chwili zastanowienia Harrison uznał, że Cole nie zostawiłby jej na pastwę losu. Adam też to na pewno zrozumie, jak tylko się uspokoi. Cole musiał się trochę z nimi zabawić. Harrison zamierzał mu to umożliwić, a potem dowiedzieć się, gdzie ukrył Eleanor.

- Zwierzęta nic jej nie zrobią - zapewnił wszystkich Cole. - Uspokójcie się wreszcie. Muszę teraz odpocząć. Adam, czy Travis powiedział ci, że zauważył na Niskich Wzgórzach pięć zagubionych byczków? Chcę niedługo po nie pojechać. Travis może wybrać się ze mną.

- Ja też z wami pojedę - zaofiarował się Harrison. Chciał mieć jakieś zajęcie, by nie myśleć o wieczornym spotkaniu.

- Po co? Przecież nam nie pomożesz - powiedział Cole.

- Mogę się przydać - argumentował Harrison. - Musisz mi tylko pokazać, co i jak mam robić.

- Czy ja już tego przypadkiem gdzieś nie słyszałem? - powiedział z sarkazmem Cole.

- Co zrobiliście z Eleanor? - Adam ponownie zażądał wyjaśnień. Wszedł po schodach i usiadł tuż obok Hamsona. Chyba jednak nie przejmował się zbytnio ich gościem. Uwagę skupił na MacHughu, który skakał wesoło po wybiegu.

- Harrison, czy mógłbym się przejechać na MacHughu? - spytał.

- Mnie to nie przeszkadza, ale nie wiem, co on na to. Możesz spróbować, jeśli chcesz.

- Cole, czy jesteś już gotowy udzielić mi odpowiedzi? - spytał Adam.

Nadal obserwował MacHugh'a, czekając, aż brat mu odpowie.

- Dooley jej pilnuje. Spotkałem go przy strumieniu i zapłaciłem dolara za pilnowanie jej do chwili, dopóki nie będę miał ochoty sam się tym zająć.

- Jak sądzisz, kiedy będziesz miał ochotę po nią wrócić? - spytał z uśmiechem Harrison.

- Za sekundkę - obiecał Cole. - Ale się zrobiło spokojnie!

Travis wyszedł na werandę, niosąc piwo dla wszystkich. Podał po butelce Douglasowi i Harrisonowi.

- Czy to nie Dooley zjeżdża ze wzgórza? - zapytał Douglas. Zmrużył oczy, starając się lepiej przyjrzeć, mimo rażącego słońca. - Tak, to chyba Dooley.

Adam pochylił się do przodu.

- Na Boga, to rzeczywiście Dooley i w dodatku sam. Cole, jeśli coś się stało Eleanor, ty za to odpowiadasz.

- Adam, chcesz piwa? - spytał Travis.

Na pewien czas odsunięto na bok problem Eleanor. Adam wziął butelkę i pociągnął długi łyk.

- Gładko wchodzi.

Travis kiwnął głową.

- Wymieniłem się na tuzin butelek. Nieźle smakuje.

- Mam nadzieję, że Mary Roses nie postanowi wyjść na dwór. Na pewno zauważy, że nie ma Eleanor - powiedział Douglas.

- Nic jej nie powiemy, jeśli będzie pytać - powiedział Travis. Oparł się o słup i ziewnął szeroko. - Sądzi, że Eleanor jest w swoim pokoju. Pozwólmy jej tak myśleć.

- Jeszcze przez długi czas nie będzie chyba chciała rozmawiać z Eleanor - stwierdził Douglas.

- Dlaczego? - chciał wiedzieć Adam.

- Ciągle jest na nią wściekła - wyjaśnił Douglas. - Eleanor nazwała panią Morrison tłąstą krową.

- Boże drogi! Mam nadzieję, że pani Morrison tego nie słyszała - powiedział Adam. Dostał dreszczy na samą myśl o tym.

- Nie wiem, w jaki sposób miałyby nie usłyszeć - powiedział Douglas. - Powiedziała jej to prosto w twarz.

Adam potrząsnął głową.

- Chyba będziemy musieli jeździć do Hammond po zakupy.

- Eleanor przeprosi ją - przewidywał Cole. - Mogę się założyć, że jest już niemal gotowa przejść gwałtowną zmianę charakteru.

- Co robiła, gdy od niej uciekłeś? - spytał Travis.

- Rzucała kamieniami i darła się. Ma bardzo bogate słownictwo.

- Witaj, Dooley - zawołał Douglas. - Chcesz piwa?

- Jedno dobrze by mi zrobiło - odparł Dooley. Zsiadł ze swojego wierzchowca i podreptał w stronę schodów. Harrison nie zauważył wcześniej, jak bardzo pałkowate są jego nogi. Dooley chodził, jakby między nogami trzymał beczkę ogórków.

Starzec usiadł na schodach między Adamem i Harrisonem. Zdjął kapelusz, przetarł rękawem spocone czoło, po czym powiedział:

- Strasznie ciepło, jak na zimę.

- Dooley, mamy teraz czerwiec - poinformował go Cole.

Harrison czekał cierpliwie, aż jeden z braci zapyta o Eleanor. Nikt nie powiedział ani słowa. Wszyscy byli zajęci delektowaniem się bursztynowym napojem. Piwo było w tych okolicach luksusem.

Dooley już cmokał ustami w oczekiwaniu na przysmak, jaki go czekał.

Harrison w końcu złamał się i zadał pytanie.

- Dooley, czy nie miałeś przypadkiem pilnować Eleanor?

- Tak, pewnie, że miałem.

- Więc czemu tego nie robisz?

- Nie mogłem już wytrzymać. Robiła tyle hałasu, że zaczęła mnie boleć głowa. Ale wcale nie zauważyła, że jej pilnuję. Potrafię się bardzo dobrze ukryć, gdy się trochę postaram. Nie mogłem się jednak schować przed jej krzykami, zatykanie uszu też niewiele dało. Wtedy zauważyłem Ducha. Dałem mu całe dwa dolary, żeby posiedział trochę i jej popilnował.

- Czy Duch pił swój bimber? - spytał Cole.

- Skończył mu się trzy dni temu. Powinien być w miarę trzeźwy - zapewnił Dooley.

- Ja po nią nie jadę - zwrócił się do Cole'a Harrison.

- Nie prosiłem cię o to.

- Ja i tak będę temu winny, prawda?

- Pewnie, że tak - zaśmiał się Cole. - Jeśli Mary Roses zorientuje się, zanim wrócę z Eleanor, będzie to twoja wina.

- Niby dlaczego? - spytał Harrison.

- To był twój pomysł.

- Tego Mary Roses nie musi wiedzieć - zauważył stojący w drzwiach Travis.

- Działalem w dobrej wierze - przekonywał ich Harrison.

- Na pewno wszystko odkryje - przewidywał Douglas. - Za kilka dni zacnie się dziwić, jeśli Eleanor nadal nie będzie schodzić na dół. Sądzę, że Mary Roses będzie na nią wściekła do piątku. Potem zacnie zadawać pytania.

- Czy chcesz zostawić Eleanor w górach do piątku? - spytał Harrison Cole'a.

- Nie sądzę, by Duch wytrzymał tak długo. Będę mu może musiał dać jeszcze dolara, żeby się nie zniechęcił. Pożyczysz mi, Cole?

- Pewnie, Dooley - przystał Cole.

- Trzymaj swoje piwo, Dooley! - Travis podał mu butelkę. - Hej, czy to nie Duch idzie drogą?

Harrison podniósł się. Przygotował się na to, że będzie musiał jechać po Eleanor.

Mary Roses pojawiła się w drzwiach.

- Cześć, Dooley! - zawołała.

- Witaj, panno Mary - odpowiedział.

Dziewczyna weszła na werandę i rozejrzała się dookoła.

- Nie widzieliście Eleanor? Muszę z nią porozmawiać.

Wszyscy spojrzeli na Hamsona, który nie powiedział ani słowa. Usiadł z powrotem i patrzył w dal.

Travis postanowił skłamać za niego.

- Jest na górze w swoim pokoju. Pozwól jej się trochę tam pokisnąć.

- Czemu miałyby to robić?

Travis nie był w stanie nic wymyślić. Na szczęście pomógł mu Douglas.

- Na pewno wie, że jesteś na nią zła. Jest wstrętna, ale nie głupia. Nazwała panią Momson tłustą krową i wie, że gniewasz się na nią z tego powodu.

Hamson odwrócił się do Mary Roses. Ta spojrzała na niego z niezadowoleniem.

- Adam, czy rozmawiałeś już z Harrisonem? - spytała.

- Jeszcze nie.

- Proszę, zajmij się tym. Im szybciej, tym lepiej.

- O czym? - spytał Hamson.

Nie odpowiedziała. Odwróciła się na pięcie i weszła do środka, trzaskając drzwiami.

Hamson spojrzał na Adama.

- O co jej chodziło?

- Naskarżyła na ciebie - powiedział Cole.

- Co?

- Powiedziała Adamowi o strzelaninie.

- Nie obrażaj się, Hamson, ona tylko troszczy się o ciebie - powiedział Douglas.

Cole wstał, przeciągnął się, postawił butelkę po piwie na schodach i zszedł po nich.

- Chyba pojedę już po Eleanor. Duchu, czemu jej nie pilnujesz? - zawołał.

Starzec doszedł do domu i potrząsnął głową.

- Nie mogłem już tego wytrzymać. Za te pieniądze... Henry usłyszał jej wrzaski i przyszedł zobaczyć, co się dzieje. Dałem mu trzy dolary, żeby tam chwilę posiedział. Nigdy więcej już nie zrobię Dooleyowi przysługi.

Cole poszedł w stronę stajni.

- Hamson, czy rzucałeś już kiedyś lassem? - zawołał przez ramię.

- Pokazywałem mu, jak to robić! - krzyknął Douglas. - Ćwiczył też trochę.

- Pojedziemy łapać te byki, jak tylko wrócę z Eleanor.

Hamson wstał.

- Douglas, nie musiałeś za mnie kłamać.

- Lepiej idź teraz poćwiczyć, żeby przestało to być kłamstwem. Chodź.

Pokażę ci, jak się to robi.

- Hamson, powinieneś najpierw coś zjeść - zauważył Adam.

Douglas udał się po powrozy, a Hamson z Adamem poszli do kuchni.

Zjedli razem przy kuchennym stole, rozmawiając o codziennych sprawach.

Mary Roses weszła do kuchni, ale zauważywszy siedzących przy stole mężczyzn natychmiast odwróciła się i wyszła.

- Czy nie powinieneś porozmawiać ze mną o strzelaninie? - spytał Hamson. - Rozumiem, że Mary Roses naskarżyła na mnie.

Patrzył na drzwi, przez które wyszła, uśmiechając się.

- Tak - oznajmił Adam. - Moja siostra uważa, że naumyślnie sprowokowałeś tego człowieka do pojedynku.

- Tak było - przyznał Harrison.

Oczekiwał, że Adam zacznie jeden ze swoich wykładów. On jednak nic nie powiedział. Po kilku minutach ciszy Harrison postanowił go trochę przycisnąć.

- No?

- Co, no?

- Nie chcesz ze mną o tym rozmawiać?

- Chyba już to zrobiłem.

Hamson zaśmiał się.

Cole'owi było w tym czasie zupełnie nie do śmiechu. Eleanor wcale nie postępowała zgodnie z jego planem. W chwili gdy go zobaczyła, podniosła spory kamień i rzuciła w niego.

Cole inaczej wyobrażał sobie powitanie wybawiciela. Powinna docenić jego czyn, zamiast być wściekła.

W każdym razie było na co patrzeć. Jej policzki płonęły, a w rozżarzonych oczach widać było wściekłość.

- Niczego jeszcze nie zrozumiałaś? - spytał. - Przestań we mnie rzucać, do cholery!

Uchylił się od kolejnego kamienia i podjechał bliżej. Eleanor stała na środku drogi. Przeszła niezły kawał. Patrząc na jej nogi pomyślał, że muszą się jej robić odciski.

Zdawała się nie zwracać na to uwagi. Przeszła kulejąc obok niego i ruszyła dalej w stronę wzniesienia.

- Dokąd idziesz?

- Na ranczo, żeby spakować moje rzeczy. Zastrzelę Hamsona za to, że mnie tu zostawił, a potem odejdę stąd. Dojdę do miasta na piechotę.

- Mary Roses nie pozwoli ci zabić Hamsona, bo jej na nim zależy.

- Nic mnie to nie obchodzi.

- Na pewno. Nie zależy ci na nikim oprócz samej siebie.

Mówił tak, jakby miał już dosyć. Odwróciła się i spojrzała mu w twarz, chcąc wiedzieć, czy chce ją tylko zdenerwować, czy też naprawdę myśli tak, jak mówi.

Zdawał się wobec niej szczery.

- To nieprawda. - Wyprostowała się. - Mary Roses ma czterech braci, którzy o nią dbają. Ja nie mam nikogo. Muszę sama się o siebie troszczyć.

- Jesteś najbardziej egocentryczną istotą, jaką kiedykolwiek spotkałem.

Wybuchnęła płaczem, niewymuszone łzy spływały jej po policzkach.

Wszystko ją bolało, a on z premedytacją ranił jeszcze jej dumę. Choć była to jedyna rzecz, która jej pozostała, to nie miała już siły dłużej przy niej trwać.

- Miałam trudne życie! - zawołała.

- Któż nie miał?

- Harrison zostawił mnie tu samą.

- Nawet przez chwilę nie byłaś sama.

- Wiem. - Odwróciła się w stronę krzaków. - Możesz już sobie pójść, Henry. Cole tu jest.

- Dziękuję, panno Eleanor - odpowiedział Henry.

Odetchnęła głęboko.

- Było mi... bardzo miło w twoim towarzystwie.

- Mnie też, tylko niepotrzebnie panna krzyczała. Rozbolała mnie od tego głowa, panno Eleanor.

- Przykro mi.

Odwróciła się w kierunku rancza i ruszyła dalej. Cole jechał obok niej.

- To nie było chyba aż tak trudne?

- Co takiego? - Obserwowała drogę, nie chcąc nadepnąć na nic ostrego.

Jej stopy były zgrzane i lepkie.

Czuła się żałośnie, a wiedziała, że wygląda jeszcze gorzej. Spróbowała rozczesać palcami włosy, aby choć trochę ułożyć loki. Nie obchodziło jej, co Cole myśli na temat jej wyglądu. Nic a nic. Zauważyła, że rozpięły się trzy górne guziki sukni i natychmiast je zapięła.

- Być uprzejmą nie było trudne - powiedział.

- Wręcz przeciwnie.

Uśmiechnął się, gdyż sądził dokładnie to samo.

- Dlaczego sprawia ci to taki kłopot?

- I tak byś nie zrozumiał.

- Spróbuj.

- Czuję się wtedy bezbronna.

Niemalże skinął głową, by przyznać jej rację. Nie zdawał sobie sprawy, że są tak do siebie podobni.

- Powinnaś traktować innych tak, jak sama chcesz być przez nich traktowana - wyrecytował z pamięci. Boże, ileż to razy Adam powtarzał mu tę zasadę!

- Czemu miałabym to robić?

Nie miał zielonego pojęcia. Eleanor przedstawiła swoją własną teorię.

- Myślisz, że będą wtedy dla mnie mili?

- Niektórzy.

- A co zrobić z tymi, którzy tacy nie będą?

- Wobec nich możesz być złośliwa.

Wybuchnęła śmiechem. Zdziwiła się, że cokolwiek może ją rozweselić w tak ponurych okolicznościach.

Mówił rozsądnie, ale nie była gotowa przyznać mu racji. Ponownie próbowała wzbudzić w nim litość.

- Wszyscy mnie porzucają - powiedziała. - Nawet mój ojciec ode mnie uciekł. Zostałam porzucona.

- No i co?

- Przestraszyłam się.

- Któż by się od czasu do czasu nie przestraszył?

Postanowiła jeszcze raz spróbować.

- Jestem zupełnie pozbawiona środków do życia.

- To kiepsko. Spróbuj jakoś zarobić.

- Jak? Nie potrafię nic robić. Może powinnam po prostu znaleźć sobie mężczyznę i wyjść za niego.

- Żaden by ciebie nie chciał, nawet desperat, który od lat nie widział równie ładnej kobiety jak ty.

Zaskoczyła ją niespodziewana pochwała. Czy Cole naprawdę uważa, że jest ładna?

- Mary Roses mnie nie lubi, jedynie się nade mną lituje.

- Więc traktujesz ją jak...

- Nie potrzebuję jej litości! - krzyknęła.

- Więc powiedz jej o swoich uczuciach, staraj się być przy tym miła.

Mary Roses mogłaby być twoją dobrą przyjaciółką, gdybyś jej do siebie nie zrażała.

- Już za późno. Wszystko popsulam. Głosowaliście i muszę was opuścić.

Harrison mi powiedział. Naprawdę myślisz, że jestem ładna?

- Pewnie. Mogę się założyć, że ślicznie wyglądasz, gdy się uśmiechasz.

- Travis mnie nienawidzi. Uśmiechanie się nic tu nie zmienia.

- Mogłabyś przestać nazywać go chłopcem.

- Zapomniałam, jak mu na imię.

- Nieprawda. Chciałaś go zdenerwować i to ci się udało. Najwyższa pora przestać.

Kiwnęła głową. Cole miał dla niej jeszcze kilka rad.

- Powiedz moje imię - rozkazał.

- Cole.

- Właśnie tak. Nazywam się Cole, a nie „ty tam” lub „chłopcze”.

- Muszę być dla wszystkich miła?

Tylko Eleanor mogła zadać takie pytanie.

- Tak.

Dziewczyna znów się zaśmiała.

- Żartowałam.

- Nie myliłem się.

- W jakiej kwestii?

- Wyglądasz naprawdę ślicznie, gdy się uśmiechasz.

Odwróciła się od niego.

- Dziękuję. Byłam miła dla Adama. Harrison powiedział, że nie głosował przeciw mnie. Nie mógł oczywiście tego zrobić.

- Dlaczego?

- Bo jest głową rodziny. Musi się wstrzymać od głosu... prawda?

- Zapomniałem o tym.

- Myślisz, że Adam głosowałby za wyrzuceniem mnie?

- Nie.

- Też tak myślałam. Jest bardzo dobrym człowiekiem. Toleruje każdego, nawet mnie.

- Ja też jestem miły.

- Nieprawda, nie jesteś.

Uśmiechnął się wiedząc, że Eleanor ma rację.

- Zamierzasz iść na piechotę aż do rancza?

- A mam jakiś wybór?

Cole pochylił się, objął ją w pasie i podciągając do góry posadził sobie na kolanach. Była lekka jak piórko. Była też zgrzana i spocona, ale pachniała tak, jakby właśnie wyszła z kąpieli.

Była zmęczona długim marszem i kręciło jej się w głowie od rozrzedzonego górskiego powietrza. Była wdzięczna, że Cole pozwolił jej z nim jechać i wiedziała, że powinna podziękować. Próbowала dobrać odpowiednie słowa.

Było to trudne, choć nie powinno. Boże, przez ostatnie kilka lat była rzeczywiście tyranem. Rozkazywała wszystkim dookoła... nigdy nie okazując wdzięczności.

Przejechali kilka minut w zupełnej ciszy. Cole'owi bardzo to odpowiadało, w przeciwieństwie do Eleanor, która wierciła się na jego kolanach. Jej pośladki tak go gniotły, że zaciskał zęby, by na nią nie krzyknąć.

W końcu nie mógł już tego wytrzymać.

- Przestań się tak kręcić!

- Wcale się nie kręcę. Dziękuję bardzo.

No i udało się to powiedzieć. Natychmiast się rozluźniła. Nie było to aż tak trudne.

Chyba że sobie z niej żartował. Natychmiast zeszywniała, oczekując, co będzie dalej.

- Czemu nazwałaś panią Morrison tłustą krową?

- Pomagałam Mary Roses.

- Jak?

- Pani Morrison śmiała mi powiedzieć, że Harrison będzie zabiegać o względy jej córki. Poinformowałam ją, że się myli. Nadal się ze mną kłóciła i w końcu nie byłam w stanie się powstrzymać.

- Czy nie nauczyłaś się niczego pożytecznego w szkole? - zmienił nagle temat.

- Mogłabym uczyć.

- Więc czemu tego nie robisz?

- Dzieci mnie nie lubią.

Nie zdziwiło go to zbyt.

- A ty lubisz dzieci?

- Nie wiem. Nigdy z żadnym nie przebywałam.

- Więc skąd wiesz, że cię nie lubią?

- Bo nikt mnie nie lubi.

Cole westchnął.

- Mogłabyś pomóc nam w prowadzeniu rancza?

- Co bym robiła?

- Nie wiem. Wiązanie bydła i ujeżdżanie koni nie udawałoby ci się chyba zbyt dobrze.

Jesteś delikatna.

- Naprawdę? - Próbowała się odwrócić, chcąc na niego spojrzeć.

Objął ją mocniej, by nie mogła się odwrócić.

- Może mogłabyś zmywać naczynia, gotować lub szyc?

- Szycie! Potrafię to robić.

- No widzisz.

- Ale jest już za późno. Wiesz przecież, że zostałam wyrzucona.

- Porozmawiam z nimi, jeśli obiecasz żyć z nami w zgodzie. Namówię ich, by wstrzymali się i przegłosowali to ponownie za kilka dni. Jeśli będzie im z tobą miło, to zmienią zdanie i nie wyrzucą cię z Różanego Wzgórza.

- Czemu stałaś się nagle taki dla mnie miły?

- Ponieważ jesteś najładniejszą, najzłośliwszą i najśłodszą kobietą, jaką w życiu spotkałem.

- Przecież nie można być naraz złośliwym i słodkim.

Wzruszył ramionami.

- Cole, czy głosowałeś przeciw mnie? - spytała.

- Zapomnijmy o tym, co robiłem w przeszłości.

- Czy ta zasada może i mnie dotyczyć?

- Pewnie że tak. Zaczniemy wszystko od początku.

Odwrociła się, by podziękować mu za dobre rady. Spojrzawszy mu w oczy natychmiast zapomniała, co chciała powiedzieć.

Cole nie mógł powstrzymać się przed wpatrywaniem się w jej usta.

Dziękował Bogu, że koń wie, jak dojść do domu, gdyż on sam był zbyt zajęty, by nim kierować.

Wiedział wcześniej od niej, co się stanie.

- Przepraszam - powiedział na zapas, wiedząc, na co chce sobie pozwolić.

Co go napadło? Poza tym po co przeproszał?

Ciepło i łagodność w spojrzeniu Cole'a zaskoczyły Eleanor. Nie zauważyła jeszcze, by jakiś mężczyzna tak na nią patrzył. Niemalże mogłaby pomyśleć, że ma zamiar ją pocałować.

Właśnie wtedy to zrobił. Przycisnął jej usta swoimi i całkowicie wziął ją w swoje posiadanie. Oczarował ją swoim ciepłem i delikatnością. Nie była pewna, czy powinna odwzajemnić ten pocałunek. Po raz pierwszy ktoś ją całował, więc czuła się nieśmiało i niepewnie z powodu braku doświadczenia.

Jedynie, czego była pewna, to że nie chce, by Cole przestał. Gdy zaczął się odsuwać, pochyliła się w jego stronę i objęła go rękami za szyję. Cole wydał pomruk, objął ją mocniej i ponownie pocałował.

Zatrzymał się na chwilę, by powiedzieć jej, żeby otworzyła usta. Nie pytała po co. Pozwoliła mu to zademonstrować. Jej serce biło tak mocno, jakby lada moment miało wyskoczyć z piersi. Ich języki ocierały się o siebie w igraszce, która szalenie jej się podobała.

Uczyła się szybko. Z braku doświadczenia nie miała żadnych zahamowań, a wrodzona ciekawość dodawała jej odwagi. Naśladowała każdy jego ruch, chcąc w równym stopniu go zaspokoić.

Oboje byli roztrzęsieni, gdy Cole wreszcie przestał. Był wystarczająco rozsądny, by wiedzieć, kiedy przestać, czego nie dało się powiedzieć o Eleanor.

Przynajmniej tak uważał Cole. Nie przyciągałaby go ponownie do siebie, gdyby miała choć odrobinę zdrowego rozsądku.

Zmusił ją, by się odwróciła, po czym pogonił konia. Zaczęło mu się spieszyć, by dojechać do domu... i znaleźć się z dala od niej.

- Przyjemnie ci się mnie całowało?

- Dlaczego kobiety chcą zawsze o tym rozmawiać?

Wzruszyła ramionami. Nie przeszkadzał jej jego ponury ton.

- Nie wiem. Takie już jesteśmy. Jesteś pierwszym mężczyzną, który mnie pocałował.

Byłam ciekawa, czy i tobie to się podobało.

Jego głos natychmiast zrobił się sympatyczniejszy.

- Nigdy się jeszcze nie całowałaś?

Eleanor zauważyła rozbawienie w jego głosie.

- Nie powiedziałam ci tego po to, żebyś się teraz ze mnie śmiał.

- Nie śmieję się z ciebie. Nieźle ci to szło.

- Dziękuję. Dlaczego przestałaś?

- Na Boga, czy naprawdę musimy teraz rozmawiać o powodach, które nami kierują?

Kiwając głową stuknęła go w szczękę. Cole westchnął.

- Nie drażnij niedźwiedzia, jeśli nie chcesz zostać zjedzona.

Nie była zupełną ignorantką. Sporo słyszała o tym, co się dzieje w małżeńskim łożu. Wiele zasłyszanych historii brzmiało prawdopodobnie. Niektóre były chyba zmyślane, ale mimo wszystko wiedziała wystarczająco dużo, by rozumieć, o czym mówi Cole.

Nie chciał przestać.

Eleanor uśmiechała się całą powrotną drogę.

- Adam i Hamson są w wybiegu z tym paskudnym koniem.

- Adam próbuje jeździć na MacHughu - powiedział Cole. - Eleanor, powiedz im dzień dobry.

Adam odwrócił się, gdy go zawołała, i odpowiedział z uśmiechem na jej powitanie.

- Zdaje się, że twój plan może się nawet udać. Eleanor jest prawie wesoła - powiedział do Hamsona Adam.

Harrison pokiwał głową, bezczelnie z siebie zadowolony. Życie będzie się dobrze układać w tej rodzinie, dopóki Eleanor będzie się odpowiednio zachowywać. Oczywiście Mary Roses zabije go, jeśli się kiedyś o tym dowie.

Pomyśli, że jest bezdusznym łajdakiem.

Do diabła, czy to, co ona myśli, robi jakąś różnicę? Znienawidzi go i tak, gdy dowie się o jego prawdziwych zamiarach.

Wiązanie bydła wydawało się Harrisonowi dobrym sposobem, żeby zapomnieć o wszystkim. Nie będzie miał czasu, żeby się przejmować. Poczł nagle, że chciałby już wyjechać. Potrzebował ciężkiej, męczącej pracy.

Otrzymał porządną lekcję pokory oraz sporą dawkę bólu.

Siadał do kolacji cały obolały. Czł się tak, jakby to jego chwymano na łąso i wyciągano z błota. Lewa ręka piekła go tak, jakby płonąła.

Mary Roses była pełna współczucia. Zaraz po modlitwie zamieniła się miejscami z Eleanor, by móc siedzieć bliżej Hamsona, któremu musiała pokroić mięso.

- Czy maść, którą ci dałem, pomogła? - spytał z drugiego końca stołu Adam.

- Tak, dziękuję.

- Dlaczego zdjąłeś rękawice? - spytał Douglas.

Travis przedstawił swoją opinię, zanim Harrison zdążył odpowiedzieć.

- Może go swędziało.

Adam spojrział na Cole'a i pogroził mu, widząc uśmiech na twarzy brata.

- Miałeś na niego uważać - zauważył.

- To nie była moja wina. Nawet największy głupek puściłby tę linę.

Adama przeszły ciarki po plecach, gdy wyobraził sobie, jak to wyglądało.

Jego niezdrową ciekawość można było porównać do przypadku człowieka, który przechodząc obok pożaru zatrzymuje się, żeby popatrzeć.

- Daleko cię pociągnął?

Wystarczająco daleko, pomyślał sobie Harrison.

- To nieważne - powiedział. - Cole ma rację, to nie jego wina. Myślałem, że wiem, co robię. Tak nie było. Wiele się dzisiaj nauczyłem.

Mary Roses machała widelcem przed twarzą Hamsona, który stracił wreszcie cierpliwość. Wyrwał sztuciec z jej ręki i kazał, by mu nie przeszkadzała.

Nie zdawała się tym poruszona.

- Nie zjadłeś ani kęsa - powiedziała.

- Nie jestem inwalidą. Potrafię jeść sam.

- Przestań się o niego martwić - powiedział Douglas. - Założę się, że przez tę zdartą skórę nie ma ochoty jeść. Masz szczęście, że to lewa ręka.

- Powiedz nam, czego takiego się nauczyłeś - poprosił Adam.

- Nie zdejmować rękawic - odpowiedział z uśmiechem Travis.

- Puszczając linę w odpowiednim momencie - zażartował następnie Cole.

Mrugnął okiem do siedzącej naprzeciwko Eleanor, która zarumieniła się.

Adam zauważył, co się dzieje, i wznosił błagalnie oczy do góry.

- Nauczyłem się, że zupełnie się do takiego życia nie nadaję - powiedział Harrison.

- Teraz jesteś zadowolona? - Zwrócił się do Mary Roses.

Miała wystarczająco dużo zdrowego rozsądku, by nie przyznać, że rzeczywiście jest zadowolona. Harrison miał ochotę na sprzeczkę, a ona nie miała zamiaru w niej uczestniczyć. Powiedziała mu, jak bardzo się cieszy, gdyby tylko był w lepszym humorze. Nareszcie postanowił zapomnieć o arogancji i zaczął się uczyć, co stanowczo zwiększało jego szansę dożycia późnej starości. Czy ją to cieszyło? Pewnie, że tak.

Rozmowa przy stole zesłała na mniej drażliwe tematy. Harrison interesował się, czemu Clayborne'owie inwestują w bydło. Travis z chęcią mu to wytłumaczył.

- Mieliśmy już kiedyś stado, ale musieliśmy je sprzedać, gdyż przez dwa lata była ostra zima i potrzebowaliśmy pieniędzy. Teraz jesteśmy w lepszej sytuacji. Można powiedzieć, że zaczynamy od nowa. Sporo zarobiliśmy na wołównie.

- Mieliśmy problemy po stracie byka, którego Douglas nie zdołał wyleczyć. Ale zyski były na tyle wystarczające, byśmy chcieli zacząć od nowa.

- Zaczęliśmy z dwiema sztukami, a w chwili sprzedaży mieliśmy już czterysta - dodał Adam. - Byczki pasą się luzem na wzgórzach. Travis narzeka, bo uważa, że powinny być ogrodzone. Nie możemy jednak ogrodzić wspólnych gruntów. Wszyscy ranczeizy zjeżdżają się na wiosnę, by je schwytać. Przyjechałeś tuż po całym zamieszaniu. Travis i Cole pędzili bydło do Salt Lake.

Wrócili na krótko przed tym, nim ty się tu pojawiłeś.

Harrison dobrze wiedział, jak wiele cierpliwości i wyrzeczeń kosztowało braci osiągnięcie tego, co mieli obecnie. Musieli być bogatymi ludźmi, choć żaden z nich nie zdawał sobie z tego sprawy. Wszyscy twierdzili, że dopiero zaczęli układać swoje życie. Najbardziej przejmował się pieniędzmi Travis.

Cole miał obsesję na punkcie bezpieczeństwa. Gdyby tylko było to możliwe, to zbudowałby dziesięciometrowy mur dookoła rancza, by zapewnić bezpieczeństwo sobie i rodzeństwu.

Rozmawiali o ich sytuacji finansowej, dopóki Mary Roses i Eleanor nie odeszły od stołu.

- Adam powiedział, że chcesz z nami o czymś porozmawiać - powiedział Douglas. - O co chodzi?

Mary Roses wyjrzała zza drzwi. Słyszając słowa brata natychmiast wróciła do stołu.

- Nasza siostra miała nie wiedzieć o tej rozmowie - przypomniał bratu Cole.

- Zapomniałem - przyznał się Douglas. - Przykro mi, Harrison.

- Czemu miałabym nie wiedzieć?

Zaczynała się martwić. Czy Harrison chciał powiedzieć jej braciom, że postanowił odjechać? Czy praca na ranczo okazała się jednak dla niego zbyt ciężka? Czy miał zamiar się poddać?

Ogarniała ją panika i z trudem udało jej się uspokoić.

Harrison nie poddawał się tak łatwo. Jedynym powodem wyjazdu mogła być chęć dalszej podróży. Jednak jeśli o to chodziło, dlaczego była wykluczona z rozmowy?

- O czym będziecie rozmawiać? - Usiadła, czekając na jego odpowiedź.

Harrison przykrył ręką jej dłoń.

- Będziesz musiała być cierpliwa.

Kiwnęła głową, po czym spojrzała na niego, próbując wyczytać coś z jego twarzy. Harrison nie dał jednak niczego po sobie poznać.

- Mary Roses, czy dzisiaj nie jest twoja kolej, by zmywać naczynia? - spytał Douglas.

- Chyba tak - odpowiedziała.

Cole trącił Eleanor pod stołem w nogę. Gdy spojrzała na niego, skinął głową w stronę siostry.

Eleanor zrozumiała sugestię i natychmiast wstała od stołu.

- Czy mogłabym ci pomóc przy zmywaniu?

Travis zgiął się wpół. Był pewien, że się przesłyszał. Eleanor była gotowa komuś pomóc? To niemożliwe. Chciał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie, widząc wyraz twarzy Cole'a.

Adam czekał, aż Mary Roses odpowie. Ta wydawała się jednak niepewna, więc odpowiedział za nią.

- Jestem pewien, że z chęcią przyjmie twoją pomoc. To miło z twojej strony, że jej to zaproponowałaś.

Kilka minut później stół był już posprzątanym. Mary Roses za każdym razem ociągała się z wyjściem z jadalni. Chciała dowiedzieć się, o czym będą dyskutować, ale nikt nie dał jej żadnych wskazówek.

Po każdej wycieczce meldowała o wszystkim Eleanor, która stała koło miski i zmywała talerze.

Mary Roses wzięła ścierkę i zaczęła wycierać czyste naczynia.

- Mary Roses, muszę ci powiedzieć coś bardzo ważnego.

- Nie możesz z tym poczekać?

- Nie.

- No, dobrze. O co chodzi?

- Mogłabyś nie mieć tak zniecierpliwionego głosu.

- Przepraszam. Martwię się o Harrisona. Co chciałaś mi powiedzieć?

- Chciałam przeprosić cię za moje zachowanie. Wiem, że niełatwo ci było ze mną wytrzymać. Jesteś jedyną przyjaciółką, jaką mam na całym świecie.

Proszę, przebac mi.

Mary Roses uśmiechnęła się.

- Rozmawialiśmy już o tym niecałą godzinę temu. Nie zmieniłam zdania od tej pory.

Oczywiście, że ci przebaczam.

- Musiałam to jeszcze raz powiedzieć, bo chcę, żebyś wiedziała, że mówię to szczerze.

Chcę, żebyś mnie lubiła.

- Już cię lubię.

- Czy zaoferowanie ci pomocy było uprzejme z mojej strony?

- Oczywiście, że tak - zapewniła ją Mary Roses. - Będę bardzo szczęśliwa, mając taką przyjaciółkę jak ty.

Eleanor kiwnęła głową.

- Tak, wydaje mi się, że tak będzie. Nie mówię tego arogancko, po prostu jestem szczerą. Nienawidziłam całym sercem, prawda? Teraz, gdy uczę się doceniać przyjaźń, będę równie wierna. Sądzisz, że to dobry pomysł?

- Tak.

- To dobrze. Teraz powiedz mi, czemu martwisz się o Harrisona. Co on jeszcze takiego zrobił?

- Co jeszcze takiego zrobił? O co ci chodzi?

Eleanor pamiętała, że obiecała nie mówić Mary Roses o tym, co jej zrobił Harrison, więc nie wspomniała o tym, że zostawił ją w górach.

- Rozzłościł mnie - powiedziała. - Zawsze szuka zwady. Spójrz tylko na jego siniaki. Zastanawiałam się, co takiego zrobił tym razem, że się o to tak martwisz.

- Niepokoi mnie to, co robi. Wydaje mi się, że zbiera się do wyjazdu.

W tym momencie mówi pewnie do widzenia moim braciom.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że będzie ci przykro, jeśli wyjedzie?

Mary Roses miała ochotę krzyknąć.

- Tak - wyszeptwała.

- Podoba ci się?

- Tak.

- Nie sędę, by rozmawiał z twoimi braćmi o wyjeździe. Nie zostałabyś wyproszona, bo chciałby się też z tobą pożegnać.

- Więc co...

- Może, ale tylko może, pyta twoich braci o zgodę na staranie się o twoją rękę. Rozważałaś taką możliwość?

- Myślisz, że to możliwe?

- Wydaje mi się to dosyć prawdopodobne. Wiem, że Hamsonowi zależy na tobie. Adam powiedział mi, że naprawdę zajął się ludźmi, którzy cię skrzywdzili w mieście. Zauważyłam też, że często się do ciebie uśmiecha. Tak, wydaje mi się całkiem prawdopodobne, że pyta ich o zgodę. Zostałabyś wyłączona z takiej rozmowy. Nie może pytać o to w twojej obecności.

To podniosło Mary Roses na duchu. Pragnęła wierzyć, że Eleanor nie myli się w swoich domysłach.

- Na razie nie powinnam się zbyt cieszyć - szepnęła.

Postanowiła podejść do drzwi i podsłuchać rozmowę. W korytarzu wpadła na Adama.

- A ty dokąd się wybierasz? Tak szybko uporałaś się ze zmywaniem? - spytał.

- Chciałam zdjąć obrus ze stołu - skłamała. - A ty dokąd idziesz?

- Jesteśmy wszyscy zbyt zmęczeni. Harrison postanowił zaczekać do jutra.

Nie potrafiła ukryć swojego rozczarowania.

- Więc będę musiała pozostać niepewna aż do jutra - powiedziała.

- Nie warto się chyba tym przejmować - poradził jej brat. - Skończ zmywać i idź spać.

Wyglądasz na wyczerpaną.

Posłuchała jego rady i poszła prosto do swojej sypialni, jak tylko skończyła zmywać. Była pewna, że z powodu wszystkich zmartwień nie będzie w stanie zasnąć. Miała jednak za sobą długi i męczący dzień, więc zasnęła chwilę po tym, jak jej głowa opadła na poduszkę.

Harrison spędził godzinę, chodząc tam i z powrotem po swoim baraku. Nie myślał jednak o rozmowie z braćmi, która go czekała. Zastanawiał się nad zmianami, jakie wprowadzi do swojego życia z powodu Mary Roses. Jak Boga kochał, miał już dosyć opierania się sprawom, których nie dało się uniknąć.

Spojrzał na zegarek i widząc, że minęła już godzina, udał się w stronę domu. Był pierwszy, który wszedł do jadalni.

Travis przyszedł z pełną butelką brandy, którą postawił na stole, po czym usiadł. Cole szedł tuż za nim. Wyjął z barku kieliszki, postawił je obok butelki i także zajął swoje miejsce. Adam przyszedł następny. Douglas był ostatni, więc to on zamknął za sobą drzwi.

- Zjrzałem do Mary Roses. Głęboko śpi. Nie obudzi się, jeśli nie będziemy podnosić głosu.

Ostatnia uwaga Douglasa była skierowana do Cole'a. Wszyscy byli napięci, ale Cole wydawał się gotowy do strzelaniny. Sięgnął po butelkę, nalał sobie, po czym podał flaszkę Adamowi.

Harrison był jedyny, który odmówił. Adam zczekał, aż wszyscy się usadowią i umilkną.

- Dobrze, może powiesz nam, po co tu naprawdę przyjechałeś.

- Wiedziałeś, że mam jakiś inny cel już od...

- Oczywiście.

- Czemu nic nie powiedziałeś, jeśli...

- Uznałem, że sam nam o tym powiesz, gdy będziesz gotowy. Nie należy nikogo popędzać. Nie martwiliśmy się, dopóki mieliśmy cię na oku. Wyglądało to tak, jakbyś próbował coś rozstrzygnąć. Może powiesz nam teraz, co cię tak niepokoiło.

Harrison był nieco zdziwiony.

- Doceniam waszą cierpliwość - powiedział. - rzeczywiście coś rozstrzygałem. Jestem wam wdzięczny, że daliście mi na to czas.

- Postawmy jedną sprawę jasno, Harrison - odezwał się Cole. - Bardzo cię lubimy, ale nie pozwolimy ci go zabrać. Zrozumiałeś? Zabijemy cię, jeśli będzie to konieczne.

- Albo możesz tu zostać i dożyć późnej starości - dodał Travis.

- Nie będę próbował porwać Adama. To nie z jego powodu tu przyjechałem.

- Zaczekaj. Skąd wiedziałeś, że Cole mówi o Adamie? - spytał Travis.

Harrison nie tracił czasu na wytłumaczenie.

- Wszyscy trzej chroniliście go od momentu, gdy dowiedzieliście się, że jestem prawnikiem. Każdy z was dawał mi do zrozumienia, że to on jest słabym punktem rodziny. Mogło wam się wydawać, że robicie to dyskretnie, ale tak nie było.

- Czy było to równie subtelne, jak twoje wybiegi, by czegoś się o nas dowiedzieć?

- Tak - przyznał Harrison. - Mnie było pewnie równie łatwo przejrzeć na wylot.

- Wszyscy mieliśmy w przeszłości kłopoty - zauważył Cole. - Szczerze mówiąc, mogłeś przyjechać, by wzbogacić się kosztem każdego z nas. Nie mamy jednak wyrzutów

sumienia. Robiliśmy to, co było konieczne, żeby przeżyć. Nie spodziewamy się, byś był w stanie to zrozumieć. Jesteśmy tacy, jacy jesteśmy.

- Nie będziemy się przed nikim tłumaczyć - powiedział cicho Adam.

- Nikt wam nigdy nie pomógł, prawda? - spytał Harrison.

- Cholerna prawda. O nic nie prosiliśmy i niczego byśmy nie przyjęli.

Harrison pokiwał głową. Teraz już rozumiał. Powinien był już dawno zdać sobie z tego sprawę.

- Chciałbym opowiedzieć wam pewną historię. Byłoby mi miło, gdybyście zachowali cierpliwość i wysłuchali, co mam do powiedzenia.

Zaczekał, aż wszyscy się na to zgodzili, po czym usiadł wygodnie i zaczął opowiadać.

- Człowiek, dla którego obecnie pracuję, był bliskim przyjacielem mojego ojca. Nie pamiętam, czy już mówiłem o tej znajomości. Nazywa się lord William Elliott. Miał żonę Agathę, dobrą kobietę o kochającym sercu. Elliott nie mógł lepiej trafić. Kochał ją równie gorąco, jak ona jego. Byli bardzo szczęśliwym małżeństwem.

- Co łączy nas z nimi? - spytał Travis.

- Daj mu dokończyć - powiedział Adam.

- Elliott był i ciągle jest wspaniałym człowiekiem. Szybko dorobił się fortuny. Zbudował kilka fabryk w Anglii, po czym postanowił rozszerzyć działalność na Amerykę. Przyjechał wraz z żoną do Nowego Jorku, by uczestniczyć w otwarciu fabryki na skraju miasta. Nie pozwoliliby, żeby Agatha mu towarzyszyła, gdyby wiedział, że nosi jego dziecko. Zdrowie jego żony było ważniejsze od wszelkich spraw finansowych. Wielkie otwarcie zostało przesunięte, gdyż jeden z budynków nie spełniał wymogów Elliotta. Uznał, że istnieje w nim niebezpieczeństwo pożaru, więc nakazał go przebudować. Razem z żoną zostali w Ameryce, by mógł osobiście nadzorować pracowników. Kilka miesięcy później Agatha urodziła dziecko. Dziewczynka otrzymała po matce Elliotta imię Victoria.

Harrison zatrzymał się, by zebrać myśli. Patrząc na braci próbował odkryć, czy któryś już zrozumiał, dokąd zmierza jego historia. W ich oczach widział jedynie umiarkowane zaciekawienie.

- Mieszkali już prawie rok w Nowym Jorku, gdy zdarzyło się nieszczęście.

Fabryka była już gotowa. Zarówno Elliott, jak i jego żona uczestniczyli w otwarciu. Agatha chciała zabrać ze sobą dziecko, ale Elliott się na to nie zgodził. Uważał, że czteromiesięczna dziewczynka jest zbyt delikatna, by wynosić ją na chłodne wiosenne powietrze. Zostawili więc Victorię z niańką i resztą służby. Nie było ich jedynie przez dwa dni, ale po powrocie do miasta przed swoim domem zastali policję. Niańka zniknęła wraz z

dzieckiem. List domagający się okupu przyszedł następnego dnia. Osobisty sekretarz Elliotta, George MacPherson, schwytał posłańca, zanim ten zdążył uciec, i wciągnął do domu, chcąc go przesłuchać. Chłopak nie potrafił podać żadnych istotnych informacji. Elliott szybko zebrał odpowiednią sumę i czekał na dalsze instrukcje. Nie dostał już jednak żadnej wiadomości. Wierzył jednak, że jego córka zostanie zwrócona cała i zdrowa.

- Co się z nią stało? - spytał Travis.

- Zniknęła.

Zapadła cisza. Harrison zorientował się, że trzyma w ręku kieliszek brandy.

Nie mógł sobie przypomnieć, by po niego sięgał. Odstawił go na stół.

- Lady Agatha nigdy nie przyszła do siebie po tych koszmarnych wydarzeniach. Rozchorowała się poważnie, więc po sześciu miesiącach poszukiwań Elliott był zmuszony wrócić z nią do Anglii. W Nowym Jorku pozostał MacPherson, który koordynował poszukiwania. Podążano każdym tropem, ale zarówno wynajęci przez Elliotta detektywi, jak i policja, zawsze utykali w ślepym zaułku. Wreszcie po pół roku odnaleziono niańkę.

- Była z nią dziewczynka? - spytał Cole.

- Nie. W wynajmowanym przez nią pokoju nie było nic, co świadczyłoby o miejscu ukrycia Victorii. Uznano, że kobieta ukryła dziecko poza miastem, po czym sama z jakiegoś powodu wróciła, Bóg jeden wie po co. Była martwa, gdy policja do niej dotarła. Została uduszona. Elliott i jego żona nie przerwali poszukiwań. Agatha nie odzyskiwała jednak sił i po roku zmarła. Według lekarzy powodem śmierci była gruźlica, ale Elliott wiedział, że prawdziwa przyczyna była inna. Powiedział mi, że przestała żyć w dniu, gdy ukradziono jej córeczkę. Jej złamane serce ją zabiło.

- Czy winiła męża, który kazał jej zostawić dziecko w domu? - spytał Travis.

- Nie, nie sędzę. Elliott sam, oczywiście, siebie winił.

- Ile miałeś wtedy lat?

- Byłem małym chłopcem, miałem może dziesięć lat - odpowiedział Harrison. - Elliott sprowadził mnie do swojego domu, gdy zmarł mój ojciec.

Stał się moim drugim ojcem, zadbał o dobrą edukację dla mnie, a sam próbował dalej ciągnąć swoje życie.

- Wszyscy w Anglii wiedzieli, co się stało. Elliott był liczącą się osobą w parlamencie. Po powrocie do Anglii wycofał się z życia politycznego, sprzedał fabryki i nigdy nie zaprzestał poszukiwań. Pamiętam, że za każdym razem, gdy wracałem z uniwersytetu, opowiadał mi, że prawdopodobnie ją widziano.

- Widziano ją?

- Kogoś, kto wyglądał tak, jak Viktoria mogłaby obecnie wyglądać - wytłumaczył.

- Zdaje się, że szukał w ciemno, chwytając się wszystkiego - zauważył Cole.

- Był zdesperowany - powiedział Adam.

- Tak - przyznał mu rację Harrison. - Rzeczywiście, był zdesperowany.

Poddał się dopiero kilka lat temu. Wtedy ja zająłem się poszukiwaniami.

Znalezienie Viktorii stało się moją obsesją.

- A teraz coś się zmieniło? - spytał Adam.

Harrison wciągnął głęboko powietrze.

- Znalazłem ją.

23 sierpnia 1866

Droga Mamo Roses!

Bawiłam się rewolwerem Cole'a. Tylko się bawiłam, a on i tak strasznie na mnie nakrzyczał. Powiedział, że dostane, lanie, więc bardzo się rozplakałam i on zmienił zdanie. Rewolwery są złe, Mamo. Adam tak powiedział. Nie będę się już bawić rewolwerami. Nigdy. Powiedz, proszę Cole'owi, by na mnie nie krzyczał. Jestem grzeczna, dziewczynka Adam tak powiedział.

Kocham Cię!

Twoja grzeczna córeczka Mary Roses Nie chcieli mu uwierzyć. Cole za nic nie chciał przyjąć tego do wiadomości. Mary Roses nie była Victorią. To niemożliwe. Adam zachowywał się bardziej rozsądnie. Zadawał pytania, próbując znaleźć jakąś wewnętrzną sprzeczność. Travis obalał każde wyjaśnienie, jakie przedstawiał Harrison.

Douglas pozostał dziwnie cichy. Patrzył na swój kieliszek i co pewien czas potrząsał głową. Zdawał się zbyt poruszony, by mówić.

- Przypadek - powiedział Cole. Uderzył ręką w stół, by podkreślić ten fakt.

- Kiedy Viktoria się urodziła? - spytał roztrzęsiony Adam.

Harrison odpowiadał na to pytanie już trzy razy. Cierpliwie jeszcze raz podał im datę.

- Drugiego stycznia 1860.

- Matko Boska - wyszeptał Adam.

- Wiele osób urodziło się drugiego stycznia - zauważył Travis.

- Bądź rozsądny - poprosił go Harrison.

- Wytłumacz nam, jak doszedłeś do wniosku, że nasza Mary Roses jest dziewczyną, której szukasz?

- Travis, już wam to tłumaczyłem.

- Nic mnie to nie obchodzi. Wytłumacz jeszcze raz.

- W porządku - zgodził się. - Kobieta, która widziała Mary Roses w internacie, powiadomiła ludzi Elliotta. Przez przypadek miałem wtedy interesy do załatwienia w Chicago. Kobieta mieszkała w miasteczku oddalonym o kilka godzin koleją, więc pojechałem z nią porozmawiać.

- Skąd dowiedziałeś się o tej kobiecie? Czy Elliott ma ludzi pracujących dla niego w Ameryce? - spytał Travis.

- Owszem, ale to nie od nich się o tym dowiedziałem. Otrzymałem telegram z Londynu. Prosiłem, żeby mnie o wszystkim na bieżąco informowano. EUiott się poddał.

- Ale ty nie - zauważył Travis. Wytrwałość Hamsona najwyraźniej go zdenerwowała.

- Nie. Nie zrezygnowałem z poszukiwań, tak jak i inni pracownicy Elliotta. Poinformowali mnie, a ja wynająłem adwokata w St. Louis, by przesłuchał Mary Roses.

- Prawnicy trzymają się razem jak stado hien, prawda? - spytał Cole.

Harrison nie odpowiedział na zniewagę.

- Zaciekawili mnie odkrycia tego adwokata.

- Nic mu nie powiedziała - stwierdził Cole. - Nigdy by tego nie zrobiła.

- Zgadza się, nic mu nie powiedziała. Zaintrygowało mnie to, czego adwokat nie zdołał się dowiedzieć. Dyrektorka powiedziała, że matka Mary Roses mieszka na Południu. Zastanawiałem się oczywiście nad tym, ale nie wydało mi się to rzeczą godną uwagi. Siostry natomiast chwalą się swoimi braćmi lub na nich narzekają. Tymczasem Mary Roses nie chciała powiedzieć nawet słowa o żadnym z was. Adwokat doniósł mi, że miała się na baczności, wydawała się zdenerwowana i poruszona.

- Równie jak my nie ufa prawnikom - powiedział Travis.

- Rozumiem to - odparł Harrison. - Sposób, w jaki zareagowaliście, gdy dowiedzieliście się, jak zarabiam na życie, wskazywał, że któryś z was może mieć kłopoty z prawem.

- Powiedzieliśmy Mary Roses, żeby o nas nie mówiła. Nie chcieliśmy, by ludzie interesowali się sprawami, które ich nie dotyczą.

- Jak już powiedziałem, wiem to teraz. Wtedy jednak nie mogłem tego wiedzieć.

- Czego nie wiedziałeś? - spytał Cole.

- Tego, że wszyscy z was złamali w przeszłości prawo. W każdym razie małomówność waszej siostry wzbudziła moją ciekawość.

- A wtedy? - Travis chciał znać dalszy ciąg wydarzeń.

Harrison zachowywał cierpliwość, choć zdawał sobie sprawę, że musi wszystko od nowa tłumaczyć. Uparcie doszukiwali się błędów. Nie miał prawa ich za to winić. Na ich miejscu zrobiliby to samo.

- W ciągu ostatnich lat mieliśmy setki informacji o kobietach, które przypominały matkę Victorii, jej ciotkę, kuzynkę lub dalszą krewną. Kobieta, która widziała Mary Roses, zapewniała mnie o niezwykłym podobieństwie, ale nie jechałbym aż do Montany tylko z tego powodu. Przyjechałem z powodu raportu napisanego przez adwokata po rozmowie z waszą siostrą.

Harrison sięgnął po kieliszek i napił się. Nie miał wcale ochoty na brandy, ale zaschło mu w gardle.

- W bibliotece Elliotta wisi portret - kontynuował.

- Co? Nie mówiłeś nic o portrecie - powiedział Travis.

Harrison chyba rzeczywiście o tym zapomniał.

- Zaraz po ślubie z Agathą Elliott kazał znanemu artyście namalować podobiznę jego żony. Gdy zobaczyłem Mary Roses w sklepie Morrisonów, przez chwilę myślałem, że to lady Agatha zeszła z portretu i przyszła mnie powitać.

Podobieństwo waszej siostry do Agathy jest niesamowite. Znaście resztę historii.

Żaden z was nie ułatwiał mi zadania.

- Cieszę się, że chociaż jedną rzecz dobrze zrobiliśmy - wtrącił Cole.

- Wszyscy udzielaliście mi dziwnych, bezsensownych odpowiedzi. Wasz opór tylko zwiększał moją ciekawość. Tak zachowują się jedynie ludzie, którzy mają coś do ukrycia. Wciąż mówiliście mi, że w tych okolicach nie należy pytać o zbyt wiele, ale sami zarzucaliście mnie setkami pytań. Nie ufaliście też nikomu związanemu z sądownictwem. Wierzcie lub nie, ale prawnicy bywają przydatni, i to bardzo. Nie jesteśmy waszymi wrogami, a zachowywaliście się tak, jakbyśmy nimi byli. Było dla mnie oczywiste, że coś ukrywacie.

Błędnie uważałem jednak, że nie chcieliście, bym dowiedział się prawdy o porwaniu. Nie sądziłem, byście to wy je zaplanowali, ale uważałem, że chronicie osobę, która to zrobiła. Teraz, gdy zdążyłem już was poznać, wiem, że przyjechaliście tu sami. Mogliście polegać jedynie na sobie nawzajem.

Harrison przerwał, chcąc zebrać myśli. Bracia cierpliwie czekali, żeby mówił dalej.

- Postanowiliście stać się rodziną. Potem wzięliście niemowlę i pojechaliście na zachód. Mary Roses to lady Victoria, prawda?

Adam przymknął oczy. Wydawał się porażony tą wiadomością.

- Dobry Boże, chyba rzeczywiście nią jest.

Travis sięgnął po butelkę. Harrison zauważył, że trzęsą mu się ręce. Jego kieliszek był już pełny, ale on tego nie zauważał.

Cole patrzył na Hamsona zrozpaczony.

Harrison zwrócił spojrzenie w stronę Adama.

- W imieniu swoich braci, swojej siostry oraz swoim własnym, daj mi dolara.

Bracia nie zrozumieli tego żądania. Adam nie wykonał żadnego ruchu.

Harrison powtórzył żądanie, tym razem ostrzejszym tonem.

Najstarszy brat sięgnął do kieszeni kamizelki, wyciągnął srebrnego dolara i rzucił Harrisonowi, który złapał monetę w powietrzu.

- Po co to było? - spytał Travis.

- To moje honorarium. Nie obchodzi mnie, czy lubicie prawników czy nie.

Od dzisiaj reprezentuję wasze interesy. Czy wszyscy się zgadzacie?

Dopiero gdy wszyscy wyraźnie to potwierdzili, Harrison mówił dalej.

Zmienił pozycję, przyjrzał się pozostałym osobom siedzącym przy stole, po czym zapytał:

- Który z was chce rozpocząć wyjaśnienia?

- Myślisz, że to my ją ukradliśmy? - spytał Cole.

- Nie zrobiliśmy tego - powiedział Travis. - To robota kogoś innego.

Ktokolwiek to zrobił, musiał stchórzyć.

- Znaleźliśmy ją - powiedział Cole.

- Gdzie? - spytał Harrison.

- Na śmietniku - odparł Cole.

- Gdzie? - Nie zamierzał powiedzieć tego tak głośno, ale w zdumieniu zareagował zbyt gwałtownie.

- Dobrze usłyszałeś. Znaleźliśmy ją na stercie śmieci w naszym zaułku.

We czwórkę stanowiliśmy bandę. Boże, byliśmy wtedy młodzi i głupi.

- Byliście dziećmi - odparł Harrison. - Razem zawsze bezpieczniej.

- Pewnie - zgodził się niechętnie Cole, po czym zwrócił się do Adama: - Ty opowiadaj, jak to się zdarzyło.

Adam skinął głową.

- Byliśmy czymś w rodzaju gangu. Żaden z nas nie miał gdzie mieszkać.

Ja dostałem się do Nowego Jorku z pomocą podziemia, ale nie miałem zamiaru tam pozostać. Obiecałem matce, że udam się na Zachód. Uważała, że tam będę bezpieczny, dopóki wszystko się nie zmieni.

- Co miało się zmienić? - spytał Harrison.

- Matka informowała nas na bieżąco o wszystkich ważnych wydarzeniach. Lincoln mówił o zniesieniu niewolnictwa. To przekonanie narastało na Północy i mama wiedziała, że zbliża się wojna. Mogliśmy być wolni, jeśli wszystko pójdzie pomyślnie. Miałem nadzieję i kurczowo się jej trzymałem.

Mieszkałem razem z braćmi w zaułku. Spaliśmy blisko siebie, grzejąc się wzajemnie. Był już maj, ale noce były zimne tego roku, a my nie mieliśmy koców.

- W 1860 roku?

- Tak, właśnie w tym roku - powiedział Adam. - Po mieście krążyły inne bandy bezdomnych dzieci, szukające jedzenia i zwady. Zaułek był naszym domem i byliśmy gotowi go bronić. W nocy na zmianę pilnowaliśmy wejścia do niego. Tej nocy Douglas stał na warcie. Travis i Cole spali głęboko. Douglas gwizdnął i wskazał na stertę śmieci, po czym gdzieś pobiegł. Coś go zaintrygowało i chciał to zbadać.

- Usłyszałem jakiś dźwięk - kontynuował Adam. - Douglas powiedział później, że myślał, że w środku jest kot. Travis, o ile pamiętam, martwił się, że to może być wąż.

- W środku czego? - spytał Harrison.

- Koszyka - wyjaśnił Adam. - W każdym razie, ja też myślałem, że to jakieś zwierzę. Podszedłem, by się lepiej przyjrzeć, i wtedy zauważyłem szczury.

- Dobry Boże...

- Łaziły po całym koszyku. Musiałem zapalić pochodnię, żeby je odgonić.

Jeden z nich próbował przegryźć wieko. Gdybym zaczekał choćby minutę, to dostałby się do niej.

Hamsona przeszedł dreszcz, gdy wyobraził sobie, co by się wtedy przydarzyło Mary Roses.

- Najważniejsze, że w porę ją uratowałem. Myśleliśmy, że to chłopiec, więc nazwaliśmy ją Sidney.

- Czy ona o wszystkim wie? - spytał Harrison.

- Oczywiście, że tak, wie, że ją znaleźliśmy. Nigdy niczego przed nią nie ukrywaliśmy. O nas też wie wszystko.

Harrison uśmiechnął się.

- Teraz rozumiem, czemu tak się zdenerwowała, gdy Cole nazwał ją Sidney.

- Tak - powiedział Cole. - Ma to jej przypominać, że nie jest wcale lepsza od innych. Choć szczerze mówiąc, jest lepsza. Ma szczerze serce, jest szlachetna i...

Głos Cole'a przeczył surowemu wyrazowi jego twarzy.

Adam chrząknął i mówił dalej:

- Tej nocy przysięgliśmy sobie, że zrobimy dla niej wszystko, co w naszej mocy. Uznaliśmy, że nie przeżyłaby w miejskim sierocińcu. Travis jako jedyny z nas był pewny, że nie jest poszukiwany. Wszyscy staliśmy się Claybome'ami i wyruszyliśmy na Zachód. Podróż tutaj i pobudowanie domu zajęło nam bardzo dużo czasu.

- Ale udało się - powiedział Cole. - Myśląc teraz o tym uważam, że chyba pomógł nam ojciec Mary Roses.

- Jak? - spytał Harrison.

- Douglas zabrał pieniądze kobiecie, która wyrzuciła koszyk. Był niezłym kieszonkowcem. Pieniędzy starczyło nam na długo. Ktokolwiek zabrał niemowlę, musiał też ukraść pieniądze.

- Ile mieliście wtedy lat?

Travis odpowiedział na to pytanie.

- Miałem dziewięć, prawie dziesięć, ale mówiłem, że mam niecałe jedenaście. Bałem się, że mnie nie zabrają, bo byłem zbyt młody. Chciałem, by myśleli, że potrafię poradzić sobie w bijatyce. Douglas i ja dobrze wiedzieliśmy, jakie jest życie w sierocińcu, i nie chcieliśmy tam wracać. Chyba byłem wystarczająco mądry, by wiedzieć, że potrzebuję ochrony. Adam był duży i wyglądał groźnie, więc chodziłem za nim dzień i noc, aż w końcu pozwolił mi ze sobą zostać. Miał wtedy trzynaście lat. Douglas i Cole mieli po jedenaście.

- Byliście jeszcze dziećmi - zauważył Harrison. - Ale nawet biorąc to pod uwagę, czy nie przyszło wam do głowy, że mogła zostać porwana?

- Czemu mielibyśmy tak pomyśleć? - spytał Cole. - Uznaliśmy, że jej ojciec lub matka już jej nie chcieli.

- Sądziлиście, że ktoś ją wyrzucił? Jak mogliście w coś takiego uwierzyć?

Cole i Douglas wymienili zdziwione spojrzenia, po czym spojrzeli na Hamsona.

- Dlaczego nie? - spytał Douglas. - Z nami tak zrobiono.

Cole nie mógł uwierzyć, że Harrison jest tak niemądry.

- W jaki sposób, twoim zdaniem, w tym mieście znalazło się tyle bezdomnych dzieciaków? - spytał retorycznie. - Naprawdę wierzysz, że wszystkie się zgubiły? Władze znały prawdę. Raz na pewien czas chwymano tyle bezdomnych dzieci, ile się dało, wsadzano do pociągów i wywożono. Żadne z nich nie wiedziało, dokąd jedzie.

Douglas westchnął głęboko.

- Nikt ich nie chciał - powiedział. - Naszej trójki też. Z Adamem było inaczej. Jego matka wysłała go w świat, by był bezpieczny. Ona go nie porzuciła.

- Nigdy się nie dowiem, co zrobiłaby moja matka - zauważył Cole. W jego głosie nie było już nawet cienia emocji. - Podobno była miłą kobietą. Umarła podczas porodu. Nazywała się Mary, więc uznałem, że odwdzięczę się jej nazywając tak naszą Mary Roses. Adam pomyślał to samo o mamie Roses.

Douglas uznał, że należy oba imiona połączyć w jedno.

- Cole, a co z twoim ojcem? Czy coś o nim wiesz? - spytał Harrison.

- Mieszkałem z nim trochę. W końcu uznał, że whisky i dzin są ode mnie ciekawsze. Próbował mnie sprzedać. Usłyszałem, jak targował cenę dwóch butelek, i uciekłem.

Harrison był zbyt ogłuszony, by coś powiedzieć. Nie potrafił wyobrazić sobie tak ponurych historii. A potem zaczął dostrzegać całą ich wspaniałość.

Zobaczył czterech braci w zupełnie innym świetle. Jego twarz wyrażała podziw i respekt.

Dokonali niemożliwego, odnieśli sukces, pokonując wszelkie trudności.

- Jesteście wszyscy bardzo dzielnymi ludźmi.

Douglas nie mógł przyjąć pochwały Harrisona. Potrząsnął głową.

- Nie, robimy po prostu tyle, ile możemy. Byliśmy wtedy przestraszonymi chłopcami, którzy chcieli, by Mary Roses miała kogoś, kto się nią zaopiekuje.

Nie bardzo wierzyliśmy, że przeżyje. Szczerze mówiąc, nie myślałem, że któremukolwiek z nas się to uda. Jednak trzeba było dać jej szansę.

- To nie mogło być łatwe.

- Zmienianie jej pieluszek było dosyć kłopotliwe. - Cole uśmiechnął się.

- Skąd znacie datę jej urodzin? Mary Roses mówiła mi o jakichś dokumentach. Co to za dokumenty?

- W kopercie z pieniędzmi były dwie kartki - wyjaśnił Douglas. - Adam ma je w bibliotece. Na jednej z nich jest napisane wiele cyfr. Druga pochodzi z jakiejś książki. Na górze napisano datę urodzenia dziewczynki, jej wagę i długość.

- To strona z rodzinnej Biblii.

- Naprawdę?

- Tak - potwierdził Harrison. - Dwie kartki zostały z niej wydarte. Jedną zwrócono wraz z żądaniem okupu. Była dowodem na to, że naprawdę mają Victorię. Jej imię i nazwisko były wypisane na dole strony.

- Powiedziałem braciom o tych kartkach, ale bardziej interesowały nas wtedy pieniądze. Adam był jedyny, który umiał czytać. Przyjrzał się kartkom i powiedział nam, co na nich jest napisane. Latami trzymaliśmy je w koszyku.

Zachowaliśmy je jedynie po to, by Mary Roses miała pamiątkę z dzieciństwa.

- Kto nauczył cię czytać? - spytał Douglasa Harrison.

- Adam nauczył nas wszystkich.

- Czy wiesz, kto udusił niańkę? - spytał Cole.

- Nie wiem - powiedział Harrison. - Elliott nigdy nie uwierzył, że działała sama. Nie była wystarczająco sprytna, by zaplanować porwanie. Była też bardzo bojaźliwa. Musiała mieć współnika.

- Może i on już nie żyje - powiedział Douglas.

- Równie dobrze mogła to być kobieta - zauważył Harrison.

- To był mężczyzna.

- Skąd wiesz?

- Widziałem go.

Harrison wypuścił z ręki kieliszek, nie zauważając tego.

- Widziałeś go? - spytał drżącym głosem.

Douglas kiwnął głową.

- Chyba nadeszła moja kolej, by wszystko wytłumaczyć. Mężczyzna wysiadł z bogatej na pierwszy rzut oka karety, z herbem na drzwiach. Miał na sobie czarny płaszcz, taki, w jakim bogacze chodzą do opery. Miał też kapelusz, naciągnięty głęboko na czoło. Stał dokładnie pod uliczną lampą i nawet odwrócił się w moim kierunku, ale mnie nie zauważył. Pewnie wydało mu się, że usłyszał jakiś dźwięk. W każdym razie dobrze się przyjrzałem. Czy chcesz, bym ci go opisał?

- Niby jak miałbyś go pamiętać? Douglas, miałeś wtedy dwanaście lat.

Z biegiem czasu nasza pamięć myli się i miesza. To było bardzo dawno temu.

- Opowiedz mu o tym, jak cię pocięli, Cole - zaproponował Douglas.

Cole uśmiechnął się.

- Mieliliśmy wtedy około piętnastu lat, prawda, Douglas? Byłem wtedy jeszcze dosyć głupi. Wpakowałem się, myśląc, że uda mi się zwinąć trochę skór zwierzęcych. Potrzebowaliśmy ich na zimowe kurtki. Umiałem chodzić wtedy bardzo cicho, prawda, Douglas?

- Nie całkiem, Cole.

- W obozie było około dwudziestu odszczepieńców. Dokuczali dosyć długo ludziom w okolicy, kradnąc, mordując i paląc osiedla. Wszyscy się ich bali. Ja także, ale potrzebowaliśmy skór i doszedłem do wniosku, że muszę je zdobyć, nie zważając na strach. Wszyscy co do jednego ruszyli za mną.

Jeden rozciął mi nożem brzuch. Bolało jak ogień piekielny, do dzisiaj pamiętam ten ból. Adam musiał mnie zszywać. Mary Roses płakała, gdy się mną zajmował.

- Pamiętasz, że trzymała cię za rękę? - przypomniał Travis.

Cole ponownie się uśmiechnął. Pamiętał, i to dobrze.

- Myślała, że będzie mi lepiej. Miała wtedy trzy, może cztery lata i była tak słodka i sprytna, jak to tylko możliwe.

- Jak udało ci się uciec Indianom? - spytał Harrison.

- Nie była to tylko moja zasługa. Byłem zajęty biegiem i walką o życie, więc nie spojrzałem na tego, który mnie zranił. Douglas to zrobił. Jechał w moją stronę, z naładowaną strzelbą w rękę. Zobaczył twarze tych dwóch, którzy mnie trzymali, oraz trzeciego, który mnie zranił. Skurwysyn chciał pociąć moje flaki na kawałki. Douglas zaczął strzelać dosłownie w ostatniej chwili, i oni pobiegli po broń.

Cole zastanowił się chwilę, po czym mówił dalej. Historia zdała się Hamsonowi fascynująca, ale nie widział żadnego związku między nią a rozmową o porwaniu Mary Roses. Uznał, że później zrozumie.

- Udało nam się odjechać. Nastąpiła zima i musieliśmy czekać, ale nie zapomnieliśmy. Ruszyliśmy za nimi, gdy tylko stopniał śnieg.

- Zmusiliśmy ich, by się przyznali, że to oni zrobili.

- W jaki sposób? Mówili po angielsku?

- Jeden znał parę słów. Nie było to konieczne. Douglas nigdy, ale to nigdy, nie zapomina raz widzianej twarzy.

- Byli dumni, że cię pocięli, prawda, Cole?

- Myśleli, że ich przyjaciele nas dopadną.

- Zadbaliśmy, by tego nie uczynili - powiedział Travis.

Harrison nie spytał, co się stało z Indianami, gdyż sam dobrze wiedział.

- Plemię, które wyrzuciło ich ze swojego grona, dowiedziało się o tym.

Od tego czasu omijali nas z daleka - wytłumaczył Cole. - Czy teraz chcesz usłyszeć opis Douglasa?

- Tak - powiedział kiwając głową Harrison.

- Człowiek, którego widziałem w Nowym Jorku, miał jasne włosy. Nie widziałem koloru oczu. Miał jakiś metr osiemdziesiąt wzrostu i był bardzo chudy. Jego policzki były zapadnięte. Nos trochę zadarty, a usta bardzo wąskie.

Nosił eleganckie czarne buty. Zapamiętałem je, bo zastanawiałem się wtedy, jak je ukraść. Był ubrany w czarny strój wieczorowy. Kobieta nie chciała wziąć od niego koszyka.

Cały czas potrząsała głową. Stałem, niestety, zbyt daleko, by słyszeć, co mówią. Wyciągnął z kieszeni kopertę, którą jej przekazał.

Szybko ją schwyciła, po czym wzięła koszyk.

- Mężczyzna wysiadł z karety wraz z koszykiem?

- Tak.

- Czy kobieta już wtedy stała na rogu, czekając na niego?

- Tak.

- A co z woźnicą? Czy jemu też się przyjrzałeś?

- Nie. Przyglądałem się kopercie od momentu, gdy ją zauważyłem. Kobieta schowała ją do kieszeni płaszcza. Mężczyzna wsiadł ponownie do karety i odjechał. Kobieta zaczekała, aż kareta odjedzie daleko, po czym zaczęła się rozglądać, szukając miejsca, w którym mogłaby zostawić Mary Roses. Wybrała nasz zaułek. Wbiegła do niego, rzuciła koszyk i wybiegła. Zaczekałem, dopóki nie dotarła do rogu, gwizdnąłem do Adama, by zwrócić jego uwagę na koszyk, po czym poszedłem za nią. Wyjąłem jej z kieszeni kopertę w chwili, gdy wsiadała do pociągu.

Harrison usiadł głębiej na krześle. Jego oczy przepelniała chłodna wściekłość.

Cole uważnie go obserwował.

- Wiesz, kim był ten mężczyzna?

Harrison skinął powoli głową.

- Chyba tak, ale muszę się upewnić.

- Czy on jeszcze żyje? - spytał Douglas.

- Tak... jeśli to rzeczywiście on, to żyje.

- Ruszysz za swoim Indianinem, tak jak my to zrobiliśmy? - spytał Cole.

Harrison zrozumiał, o co chodziło Cole'owi. Chciał wiedzieć, jak daleko Harrison jest gotów się posunąć, by się zemścić. Czy robi to tak samo, jak kiedyś uczynili bracia?

- Tak. - Odpowiedź była natychmiastowa.

- Nie zapominaj, że jesteś prawnikiem - przypomniał Adam.

- Nie zapominałem o tym. Tak czy inaczej, sprawiedliwości stanie się zadość.

Douglas, opisz mi jeszcze raz to wydarzenie, od samego początku.

Douglas z chęcią to zrobił. Harrison czekał, aż skończy, po czym zarzucił go pytaniami. Przerwał, gdy Douglas powiedział już wszystko, co wiedział.

- No i co teraz? - spytał Travis. - Kiedy zamierzasz jej to powiedzieć?

- Ja tego nie zrobię - stwierdził Harrison. - Myślę...

Travis nie pozwolił mu dokończyć.

- Czemu mamy ci wierzyć? Okłamywałeś nas od samego początku. Wcale nie chciałeś się nauczyć prowadzić rancza, prawda?

- Pewnie, że chciałem - odparł. - Myślałem, że kiedyś powrócę w góry Szkocji, ale teraz wiem, że gdzie indziej osiedlę się na całe życie. Będę miał w końcu swoje własne ranczo, a w trudniejszych momentach będę zarabiał jako prawnik. Wszystkie moje plany życiowe się zmieniły - dodał. - Gdy tu przyjechałem, nie byłem nawet pewien, czy Mary Roses to Victoria. Zauważyłem podobieństwo, ale to nie wystarczało. Trochę przypomina ciebie, Cole, macie oboje niebieskie oczy i blond włosy. Jest jednak o wiele od ciebie ładniejsza. Im więcej odkrywałem, tym mniej rozumiałem. Nie widziałem żadnych powodów, dla których mogłaby być wobec mnie tak powściągliwa.

Wszyscy wyjaśniliście mi tę zagadkę. Jak już mówiłem, wasza reakcja na wieść, że jestem prawnikiem, była też dość zaskakująca. Pewnej nocy Mary Roses spytała mnie, czemu wieczorami rozmawiam z Adamem. Wydawała się zmartwiona. Gdy spytała mnie, czy wypytuję Adama o jego przeszłość, to uznałem, że nie chce, bym odkrył coś, co Adam kiedyś zrobił. Gdybym spędzał wieczory z Travisem, Cole'em lub Douglasem, byłaby równie zmartwiona, prawda?

- Zapewne - odparł Cole. - Powiedzieliśmy jej o wszystkim, co zrobiliśmy. Zna wszystkie nasze grzechy.

- Już mi o tym mówiliście - przypomniał im Harrison. - Dość szybko zrozumiałem, że zebraliście się razem, by stworzyć rodzinę. Nie mogłem jednak uwierzyć, że sami dotarliście aż do Montany. Nie miałem powodów, by wam ufać, tak samo jak wy nie mogliście ufać mnie. Zdażyłem popełnić kilka błędów. Dwa piekielnie mnie zaskoczyły.

- Jakie to błędy? - spytał Douglas.

- Po pierwsze zwlekałem. Mogłem o wiele wcześniej zdobyć potrzebne mi informacje, ale powstrzymałem się. Nie korzystałem z okazji, a to, jak już wiecie, niełatwo mi przychodzi. Nigdy nie byłem skłonny odkładać czegokolwiek...

- Nie byłeś tutaj aż tak długo, jedynie sześć lub siedem tygodni - przypomniał mu Cole.

- Wydaje mi się, że trwało to o wiele dłużej. Dopiero niedawno zdałem sobie sprawę z tego, jak bardzo zwlekałem. Dorastałem praktycznie w samotności i nie wiedziałem zbyt dobrze, jak wygląda prawdziwa rodzina. Każde z was oddałoby życie, by ochronić resztę. Miłość i lojalność były dla mnie pustymi pojęciami. Kochałem ojca, byłem lojalny wobec niego i wobec mojego rządu. Moja lojalność obejmowała także Elliotta. Istnieje między nami więź, ponieważ razem wiele przeszliśmy, ale to nie to samo.

- Nie to samo co? - Cole próbował zrozumieć Hamsona.

- Co więc między braćmi i siostrami - wytłumaczył Harrison. - Wciąż mnie zadziwialiście. Obrażacie się nawzajem. Jesteście hałaśliwi i wiele od siebie wymagacie. Ciągłe się kłócicie, popychacie się nawzajem, a ja, na Boga, bardzo wam tego zazdroszczę. Latami wyobrażałem sobie lady Victorię jako ofiarę. Bóg musiał się jednak nią opiekować. Dał jej waszą czwórkę.

Harrison przerwał, by odetchnąć głęboko.

- Cole, za każdym razem, gdy popychałeś mnie tak, jak Trávisa lub Douglasa, za każdym razem gdy mi groziłeś lub naśmiewałeś się ze mnie, czułem, że jestem częścią tej rodziny.

Szczeróść Hamsona do głębi poruszyła braci. Cole zrozumiał jednak o wiele lepiej niż reszta, o co Harrisonowi chodzi. Ciągłe pamiętał samotność i pustkę, których doświadczył, zanim Adam wziął go pod swoje skrzydła.

- A twój drugi wielki błąd? - spytał Adam. - Powiedziałeś, że zrobiłeś ich kilka, ale jedynie dwa naprawdę cię zaskoczyły.

Harrison przytaknął. Dobrze pamiętał, co powiedział.

- Zakochałem się w waszej siostrze.

Cole potrząsnął głową.

- Znienawidzi cię, bo ją oszukiwałeś.

- Przez jakiś czas pewnie tak będzie - przyznał mu rację Harrison. - To nie szkodzi. Chcę, byście tu i teraz dobrze zrozumieli, co zamierzam. Będę ją miał.

Siła, z jaką to powiedział, przyciągnęła ich uwagę. Nie wiedzieli, jak rozumieć to gwałtowne stwierdzenie.

- Co przez to rozumiesz? - spytał Cole.

- Jestem człowiekiem honoru - zaczął Harrison. - Przynajmniej tak o sobie myślę.

- Co z tego? - niecierpliwił się Cole.

- Tłumaczę wam moje zamiary.

- Co właściwie chcesz nam powiedzieć? - spytał Travis.

- Chroniłem waszą siostrę, praktycznie trzymając się od niej z daleka.

Nadal będę ją chronił, ale zapewniam was, że od tej chwili nie mam zamiaru zostawić jej samej. Wytłumaczyłem sobie wszystkie powody, dla których nie jestem jej godny i żaden z nich już mnie nie obchodzi. Nigdy nie będę miał wystarczająco dużo pieniędzy. Pewnego dnia i ty, Travis, to zrozumiesz. Elliott ożeniłby ją z kimś o wiele bardziej godnym, według

pojęć jego środowiska, ale nie według moich. Nikt nie będzie jej kochał tak jak ja. Będzie należeć do mnie.

Cole'owi opadła szczęka. Harrison nigdy jeszcze nie mówił tak porywczo.

Douglas był równie zaskoczony.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że uwiedziesz naszą siostrę?

- Tak.

- Chyba nie mówisz tego na serio... - zaczął Travis.

- Biorę serio wszystko, co przed chwilą powiedziałem. Ona będzie do mnie należeć.

Na zawsze. Będzie nosić moje nazwisko i rodzić mi dzieci.

Travis potrząsnął głową.

- Nie mogę uwierzyć, że masz odwagę mówić nam o tym, co zamierzasz zrobić.

Douglas uśmiechnął się.

- Nie uważasz, że Mary Roses powinna się wypowiedzieć w kwestii uwiedzenia?

Dobrze wszyscy wiemy, że nie zmusiłbyś jej.

- Nie, nigdy nie zmusiłbym jej do zrobienia czegokolwiek, na co nie miałyby ochoty.

Ona mnie kocha, choć do końca jeszcze tego nie rozumiała.

Ale i na to przyjdzie czas. Jest bardzo inteligentną kobietą. Da mi zgodę, zanim spełnię ten związek, a zamierzam to zrobić.

- To ty tak uważasz - powiedział ostro Cole. - Adam, co o tym wszystkim myślisz?

- Ona go rzeczywiście kocha - odparł Adam. - Co do tego Harrison się nie myli.

- Harrison, ty jeszcze nie... - Travis chciał się spytać, czy Harrison uwiódł już Mary Roses, ale powstrzymał się. Od spojrzenia, jakie rzucił mu Harrison, dostał gęsiej skórki.

Cole zaśmiał się.

- Do diabła, Travis, nie byłby w takim złym humorze, gdyby się z nią przespał.

- Mówisz o naszej siostrze. Zmuszę cię, byś o tym pamiętał - burknął pod nosem Travis.

- A co z lordem Elliotem? - spytał Adam. - Powiedziałeś, że wydałby ją za kogoś bardziej odpowiedniego. Czy to znaczy, że nie powiesz mu o odnalezieniu jego córki?

- Oczywiście, że powiem - odparł Harrison. - Ma prawo o tym wiedzieć, Adamie. Nadejdzie wreszcie kres jego męki. Ten człowiek cierpiał wystarczająco długo.

Przez minutę żaden z nich się nie odezwał. Wszyscy bracia myśleli o ojcu Mary Roses, próbując wyobrazić sobie, jak się czuł straciwszy córkę.

W końcu Adam przełamał milczenie.

- Tak, wystarczająco długo cierpiał. Nie przestałbym szukać swojej córki.

Jestem pewien, że byłbym równie opętany myślą odnalezienia jej, jak Elliott.

Drogi Boże, jakiego bólu musiał doświadczyć on i jego żona. Serce mnie boli, gdy o tym myślę. Jego męka stała się naszą radością - dodał kiwając głową.

- Ciekaw jestem, czy to zrozumie.

- Zmuszę go, by zrozumiał - zapewnił najstarszego z braci Harrison. - Nie będzie was winił i nie wyśle nikogo za wami. Mary Roses ma w Anglii rodzinę. Tyle ciotek, wujów i kuzynów, że trudno ich wszystkich zliczyć.

Wasza siostra ma tytuł i majątek. Elliott nie przyjedzie tutaj, by ją zobaczyć.

Nie będzie musiał, gdyż ona pojedzie do niego.

- Jak możesz być tego tak pewien? - spytał Douglas. - Kilka minut temu stwierdziłeś, że jej nic nie powiesz. Czyżbyś zmienił zdanie?

- Nie, nic podobnego.

- Więc co? - spytał Cole.

- Ja jej nie powiem, wy to zrobicie.

Przez dłuższą chwilę nikt nic nie mówił. Harrison pomyślał, że bracia są zajęci walką z własnym sumieniem. ‘

W końcu zrobią to, co należy. Wystarczająco długo z nimi przebywał, by nie mieć wątpliwości, że zachowają się honorowo.

Adam podjął decyzję za całą czwórkę.

- Dobrze, powiemy jej.

- Nie będzie chciała stąd wyjechać - argumentował Cole.

- Nie musi od razu wyjeżdżać na zawsze - odparł jego argument Adam.

- Ma przecież obowiązki względem ojca.

- Ona na to tak nie spojrzy - powiedział Travis.

- Znasz swoją siostrę równie dobrze, jak ja. Naprawdę wierzysz, że pozwoli Elliottowi dalej cierpieć?

- Cholera jasna, nawet go nie zna - powiedział Douglas.

- Będzie musiała pojechać i go poznać. Będzie chciała go uspokoić. Jeśli łagodnie na nią naciśniemy, Mary Roses zrobi to, co należy. Być może będzie zwlekać, ale nie pozwolimy na to. Douglas, wiesz, że mam rację. Równie mocno to mi się nie podoba, jak tobie.

Harrison rozumiał ich rozterkę.

- Możecie winić tylko siebie - zauważył. - Wychowaliście ją na szlachetną osobę.

- Kiedy wyjeżdżasz? - spytał Douglas.

- Wkrótce - odparł Harrison. - Zostałem tu i tak zbyt długo - dodał. - Elliott spodziewa się, że przejmę prowadzenie negocjacji nad fuzją, którą zaplanował.

- Im szybciej odjedziesz, tym lepiej, jeśli o mnie chodzi - stwierdził Travis.

- Uważam, że nie musiałeś nam mówić o Elliocie. Jest starym człowiekiem, prawda? Zresztą już się poddał. Czemu musiałeś prowadzić te poszukiwania?

- Bo uważałem to za swój obowiązek. Znając go zrozumiałbyś mnie.

- Sądzę, że powinieneś wyjechać, zanim powiem Mary Roses - stwierdził Adam.

- Dlaczego?

- Wszystkim będzie wtedy łatwiej - odparł najstarszy brat.

- W jaki sposób? - spytał Harrison.

Adam nie odpowiedział. Surowy wyraz jego twarzy przekonał Hamsona, że nie ma sensu się kłócić.

- Kiedy zamierzacie jej powiedzieć? - zapytał.

- Gdy będziemy gotowi. Najpierw musimy o wszystkim we czwórkę porozmawiać. Postanowimy, co i kiedy trzeba zrobić. Nie chcę jednak, byś już wyjeżdżał. Jestem pewien, że będę miał więcej pytań wymagających odpowiedzi, zanim Mary Roses dowie się o czymkolwiek.

Harrison odsunął krzesło i wstał.

- Wiem, że był to dla was cios. Chętnie bym tego uniknął, gdyby to było w mojej mocy. Cholera, Elliott nie zasłużył na przebywanie w takim czyścicu.

Wy mieliście ją wystarczająco długo. Obserwowaliście, jak dorasta. Jej ojciec nigdy nie zaznał radości jej dzieciństwa. Pozwólcie mu chociaż teraz ją odzyskać. Pragnie ją ujrzeć, dowiedzieć się, że wszystko jest w porządku.

- Wy tłumaczyłem ci już, że Mary Roses sama będzie chciała to zrobić - odparł Adam.

- Nie odkładajcie tego - nalegał Harrison. - Dam wam tydzień, może dwa, jeśli tyle wytrzymam. Modłę się, byście postanowili powiedzieć jej niedługo.

Sądzę, że mylicie się chcąc, bym wyjechał, zanim z nią porozmawiacie, ale to wasza decyzja i ja ją uszanuję. Zaczekam czternaście dni. Gdy do tego czasu nie uzyskacie odpowiedzi na wszystkie swoje pytania, to będzie za późno.

Cole, nie waż się nawet ponownie o to pytać - dodał, zauważywszy wyraz twarzy Cole'a. - Dałem ci słowo. Nie powiem w tej chwili Mary Roses o jej ojcu, nie zrobię też tego za czternaście dni. Po prostu wyjadę. Wracam do Londynu. Powiem Elliottowi o wszystkim, jak tylko go zobaczę.

- Macie wiele spraw do przedyskutowania. Zostawię was samych. - Harrison skierował się ku drzwiom.

- Zaczekaj chwilę! - zawołał Cole. - Czy masz zamiar uwieść naszą siostrę przed czy też po tym, jak powiemy jej o ojcu?

- Powinienem poczekać, ale tego nie zrobię.

- Ty skurwy... - szepnął Cole.

Harrison przeszkodził mu w dokończeniu przekleństwa.

- Przedstawiłem wam swoje zamiary i warunki. Radzę wam je zaakceptować.

Wychodząc zamknął za sobą drzwi.

Młodszy bracia spojrzeli na Adama.

- Co teraz zrobimy? - spytał Cole.

- Nie musimy nic robić - stwierdził Douglas. - Słyszeliście, co powiedział Harrison. Elliott tu nie przyjedzie.

- Powiedział też, że Elliott nie będzie musiał tu przyjeżdżać - zauważył Travis. - Mary Roses pojedzie do niego.

- Chciałbym go nienawidzić - wyszeptał Cole, głosem ochrypłym ze smutku.

- Jak możesz chcieć nienawidzić Elliotta? - spytał Adam.

- Mówiłem o Hamsonie - odparł Cole. - Próbuje zniszczyć naszą rodzinę.

- On tego nie próbuje, gdyż już to zrobił - powiedział Travis.

- Musimy zrobić to, co należy - wyszeptał Douglas. Cierpiał mówiąc to.

- Ona musi pojechać, by go zobaczyć.

Travis i Cole wymienili zmartwione spojrzenia. Z całej czwórki byli najsłabsi i najbardziej przerażeni. Przyszłość wyglądała bardzo niepewnie, a każdy z nich myślał, że będzie musiał samotnie stawić jej czoło.

Mary Roses była powodem, dla którego połączyli się w rodzinę. Była siłą, która trzymała ich razem. Gdyby wyjechała, czy razem z nią nie zniknie powód, by nadal być rodziną?

Cole wiedział, że ten dzień nastąpi wtedy, gdy Mary Roses wyjdzie za mąż i wyjedzie, ale uparcie nie dopuszczał do siebie tej myśli. Anglia była jednak tak strasznie daleko, a myśl, że już nigdy nie zobaczy siostry, napawała go przerażeniem.

- Nasza siostra jest już dorosła - powiedział. - Wydaje się, że nastąpiło to nagle, z dnia na dzień. Wiedziałem, że pewnego dnia nas opuści, ale nie...

Nie dokończył.

- Czy pora już, byśmy stąd ruszali dalej?

- Za wcześnie jeszcze, by myśleć o takich rzeczach - powiedział Douglas.

- Cole, chciałeś kupić tę działkę w pobliżu gór, która przylega do naszej ziemi.

Nie chciałeś przypadkiem zbudować tam swojego domu?

- Wiesz, że chciałem - powiedział Cole.

- Nie rozumiem, dlaczego cokolwiek miałyby się zmienić. Travis tyle podróżuje, że nieczęsto bywa w domu. Nawet jeśli rodzina się rozpadnie, to ciągle mamy wspólne sprawy.

Adam pozwolił braciom wypowiadać swoje lęki. W końcu miał jednak dosyć ich rozczulania się nad sobą i postanowił ich zmusić do rozważenia obecnej sytuacji.

- Rozmowa o planach na przyszłość może poczekać. Mary Roses jest teraz najważniejsza. Nie będzie z tego wszystkiego zadowolona. Nie sądzę jednak, by miała czas się tym martwić. Oswoi się z myślą, że ma ojca, w drodze do Anglii.

- Chcesz przez to powiedzieć, że powinna jak najszybciej wyjechać? - spytał Travis.

- Tak. - Adam kiwnął głową.

Cole niechętnie przyznał mu rację.

- Im prędzej wyjedzie, tym szybciej będzie tu z powrotem.

- Jeśli w ogóle wróci - powiedział Travis.

Wszyscy zaczęli się ponownie martwić tą możliwością, po czym Adam stwierdził:

- Słyszeliście, co powiedział Harrison. Elliott jest bardzo bogatym człowiekiem. Mary Roses prowadziła tutaj dość odosobnione życie.

- Uczyła się w St. Louis - zaprotestował Cole. - Miała okazję zobaczyć trochę świata.

- Internat stał z dala od miasta. Była tam równie odosobniona - powiedział Adam.

- Czym się tak martwisz? - spytał Cole. - Myślisz, że bogactwo przewróci jej w głowie?

- Nie - odparł Adam. - Po prostu nie wiem, jak da sobie radę ze zmianami.

Nie chcę, by czuła się... bezbronna.

- Łatwo nawiązuje przyjaźnie - zauważył Douglas.

- Nie chcę, by ktokolwiek ranił jej uczucia, by myślała, że się do niczego nie nadaje - powiedział Adam.

- Kto z nią pojedzie? - zapytał Travis.

- Cała nasza czwórka - odparł Cole.

- Zastanów się chwilę - odezwał się Douglas. - Nie możemy wyjechać.

Mamy tu swoje obowiązki.

- Jesteśmy jej przeszłością - dodał Adam. - Stwierdzam to z przykrością, ale żaden z nas nie może z nią pojechać.

- Sugerujesz, że mamy ją puścić samą? - spytał Travis. Przeraziła go ta myśl.

- Harrison mógłby ją zabrać - stwierdził Travis.

Pomysł nie podobał się pozostałym braciom. Adam wpadł w końcu na pomysł, który wydał się im bardziej do przyjęcia.

- Eleanor mogłaby z nią pojechać. Mogłyby nawzajem na siebie uważać.

Rozumieją się już chyba nieźle. Mary Roses potrafi myśleć i wybrać to, co właściwe. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

- Sama przyjechała z St. Louis - powiedział Cole. - Wie, jak zachowywać się w obecności nieznajomych. Upewniłem się też, że potrafi używać rewolweru. Adam ma rację. Da sobie radę.

- Cohenowie jadą na Wschód na jakieś święto rodzinne. Muszę pojechać do Hammond, by sprzedać dwa konie. Wpadnę do nich i dowiem się o szczegóły. Może udałoby się wysłać Eleanor i Mary Roses z nimi.

- Byłoby świetnie, gdyby to się udało. Ufam Johnowi Cohenowi - powiedział Cole.

- Musimy zwrócić pieniądze - oświadczył Douglas. Wszyscy spojrzeli na niego.

- Jakie pieniądze? - spytał Cole.

- Pieniądze Elliotta - wyjaśnił Douglas. - Ktokolwiek porwał Mary Roses, musiał też ukraść pieniądze. Wydaliśmy co do grosza pieniądze z koperty, więc teraz musimy je zwrócić. Adam, czy mamy wystarczająco dużo oszczędności?

- Tak - stwierdził najstarszy brat. - Zgadzam się z tobą. Pieniądze zostały prawdopodobnie skradzione Elliottowi i powinniśmy je oddać. Przez pewien czas będziemy musieli trochę oszczędzać. Żałuję teraz, że kupiliśmy to bydło, ale już za nie zapłaciliśmy i nie możemy się wycofać.

Bracia rozmawiali o swoich wątpliwościach do późna w nocy. Adam postanowił w końcu iść spać.

- Powiemy jej o tym wspólnie - stwierdził.

- Kiedy? - Cole wstał i przeciągnął się.

- Pomyślimy o tym jutro - zaproponował Adam.

Travis i Cole wyglądali tak, jakby właśnie odroczone im wyrok śmierci przez powieszenie. Mieli co najmniej dwadzieścia cztery godziny, by udawać, że wszystko jest w porządku.

- Co zrobimy z Hamsonem? Czemu nie chcesz, by został po powiadomieniu Mary Roses? - spytał Adama Douglas.

- Muszę wypytać go o Elliotta - wytłumaczył Adam. - Muszę wiedzieć, co czeka Mary Roses. Chcę wiedzieć wszystko o Elliocie i o życiu, jakie prowadzi. Muszę być w stanie przygotować Mary Roses. Tylko Harrison może udzielić mi potrzebnych informacji.

- Musimy pamiętać, by trzymać go z dala od naszej siostry - nalegał Travis.

Cole potrząsnął głową.

- Do cholery, mężczyzna powinien złożyć obietnicę, zanim zacznie starać się o rękę kobiety.

Adam oparł się plecami o krzesło.

- O ile dobrze rozumiem, Harrison właśnie to zrobił.

7 lutego 1867

Droga Mamo Roses!

Mamy dla ciebie niespodziankę. Odłożyliśmy trochę pieniędzy, czekając na ten dzień. Wydaje nam się, że starczy ich, by Cole i Douglas przywieźli cię tutaj. Wysłuchaj mnie Mamo, zanim zaczniesz potrząsać głową. Przede wszystkim, jeśli martwisz się o koszty, to przestań - wszystko wyliczyliśmy. Jak tylko tu przyjedziesz, zobaczysz, że dobrze nam się wiedzie. Oczywiście, teraz jest zima i moi bracia będą mogli wyjechać dopiero po wiosennym spędzie bydła.

Ja muszę zajmować się naszym stadem. Zaczęliśmy z dwiema krowami zarodowymi, a teraz mamy ich dziesięć. Po nadchodzących narodzinach będziemy mieli pięć kolejnych. Spęd naszych krów nie jest kłopotem, ale sąsiad pomaga sąsiadowi, więc będziemy musieli pomóc rodzime Pearlmanow. Mają, około osiemdziesięciu sztuk bydła. Są dla nas wyjątkowo hojni. Nie chcą żadnej opłaty za korzystanie z ich byka. Obiecaliśmy kupić sobie własnego. Odwdzięczymy się im, gdy tylko to zrobimy.

Martwisz się o Liyonie, prawda? Wiem, że jest niewidoma i polega na Tobie w każdej najdrobniejszej sprawie, ale my też Ciebie potrzebujemy. Lwonia da sobie radę, jeśli nauczysz kogoś innego wykonywać Twoje obowiązki. Ma dwóch synów, którzy się nią opiekują. Wiem, że mają zły charakter, ale są jej synami, więc są za nią odpowiedzialni. Liyonia wszystko zrozumie. Proszę, nie sprzeczać się z nami. Czekaliśmy już wystarczająco długo, tak jak i ty. Nie zmienimy już zdania. Jeśli nie dostaniemy wieści od Ciebie, to Cole i Douglas zapukają do Twoich drzwi około pierwszego czerwca.

Całuję, John Quincy Adam Ciay borne Nawet na sekundę nie spuszczała jej z oczu. Travis, Douglas i Cole musieli chyba ustalić rozkład wart, gdyż każdy dokładnie wiedział, kiedy ma pilnować Mary Roses lub śledzić Hamsona. Zachowanie braci było skandaliczne. W dodatku Harrison był zajęty od rana do wieczora i rzadko nawet widywał ich siostrę. On sam

nie przywiązywał wagi do ich zachowania i jak gdyby nigdy nic zajmował się swoimi obowiązkami.

Zdaniem Adama jego bracia zachowywali się jak dzieci. Próbował im wytłumaczyć, że chronią siostrę przed mężczyzną, który zaprzysiągł jej wierność. Harrison obiecał w obecności czterech świadków, że będzie ją kochał i chronił. Użył słów „na zawsze”, co Adam interpretował jako: aż do śmierci.

Według niego deklaracja została złożona.

Travis powiedział mu, że oszalał. Mary Roses nie złożyła żadnego zobowiązania.

- Tylko dlatego, że nie daliście jej dość czasu sam na sam z Hamsonem, by mogła to zrobić - odparł Adam. - W okolicy nie ma żadnego kaznodziei.

Czy macie zamiar jechać po jakiegoś aż do Salt Lake? Mama Roses wyszła za mojego ojca w obecności swojej rodziny. Mojego ojca nawet tam nie było.

Dopiero po miesiącu złożył swoje przyrzeczenie.

- Czy miał do pleców przytknięty rewolwer? - spytał Travis.

- Nie, nie miał. Sam pragnął przysiąc jej wierność. Zostawcie Harrisona i Mary Roses w spokoju.

Do Trávisa przemówiłoby może rozumowanie Adama, gdyby Mary Roses nie była jego małą siostrzyczką. Była nią jednak, a to wszystko zmieniało. Nie obchodziło go, kto, co i komu przyrzekł. Po prostu nie mógł pogodzić się z myślą, że jego siostra miałaby obcować z jakimś mężczyzną. Na myśl o tym dostawał mdłości.

Mary Roses zauważyła, że coś jest nie tak, ale nikt nie chciał jej powiedzieć, o co chodzi. Atmosfera na ranczo była bardzo napięta. Trzej spośród jej braci zachowywali się dość dziwnie. Cieszyło ją ich towarzystwo, ale nie mogła zrozumieć, czemu pragnęli wciąż z nią przebywać.

Nie pozwalali jej spędzić ani chwili z Hamsonem. Spytała Cole'a, czemu wszyscy są tacy zdenerwowani. Mruknął pod nosem coś o kłopotach finansowych. Powiedziała mu na to, że powinien mieć więcej wiary w Boga i w siebie samego. Poradzili sobie w trudniejszych chwilach, więc i teraz dadzą sobie radę.

Trudno jej było zapomnieć o rozczarowaniu, jakiego doznała po rozmowie Hamsona z jej braćmi. Okazało się, że Eleanor myliła się sądząc, że poprosi o jej rękę. Travis powiedział, że Harrison omawiał z nimi kwestie finansowe.

Nie potrafił podać powodu, dla którego została wykluczona z rozmowy.

Uznała, że Harrison jako jedyny może jej wyjaśnić, czemu nie chciał, by w niej uczestniczyła. Sprawiał wrażenie, jakby jej unikał. Mrugał do niej, gdy tylko ją mijał, ale przez cały tydzień nie powiedział do niej więcej niż dziesięć słów.

Martwiło ją to i w końcu postanowiła znaleźć sposób na rozmowę w cztery oczy. Eleanor była gotowa jej pomóc. Gdy złagodziła swoje nastawienie wobec rodziny i otworzyła przed nią serce, stała się dobrą przyjaciółką.

Mary Roses trzykrotnie w ciągu tego tygodnia odwiedziła Corrie. Jeździła tam częściej, niż było to konieczne, ale miała nadzieję, że bracia będą zbyt zajęci i Harrison z nią pojedzie. Jak dotąd jej plan się nie powiódł. Nie miała jednak zamiaru się poddać.

Za każdym razem, po powrocie, miała do przekazania rodzinie wspaniałe wiadomości. Gdy przyjechała do Corrie w poniedziałek, odkryła, że na środku polany stoi fotel na biegunach. Jej zdaniem było to bardzo miłe ze strony Corrie, że dbała o jej wygodę. W środek fotel stał przed oknem, tuż przy schodach. Corrie z każdą wizytą pozwalała jej bardziej się zbliżyć. Mary Roses nie musiała już wykrzykiwać każdego słowa.

Najbardziej udana była wizyta piątkowa. Fotel stał na werandzie, zaraz przed oknem, zwrócony w stronę polany. Mary Roses przyznała podczas kolacji, że czuła się trochę niepewnie wchodząc po schodach. Z okna nie wystawała jednak strzelba, więc pomyślała, że Corrie sprawdza, czy ma wystarczająco dużo odwagi, by siedzieć plecami do niej.

Spokój Hamsona zniknął nagle, gdy tylko im to opowiedziała. Jego serce niemalże przestało bić. Zerwał się na nogi i zaczął krzyczeć.

- Czyście kompletnie zwariowali? Travis, byłeś z nią, prawda? Jak mogłeś pozwolić siostrze podejść tak blisko do...

- Uspokój się - powiedział Travis. - Miałem strzelbę w pogotowiu.

W każdej chwili mogłem znaleźć się na werandzie.

- Przez ten czas mogła już być martwa! - ryknął Harrison. Jego wściekłość zdawała się nie mieć granic.

Zanim Travis zdał sobie sprawę, co się dzieje, Harrison schwycił go jedną ręką i uniósł z krzesła, które wywróciło się do tyłu. Cole spojrzał w dół, zauważył, że nogi Trávisa nie dotykają ziemi, po czym ponownie przeniósł wzrok na Hamsona.

W oczach Cole'a widać było podziw dla siły Szkota. Travis nie był chudzielcem, a mimo to Harrison podniósł go bez wysiłku.

- Hej, Harrison, to nie jest chyba odpowiednie zachowanie przy stole - wycodził przez zęby Cole.

Harrison zignorował go. Cały czas patrzył na Trávisa.

- Corrie mogła wbić jej w plecy nóż, poderżnąć gardło lub zrobić Bóg jeden wie co jeszcze. Czy pomyślałeś o tym, gdy trzymałeś strzelbę w pogotowiu?

- Puść go! - rozkazał Adam.

Harrison zdał sobie w końcu sprawę z tego, co robi, i puścił najmłodszego z braci. Travis zachowywał się spokojnie - był zbyt zdziwiony nagłą reakcją Hamsona, by się rozgniewać.

Cole podniósł jego krzesło, zaczekał, aż Travis zaczął siadać, po czym spróbował wyciągnąć krzesło spod niego. Travis znał dobrze ten numer.

Szturchnął Cole'a mocno ramieniem, po czym ponownie się usadowił.

- Ponieważ przejąłeś się bezpieczeństwem Mary Roses, to nie uderzę cię.

Masz szczęście, że moja koszula się nie podarła - powiedział pod nosem. - Wtedy na pewno byś oberwał.

- Chętnie bym ci ją zszyła, gdyby Harrison ją podarł - wtrąciła się Eleanor.

- Prawda, że bym to zrobiła, Mary Roses?

Odpowiadając Eleanor Mary Roses cały czas przyglądała się Harrisonowi.

- Oczywiście, że tak.

Harrison znów zachowywał się dziwnie. Miły i dobry człowiek, którego tak bardzo lubiła, znów stał się barbarzyńcą. Uświadomiła sobie, że w ostatnich dniach zdarzało się to coraz częściej. Powinna się już przyzwyczaić do jego zmiennych nastrojów, ale tak nie było. Przynajmniej jej nie przerażał, pomyślała. Jedyne zapierał jej dech w piersiach.

Doszła do wniosku, że ani trochę nie podoba się jej jego nieprzewidywalne zachowanie. Stał się wyjątkowo agresywny i nie wiedziała, co spowodowało taką zmianę.

Rozejrzała się wokół stołu, szukając osoby, którą mogłaby obarczyć winą. Jej spojrzenie zatrzymało się na Cole'u, który widząc to mrugnął do niej.

- Harrisonowi udało się chyba przyciągnąć twoją uwagę - powiedział. - Wyglądasz na oszołomioną.

Zupełnie jej to nie rozśmieszyło. Skrzywiła się z niesmakiem i wskazała na brata palcem.

- To wszystko twoja wina, Cole'u Clayborne. Masz zły wpływ na Hamsona od momentu, gdy się tu zjawił. Kiedyś był dżentelmenem. Spójrz na niego teraz. Jeśli go zepsułeś, to nigdy ci tego nie daruję.

- Mary Roses, nie pokazuj na nikogo palcem - pouczył Adam. Nie czynił tej uwagi z pełnym przekonaniem. Starał się nie roześmiać, by nie ranić uczuć siostry. Jeśli wierzyła, że Cole zepsuł charakter Hamsona, Adam nie miał zamiaru zmieniać jej opinii.

Cole nie był tak opanowany, a uczucia siostry też go aż tak bardzo nie obchodziły, więc wybuchnął śmiechem.

- Mary Roses, on jedynie udawał, że jest dżentelmenem. Jest taki, jak wszyscy.
- Może taki jak Adam, ale na pewno nie zachowuje się tak jak ty, Douglas czy Travis.
- Co jest z nami nie tak? - zapytał Douglas.

Zignorowała pytanie i zwróciła się do Hamsona, który ciągle stał przy końcu stołu.

- Sądzę, że powinieneś trzymać się z dala od Cole'a. Ma na ciebie zły wpływ. Już zdążyłeś nabrać złych manier.

- Na przykład? - spytał Harrison.
- Na przykład stałeś się nieuprzejmy - odparła.
- Chodź tu, Mary Roses.

Westchnęła, gdyż wyczytała z jego oczu, że sprzeczenie się jest bezcelowe.

Odłożyła serwetkę, wstała i podeszła do Hamsona.

Położyła rękę na jego ramieniu.

- Nie należało tak unosić Tralisa z krzesła.
- Tak - przyznał. - To nie było właściwe.

Cieszyła się, że rozumiał.

- Więc jest ci przykro. - Uznała, że ułatwi przeprosiny..
- Nie, wcale nie jest mi przykro.

- Na litość boską, Harrison. Chciałabym, byś przestał mieć takie humory.

Są bardzo denerwujące.

- On przecież zachowuje się jak normalny człowiek - powiedział Douglas.

- Jak dla mnie jest to dosyć miła odmiana.

- Pomagam mu pozbyć się miejskich przyzwyczajzeń - dodał Cole. - Powinnaś mi za to podziękować, siostró.

- Jeśli chodzi o Corrie... - zaczął Harrison, pomijając rozmowę o jego zachowaniu.

Mary Roses ścisnęła jego rękę.

- Chciałabym, byś mnie posłuchał, Harrison. Dobrze ci to robi.
- Nieźle się zapowiada - szepnął Travis wystarczająco głośno, by wszyscy usłyszeli.
- Zajmij się swoimi sprawami - powiedziała Mary Roses.

- Możesz udzielić mi rad po tym, jak porozmawiamy o Corrie - nalegał Harrison.

- Wiem, czego chcesz - powiedziała westchnąwszy. - Chcesz, bym przeprosiła za wejście po tamtych schodach, tak?

- Chcę, byś zaczęła używać rozumu, który od Boga otrzymałaś. Więcej tak nie ryzykuj.

- Będę uważać. - Nie chciała się już kłócić.

Harrison odprężył się.

- Dziękuję.

Pochylił się i pocałował ją. Był to miły, pełen ciepła, niewymuszony pocałunek, który skończył się, zanim zdążyła zareagować.

- Przestań całować naszą siostrę - w głosie Douglasa nie było śladu złości.

Harrison ponownie pocałował Mary Roses. Potem objął i przyciągnął do swojego boku. Rozmyślnie okazywał zaborczość.

Zwrócił się potem do Trávisa.

- Jeśli nie mogę ufać, że ją obronisz...

- Jeśli nie możesz mi ufać? Przygarnął kocioł...

- Opuść sobie, Travis - poradził Adam. - Harrison, usiądź. Mary Roses, wróć na swoje miejsce.

Poszła w stronę krzesła nie wierząc, że to się wydarzyło. Co napadło Harrisona? Nigdy jeszcze tak otwarcie nie okazywał swoich uczuć w obecności jej braci.

- Kto piekł te ciasteczka? - spytał Travis.

- Ja - odezwała się Eleanor. - Czemu pytasz? Nie smakują ci?

- Oczywiście, że mi smakują. Są bardzo dobre.

- Cieszę się, że ci smakują. - Uśmiechnęła się zadowolona. - Jeśli chcesz, to jutro też je zrobię. Mogłabym nawet upiec ciasto. Jestem całkiem przydatna, prawda. Mary Roses?

- Pewnie, że jesteś - odparła.

- Jesteś naprawdę pomocna - dodał Douglas.

- Staram się - odparła Eleanor.

- Jakiej rady chciałaś udzielić Harrisonowi? - spytał siostrę Cole.

- O co pytałeś?... Rada? Tak, już pamiętam.

Była ciągle roztrzęsiona pocałunkiem Harrisona i starała się wrócić do równowagi.

- Chciałam poradzić Harrisonowi, by posłuchał mojej rady.

- Ale co to za rada, do cholery? - niecierpliwił się Cole.

- Uważaj na to, co mówisz - odparła Mary Roses. - Najpierw głową, dopiero potem sercem. Trzeba pomyśleć, zanim coś się zrobi.

Cole zwrócił się do Harrisona.

- Gdzieś to już chyba słyszałem.

Harrison sprawiał wrażenie, jakby chciał uderzyć głową o coś twardego.

- Pewnie mówiła to twoja siostra - odparł beznamiętnie. - Mary Roses?

- Słucham?

- Doprowadzasz mnie do rozpacz.

Adam zaczął się śmiać.

- Nie złość się, siostrze. Harrison nie chciał cię obrazić. Znowu naszedł go zły nastrój.

Eleanor poklepała dłoń Mary Roses.

- Nadal jest niemiły, prawda?

Mary Roses nie odpowiedziała, pozwoliła braciom wyśmiać się do końca, po czym zmieniła temat.

- Chcecie usłyszeć o dalszym ciągu mojej wizyty u Corrie? - spytała.

- Sądzę, że Harrison nie ma już na to siły - powiedział Cole.

- Dalej, siostrze, opowiedz nam resztę historii - zachęcił ją Adam.

- Corrie dotknęła mnie. Opowiadałam jej o wszystkich wydarzeniach, kiwając się tam i z powrotem na krześle, gdy nagle poczułam jej rękę na ramieniu. Była leciutka niczym skrzydła motyla. Nawet poklepała mnie i uszczypnęła, ale tylko raz.

- Po co to zrobiła? - zaśmiał się Douglas.

- Skąd Mary Roses miałyby wiedzieć? - zauważył Travis. - Ta kobieta wciąż się do niej nie odzywa.

- Och, wiem chyba, czemu mnie uszczypnęła, ale nie chcę zanudzać was szczegółami. Eleanor, podaj, proszę, ciasteczka. Wyglądają wspaniale.

- Smakują równie dobrze. Travis tak powiedział - stwierdziła Eleanor.

Podawała Mary Roses talerz i poradziła wziąć od razu dwa.

- Nie zanudzisz nas - powiedział Cole. - Powiedz, czemu cię uszczypnęła.

- No dobrze - zgodziła się wiedząc, że brat nie przestanie pytać, dopóki mu nie wytłumaczy. - Trochę narzekałam i chyba miała już dosyć słuchania tego. Przestałam jęczeć, gdy tylko mnie uszczypnęła.

- Powinniśmy byli zacząć cię szczypać wieki temu - zażartował Adam. - Gdybyśmy tylko wiedzieli, jakie to skuteczne.

- Naprawdę nie powinnaś narzekać - pouczyła ją Eleanor. - Ludzie tego nie lubią.

- Kiedy na to wpadłaś? - spytała Mary Roses.

- Musiałaś zauważyć, że ostatnio już przestałam narzekać.

- Oczywiście, zauważyłam - zapewniła Mary Roses przyjaciółkę.

- Zorientowałam się, jak męczące jest moje zachowanie, gdy szłam do domu z miasta. Nie pamiętasz pęcherzy, jakie porobiły mi się na stopach? Cóż, będąc sama i w ogóle, miałam czas pomyśleć o swoim nastawieniu do życia.

- Miło jest słyszeć twój śmiech. Teraz w ogóle miło jest z tobą przebywać i tyle nam pomagasz, że zastanawiam się, jak dawaliśmy sobie bez ciebie radę.

- Dziękuję ci, Adamie.

- Kiedy to byłaś sama? - spytała Mary Roses.

Spojrzawszy przez przypadek na Cole'a zauważyła, że z trudem kryje uśmiech.

- Czy powiedziałam, że byłam sama? Więc nie byłam - wyrzuciła z siebie Eleanor. - Zapomnij, że o tym wspomniałam.

Mary Roses za nic w świecie by tego nie zrobiła. Coś wydarzyło się w drodze powrotnej z Blue Belle i zamierzała się tego dowiedzieć.

- Eleanor, pomogłabyś mi posprzątać ze stołu i przynieść kawę?

- Oczywiście - odparła Eleanor. - Staram się być pomocna. Mam nadzieję, że o tym pamiętasz.

Mary Roses zebrała część naczyń i poszła do kuchni. Eleanor przyszła chwilę później z resztą talerzy. Położyła je z boku na kredensie, po czym obróciła się, by wziąć dzbanek z kawą.

Mary Roses nie pozwoliła jej wyjść z kuchni. Stała w drzwiach, założyła ręce i powiedziała:

- Mów, Eleanor. Co się wydarzyło w drodze z miasta do domu? Coś się na pewno wtedy stało.

- Nic, przysięgam - protestowała Eleanor. - Nawet przez chwilę nie byłam sama. Mówię szczerze. Proszę cię, nie rób niczego pochopnie.

- Czego na przykład?

- Nie każ mi wyjeżdżać. Proszę cię, nie głosuj przeciwko mnie.

- O czym ty, na miłość boską, mówisz?

Eleanor powiedziała jej o wszystkim.

Mary Roses wpadła w furję. Harrison i Cole byli okrutni i bezduszni, jeśli potrafili tak nastraszyć Eleanor. Dobre dziesięć minut uspokajała przyjaciółkę.

W tym czasie jej gniew przygasł odrobinę. Eleanor, zachęcona sympatią i zrozumieniem przyjaciółki, ponownie opisała swoje straszne przeżycie, ubarwiając po drodze różne szczegóły. Gdy skończyła, Mary Roses była ponownie w bojowym nastroju.

Douglas dziękował Bogu, że siostra wyszła z jadalni, gdyż chciał bez przeszkód porozmawiać o Corrie.

- Miałem czas zastanowić się nad tym, co powiedział Harrison - oznajmił cicho, by Mary Roses nie usłyszała. - Szalona Corrie mogła zranić Mary Roses.

Travis, nie powinieneś być pozwolić jej wejść na werandę.

- Nic jej nie groziło. Corrie lubi Mary Roses, przecież zostawiła dla niej w jaskini koldrę.

- Skąd wiesz, że koldra należała do szalonej Corrie? - spytał Douglas.

- Na litość boską, Douglas, jeśli masz coś do mnie, to powiedz to wprost, zamiast używać głupich argumentów.

- Ona jest szalona - wtrącił się Cole.

- Jak na to wpadłeś? - spytał Travis.

- Normalni ludzie nie witają gości strzelbą wystającą z okna. Zgadzam się z Douglasem, ma rację...

- Nie, to ja się pomyliłem - oznajmił Harrison.

Wszyscy bracia spojrzeli na niego.

- Zareagowałem zbyt gwałtownie. - Westchnął głęboko. - Będąc na twoim miejscu nie pozwoliłbym jej wejść na werandę, ale nie powinienem być tak wybuchnąć podczas kolacji.

- Więc czemu to zrobiłeś?

- Jestem ostatnio trochę zdenerwowany - powiedział wzruszając ramionami.

Adam oparł się o krzesło.

- Wydaje mi się dziwne... - powiedział do pozostałych stołowników.

- Co ci się wydaje? - spytał Cole.

- Chłopaki, jeśli chcecie, to potraficie być cicho, a mimo to Harrison wiedział, że byliście w baraku i przeszukiwaliście jego rzeczy. Pozwolił wam myśleć, że śpi.

- Co z tego? - dopytywał się Cole.

- Wydaje mi się dziwne, że Corrie weszła do jaskini, przykryła Mary Roses i wyszła, a Harrison w tym czasie spał w najlepsze. O, tak - dodał z uśmiechem - bardzo mnie to ciekawi.

- Widziałeś ją, prawda? - Cole zwrócił się do Hamsona.

- Tak, widziałem ją.

- Czemu nam o tym nie powiedziałeś? - spytał Travis.

- Nie chciałem, by Mary Roses się o tym dowiedziała. Ona wtedy spała.

Corrie nie była tamtej nocy szalona. W jej oczach widać było ciepło i opiekuńczość, gdy stała nad Mary Roses i przyglądała się jej. Nie wiem jednak, czy jej nastrój nie zmienia

się równie często jak wiatr i czy za chwilę nie mogłaby stać się niebezpieczna. Widziałem ją tylko kilka minut i nie byłbym gotów ryzykować życia Mary Roses. Nadal uważam, że wasza siostra powinna zachować ostrożność.

- Jak wyglądała? - spytał Douglas.

- Jakby ktoś rzucił się na nią z toporkiem.

- Biedna kobieta. - Ciarki przeszły po plecach Trávisa.

- Dlaczego ona nie mówi? - spytał Cole.

- Nie jestem pewien, czy może.

- Więc sądzisz, że jej gardło... - Travis nie był w stanie dokończyć. Był wstrząśnięty obrazem, który zarysował się w jego wyobraźni.

Cole był chyba jedyny z braci, który zdawał się w ogóle tym nie poruszony.

- Czemu nie powiedziałeś Mary Roses, że widziałeś Corrie?

- Nie chciałem wtrącać się w jej sprawy. Corrie należy do niej, więc to ona powinna pierwsza ją zobaczyć.

- Myślisz, że Corrie kiedykolwiek się na to zgodzi?

- Wątpię, ale kto wie? - przyznał Harrison.

- Mary Roses pewnie zemdleje lub zacznie krzyczeć - powiedział Travis.

- Cholera, ja bym tak zrobił.

Harrison potrząsnął głową.

- Nie, twoja siostra w ogóle się tym nie przejmie.

Adam pokiwał głową.

- Dobrze ją znasz, Harrison.

- Zbiera się na bunę - zauważył Douglas.

- Czy słyszałeś piorun? - spytał Cole.

- Cholera jasna. MacHugh nienawidzi piorunów.

Bracia roześmiali się.

- On nienawidzi wszystkiego - stwierdził Travis.

- Na pewno lubi Adama - powiedział Douglas. - Co zrobiłeś, że po dzisiejszej przejażdżce chodził za tobą jak piesek?

- Posłuchałem rad Hamsona i pochwaliłem go. Lubi słuchać, jaki z niego dobry koń. Jesteśmy bratnimi duszami, Douglas.

- Czy zaopiekujesz się nim, gdy odjadę? - spytał Adama Harrison.

- Nie zabierzesz go ze sobą? - spytał Douglas.

- Nie wytrzymałby podróży przez ocean.

- Niech zgadnę - wtrącił się Cole. - MacHugh nienawidzi wody?

Harrison spoważniał.

- Obiecaj mi coś, Adamie. Niezależnie od tego, co by się stało, nie sprzedawaj go.

Jeśli nie uda mi się wrócić, ty go zachowasz.

Adam zgodził się.

- Czy myślisz, że wrócisz?

Zanim Harrison zdążył odpowiedzieć, Travis zadał mu kolejne pytanie.

- Ciągle zamierzasz wyjechać w przyszłym tygodniu?

- Nie - odparł Harrison. - Postanowiłem wyjechać pojutrze.

- Dlaczego zmieniłeś zdanie? - dopytywał się Cole.

- Mary Roses.

Zdawało mu się, że taka odpowiedź wystarczy. Douglas domagał się jednak szczegółów.

- Chcesz zmusić nas do wcześniejszego poinformowania jej? To nasza sprawa, nie twoja. Czemu nie możesz dłużej poczekać?

- Myślę, że powinien niedługo wyjechać - wtrącił się Travis. - Zaczynam mieć dosyć ganiań za Mary Roses. Będzie bezpieczniejsza, gdy on wyjedzie.

- Pozwólcie mu powiedzieć, dlaczego przesunął termin wyjazdu - nalegał Douglas.

Harrison postanowił być szczery.

- To proste, panowie. Doszedłem do kresu mojej wytrzymałości. Nie mogę być z nią w tym samym pokoju i nie...

- Nie musisz wnikać w szczegóły - stwierdził pospiesznie Cole. - Rozumiemy, o co ci chodzi.

- To obrzydliwe - powiedział pod nosem Travis, gdyż dotyczyło to jego siostry.

- Słyszycie? Znowu - powiedział Douglas - Znowu co? - spytał Travis.

- Piorun - wyjaśnił Douglas. - Odgłos dobiega z kuchni.

- O czym, do diabła, mówisz? - spytał Cole.

Douglas nie musiał niczego tłumaczyć. Mary Roses krzyknęła, by Harrison przyszedł do kuchni. Eleanor równie głośno zawołała Cole'a.

Dwaj mężczyźni spojrzeli na siebie.

- Chyba dogadały się w pewnej kwestii - powiedział Cole.

- Chyba? - spytał chłodno Harrison.

Cole nie miał ochoty się ruszyć. Harrison odłożył serwetkę i z niepewnym wyrazem twarzy wstał.

- Masz zamiar tam pójść? - spytał Travis.

- Oczywiście - odparł Harrison.

- Po co, u diabła?

- By go złapać - powiedział Harrison. - Wstawaj, Cole. Idziesz ze mną.

- Cole rzucił w Trvisa serwetką i poszedł za Harrisonem do kuchni. Mary Roses odezwała się pierwsza.

- Jak mogłeś być tak okrutny? To było paskudne i nieludzkie z twojej strony wyrzucić ją w samym środku pustkowia. O czym wtedy myślałeś?

Harrison nie miał nawet czasu się bronić. Eleanor z pośpiechem przysunęła się do Mary Roses i podobnie jak ona przyjęła bojową postawę, z rękami skrzyżowanymi na piersi.

- Mam pęcherze na stopach, które, na Boga, krwawiły. Czy Cole brał w tym udział? Na pewno to zrobił, prawda?

Spojrzała z nienawiścią na brata Mary Roses:

- Nigdy, ale to nigdy ci nie przebaczę.

- Wy dwaj zostawiliście ją samą. Bóg raczy wiedzieć, co mogło się jej przydarzyć. W górach mieszkają dzikie zwierzęta. Zapomnieliście o nich?

Eleanor mogła... miałaś swój rewolwer? - spytała przyjaciółkę.

- Nie miałam. - Potrząsnęła głową. - Gdybym miała broń, to zastrzeliłabym Harrisona.

- Jakbyś się czuł, gdyby coś strasznego mi się przydarzyło? - spytała Cole'a Eleanor.

Cole poszedł do stołu kuchennego i oparł się o niego.

- Nic ci się nie stało. - Mówił głosem pełnym rozsądku i spokoju.

- Nigdy nie było żadnego głosowania! - krzyknęła Eleanor. - Byłam miła, nie wiadomo po co. Zrobiłam nawet ciasteczka, do cholery!

Cole wzruszył ramionami.

- Były bardzo dobre - powiedział. - Bycie miłym nie zabija, więc nie udawaj, że to coś strasznego.

- Cały czas ktoś jej pilnował. - Głos Harrisona był równie rozsądny.

- Kto taki? - spytała Mary Roses.

- Najpierw Dooley, potem zmienił go Duch, a na samym końcu Henry - wyjaśnił Cole.

- Duch? Dobry Boże, tylko nie Duch. Czy on wtedy pił?

- Tak - odparła Eleanor. - Był najwyraźniej odurzony.

- Jaki? - spytał Cole.

- Pijany - wytłumaczyła. - Nie mógłby mi pomóc, gdyby coś się stało.

- Nie możesz być tego pewna - zauważył Cole.

- Na Boga, myślał, że jestem aniołem.

- Więc był pijany. - Cole wybuchnął śmiechem. Bardziej zdyscyplinowany Harrison pozwolił sobie jedynie na mały uśmiech.

Eleanor pragnęła, by Cole przyznał, że oplakiwałby ją, gdyby wtedy zginęła. Wiedziała, że zachowuje się melodramatycznie, ale się tym nie przejmowała. Przecież ją pocałował. Musiał coś do niej czuć. Pomyślała, że byłoby cudownie, gdyby o tym powiedział.

- Co byś zrobił, gdybym zginęła?

- Nic takiego się nie stało. Ale nieźle wyglądasz, gdy zarumienią ci się policzki.

- Odpowiedz na pytanie - nalegała Eleanor.

- Dobrze, odpowiem. Pewnie bym cię pochował.

- Pochowałbyś mnie.

Nie wyglądała na zadowoloną. Uznał, że nie takiej odpowiedzi od niego oczekiwała.

- Wybrałbym naprawdę ładne miejsce.

Harrison objął ramieniem Mary Roses.

- Zrobiłbym dla ciebie to samo - obiecał.

Po jego oczach poznała, że w głębi serca śmieje się.

- Jak ty o mnie dbasz - szepnęła.

Eleanor przysunęła się do Cole'a.

- Co byś potem zrobił?

- Nie musisz tak podnosić głosu. Pęka mi od tego głowa.

- Przepraszam - dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że przeprasza. - Proszę, powiedz mi, co byś zrobił po pochowaniu mnie w ładnym miejscu.

Cole udał, że nad tym rozmyśla.

- Cóż, musiałbym wykopać dla ciebie głęboki grób, by nie dostały się do ciebie zwierzęta. A o tej porze roku jest dosyć gorąco - powiedział.

- Tak - przyznała mu rację. - Jest bardzo gorąco.

- Pewnie wróciłbym do domu i powiedział o wszystkim Mary Roses.

Byłoby jej chyba dosyć smutno, prawda, Harrison?

- Pewnie, że tak - zgodził się Harrison.

Zarówno Eleanor, jak i Mary Roses nie były w stanie już się gniewać.

Chciało im się śmiać, gdy słyszały, jak Cole gada i gada, cedząc słowa jak rasowy kowboj.

- Co byś zrobił dalej? - spytała Eleanor.

- Strzeliłbym chyba sobie piwo.

Obróciła się na pięcie i wyszła z kuchni. Wiedziała, że zaraz się uśmiechnie, a nie chciała, by Cole to widział.

Dogonił ją w korytarzu w momencie, gdy chciała popchnąć wahadłowe drzwi do jadalni.

Schwycił ją w pasie i zmusił, by się odwróciła.

- Czego właściwie spodziewałaś się, że powiem?

- Miałam nadzieję, że przynajmniej przyznasz, że byłoby ci smutno. Nie spodziewałabym się nigdy po takim mężczyźnie jak ty, by jakkolwiek okazał swoją żalobę.

- Pewnie, że byłbym w żalobie.

- Wcale nie jest ci przykro, że mnie okłamałeś?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo byłaś prawdziwą drzazgą w tyłku, Eleanor. Bardziej cię lubię taką, jaka jesteś teraz. Jesteś o wiele sympatyczniejsza, gdy nie wrzeszczysz cały czas. Poza tym zdołałem cię pocałować, co nie byłoby możliwe, gdyby Harrison nie porzucił cię w górach. Tak na marginesie, to był w całości jego plan.

Chcesz, bym znów cię pocałował?

- Owszem.

Ręka Cole'a przesunęła się w stronę jej szyi, po czym gwałtownie przyciągnął Eleanor do siebie.

- Pali się w tobie ogień, Ellie. Powodujesz, że mężczyzna chce zbliżyć się do ciepła, być naprawdę blisko. Przez cały tydzień pragnąłem cię ponownie pocałować.

- Cole? - szepnęła sennym głosem.

- Tak?

- Czy mógłbyś się już do tego zabrać?

Śmiał się, gdy ich usta się zetknęły. Jeden pocałunek nie wystarczył - Cole uznał, że pragnie więcej. Zupełnie przy tym zapomniał, że zostawił w kuchni Mary Roses z mężczyzną, który pragnie ją uwieść.

Jego siostra była wdzięczna za chwilę odosobnienia. Chciała porozmawiać z Harrisonem i dowiedzieć się, czemu jej unika. Coś było nie tak i nie chciała się już dłużej tym martwić.

Gdy Cole opuścił pokój, Harrison podszedł do tylnych drzwi i zaczął patrzeć w ciemność.

Chłodny powiew wpadał przez siatkowe drzwi.

- Na co tak patrzysz? - spytała.

- Na raj.

Odwrociwszy się odkrył, że Mary Roses stoi tuż obok. Nie mówiąc ani słowa, wziął ją za rękę, odwrócił się i wyszedł na dwór.

Posłusznie poszła za nim. Spodziewała się, że zatrzyma się na werandzie, ale on zszedł po schodach i poszedł dalej poprzez podwórze. Stawiał długie kroki, jakby dokądś zmierzał. Chciał oddalić się od jej braci, by móc w spokoju porozmawiać. Puścił jej dłoń w połowie podwórza i podszedł do corralu. Stał ze skrzyżowanymi ramionami, plecami oparty o drewniany płot.

Stała jakieś trzy metry od niego. Chciała podbiec, objąć ramionami i mocno się do niego przytulić. Nie ruszyła się jednak, czekając, by pokazał, że chce, by się zbliżyła.

Zdawał się usatysfakcjonowany patrzeniem. Jego badawcze spojrzenie jej nie przeszkadzało. Oczy Hamsona przepelniało ciepło. W spojrzeniu miał tyle dobroci, że poczuła się, jakby już ją głaskał. Instynktownie zbliżyła się do niego, ciągle patrząc mu w oczy. Nawet nie próbowała bronić się przed reakcją własnego ciała. Czowała, że brakuje jej tchu, choć nawet jej nie dotknął. Zrobiło jej się gorąco i niecierpliwiła się z tęsknoty.

Tęskniła za jego objęciem. Zastanawiała się, czy Harrison zdaje sobie sprawę, jak bardzo zmienił się od czasu przyjazdu do Montany. Pojawiło się w nim coś dzikiego, szorstkość, której wcześniej nie zauważyła. Zawsze był umięśniony i wysoki, ale teraz nabrali cech herkulesowych. Opalił się na ciemniejszy brązowy kolor. Choć było to niemożliwe, jego oczy też zdawały się ciemniejsze, a o wiele dłuższe włosy sięgały już ramion. Były równie ciemne, jak kiedyś, lecz w świetle księżyca wydawały się przeplecione złotymi pasmami.

Im dłużej na niego patrzyła, tym trudniej było jej złapać oddech.

Harrison zauważył niewielką zmianę, jaka w niej zaszła. Jej oczy nabrały ciemnobłękitnej barwy, a na twarzy pojawił się wyraz oszołomienia. Cholernie go podniecała.

Rozumiał, co się z nią dzieje. Jej oczy zawsze nabierały tego koloru, gdy ją całował. Wtedy przyczyną była namiętność, ale jaki był powód tym razem?

Sądził, że wie, ale zamierzał usłyszeć to od niej samej.

- O czym myślisz? - powiedział niskim głosem, z twardym szkockim akcentem.

- Myślę o tym, że jesteś piękny - szepnęła. - Wiesz przecież, że jesteś.

Już gdy pierwszy raz cię spotkałam, uważałam, że jesteś przystojny, ale teraz brak mi tchu, gdy tylko na ciebie spojrzę.

Nie mogła uwierzyć, że odważyła się to powiedzieć, biorąc pod uwagę, że cały tydzień jej unikał.

- Zastanawiałam się też, czemu mnie unikasz. Czy ci się znudziłam?

Pytanie zaskoczyło Harrisona. Nie mógł zrozumieć, jak coś tak niemożliwego mogło przyjść jej do głowy.

- Nigdy mi się nie znudzisz. Myślę o tobie od momentu, gdy się budzę, aż do chwili, gdy zasypiam. Do diabła, jesteś nawet w moich snach.

- Naprawdę? - westchnęła.

- Oczywiście, że tak.

Jego głos stał się pieszczotliwy. Zrobiła krok w jego stronę.

- Mogę się założyć, że myślimy o tym samym. - Na przykład o całowaniu, obejmowaniu się i wyjawianiu sobie najgłębszych tajemnic i snów, dodała w myślach.

Śmiech Harrisona był pełen ironii.

- Wątpię. Chyba nie wiesz zbyt wiele o mężczyznach.

- Zdawało mi się, że wiem. Mam czterech braci i najczęściej umiem przewidzieć, co mają na myśli.

- Tak sądzisz? Chcesz więc wiedzieć, o czym teraz myślę?

Pokiwała wolno głową, po czym zrobiła krok w jego stronę.

- Owszem. Jestem bardzo ciekawa.

- Myślę o tym, jaka będziesz gorąca, gdy będę się z tobą kochać. Wyobrażam sobie ciebie leżącą na moim łóżku. Widzę twoją jedwabistą, złotą skórę, twoje włosy dziko rozrzucone, twoje usta nabrzmiałe i pąsowe od moich pocałunków. Oczy będziesz miała równie niebieskie, jak teraz. Myślę też o cichym odgłosie dobiegającym z twojego gardła, który doprowadza mnie do szaleństwa. Coś we mnie wtedy twardnieje i pragnę znaleźć się w tobie. Myślę o tym, jak dzika i szalona będzie nasza miłość, jak będziesz paznokciami wbijać się w moje plecy, gdy będziemy złączeni, a ja będę pulsował w tobie, i jak będziesz wilgotna i napięta. Mniej więcej o tym myślałem.

Wydawało się, że nie może złapać tchu. Była zdumiona, że jeszcze trzyma się na nogach. Czowała się słabo po wizjach erotycznych, które przed nią roztoczył.

On jednak nie skończył. Powoli rozplótł ręce i powiedział:

- Nie będę łagodny, gdyż nie będziesz chciała, abym taki był. Zrozum, Mary Roses. Posiadę cię wiele, bardzo wiele razy. Chcesz, żebym mówił dalej?

Nie była w stanie odpowiedzieć. Czowała się tak, jakby ją podpalił. Jej twarz płonęła, nagle zapragnęła wachlarza lub szklanki lodowatej wody. Opuściła głowę, by nie widział, jak się czerwieni. Pomyślałaby, że się zawstydzila. Ona tymczasem ani trochę się nie wstydzila, co kompletnie ją zaskoczyło.

Harrison potrafił mówić. Był bezceremonialny i otwarty wobec niej, więc i ona powinna być szczerą. Nie miała zamiaru udawać, że nie podobało jej się to, co powiedział. Pomyślała sobie, że prawdziwa dama, będąc na jej miejscu, odwróciłaby się i uciekła do domu. Może dlatego Harrison jej nie trzymał.

Dawał jej swobodę wyboru, czy chce zachowywać się, jak należy, czy nie. To, co mówił, było słowami kochanka. Należało je przyjąć, a nie wyśmiewać się z nich - więc właśnie to zrobiła.

Spojrzała mu prosto w oczy i szepnęła:

- Mniej więcej o tym samym myślałam.

Wydawał się zadowolony. Szybko zmniejszyła dzielący ich dystans. Stała między jego stopami, objęła go w pasie i oparła się o niego.

- W moich snach i myślach mam jednak na sobie ubranie. Co mam na sobie w twoich?

- spytała.

- Mnie.

To jedno słowo wypełniło jej głowę różnorodnymi erotycznymi wizjami.

Zabrakło jej tchu, gdy myślała o nich dwojgu razem w łóżku, bez skrawka ubrania.

- Gdy mówisz takie rzeczy... robi mi się...

- Gorąco?

- Tak - szepnęła. - Gorąco w całym ciele. Jestem bezwstydną mówiąc o tym. Nie sądzę, bym się tak zachowywała, gdyby jakiś inny mężczyzna mówił takie rzeczy.

- Mam nadzieję, że nie.

- Przy tobie czuję się piękna - westchnęła wzruszona.

- Jesteś piękna - powiedział. - A nie bezwstydną. Byłaś wobec mnie szczerą, choć nieprawdą było to, co mówiłaś o myślach i snach.

- Skąd wiesz? - Boże, jak uwielbiała szorstkość w jego głosie, która budziła dreszcze w jej ciele.

- Nie masz doświadczenia, na którym mogłabyś oprzeć takie myśli. Nawet nie wiesz, jak wspaniale będzie nam we dwoje.

Odchyliła się, by spojrzeć mu w oczy - A jakież to doświadczenie ty miałeś?

- Wystarczające.

Nie miał zamiaru rozwijać tego tematu, a ona postanowiła się nie dopytywać. Jego dawne wyczyny się nie liczyły, gdyż teraźniejszość należała do niej.

Poza tym na samą myśl o Harrisonie kochającym się z inną kobietą odczuwała ostry ból zazdrości.

- Boli mnie, gdy myślę o tobie z inną kobietą.

- Nie mogę zmienić dla ciebie przeszłości. Nigdy nie kochałem kobiet, które mi się oddawały, tak samo zresztą, jak one mnie. Byliśmy ze sobą, gdyż pragnęliśmy tego samego.

- Czego?

- Fizycznego spełnienia - odpowiedział. - Nie jestem dumny z mojego zachowania.

Wykorzystywanie innych, tak jak to robiłem, było złym czynem.

Musiałem dorosnąć, żeby to sobie uświadomić.

Kiwnęła głową, by wiedział, że rozumie.

- Cole, Travis i Douglas nie całkiem jeszcze dorośli.

- Skąd wiesz?

- Wiem, bo często jeżdżą do Hammond.

Harrison uśmiechnął się.

- Wiesz o domu na skraju miasta?

- Tym z kobietami? Pewnie, już od dawna. Adam wszystko mi wytłumaczył. Gdy powiedziałeś mi już, jak może być z tobą w łóżku, chyba zacznę mieć takie same myśli i sny, jak ty. Nie powiem jednak o nich Adamowi.

- Nie tyle jak może być, ale jak będzie. Mam zamiar cię mieć, Mary Roses.

- Naprawdę?

- Kocham cię, najdroższa.

Ogarnęła ją niezwykła radość. Jej oczy napełniły się łzami. Jedyne, czego pragnęła, to rzucić się w jego ramiona i pozostać w nich do końca życia. Nie zdawała sobie dotąd sprawy, jak bardzo pragnęła usłyszeć te słowa.

Harrison nie pozwolił się jej przytulić. Trzymał ją za ramiona, które ścisnął lekko, chcąc, by zwróciła na niego uwagę i posłuchała tego, co chciał jej wyjaśnić.

- Chcę, byś mnie uważnie posłuchała. Kocham cię i będę cię kochał do śmierci. Chcę spędzić resztę mego życia opiekując się tobą i ciesząc się tobą.

Wierzę w ciebie i wiem, że gdy twój gniew minie, zrozumiesz, że zostaliśmy dla siebie stworzeni. Nie da się tego uniknąć. Żaden inny mężczyzna nie będzie cię tak bardzo kochał. Chcę, byś o tym pamiętała, gdy będziesz mnie nienawidzić. Nie zapomnij też, że nigdy, ale to nigdy nie chciałem cię zranić.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi. Nie mogłabym cię nienawidzić.

- Kochanie, będziesz mnie nienawidzić - zapewnił. - Szczerze chciałbym zapobiec zgrzyocie, która cię czeka, ale nie mogę tego uczynić. Ta sprawa nie jest już w moich rękach.

Mroczne przewidywania ani trochę jej nie przeraziły. Kochał ją i tylko to się dla niej liczyło.

- Mówisz mi, że wierzysz we mnie, po czym zaprzeczasz sobie twierdząc, że mogłabym cię znienawidzić. Ufam ci o wiele bardziej niż ty mnie. Nic, co zrobiłeś lub zrobisz, nie skłoni mnie do znienawidzenia ciebie. Kocham cię bardziej, niż mi się to wydawało możliwe. Wraz z miłością mam do ciebie całkowite zaufanie. Nie poddam się łatwo. Gdy przyjdę do twego łóżka, to zrobię to z miłością w sercu. Nie mam tak słabej woli, by kochać cię w jednej chwili i nienawidzić w następnej. Nie obchodzą mnie zgryzoty, które mnie czekają. Jeśli będziesz przy mnie, to wszystko zniosę.

Mocno ścisnął jej ramiona.

- Dobrze się zastanów, zanim przysięgniesz mi miłość. Zrozum i zapamiętaj każde słowo, które mi powiedziałaś, a potem idź porozmawiać z braćmi.

Posłuchaj, co mają do powiedzenia, zanim znów wyznasz mi miłość.

Potrząsnęła głową.

- Nie muszę z nimi rozmawiać, dobrze wiem, co moje serce czuje. Nic, co powiedzą, nie zmieni moich uczuć do ciebie.

Hamsona poruszyła wiara, jaką w nim Mary Roses pokładała.

- Kuisz mnie, bym zapomniał o konsekwencjach. Pożądam cię i wiem, że nie mogę już dłużej czekać. Nigdy cię jednak nie zmuszę. Oddasz mi się dobrowolnie. Nie śmieję mówić, że mnie nie kochasz, gdyż od tego momentu będziesz należeć do mnie. Nie pozwolę ci zmienić zdania.

Objął dłońmi jej twarz. Zgrubiała skóra palców, którymi jej dotykał, w cudowny sposób podkreślała różnice między nimi. Mary Roses rozkwitała dzięki energii, którą promieniował Harrison, dzięki sile jego rąk, twardości jego ciała, sposobowi, w jaki nad nią górował. Nie czuła się gorsza z powodu przewagi fizycznej, jaką miał nad nią. Wychwalała pod niebiosa wszystkie niezwykle różnice między nimi. Była mu równa w tym wszystkim, co było dla nich najważniejsze. Równa w umyśle, równa w sercu.

- Kocham cię, Mary Roses.

Czułość w jego głosie świadczyła o szczerości.

Potarł kciukiem usta Mary Roses, która odczuła pieśczętę w całym ciele.

- Masz wszystko, czego mógłbym oczekiwać od kobiety, a nawet wiele więcej. Przyciągnęła mnie twoja dobroć, siła ducha i czyste serce. Wróć teraz do domu, zanim zapomnę o mojej obietnicy.

Jego ręce opadły. Dobrze rozumiała, czego od niej oczekiwał. Stworzył jej możliwość wycofania się, gdyż chciał, by była pewna. Z chwilą ślubowania mu wierności nie będzie już odwrotu.

Rozumiała o wiele lepiej od Harrisona. Było za późno, gdyż jej serce już wybrało.

- Kocham cię, Harrison.

Harrison zamarł. Powtórzyła te słowa.

- Na Boga, Mary Roses, czy ty rozumiesz, że ja...

- Kocham cię.

Wziął ją w ramiona. Objął dłońmi jej pośladki, uniósł do góry i przycisnął do siebie.

Owinęła ramiona wokół jego szyi. Zaczęła drżeć czując, jak otacza ją jego siła i ciepło. Kochała jego zapach i dotyk jego ciała. Drogi Boże, czuła, że zwariuje, jeśli Harrison jej zaraz nie pocałuje.

Czekał do chwili, gdy pragnienie stało się silniejsze, i wtedy pochylił się i zaczął namiętnie całować. Dotknął językiem jej warg, po czym wniknął głębiej, by złączyć się z jej językiem.

Smak jej ust był odurzający. Harrison był coraz bardziej zachłanny, pochyłał się nad nią raz za razem, aż w końcu w Mary Roses wybuchnęło także pulsujące pragnienie. Istniała tylko Mary Roses, namiętność jego życia, jego miłość na wieki. Zanurzył się w jej delikatne ciało i zdało mu się, że dotarł do nieba.

Jego usta, zachęcane jej namiętną reakcją, coraz gwałtowniej składały wilgotne i gorące pocałunki.

Zdawało się, że Mary Roses nigdy nie będzie miała dosyć. Chciała dotykać i głaskać całe jego ciało. Tuliła udami jego pobudzony członek, instynktownie się o niego ocierając.

Pokusa, by posunąć się dalej, zaczynała przysłaniać wszelkie inne względy.

Harrison zdał sobie nagle sprawę ze swojego i jej zagrożenia. Musiał przestać, jeśli nie chciał na tym podwórzu odebrać jej dziewictwa. Boże dopomóż, myśl ta ani trochę go nie odrzucała.

Gwałtownie odsunął się od niej. Jego oddech był chrapliwy i urywany.

Każdą cząstką swego ciała pragnął spełnienia. Przeszyły go dreszcze, gdy spróbował opanować żądzę, która wybuchała w jego ciele. Zaciskając szczęki spróbował odsunąć się od niej.

Poczuła się, jakby wyrwano jej kotwicę. Siły opuściły ją i opadła na niego, wstrząsana dreszczami pragnienia.

Chciała, by ponownie ją objął i trzymał blisko siebie.

- Wracaj do domu.

Surowy ton rozkazu wyprowadził Mary Roses z mroku pożądania.

Próbowała zrozumieć jego intencje.

- Do domu? Nie chcę odchodzić. Proszę, pocałuj mnie znów. Kocham cię, Harrison.
Chcę, byś mnie objął.

- Wracaj do domu.

Nie prosił, by poszła, lecz jej to nakazywał. Odetchnęła głęboko i powoli odsunęła od niego ramiona.

Nie rozumiała nagłej zmiany, jaka w nim zaszła. Czyżby zachowała się źle?

W obecnym stanie nie mogła niczego wymyślić. Musiała poczekać, aż jej serce przestanie bić tak szaleńczo i będzie w stanie złapać oddech. Wtedy dopiero wszystko przemyśli.

Harrison nie będzie jednak musiał prosić jej ponownie, by go zostawiła.

Nawet w oszołomieniu dobrze rozumiała, co znaczy słowo „nie”.

Odwróciła się i poszła w stronę domu. Złość i frustracja dopadły ją dopiero w połowie drogi.

Czyż nie było cholernie aroganckie z jego strony tak gwałtownie ją odesłać? Czy zabiłoby go to, gdyby powiedział kobiecie, którą kocha, dlaczego tak nagle przestał ją całować?

Pomyślała sobie, że za nią idzie.

- Miewasz humory zupełnie jak twój koń - mruknęła wystarczająco głośno, by usłyszał.

Nie odpowiedział na jej zaczepkę. Odwróciła się, chcąc powtórzyć zniewagę, i zdała sobie sprawę, że nie mógł jej usłyszeć, gdyż szedł w zupełnie przeciwnym kierunku.

- Dokąd idziesz? - zawołała.

- Idę spać.

Było już późno, ale nie aż tak bardzo.

- Nie wrócisz jeszcze do domu?

- Nie.

- W takim razie dobranoc.

Nic na to nie odpowiedział. Zaczekała jeszcze minutę i w chwili, gdy doszedł do wejścia do baraku, straciła cierpliwość.

- Dobranoc! - zawołała. Dodając po cichu: - Do cholery.

Odwrócił się w końcu i spojrzał na nią.

- Mary Roses! - zawołał głosem wystarczająco silnym, by unieść ją do góry.

Rozbawiła ją ta śmieszna, nieprawdopodobna myśl.

- Słucham?

- Nie każ mi długo czekać.

4 maja 1867

Kochana Mamo Roses Bardzo nas zasmucił! Twój list. Chcielibyśmy Ci zadać tysiące pytań.

Dlaczego nie powiedziałaś nam wcześniej, co robi Livonia? Nie chcemy, żebyś martwiła się o wszystko sama. Jesteśmy Twoją rodziną i nie powinnaś niczego przed nami ukrywać.

Od jak dawna Livonia Cię szantażuje, żeby zatrzymać Cię przy sobie?

Dobrze wiemy i rozumiemy, jak bardzo musi się bać. To straszne być niewidomym, a to, że ma na głowie dwóch zapatrzonych w siebie synów, którzy próbują, wszystko sprzedać, musi być równie przerażające, ale. Mamo Roses, nic nie może usprawiedliwić tego, co robi Tobie.

Naprawdę myślisz, że powie swoim synom, że Adam zabił ich ojca, czy tylko chce Cię w ten sposób zastraszyć? Czyżby zapomniała, że on tylko starał się ochronić Ciebie i ją przed gniewem Twojego pana? Pomiatasz, ile razy ją bił? Livonia na pewno bardzo się nacierpiała, ale nawet jej najstraszniejsze przeżycia nie są w stanie zmniejszyć jej winy i sprawić, że łatwiej jest nam to wszystko znieść. Lincoln chciał, żebyś mogła cieszyć się wolnością a tysiące młodych ludzi oddało za to życie w walce.

A teraz Mistress Livonia ponownie zrobiła z Ciebie niewolnicę...

Niech Bóg zachowa nas w Swej opiece, Twój kochający syn Douglas Cole i Eleanor od dłuższego czasu stali w korytarzu całując się, przytulając i szepcząc czule słówka. W końcu przerwał te miłe chwile, czując, że traci kontrolę nad sobą. Był przyzwyczajony do tego, że dostawał to, czego chciał, ilekroć miał na to ochotę, lecz Eleanor nie była taka jak inne kobiety, które całował i uwodził. Wiedział, że zanim mu się odda, będzie musiał zadeklarować poważne zamiary, a nie chciał, by sprawy zaszły aż tak daleko.

Idąc za nią do jadalni, postanowił, że już nigdy nie pocałuje Eleanor.

Podsunał jej krzesło, po czym obszedł stół, by zająć miejsce naprzeciwko. Nie zdawał sobie sprawy, że bracia uważnie go obserwują. Był całkowicie pochłonięty wyliczaniem w myślach powodów, dla których powinien trzymać się jak najdalej od tej rumieniącej się dziewczyny po drugiej stronie stołu.

- Czy ty przypadkiem o czymś nie zapomniałeś? - zapytał brata Douglas.

Travis musiał trącić Cole'a łokciem, by uzyskać odpowiedź.

- Na przykład o czym? - zareagował Cole.

- O swojej siostrze. Jest wciąż w kuchni z Hamsonem.

Cole chciał wstać, lecz po chwili zmienił zamiar.

- Mary Roses nie jest już dzieckiem. Potrafi zadbać o siebie. Jeśli Harrison chce zrezygnować ze swojej wolności, to jego sprawa, nie moja.

- Mówisz o wolności Hamsona? - zapytał Douglas, usiłując powstrzymać śmiech. Zauważył, że mówiąc o Harrisonie, Cole patrzył na Eleanor.

- Tak, o jego wolności - mruknął Cole. Jego zaciśnięte szczęki wskazywały, że absolutnie nie ma ochoty na kontynuowanie tej rozmowy.

- Wydaje mi się, że Harrison ma na tę sprawę całkiem inny pogląd - wtrącił Travis.

Eleanor nie zauważyła żadnej zmiany w zachowaniu Cole'a. Uśmiechnęła się do niego i powiedziała:

- Mary Roses jest bardzo zdolna. Tak uważali wszyscy nauczyciele w naszej szkole. Pomogła mi zdać tę okropną matematykę. Bez jej pomocy na pewno nie dałabym sobie rady.

Travis jeszcze przez dłuższą chwilę uważnie przyglądał się Cole'owi, po czym wstał i poszedł do kuchni po Mary Roses. W tej chwili ani trochę nie cieszyły go zdolności siostry. Znał Hamsona i dobrze orientował się w jego zamiarach. Cole mógł sobie popadać w marzycielskie nastroje, lecz on, Travis, był od tego jak najdalszy.

Zastał siostrę siedzącą przy stole kuchennym, wpatrzoną w przestrzeń.

Wydawało mu się, że jest lekko zarumieniona.

- Co się z tobą dzieje?

- Nic.

- Coś musiało się stać. Wyglądasz tak tylko wtedy, kiedy jesteś chora albo zła.

Zgadłem?

- Nie.

- Gdzie jest Harrison?

- Poszedł spać.

Nie miała zamiaru wtajemniczać brata w szczegóły. Nie powiedziała mu więc, że Harrison miał nadzieję, iż ona wkrótce do niego przyjdzie.

Nie każ mi czekać. Powiedział jej to przed zaledwie kilkoma minutami, po tym jak niemal ją odepchnął.

- Jesteś zła?

- Nie!

- Nie musisz na mnie wrzeszczeć. Powiedz, co cię gryzie. Może będę mógł ci pomóc.

Wiedziała, że Travis nie przestanie jej zamęczać, dopóki nie zaspokoi swojej ciekawości. Musiała mu coś powiedzieć, nawet jeśli miała to być tylko część prawdy.

- Naprzykrza mi się pewien arogancki mężczyzna. Możesz coś na to poradzić?

Twarz Trávisa rozjaśnił szeroki uśmiech.

- To Harrison cię rozzłościł.

- Daj spokój... Chcę się nad czymś zastanowić.

Travis przeszedł przez kuchnię, by sięgnąć po dzbanek do kawy.

- Czy on...

Nie wiedział, jak zręcznie sformułować pytanie, które zamierzał zadać.

- Czy on co?

Wzruszył ramionami z udaną obojętnością.

- Czy on zmusza cię do czegoś, czego nie chcesz?

- Nigdy nie udałoby mu się zmusić mnie do czegoś, czego nie chcę.

Travis pokiwał głową.

- Też tak sądziłem, ale chciałem usłyszeć to od ciebie. Odpowiedz mi na jeszcze jedno pytanie, a zaraz sobie pójdę i będziesz mogła sama martwić się do woli.

- Wcale się nie martwię.

- Kochasz go?

- Tak, kocham.

- Jesteś pewna?

Uśmiechnęła się.

- Tak. Jestem pewna. Mimo że jest gwałtowny, despotyczny, arogancki i uparty.

- A czego innego kobiety mogą się spodziewać po mężczyznach?

- Jest również łagodny, subtelny i czuły.

Łzy nabiegły jej do oczu. Travis spostrzegł je natychmiast.

- I zamierzasz płakać z tego powodu, Mary Roses?

- Nie, oczywiście, że nie.

W końcu zrozumiała, jak cudowne i głębokie jest jego zaangażowanie. Będzie kochał ją do końca życia. Powiedział jej to, wyjawił swoje najgłębsze uczucia.

Westchnęła ciężko. Łza stoczyła się po jej policzku.

- Kocham Hamsona już od dawna, Travis.

Powiedziała to rozmarzonym głosem. Travis doznał dziwnego uczucia niesmaku.

- Boże miłosierny, zaczynasz zachowywać się jak typowa baba. Wiedziałem, czułem, co piszczy w trawie, ale mimo to nie byłem przygotowany na coś takiego. Przestań, Mary Roses.

_ A cóż takiego w zachowaniu kobiet tak cię denerwuje?

- To, że najpierw się złością, a po chwili uśmiechają, że potrafią się dąsać i śmiać jednocześnie, zupełnie jak ty teraz. Nigdy dotąd taka nie byłaś, siostrzyczko. To mi się wcale nie podoba.

Nie wiedziała, czy powinna próbować jakoś usprawiedliwić swoją huśtawkę nastrojów. Przyglądając się jej, Travis zdał sobie sprawę, że Mary Roses nie jest już małą dziewczynką z posiniaczonymi kolanami. Dojrzała, wydorolała, stała się piękną kobietą.

- Ależ ty wyrosłaś - wyszeptał.

Jego słowa zdawały się do niej nie docierać. Miała tak wiele spraw do przemyślenia.

- Chcesz wiedzieć, kiedy się w nim zakochałam? Dokładnie pamiętam tę chwilę...

Przerwał jej zniecierpliwionym tonem.

- Nie, nie chcę tego wiedzieć. Mężczyźni nie interesują się takimi szczegółami. Na litość boską, jestem twoim bratem! Wolę tego nie wiedzieć.

- Między nami nie zaszło nic takiego, o czym nie mogłabym ci powiedzieć.

- Chwała Bogu. Nie chcę o tym słyszeć, kiedy to się stanie. Dobrze, Mary Roses?

Kiedy to się stanie? Mocno oparła się plecami o krzesło i spojrzała na brata.

- Coś mi się wydaje, że jesteś zbyt bezceremonialny - powiedziała.

- Nie. Po prostu zawsze mówię to, co myślę.

- To też - przyznała. - Ale poza tym jesteś tak samo bezczelny jak Harrison.

Zbył tę uwagę milczeniem, ponieważ wcale nie uważał, żeby bezczelność była czymś nagannym, chociaż w głosie siostry wyczuwał nutkę potępienia.

Uniósł dzbanek i skierował się do jadalni, lecz nagle zatrzymał się i ponownie spojrzał na siostrę.

- Gdyby on kiedykolwiek cię skrzywdził, chcę być pierwszy, który się o tym dowie. Obiecujesz, że w razie czego natychmiast przyjdiesz do mnie i mi powiesz?

- Obiecuję.

Kiwnął głową z wyraźnym zadowoleniem.

- Kocham cię, dzieciaku.

- Ja też cię kocham. Lubisz Hamsona, prawda?

- Trudno go nie lubić. Nie podoba mi się tylko to, po co tu przyjechał.

Tobie też się to nie spodoba, kiedy ci o wszystkim opowiemy.

- Prawda, mamy porozmawiać - szepnęła.

- Czy mówił ci, że...

Przerwała mu gwałtownie.

- Powiedział, że macie zamiar coś mi powiedzieć, ale nie mówił, o co chodzi. Możesz teraz powiedzieć.

Potrząsnął głową.

- Poczekaj do jutrzejszego wieczora. I nie martw się o to. Dobrze?

- Travis, niezależnie od tego, co mi powiecie, i tak go nie znienawidzę.

Czy macie nadzieję, że tak się stanie?

Nie wyobrażał sobie, żeby była zdolna kogokolwiek nienawidzić. Jednakże był pewien, że przeżyje szok, że cały jej świat legnie w gruzach. Czuł, że siostra niewątpliwie obwini o wszystko Hamsona. Tak samo zresztą jak i on.

- Nie, nie znienawidzisz go - odezwał się po dłuższej chwili. - Proszę, przynieś nam kubki, Mary Roses.

Wydał to polecenie, by zmienić temat. Chciał, żeby jak najdłużej pozostała szczęśliwa i beztraska.

Postanowił skierować jej myśli w inną stronę i szybko opowiedział jej o Cole'u i Eleanor.

- Zaczyna sobie zdawać sprawę, że nie może się z nią zabawiać i bezkarnie zawracać jej głowy. Ona poważnie myśli o życiu, o małżeństwie. On nie.

- To nieprawda. On nie jest taki, jak myślisz - zaproponowała. - Tylko że na razie nie zdaje sobie z tego sprawy. Ty zresztą też, Travis. Kiedy poznasz odpowiednią kobietę, zobaczysz, że nie będziesz się długo zastanawiał nad ożenkiem. Myślę, że będziesz wspaniałym mężem i ojcem.

- Myślisz, że zrezygnuję z wolności? Oszalałaś?

Roześmiała się. Na taką właśnie reakcję czekała.

- Mówisz jak Adam. Dlaczego mężczyźni myślą, że małżeństwo oznacza koniec ich wolności?

- Bo tak jest - odparł.

Ruszył do drzwi, lecz go przywołała.

- Travis!

- Tak?

- To MacHugh...

- O czym ty mówisz?

- Wtedy zakochałam się w Harrisonie.

Uniósł wzrok ku niebu.

- Teraz rozumiem. Zakochałaś się w jego koniu i musiałaś przyjąć go z dobrodziejstwem inwentarza w postaci Hamsona.

Wyszedł z kuchni, zanim Mary Roses miała szansę cokolwiek mu wyjaśnić, ale nie żałowała tego. Cieszyła się, że znów została sama i mogła pogрузić się w rozmyślaniach na temat wszystkich cudownych wyznań, które złożył jej najdroższy człowiek na świecie. Pragnął spędzić z nią resztę życia. Czyż mogło spotkać ją coś wspanialszego?

Jeszcze przez kilka minut pozostała przy stole, dopóki nie usłyszała, że Travis ją woła. Zniosła kubki do jadalni, postawiła na stole, po czym przeprosiła zgromadzonych i wyszła.

Znalazłszy się w swoim pokoju, usiadła na brzegu łóżka, by raz jeszcze wszystko przemyśleć. Starła się nie myśleć o tym, że Harrison na nią czeka, lecz oczywiście jej się to nie udawało. Ilekroć spoglądała w okno i widziała światło palące się w baraku, czuła gwałtowne ściskanie w żołądku.

Czekał tam na nią. Sprawił, że zdała sobie sprawę z potrzeb swego ciała, pozwolił jej poznać posmak namiętności i nie mogła udawać, że to nie miało miejsca ani że nie pragnie dalszych doznań.

Pragnęła go, ponieważ go kochała. Mimo iż wciąż był nieznośnie arogancki.

Mary Roses wstała i zaczęła nerwowo przemierzać pokój, zastanawiając się nad specyficznym sposobem zaproszenia jej do siebie. Nie zadał sobie nawet trudu, by zapytać ją o zdanie. Nie. Po prostu założył, że jego zaproszenie zostanie przyjęte. Czy wszyscy mężczyźni są tacy jak Harrison? Pokręciła głową. To niemożliwe. Nikt nie był wobec niej tak zaborczy, nie zachowywał się tak władczo. Zuchwały i uparty, miał ustalone poglądy, których gotów był zaciekle bronić, a zarazem potrafił być czuły, opiekuńczy, po prostu wspaniały. Nie, na całym świecie z pewnością nie było nikogo podobnego do Hamsona Stanforda MacDonalda. I właśnie dlatego tak go pokochała.

Nie poprosił jeszcze, by go poślubiła. Próbowала wyobrazić sobie, jak przyklęknąwszy prosi ją o rękę. Na tę myśl omal się nie roześmiała. Nie będzie żadnych oświadczeń, żadnego pytania, czy za niego wyjdzie. Po prostu oznajmi jej, że zamierza ją poślubić. Był nieznośnie pewny siebie, lecz, co dziwne, wcale jej to nie przeszkadzało.

Poza wszystkim trzeba było przyznać, że po prostu realnie oceniał sytuację.

W tej chwili nie istniała możliwość zorganizowania oficjalnej ceremonii zaślubin. W Blue Belle nie było kościoła, a w całej okolicy duchownych było jak na lekarstwo. Co prawda

ślubu mógłby udzielić sędzia Bums, lecz zjawiał się w Blue Belle jedynie trzy-cztery razy do roku, przez pozostałe dni obsługując całą armię skazańców oczekujących na wyrok.

Harrison wyznał jej dzisiaj miłość i wierność, biorąc Boga na świadka.

A ona zrobiła to samo. Teraz wszystko miało ulec zmianie.

Nie zdawała sobie sprawy, jak długo spaceruje po pokoju, rozmyślając nad przyszłością, lecz w domu było już ciemno i cicho, kiedy w końcu na chwilę przestał ją dręczyć niepokój z powodu nowych przeżyć, których miała doświadczyć. Wolno, starannie umyła się różanym mydłem, po czym włożyła białą koszulę nocną, na którą narzuciła różowy, ozdobiony koronką szlafrok - gwiazdkowy prezent od Douglasa, po czym przetrząsnęła szafę w poszukiwaniu niepraktycznych, lecz niezwykle zgrabnych satynowych pantofelków.

Była wciąż niespokojna i w pewien sposób przerażona tym, co się miało stać, wiedziała jednak, że zamartwianie się niczego nie zmieni. Fakt, iż kochała Hamsona, absolutnie nie budził jej niepokoju. Jednakże spełnienie tej miłości - to było już zupełnie coś innego. Wiedziała, że mężczyźni to lubią. Nabrała tego przekonania obserwując braci udających się raz na dwa tygodnie do Hammond i wracających do domu z zapachem tanich perfum na ubraniu i głupawym uśmiechem na ustach. Prawdopodobnie kobiety też to lubiły.

Lecz nigdy z nikim nie rozmawiała na ten temat, więc nie mogła być tego pewna. Jedynie przeczuwała, że ma rację. Blue Belle z pewnością była doświadczona, ale ona z kolei zawsze zachowywała się wobec Mary Roses jak nazbyt troskliwa ciotka i nigdy nie rozmawiała z nią o swojej profesji.

Usiadła przed lustrem i przez dłuższy czas niemal bezwiednie czesała włosy, mając nadzieję, że wykonywanie tej codziennej prostej czynności pomoże jej choć trochę się uspokoić.

W końcu uznała, że dalsza gra na zwłokę nic już nie da. Odłożyła szczotkę, związała szlafrok w pasie i zeszła na dół.

Stała przed jego drzwiami, trzęsąc się jak galareta. Nie miała pojęcia, jak długo tam stała z dłonią zastygłą tuż nad gałką u drzwi, lecz musiało minąć co najmniej pięć minut, zanim zebrała się na odwagę, by wejść.

Harrison opisał jej kiedyś, jak wyglądała i co czuła, kiedy wyobrażał ją sobie w łóżku, lecz z pewnością pominął wiele szczegółów. W jej głowie kłębiły się tysiące pytań, lecz po namyśle zdecydowała, że zada mu tylko jedno.

Będzie musiał na nie odpowiedzieć, zanim pozwoli mu się dotknąć.

Głęboko zaczerpnąwszy tchu, otworzyła drzwi.

Kiedy już decydowała się coś zrobić, wkładała w to całą swoją energię.

Drzwi trzasnęły o ścianę i odskakując gwałtownie, omal jej nie uderzyły.

Pchnęła je ponownie, już nie tak mocno.

Dwanaście minut. Zastanawianie się, czy otworzyć te drzwi, zajęło jej dokładnie dwanaście minut. Harrison miał ochotę się roześmiać, lecz nie zdradzał tego ani jeden mięsień jego twarzy. Gdyby w tym momencie okazał rozbawienie, bez wątpienia obróciłaby się na pięcie i uciekła. Kobieta jego życia sprawiała wrażenie gotowej do ucieczki. Słyszał, jak stała pod drzwiami, mrużąc coś do siebie pod nosem, a teraz od razu zorientował się, że nadal bije się z myślami.

Nie wyszedł jej na spotkanie. Chciał, by sama podjęła decyzję. Spojrzał na zegarek, zapamiętał godzinę, a potem dwa czy trzy razy zerkał jeszcze na tarczę, zanim Mary Roses omal nie wyrwała drzwi z zawiasów.

Gdy tylko zobaczył, jak jest ubrana, zorientował się, że bracia nie powiedzieli jej jeszcze niczego o ojcu. Gdyby było inaczej, zapewne i tak by do niego przyszła, lecz miałaby na sobie dzienny strój. Zraniona, rozgoryczona i zmieszana z powodu jego nieszczeroci, domagałaby się od niego odpowiedzi na wiele trudnych pytań. Przez pewien czas byłaby pewna, że oszukał ją i zdradził, i prawdę mówiąc, na razie nie mógł zrobić nic, by zmniejszyć cierpienie, którego miała doświadczyć. Jednak ufał jej bezgranicznie i głęboko wierzył, że w końcu go zrozumie. Był zobowiązany ją chronić i niezależnie od tego, czy jej się to spodoba czy nie, będzie jej potrzebny w Anglii.

Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co ją tam czeka, ponieważ dobrze znał rodzinę Elliotów. Mając najlepsze intencje, będą próbowali pozbawić ją tego, co stanowiło nieodłączną część jej osobowości, i uformować ją na swój obraz i podobieństwo, uczynić jedną z nich. On, Harrison, nie mógł na to pozwolić.

Chciał, żeby Mary Roses wiedziała, że kocha ją taką, jaka jest naprawdę, a nie taką, jaka czyimś zdaniem być powinna.

I z tego właśnie powodu uczynił jej to wyznanie.

Serce Mary Roses waliło w piersi jak oszalałe, czuła miękkość w kolanach i rozpaczliwie starała się zaczerpnąć tchu.

Widok Hamsona ani trochę jej nie uspokoił. Siedział wygodnie oparty na łóżku, rozprostowawszy swoje długie nogi.

Nie przebrał się jeszcze w nocny strój. Był rozebrany do pasa i miał bosc stopy, lecz nie zdjął jeszcze spodni, choć nie były już zapięte. Ciemny trójkąt kręconych włosów pokrywających jego tors sięgał aż po rozchylenie materiału.

Na ten widok jej serce zaczęło bić w jeszcze bardziej niespokojnym rytmie.

Nagle zdała sobie sprawę, gdzie spogląda, i odwróciła wzrok.

Zauważyła, że trzyma w dłoniach książkę, dopiero gdy ją zamknął. Jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia. A więc czytał, czekając na nią. Nie wiedziała, co o tym myśleć. Podczas gdy ona nie wiedziała, gdzie się podziać, szalała z niepokoju i biła się z myślami, on po prostu spokojnie sobie czytał!

Kiedy opuściło ją bezgraniczne zdumienie, miała ochotę go uderzyć.

Harrison nie ruszył się z łóżka. Widząc jej przerażone spojrzenie, postanowił najpierw znaleźć jakiś sposób uspokojenia jej, zanim ją powita.

Obiecał, że absolutnie nie będzie jej ponaglał ani do niczego zmuszał.

Gdyby na przykład nagle zmieniła zdanie i poszła do domu, wcale by jej nie zatrzymywał, choć chyba umarłby widząc, jak odchodzi. Wolałby jednak umrzeć, niż nie uszanować jej wyboru.

Pomyślał, że być może łatwo było mu zdobyć się na tę szlachetność, gdyż w głębi duszy czuł, że Mary Roses nie odejdzie. Wiedział, że musiała uzbroić się w odwagę, by do niego przyjść, ale takiej właśnie śmiałej postawy od niej oczekiwał.

- Czytałeś.

To suche stwierdzenie faktu zabrzmiało jak oskarżenie. Nie odezwał się. Kiwnął tylko głową, nie przestając się jej przyglądać, czekając na znak, że jest gotowa, by wziął ją w ramiona. Wydawało mu się, że jej lęk ustępuje miejsca smutkowi.

Nie potrafił sobie wytłumaczyć, jaki mógł być tego powód.

- Chcesz zamknąć drzwi?

- Nie.

Powiedziała to spokojnym, opanowanym głosem. Harrison odłożył książkę na stolik i wstał. Pomyślał, że Mary Roses oczekuje, by to on zamknął drzwi.

Powstrzymała go bezgłośnie, ruchem ręki dając mu do zrozumienia, że woli, by pozostał na łóżku.

- Najpierw chciałabym ci zadać jedno pytanie. Dlaczego nie masz na sobie stroju nocnego? To nie jest to pytanie - dodała szybko.

Boże, wyszła na idiotkę! Wzruszyła ramionami.

- Po prostu byłam ciekawa, w co ubierasz się do snu.

- W nic.

Znowu poczuła miękkość w kolanach. Nie mogła powstrzymać się od wyobrażania sobie, jak Harrison prezentuje się nago.

- Myślę, że nie powinienes... tego mówić.

- Wkrótce i tak sama się o tym przekonasz. Zostaniesz ze mną na noc?

Nie mogła wyjść z podziwu, jak jest spokojny i opanowany.

- Jeszcze się nie zdecydowałam. - Udało jej się wypowiedzieć to kłamstwo nie mrugnawszy nawet okiem.

Podjęła tę decyzję jeszcze w swojej sypialni, ale nie była gotowa, by mu o tym powiedzieć.

Zdawała sobie sprawę, że powoduje nią głupi upór, lecz wciąż nie mogła jeszcze pogodzić się z myślą, że tak po prostu sobie czytał, podczas gdy ona była targana wewnętrznymi rozterkami.

Zresztą to, w jaki sposób spędzili wieczór, doskonale obrazowało różnice pomiędzy nimi. On szalała z niepokoju. On czytał książkę.

- Jesteś najbardziej stanowczym i przemyślnym człowiekiem, jakiego znam, a poza tym masz chyba wszystkie cechy, jakich wprost nie znoszę u mężczyzn i nigdy nie wyobrażałabym sobie u partnera. Marzyłam o tym, żeby spotkać spokojnego, niezaradnego mężczyznę, bo wydawało mi się, że taki zawsze mnie będzie potrzebował. Jak to się stało, na litość boską, że związałam się z tobą?

Uśmiechnął się, słysząc szczere zdumienie w jej głosie.

- Dlatego, że to właśnie ja potrzebuję cię bardziej niż wszyscy inni mężczyźni. I dlatego, że ty także mnie potrzebujesz, Mary Roses. Byłoby mi bardzo miło usłyszeć to od ciebie.

- Tak, to prawda. Rzeczywiście cię potrzebuję. Ale naprawdę nie lubię mężczyzn butnych i zadufanych w sobie, a zwłaszcza nie znoszę, by mi rozkazywano. Na twoim miejscu wzięłabym sobie te słowa głęboko do serca.

- Najmilsza, jak długo w takim razie zamierzasz samodzielnie podejmować decyzję? Nie mogę się już doczekać, kiedy cię przytulę.

Złagodniała, wyczuła w jego głosie szczerłość i gorące pragnienie. Ponownie wstał, lecz i tym razem powstrzymała go szybkim ruchem dłoni.

- Jeszcze nie, Harrison. Jeszcze nie zadałam ci najważniejszego pytania.

Jeśli nie otrzymam na nie odpowiedzi, wychodzę.

Jej rozplómienny wzrok mówił mu, że nie musi się tego obawiać.

- Zaczyna mi być zimno. Chciałbym usłyszeć twoje pytanie.

Postąpiła krok w jego stronę, poddając się miłemu uczuciu oczekiwania.

Pragnienie pocałowania go sprawiło, że drżała na całym ciele.

Boże, jak bardzo go kochała. Miała go teraz przed sobą; niesforny pukiel włosów zawadiacko opadał mu na czoło, a na wargach igrał szelmowski uśmiezek. Był silny i władczy, hardy i dumny, stateczny i godny zaufania; marzyła o tym, by spędzić resztę życia u jego boku, nieustannie go podziwiając.

Nie mogła już czekać dłużej. Jeśli za chwilę nie znajdzie się w jego ramionach, oszaleje.

- Pamiętasz... kiedyś mówiłeś mi o tym, że myślałeś o tym, że jestem z tobą w łóżku... i że się kochamy?

- Tak.

- Czy wtedy się uśmiechałam?

Roześmiał się serdecznie, po czym gwałtownie przyciągnął ją do siebie, wziął w ramiona i mocno przytulił. Oparty podbródkiem o czubek jej głowy, czułym, łagodnym głosem zapewniał ją, że we wszystkich jego erotycznych marzeniach i snach na jej temat była niezmiennie radosna, a nawet szczęśliwa, zadowolona, zaspokojona, rozkosznie uległa, pokorna, posłuszna, oczarowana jego czułością i sprawnością.

- Nie wiedziałas, jak wyrazić mi swoją wdzięczność - zakończył.

Odchyliła się nieznacznie i spojrzała mu w oczy.

- Dziękowałam ci za to, że się ze mną kochałeś?

- Cóż, to był mój sen, kochanie, nie twój.

Ponownie wtuliła twarz w jego szyję, otoczyła go ramionami w pasie, z rozkoszą rozprostowując dłonie na ciepłych plecach.

- Na miłość boską, jesteś nieznośnie pewny siebie nawet w swoich snach.

I co ja mam z tobą zrobić?

Harrison bez trudu mógłby przedstawić jej kilka propozycji, lecz uznał, że jeszcze na to za wcześnie. Wszystkie wymagały aktywności jej warg, języka i rąk.

- Twoje dłonie są zimne jak lód - powiedział.

- Chyba powinieneś zamknąć drzwi. Za chwilę tu zamarznę.

Harrison wychylił się, pchnął drzwi, które zamknęły się z lekkim trzaskiem, po czym chwycił ją za rękę i poprowadził w stronę łóżka.

Stali w bliskiej odległości, naprzeciwko siebie, przez dłuższą chwilę patrząc sobie w oczy, wstrzymując oddech, ciesząc się atmosferą oczekiwania.

W ciepłym świetle lampy, z włosami rozsypanymi na ramionach i w jasnym, cienkim szlafrocжку sięgającym stóp przywodziła na myśl anielską postać.

Im dłużej spoglądał w jej niebieskie oczy, tym mocniej utwierdzał się w przekonaniu, że jest w niej doskonałość niebiańskiej istoty.

Poruszyła się pierwsza. Opuściwszy wzrok, zaczęła powoli rozwiązywać pasek szlafroka, po czym zdjęła wierzchnie okrycie. Jej dłonie wyraźnie drżały.

Podąła mu ubranie. Nie zdejmując z niej wzroku, rzucił szlafrok za siebie.

Gdy zaczęła rozpinąć koszulę nocną, wyszeptał głosem przepelnionym pożądaniem:

- Pozwól, że ja to zrobię.

Opuściła ramiona; jej ręce zwisły bezwładnie wzdłuż tułowia. Kiedy delikatnie obwiodł palcami dekolt koszuli i dotknął jedwabistej skóry, poczuł, że Mary Roses cała drży.

Zachowywał się tak, jakby absolutnie nie zależało mu, by jak najszybciej stanęła przed nim naga, nie chcąc, by czuła się ponaglana, choć to opanowanie kosztowało go wiele wysiłku. Najchętniej gwałtownie zdarłby z niej koszulę, lecz okazanie zniecierpliwienia mogłoby się okazać niewybaczalnym błędem.

Pragnął przecież, by ta noc przyniosła jej jak najcudowniejsze, jak najpiękniejsze przeżycia.

Powoli, niespiesznie rozpinął kolejne guziczki, delikatnie całując fragmenty jej ciała wyłaniające się spod materiału, a kiedy uporał się już z wszystkimi zapięciami, rozchylił koszulę.

Widok, który roztoczył się przed jego oczami, dosłownie zapał mu dech w piersiach. Miała piękną alabastrową skórę, pełne piersi z uroczymi różowymi sutkami, a doskonale proporcjonalne kobiece krągłości przyprawiały o zawrót głowy.

Objął ją drżącymi ramionami, chcąc jak najprędzej mocno przytulić do siebie, lecz opanowawszy się ponownie, powoli zsunął z ramion koszulę aż po szczupłą talię i przewędrował dłońmi wzdłuż ud. Dotyk jej skóry, tak chłodnej, gładkiej i bez skazy sprawił, że zaczął dygotać z podniecenia jak w gorączce.

Koszula z cichym szelestem spłynęła do jej stóp. Cofnął się o krok i z upodobaniem objął wzrokiem to doskonale piękne ciało.

- Jesteś piękniejsza, niż mógłbym to sobie przedstawić w najzuchwalszych marzeniach.

Ta przepelniona szczerym podziwem uwaga sprawiła, że opuściło ją zakłopotanie. Jego zachwycony wzrok rozproszył nieśmiałość. Uważał, że jest piękna, i zapewniał ją o tym swym rozplomienionym wzrokiem, całą siłą swej miłości.

Nie mogła już dłużej stać nieruchomo. Zdjęła pantofelki i wyciągnęła ku niemu ręce.

- Chcesz, żebym teraz ja cię rozebrała?

- Jeszcze nie - odpowiedział. - Jeszcze poczekajmy. Jeśli teraz zdejmę spodnie, to wszystko stanie się zbyt szybko. Nie chcę, żeby tak się stało.

Wszystko musi przebiegać tak, żeby było jak najlepiej dla ciebie.

- To znaczy, że to niedobrze, jeśli to dzieje się zbyt szybko?

Pokręcił głową.

- To, co robimy razem, nigdy nie będzie niewłaściwe.

Nie dając jej czasu na zastanawianie się nad jego słowami, przycisnął ją do siebie z całej siły. Oparła dłonie o jego tors, jej palce zginęły w gąszczu sprężystych włosów, mile drażniących skórę; czuła, że jeśli rozsunie ramiona, jej piersi doświadczą tego samego uczucia.

Przytuliła się do niego, nim sam zdołał rozchylić jej ramiona. Wtulił twarz w zagłębienie jej szyi, chłonąc jej zapach, rozkoszując się dotykiem jędrnych piersi.

Gwałtownie zaczerpnęła tchu, co stanowiło dowód, że doświadcza podobnych uczuć.

- Mówiłem ci, że to będzie przyjemne.

Pomyślała, że przeżywa coś znacznie intensywniejszego niż przyjemność, lecz nie znajdowała słów, które byłyby w stanie wyrazić tę istną nawałnicę wrażeń. Słyszała, że jego oddech stał się urywany, chrapliwy, i dopiero po pewnym czasie zorientowała się, że i ona oddycha nierówno, nieledwie z trudem. Z każdym poruszeniem ciała docierały do niej nowe, coraz silniejsze bodźce, aż w końcu ogarnęła ją gorąca fala przyjemności. Było to nieopisanie cudowne uczucie.

Obsypywał jej szyję mokrymi pocałunkami, muskał płatek ucha wargami i językiem, szeptem składając żarliwe obietnice rozkoszy i opisując, co będą razem robili.

Jego słowa działały na nią równie pobudzająco jak dotyk. Miała ochotę pieścić całe jego ciało. Głaskała tors, ramiona i szyję, ciesząc się każdym napięciem mięśni, każdym westchnieniem, jakie wyzwał jej dotyk. Niespokojnie ocierała się o niego, próbując znaleźć się jak najbliżej źródła żaru bijącego od jego ciała.

Pochylał się nad nią, otaczając ją ramieniem w pasie. Całował ją coraz namiętniej, coraz zachłanniej, ponieważ rosnące podniecenie sprawiało, że tym usilniej starał się sprawić jej przyjemność. Wsunął język głęboko w jej usta, by po chwili go wycofać i zagłębić ponownie, i znowu, i znowu, w szaleńczym erotycznym rytmie. Przewędrował dłonią w dół wzdłuż szyi, uroczą ścieżką pomiędzy piersiami, aż w końcu, kiedy uznał, że nie jest w stanie zwlekać już ani chwili dłużej, władczo zagarnął dłonią jej pierś i zaczął ją niecierpliwie ugniatać, nieznacznie drażniąc kciukiem twarde koniuszek. Instynktownie wygięła ciało w

łuk, chcąc okazać, jaką jej sprawił przyjemność, a gdy ponownie pośpieszył z tą pieszczotą, mocno zacisnęła powieki, a z jej gardła wyrwał się jęk rozkoszy.

- Co ty ze mną robisz? - szepnęła.

- To dopiero początek.

Nie mieściło jej się w głowie, że będzie w stanie wytrzymać jeszcze intensywniejsze emocje. I tak czuła już ogromne napięcie, miała wrażenie, że gorące fale raz po raz obejmują jej ciało, koncentrując się nisko, gdzieś w środku...

Gwałtownie nakrył jej usta swoimi i włożywszy rękę pomiędzy jej uda, zaczął ją pieścić palcami. Jego język wciąż poruszał się rytmicznie, niosąc obietnicę mających nadejść przeżyć.

Miała wrażenie, że za chwilę umrze z nadmiaru uczuć, jakie wzbudzał w niej jego dotyk. Zaczęła poruszać biodrami, to wycofując się, to wychodząc na spotkanie jego dłoni, aż nagle doznania stały się tak intensywne, że rozpaczliwie chwyciła go za rękę.

Harrison trząsał się już z podniecenia. Wilgotne ciepło na jego palcach sprawiło, że przestawał się już kontrolować. Złożył na jej ustach długi, żarłoczny pocałunek, a kiedy w końcu odchylił głowę, zdał sobie sprawę, że jej ręka obejmuje jego dłoń i że wszystkich sił stara się go oderwać od żaru, który tak bardzo pragnął osiąść.

Porwał ją na ręce i, gwałtownie odrzuciwszy koce, położył na łóżku.

Dopiero wtedy zdjął spodnie. Rozpaczliwie starał się przekonać ją, że nie stracił jeszcze panowania nad sobą, że wciąż gotów jest okazać jej cierpliwość.

Jednakże przepelniała go nagląca potrzeba znalezienia się w niej jak najszybciej, pragnienie, by ciasno objęła go sobą, by ścisnęła go, kochała; wiedział jednak, iż najpierw musi być pewien jej chęci współdziałania. Najwyraźniej zaczynała mieć kolejne wątpliwości. Dobrze wiedział, co spowodowało tę zmianę jej nastroju. Wydawało mu się, że czyta w jej myślach.

Patrzyła właśnie na jego nabrzmiąły członek.

- Wszystko będzie dobrze, kochanie, obiecuję - powiedział chrapliwym głosem. - Przekonasz się, że doskonale do siebie pasujemy.

Potrząsnęła głową i najwyraźniej zamierzała wstać. Jej niespokojny oddech dowodził przeżywanymi emocjami, lecz strach zmuszał ją do odwrotu.

Tym razem nie dał jej czasu na podsycanie lęku. Przytrzymał ją w łóżku, kładąc się obok niej i przyciskając nogi udem, po czym chwycił ją za rękę, otoczył nimi swą szyję tak, by nie próbowała go odpychać, i pochylił się, by złożyć pocałunek na jej wargach.

Nie od razu udało mu się dotknąć jej ust. Wtuliła głowę w poduszkę i dopiero kojące zapewnienia, że wszystko będzie dobrze, zdołały uspokoić ją na tyle, że zdecydowała się na niego spojrzeć.

Jej zamglone oczy powiedziały mu, że ponowne obudzenie w niej namiętności nie zajmie mu dużo czasu.

- Uwierz mi, kochanie, pozwól mi się pocałować. Jeden, jedyne raz. Jeśli nadal będziesz chciała to przerwać, obiecuję ci, że nie będę nalegał.

Nie dodał, że może się to stać dopiero, gdy już naprawdę będą razem. Jeśli wtedy zacznie z nim walczyć, chcąc, by przestał, z pewnością to uczyni, choćby nie wiadomo jak wiele miało go to kosztować. Miał wielką nadzieję, że nie będzie do tego zmuszony.

Nie od razu przystała na jego prośbę. Gdyby nie to, że trawił go ogień, niewątpliwie uznałby jej nieszczęśliwy wyraz twarzy za wielce zabawny, lecz teraz, drżąc z emocji, był w stanie myśleć jedynie o tym, by jak najprędzej się w niej znaleźć.

- Tylko jeden pocałunek - wyszeptała.

- Tylko jeden - zapewnił ją solennie. - Zobaczysz, kochanie, że ci się to spodoba. Bóg mi świadkiem, że mówię prawdę.

Nie sprawiała wrażenia przekonanej o prawdziwości jego zapewnień. To go jednak wcale nie zniechęciło.

- Proszę, otwórz usta, najśłodsza - poprosił szeptem, który zabrzmiał jak jęk, i poczuł, że już całkowicie panuje nad sytuacją. Przytuliła go do siebie z całej siły, a kiedy zaczęła namiętnie odwzajemniać gorące pocałunki, wiedział już, że jej lęk należy do przeszłości.

Długo pieścił ją i obsypywał pocałunkami, dopóki ponownie nie zaczęła poruszać się pod nim niecierpliwie, i nie zyskał pewności, że oto znów zawładnęła nią namiętność.

Wsunął rękę pomiędzy uda, by przygotować ją na przyjęcie go w siebie.

Zadrzała; poczuł na palcach rozkoszną wilgoć. Dłuższą chwilę wędrował po jej aksamitnych zakamarkach, po czym ostrożnie dotknął najbardziej wrażliwego miejsca.

Nie potrafiła mu się oprzeć. Choć nowe pieszczoty sprawiły, że zaczęła wic się, nie potrafiąc poradzić sobie z natłokiem doznań, nie zaprzestawał swych słodkich tortur. Wbiła paznokcie w jego plecy, z gardła wydobył się odgłos przypominający skomlenie.

Nie mógł już czekać ani chwili dłużej. Wpił się wargami w jej usta i zdecydowanym ruchem kolana rozchylił uda, uniósł jej biodra i powoli zaczął torować sobie do niej drogę. Zatrzymał się na chwilę, czując nieznaczny opór, zamknął oczy upojony poczuciem bliskości upragnionego celu, po czym wszedł w nią jednym mocnym pchnięciem.

Poczuł się jak w siódmym niebie.

Miała wrażenie, że została rozdarta na dwie części, szarpnął ją gwałtowny, ostry ból. Krzyknęła, starając się odsunąć, ale nie pozwolił jej na to, celowo nie unosząc się na łokciach, lecz pozwalając jej czuć cały ciężar jego ciała.

- Nie ruszaj się, kochanie. Przytul się do mnie mocno. Ból zaraz minie. Zaraz poczujesz się lepiej. Kocham cię, Mary Roses. O Boże, kochanie, nie płacz.

Jego głos był przepełniony głębokim smutkiem. Świadomość, jak bardzo cierpi wiedząc, że zadał jej ból, sprawiła, że łatwiej zniosła nieprzyjemne uczucie, tym bardziej że z każdą chwilą ból coraz mniej dawał znać o sobie.

Silna namiętność toczyła walkę z bólem. Trudno było doszukać się sensu w tym wszystkim. Czy rzeczywiście można polubić coś takiego?

Nie zdawał sobie sprawy, jakie katusze przeżywa teraz Mary Roses. Bardzo się starał, by dać jej czas na przyzwyczajenie się do niego, lecz z coraz większym trudem przychodziło mu opanowywanie przemożnej chęci poruszenia się w niej. Konieczność powstrzymywania się sprawiała mu wręcz fizyczny ból. Czuł, jak wspañiale ciasno obejmuje go sobą, i wiedział, że jeśli nie będzie mógł się poruszyć, lada chwila będzie za późno i z pierwotnym okrzykiem ulgi i triumfu wleje w nią swe nasienie.

Skarcił się w myślach za to, że przez chwilę interesowała go tylko własna przyjemność. Mary Roses też musi zaznać cudownego uczucia spełnienia, choćby przyszło mu na to jeszcze długo czekać.

Mocno zacisnął szczęki. Pot zrosił mu czoło, serce łomotało w klatce piersiowej, krew pulsowała w skroniach. Wtulił twarz w jej szyję i zaczął delikatnie nagryzać koniuszek ucha.

- Jak się czujesz, kochanie?

Był szczerze zatroskany. Odczuła potrzebę pocieszenia go, zapewnienia, że wszystko w porządku, że nie stało się przecież nic złego.

- Już wszystko dobrze - wyszeptwała, starając się, by ton jej głosu nie zdradził, że to nieprawda.

Chcąc ostatecznie go przekonać, ponownie otoczyła go ramionami i zaczęła głaskać po plecach i pośladkach. Zadrżał, wydając niski jęk. Nie przerwała jednak tych łagodnych pieszczot. Wyczuwała towarzyszące mu napięcie i zdawała sobie sprawę, ile wysiłku musi kosztować go opanowanie. Ta jego troska o nią sprawiła, że własny ból wydał się jej nagle zupełnie bez znaczenia.

- Nie chciałabym, żebyś przeżył rozczarowanie.

Uniósł się na ramionach, by na nią spojrzeć.

- Nie jesteś w stanie mnie rozczarować. Nie jesteś, bo cię kocham, wiesz?

Ujęła ją jego czułość.

- Czuję się zupełnie dobrze. Naprawdę będę mogła już to znieść. Wytrzymam. Nie musisz już dłużej czekać.

Zaskoczył ją jego szeroki uśmiech.

- Wytrzymasz? - zapytał. - Cóż, będę się starał, żebyś jakoś to wytrzymała.

Przyciągnęła go, by ją pocałował, a kiedy uniósł głowę, z radością powitał jej ponownie rozplómienny wzrok.

Wiedział, że minęło bardzo niewiele czasu, odkąd cudownie, głęboko się w niej zanurzył, lecz nagła potrzeba spełnienia sprawiła, że czas ten wydał mu się wiecznością.

Jego roznamiętione spojrzenie pobudziło uśpione w niej na chwilę emocje.

- Powiedz mi, co mam robić. Chcę, żebyś był ze mnie zadowolony.

- Zawsze jestem i będę z ciebie zadowolony. Podnieś nogi, kochanie... powoli, tak, żebym mógł... - westchnął głęboko, nie był w stanie dokończyć zdania. Uczucie, jakiego doświadczył, kiedy się poruszyła, uniemożliwiło mu logiczne myślenie i pozbawiło kontroli nad sobą.

Spodziewała się nadejścia tego samego ostrego bólu, tymczasem czekały ją zupełnie inne wrażenia.

Niezwykłość tych doznań pobudziła jej ciekawość. Poruszyła się znowu, doświadczając kolejnego niezmiernie miłego uczucia. Mocno objęła Harrisona ramionami. Czuli się coraz lepiej.

- To jest bardzo przyjemne, prawda? Proszę cię, tym razem powiedz mi prawdę.

Mówił jak człowiek dręczony wielkim bólem.

- Tak - wyszeptała. - Ale nie mam jeszcze ochoty dziękować ci za to wszystko.

Boże, jak bardzo ją kochał.

Poprosił ją, żeby oplotła go nogami, po czym nieznacznie zmienił pozycję i zanurzył się w niej jeszcze głębiej.

A potem już długo nie byli w stanie odezwać się do siebie. Wycofał się i pograżył znowu. Chciał postępować jak najwolniej i najłagodniej, by z podniecenia zapomniała o całym świecie, lecz była tak niewiarygodnie ciasna i gorąca, i było mu w niej tak wspaniale, że potrzeba przyspieszenia zdominowała wszystkie inne i nie był już dłużej w stanie myśleć o tym, by poruszać się wolno i pieścić ją jak najłagodniej. W rzeczywistości w ogóle nie był w stanie myśleć. Mógł jedynie czuć.

Jej bezładnym szeptem wypowiedane prośby i zduszone jęki były dlań dodatkową podniecią do działania. Ilekroć nieznacznie się z niej wynurzał, unosiła biodra, jakby błagając

go o powrót. Ona także przestawała się już kontrolować, coraz mocniej wpijając palce w jego plecy. Coraz to gwałtowniejsze pieszczoty i coraz głośniejsze okrzyki były sygnałem, że pragnie jeszcze mocniejszych wrażeń. Czuła podniecenie tak wielkie, że wydawało jej się, iż za chwilę nie wytrzyma tego słodkiego bólu i umrze. Choć nie wiedziała, czego ma oczekiwać, była pewna, że za wszelką cenę pragnie doświadczyć tego właśnie teraz.

Ogarnął ich szal miłosnego uniesienia; czuła, że nie jest w stanie wytrzymać tej intensywności przeżyć już ani sekundy dłużej. I właśnie wtedy poczuła cudowną ulgę, która spłynęła na nią jak błogosławieństwo, i w uniesieniu kilka razy wykrzyknęła jego imię, ogarnięta kolejnymi falami rozkoszy. Czuł, że obejmuje go sobą coraz ciaśniej, a kiedy targnęły nią spazmy rozkoszy, nie zwlekał już ani chwili i wlał w nią swe nasienie z głośnym jękiem pierwotnej satysfakcji.

Było to niewątpliwie najwspanialsze spełnienie w jego życiu.

A stało się tak dlatego, że bardzo ją kochał.

Opadł na nią całym ciężarem ciała. Ofiarował jej wszystkie swoje siły i musi upłynąć dłuższa chwila, nim odzyska dawny wigor. Miał ochotę zasnąć w jej ramionach, a po przebudzeniu natychmiast ponownie zatracić się w miłości.

Długo nie mogła dojść do siebie. To, co przed chwilą przeżyła, wywarło na niej zbyt wielkie wrażenie. Miała uczucie, że ich serca, umysły i dusze przeniknęły się wzajemnie w tym cudownym momencie spełnienia, i że jest opromieniona blaskiem jego miłości. Pierwsza noc z Hamsonem była najcudowniejszym, najwspanialszym doświadczeniem w jej życiu.

Postarał się, żeby wszystko ułożyło się jak najlepiej. Odkąd oddała mu swe serce, cały jej świat uległ zmianie, nic już nie było w nim takie samo.

Zwyczajne dni zmieniały się dla niej we wspaniałe święta. Nie wyobrażała już sobie życia bez niego. Był czuły, kochający, łagodny, a zarazem pełen namiętności, zuchwały i pewny siebie.

Wydawał się jej ucieleśnieniem wszelkich cnót. A myślała tak dlatego, że go kochała.

- Jak się czujesz, Mary Roses?

Uniósł się na łokciu, by zająrzeć jej w oczy. Były wciąż lekko zamglone po przeżyciu rozkoszy. Miała nieznacznie opuchnięte wargi, a na policzkach widniały otarcia od jego zarostu. Te ślady dały mu uczucie głębokiej satysfakcji. Dowodziły, że należała do niego.

- Zadałem ci ból?

Pytanie zabrzmiało szczerze, zaniepokoił ją jednak pełen zadowolenia uśmiech, który pojawił się na jego twarzy.

- Tak, ale nie trwał długo. Przecież krzyknęłam tylko raz.

- Wtedy tylko raz - przyznał.

- Czemu się uśmiechasz? Nie przejmujesz się tym, że mnie bolało?

- Oczywiście, że się przejmuję. Kocham cię, Mary Roses. A śmieję się z tego, jak teraz wyglądasz.

Mówił niskim, intymnie ściszone głoŝem, który zawsze ją podniecał.

- A jak wyglądam? - zapytała, wstrzymując oddech.

- Tak jakbym wciąż jeszcze był w tobie, kochał się z tobą i dawał ci przyjemność.

Odczuwam teraz ogromną satysfakcję posiadacza.

Ona tymczasem czuła się cudownie bezpieczna, otoczona ciepłem i miłością.

- Zawsze lubiłaś rolę pana i władcy.

- Teraz to zupełnie co innego, kochanie. Nie masz pojęcia, od jak dawna marzyłem o tym, by znaleźć się z tobą w łóżku.

Pogładziła go po policzku.

- A co czujesz teraz, kiedy już w nim jesteś?

Uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Czuję, że jesteś moja.

Nie potrafiłaby temu szczerze zaprzeczyć.

- Tak, jestem twoja.

Pokiwał głową z wyraźnym zadowoleniem i pochylił się, by ją pocałować.

Przesuwała stopami po jego nogach. Gdy ich języki zwarły się w żartobliwym pojedynku, czuł na twarzy jej gorący oddech.

Wiedział, że muszą poniechać pieszczot, zanim rosnące podniecenie nie każe mu zapomnieć o jej delikatnym stanie. Musi dojść do siebie, nim ponownie będzie mógł ją osiąść.

Położył się na plecach, tuląc ją do swego boku.

- Musimy porozmawiać, Mary Roses.

Zaniepokoił ją niezwykle poważny ton jego głosu. Świadomość swej obecnej bezbronności wzbudziła w niej przeświadczenie, że za chwilę usłyszy coś, czego absolutnie nie chciałaby usłyszeć. Wydawało jej się nawet, że dobrze wie, co to będzie.

Przez kilka minut żadne z nich nie odezwało się ani słowem. Szklanym wzrokiem wpatrywał się w sufit, zastanawiając się, w jaki sposób zacząć rozmowę na temat ich przyszłości.

Tymczasem ona zadręczała się własnymi myślami.

Wreszcie poczuła, że nie zniesie milczenia już ani chwili dłużej.

- Ułatwię ci sprawę, Hamsonie. Powiem to za ciebie. Chcesz...

Przerwał jej, mocno obejmując ją w pasie.

- Nie masz najmniejszego pojęcia, co chcę ci powiedzieć. Nie potrafisz czytać w myślach, moja słodka.

- W twoich rzeczywiście nie - przyznała. - Ale czasami potrafię wyciągać wnioski. Z poważnego tonu twojego głosu wywnioskowałam, że zamierzasz powiedzieć mi coś ważnego. Z kolei twoje wahanie kazało mi się domyślić, że masz trudności z dobraniem właściwych słów. Czy jak na razie mam rację?

- Tak - odpowiedział. - Istotnie chcę ci powiedzieć coś ważnego i rzeczywiście szukałem odpowiednich słów.

- Bo jesteś prawnikiem?

- Nie, dlatego że chcę, żebyś dobrze mnie zrozumiała. Chcę cię na coś przygotować.

Zaczęła przeczesać palcami owłosienie jego torsu, nie zdając sobie sprawy, że budzi uśpione licho. Odczuł nagle nieprzewartą potrzebę znalezienia się w niej ponownie.

Jednakże najpierw musiał z nią porozmawiać. Chwyił jej dłoń i mocno ścisnął.

Uniosła głowę i złożyła pocałunek na jego szyi.

- Przestań mnie prowokować. - Powiedział to nieoczekiwanie zdecydowanym tonem.

Nie zwracając uwagi na jego słowa, wolno, z rozmysłem pocałowała go ponownie.

- Wcale cię nie prowokuję ani nie kuszę. Ja cię pocieszam, a to wielka różnica.

- Mary Roses, leżysz przy mnie naga, więc...

- ... wodzę cię na pokuszenie.

- Właśnie.

Westchnąwszy głęboko, wtuliła policzek w zagłębienie jego ramienia.

- Wiem, co teraz musisz przeżywać. Masz wyrzuty sumienia. Rozumiem to, Hamsonie, i właśnie dlatego chciałam cię pocieszyć. Nie musisz czuć się winny.

Znieruchomiał.

- A z jakiegóż to, twoim zdaniem, powodu miałbym mieć wyrzuty sumienia?

- Z powodu naszej... niemoralności.

- Czego?!!

Chłodny, opanowany ton jego głosu maskował gniew. Nie wierzył własnym uszom. Powtórzyła to, co powiedziała, by zyskał pewność, że się nie przesłyszał.

- Naszej niemoralności.

Usłyszała, że wziął głęboki oddech. Taka reakcja mogła zwiastować nadchodzącą burzę. Również jego uścisk stał się mocniejszy.

A więc okazało się, że wcale jeszcze nie dojrzała do tej decyzji.

- Co też się dzieje w twojej głowie? Przecież nie odbiegasz inteligencją od innych. Ba, rzekłbym, że się nią wyróżniasz. Więc co się stało? Skąd ci przyszło do tej ślicznej głowy, że zrobiliśmy coś nagannego moralnie? Proszę, odpowiedz na moje pytanie.

Jednakże nie dał jej szansy na odezwanie się choć słówkiem.

- Przecież przysięgliśmy sobie miłość i wierność. Nie wiesz, co to oznacza?

Mary Roses była szczerze zaskoczona jego gniewną reakcją. Nie oznaczało to jednak, że się go bała. Uśmiechnęła się do swoich myśli. Harrison ryczał jak ranny zwierz, a mimo to czuła się przy nim równie bezpieczna jak dotychczas.

Nie rozumiała jednak powodów takiej właśnie reakcji. Zachowywał się tak, jakby dotkliwie go zraniła, wręcz obraziła. I to nie tylko jego, ale także jego matkę. I jego psa, o ile takowego miał.

Kiedy w końcu dał jej szansę powiedzenia czegokolwiek, w jej głosie słychać było zakłopotanie.

- Nie powiedziałam, że to ja uważam, że postępujemy niemoralnie.

Myślałam, że ty...

Przerwał jej ponownie.

- Posłuchaj. Coś mi się wydaje, że wciąż jeszcze nie rozumiesz...

- Czego? O co ci chodzi?

- O to, że najwyraźniej nie dotarło jeszcze do ciebie, co oznaczają moje słowa, że należysz do mnie. Nie chodziło mi o to, że jesteś moja na dzisiejszą noc. Miałem na myśli to, że jesteśmy już nierozzerwalnie związani z sobą, na zawsze.

- Chciałabym, żebyś pomyślał o tym rozsądnie. Jeżeli...

- To ja mam być rozsądny?!!

Pożałowała swoich słów. Była wdzięczna losowi, że nie widzi teraz jego twarzy, gdyż wiedziała aż nazbyt dobrze, iż wszystkie mięśnie drgają mu pod skórą. Tak się działo, ilekroć mocno zaciskał szczęki, a robił to zawsze, kiedy był zły i w każdej chwili mógł wybuchnąć gniewem.

- Wygląda na to, że nie mam szans powiedzenia czegoś, co cię uspokoi.

Zaczął wyjaśniać, co sądzi o jej niefortunnej uwadze, lecz po chwili przerwał swój wywód. Pomyślał, że jeśli będzie go kontynuował, lada chwila wpadnie w furję. Niemoralność! Wciąż nie mieściło mu się w głowie, jak mogła użyć tego słowa na określenie tego, co zdarzyło się między nimi dzisiejszej nocy. Upłynie sporo czasu, zanim będzie w stanie przejść nad tym do porządku dziennego.

Jego milczenie stanowiło dla niej dowód, że zdecydował się posłuchać głosu rozsądku.

- Zrozum, przecież jestem zupełną nowicjuską na tym polu. Mógłbyś okazać mi nieco więcej cierpliwości. Nie stało się nic strasznego, więc proszę, przestań dyszeć ze złości. Przecież po raz pierwszy byłam z kimś tak blisko.

Nic nie poradzę na to, że teraz czuję się taka... bezbronna.

Miała nadzieję, że jej wyznanie wyjedna u niego dla niej odrobinę współczucia i zrozumienia. Okazało się jednak, że się myliła.

- Jestem nieprzyjemnie zaskoczony, że możesz choćby w najmniejszym stopniu czuć się bezbronna. Nie wspominając już, że najzwyczajniej w świecie to mnie obraża, droga pani.

Zaczynała tracić cierpliwość. Czepiał się każdego jej słowa. Rzeczywiście, dorównywał temperamentem swojemu koniowi. Chciała mu to powiedzieć, lecz w ostatniej chwili zmieniła zamiar. To porównanie zapewne wywołałoby kolejny atak wściekłości.

- Nigdy dotąd nie okazywałeś mi takich humorów.

- Nigdy dotąd nie kochałem się z tobą.

Zabębniła palcami o jego tors.

- Cole zawsze ma takie humory, kiedy czuje się winny.

- Nie czuję się absolutnie niczemu winny. A ty?

Ścisnął jej dłoń tak mocno, że aż zbiałyły kostki. Powiedziało jej to lepiej niż jego słowa, jakiej sobie życzy odpowiedzi.

- Nie, ja też nie czuję się winna. Zadowolony?

Nie odpowiedział, lecz z faktu, że uwolnił jej dłoń wywnioskowała, że udzieliła mu właściwej odpowiedzi.

- Myślę, że powinniśmy już zakończyć tę rozmowę. Jeśli będziemy ją dalej prowadzić, gotowa zakończyć się gigantyczną kłótnią, a wtedy będziesz musiał mnie przeprosić. Naprawdę chcesz tracić mnóstwo czasu, próbując mnie przebłagać, zamiast zajmować się czymś znacznie przyjemniejszym?

Uśmiechnął się mimo irytacji.

- A skąd ci przyszło do głowy, że w ogóle błagałbym cię o przebaczenie?

- Ponieważ potrafisz czekać dłużej niż ty. Ty pierwszy byś nie wytrzymał.

- Rozumiem, że długo zachowujesz urazy. Twoi bracia ostrzegali mnie przed tą wadą twojego charakteru.

- Czasami rzeczywiście to mi się zdarza.

Roześmiał się, tym razem szczerze rozbawiony.

- Mary Roses, mam ochotę wytargać cię za uszy i całować jednocześnie.

Daję słowo, że któregoś dnia oszaleję przez ciebie.

Wsunęła dłoń w gęste owłosienie jego torsu. Lubiła czuć te sprężyste kędziory owijające się wokół jej palców. Marzyła, by jeszcze raz ją pocałował.

Już samo myślenie o tym wpływało na nią niezwykle podniecająco. Westchnęła cichutko i otarła się o niego.

Usłyszała niski jęk i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, czego dotknęła udem, lecz rozchodziło się stamtąd tak miłe ciepło, że nie cofnęła nogi.

Gdyby było to dla niego przykre, na pewno by ją odsunął. Tymczasem nie uczynił tego, lecz położył rękę na jej kolanie i zaczął delikatnie pieścić.

- Harrison?

- Tak?

- Czy było ci tak miło jak we śnie?

- Było dużo, dużo milej. Moje sny i marzenia nie były takie. Wtedy robiło mi się gorąco. A dzisiejszej nocy płonałem. Rozumiesz?

- Byłeś zadowolony?

Słyszając rozbawienie w jej głosie, domyślił się, że ta mała diablica coś knuje. Zastygł w oczekiwaniu. Bóg jeden wie, co też tym razem strzeliło jej do głowy.

- Więcej niż zadowolony.

- Teraz czuję, że naprawdę sprawiło ci to przyjemność, ba, że jesteś mi wdzięczny. Czy to prawda?

Obwodziła palcem brodawki jego piersi, co nie pozwalało mu się skupić na rozmowie.

- Tak - odpowiedział ochryłym głosem.

- Domyślam się, że dałam ci trochę radości.

- To za mało powiedziane. Byłem po prostu szczęśliwy.

Uśmiechnęła się. Był trochę zaskoczony, że potrzebowała aż tylu zapewnień. Przecież powinna była domyślić się tych wszystkich odpowiedzi, wnioskując z jego reakcji, gdy się kochali, powinna była wiedzieć, jak jest wspaniała. Być może rzeczywiście czuła się bezbronna, bezradna dlatego, że było to dla niej nowe doświadczenie.

Boże, czyżby nareszcie wracał jej rozsądek?

- I nie wiesz wprost, jak mi dziękować?

Po tych wypowiedzianych szeptem słowach nareszcie zrozumiał, że Mary Roses po prostu powtarza jego własne słowa. Wybuchnął gromkim śmiechem.

- Coś mi się wydaje, że ten fragment moich snów nie bardzo przypadł ci do gustu, prawda, kochanie?

Była tak zadowolona z siebie, że nie musiał czekać na odpowiedź. Po chwili jednak coś ją wyraźnie zaniepokoiło.

- Co miałeś na myśli mówiąc, że za pierwszym razem krzyczałam bardzo krótko? Czyżbym później krzyczała ponownie?

- Tak. Tylko że wtedy trwało to dłużej.

- Kiedy?

- Kiedy świat zawirował wokół ciebie.

Na wspomnienie tej chwili oblała się szkarłatnym rumieńcem. Rzeczywiście, miała takie wrażenie. Nie pamiętała jednak, że krzyczała. Cała jej uwaga była wtedy skupiona na nowych, cudownych doznaniach.

- Czy możesz już teraz wysłuchać, co chciałem powiedzieć?

- Jeżeli masz zamiar powiedzieć mi, że cię znienawidzę, to nie będę cię słuchać.

- Chcę porozmawiać o naszej przyszłości.

- Dobrze.

- Najbliższe pół roku będzie dla ciebie niełatwym okresem.

- Masz zamiar się o to postarać?

- Nie to miałem na myśli.

- Kocham cię, Harrison.

- Ja też cię kocham. Będę musiał wrócić do Anglii, kochanie. Chciałbym, żebyś do mnie przyjechała.

- Naprawdę chcesz, żebym była tam z tobą?

- Tak.

- Dlaczego musisz wracać?

- Muszę tam skończyć coś, co zacząłem.

- Czy zajmie ci to dużo czasu?

- To zależy od ciebie.

Nie zrozumiała jego słów.

- Chcesz znów zobaczyć góry szkockie? Tęsknisz?

- Przede wszystkim chcę być z tobą. To, gdzie będziemy mieszkać, zupełnie nie ma dla mnie znaczenia.

- Przecież miało ogromne znaczenie.

Uśmiechnął się. Miała rację. Wręcz obsesyjnie myślał o powrocie do Szkocji. Lecz jego plany uległy zmianie, oczywiście za sprawą Mary Roses.

Teraz do szczęścia wystarczała mu już sama jej obecność, w jej towarzystwie będzie czuł się szczęśliwy w każdym miejscu na świecie.

- Kiedy zamierzasz wyjechać?

- Pomyślałem, że najlepiej zrobię wyjeżdżając pojutrze. Chciałbym, żebyś jak najszybciej do mnie dołączyła.

Poczuła oszołomienie. Zamierzał wprowadzić w jej życie tak wiele zmian...

Ma zostawić braci? Anglia leży tak daleko, za oceanem. Boże, dlaczego tak daleko?

Czy zamieszkają w mieście? Czy uda jej się przystosować do wielkomiejskiego życia? Czowała, że zaczyna brakować jej tchu. Tłumy ludzi na ulicach mogą przyprawić ją o obłąd. Czy wyglądając przez okno będzie widziała jedynie chodnik i domy? Ma opuścić ten raj na ziemi?

Lecz jak mogłaby pozwolić na to, by Harrison dłuższy czas przebywał tak daleko bez niej? Nie wyobrażała sobie życia bez niego.

Tysiące pytań cisnęły się jej do głowy.

- Wiem, że musisz mieć czas, by to wszystko sobie przemyśleć, kochanie.

- Tak - odpowiedziała. - Chciałabym... Harrison, czy kiedykolwiek myślałeś o tym, że moglibyśmy zamieszkać tutaj?

- Tak, gdyby okoliczności temu sprzyjały.

- To znaczy, że to będzie w przyszłości możliwe?

- Trudno mi w tej chwili odpowiedzieć na to pytanie.

- A gdybym do ciebie nie przyjechała?

- Wróciłbym tu po ciebie.

- Nie chcę teraz myśleć o przyszłości. Jutro będzie czas na rozmowę o wszystkich planach i decyzjach. Proszę, pocałuj mnie. Chcę, żebyśmy jeszcze raz się kochali.

Podparł się łokciem i spojrzał jej w oczy.

- Chcę znowu poczuć cię w sobie - szepnęła.

- Nie możemy - odpowiedział jej cichym głosem. - Jeszcze na to za wcześnie. Będzie bolało.

Pochyliła się i pocałowała go w usta. Nie bała się bólu. Pragnęła, by znów byli razem.

- Proszę - wyszeptała, całując go ponownie. - Tylko jeden pocałunek.

Pozwól mi na jeden, jedyny pocałunek i jeśli po nim będziesz chciał, żebym przestała, obiecuję, że nie będę nalegać.

- Nawet nie wiesz, jak cię kocham, kiedy zwracasz przeciwko mnie moje własne słowa. - To powiedziawszy, otoczył ją ramionami i obrócił tak, że znalazła się na nim. - Zamierzasz mnie całować, dopóki nie poczujesz mnie w sobie?

- Tak...

Były to ostatnie artykułowane dźwięki, jakie wydali z siebie, nim ponownie byli w stanie przytomnie wypowiedzieć jakiegokolwiek słowo.

Zasnęli ciasno spleceni ramionami i nogami, w miękkim kokonie miłości.

5 kwietnia 1868

Kochana Mamo Roses!

Wczoraj Adam bił się z Indianami. To wszystko było przeze mnie, bo Indianom spodobały się moje piękne włosy. Wkładam parę włosów do koperty, żebyś mogła zobaczyć, jakie są ładne. Ale są jasne, Mamo, i tak spodobały się Indianom, że chcieli mnie oskałpować. Potem jeden z nich powiedział, że zabiorą mnie razem z moimi włosami i wtedy Adam się wściekł. Nie było Cole a i Douglasa, a zanim Travis wyszedł z szopy, Adam sprawił im niezłe lanie. Twój syn ma rozbity nos, a Indianie, na których tak się zezłościł, spali w naszym ogrodzie do czasu, kiedy ich nie pobił.

Walka to nic dobrego, wiem to, Mamo. Nawet Adam tak powiedział, ale teraz ma nadzieję, że Indianie zostawią moje włosy w spokoju.

Ja też mam taką nadzieję.

Twoja córka Mary Roses^^

Mary Roses wróciła do swego pokoju tuż przed świtem. Była nieco zdziwiona, że Harrison twardo spał, kiedy od niego wychodziła. Zazwyczaj budziło go najmniejsze poruszenie, lecz tym razem nic nie było w stanie zmać jego snu. Wstała, ubrała się i wyszła z baraku, a on nawet nie drgnął. Zapewne to ona odebrała mu siły. Ta myśl napawała ją teraz nie lada satysfakcją.

Jednakże i ona sama nie była w stanie od razu przystąpić do porannych zajęć. Zasnęła kamiennym snem, ledwie przyłożyła głowę do poduszki, i obudziła się dopiero przed dziesiątą.

Z Hamsonem spotkała się dopiero przy kolacji. Travis powiedział jej, że Dooley wcześniej rano przywiózł telegram.

Brat wychodził właśnie tylnymi drzwiami, kiedy powiedział jej o telegramie, więc musiała pobiec za nim, chcąc dowiedzieć się czegoś więcej.

- Do kogo był ten telegram?

- Oczywiście do Hamsona. Gdyby był adresowany do kogoś z nas, leżałby teraz na stole w kuchni.

- Kto go nadał?

- Nie wiem.

- Travis, proszę, zwolnij trochę. Czy Hamson powiedział ci o tym telegramie? Czy znasz jego treść?

Travis odwrócił się.

- Nie, nic mi nie mówił, a ja nie pytałem. Ale nie wyglądał na zachwyconego tym, co przeczytał. Powiedziałbym nawet, że wyraźnie spochmurniał.

- O, Boże, mam nadzieję, że nikt nie umarł.

- Dlaczego myślisz, że ktoś mógł umrzeć?

- Telegramy przeważnie zawierają złe wiadomości. Nawet dziecko o tym wie. Co Hamson zrobił po tym, jak przeczytał wiadomość?

Travis wydał przeciągłe westchnienie.

- Włożył depeszę do kieszeni i poszedł do baraku się spakować. Miał zamiar pojechać do miasta kupić kufer, ale Adam dał mu jeden ze swoich.

Obiecałem, że go wyślę do Anglii.

- Hamson wyjeżdża. Wiedziałam, że ma zamiar wyjechać - powiedziała.

- Uprzedził mnie o tym.

- Nie zamartwiaj się, dopóki z nim nie porozmawiasz.

- Wcale się nie zamartwiam.

- W takim razie puść moją rękę. Okropnie mnie szczypiesz.

W ogóle nie zdawała sobie sprawy, że mocno ściska ramię brata. Natychmiast uwolniła jego rękę.

- Nie chcę, żeby wyjechał.

Rysy twarzy Trávisa złagodniały.

- Wiem, że nie chcesz. Miłość to nie tylko szczęśliwe chwile. Człowiek staje się nadwrażliwy, bezbronny.

Trudno było nie zgodzić się z jego zdaniem. Miał absolutną rację.

- Tak, to nie tylko radosne chwile. Kiedy Harrison wyjeżdża?

- Nie wiem.

- A gdzie on teraz jest?

- Wyszedł z Adamem jakąś godzinę temu. Nie powiedział mi dokąd. Wiem, że Adam chciał z nim porozmawiać w cztery oczy. Może wybrali się na ryby. W zakolu rzeki aż roi się

od pstrągów. Nie trać dnia na zamartwianie się, Mary Roses. Wieczorem Harrison na pewno wszystko nam wyjaśni.

Wróciła do domu. Będzie jakoś musiała przeżyć ten dzień. Niestety, zdecydowanie brakowało jej cnoty cierpliwości. Nienawidziła czekać na cokolwiek, nawet na złe wiadomości.

Eleanor nie była dzisiaj najlepszą towarzyszką. Snuła się z kąta w kąt po całym domu i nie miała ochoty czymkolwiek się zająć. Mary Roses postanowiła wysprzątać salon. Miała nadzieję, że przy pracy szybciej upłynie jej czas oczekiwania na wieczór.

Nie poprzestała na wypolerowaniu salonu. Wzięła się potem do szorowania podłóg, zmieniła pościel, umyła okna, a potem poszła popracować do ogrodu.

Późnym popołudniem czuła już ogromne zmęczenie. Udała się do kuchni i zaczęła przygotowywać kolację, lecz kucharz zamachał nożem rzeźniczym tuż przed jej nosem i nakazał zejść mu z drogi. Samuel, czyli Pomarszczona Twarz, jak nazywali go Douglas i Cole, miał w żyłach krew indiańską i irlandzką. Adam twierdził, że tej właśnie mieszance Samuel zawdzięcza swój specyficzny temperament - ognisty, jak przystało na Irlandczyka, lecz z niezwykłym odcieniem delikatności.

Mary Roses darzyła Samuela szacunkiem i podziwem, jednakże nigdy mu tego nie powiedziała, ponieważ wydawał się nie znosić komplementów.

- Samuel, jesteś ponury jak w dniu, w którym tu przybyłeś - odezwała się.

Spojrzenie jego ciemnobrązowych oczu zdradzało, że z zadowoleniem wysłuchał jej opinii. Ponownie pomachał nożem przed jej oczami, mruknął, że wsypie truciznę do jej kolacji, po czym jeszcze raz kazał jej się wynosić z kuchni.

Wybuchnęła serdecznym śmiechem. Samuel odwrócił się, lecz zdążyła dostrzec cień uśmiechu na jego twarzy.

Ponieważ Adam nie zapisał jeszcze nic na dany dzień, wzięła kredę i podeszła do tablicy. Wielkimi drukowanymi literami napisała: POCHLEBCA.

- Samuel, spójrz, napisałam twoje imię - zażartowała.

Jeszcze kilka minut dręczyła nieszczęsnego kucharza, cały czas mówiąc coś do niego; w końcu zaczęła nakrywać do stołu. Wykonawszy tę prostą czynność, poszła na piętro przebrać się i wziąć mydło i ręczniki, po czym z niemałym trudem wyciągnęła Eleanor nad rzekę.

Nie mogła się doczekać, kiedy znów zobaczy Harrisona, jednak kiedy zasiedli do stołu, celowo unikała spoglądania w jego stronę. Bała się, że spłonie rumieńcem na

wspomnienie niedawno przeżytych chwil. ilekroć przypomniła sobie, jak się kochali, czerwieniła się i brakowało jej tchu.

Bracia natychmiast by to zauważyli, dlatego też uporczywie wpatrywała się w talerz. Absolutnie nie wstydziła się tego, co zrobiła, ale nie miała najmniejszej ochoty wdawać się w dyskusje na ten temat.

Oni zresztą również nie przejawiali chęci do poruszania tego problemu, choć była pewna, że co najmniej dwaj z nich słyszeli, jak wychodziła nocą z domu. Adam musiał słyszeć, jak zstępowała ze schodów, a Cole niewątpliwie obudził się, gdy otwierała drzwi sypialni. Jednakże nie wygłosili ani słowa komentarza na temat jej zachowania, a ona - zapewne z tego powodu - nie była w stanie przemóc się, by spojrzeć im w oczy w czasie kolacji.

Swoją drogą wiedziała przecież, że oni wiedzą, więc dlaczego czuła się w pewien sposób winna? Doszła do wniosku, że potrzebuje trochę czasu na oswojenie się z nową sytuacją.

Sądziła, że Harrison nie ma z tym żadnych kłopotów. Przecież wyraźnie dał jej do zrozumienia, że nie stało się nic, czego mogliby się w jakikolwiek sposób wstydzić. Najprawdopodobniej uważał, że skoro wyznali sobie miłość i zobowiązali się do wierności, powinni zacząć zachowywać się jak małżeństwo.

A przecież nie byli małżeństwem, przynajmniej w świetle prawa, i dopóki ich związek nie zostanie pobłogosławiony przez duchownego, zawsze towarzyszyć jej będzie strach, że rani uczucia swoich braci.

Podczas kolacji niewiele rozmawiano. Wszyscy sprawiali wrażenie pogrążonych w swoich myślach i ta powszechna powściągliwość przyprawiała Mary Roses o jeszcze większą nerwowość.

Nawet Eleanor zachowywała się jakoś dziwnie. Małymi łyčzkami popijała wodę, lecz nie tknęła jedzenia. Nie przesuwiała go nawet po talerzu, jak zawsze czyniła to Mary Roses, kiedy chciała oszukać swoich braci i sprawić, by myśleli, że je.

Douglas pierwszy zorientował się, że Eleanor jest chora.

- Nie czujesz się dzisiaj zbyt dobrze, prawda, Eleanor? - zapytał.

- Jestem tylko trochę zmęczona. Nawet trudno mi powiedzieć dlaczego.

Przecież nie robiłam niczego, co mogłoby mnie zmęczyć. Czy tu jest zimno?

Douglas wymownie popatrzył na Adama.

- Ona ma gorączkę. Spójrz tylko, jakie ma rozpalone policzki.

Mary Roses odłożyła widelec i spojrzała na przyjaciółkę.

- Jesteś chora? - zapytała cicho.

Douglas wstał i przeszedł na drugą stronę stołu, by przyłożyć dłoń do czoła Eleanor.

- Tak, na pewno ma gorączkę. I to wysoką. Chodź, Eleanor, musisz położyć się do łóżka. - Pomógł jej wstać; z ulgą przyjęła podane jej ramię.

Mary Roses była przerażona stanem przyjaciółki i swoim własnym egoistycznym zachowaniem. Powinna była zorientować się, że Eleanor jest chora; gdyby nie była tak bardzo zajęta sobą, z pewnością nie uszłoby to jej uwagi.

Była zupełnie bezmyślna.

- Och, Eleanor, tak mi przykro, że źle się czujesz. Czemu mi wcześniej tego nie powiedziałaś?

- Nie chciałam się skarżyć.

Cole potrząsnął głową.

- Nie zachowuj się jak męczennica, Ellie. Od jak dawna źle się czujesz?

- Od rana - odpowiedziała. - Po południu Mary Roses poprosiła mnie, żebyśmy poszły wykapać się w rzecze. Woda była strasznie zimna, ale też nie chciałam się skarżyć. Adam, to chyba dobrze, że wolałam cierpieć w milczeniu?

Adam zauważył w jej oczach łzy i natychmiast poczuł się winny. Biedactwo najwyraźniej wciąż bała się odtrącenia.

Delikatnie poklepał ją po ręce.

- Oczywiście że powinnaś była powiedzieć o tym, że coś ci dolega - stwierdził. - Należysz teraz do naszej rodziny, Eleanor. Chcemy wiedzieć, kiedy źle się czujesz, żebyśmy mogli ci pomóc.

- Naprawdę? - Sprawiała wrażenie całkowicie, lecz niezwykle mile zaskoczonej jego oświadczeniem.

Adam uśmiechnął się.

- Tak, naprawdę się o ciebie troszczymy - zapewnił ją solennie. - Douglas zaraz wszystko przygotuje. Idź z nim na górę, a ja za chwilę przyniosę ci herbatę. Mary Roses też ci pomoże.

Cole nie odezwał się już, dopóki Douglas i Mary Roses nie wyprowadzili Eleanor z jadalni.

- No, teraz będziemy mieli za swoje.

- Co masz na myśli? - zapytał Adam.

- Widziałeś, jaką miała minę, kiedy powiedziałaś jej, że ma prawo narzekać? Odniosłem wrażenie, że te słowa coś za bardzo jej się spodobały.

- Nie bądź śmieszny - skarcił go Adam. - Przecież jest chora. Sam widzisz, że jest chora.

- Nie mówmy już o tym narzekaniu - włączył się do rozmowy Travis. - Moją uwagę zwróciło coś zupełnie innego. Adam, co miałeś na myśli mówiąc, że ona należy do naszej rodziny?

- Po prostu chciałem, żeby czuła się u nas naprawdę jak w domu. Chyba nie ma w tym nic złego?

- A swoją drogą, kiedy ona wyjeżdża? - zapytał Travis.

Adam udał, że starannie usuwa ość ze swojego pstrąga.

- Hmm, myślę, że to zależy wyłącznie od niej.

Travis i Cole wymienili spojrzenia. Po chwili Travis powiedział:

- Coś mi się wydaje, że ona w ogóle stąd nie wyjedzie.

Cole jęknął przeciągle.

- Żałuję, że mnie o tym nie uprzedziłeś, zanim ją pocałowałem. Nie zabawiałbym się z nią wiedząc, że ma zamiar tu sterczeć. Psiakość - syknął gniewnie. - Teraz będę musiał porozmawiać z nią o moich zamiarach.

Douglas wrócił do jadalni akurat w chwili, gdy Cole wypowiadał ostatnie zdanie.

- Chyba o braku zamiarów?

Jego brat przytaknął. Douglas pokręcił głową.

- Powinieneś się wstydzić, że zawracałeś głowę Eleanor. Adam, nie zanoś jej herbaty, dopóki nie przyniosę swojego specjalnego proszku. Wsypię całą łyżeczkę do szklanki, a ty to zalejesz herbatą. Naprawdę niepotrzebnie powiedziałeś Eleanor, że ma pełne prawo wyrażać swoje niezadowolenie. Teraz straszy się o coś wścieka. Mary Roses też jest jakaś smutna. Obwinia się o to, że Eleanor zachorowała, i błaga ją, by wybaczyła jej egoistyczne zachowanie.

Nasza siostra ostatnio zrobiła się bardzo uczuciowa, drażliwa - dodał, posyłając wymowne spojrzenie w stronę Harrisona. - Myślę, że i ją łapie jakaś choroba.

Nawet nie skubnęła kolacji i ani razu nie popatrzyła na Harrisona. Zauważyłem to.

- Ja też zauważyłem - wtrącił Cole.

- Może powinniśmy odłożyć tę rozmowę do czasu, kiedy Mary Roses poczuje się lepiej - zaproponował Travis.

- Nie - usłyszeli nagle silny, stanowczy głos Harrisona.

Adam kiwnął głową na znak, że popiera Harrisona.

- Ciągłe to odkładamy, bo się tego boimy - powiedział, zwracając się do brata. - Ale nie możemy zwlekać w nieskończoność. To nas nie ominie.

Musimy jej to powiedzieć jak najprędzej. Cały dzień wypytywałem Harrisona o rodzinę Elliottów. Zapewnił mnie, że będzie się nią opiekować. Ale wydaje mi się, że nie powinna od razu z nim wyjeżdżać. Chyba lepiej byłoby, gdyby została tutaj jeszcze przez jakiś czas, pomału oswajając się z myślą, że ma rodzinę w Anglii.

Harrison miał ochotę zaprotestować, ale postanowił nie wyrażać głośno swych wątpliwości. Przeprósivszy obu braci, wstał od stołu i wyszedł na ganek.

Wkrótce dołączył do niego Adam. Usiadł na krześle obok Harrisona i wyciągnął przed siebie długie nogi.

- Odniosłem wrażenie, że nie podobało ci się to, co zaproponowałem.

- To prawda - przyznał Harrison. - Próbujesz odroczyć to, co i tak jest nieuniknione. W czasie podróży do Anglii będzie miała wystarczająco wiele dni na oswojenie się z myślą o nowej sytuacji.

- Zaskakiwanie kogoś taką wiadomością i ponaglanie do decyzji absolutnie nie leży w mojej naturze. Ona potrzebuje... Mary Roses, od jak dawna tutaj stoisz?

- Przyszłam przed chwilką - odpowiedziała. - Mogę się do was dosiąść?

- Nie - odpowiedział Adam, nie próbując nawet osłodzić odmowy podaniem powodu.

- Niech zostanie - zaproponował Harrison. - Chciałbym z nią porozmawiać.

Adam skinął głową. Mary Roses oparła się o balustradę, złożyła ręce jak do modlitwy i popatrzyła na brata.

- Może któryś z was łaskawie raczy powiedzieć mi, o co chodzi? Dlaczego jesteście tacy ponurzy?

- Wcale nie jesteśmy ponurzy - zaprotestował Adam.

- Przecież widzę. - Pomyślała, że nie ma sensu się z nimi spierać.

- Po prostu rozmawialiśmy na poważne tematy, Mary Roses. Ale one ciebie nie dotyczyły.

- Dotyczyły jak najbardziej. Adam, bądź rozsądny - upomniał go Harrison.

- Będę rozsądny w odpowiednim czasie. A teraz muszę zrobić herbatę dla Eleanor.

Nie siedź zbyt długo na dworze, Mary Roses.

Odprowadziła brata wzrokiem do drzwi.

- Cóż to za wiadomość, którą macie mnie zaskoczyć, nie ponaglając do podjęcia decyzji?

- Podśluchiwałaś nas.

Przytaknęła.

- Czy mógłbyś mi to wyjaśnić?

- Jutro - obiecał Adam. - Jutro dowiesz się wszystkiego.

Zaczekała, aż brat zniknie we wnętrzu domu, i dopiero wtedy podeszła do Harrisona. Stała pomiędzy jego wyciągniętymi nogami i trzymając ręce wzdłuż tułowia starała się sprawiać wrażenie spokojnej i opanowanej. Nie chciała, by widział, jak bardzo jest zdenerwowana, wręcz przerażona. Już od rana z najwyższym trudem walczyła o zachowanie spokoju, lecz od chwili gdy Travis powiedział jej, że Harrison pakuje walizki, stale towarzyszył jej lęk.

Odezwał się pierwszy.

- Jesteś na mnie zła?

Uporczywie wpatrywała się w jego brodę, po dłuższej chwili spojrzała mu w oczy.

- Nie, nie jestem zła.

- W czasie kolacji nawet na mnie nie spojrzałaś, nie odezwałaś się do mnie ani słowem. Myślałem, że gniewasz się na mnie o...

Nie pozwoliła mu dokończyć zdania.

- Wyjeżdżasz. Travis mi powiedział.

- Tak.

Miała nadzieję, że poda jej powód tak nagłego wyjazdu, lecz nie podjął tematu.

Uprzedzał ją o swoim wyjeździe. Mimo iż dobrze pamiętała, co jej powiedział, ta świadomość nie przynosiła jej ulgi.

Nie mogła oderwać od niego wzroku. Blask księżyca złagodził ponury wyraz jego twarzy. Marzyła o tym, by wziął ją w ramiona i pocieszył. Czuła łzy zbierające się pod powiekami, lecz była w tak smutnym nastroju, że nie miała sił, by wstydzić się łez.

- Próbowałeś mnie przygotować... Powiedziałaś, że musisz wyjechać. Po prostu miałam nadzieję, że to nie nastąpi tak szybko. Czy twój wyjazd ma jakiś związek z tym telegramem, który przyszedł dziś rano?

Pokręcił głową.

- Nie, telegram dotyczył spraw finansowych. Mary Roses, proszę, podejdź bliżej.

Nie czekał, aż spełni tę łagodnym, czułym tonem wypowiedzianą prośbę.

Przyciągnął ją, posadził sobie na kolanach i otoczył ramionami.

- Dobrze się czujesz? - zapytał głosem niższym do szeptu.

Nie odpowiedziała od razu. Jak mogła dobrze się czuć po tym, co usłyszała?

Przecież wyjeżdżał, na litość boską, wyjeżdżał. Czyż nie zdawał sobie sprawy, że zabiera z sobą jej serce?

- Zraniłem cię dzisiaj w nocy.

- Jestem trochę obolała - odszepnęła. - Żałujesz, że byliśmy razem?

Rozzłościło go to pytanie. Uniósł jej podbródek i zmusił do popatrzenia w oczy.

- Kochanie, wyobraź sobie, że w ogóle, ale to w ogóle nie jest mi przykro i absolutnie niczego nie żałuję. Prawdę mówiąc, nadal pragnę cię aż do bólu.

Jej oczy zaszklily się łzami.

- I ja cię pragnę - wyszeptała. - Żałuję tylko, że nie potrafię tego lżej traktować. Oczywiście, nie żałuję tego, co się stało. Po prostu nie lubię czuć się taka... bezradna. - I opuszczona - dodała w duchu.

- Dlaczego wydaje ci się, że jesteś bezradna?

- Zostaję sama... ty wyjeżdżasz...

- Przecież przyjedziesz do Anglii, Mary Roses. Nasza rozłąka nie potrwa długo. Nie słuchałaś tego, co do ciebie mówiłem tej nocy? Nigdy nie pozwoliłbym ci odejść. Należysz do mnie, jesteś moja.

Pochylił się i zamknął jej usta długim, gorącym pocałunkiem. Zarzuciwszy mu ręce na szyję, odwzajemniła pocałunek całą siłą swej miłości i namiętności.

Kiedy rozłączyli się, z trudem łapała oddech. Wtuliła policzek w zagłębienie jego szyi i wsłuchiwała się w niespokojny rytm jego oddechu.

- Kocham cię, Harrison.

- Wiem, kochanie, wiem. - Poglądził ją po plecach, ciesząc się, że ma ją tak blisko.

- Mamy przed sobą całą noc. Chciałabym, żebyśmy znów się kochali.

- Będzie cię bolało.

Mimo iż podał powód, dla którego rozsądniej byłoby odmówić sobie rozkosznych chwil, wstał i trzymając ją w ramionach, skierował się w stronę baraku.

Próbowała całować go i równocześnie rozpinać mu koszulę.

Gdy dotarli do miejsca przeznaczenia, byli oboje zbyt podnieceni, by zatrzymać się choć na chwilę.

Pośpiesznie, gorączkowo zaczęli się rozbierać. Jej ręce trzęsły się tak, że nie mogła poradzić sobie z zapięciami spódnicy. Harrison pośpieszył z pomocą, lecz po chwili wymamrotał pod nosem przekleństwo; jego duże dłonie nie były w stanie uporać się z miniaturowymi haftkami.

W końcu ich ubrania utworzyły na podłodze bezładną stertę. Błyskawicznie znaleźli się w łóżku. Podparł się na łokciach, by nie opaść na nią całym ciężarem ciała. Poczawszy dotyk jej jedwabistej skóry, wydał przeciągły jęk rozkoszy.

Mrowienie w dole brzucha zaczęło stopniowo ogarniać całe jej ciało.

Otoczyła jego twarz dłońmi i przyciągnęła na długi, namiętny pocałunek.

Wzniecał w niej ogień. Prawą ręką powędrował nisko, w dół jej brzucha.

Głęboko zaczerpnęła tchu w oczekiwaniu mających nadejść rozkosznych doznań, lecz kiedy jego palce wśliznęły się w miejsce złączenia ud i rozpoczęły szaleńczy taniec, poczuła mocny, kłujący ból.

Kurczowo chwyciła jego rękę, próbując go powstrzymać.

- Boli bardziej, niż myślałam. Nie róbmy tego, Harrison. Wcale nie chcę przestać, ale...

Pocałunek uniemożliwił jej wypowiedzenie dalszych słów. Tuląc ją mocno, obsypywał ją pocałunkami i szeptał gorące, przepelnione namiętnością wyznania.

Już po chwili zapomniała o strachu przed bólem i wprost nie mogła się doczekać dalszych doznań.

Drżąc w tęsknym oczekiwaniu na to cudowne uczucie pełni, jakiego doświadczyła ubiegłej nocy, zorientowała się, że przeniósł usta na szyję i pieści ją delikatnymi ukąszeniami. Czuła jego gorący oddech, gdy ściszone głosem szeptał jej do ucha podniecające obietnice rozkoszy i szczegółowo opisywał, co ją jeszcze czeka tej nocy.

Stopniowo przesuwając się coraz niżej, zaczął całować jej piersi, potem brzuch, a kiedy ponownie zmienił pozycję, poczuła jego pocałunki w samym ognisku płonącego w niej żaru; gwałtownie szarpnęła się i próbowała go powstrzymać.

Nic jednak nie byłoby w stanie oderwać go od rozkoszowania się jej smakiem i zapachem. Długo błądził językiem po jedwabistych zakamarkach jej ciała i dopiero zbadawszy je dokładnie, zagłębił się w ciepłym, gościnnym wnętrzu.

Przywarła do niego i kwiląc rozkosznie błagała, by nie zaprzestawał tych pieszczot. Z całej siły wpiła paznokcie w jego ramiona, a kiedy targnęły nią pierwsze spazmy rozkoszy, wykrzyknęła jego imię i zanosła się szlochem równie gwałtownym i intensywnym jak przeżywane uczucie cudownej pełni.

Czując, że omdlewa w jego ramionach, nie mógł już czekać dłużej.

Oszaleję, jeśli natychmiast się w niej nie znajdę, przemknęło mu przez głowę.

Przesunął się tak, że znalazł się w przykłęku pomiędzy jej rozchyłonymi udami, uniósł jej biodra i głęboko się w niej pogrzyżył.

Ból zmieszał się z uczuciem spełnienia. Ogromne napięcie zniknęło, jakby rozpadło się na tysiące kawałków. Poddała się czarowi chwili, bezpieczna i spokojna w ramionach ukochanego mężczyzny.

Po chwili i on osiągnął spełnienie. Z jękiem rozkoszy wlał w nią swe nasienie. Chciał, żeby to trwało dłużej, by szczytowała jeszcze raz, by ich doznania w tym samym momencie skupiły się w jedno, lecz zapomniał o swoich zamiarach, gdy tylko się w niej znalazł i otoczyły go cudowne, ciasne ściany. Cała drżąca, otaczała go tak ściśle, że natychmiast przestał się kontrolować. Ilekroć wysuwał się z niej, wyginała ciało w łuk, ponaglała, oczekując coraz silniejszych doznań. Uniosła kolana tak, że mógł wnikać jeszcze głębiej i naprawdę nie był w stanie czekać ani chwili dłużej.

Słyszał swój własny głos nieustannie powtarzający, że ją kocha, i niemal bezwiednie zarejestrował, że szlochała. Miał nadzieję, że nie sprawił jej bólu, i mimo że dał jej swoje nasienie, wciąż nie mógł zmusić się do opuszczenia uroczego gniazodka, w którym się znajdował.

Pozostał w tym lubym otoczeniu, wtulając głowę w zagłębienie jej ramienia.

Powoli wracał do rzeczywistości. Zdał sobie sprawę, że zachował się jak barbarzyńca i przepełniło go poczucie winy. Czy znowu zadał jej ból?

- Dobrze się czujesz? - wyszeptwała.

Nie od razu zrozumiał jej pytanie.

- Harrison, błagam, zacznij oddychać. Martwię się o ciebie.

Poruszyła się pod nim niespokojnie.

- Boże, zamęczyłam cię?

Wybuchnął serdecznym śmiechem. Jak to możliwe, że wciąż miała w sobie tyle energii? Po spełnieniu zapadł w błogostan; nie był w stanie się poruszyć, z trudem zbierał myśli.

- A jak ty się czujesz? Bałem się, że zadaję ci ból - powiedział.

Zadrzała, słysząc znajomą chrapliwość w jego głosie. O Boże, pomyślała, niedługo dojdzie do tego, że będę podniecona, gdy usłyszę, jak czyta na głos choćby fragment artykułu z gazety. Miał piękny, zmysłowy głos.

- Jak widzisz, żyję - wyszeptwała. - Powiedz mi, że mnie kochasz.

- Kocham cię.

- To mi pomoże... jeżeli... i kiedy...

Zmusił się do poruszenia ręką, po czym obrócił się na bok i wziął ją w ramiona.

- Jeżeli co i kiedy co, kochanie?

- Jeżeli jestem w ciąży i kiedy wyjedziesz.

Miała nadzieję, że będzie się starał ją uspokoić, lecz nie zrobił tego.

- Dałby Bóg, żebyś była. Chcę mieć co najmniej dwanaścioro dzieci.

- Litości! - jęknęła cicho.

Przyłożył dłoń do jej brzucha. Był to gest posiadacza, który jednak wywołał w niej przede wszystkim dreszcz pożądania.

- Będziesz cudowną matką.

- Będę gruba.

- Będę cię uwielbiał, gdy będziesz gruba.

- Nie wyjeżdżaj.

- Muszę wyjechać. Przecież zaraz do mnie przyjedziesz, najdroższa. Nasza rozłąka nie potrwa długo.

- A co będzie, jeśli coś się stanie i nie będę mogła do ciebie przyjechać?

- Mówiłem ci już, że w takim razie wrócę tu do ciebie.

- I co dalej?

- Zabiorę cię do Anglii, choćbym miał wlec cię tam siłą - obiecał. - Dooley powiedział mi, że sędzia Bums jest w drodze do Blue Belle. Odwozi Belle do domu. Podobno jest oczarowany jej wdziękami.

- Oczarowany?

- To słowa Dooleya, nie moje - wyjaśnił ziewając. - Myślę, że dobrze byłoby zalegalizować nasz związek jeszcze przed moim wyjazdem. Czy chcesz mnie jutro poślubić, najdroższa?

- Wolałabym raczej poczekać, aż ślubu udzieli nam pastor, ksiądz albo rabin. Niespecjalnie uśmiecha mi się składanie przysięgi małżeńskiej przed obliczem sędziego, który wysyła ludzi na szubienicę.

- Wolałabym nie zwlekać.

- Boisz się, że mogę się rozmyślić, kiedy wyjedziesz?

- Już za późno na zmianę zdania. Podjęłaś ostateczną decyzję, przestępując wczoraj próg mojego pokoju. Dlaczego wróciłaś potem do siebie?

- Pomyślałam o moich braciach... - Przesuwała palcem po jego klatce piersiowej. - Nie chciałam robić im jeszcze większej przykrości.

- Jeszcze większej przykrości?!

Nie miał zamiaru podnosić głosu, lecz jej słowa sprawiły, że aż zatrzęsł się z wściekłości.

- A więc tak to odbierasz?! Uważasz, że sypiając ze mną okrywasz się niesławą, co z kolei martwi twoich braci!

Próbowała go uspokoić.

- Proszę, Harrison, zechciej mnie zrozumieć. Wiem, że nie możemy się teraz pobrać, ale fakt pozostaje faktem. Oficjalnie nie jesteśmy małżeństwem i muszę brać pod uwagę uczucia moich braci. Gdyby zastali nas w łóżku, byłoby im bardzo, bardzo przykro.

Nie potrafił jej zrozumieć. Zanim zdążyła jakkolwiek zareagować, wyskoczył z łóżka i zaczął wkładać spodnie.

- Ubieraj się.

Powiedział to zdecydowanym, nie znoszącym sprzeciwu tonem. Zignorowała jednak to polecenie.

- Wróć do łóżka. Pozwól mi wyjaśnić...

- Ubierz się, Mary Roses, bo jeśli tego nie zrobisz, zaniosę cię do domu owiniętą w koc. Czy chcesz, żeby twoi bracia zobaczyli cię...

Nie musiał kończyć zdania. Zerwała się na nogi i zaczęła pośpiesznie wkładać bieliznę.

Ubrał się pierwszy, pomógł jej włożyć bluzkę, po czym podał spódnice.

- Czy możesz mi wyjaśnić, skąd ten pośpiech? - zapytała.

To pytanie wydało jej się zupełnie naturalne w tej sytuacji. Jednakże zareagował tak, jakby rzuciła mu jakąś obelgę.

- Słowa „przykrość” i „niesława” zupełnie mi nie odpowiadają - wydyszał.

- Mam zamiar porozmawiać z twoimi braćmi. Pośpiesz się, do cholery.

Odwróciła się, by poszukać pantofelków. Gdy jej wzrok padł na prześcieradło, wydała zduszony okrzyk. Nawet z pewnego oddalenia widać było na nim ślady krwi.

W mgnieniu oka oblała się purpurą. Zapominając o pantofelkach, pobiegła do łóżka, by zdjąć prześcieradło.

Przyglądał się jej z dłońmi opartymi o biodra. Jego twarz zdradzała, że posądza ją o utratę zmysłów.

- Przez ciebie krwawiłam.

- To zupełnie normalne.

- Nie bądź taki gruboskórny. Co by było, gdyby niespodziewanie weszli tu moi bracia? Zastrzeliliby cię, zanim zdążyłbyś im cokolwiek wyjaśnić.

- Oni dobrze wiedzieli, jakie są moje intencje i zamiary. Zostaw to cholerne prześcieradło, Mary Roses. Chciałbym porozmawiać z Adamem, zanim pójdzie spać.

Zwinęła prześcieradło i ponurym wzrokiem spojrzała na Hamsona.

- Nie będziemy rozmawiać z Adamem. Idę do domu sama. Jeśli miałeś zamiar powiedzieć mojemu bratu o tym, co robiliśmy przed chwilą, to radzę ci natychmiast wybić to sobie z głowy. Nie mam zamiaru być upokarzana ani wprawiana w zakłopotanie.

Rzuciła prześcieradło na podłogę, włożyła buty. Nie mogła uwierzyć, że ten wieczór kończy się w taki właśnie sposób. Harrison był dotąd czułym, troskliwym kochankiem, a w tej chwili zachowywał się jak arogancki brutal.

Nie miała pojęcia, co go napadło, i nie zamierzała próbować go ułagodzić.

Sama myśl o tym, iż Adam miałby się dowiedzieć, że oddała się Hamsonowi, przyprawiała ją o gwałtowne ściskanie w żołądku. Nikomu nie pozwoli tak się upokarzać, nawet mężczyźnie, którego kocha.

Miała zamiar ominąć go i wyjść, lecz chwycił ją za rękę, po czym pociągnął za sobą przez podwórze, na schody i do domu.

W korytarzu spotkali Cole'a. Brat obrzucił Mary Roses uważnym spojrzeniem.

- Co ci się stało? - zapytał.

Patrzył na jej włosy. Pośpiesznie przyglądała je wolną ręką.

- Nic! - odkrzyknęła; Hamson nieomal włókł ją za sobą.

Nie zadał sobie trudu, by zapukać do drzwi biblioteki. Otworzył je gwałtownie i już łagodniejszym gestem wciągnął Mary Roses do środka, po czym stanął tuż za nią, uniemożliwiając jej ucieczkę.

Na twarzy Adama odmalowało się bezgraniczne zdumienie. Odłożył czytaną książkę i wstał.

Hamson dał mu znak, by usiadł. Szeroko rozszerzonymi ze zdumienia oczami Adam patrzył, jak Mary Roses szturchnięciem zostaje skierowana na drugi fotel.

Gniewnie potrząsnęła głową.

- Twoje zachowanie woła o pomstę do nieba, Harrison - syknęła. - Jedno twoje słowo na wiadomy temat, a zobaczysz, że zrobię coś strasznego.

Uspokajającym gestem położył rękę na jej ramionach, nie odrywając wzroku od Adama.

- Adamie, Mary Roses i ja chcemy się jak najszybciej pobrać. Jutro sędzia Bums będzie w Blue Belle. Myślę, że powinniśmy pojechać do miasteczka i...

- Nie chcę, żeby ślubu udzielał nam sędzia od wisielców. To jest sprzeczne z moimi zasadami - przerwał? mu.

- Harrison, chyba powinieneś zamknąć drzwi - zaproponował Adam.

- I może tak oboje raczylibyście mówić trochę ciszej. Skąd ten nagły pośpiech?

- Hamson ma napad złego humoru - oznajmiła Mary Roses. Siedziała z założonymi rękami, ze wzrokiem utkwionym w ścianę gdzieś nad ramieniem Adama. Jakoś nie mogła spojrzeć mu prosto w oczy. - Nie zwracaj uwagi na to, co mówi. Po prostu jest zły, że musi wyjechać.

Ponownie poczuła jego ramię na swych barkach. Tym razem wydawało się dużo cięższe. Pomyślała, że Harrison daje w ten sposób do zrozumienia, żeby zamilkła.

Postanowiła zignorować jego sygnały.

- Pokłóciliśmy się trochę. Powinniśmy sami wszystko sobie wyjaśnić, nie obarczając Adama naszymi problemami. Adamie, wybacz, że zawracaliśmy ci głowę.

Jej misterny plan odwrotu już po chwili legł w gruzach, gdyż Harrison nie miał najmniejszego zamiaru wyjść z biblioteki.

- Adamie, myślałem, że Mary Roses wszystko zrozumiała, ale teraz widzę, że tak nie jest. Wciąż jej się wydaje, że sypiając ze mną sprawia przykrość swoim braciom, a siebie okrywa niesławą. Ponieważ tak się sprawy mają, uważam, że powinniśmy się bezzwłocznie pobrać. Nie chcę, żeby czuła się niepewnie z powodu tego, co zaszło między nami. Podałem ci powody, dla których wolałbym poczekać ze ślubem do czasu, kiedy wszystko jej wyjaśnisz, ale ponieważ stało się, co się stało, nie chcę już czekać na odpowiedniejszą, być może, chwilę. Kocham ją, a ona kocha mnie.

Adam pokiwał głową na znak, że rozumie rozterki Hamsona, lecz cały czas uważnie przyglądał się siostrze. W tej chwili z pewnością nie sprawiała wrażenia zakochanej. Wprost przeciwnie, wyglądała raczej na osobę, która ma ochotę zamordować swego przyszłego męża.

- Sędzia Bums z radością jutro udzieli wam ślubu.

- Adam, ja nie...

- Czy czujesz się skrepowana obecną sytuacją, Mary Roses?

Nie odezwała się. Gdyby jej odpowiedź brzmiała: „tak”, oznaczałoby to zgodę na poślubienie Hamsona nazajutrz, gdyby zaś odpowiedziała: „nie”, okłamałaby swego brata.

- Powiedziała mi, że żałuje, że nie potrafi wszystkiego traktować tak lekko jak ja - zauważył Harrison. - Nie domyślałem się, o co jej może chodzić, i dopiero parę minut temu zrozumiałem, co miała na myśli. Czy mogę jutro zaprosić tu sędziego?

- Myślę, że byłoby miło, gdyby ślub odbył się tutaj, na ranczo, i mam nadzieję, że sędzia się na to zgodzi. Nie zapomnij zaprosić Blue Belle. Bardzo nam pomagała, kiedy Mary Roses była jeszcze dzieckiem. Na pewno chciałaby być obecna na jej ślubie. Sądzę jednak, że

nie musisz koniecznie napomykać o tym, że właściwie staliście się już mężem i żoną. Wystarczającym powodem szybkiego ślubu jest to, że musisz wyjechać.

- Chciałbym, żeby Mary Roses wyjechała ze mną.

- Decyzja należy do niej. Myślę, że wszystko się wyjaśni po naszej rozmowie.

- Może powinniśmy wreszcie o tym porozmawiać.

Te słowa wypowiedział stojący w drzwiach Cole. Tuż za nim stał Travis.

Mary Roses marzyła o tym, by podłoga rozstała się nagle pod nimi, by zapadli się pod ziemię. Jeżeli jej bracia słyszeli, że spała z Hamsonem, chyba nie przeżyje tego upokorzenia.

- Myślę, że najpierw uporajmy się z jednym problemem - zaproponował Adam. - Jutro będziemy mieli ślub i wesele. Nie łapmy dwóch srok za ogon.

Przyjdzie czas i na tamtą sprawę. Zgoda?

Cole i Travis kiwnęli głowami.

- Tutaj łatwo dostaje się rozwody - powiedział Cole, zwracając się do siostry. - Możesz pocieszać się tym w czasie ceremonii.

Hamsonowi wyraźnie nie spodobał się ten żart.

- To nie tak, Cole. Ślub bierze się na całe życie. Zrozumiałaś, Mary Roses?

Zdjęła jego rękę ze swego ramienia i odwróciła się.

- Czy to mają być twoje oświadczenia? Czy mam tłumaczyć to „zrozumiałaś” jako „Czy zgodzisz się mnie poślubić?” Przecież doskonale umiesz dobierać słowa, Hamsonie MacDonald, i gdyby nie to, że tak cię kocham, zastrzeliłabym cię bez dwóch zdań! Dobranoc.

Ostatnie słowo należało do niej. Nikt nie zatrzymywał jej, kiedy wychodziła z biblioteki. Znalazłszy się na korytarzu, popędziła do swojego pokoju, gdzie rzuciła się na łóżko i wybuchnęła płaczem. Pamiętała jednak, by uprzednio zamknąć drzwi.

Miłość do Harrisona zaczynała łączyć się z bólem. Niezależnie od tego, czy nosiła na sobie piętno hańby, czy też nie, nie miała najmniejszego zamiaru pozwolić, by ślubu udzielił jej sędzia od wisielców. O, nie, mój drogi panie, po prostu nie ma takiej możliwości, buntowała się w duchu, używając ulubionego nonsensownego powiedzonka Cole'a.

Podjąwszy tę decyzję, poczuła się nieco lepiej. Postara się teraz zasnąć, kołysana rozchodzącymi się w jej głowie jak echo słowami brata.

Mój drogi panie, po prostu nie ma takiej możliwości.

18 sierpnia 1869

Droga Mamo Roses!

Travis, Douglas, Cole i ja byliśmy bardzo zadowoleni, że Twój list do Adama był bardzo surowy. Jeszcze nigdy nie słyszeliśmy u Ciebie takiego tonu, ale Twój najstarszy syn musiał się przekonać, że nie życzysz sobie, żeby działał w tej sprawie. Jego pomysł, żeby ujawnić różne nieznane szczegóły, tak żeby Livonia nie mogła Cię już szantażować, żebyś z nią została, był naprawdę szalony, tak jak to zresztą sama napisałaś.

Cole nadal myśli, że jest jakieś wyjście z tej sytuacji, ale on zupełnie nie rozumie Twojego współczucia dla Livonii. Nie mógł zrozumieć, jak to możliwe, że jej nie nienawidzisz, ale Adam wyjaśnił mu, że Ty nie potrafisz nikogo nienawidzić. Dlaczego nie chcesz, żeby ktoś z nas do Ciebie przyjechał?

Synowie Livonii nic nam nie mogą zrobić, Mamo.

Tak bardzo chciałabym móc Cię uścisnąć.

Twoja córka Mary Roses Na swój ślub przyniosła pistolet. Jednakże sędzia Bums absolutnie nie zezwalał na to, by ktoś spośród obecnych na sali sądowej lub salce, w której udzielał ślubów, miał przy sobie broń, i zdecydowanie nalegał, by wyjęła pistolet z kieszeni. Gotów był ją nawet przeszukać, gdyby nie zdecydowany sprzeciw Adama.

Ogólnie był to jednak sympatyczny człowiek. Był całkiem młody jak na sędziego, przynajmniej tak uważała Mary Roses, ponieważ nie skończył jeszcze pięćdziesięciu lat, a funkcję prokuratora pełnił od lat piętnastu.

Miał miłą powierzchowność. Wysoki, nieznacznie przygarbiony, oczarował niejedną niewiastę spojrzeniem błyszczących oczu, a skazani twierdzili, że tak niesamowicie zielony kolor tęczówek może mieć tylko sam szatan. Sędzia nie miał jednak kopyt ani rogów. Jego głowę porastały gęste, kasztanowate włosy.

Po przodkach odziedziczył irlandzki temperament i angielską praktyczność.

Od razu przypadli sobie do gustu z Hamsonem. Dalecy krewni Bumsa mieszkali w pobliżu Canterbury i może dlatego uznał, że z Hamsonem łączy go coś więcej niż sprawy zawodowe.

Poza tym sędziemu niezmiernie przypadł do gustu sposób potraktowania Belle przez pana młodego; Harrison przemawiał do niej z szacunkiem należnym mężom stanu. I nie była to tylko poza czy gra. Belle pomagała w wychowywaniu Mary Roses i Harrison był jej za to ogromnie wdzięczny, podobnie jak i reszta rodziny. Nie przeszkadzała mu profesja Belle, liczyło się dlań jedynie jej wielkie serce. Było oczywiste, że starsza kobieta szczerze i serdecznie kocha Mary Roses, a kiedy została poproszona o pełnienie roli świadka, wzruszyła się do łez.

Belle była ubrana na niebiesko. Sędzia Bums powiedział Hamsonowi, że odkąd ją zna, nigdy nie widział jej w innym kolorze. Nawet jej koronkowa bielizna jest niebieska - szepnął Harrisonowi na ucho, gdy czekali na Mary Roses.

Belle udała się na piętro, by przyprowadzić pannę młodą. Zaawansowany wiek i profesja nie zniekształciły rysów jej twarzy. Była wciąż urodziwa ze swoimi kasztanowatymi włosami poprzetykanymi siwizną i serdecznym spojrzeniem piwnych oczu. A kiedy pojawiła się w saloniku w towarzystwie panny młodej, wyglądała dużo pogodniej niż oblubienica.

Mary Roses była smutna, bardzo smutna. I bardzo piękna, pomyślał Harrison.

- Z przykrością muszę zawiadomić, że Eleanor nie weźmie udziału w ceremonii - powiedział Adam. - Wciąż ma wysoką gorączkę, chociaż Douglas twierdzi, że stan jej zdrowia trochę się poprawił.

- Belle, czy mogłabyś zagrać na pianinie? - zapytał sędzia.

- Nie, skarbie - odpowiedziała.

- Ja zagram - zaproponowała Mary Roses.

- Ty nie możesz grać, dziecinko - zaprotestowała Belle, śmiejąc się wesoło.

- Musisz złożyć przysięgę. John, ustawże nas wreszcie według swojego życzenia i przystąp do dzieła. Tu jest strasznie duszno. Chłopcy, ustawcie się rzędem za waszą siostrą. Który z was oddaje pannę młodą panu młodemu?

Belle wręczyła Mary Roses wiązanek polnych kwiatów, po czym ujęła jej dłoń i położyła na ramieniu Harrisona.

- Wszyscy ją wydajemy za mąż - zwrócił się Adam do sędziego.

- Cóż, wypada mi to uznać.

- Chwileczkę. Sędzio Bums, czy w tym tygodniu wysłał pan kogoś na szubienicę?

- Nic mi o tym nie wiadomo, Mary Roses.

Westchnęła.

- Pozostaje jeszcze inna kwestia. Harrison, przecież wcale się nie oświadczyłeś. Nie oświadczył się, sędzio Bums. Oznajmił mi tylko, że zamierza się ze mną ożenić. Nigdy nie poprosił mnie o rękę. - Własny głos wydał jej się nienaturalnie cienki i cichy. Miała nadzieję, że nikt tego nie zauważył. Bukiet kwiatów trząsł się w jej rękach. Ścisnęła go mocniej, zmuszając się do opanowania.

- Kochaniutki, musisz ją teraz ładnie poprosić - odezwała się Belle.

Harrison zwrócił się do narzeczonej.

- Czy wyjdiesz za mnie, Mary Roses?

- Nie.

- Ona ma na myśli „tak” - powiedział sędziemu.

- Sama musi wymówić to słowo.

Harrison ponownie spojrzał na Mary Roses.

- Kochasz mnie?

- Tak.

- Czy chcesz spędzić ze mną resztę życia?

A czy zapanujesz nad swoimi napadami złego humoru, jeśli powiem, że tak?

- Tak.

- W takim razie i ja powiem „tak”. Chcę spędzić z tobą resztę życia.

- John, coś mi się wydaje, że ona się zgadza.

Sędzia odchrząknął, otworzył księgę i zaczął czytać.

Niecałe pięć minut później Harrison i Mary Roses byli już mężem i żoną.

Harrison sprawiał wrażenie zadowolonego i odprężonego, Mary Roses wyglądała na oszołomioną i nieobecną. Delikatnie przytulił ją do siebie i pocałował w policzek. Przycisnąwszy ślubną wiązanek do piersi, odwzajemniła pocałunek.

- Teraz już możesz wyjechać - wyszeptła. - Nie będę już powodem zgorszenia dla moich braci.

- To wcale nie jest zabawne - odszepnął, całując ją mocno w usta i kładąc rękę na jej ramieniu.

Travis i Douglas mieli łzy w oczach. Cole był najwyraźniej bardzo zadowolony, co zaskoczyło Hamsona.

- Cieszysz się, że siostra wyszła za mąż? - zapytał.

- Jeśli jest w ciąży, nie będzie już panną z dzieckiem. Niewykluczone, że będzie chciała tutaj zostać, Harrisonie. Powinieneś dobrze to przemyśleć w drodze do Anglii.

- Przyjedź do mnie.

Cole zmarszczył czoło. Harrison najwyraźniej był o tym święcie przekonany.

Pozostałą część popołudnia zajęły uroczystości wesole, i Mary Roses nie miała możliwości spędzenia ani chwili sam na sam z mężem. Zaniósł Eleanor kawałek ciasta upieczonego przez Samuela, lecz Eleanor nie czuła się jeszcze na tyle dobrze, by móc delektować się tym specjałem. Zapłakała z żalu, że nie mogła uczestniczyć w ceremonii ślubnej, po czym prawie natychmiast zasnęła.

Mary Roses zostawiła weselne ciasto na komodzie i zeszła na dół podziękować Belle i sędziemu.

Harrison czekał na nią na schodach. Otoczył ją ramionami i mocno przytulił.

- Obiecuję, że dołożę wszelkich starań, by jak najszybciej połączył nas ksiądz. Czy z tą myślą będzie ci lżej?

- Tak, bardzo ci dziękuję.

- Kocham cię.

- Ja też cię kocham.

- Rozumiem, że chcesz spędzić ten wieczór ze świeżo poślubioną małżonką, Harrisonie, ale rad bym zasięgnąć twojej opinii jako prawnika w pewnej delikatnej kwestii. Czy mógłbyś porozmawiać ze mną chwilę w bibliotece?

Z tą prośbą zwrócił się sędzia Bums, stojąc u podnóża schodów. Harrison, co oczywiste, nie mógł zlekceważyć prośby, chociaż prawdę mówiąc rozmowa na tematy zawodowe była ostatnią rzeczą, na którą miał ochotę. Marzył o tym, by znów ujrzeć Mary Roses, jak ją Pan Bóg stworzył.

Będzie jednak musiał uzbroić się w cierpliwość. Mrugnawszy okiem do żony, udał się za sędzią do biblioteki.

Sędzia Bums palił fajkę. Sporo czasu zajęło mu jej rozpalenie, a gdy już zaciągnął się dymem, rozsiadł się wygodnie w fotelu Adama i uśmiechnął do Hamsona, wskazując mu fotel stojący nie opodal.

- To chyba najdziwniejsza rodzina, jaką kiedykolwiek widziałem. Pomyślałem, że skoro zdecydowałeś się stać jej członkiem, musi to oznaczać, że i ty jesteś dziwnym człowiekiem? Czy to prawda?

- Myślę, że tak - zgodził się Harrison. - Ale przede wszystkim zauważyłem, że to dobrzy ludzie, sędzio, i że tworzą prawdziwą rodzinę. Bracia bardzo troszczyli się o siostrę.

- Nie zapominajmy o udziale pocziwej Belle w wychowaniu Mary Roses.

Szyła dla niej ubrania. Nie za dobrze pamiętam Mary Roses jako dziewczynkę, ponieważ zazwyczaj odwiedzałem Belle późnym wieczorem, kiedy dziecko spało już u siebie w domu. Pamiętam jednak tę burzę uroczych kędziorów. Ma piękne włosy. Bardzo ją kochasz, prawda?

- Tak.

- Pojutrze muszę być w Hammond - powiedział sędzia, zakładając nogę na nogę. - To sprawa z udziałem przysięgłych, a wszyscy w miasteczku są przeciwko oskarżonemu. Nie ma szans na to, że zostanie bezstronnie wysłuchany. Mam wrażenie, że to jego wrogowie doprowadzili do postawienia go w stan oskarżenia. Czy słyszałeś kiedyś o Bickleyu?

- Nigdy nie zapomnę sukinsyna - odpowiedział Harrison. Wyjaśnił sędziemu, w jakich okolicznościach się poznali.

Sędzia nie sprawiał wrażenia zaskoczonego wyznaniem Hamsona.

- Chciałeś go zabić dlatego, że wyrządził krzywdę Mary Roses, ale nie zrobiłeś tego. Taka jest właśnie różnica między człowiekiem cywilizowanym a zwierzęciem. Czy jesteś ignorantem, czy wiesz, jak powinno działać prawo?

- Wiem, jak powinno działać prawo.

- Życzyłbym sobie, żebyś mi to udowodnił. Czy mógłbyś przyjechać jutro do Hammond i porozmawiać z George'em Maddenem? To właśnie człowiek, którego chcą skazać.

- O co jest oskarżony?

- O kradzież konia. Żadna kradzież nie jest tu pobłażliwie traktowana, ale kiedy ktoś ukradnie konia, ludzie uważają, że jedynie kara śmierci jest współmierna do winy. Wiem, że nie będziesz miał czasu na dokładne zajęcie się tą sprawą, ale jestem pewien, że po rozmowie z Maddenem domyślisz się, kto naprawdę ukradł to nieszczęsne zwierzę. Nie powiem ci już ani słowa więcej, żeby niczego ci nie sugerować, ale ten człowiek zasługuje, żeby ktoś go wysłuchał, a jeśli nie pojedziesz ze mną do Hammond, nie będzie miał na to szans. Nie zabieraj żony, bo całe miasto aż nazbyt widocznie żyje tą sprawą.

Członkowie straży obywatelskiej podburzyli już mieszkańców tak, że w powietrzu unosi się atmosfera linczu, a szeryf wyłazi ze skóry, żeby utrzymać jaki taki porządek. Nie mogę odroczyć procesu, więc nawet nie próbuj mnie o to prosić. Gdybym postanowił odroczyć sprawę, szeryf chyba by mnie zastrzelił. On pracuje teraz dwadzieścia cztery godziny na dobę, a miejscowe więzienie pęka w szwach, tak jest wypełnione ludźmi, którzy wymagają mojego zainteresowania.

- Nazywają pana tutaj sędzią od wisielców - zauważył Harrison.

- Miło mi to słyszeć.

Harrison roześmiał się.

- Widzę, że jest pan uczciwym człowiekiem.

- Tak mi się wydaje. Jeśli ktoś zasługuje na szubienicę, nie waham się go tam wysłać. Ale nie zawsze wszystko przebiega tak, jakbym sobie życzył, szczególnie kiedy w grę wchodzi proces z udziałem przysięgłych. W skład ławy przysięgłych nazbyt często wchodzi kompletni ignoranci.

- Kiedy zamierza pan tam pojechać?

Na twarzy sędziego pojawił się uśmiech pełen satysfakcji.

- Co byś powiedział na południe? Tyle czasu zajmie mi zbieranie sił, by wyjść z łóżka Belle. Spotkajmy się jutro przed jej domem, o ile ci to odpowiada.

- Dobrze - zgodził się Harrison wstając. - A teraz proszę mi wybaczyć, ale panna młoda czeka, by ją pocałować.

Sędzia zatrzymał go w drzwiach.

- Czy mógłbyś mi powiedzieć, dlaczego ona przyszła na swój ślub z pistoletem? Umieram z ciekawości.

- Nie jestem tego pewny, ale domyślam się, że chciała w ten sposób dać mi do zrozumienia, że została zmuszona do czegoś, na co nie ma ochoty.

Myślę, że można powiedzieć, że chciała wyrównać rachunek. Zarówno jej bracia jak i ja byliśmy przeciwko niej. Chciała też, żeby ślubu udzielił nam ksiądz. Chciała, żeby ten związek został pobłogosławiony.

- Ha, chłopcze, w takim razie natychmiast dawaj mi tutaj swoją oblubienicę! Z radością udzielię jej błogosławieństwa. Czy to ma jakieś znaczenie, że nie jestem księdzem?

- Obawiam się, że ma, panie sędzio.

Wychodząc z biblioteki, słyszał wesoły rechot sędziego.

Mary Roses i Belle poszły na piętro zająć się chorą Eleanor i nie pokazały się na dole aż do trzeciej. Harrison siedział na ganku, pijąc piwo z braćmi. Kiedy dołączyła do nich Mary Roses, powiedział jej o procesie w Hammond.

Sędzia i Belle wyszli w godzinę później, kiedy Mary Roses zaczęła nakrywać do kolacji.

Wszyscy czterej bracia wydawali się podzielać szczęście siostry, co trochę dziwiło Harrisona. Zaskoczyła go nagła zmiana w ich zachowaniu. Czuł, że musi istnieć jakiś powód, dla którego małżeństwo siostry nagle wydało im się korzystne, lecz nie potrafił się go domyślić.

Cole siedział najbliżej. Harrison zwrócił się najpierw do niego.

- Co teraz myślicie, już po ślubie?

- To jest tak, jak powiedział Douglas - odparł Cole, wolno cedząc słowa.

- Nie ma sensu zamykać stajni po tym, jak uciekł z niej koń. Ona cię kocha, a ty kochasz ją.

- I co z tego wynika?

- To, że przywieziesz ją do domu, tu, gdzie jej miejsce.

- Masz na myśli to ranczo?

- W każdym razie przynajmniej tutejsze okolice. Jej dom jest w Montanie.

Ta ziemia jest częścią jej duszy. Nie możesz jej stąd zabrać.

- Wybór miejsca, gdzie będziemy mieszkać, należy do niej - powiedział Harrison. -
Może zmienić zdanie po tym, jak pozna Elliotta.

Cole i Douglas wymienili spojrzenia, z których Harrison nie potrafił niczego wyczytać.

- Co teraz myślicie? - zapytał, zdecydowany położyć kres domysłom i dowiedzieć się, co knują.

- Przecież nie może jej zatrzymać przy sobie siłą, prawda? - odpowiedział cicho Cole, kierując swe słowa w przestrzeń.

Harrison gwałtownie wyprostował się w fotelu.

- Co to ma znaczyć, Cole?!

Zamiast brata odezwał się Douglas.

- Elliott nie może jej już wydać za mąż za jakiegoś bogatego starego lorda, zmuszając ją tym samym do pozostania w Anglii do końca życia. Jest przecież twoją żoną. W pewien sposób jesteśmy ci wdzięczni za to zabezpieczenie.

- Poznałeś ją tutaj - przypomniał mu Cole. - I czy to ci się podoba, czy nie, też jesteś częścią jej życia. Wiesz o nas wszystko, ale Elliott nie wie. Mary Roses będzie zdana wyłącznie na twoją siłę ducha i twój honor, i mamy nadzieję, że w końcu przywieziesz ją do domu. Tak sobie właśnie myślimy.

- Elliott nie jest waszym wrogiem. Gdybyście znali go równie dobrze jak ja, wiedzielibyście, że nigdy podstępnie nie zatrzymywałby jej tam, gdzie nie chciałaby mieszkać.

- To ty tak uważasz - odparł Douglas. - A my chcemy uzyskać dla naszej siostry gwarancję bezpieczeństwa.

- Więc pozwoliliście jej mnie poślubić. Swoją drogą, waszemu rozumowaniu trochę brak logiki. Czy nie przyszło wam do głowy, że mogę chcieć zatrzymać Mary Roses w Szkocji?

Cole uśmiechnął się.

- Wiesz, jaki jest twój problem, Hamsonie? Jesteś zbyt szlachetny, by postępować egoistycznie. Jeżeli ona będzie chciała wrócić do Montany, nie będziesz się temu sprzeciwiał. Nie mógłbyś żyć ze świadomością, że uczyniłeś ją nieszczęśliwą. Cóż, czeka cię niełatwe zadanie. Miłość ma swoją cenę.

Niełatwo będzie ci zadowolić Mary Roses, ale będziesz się o to starał ze wszystkich sił.

- Po prostu opiekuj się nią - polecił Douglas. - Nie zmuszaj nas do tego, żebyśmy musieli tam przyjechać i zrobić porządek. Wiemy, że twoim zdaniem Elliott jest dobrym człowiekiem, ale my go przecież nie znamy.

Ich rozmowę przerwało nadejście Mary Roses. Gdy tylko pojawiła się na ganku, Harrison wstał.

Była ubrana inaczej niż w czasie ceremonii. Rano miała na sobie suknię w delikatnym kolorze kości słoniowej, potem przebrała się w różową sukienkę z białymi ozdobami. Upięła włosy w klasyczny węzeł z tyłu głowy. Patrząc na ten skromny strój i porządne uczesanie, miał wielką ochotę zedrzeć z niej ubranie, wyjąć szpilki z włosów i złączyć się z nią w miłosnym uścisku.

Tymczasem ona myślała o czymś zupełnie innym. Trzymała biały fartuch i kiedy Harrison z upodobaniem obejmował wzrokiem jej zgrabną sylwetkę, szybko zawiązała fartuszek w pasie.

- Coś mi się wydaje, że Harrison ma ochotę zwiedzić wreszcie pierwsze piętro tego domu - powiedział Cole.

- Nic podobnego! - wybuchnęła Mary Roses. - Oczywiście, jeśli naprawdę ma takie życzenie, może to zrobić w każdej chwili, ale myślałam, że byłoby miło spędzić tę noc w baraku. Czy masz coś przeciwko temu, Hamsonie?

- Nie, skądże - odpowiedział, zastanawiając się, czemu zaczerwieniła się tak gwałtownie. Nie znajdował powodu, dla którego miałaby odczuwać zakłopotanie, ale postanowił poczekać z wyjaśnieniem tej sprawy.

- Czemu wkładasz fartuch? - zapytał.

- Miałam zamiar zająć się kolacją.

Wtedy zauważył, że ręce jej drżą. Bracia również musieli to zauważyć.

Douglas z z troskaniem zmarszczył czoło.

- Dobrze się czujesz, Mary Roses? Chyba nie zaraziłaś się od Eleanor?

- Nie, nie, czuję się doskonale.

Harrison uznał, że powinien jednak zapytać ją o powód zdenerwowania.

Ujawszy ją za rękę, poprowadził w drugi koniec werandy.

- Co się stało?

- Nic - wyszeptała. - Po prostu jestem trochę niespokojna.

- Dlaczego?

- Bo właśnie wyszłam za mąż. - To wyznanie zabrzmiało jak żalosna skarga.

Harrison usiłował wziąć ją w ramiona. Niespokojnie rozejrzała się dookoła, popatrzyła na braci i cofnęła się o krok.

Najwyraźniej obecność braci wprawiała ją w zakłopotanie. Harrison z najwyższym trudem odwołał się do swojej cierpliwości.

- Ja też niedawno się ożeniłem.

- Wiem - przyznała potulnie. - To stało się tak szybko, prawda?

- Czemu nie chcesz, żebyśmy spali w twoim pokoju?

Na jej twarzy odmalowało się przerażenie. Cicho, jak najciszej powiedziała:

- Oni będą wszystko słyszeć, Hamsonie. Moi bracia słyszą nawet najlżejszy dźwięk.

Pokiwał głową. Nareszcie zrozumiał.

- Należy nam się prawdziwy miesiąc miodowy.

Spojrzała na niego rozgoryczona.

- Przecież jutro musisz jechać do Hammond.

Przytaknął. Doskonale o tym pamiętał.

- Wiesz, co powinniśmy zrobić?

Zbliżył się do niej. Stała nieruchomo, nieznacznie zadzierając głowę.

- Co?

- Powinniśmy pójść i powiedzieć Conie.

- O czym?

- Jak to o czym? O tym, że wyszłaś za mąż - wyjaśnił cierpliwie. - A potem możemy spędzić noc w grocie. Myślisz, że uda się nam ją odnaleźć?

- Oczywiście, znajdę ją bez trudu. Hamsonie, naprawdę chcesz dzisiaj spać na skałach?

- Chcę, żebyśmy byli sami. Masz jakiś lepszy pomysł?

Jej wyraz twarzy mówił mu, że dojrzeła do podjęcia decyzji.

- Często myślałem o tej grocie - wyszeptał. - Chciałbym jeszcze raz tam się znaleźć, ale tym razem, kiedy zaczniesz zdejmować z siebie ubranie, nie będę cię powstrzymywał.

Rumieniec na jej twarzy przybrał głęboki odcień purpury, szybko odwróciła się, by zyskać pewność, że bracia nie słyszeli słów Harrisona.

- Idź po swoje rzeczy - szepnął. - Powiem Adamowi, gdzie spędzimy noc.

- Samuel na pewno chętnie przygotuje dla nas koszyk z jedzeniem. Niech Adam go o to poprosi, bo Samuel ukrywa się przed tobą.

Harrison wciąż nie wierzył, że mają kucharza z prawdziwego zdarzenia, a Mary Roses z radością kontynuowała zabawę w ciuciubabkę.

Wyszli z domu godzinę później. Mary Roses upierała się, żeby zabrać jeszcze jeden koszyk z prezentami dla Corrie, i Adam pozwolił jej w końcu pożyczyć Corrie powieść Marka Twaina, pod warunkiem że odda ją natychmiast po przeczytaniu. Dopiero wtedy gotów będzie pożyczyć jej następną cenną pozycję.

Mary Roses spędziła z przyjaciółką prawie godzinę i dotarli do grotty dopiero tuż przed zapadnięciem zmierzchu. Przynieśli grubą kołdrę, która posłużyła im za materac. Nie musieli okrywać się kocami, gdyż rozgrzewało ich ciepło ciasno splecionych ciał.

Była to najpiękniejsza, najbardziej romantyczna noc w ich życiu. W pobliżu nie było nikogo, mogli cieszyć się wrażeniem, że są na bezludnej wyspie, i nieskrępowani robili wszystko, na co tylko mieli ochotę. Harrison nauczył Mary Roses, jak może dostarczać mu jeszcze większej rozkoszy, a jego nauki trafiały na podatny grunt. Jedynie na początku czuła lekkie skrępowanie i niepewność, lecz już po chwili, widząc, jakie wrażenie robi na nim jej dotyk, stała się śmielsza i pewniejsza siebie.

Gdy niebo rozjaśniło się pierwszym światłem poranka, mąż i żona byli tak wyczerpani, że zasnęli przytuleni i spali do ósmej, po czym kochali się raz jeszcze i niechętnie ruszyli w drogę powrotną na ranczo.

Harrison wkrótce poszedł do Blue Belle na spotkanie z sędzią Bumsem.

Mary Roses pocałowała go na do widzenia, po czym poszła do swego pokoju, gdzie przespała cały ranek.

Pozostałą część dnia spędziła w stanie bliskim euforii i chociaż Eleanor utyskiwała na wszystko dookoła, nie była w stanie zmącić radości przyjaciółki.

Cole pomógł Eleanor zejść na dół na kolację. Eleanor nie miała już gorączki i chociaż była bardzo blada, wyraźnie odzyskiwała apetyt.

Po kolacji Cole zaniósł ją na górę i wyjątkowo długo zabawił w jej pokoju.

Powiedział Douglasowi, że musi z nią porozmawiać o tym, że nie ma wobec niej poważnych zamiarów.

Eleanor wyraźnie nie spodobało się to, co usłyszała. Zabolało ją, że okazywał jej zainteresowanie jedynie dlatego, że miała wkrótce wyjechać, i zanim wyszedł z jej pokoju, zaczęła ochryplym głosem wykrzykiwać pod jego adresem wszystkie obraźliwe słowa, jakie знаła, o znajomość których nigdy by jej nie posądzał. Na końcu rzuciła w niego porcelanowym wazonem, który uderzył go w ramię, gdy już był w drzwiach.

Mary Roses postanowiła dać Eleanor trochę czasu na uspokojenie się i nie pośpieszyła od razu na piętro, by ją pocieszyć. Pomogła Douglasowi zmyć naczynia. Przeniknęło jej przez

głową, że to dziwne, iż trzech bracia nadal siedzą sobie spokojnie przy stole, lecz gdy zaprosili ją na rozmowę, zrozumiała, że mają coś ważnego do powiedzenia.

Adam wkrótce potwierdził to podejrzenie.

Usiadła w fotelu Harrisona, zwrócona twarzą do najstarszego brata i złożyła dłonie na kolanach. Na jej twarzy wciąż gościł uśmiech; domyślała się, że chodzi o jakieś sprawy finansowe. Bracia miewali podobnie posępne oblicza jedynie wtedy, gdy martwili się stanem finansów.

Pierwszy odezwał się Cole.

- Harrison przyjechał tu z dwóch powodów, Mary Roses. Pierwszym było to, że chciał poznać życie na ranczo, ponieważ, jak twierdzi, myśli o porzuceniu praktyki adwokackiej i zajęciu się pracą na ranczo, w Szkocji, a może nawet gdzieś tutaj, w okolicy.

- Tak, mówił mi o tym - zgodziła się. - A jaki był drugi powód jego przyjazdu?

- Szukał kogoś... - powiedział Douglas. - To był ten drugi... i, jak przypuszczam, główny powód jego przyjazdu do Montany.

Dłuższą chwilę czekała, aż brat poda ten powód, nim zorientowała się, że Douglas nie udzieli jej już żadnych dalszych informacji. Spojrzała więc pytająco na Trávisa.

- Kogo szukał? - zapytała.

- Ciebie - wypalił Travis.

Lecz i on najwyraźniej nie chciał albo nie był w stanie zaspokoić jej ciekawości.

Zadania tego podjął się w końcu Adam. Odkasznawszy, przystąpił do opowiadania o dziewczynce imieniem Victoria.

W czasie gdy Adam mówił, nie odezwała się ani słowem. Jedyne kilka razy pokręciła głową, dając w ten sposób do zrozumienia, że to absolutnie niemożliwe, by to ona była ową lady Victorią z Anglii, lecz słuchała go bardzo uważnie, starając się nie uronić ani jednego słowa.

Opowiedzenie całej historii zajęło Adamowi dobre dwadzieścia minut, a kiedy skończył, wszyscy bracia spoglądali na nią, w milczeniu oczekując jej reakcji.

Cole przypuszczał, że siostra zareaguje gniewem, i był zaskoczony, widząc, że jest zaledwie zadowolona.

Douglas wykazał się większą przenikliwością, uznając, że Mary Roses po prostu nie może uwierzyć w to, że naprawdę jest córką Elliotta.

- Nie wierzysz nam? - zapytał.

- A wy wierzycie, że jestem Victorią? - odwzajemniła pytanie.

Wszyscy czterej bracia z powagą kiwnęli głowami.

- Istnieją na to niezbita dowody - wyjaśnił Adam, ponownie przedstawiając jej fakty.

- Jak się zapatrujesz na spotkanie z ojcem?

- Ja nie mam ojca. Mam czterech braci.

- Nie bądź uparta, Mary Roses - powiedział Adam. - Przemyśl sobie wszystko. Wiem, że zaskoczyło cię to, co usłyszałaś. To oczywiste. Ale pozostaje faktem, że masz rodzinę w Anglii. Nie możesz udawać, że oni nie istnieją. Twój ojciec szukał cię po całym świecie.

- Nie masz ochoty się z nim spotkać? - zapytał Travis.

Zwiesiła głowę i zapatrzyła się na swoje kolana. Miała tyle spraw do przemyślenia, że nie wiedziała, od czego zacząć.

- Szczerze współczuję temu człowiekowi. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, czym musiała być dla niego i jego żony strata małej córki.

- To ty byłaś tą córeczką - przypomniał jej łagodnie Douglas.

- Wiem, że tak uważacie - wyszeptała. - Ale przecież ja go nie znam, Douglas. Żał mi go, ale w moim sercu nie ma dla niego miłości. On nie jest członkiem mojej rodziny. To wy jesteście moją rodziną. Jest już za późno, żeby zaczynać wszystko od nowa.

- Nie jesteś nawet ciekawa, jak on wygląda? - nie ustępował Travis.

Wzruszyła ramionami.

- Prawdę mówiąc, nie - przyznała. - Ale nie rozumiem, dlaczego Harrison tak gorliwie zajmował się tą sprawą. Czy on pracuje dla Elliotta?

- Tak - odpowiedział Adam.

Prawda zaczynała pomału do niej docierać, powodując nieznośne uczucie ściskania w żołądku.

- Chcicie mi powiedzieć, że przyjechał do Montany z powodu przesłuchania u prawnika w St. Louis? Że to wszystko zaczęło się od tego, że jakaś kobieta uznała, że jestem podobna do żony Elliotta?

- Tak.

- W takim razie... o, Boże, wszystko, co powiedział mi Harrison, było kłamstwem. Od samego początku wiedział, że przybył tu głównie z tego powodu. I nie wspomniał o tym ani słówkiem. Ani jednym słówkiem. Jeżeli naprawdę jestem Victorią, jak usiłujecie mi wmówić, to dlaczego Harrison nie powiedział o tym mnie?

Słyszając udreżony głos siostry, Cole wykrzywił twarz w grymasie.

- On po prostu bardzo długo nikomu z nas nie ufał.

- Tak, to prawda, po prostu nikomu z nas nie ufał - powtórzyła jak echo.

Wydawała się kurczyć, więdnąć na ich oczach. Strapienie, malujące się na jej twarzy, sprawiało im wręcz fizyczny ból.

- Mary Roses, posłuchaj - odezwał się Adam. - Zostałaś porwana. Harrison nie wiedział, czy przypadkiem nie braliśmy w tym udziału. Byliśmy wtedy małymi chłopcami, więc wykluczył możliwość, że to my zaplanowaliśmy porwanie, ale musiał milczeć, dopóki nie dowiedział się, kto naprawdę za tym stał. Musiał być bardzo ostrożny.

- Zdradził mnie, oszukał. Jestem teraz jego żoną i nadal to przede mną ukrywa?

Młodszy bracia popatrzyli na Adama w nadziei, że jakoś uda mu się uspokoić siostrę.

- Będziecie musieli wyjaśnić to sobie z Hamsonem - poradził Adam. - Chciałbym jednak dowiedzieć się, jak zapatrujesz się na wyjazd do Anglii na spotkanie z ojcem. Harrison niedługo będzie musiał wyjechać, a moim zdaniem powinnaś mieć nieco więcej czasu na oswojenie się z myślą o tym, że masz rodzinę w Anglii, i w związku z tym uważam, że nie powinnaś jechać razem z nim. Pojedziesz tam nieco później, Eleanor może ci towarzyszyć. Mary Roses, nie kręć głową przecząco. Musisz być rozsądna. Jesteś winna to spotkanie swojemu ojcu. Cierpiał przez całe życie. Niech cię zobaczy i przekona się, że jesteś cała i zdrowa.

- Myślę, że powinniśmy dać jej trochę czasu na przemyślenie wszystkiego - zaproponował Travis. - Przecież przeżyła szok.

Cole widział, jak szczęki siostry zaciskają się w bezsilnej wściekłości.

Wiedział, że największy ból sprawiło jej zachowanie Hamsona. Znała go i kochała. Tymczasem jej ojciec był dla niej jedynie abstrakcyjnym pojęciem i musi upłynąć sporo czasu, nim będzie w stanie zdecydować, co ma zrobić w zaistniałej sytuacji.

- Nie zamartwiaj się, Mary Roses - powiedział Cole. - Masz dużo czasu na podjęcie decyzji.

Poczuła nagle tak ogromne zmęczenie, że nie była w stanie o czymkolwiek myśleć logicznie. Rozbolała ją żołądek i pragnęła jedynie znaleźć się w swoim pokoju, rzucić na łóżko i udawać przed samą sobą, że to, co przed chwilą usłyszała, to nieprawda. Miała ochotę schować głowę w piasek jak struś.

Niechby wszystko dookoła toczyło się swoim rytmem, bez jej udziału.

Łzy popłynęły ciurkiem po jej policzkach. Cole podał chustkę, nim zdążyła go o to poprosić. Bóg jedyny wiedział, ile już razy płakała w obecności braci.

Nigdy nie próbowała niczego przed nimi ukrywać ani udawać, że jest kimś innym niż w rzeczywistości.

Wstała, mocno oparła się dłońmi o stół i zapytała:

- Czy to wszystko znaczy, że mam jechać do Londynu, by zostać członkiem rodziny składającej się z obcych mi ludzi? Czego ode mnie chcecie?

Powiedzcie mi, jak powinnam się zachować w tej sytuacji, bo jestem pewna, że wiecie już, czego ode mnie oczekujecie.

- Porozmawiamy o tym jutro, a teraz najlepiej byłoby, gdybyś poszła spać i dobrze wypoczęła - doradził Adam.

- Harrison także należy teraz do twojej rodziny. Wyszłaś za niego za męża.

Chyba nie powiesz nam, że go nienawidzisz? - dopytywał się Douglas.

Musiała chwilę się zastanowić, zanim odpowiedziała na to pytanie.

- Nie, na pewno nie czuję do niego nienawiści. Jak bym mogła go znienawidzić? Ale wygląda na to, że go zupełnie nie znam. Boże, Douglas, jak to możliwe, że poślubiłam mężczyznę, który jest dla mnie zagadką? Nie wiem już, jaki on jest naprawdę. Czy cały czas tylko udawał?

- No cóż, Harrison na pewno miał swoje ukryte motywy - stwierdził Douglas - ale kiedy dobrze zastanowisz się nad sytuacją, na pewno zrozumiesz...

Przerwała mu gwałtownie.

- Zrozumiem, że on nigdy mi nie ufał i że ja nigdy już nie będę mogła mu zaufać. Oszukał mnie. Udawał, że jest kimś innym, niż był.

Wściekłość zaczęła dławić ją tak, że nie była już w stanie wypowiedzieć ani słowa. Chwyciwszy chusteczkę Cole'a, zaczęła gwałtownie ocierać z oczu łzy.

Czyżby tylko udawał, że ją kocha? Boże, czy i to wszystko było jedynie mistyfikacją?

, - Harrison na pewno nie udawał przez cały czas - upierał się Cole. - Wszyscy widzieli, że jest autentycznie zakochany.

- Nie popadaj w przesadę, Mary Roses - dodał Travis.

- Dlaczego wszyscy go bronicie? - zapytała przez łzy.

- Po prostu mieliśmy więcej czasu na zastanowienie się nad tym, dlaczego zdecydował się postępować z największą ostrożnością - wyjaśnił Adam.

Travis starał się znaleźć jakiś przykład, który pomógłby siostrze spojrzeć na całą sprawę z odpowiedniej perspektywy. Wymyślenie czegoś sensownego zajęło mu kilka minut, lecz w końcu, poczekawszy na przerwę w rozmowie, powiedział:

- Pamiętasz te różne opowiadania, które ci czytaliśmy? Te o średniowiecznych rycerzach. Baronowie zabijali czasem posłańców przynoszących im złe wiadomości. A Harrison jest kimś w rodzaju posłańca. Nie ponosi winy za to, co się zdarzyło. Nie wykradł cię z kołyski ani nie wyniósł cię na śmietnik.

Myślę, że powinnaś wziąć to pod uwagę.

Porównanie Trávisa przypadło do gustu Cole'owi. Uczępił się go z zapalem dziecka sięgającego po smakołyki.

- Gdybyś żyła w średniowieczu, jak myślisz, czy zabiłabyś posłańca?

Popatrzyła na brata z niedowierzaniem. Wydawało jej się, że zadał jej najgłupsze pytanie na świecie.

- Nie, nie zabiłabym posłańca, ale jestem pewna, że również bym z nim nie spała.

Żaden z braci nie ośmielił się zwrócić jej uwagi, że wyraziła się mało wytwornie. Rozumieli, co teraz przeżywa. Jeśli używanie niewyszukanego słownictwa miało sprawić jej ulgę, niech nawet przeklina sobie do woli, myśleli. Przeżyła przecież szok.

- Więc co myślisz o spotkaniu ze swoim ojcem? - zapytał powtórnie Adam.

- Powiedzieliście, że możemy o tym porozmawiać jutro - przypomniała braciom. - Jeśli zdecyduję się jechać do Anglii, czy pojedziecie tam ze mną?

Młodszy bracia czekali, aż Adam wypowie się w tej kwestii. Adam odchylił się w fotelu i pokręcił głową. Poczł się nagle znużony jak osiemdziesięcioletni mężczyzna.

- Nie możemy z tobą jechać. Jesteśmy częścią twojej przeszłości.

- Jesteście moją rodziną! - wykrzyknęła.

- Oczywiście - pośpieszył z zapewnieniem Adam. - nic tego nie zmieni.

- Wcale nie chcemy zmuszać cię do tego wyjazdu - powiedział Cole. - Kochamy cię, Mary Roses. Nigdy nie przyszłoby nam do głowy pozbyć się ciebie.

- Więc dlaczego odnoszę takie wrażenie? Przecież widzę, że macie nadzieję, że wyjadę do Anglii!

- Musi upłynąć sporo czasu, zanim oswoisz się z myślą o tym, że masz też inną rodzinę - powiedział Travis.

Pokiwała głową. Tak, na pewno będzie potrzebowała na to dużo czasu.

Wstała, przeprosiła braci i pobiegła na górę do sypialni. Tam przesiadła ponad godzinę na łóżku, usiłując uporządkować wszystkie nowe wiadomości.

Co pewien czas w jej myślach pojawiał się Harrison. Była wdzięczna losowi, że nie ma go w domu i że nie musi z nim teraz rozmawiać. Nie miała pojęcia, co mogłaby mu powiedzieć.

Uprzedzał ją, że może go znieawidzić. Przypomniała sobie słowa ostrzeżenia i poczuła, że ogarnia ją wściekłość.

Co powinna teraz zrobić, na litość boską?

W końcu wstała, włożyła szlafrok i pantofle i zeszła do biblioteki.

Czekał już tam na nią Adam. Mimo iż w ich życiu zachodziło coraz więcej zmian, pewne rzeczy nie podlegały prawom czasu.

Jak na przykład ta, że młodsze siostry potrzebują pocieszenia w trudnych chwilach.

Przecież po to ma się rodzinę.

Następnego ranka wcale nie czuła się lepiej. Czuła się wręcz dużo gorzej.

Rozdarta wewnętrznym bólem, zwróciła się o pomoc do Douglasa. To on zawsze kołował ból i leczył rany, także te, których nie było widać.

Douglas rozumiał jej potrzebę chwilowej ucieczki od otaczającej rzeczywistości. Wcale nie uważał, że niechęć Mary Roses do spotkania z Hamsonem wynika z tchórzostwa, i zawiózł ją do Cohenów do Hammond. Eleanor nalegała, że chce towarzyszyć przyjaciółce, a ponieważ zdążyła już wydobrzeć po chorobie, Douglas wyraził na to zgodę.

Zachowanie Eleanor zaskoczyło Douglasa. Sprawiała wrażenie głęboko przejętej problemami Mary Roses. Douglas nie mógł uwierzyć, że najwyraźniej uznała swoje sprawy za mniej w tej chwili istotne i starała się wesprzeć na duchu jego siostrę. Trzymając ją za rękę, gorąco zapewniała, że na pewno wszystko będzie dobrze.

Kiedy Harrison wrócił na rancho, chciał się za wszelką cenę dowiedzieć, dokąd pojechała Mary Roses. Adam, Cole i Travis z czystym sumieniem mogli powiedzieć mu, że nie wiedzą. Douglas udzielił mu jednak skąpych informacji, widząc, jak bardzo Harrison jest strapiiony i zatroskany. Wyjaśnił, że Mary Roses czuła potrzebę przemyślenia wszystkiego w samotności, i zapewnił, że jest bezpieczna i pod dobrą opieką, po czym zaproponował, by Harrison nie zmieniał z tego powodu swoich planów i, tak jak zamierzał, wrócił do Anglii.

Nie mógł jednak obiecać, że Mary Roses na pewno tam przyjedzie. Harrison, co prawda, spodziewał się takiej reakcji swojej żony, lecz był wstrząśnięty tym, jak bardzo cierpiała. Rozpaczliwie wmawiał sobie, że na pewno mimo wszystko się z tym pogodziła, lecz jednocześnie zdawał sobie sprawę, że w tej sprawie nie rozumiała go wcale.

Był jednak dziwnie pewien, że Mary Roses przyjedzie do Anglii. Poprosił, by Douglas dał mu znać, gdy tylko Mary Roses i Eleanor będą gotowe do wyruszenia w podróż. A potem pożegnał się ze wszystkimi, przypomniał Adamowi, by troszczył się o MacHugha, i wyruszył w długą podróż do Anglii.

Rozstanie z ukochaną było najtrudniejszą decyzją w jego dotychczasowym życiu, a chociaż wierzył, że rozłąka nie potrwa długo, przeżywał istne katusze.

Czuł się, jakby wydarto mu serce.

Przyjedzie do niego. Powtarzał te słowa tak długo, aż stały się nieustannym refrenem w jego myślach.

Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Jego zaufanie do Mary Roses było równie wielkie, jak jego miłość. Na pewno podejmie najwłaściwszą decyzję. Jest przecież szlachetna, prawa i wielkoduszna.

I kocha go.

Nigdy, nigdy nie zawiedzie jego zaufania.

Po wyjeździe Hamsona Mary Roses czuła zarazem ulgę i żal. Zdawała sobie sprawę, że znajduje się w bardzo dziwnym stanie ducha, lecz nie mogła nic na to poradzić; była wciąż zbyt oszołomiona, by w pełni kontrolować swoje reakcje.

Przez cały tydzień konsekwentnie odmawiała zgody na rozmowę o ojcu.

Jednakże myślała o nim niemal bez przerwy i kiedy w końcu przestała uważać się nad sobą, zaczęła odczuwać wyrzuty sumienia z powodu własnej obojętności.

Następny tydzień zajęło jej dojście do wniosku, że powinna poznać ojca.

Pojedzie do Anglii. Absolutnie nie może postąpić inaczej. Jednakże kiedy zakomunikowała tę decyzję braciom, nie omieszkła dodać, że nie ma zamiaru zabawić tam długo. Po prostu odwiedzi ojca, pozna swoich krewnych, a potem wróci na ranczo, gdzie jest jej miejsce.

Ani słówkiem nie wspomniała, jakie są jej plany związane z Hamsonem, a bracia roztropnie nie zmuszali jej do podjęcia jakiegokolwiek decyzji, której mogłaby potem żałować.

Mary Roses nalegała, że musi pożegnać się z Corrie. Uprosiła Trvisa, by jej towarzyszył, i wymusiła na nim obietnicę, że aż do jej powrotu raz w tygodniu będzie przynosił Corrie zapas jedzenia. Chciała jednak najpierw przedstawić brata, by Corrie zobaczyła, jak Travis wygląda i nie próbowała potem strzelać do intruza.

Ponieważ był akurat środek tygodnia, Corrie spodziewała się wizyty. Mary Roses jeszcze na polanie wydała powitalny okrzyk, po czym powolutku udała się w stronę domu. Na ganku stał fotel bujany; z zadowoleniem przyjęła fakt, że kiedy wstąpiła na schody, strzelba widoczna w otwartym oknie została wciągnięta w głąb mieszkania.

Postawiwszy koszyk z prowiantem na parapecie, usiadła w fotelu. Corrie dotknęła jej ramienia, kładąc jednocześnie na kolanach pożyczoną ostatnio książkę.

Mary Roses wciąż nie była pewna, czy Corrie umie czytać, lecz nie chciała jej urazić zadaniem wprost pytaniem.

Koszyk zniknął z okna. Mary Roses odczekała chwilę, po czym powiedziała:

- W koszyku jest książka, Corrie. Jeśli jej nie chcesz, po prostu wystaw ją za okno.

Corrie poklepała ją po ramieniu. Mary Roses doszła do wniosku, że Corrie jednak umie czytać i chce zatrzymać książkę.

Dopiero po dłuższej chwili zebrała się na odwagę, by powiedzieć przyjaciółce, że wyjeżdża do Anglii.

- Chcesz wiedzieć, jak to się stało, że znalazłam się w Montanie? - zaczęła ostrożnie.

Oczywiście nie oczekiwała odpowiedzi, przystąpiła więc do opowiadania o tym, jak bracia znaleźli ją w koszyku w Nowym Jorku. Pomięła milczeniem wiele nie mających większego znaczenia szczegółów, a kiedy zaczęła mówić o swoim ojcu i o tym, że musi teraz jechać do Anglii, by się z nim spotkać, w jej oczach pojawiły się łzy.

Corrie delikatnie pogładziła ją po ramieniu. Wkrótce Mary Roses podzieliła się z nią wszystkimi swoimi lękami i obawami.

- Dlaczego czuję się winna, że mam w sercu jedynie litość dla tego człowieka? Wcale nie chcę tam jechać ani się z nim spotkać, ale wiem, że muszę to zrobić, Corrie. Okropna ze mnie egoistka, ale jestem teraz bardzo zadowolona z życia, jakie prowadzę, i nie chcę w nim niczego zmieniać. Poza tym już mam rodzinę i nie chcę żadnej innej. Wiem, że nie powinnam tak myśleć, ale w głębi duszy bardzo boję się tego, co mnie tam czeka. Co będzie, jeśli okaże się, że oni są zupełnie inni niż ja? Jeżeli sprawię zawód mojemu ojcu? Nie mam pojęcia, jak powinna się zachowywać prawdziwa angielska dama. Podobno mam na imię Victoria. Ale przecież ja nie jestem żadną Victorią, tylko Mary Roses. I jak teraz będzie wyglądać moje życie z Hamsonem? Jakim możemy być małżeństwem, nie mając do siebie zaufania? Och, Corrie, tak bardzo chciałabym w ogóle stąd nie wyjeżdżać.

Mary Roses zanosła się gwałtownym szlochem i musiało upłynąć parę minut, nim zaczęła ocierać łzy z policzków.

Corrie chwyciła ją za rękę i przycisnęła do swej piersi. Ten pocieszczeniowski gest spowodował ponowne napłynięcie łez do oczu Mary Roses. Pomyślała o Corrie, o tym, jak błahę są jej własne kłopoty w porównaniu z tym, co przeżyła ta kobieta. Na oczach Corrie umierali jej mąż i syn. A jednak potrafiła znieść potworny ból i rozpacz.

- Dodajesz mi siłę, Corrie - wyszeptowała.

Nie było to czcze pochlebstwo, ponieważ im dłużej myślała o cierpieniach Corrie, z tym większym dystansem traktowała swoje własne zmartwienia.

Wiedziała już, że zrobi to, co powinna zrobić w tej sytuacji, i niezależnie od tego, jak ułoży się jej dalsze życie, wszystko przetrwa, wytrzyma.

- Jestem szczęśliwa, że jesteś moją przyjaciółką, Corrie.

Travis gwizdnął przeciągle. Przypominał w ten sposób Mary Roses, że już czas wracać.

- Eleanor i ja pojutrze pojedziemy do Cohenów do Hammond - powiedziała. - Oni jadą do rodziny do Bostonu, a my pojedziemy z nimi. Pan Cohen dopilnuje, żebyśmy wsiadły na dobry statek do Anglii, i jeśli wszystko pójdzie dobrze, wrócę do domu, zanim spadnie pierwszy śnieg. - Podczas mojej nieobecności Travis będzie ci przynosił jedzenie. Mówiłam ci kiedyś o moich braciach, pamiętasz? Nigdy nie podejdzie bliżej niż na środek polany - dodała szybko czując, jak dłoń przyjaciółki zaciska się na jej ramieniu. - Czy mogę go teraz zawołać? Stanie przy drzewach, żebyś mogła go sobie dobrze obejrzeć.

Nie chcę, żebyś się bała, kiedy tu przyjdzie, a on obiecał mi, że zawsze najpierw krzyknie coś do ciebie, tak żebyś mogła go obserwować.

Corrie w końcu rozluźniła uścisk. Mary Roses przywołała brata. Travis ukazał się na skraju polany i pomachał ręką. Firanka częściowo zasłaniała mu Corrie, lecz dostrzegł, że Mary Roses trzyma ją za rękę.

- Nadchodzi burza, Mary Roses. Musimy natychmiast wracać! - zawołał.

- Do zobaczenia, Corrie - dodał, po czym zniknął wśród drzew.

Mary Roses pożegnała się z Corrie. Odwróciwszy się, pocałowała ją w rękę i wstała.

- Będę za tobą tęsknić - powiedziała cicho. - Niech Bóg i Travis mają cię w swojej opiece. Zaufaj im obu.

Mary Roses, ściskając książkę, powoli zeszła ze schodków. Szum coraz silniejszego wiatru i krzyk spłoszonego ptaka prawie zupełnie zagłuszyły odgłos cichego płaczu, dochodzący z chaty.

2 stycznia 1870

Kochana Mamo Roses!

Dzisiaj skończyłam dziesięć lat. Pamiętasz, co Adam napisał Ci w liście, o tym, jak w moim koszyku znaleźli jakieś papiery, a ponieważ u góry stronicy było napisane, że dziecko płci żeńskiej urodziło się drugiego stycznia, a ja byłam jedynym dzieckiem płci żeńskiej w koszyku, pomyśleli, że to o mnie.

Jestem bardzo szczęśliwa, że mam taką wspaniałą rodzinę. Travis upiekł na kolację tort urodzinowy, a wszyscy moi bracia dali mi prezenty. Adam powiedział, że w przyszłym roku kupią mi jakiś prezent w sklepie. Czy to nie wspaniałe?

Jak myślisz, dlaczego moja mama i papa mnie wyrzucili? Zastanawiam się, co ja im takiego zrobiłam.

Twoja córka Marv Roses Hamson przyjechał do Londynu we wtorek po południu, ale na spotkanie ze swoim pracodawcą musiał poczekać aż do następnego wieczoru. Lord Elliott

przebywał w wiejskiej rezydencji, oddalonej o dwie godziny jazdy konnej od Londynu, i miał powrócić do miasta dopiero w środę rano.

Hamson przekazał przez posłańca wiadomość o swoim przyjeździe. Poprosił o prywatne spotkanie. Celowo zaznaczył, że to delikatna sprawa natury prawnej, by w rozmowie nie uczestniczył osobisty sekretarz Elliotta, George MacPherson.

Murphy, od niepamiętnych czasów majordomus Elliotta, otworzył drzwi.

Na widok Harrisona oczy wiernego sługi rozbłysły radością.

- Miło mi znów pana powitać, milordzie - odezwał się Murphy.

- Rad powracam w te progi - odpowiedział Hamson. - Jak sobie radziliście w czasie mojej nieobecności?

- Brakowało nam sensacji związanych z prowadzonymi przez pana sprawami. Od pańskiego wyjazdu nie było tu porządnej bójki. Muszę powiedzieć, że bardzo martwię się o lorda Elliotta. W ogóle się nie oszczędza, a wie pan przecież, jak potrafi być uparty i nieroztropny. Przpracowuje się, mimo iż ciągle go napominam. Boję się, że jeśli nie zmieni trybu życia, jego serce odmówi posłuszeństwa. Ale spotkanie z panem z pewnością podniesie go na duchu. Wiem, że bardzo za panem tęsknił, milordzie.

- Czy jest na górze?

- Tak, milordzie, w bibliotece.

- Sam?

- Tak, i nie może się doczekać, kiedy pana zobaczy.

Hamson zaczął wchodzić po schodach, lecz po chwili się zatrzymał.

- Murphy, lordowi na pewno dobrze zrobi odrobina brandy.

- Czy to oznacza, że ma pan dla niego złe wiadomości? - zapytał kamerdyner z wyrazem zatroskania na twarzy.

Harrison uśmiechnął się.

- Wprost przeciwnie. Ale myślę, że chętnie się napije. Czy w bibliotece jest butelka brandy?

- Tak, milordzie, ale na wszelki wypadek przyniosę drugą. Kto wie, może będą panowie mieli ochotę razem się upić?

Harrison roześmiał się. W ciągu wszystkich lat spędzonych z Elliottem ani razu nie zdarzyło mu się widzieć go choćby podchmielonym. Nie potrafił wyobrazić go sobie pijanego. Elliott był zbyt dobrze wychowany, by zrobić cokolwiek, co mogło pozbawić go kontroli nad sobą czy przynieść uszczerbek godności. Upicie się bez wątplenia prowadziło i do jednego, i do drugiego.

Biegiem pokonał resztę schodów, skręcił w korytarz i po chwili wszedł do biblioteki. Elliott stał przed kominkiem. Zauważywszy Hamsona, natychmiast wyszedł mu naprzeciw, szeroko rozkładając ramiona w powitalnym geście.

- Nareszcie w domu - powiedział na powitanie. Uściskawszy Hamsona, z czułością poklepał go po plecach. - Twój widok to prawdziwa radość dla moich zmęczonych oczu - powiedział cicho. - Proszę, usiądź i opowiedz mi o swoich przygodach w Ameryce. Chcę dowiedzieć się o wszystkim, z najdrobniejszymi szczegółami.

Harrison zaczął czekać, aż Elliott usiądzie, i dopiero wtedy przysunął sobie fotel.

Zauważył, że Elliott nie wygląda najlepiej, i ta świadomość przepełniła go smutkiem. Wiejskie powietrze najwyraźniej niewiele pomogło starszemu panu, gdyż miał ziemistą cerę i sińce pod oczami. Zgryzoty wycisnęły na nim swoje piętno.

Elliott nie ożenił się ponownie, lecz damy z towarzystwa nadal zabiegały o jego względy. Był nie tylko niewyobrażalnie wręcz bogaty, lecz i niezwykle przystojny.

Miał włosy przyprószone siwizną, szlachetne oblicze oraz nienaganne manieri i postawę godną męża stanu, którym był w rzeczywistości. Elliott pochodził ze znamienitego, bogatego rodu i otrzymał staranne wychowanie i wykształcenie.

Lecz znacznie ważniejsze było to, że był po prostu dobrym człowiekiem. Podobnie jak jego córka, pomyślał Harrison. Zapewne po nim odziedziczyła poczucie godności; szlachetność duszy została wypielegnowana przez braci.

Elliott miał także niezwykle silny charakter. Ktoś słabszy niechybnie załamałby się pod ciężarem straszliwych przeżyć, po tym, jak porwana została jedyna córka, lecz Elliott w samotności zmagał się ze swoim bólem, publicznie prezentując niezachwianą postawę. Wycofawszy się z aktywnego uczestnictwa w pracach rządu, nie zaprzestał działalności mającej na celu doprowadzenie do nieodzownych zmian. Podobnie jak Harrison, był żarliwym obrońcą praw tych, których życie nie rozpieszczało, i jak on był głęboko przeświadczony, że wszyscy powinni być równi wobec prawa. Szczerze popierał Hamsona, gdy ten podejmował się prowadzenia trudnych spraw, obrony zwykłych, szarych obywateli.

- Widzę, że posłużył ci pobyt w Ameryce. Czy nienoszenie marynarki to jakaś nowa moda?

Harrison uśmiechnął się.

- Nie mieszczę się w żadną ze swoich marynarek. Są na mnie za szczupłe w ramionach. Będę musiał wezwać krawca, zanim zdecyduję się pokazać publicznie.

- Rzeczywiście, odnoszę wrażenie, że zmężniałeś - powiedział Elliott. - Ale zaszła w tobie jeszcze jakaś inna zmiana. - Długo przyglądał się Hamsonowi, wreszcie pokręcił głową.

- Bardzo się cieszę, że wróciłeś - wyznał ściszym głosem. - A teraz musisz mi coś obiecać. Żadnych dochodzeń. Musisz mi to obiecać, zanim przejdziemy do omówienia twoich spraw zawodowych.

- Obiecuję - zapewnił Harrison.

Elliott z zadowoleniem pokiwał głową. Rozsiadł się wygodnie w swoim fotelu, założył nogę na nogę i dał znak, że Harrison może zacząć swą opowieść.

- Tylko powiedz mi wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. Jakikolwiek by to był problem, we dwóch damy mu radę.

- Prawdę mówiąc, nie przychodzę tu z problemem natury prawnej. Chciałem tylko mieć pewność, że dane mi będzie rozmawiać z panem w cztery oczy.

Nie chciałem, by pański sekretarz słyszał, co mam do powiedzenia.

Elliott uniósł brwi ze zdumieniem.

- Nie chciałeś, żeby towarzyszył nam George? A dlaczegoż to, jeśli wolno spytać? Przecież lubisz i cenisz MacPhersona. Pracuje dla mnie prawie tak samo długo jak ty. Powiedz mi, co cię trapi.

- Pan Harrison ma dobre wiadomości, milordzie.

Te słowa wypowiedział stojący w drzwiach Murphy, który po chwili wszedł do biblioteki z butelką brandy. Postawiwszy trunek na stole, zwrócił się do chlebowodawcy.

- Milord powiedział, że chętnie się pan napije usłyszawszy, co ma do powiedzenia - wyjaśnił. - Czy mogę nalać obu panom?

- Skoro Harrison uważa, że to dobrze mi zrobi, proszę, nalej, Murphy.

Harrison był wdzięczny losowi, że Murphy nadszedł właśnie teraz. Nie wiedział, od czego ma zacząć swoją opowieść. Wydawało mu się, że nie należy od razu przekazywać Elliotowi wszystkich najważniejszych informacji. Szok, jakiego niewątpliwie doznałby lord, mógł spowodować atak serca, jak więc należało dawkować wieści, by oszczędzić mu zbyt silnych wzruszeń?

Kiedy Murphy wyszedł z biblioteki, Elliott wypił łyk brandy i spojrzał na Hamsona.

- Ożeniłem się.

Elliott omal nie upuścił kieliszka.

- Co ty mówisz?

- Wstąpiłem w związek małżeński.

Boże, dlaczego zaczął akurat od tego? Harrison był niemal tak samo zaskoczony jak Elliott.

- Wielkie nieba - powiedział cichym głosem Elliott. - Kiedy to się stało?

- Kilka tygodni temu - odpowiedział Harrison. - Prawdę mówiąc, nie od tego chciałem zacząć. Mam dla pana dużo ważniejsze wiadomości. Pojechałem do...

Elliott przerwał mu gwałtownie.

- Nie ma wiadomości ważniejszej niż wiadomość o twoim ślubie, mój synu. Jeszcze to do mnie nie dotarło. Czy nie myślę się przypuszczając, że ta młoda dama jest Amerykanką?

- Tak, ale...

- Jak ma na imię?

- Mary Roses.

- Mary Roses - powtórzył Elliott - Czy twoja żona czeka może na dole?

Muszę przyznać, że jestem rozczarowany, że nie byłem w kościele na twoim ślubie. Rad byłbym stać nie opodal, gdy wypowiadałaś słowa przysięgi małżeńskiej.

- Nie wzięliśmy ślubu w kościele.

- Nie? W takim razie kto udzielił wam ślubu?

- Sędzia Bums, nazywany przez miejscowych sędzią od wisielców.

Elliott sprawiał wrażenie człowieka, który nie rozumie, co się do niego mówi.

Harrison westchnął.

- Domyślam się, że to musi brzmieć... dziwnie.

- A więc ślubu udzielał wam jakiś sędzia, hm, od wisielców.

Harrison uśmiechnął się.

- Na pewno polubiłby pan Bumsa. To szczerzy człowiek o bardzo zdecydowanych poglądach na temat tego, co dobre, a co złe. Jego poszanowanie dla prawa jest godne podziwu. Prowadziłem pewną sprawę u niego w sądzie i musiałem wykazać się wszystkimi umiejętnościami. Jest ostry jak brzytwa.

- Czy twój klient wygrał sprawę?

- Tak.

Elliott z uznaniem pokiwał głową.

- To właśnie spodziewałem się od ciebie usłyszeć. Czy to było wymuszone małżeństwo?

- Tak. Zmusiłem ją, by za mnie wyszła. Naprawdę próbowałem oprzeć się pokusie. Czuję, że nie mam prawa ubiegać się o jej względy, ale nie mogłem...

- To oczywiste, że miałaś prawo ubiegać się o jej względy. Szczęśliwa z niej osóbką, że trafiła na ciebie. Pamiętaj, kim był twój ojciec. Każda kobieta byłaby dumna mogąc wyjść za ciebie. Czy chcesz mi powiedzieć, że rodzina twojej oblubienicy uważa, że nie jesteś godzien jej ręki? To absurd - burknął pod nosem.

- Nie, nie to miałem na myśli. Ja...

- Skąd pochodzi twoja żona? Wciąż jeszcze nie mogę ochłonąć po tym, co usłyszałem. Pamiętam, jak ciągle powtarzałeś, że nigdy się nie ożenisz, a tymczasem pewnie niedługo zobaczę twoją żonę. Myślałem, że zerwane zaręczyny z Edwiną na dobre zniechęciły cię do małżeństwa, ale cieszę się, że byłem w błędzie. Odpowiednia kobieta zawsze potrafi zmienić przekonania mężczyzny.

- Mary Roses nie przyjechała tu ze mną. Wciąż jest w Ameryce.

- Nie przyjechała tu z tobą? A to dlaczego?

- Zaistniały pewne okoliczności, które uniemożliwiły jej wyjazd.

- Jakież to okoliczności?

- Jej rodzina.

- A gdzie mieszka jej rodzina?

- Mary Roses mieszka wraz z czterema braćmi na rancho niedaleko Blue Belle, w Montanie.

Elliott uśmiechnął się. Rozbawiła go nazwa miejscowości.

- Czytałem wiele książek na temat różnych miasteczek na Zachodzie, ale muszę przyznać, że nigdy nie słyszałem o mieście zawdzięczającym swoją nazwę kwiatowi.

- W rzeczywistości miasteczko zawdzięcza swoją nazwę prostytutce, Belle.

Elliott wybuchnął serdecznym śmiechem.

- Nie żartujesz?

- Mówię jak najpoważniej. Belle była druhną Mary Roses.

- Coś podobnego... - Elliott starał się zachować powagę. - W takim razie dlaczego miasteczko nazywa się Blue Belle, a nie po prostu Belle?

- Belle nie lubi swojego zawodu.

Elliott nie potrafił ukryć rozbawienia. Śmiał się aż do łez. Wyciągnąwszy z kieszeni chustkę, zaczął ocierać mokre kąciki oczu, starając się powstrzymać paroksyzmy śmiechu.

- Ciekaw jestem, w co ty się wplątałeś, synu. To wszystko zupełnie mi do ciebie nie pasuje. Dostarczyłeś mi mnóstwa spraw do przemyślenia - dodał. - Nie będę mógł się doczekać, kiedy poznam twoją żonę.

- Myśli pan, że postradałem rozum?

Elliott uśmiechnął się.

- Myślę, że się zmieniłeś - wyznał. - Od razu zauważyłem, że jesteś jakiś inny, ale nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że poślubisz dziewczynę ze wsi.

Miałem też nadzieję, że jeśli się ożenisz, na towarzyszkę życia wybierzesz kobietę nieco... subtelniejszą.

- Mary Roses jest bardzo subtelna - powiedział Harrison. - Trudno sobie wymarzyć lepszą żonę.

- Absolutnie nie twierdzę, że czegoś jej brakuje, mój synu. Jeśli pamiętasz, i ja ożeniłem się z dziewczyną ze wsi. Agatha pochodziła z twojego ukochanego Pogórza Szkockiego. Zawsze miałem wrażenie, że właśnie dlatego była taka świeża i nie zepsuta, że wychowała się na farmie. Oczywiście, pochodziła z dobrej rodziny - dodał, kiwając głową.

- Pojechałem do Montany, by odnaleźć pańską córkę. Tym razem nie był to daremny trud.

- Oczywiście, oczywiście. Domyślam się, że to był kolejny mylny trop, ale przynajmniej twoja wyprawa miała szczęśliwe zakończenie, ponieważ poślubiłeś Mary Roses. Swoją drogą, twoja żona ma bardzo piękne imię.

Kochasz ją?

- O, tak. Bardzo ją kocham. Pan też z pewnością ją pokocha.

- Nie wątpię.

Hamson wychylił się z fotela.

- Jak już mówiłem, tym razem mój trud nie był daremny. Muszę panu wyznaczyć coś bardzo ważnego.

- Tak?

- Ożeniłem się z pańską córką.

Mary Roses i Eleanor przyплыły do Anglii dwudziestego pierwszego lipca. Był to duszny, parny dzień, lada chwila mógł spaść deszcz.

Miara cierpliwości Hamsona, oczekującego, aż jego żonie minie gniew i zdecyduje się na podróż do Anglii, przebrała się i właśnie postanowił kupić bilet powrotny do Stanów, kiedy otrzymał telegram od Johna Cohena, informujący o tym, że Mary Roses wypłynęła z Bostonu, i podający datę jej spodziewanego przybycia do Anglii.

Harrison zauważył burzę złocistych włosów okalających jej twarz, gdy tylko pojawiła się na trapie parowca. Utorowawszy sobie drogę przez tłum, wziął żonę w ramiona. Poczł ogromną ulgę, jakby spadł mu z piersi wielki ciężar.

Mary Roses nareszcie była tam, gdzie być powinna.

Jego powitalne słowa nie były jednak zbyt wyszukane.

- Czemu tak późno?!

Nie dał jej szansy na odpowiedź. Pochyliwszy się, zachłannie wpił się w jej usta.

Nie potrafiła się oprzeć. Zarzuciła mu ręce na szyję i wspiąwszy się na palce, odwzajemniła pocałunek.

- Na litość boską, Mary Roses, ludzie gapią się na nas. Uspokój się...

Budzimy powszechne zainteresowanie.

Stojąca za plecami Mary Roses Eleanor nieśmiało wyszeptała słowa protestu.

Lekko szturchnąwszy przyjaciółkę, cofnęła się o krok. Jeżeli ci dwoje zamierzają dalej robić z siebie widowisko, pozostanie jej udawanie, że nic jej z nimi nie łączy. A swoją drogą, gdzie przyjaciółka podziela poczucie przyzwoitości?

Uznała, że Harrison jest i tak beznadziejnym przypadkiem i szkoda czasu na podejmowanie prób przemówienia mu do rozsądku. Widziała, jakim wyglądającym, roznamiętnionym spojrzeniem objął Mary Roses. Jakakolwiek próba perswazji i tak z góry skazana była na niepowodzenie.

Niespodziewanie Eleanor uśmiechnęła się. Harrison musiał bardzo tęsknić za swoją żoną. Być może któregoś pięknego dnia i ona, Eleanor, znajdzie mężczyznę, który obdarzy ją tak wielkim uczuciem.

Harrison z ogromnym zadowoleniem stwierdził, że powitalne czułości wywarły na Mary Roses wrażenie równie silne, jak na nim.

- Strasznie się za tobą stęskniłem - powiedział szeptem.

- Ja też - odszepnęła. - Ale musimy jak najszybciej odbyć poważną rozmowę. Pewne rzeczy musimy zmienić i zacząć wszystko jeszcze raz.

Chciałabym jak najszybciej przejść nad tym wszystkim do porządku dziennego, ale to nie jest takie łatwe.

Hamson nie miał jednak ochoty rozmawiać o tym w tej chwili.

- Obiecuję ci, że porozmawiamy na temat twoich wątpliwości, ale odłóżmy to na później - powiedział i ponownie zamknął jej usta pocałunkiem.

- O, Boże.

Te wymamrotane pod nosem słowa Eleanor zwróciły uwagę Hamsona. Nie był jednak w stanie oderwać się od żony, i zakończywszy pocałunek, tulił ją do siebie, witając się z naburmuszoną przyjaciółką Mary Roses.

- Jak minęła podróż, Eleanor?

- Dziękuję, nie była najgorsza. Hamson, Mary Roses za chwilę się udusi, jeśli nie przestaniesz przyciskać jej twarzy do marynarki. Puść ją, żebyśmy mogli normalnie iść. Za chwilę zacznie padać. Jesteśmy zmęczone podróżą i chciałybyśmy znaleźć się w domu przed zapadnięciem nocy. Czy pojedziemy bezpośrednio do domu jej ojca?

Mary Roses oderwała się od Harrisona.

- Wolałabym raczej poczekać z tym spotkaniem do jutra. Czy ojciec spodziewa się ujrzeć mnie jeszcze dzisiaj? Jest prawie ciemno i chciałabym mieć trochę więcej czasu, żeby się przygotować.

- Miałaś na to dwa miesiące, Mary Roses - zauważył Harrison.

- Ale potrzebuję jeszcze jednej nocy - nalegała.

- Twój ojciec nie spodziewa się ujrzeć cię wcześniej niż jutro, więc możesz być spokojna. Doskonale wiedział, że będziesz zmęczona po podróży. Przenocujecie dzisiaj u mnie.

- Jestem zupełnie spokojna. Dlaczego wydawało ci się inaczej?

- Bo mówiłaś podniesionym głosem - odezwała się Eleanor.

- Chciałam po prostu, żeby wszyscy usłyszeli moje zdanie na ten temat.

- Mam nadzieję, że dysponujesz dużym mieszkaniem, Harrisonie - powiedziała Eleanor. - Mary Roses mówiła, że będzie nalegać, by otrzymać osobny pokój. Wydaje mi się, że wciąż ma do ciebie żal.

- Eleanor, potrafię powiedzieć to sama - zwróciła jej uwagę Mary Roses i spojrzała na Harrisona. - Tak, mam do ciebie żal i jak już mówiłam wcześniej, wiele rzeczy ulegnie zmianie. Musimy wszystko zacząć od nowa.

Harrison posłał żonie wymowne spojrzenie i ująwszy jej ramię, poprowadził w kierunku powozów.

- Będziesz spać ze mną, w moim łóżku - odezwał się cichym, lecz zdecydowanym głosem. - Czekałem dwa miesiące. Nie mam zamiaru czekać ani dnia dłużej.

- Co będzie z naszymi bagażami? - dopytywała się Eleanor.

- Już się nimi zajęto - odpowiedział Harrison. - Przestań kręcić głową przecząco. Mary Roses. To na nic. Będzie tak, jak powiedziałem.

Nie miała zamiaru sprzeczać się z nim na oczach ludzi. Postanowiła poczekać, aż będą sami; wtedy powie mu, jakie podjęła decyzje. Harrison jest inteligentny. Na pewno zrozumie, co przeżyła.

- To wcale nie były dwa miesiące - poprawiła Harrisona Eleanor. - Wasza rozłąka trwała jedynie pięć tygodni. Mary Roses chciała nawet poczekać z podróżą do końca września, lecz Adam nie pozwolił jej tak długo zwlekać.

Harrison zatrzymał się gwałtownie.

- Chciałaś czekać aż do końca września?

- No i popatrz, co zrobiłaś, Eleanor. Zmartwiłaś Harrisona. Harrison, jeżeli się nie pośpieszymy, za chwilę będziemy wyglądać jak zmokłe kury. Porozmawiamy o wszystkim w domu.

Przez dłuższy czas żadne z nich nie odezwało się ani słowem. Deszcz zaskoczył ich na rogu ulicy i zanim znaleźli się w powozie, przemokli do suchej nitki.

Pół godziny później zajechali pod dom Harrisona. Był to imponujący piętrowy budynek o fasadzie z czerwonej cegły.

Drzwi otworzył młody mężczyzna w czarnym surducie. Miał na imię Edward, został tu skierowany przez lorda EUiota i pełnił funkcję kamerdynera.

Eleanor była niezmiernie podniecona widząc, że będą miały służbę. Pierwsza wbiegła do westybulu. Edward uśmiechnął się do niej w powitalnym geście, lecz kiedy zwrócił się ze słowami powitania do Mary Roses, na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie.

- Wygląda jak jej matka na portrecie - szepnął do Harrisona. - Milord Elliott uwierzy, jak tylko ją zobaczy. Wykapana lady Agatha.

Mary Roses usłyszała, co mówił Edward.

- To lord Elliott nie wierzy, że jestem jego córką?

Edward był wyraźnie zakłopotany.

- Bardzo chciałby wierzyć, milady, ale przeżył już tyle rozczarowań, że boi się mieć nadzieję, iż pani jest naprawdę jego Victorią.

Harrison zdjął mokrą marynarkę i podał Edwardowi. Ochmistrz doskonale wyjaśnił Mary Roses, na czym polegały obawy lorda.

- Muszę wziąć gorącą kąpiel - zrzędlwym tonem powiedziała Eleanor. - Edwardzie, czy mógłbyś zaprowadzić mnie do mojego pokoju? Jeśli natychmiast się nie przebiorę, gotowam się przeziębić.

- Nie przeziębisz się w lipcu - próbowała ją uspokoić Mary Roses. - Jest na to za ciepło.

- Nigdy nie słyszałaś o przeziębieniach latem? - odezwała się cierpko Eleanor, a wstępując na schody zaczęła uskarżać się na różne dolegliwości i bóle. Mary Roses była zadowolona ze zmiany tematu. Ilekroć spoglądała na Harrisona, doświadczała kołatania serca. Miała ochotę krzyknąć na niego za to, że tak ją zranił, a jednocześnie całować, tak bardzo się za nim stęskniła.

Edward pośpieszył na piętro zająć się Eleanor. Harrison chwycił Mary Roses za rękę i poprowadził do swej sypialni.

Było to olbrzymie wnętrze, utrzymane w ciepłych kolorach brązu i złota.

Barwy Montany jesienią, pomyślała.

Nie sposób było od razu nie zauważyć łoża. Iście królewskich rozmiarów, z czterema słupami podtrzymującymi baldachim. Wydawało jej się, że nigdy jeszcze nie widziała czegoś tak wielkiego.

Poczuła znajome ściskanie w żołądku. Nie umiała powstrzymać się od myśli o tym, że Harrison tu śpi, a ponieważ wiedziała, że nic nie wkłada na noc, były to bardzo nieprzyzwoite myśli.

Na jej policzkach pojawiły się szkarłatne rumieńce. Czowała, że powinna natychmiast zacząć tę rozmowę z Hamsonem, teraz, póki jeszcze ma siły, by się opanować. Patrząc na łóżko czuła miękkość w kolanach, a jej wola słabła z każdą chwilą.

- Harrison, musimy porozmawiać. Zaraz.

- Pana nie ma w pokoju, milady. Czy mam polecić Caroline, by przygotowała kąpiel? Odwróciwszy się gwałtownie, ujrzała stojącego w progu Edwarda.

- Dokąd poszedł pan Harrison?

- Zszedł na dół. Czy życzy sobie pani, bym go zawołał, milady?

Pokręciła głową.

- Dziękuję, chętnie zażyję kąpieli. Dlaczego nazywasz mnie „milady”?

- Ponieważ jest pani lady Aldoną i tak właśnie powinienem się do pani zwracać.

Nie miała zamiaru się z nim spierać. Edward zapytał ją również, czy życzy sobie, by przyniesiono jej posiłek, wyjaśniając, że Eleanor zamierza zjeść lekką kolację u siebie w pokoju po kąpieli.

Mary Roses zrezygnowała z posiłku. Odczuwała zbyt wielki niepokój, by móc choćby myśleć o jedzeniu.

Przez następną godzinę była rozpieszczana przez garderobianą. Z zakłopotaniem przyjmowała nabożny wręcz szacunek i uległość, z jaką traktowała ją młoda służąca. Czowała się jak pretendentka do tronu za każdym razem, kiedy Caroline tytułowała ją milady, a chociaż okazywanie szczególnych względów zapewne powinno jej schlebiać, troskliwe zabiegi dziewczyny irytowały ją.

Gorąca kąpiel nieco ukoiliła jej nerwy, lepiej poczuła się także po wyjęciu szpilek i rozpuszczeniu włosów. Pławiła się w porcelanowej wannie, dopóki woda nie ochłodziła się na tyle, że kąpiel przestała być przyjemnością, po czym włożyła szlafrok i przeszła do pokoju Hamsona.

Caroline słabo mówiła po angielsku i była zmuszona uciekać się do gestykulacji, by dać znać Mary Roses, że zamierza wyszczotkować jej włosy.

Ciemnowłosa Francuzka wydawała się tak samo zdenerwowana jak Mary Roses, jej dłonie drżały, gdy z widocznym trudem i zakłopotaniem usiłowała coś wyjaśnić.

Francuski akcent natychmiast zdradził jej pochodzenie, więc Mary Roses płynną francuszczyzną wyjaśniła, że uczesze się sama. Caroline nie miała jednak najmniejszego zamiaru pozwolić, by pani zrezygnowała z jej usług i była pod tym względem niezwykle zdecydowana.

Jej usta nie zamykały się, kiedy wskazawszy Mary Roses fotel zajęła się układaniem fryzury. Mary Roses siedziała sztywno, kurczowo zaciskając poły szlafroka pod szyją.

Ostatni raz była przez kogoś czesana jako mała dziewczynka, kiedy przylepiły się jej do włosów ciagutki miętowe i Cole musiał wydobyć kleistą substancję. Tego dnia Mary Roses nauczyła się kilku nowych przekleństw.

Później nikt już nie czesał jej włosów. Czuła się teraz niezwykle głupio, siedząc jak udzielna księżna, podczas gdy obca kobieta wykonywała za nią tę prostą codzienną czynność.

Była zwrócona twarzą w stronę łóżka. W pewnej chwili zauważyła na nim jedną ze swoich koszul nocnych. Kołdra została już odchylona, a na poduszce leżała piękna róża o długiej łodydze.

- Czemu na łóżku leży róża? - zapytała.

- Pani mąż prosił, żeby ją tu położyć, milady. Czy to nie urocze z jego strony?

Był to rzeczywiście niezwykle miły, romantyczny gest, który bezgranicznie zdumiał Mary Roses, jako że wydawał jej się pozostawać w sprzeczności z osobowością męża. To do niego niepodobne, myślała. Przecież on absolutnie nie ma romantycznego usposobienia. Kiedy czegoś chce, zdobywa to siłą. Pod tym względem bardzo przypominał jej braci. Nie pasował do niego ten wytworny gest, lecz być może rzeczywiście nie знаła swego męża?

- Czy wie pani, co pani mąż powiedział Edwardowi, kiedy polecił przynieść tu różę? że ona jest symbolem.

- Symbolem czego?

Caroline roześmiała się.

- Jego miłości - powiedziała. - Cóż innego może wyrażać kwiat, milady?

Mary Roses wzruszyła ramionami i sięgnęła po szczotkę. Miała już stanowczo dość wyręczania we wszystkim.

Podziękowała służącej za pomoc i dała jej wolny wieczór. Przed wyjściem z pokoju Caroline dygnęła i nisko pochyliła głowę w geście wyrażającym szacunek. Mary Roses była wyraźnie zakłopotana.

Podeszła do łóżka, by wziąć koszulę nocną, i wtedy usłyszała odgłos otwieranych drzwi. Odwróciła się w chwili, gdy Harrison wchodził do pokoju.

Jej mąż również zażył kąpieli, co zdradzały wilgotne włosy. Miał bose stopy, a jedyną część garderoby stanowiły ciemne spodnie.

Zastanowiła się, czy Harrison w ogóle kiedykolwiek miał szlafrok. Uwielbiał przechadzać się po domu z obnażonym torsem, co nie raziło nikogo w Montanie, lecz było zdecydowanie niestosowne w Londynie. Dookoła aż roiło się od służących i dziewczek kuchennych, a Mary Roses nie życzyła sobie, by widywały one goły tors jej męża.

Miała zamiar zwrócić mu uwagę na niewłaściwy strój, lecz po chwili zmieniła zamiar. To nie był najpilniejszy problem do omówienia, musiała poruszyć bardziej naglące sprawy.

Harrison zamknął drzwi na zasuwkę i podszedł do żony.

Na jego twarzy malowało się takie zdecydowanie, że mimo woli cofnęła się o kilka kroków.

- Musimy porozmawiać - zaczęła, unosząc dłoń, by go powstrzymać. - Mówię poważnie, Harrisonie. Zatrzymaj się tam, gdzie jesteś.

Zignorował jej słowa. Mary Roses wycofywała się, dopóki łóżko nie zagroziło jej drogi.

- W porządku - odezwał się i zaczął rozwiązywać pasek jej szlafroka. - Mów.

Usiłowała odepchnąć jego rękę, to go jednak nie odstraszyło. Rozsupłał węzeł paska, zanim zdążyła zaczerpnąć tchu.

- Naprawdę, muszę bardzo się starać, żeby się na ciebie nie rozgniewać, Mary Roses.

Jej oczy rozwarły się szeroko ze zdumienia.

- A o co niby miałbyś się na mnie gniewać?

- Wrzesień - prychnął. - Czy naprawdę miałaś zamiar zwlekać z podróżą aż do września?

Nie dała się zepchnąć do obrony.

- Okłamywałeś mnie; robiłeś to rozmyślnie i celowo. Może byś przestał bawić się moim szlafrokiem?!

- Przestane, jak go zdejmiesz.

- Łudzisz się, że będę spać tutaj?

- Nie sądzę, by udało ci się wyspać tej nocy; w każdym razie mam zamiar ci to uniemożliwić. Marzę o tym, by kochać się z tobą przez całą noc. Bardzo cię pragnę i doskonale wiem, że i ty mnie pragniesz.

Łzy napłynęły jej do oczu.

- Nie ufam ci.

- To nieprawda.

Była bliska rozpaczy. Uniemożliwił jej przeprowadzenie rozmowy. Nie miał ochoty myśleć logicznie. Nie potrafiła przedstawić racjonalnych argumentów mężczyźnie, który właśnie zdejmował spodnie.

- Miałam dużo czasu na zastanowienie się nad naszą sytuacją - zaczęła nieśmiało. - Jesteśmy małżeństwem, a skoro przysięgałam ci miłość i wierność, nie mogę ot, tak, po prostu się z tego wycofać. Musimy wszystko zacząć od nowa, Harrisonie.

- A jak niby mamy to zrobić?

- Musisz o mnie zabiegać i po pewnym czasie, mam nadzieję, będę w stanie ponownie ci zaufać. Teraz wydaje mi się, że w ogóle cię nie znam.

Mężczyzna, którego kochałam, złamał mi serce.

Boże, ależ miała talent do tworzenia dramatów. Słuchał uważnie aż do chwili, gdy wspomniała, że ma o nią zabiegać. Do diabła, czasy zalotów mieli już za sobą.

Był rozpalony aż do bólu, kiedy wreszcie mógł odrzucić spodnie i wyciągnąć ku niej ramiona.

- Czy mam zapomnieć o tym, jak poruszałem się w tobie? Przecież byliśmy ze sobą, chyba tego nie zapomniałaś? Miałem cię w swoich ramionach, Mary Roses. Wykrzykiwałaś moje imię i ścisłaś mnie tak mocno, tak mocno... jeśli naprawdę myślisz, że jestem w stanie o tym zapomnieć i zacznę wszystko od nowa, to chyba postradałaś rozum.

Z trudem utrzymywała się w pozycji pionowej, słuchając, jak wspomina ich miłość. Jego lekko schrypnięty głos sprawił, że drżała, marząc o tym, by znów poczuć na sobie jego dotyk.

- To co, twoim zdaniem, mamy zrobić?

- Chodź, pokażę ci.

Pokręciła głową. Dobrze wiedziała, co się stanie, jeżeli znajdzie się w jego ramionach. Chciała najpierw wyjaśnić wszystkie dręczące ją wątpliwości.

Uważnie, z napięciem wpatrywała się w jego twarz.

- Najpierw odpowiedz na moje pytanie.

Chwycił ją za ramiona.

- Nie, najpierw ty mi odpowiedz. Czy wciąż mnie kochasz?

Spuściła wzrok. Nie chciała go okłamywać, mimo iż powiedzenie prawdy łączyło się z utratą przewagi.

- Złamałeś mi serce - powtórzyła.

- Ostrzegalem cie, pamietasz?

- Powinienes byl powiedziec mi o moim ojcu.

- Nie, to byl obowiazek twoich braci. To nie ja powinienem byl ci o tym powiedziec.

- W takim razie dlaczego nie byly tam z nimi, kiedy to mowili? Byloby mi duzo latwiej to przyjac.

- Bylem w Hammond i bronilem pewnego czlowieka w sadzie, kiedy twoi bracia zdecydowali sie powiedziec ci o tym, a kiedy wrócilem, juz cie nie bylo.

Do diabla, Mary Roses, nie powinnaś byla ode mnie uciekac. Jestem twoim mezem.

Zwazywszy fakt, ze miala ochote go zabiec, ucieczka stanowila jej zdaniem duzo mniejsze wykroczenie przeciwko obowiazkom malzenskim.

- Bylam potwornie wsciekla.

Wzruszyl ramionami. Nie taka reakcje spodziewala sie w nim wywolac.

- Gdzie wtedy bylaś? - zapytal.

- Douglas zabral mnie do Cohenow. Mieszkalam u nich dwa tygodnie. Czy jest ci przykro, ze mnie zraniles?

Czekala na slowa przeprosin. Co prawda nie wiedziala, czy to pomoze usmierzyc bol serca, lecz przynajmniej miala taka nadzieje.

- Zrobilem wszystko, co do mnie nalezalo, zwazywszy okolicznosci. Po jakimś czasie to zrozumiesz.

- Czy mnie kochasz?

- Tak. Bardzo.

Mocno przytulil ja do siebie.

- Czy mozemy juz troche sie poprzytulac?

Pochyliwszy glowe, zaczal obsypywac pocaunkami jej czolo i nos, caly czas powtarzajac szeptem, ze bardzo sie za nia stesknil.

Odsunawszy sie na chwile, zdarl z niej szlafrok, wzial na rece i zaniosl na lozko.

Znalazlszy sie na niej, uniosl sie na lokciach, by spojrzec jej w oczy.

Po jej policzkach plynely lzy.

- Czy chcesz, zebym sobie poszedl, Mary Roses?

Pokrecila glowe, a on poczul sie tak, jakby spadl mu z piersi wielki ciezar.

A potem pochylil sie, by ja pocalowac.

Jego usta pozostawaly nieruchome, lecz jezyk wniknal glęboko i badal kazdy zakamarek cieplego wnetrza. Nie wiedzial, czy bardziej podnieca go ta wyprawa w glab jej

ciała, czy cudowny dotyk jedwabistej skóry. Gładziła go po plecach i po ramionach, doprowadzając do drżenia.

Chciał posiąść ją jak najprędzej, a jednocześnie pragnął cieszyć się nią jak najdłużej, chciał dać jej jak najwięcej przyjemności, zanim nastąpi spełnienie, lecz jej dotyk sprawił, że wkrótce przestał się kontrolować. Była cudownie uległa i również pragnęła obdarzyć go jak najwspanialszymi dowodami swej miłości. Boże, jak ją kochał.

Zaczął całować jej piersi, delikatnie obwodząc sutki językiem. Odpowiedzią był szybki, zdyszany oddech, w którym usłyszał ponaglenie, a kiedy zaczął gwałtownie ssać i szarpać sutek zębami, westchnienia przeszły w błagalne jęki.

Wygięła ciało w łuk, niecierpliwie wodząc palcami nóg po jego łydkach, starając się jeszcze mocniej z nim zespolić.

Jego ruchy stały się szybsze i bardziej niecierpliwe. Przewędrował dłonią wzdłuż brzucha ku niżej położonym partiom ciała, aż dotarł do miejsca, które stanowiło główny przedmiot jego pożądania. Poczawszy ciepłą wilgoć pomiędzy jej udami, stracił panowanie nad sobą i szybko wsunął w nią palce.

Mary Roses wbiła paznokcie w jego plecy, domagając się, by zaprzestał tych miłosnych tortur i w pełni się z nią połączył.

Nie był w stanie poruszać się tak szybko, jak tego by sobie życzyła. Gdy objęła go palcami, z jego gardła wyrwał się niski jęk rozkoszy.

Nie mógł już czekać dłużej. Chwyciwszy ją za rękę, położył je sobie na ramionach, a po chwili wszedł w nią jednym pchnięciem.

Mocno zacisnął szczęki; rozkosz była tak silna, że wprost trudna do zniesienia.

- Boże, jak mi dobrze - wyszeptał. - Nie ruszaj się, jeszcze nie teraz...

Pozwól mi... kochanie, przez ciebie mam ochotę...

Nie mógł dokończyć zdania. Pozbawiła go nawet umiejętności wysłowienia się. Nie był w stanie myśleć, czuł jedynie poruszające się, napierające nań biodra. Uniosła nogi tak, by mógł wnikać w nią głębiej, otaczając jednocześnie ramionami jego szyję. Całą sobą wydawała się błagać o spełnienie, każde pchnięcie powodowało, iż ogarniała ją potężna fala rozkoszy. Jego powolne ruchy przyprawiały ją o spazmy, aż w końcu nie wiedziała już, gdzie się znajduje, czuła tylko, jak pogrąża się w niej głębooko, coraz głębiej... Chwyciła go za włosy i zaczęła drapać szyję. Jęki, w których pobrzmiwała nagła prośba, przyprawiły go niemal o szaleństwo. Jego pchnięcia stały się mocniejsze, głębsze, a kiedy poczuł pierwsze skurcze jej orgazmu, kiedy wygięła się pod nim w łuk i objęła go sobą tak mocno, że niemal

odszedł od zmysłów, również jego emocje sięgnęły zenitu. Wykrzykując jej imię, osiągnął spełnienie, które objęło go jak gorąca fala.

Całkowicie poddała się chwili, przywierając do męża, czując się bezpieczna w jego ramionach.

Pomału wracali do rzeczywistości. Harrison tulił ją i pieścił. Szeptał jej do ucha czułe, chaotyczne zdania, które miały jednak dla niej głęboki sens, ponieważ dowodziły, iż rzeczywiście bardzo za nią tęsknił.

Zasnęła w objęciach męża delikatnie nagryzającego płatek jej ucha, lecz już po godzinie obudziły ją nowe pieszczoty. Kochali się ponownie do późnych godzin nocnych, i jeszcze raz o świcie, kiedy słońce rozpoczynało swą wędrówkę po niebie.

Za każdym razem oddawała mu się z rozkoszą, zdumiona tym, że czuje się tak cudownie bezpieczna w jego ramionach.

Kochała Harrisona z całego serca i duszy. Postara się być wyrozumiałą żoną i na pewno któregoś dnia wybaczy mu to, że ją oszukał, i ponownie będzie w stanie mu zaufać.

Zasypiając, marzyła o tym, żeby mogło się to stać prawdą.

24 lutego 1871

Kochana Mamo!

Dzisiaj dowiedziałam się, skąd się biorą dzieci. Adam dokładnie opowiedział mi, co dzieje się między mężczyzną a kobietą. Powiedział, że nie powinnam się przerażać i skubać twarzy, ale nie potrafię nic poradzić na to, że robi mi się niedobrze, kiedy pomyślę, że jakiś mężczyzna próbowałby się na mnie położyć.

Travis i Douglas też uważają, że to jest okropnie głupio urządzone. Nie powiedzieli mi tego, ale nie patrzyli na mnie, kiedy próbowali mi wyjaśnić, jak to się dzieje. Zrobili się też czerwoni na twarzach. Nie wydaje mi się, żeby kiedykolwiek mieli ochotę położyć się na jakiejś kobiecie. Nie wiem, co na ten temat myśli Cole. Wściekł się na mnie, kiedy poprosiłam go, żeby mi wszystko wyjaśnił, i odesłał mnie do Adama.

TWój syn powiedział, że kiedy mężczyzna i kobieta są razem, to jest piękne i wspaniałe, ale myślę, że on tylko tak żartował. A co Ty myślisz o robieniu dzieci, Mamo? Urodziłaś Adama, więc raz musiałaś mieć na sobie jego tatę.

Czy to było okropne?

Cole kończy pracę nad sufitem biblioteki w naszym wspaniałym domu.

Bardzo starannie wykańcza wyrzeźbione detale. Pracuje codziennie wieczorem i wiem, że chciałby pracować także w dzień, ale nie może tego robić, bo Douglas potrzebuje jego pomocy przy koniach.

Znowu musiałam dać pukiel moich włosów Indianom. Są teraz dla mnie bardzo mili i nie próbują wykraść mnie od Adama. Wciąż się go boją. Adam daje im jedzenie i stara się być dla nich miły, ale myślę, że im nie ufa. Przecież dobrze pamięta, do czego omal nie doszło, kiedy chcieli mnie porwać.

Indianie uważają, że przynoszą im szczęście. Czy to nie jest głupie. Mamo, sama powiedz.

Dlaczego jeszcze nie znienawidziłaś Livonii? Czasami myślę, że powinnaś.

Wiem, że ona boi się o siebie i liczy na Twoją pomoc, ale pomyślałam sobie, że gdybyś była dla niej niedobra, może pozwoliłaby Ci odejść.

Bardzo za Tobą tęsknię, Mary Roses Mary Roses denerwowała się z powodu czekającego ją spotkania z ojcem.

Prawdę mówiąc, nie rozumiała swojej reakcji. Przecież nie musiała się niczego obawiać. Był dla niej nieznanym i wystarczy, że będzie w stosunku do niego uprzejma, miła i współczująca. Lord Elliott wiele się nacierpiął po stracie dziecka i zgodnie z tym, co sugerowali jej bracia, miała moralny obowiązek go pocieszyć.

Harrison obudził ją, przekazując wiadomość, że Elliott pragnie, by pojechali z nim do wiejskiej rezydencji i pozostali tam przez jakiś czas.

Wtedy naprawdę zaczęła się niepokoić. Być może jej lęk wynikał z faktu, że tak naprawdę nic o nim nie wiedziała. Harrison poinformował ją jedynie, że lord jest bardzo bogaty i niezwykle mądry, co absolutnie nie wystarczało, by wytworzyć sobie właściwy obraz człowieka. Bogactwo niewiele dla niej znaczyło, a chociaż wiadomość, że jej ojciec jest mądry, sprawiła jej przyjemność, było to zdecydowanie zbyt ogólne stwierdzenie. Nie wiedziała, jakie jeszcze ma zalety i upodobania.

W czasie jazdy do posiadłości zasypywała Harrisona gradem pytań.

- Mówiłeś, że ci, których na to stać, wyjeżdżają latem z miasta, ale nie wytłumaczyłeś mi dlaczego.

- W mieście jest za gorąco. Poza tym ruch w miastach zamiera i wydaje się, że wszystko jest nieczynne aż do września.

Złożyła ręce na kolanach.

- Nie rozumiem, dlaczego nie mogliśmy poczekać na Eleanor. Nie chciałeś, żeby z nami jechała?

- Kochanie, przecież ona chciała przeleżeć cały dzień w łóżku. Przyjedzie jutro z Edwardem i resztą służby.

- Jak długo lord Elliott chciałby nas gościć?

- Tak długo, jak długo będziesz miała na to ochotę.

Rozprostował długie nogi, próbując sprawić wrażenie odprężonego. Wiedział, że żona jest zdenerwowana. Nerwowo splatała i rozplatała palce, choć najprawdopodobniej wcale o tym nie wiedziała.

Miała też kłopoty z podjęciem decyzji o wyborze sukni, a takie zachowanie zupełnie do niej nie pasowało. Zazwyczaj nie przejmowała się nadmiernie swoim wyglądem, lecz tego ranka poświęciła wiele uwagi doborowi stroju, co zresztą wcale nie dziwiło Harrisona.

Nie chciała sprawić zawodu swemu ojcu.

- Zobaczysz, że i on cię pokocha, najdroższa.

Wzruszyła ramionami.

- A czy ja go pokocham? - zapytała.

Hamson wydawał się zaskoczony jej pytaniem. Wychyliwszy się do przodu, chwycił ją za rękę.

- Tak, na pewno go pokochasz. Zobaczysz...

- Nie dokończył zdania, więc go ponagliła.

- Co takiego zobaczę?

Westchnął.

- Miałem zamiar powiedzieć ci, że zobaczysz, że możesz mi ufać, ale pomyślałem, że to wciąż jest twój czuły punkt.

Spojrzała na swe dłonie.

- Nie chcę teraz rozmawiać o zaufaniu. Złamałeś mi serce, Harrison.

- To ty tak uważasz - odparł ponuro.

Zauważyła, że spochmumiał. Pokręcił głową.

- Widzę, że naprawdę żywisz do mnie urazę. A gdybyś tylko ruszyła tą swoją rozsądną głową, zrozumiałabyś...

- Zrozumiałabym, że mogłeś mi coś wyznać, ale wolałeś tego nie robić - powiedziała zduszonym szeptem, wysuwając dłonie z jego rąk. - Nie powinnam była wkładać tej niebieskiej sukni. Wyglądam w niej blado.

- Wyglądasz wspaniale.

- Wcale nie chcę wyglądać wspaniale.

- Anglia jest piękna, prawda? - odezwał się, chcąc zmienić temat.

- Tak - przyznała. - Jest piękna. Ale to nie jest mój dom.

- Musi upłynąć trochę czasu, zanim przywykniesz do zmian, Mary Roses.

- Tęsknię do moich braci.

- A tęskniłaś do mnie, kiedy wyjechałem?

Nie odpowiedziała, rozsiadł się więc wygodniej i zaczął obserwować przesuające się za oknem widoki. Miasto żegnało ich dżdżystą pogodą, lecz teraz słońce zaczynało wychylać się zza chmur i zapowiadał się wspaniały dzień.

- Przyjedziemy bardzo wcześnie - odezwał się. - Twój ojciec nie spodziewał się ujrzeć nas przed południem.

- Czy to prawda, że tam wszyscy teraz śpią, a potem siedzą do późna w nocy?

Harrison przytaknął.

- Tak, to prawda. Jesteś zmęczona? Zabrałem ci większą część nocy.

Zaczerwieniła się gwałtownie.

- Nie, nie jestem.

Uśmiechnął się.

- A ja jestem. Ale cieszę się, że twoje ciało mi przebaczyło.

- To, co mówisz, nie ma sensu, Harrisonie.

Sprawiła wrażenie zmieszanej. Ta reakcja wiele mu mówiła.

- Nie potrafisz nic poradzić na to, że twoje ciało tak na mnie reaguje, prawda? Pamiętasz, jak...

- Brałam w tym udział - wybuchnęła. - Nie musisz mi przypominać, co zdarzyło się między nami. Powiedz mi lepiej, jak lord Elliott zareagował, kiedy dowiedział się o moim istnieniu. Naprawdę chciałabym to wiedzieć.

- Coś mi się wydaje, że celowo zmieniasz temat. A ja chciałbym się dowiedzieć, jak czułaś się w moich ramionach.

- Na litość boską, czy mógłbyś przestać mówić o kochaniu się i odpowiedzieć na moje pytanie?

- Nie chciał mi wierzyć.

- Kto?

Harrison roześmiał się. Była szczerze zaciekawiona i ta świadomość przepelniała go zadowoleniem.

- Twój ojciec - wyjaśnił.

Westchnęła głęboko, po czym rozłożyła wachlarz i zaczęła się nim chłodzić.

- Przekonywałem go wiele godzin - dodał Harrison. - On boi się w to uwierzyć, Mary Roses. Może usiadłabyś mi na kolanach?

- Nie mam ochoty siadać ci na kolanach.

- Chciałbym cię pocałować.

- Nie ma mowy. Jestem wystarczająco oszołomiona.

Harrison czuł jednak przemożną potrzebę postawienia na swoim. Zanim zdążyła cokolwiek pomyśleć, wychylił się ku niej i porwał ją na kolana. Dla bezpieczeństwa, tylko ze względu na bezpieczeństwo, wmawiała sobie, otoczyła ramieniem jego szyję, obdarzywszy go jednak pełnym pretensji spojrzeniem.

- Nie lubię, kiedy masz tak starannie upięte włosy.

- A wiesz, czemu jestem zadowolona, że nie obciąłeś włosów?

- Dlaczego?

Z upodobaniem pogładziła miękkie pasma na jego szyi.

- Bo jesteś teraz podobny raczej do górala niż do eleganckiego Anglika.

Całował jej szyję. Czowała ciarki wędrujące aż po koniuszki palców. Westchnąwszy cichutko, odchyliła głowę, by mógł bez przeszkód pieścić wargami czule partie jej ciała.

Pomyślała, że Harrison próbuje ją roznamiętnić, ponieważ doskonale zdaje sobie sprawę, jak bardzo jest zdenerwowana, i pragnie odwrócić jej uwagę, sprawić, by nie myślała o ojcu.

I z pewnością mu się to udawało. Jego ciepły oddech wprowadził ją w stan radosnego oczekiwania i mogła już myśleć jedynie o tym, by jak najprędzej obdarzył ją pocałunkiem.

Nie lubiła jednak, kiedy ktoś próbował sterować jej zachowaniem i reakcjami; postanowiła powiedzieć to, gdy tylko przestaną się całować.

- Jak ty to robisz, że zawsze tak cudownie pachniesz, kochanie?

- Po prostu się kąpię - odpowiedziała.

Roześmiał się, a potem delikatnie ujął jej podbródek i zwrócił jej twarz ku sobie.

Jego ciepłe, twarde wargi władczo zagarnęły jej usta. Język powędrował w ich głąb, by poznawać je i smakować. Wkrótce Mary Roses zapomniała o całym świecie, przepełniona jedynie pragnieniem chłonięcia i odwzajemniania pocałunków.

Nie był jednak w stanie długo prowadzić tej delikatnej gry miłosnej. Już pierwszy pocałunek sprawił, że poczuł ogromną potrzebę znalezienia się w niej jak najprędzej.

Gwałtownie odsunął się od niej, po czym pochylił się tak, że stykali się czołami.

- O Boże, Mary Roses, nie potrafię cię pocałować, żeby natychmiast nie myśleć o tym, by zedrzyć z ciebie ubranie i kochać się z tobą. Proszę, przestańmy, kochanie. Nie prowokuj mnie.

Mary Roses obsypywała pocałunkami jego szyję, a świadomość, że jej pieszczoty wywołują tak silne emocje, wprowadzała ją niemal w dumę. Oddychał z wyraźnym trudem i drżał na całym ciele.

Ponownie wydała z siebie rozkoszne westchnienie. Otarłszy się tęsknie o niego, pocałowała go w brodę. Poprosił, by była grzeczna. Nie zwracając uwagi na jego słowa, zaczęła delikatnie nagryzać jego dolną wargę.

Stęknął cicho i mocniej otoczył ją ręką w pasie. Nie był już w stanie dłużej zachowywać się jak dżentelmen. Obdarzył ją gorącym, namiętym pocałunkiem, a po chwili kolejnym i jeszcze następnym. Wkrótce Mary Roses zupełnie zapomniała, gdzie się znajdują, myśląc jedynie o tym, by jak najpełniej zespolić się z mężem, by czuć na sobie to cudowne ciepło rozchodzące się od jego ciała; niespokojne ruchy sprawiły, że zniknęły resztki jego opanowania.

Odczuwał tak nieprzepartą chęć kochania się z nią, że absolutnie nie deprimowało go, iż znajdują się w poruszającym się pojeździe. Liczyło się tylko to, że jej pragnął, a ona pragnęła jego.

Oprzytomniała, czując jego rękę na udzie. Nie miała pojęcia, jak udało mu się zawędrować dłonią pod spódnicę.

- Co my wyprawiamy, na miłość boską - wyszeptwała głosem drżącym z pożądania. - Jesteśmy przecież w powozie, Hamsonie. Co ty sobie myślisz?

- Jesteśmy małżeństwem. Wszystko jest w jak najlepszym porządku. Możemy się kochać, gdzie tylko mamy na to ochotę.

Zapewne rzeczywiście nie widział w tym nic zdrożnego. Mary Roses zdjęła jego ręce ze swoich ramion i przesiadła się na przeciwległe siedzenie. Drżącymi dłońmi próbowała poprawić uczesanie; zdała sobie sprawę, że włosy spływają jej aż na ramiona.

To Harrison był odpowiedzialny za ten nieład na jej głowie. Gniewnie marszcząc czoło, rozpaczliwie starała się doprowadzić swe uczesanie do jakiegoś takiego porządku.

- Wyglądasz wspaniale.

Patrzył na nią wzrokiem, który mówił jej, że naprawdę takie jest jego zdanie. Poniechała więc prób poprawienia swojego wyglądu.

- Pożądanie cię zaślepią - zażartowała.

- Jesteśmy na miejscu. Brama, którą właśnie minęliśmy, stanowi wejście na teren posiadłości twojego ojca. Teren ma ponad sto akrów.

Gwałtownie zaczerpnęła tchu.

- Czy ucieszył się słysząc, że ożeniłeś się ze mną?

- Tak - odpowiedział Harrison. - Ale był jednocześnie rozczarowany, że nie mógł uczestniczyć w ceremonii. Nalega, żebyśmy wzięli jeszcze jeden ślub.

Ze zdumienia szerzej otworzyła oczy.

- Nie wydaje mi się to konieczne.

- Powiedziałem ci jedynie, jakie jest jego zdanie w tej kwestii - uświadomił jej Harrison. - Będziesz mogła podyskutować z nim na ten temat, kiedy go już poznasz. Kochanie, przestań tak nerwowo splatać ręce. Wszystko będzie dobrze. Oprzyj się o mnie, jeśli boisz się, że zemdlejesz ze strachu.

- Doskonale utrzymam się na własnych nogach. Wcale nie boję się ojca.

Było to kłamstwo, którym najwyraźniej próbowała dodać sobie odwagi.

Harrison nie odezwał się jednak na ten temat ani słowem. Skoro zależało jej, by myślał, że się nie boi, udał, że jej wierzy.

- Czy będą tam również inni moi krewni? O, Boże, Harrisonie, ten dom jest po prostu olbrzymi! Ile tu jest sypialni?

- Wydaje mi się, że dwanaście, ale nie jestem pewien. Krewni mają przyjechać późnym popołudniem.

- A która jest teraz godzina?

- Dochodzi jedenasta - odpowiedział, spojrzawszy na kieszonkowy zegarek.

Powóz zakręcił i zaczął wspinać się na stromy podjazd przed ogromnym białym domem, który zdaniem Mary Roses wyglądał jak pałac. Dookoła roztaczały się barwne klomby, starannie przystrzyżone trawniki i krzewy przycięte tak, że tworzyły idealnie gładkie bryły geometryczne.

Po obu stronach schodów z czerwonej cegły, prowadzących do drzwi wejściowych, znajdowały się potężne kamienne lwy. Pomyślała, że transport tych wszystkich materiałów budowlanych do Anglii musiał kosztować fortunę, lecz po chwili zdała sobie sprawę, że najprawdopodobniej wszystko zostało wykonane gdzieś niedaleko. To w Blue Belle wszystko trzeba było sprowadzać, przewozić koleją, a potem wozami, ale dom jej ojca znajdował się niedaleko ogromnego miasta. Tutejsze życie na pewno bardzo się różniło od tego, które znała, i należało o tym pamiętać.

Harrison pomógł jej wysiąść z powozu. Weszli na schody. Drzwi wejściowe były pomalowane na czarno, pośrodku znajdowała się podłużna złota kołatka.

Po obu stronach drzwi stały ogromne białe donice, w których rosły wiosenne kwiaty we wszystkich kolorach tęczy. Grube gałęzie bluszczu ciasno oplatały brzegi donic.

Mary Roses stanęła tuż obok Hamsona, który zakołatał do drzwi. Otworzyły się po upływie niecałych pięciu sekund i ukazał się w nich barczysty mężczyzna o imieniu Russell. Skłoniwszy się nisko, pośpiesznie cofnął się o kilka kroków, by mogli wejść do wnętrza.

Jego reakcja na widok Mary Roses była dokładnie taka sama, jak reakcja ochmistrza w domu Harrisona. Russell był równie zaskoczony jak Edward.

- Tak, Russell, moja żona rzeczywiście jest bardzo podobna do lady Agathy - powiedział Harrison, zanim służący zdołał ochłonąć i wykrztusić z siebie jakiekolwiek słowo.

Twarz starszego człowieka rozjaśniła się w uśmiechu.

- Oniemiałem, kiedy ją zobaczyłem, milordzie - wyznał szeptem.

Mary Roses nie w pełni zdawała sobie sprawę, o czym rozmawiali. Stojąc pośrodku przestronnego westybulu, rozglądała się dookoła z niedowierzaniem, Wnętrze tego domostwa robiło równie wielkie wrażenie jak sam budynek.

Posadzkę tworzyły kwadraty białego i czarnego marmuru, a sam westybul był większy niż cały jej dom w Ameryce. Przed sobą miała ogromne rozgałęziające się schody, a z sufitu znajdującego się na wysokości minimum trzech pięter zwisały wspaniałe kryształowe żyrandol. Znajdowało się w nim ponad pięćdziesiąt świec i Mary Roses zastanawiała się, jak komuś udało się wejść tak wysoko, by je tam umieścić.

- Gdzie jest lord Elliott? - zapytał Harrison. - Czy zszedł już dzisiaj na dół, czy też pracuje w bibliotece?

- Nie wiem, gdzie może znajdować się w tej chwili, milordzie. Spodziewał się państwa dopiero późnym popołudniem. Proponuję, żeby państwo udali się do biblioteki, a ja tymczasem pójdę go poszukać.

Harrison pokręcił głową.

- Jest zbyt piękny dzień, żeby siedzieć w domu. Wyjdziemy tylnym wyjściem i poczekamy w ogrodzie.

Pociągnął Mary Roses za sobą. Przeszli przez kolejne gigantyczne pomieszczenie, najprawdopodobniej salon, pomyślała. Znajdowało się tam kilka sof ustawionych naprzeciwko siebie, ogromny kominek z marmurową nadstawą, kilka foteli i krzeseł oraz małe drewniane stoliki ze szklanymi blatami.

Meble obite były brokatem w kolorze kości słoniowej. Mary Roses aż przystanęła, zachwycona tym, co ujrzała. Nigdy dotąd nie widziała wnętrza urządzonego z takim przepychem.

Harrison obserwował ją uważnie.

- O czym myślisz? Sprawiasz wrażenie zakłopotanej.

- To jest strasznie niepraktyczne - powiedziała szeptem, by nie usłyszał jej żaden służący. - Przecież kurz wkrótce zniszczy te wspaniałe tkaniny. Któż to obja meble białym materiałem?

- A czy ci się to podoba?

- Tak, oczywiście, ale nie śmiałabym usiąść na tych wspaniałych krzesłach.

Bałabym się, że je zabrudzę.

Harrison znów poczuł ogromną ochotę, by wziąć ją w ramiona i ucałować.

Była tak cudownie świeża, nie zepsuta.

- Wyjdziemy? - Ponownie wziął ją za rękę i poprowadził ku ogromnym przeszklonym drzwiom prowadzącym na rozległy kamienny dziedziniec, otoczony ceglany murem wznoszącym się na wysokość trzech stóp. Za dziedzińcem rozciągał się ogród dorównujący urodą ogrodowi królewskiemu, które widywała na obrazkach.

Harrison otworzył drzwi i wyszedł za nią na dziedziniec.

- Twój ojciec lubi kwiaty - rzekł. - Powiedział mi, że kiedy ma jakiś problem do przemyślenia, idzie do ogrodu i plewi chwasty. Śmiał się, że wiele razy wymyślił, jak wygrać daną sprawę, będąc na kolanach. Twój ojciec otacza się bogactwami, lecz najbardziej cieszą go rzeczy najprostsze.

Mary Roses kiwnęła głową, lecz nie odezwała się. Harrison wskazał jej kilka krzeseł obitych żółtym materiałem, proponując, by usiadła i odpoczęła, a on tymczasem pomoże Russellowi znaleźć lorda Elliotta.

- Powinniśmy zanieść bagaż na górę i rozpakować się. Jeśli nie powieszę swoich sukien, będą pomięte.

- Tym wszystkim zajmie się służba.

Usiadła i złożyła dłonie na kolanach.

- Racja - przyznała.

Zapomniała o tym, że lord Elliott zatrudnia całą armię służących. Harrison wymienił kiedyś co najmniej kilkanaście imion mężczyzn i kobiet pracujących dla jej ojca. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak to będzie, kiedy wszystkie te osoby zechcą jej usługiwać. Była przyzwyczajona do samodzielności i miała wrażenie, że niełatwo będzie się jej przyzwyczaić do zmian pod tym względem.

Harrison pocałował ją w czoło i wszedł do wnętrza domu. Była zbyt zdenerwowana, by móc spokojnie siedzieć. Nie miała pojęcia, co powinna powiedzieć ojcu, kiedy wreszcie go zobaczy, a znalezienie odpowiednich słów wydawało jej się niezmiernie istotne. Nie chciała, by poczuł się rozczarowany.

Szukał jej przecież przez całe życie, i powiedzenie „Cieszę się, że mogę cię poznać” - wydawało jej się wysoce niestosowne.

Postanowiła przejść kamienną ścieżką, mając nadzieję, że mały spacer pozwoli jej zebrać myśli i uspokoi szaleńczy rytm serca.

Już za pierwszym zakrętem owionął ją zapach lata. Otaczały ją kwiaty, całe mnóstwo kwiatów. Mieszanka zapachów przypomniła jej o ulubionej dolinie w Montanie i chociaż trudno byłoby jej wskazać powód, poczuła, że towarzyszące jej od dłuższego czasu napięcie zaczyna ją pomału opuszczać. Głęboko zaczerpnęła tchu, założyła ręce za szyję i z zaciekawieniem zapuściła się w głąb ogrodu. Kilka razy przystawała, pochylając się nad kwiatami, których nigdy dotąd nie widziała. Szczególnie zafascynował ją jeden z nich. Miał czerwone i różowe płatki, a kształtem przywodził na myśl różę, lecz kiedy pochylila się, by go powąchać, poczuła zapach bzu.

Samotna przechadzka po ogrodzie miała na nią kojący wpływ. Cieszyło ją, że lord Elliott lubi przebywać na świeżym powietrzu i najwyraźniej kocha naturę; pomyślała, że przynajmniej będą mieli jakiś wspólny temat do rozmowy. Będzie mogła opowiedzieć mu o swoim ogrodzie w Ameryce, a on poda jej nazwy nie znanych kwiatów rosnących w tym rajskim zakątku za domem.

Wyprostowawszy się, ruszyła dalej ścieżką i za kolejnym zakrętem dostrzegła starszego mężczyznę, który przyklęknąwszy na jedno kolano, bacznie przyglądał się jakiemuś kwiatowi. Człowiek ten nie miał na sobie uniformu ogrodnika; był ubrany w ciemne spodnie i nieskazitelnie białą koszulę, której rękawy podwinął aż za łokcie. Mary Roses nie widziała jego twarzy, gdyż zasłaniał ją słomkowy kapelusz z szerokim rondem, nasunięty głęboko na czoło.

Przemknęło jej przez głowę, że być może ów mężczyzna jest jej ojcem, lecz oczywiście nie była tego pewna i nie wiedziała, co począć w tej sytuacji.

Już, już odwracała się, zamierzając pośpiesznie się wycofać, lecz jakby powodowana niewidzialną siłą skierowała się w stronę nieznanego.

Słyszac szelest sukni, Elliott pomyślał, że to któraś ze służących przyszła zapytać, czy nie mogłaby w czymś pomóc. Podniósł więc wypełniony już kwiatami kosz, zamierzając podać go służącej.

- Może moja córka będzie chciała mieć więcej kwiatów w swoim pokoju - wyjaśnił.

Wciąż nie podnosił na nią wzroku. Mary Roses sięgnęła po kosz, powiesiła go za rączkę na ramieniu i nie ruszyła się z miejsca, niezdolna wypowiedzieć jakiegokolwiek słowa.

Elliott zdawał się nie zauważyć, że kwiaty nie zostały natychmiast odniesione. Mary Roses cierpliwie czekała, aż na nią spojrzy. Postanowiła, że rozpocznie rozmowę od

przedstawienia się, i modliła się w duchu, by jej głos nie zdradził, jak bardzo jest zdenerwowana.

- Zastanawiam się, czy moja Victoria lubi kwiaty - odezwał się.

Głęboko zaczerpnęła tchu.

- Bardzo lubię kwiaty, ojcze.

Elliott znieruchomiał na chwilę, która wydała jej się wiecznością, po czym powoli uniósł głowę.

Głos uwiązał mu w krtani i miał wrażenie, że jego serce za chwilę eksploduje, rozrywając się na tysiące kawałków. Pierwsze spojrzenie na Victorię okazało się dlań przeżyciem o trudnej wręcz do zniesienia intensywności.

Promienie słońca tworzyły świetlistą aureolę wokół jej kształtnej głowy i przez chwilę wydawało mu się, że to ukochana Agatha przybyła z zaświatów, by znowu mogli być razem.

Była wykapaną matką. Victoria w końcu wróciła do domu. Elliott walczył o złapanie tchu, nie potrafił opanować ogromnego wzruszenia. Próbując wstać zatoczył się i gdyby nie pomocna dłoń córki, osunąłby się na ziemię.

Kurczowo trzymając się jej ramienia niczym liny ratunkowej, wpatrywał się w nią osłupiałym wzrokiem.

Zauważył, że obdarzyła go łagodnym, kojącym uśmiechem, który tak bardzo przypominał uśmiech jej matki, a zaraz potem jej twarz zaczęła zamazywać mu się przed oczami i zdał sobie sprawę, że patrzy na nią przez zasłonę łez.

Mary Roses pomogła mu wstać. Chciała otoczyć go ramieniem w pasie, ale zrezygnowała z tego, widząc, że i tak jest skrzepowany, że musiał skorzystać z jej pomocy.

Słomkowy kapelusz spadł na ziemię. Spojrzała na ojca i pomyślała, że mimo zaawansowanego wieku jest bardzo przystojnym mężczyzną. W świetle słońca jego włosy mieniły się srebrzyście. Miał wystające kości policzkowe i szlachetny, prosty nos. Gdy stał tak przed nią, dumnie wyprostowany, niczym mąż stanu czy orator, przypominał jej Adama; pomyślała, że gdyby mieli podobniejszą karnację, mogliby uchodzić za krewnych. W żyłach jej brata płynęła krew wielkich wodzów, dlatego przybierał taką dumną postawę. Czy lord Elliott miał równie znamienitych przodków? Będzie musiała go o to kiedyś zapytać. W tej chwili takie pytanie byłoby jednak zdecydowanie niewłaściwe.

Ojciec i córka jeszcze dłuższą chwilę przypatrywali się sobie uważnie.

Elliott próbował się opanować z widocznym wysiłkiem. Wyjął z kieszeni chustkę i starannie otarł nią łzy.

A potem szybko kiwnął głową, mocno uściśnął dłoń córki i ponownie pokiwał głową.

Trzymając się za ręce, ruszyli w stronę domu. Kiedy odezwał się do niej, w jego głosie wciąż pobrzmiwało wzruszenie.

- Jestem bardzo szczęśliwy, że wreszcie jesteś ze mną w domu.

Skloniła głowę na znak, że wszystko rozumie, i zaczęła gorączkowo myśleć, co powinna teraz powiedzieć.

Chciała być wobec niego zupełnie szczerą, lecz zarazem uprzejmą, więc w końcu postanowiła, że powie to, co dyktowało jej serce.

- Ojczy...

- Jestem bardzo zadowolona, że mnie nie wyrzuciłeś.

Jako pierwsza na rodzinne spotkanie z lady Victorią przybyła młodsza siostra lorda Elliotta, Lillian.

Spośród wszystkich członków rodziny właśnie Lillian najtrudniej było przekonać, że naprawdę znalazła się zaginiona córka brata. Przez wszystkie lata Lillian dzieliła ból i cierpienia lorda Elliotta, widziała, jak spotkania z kolejnymi domniemanymi córkami powodują coraz większe rozgoryczenie i przyprowadzają brata o coraz dotkliwsze udręki, i ogromnie obawiała się, że i tym razem przeżyje jeszcze jedno bolesne rozczarowanie.

Tym razem, co prawda, istniały niezbita dowody, lecz mimo to Lillian wstrzymywała się z wydaniem jakiegokolwiek opinii. Postanowiła sama zdecydować, czy Mary Roses Clayborne naprawdę jest Victorią, czy też jedynie sprytną oszustką, liczącą na szybkie wzbogacenie się.

- Williamie, dlaczego siedzisz na słońcu? - zapytała, wpadłszy jak burza na dziedziniec. - Jeśli nie będziesz o siebie bardziej dbał, czekają cię kłopoty ze zdrowiem.

Harrison, lord Elliott i Mary Roses wstali na widok zbliżającej się do nich Lillian. Ciotka od razu skierowała wzrok na Mary Roses.

- Istotnie, jest bardzo podobna do Agathy - przyznała. - Tak, tak, zauważam całkiem spore podobieństwo.

Elliott oficjalnie przedstawił córkę siostrze. Mary Roses uśmiechnęła się.

Nie wiedziała, czy powinna skłonić głowę, dygnąć czy może uściskać dłoń Lillian, i liczyła na to, że może z zachowania ciotki uda jej się wywnioskować, jaki gest powinna uczynić.

Lillian nie była podobna do brata. Sięgała mu zaledwie do ramienia. Była chudą kobietą o haczykowatym nosie i ciemnobrązowych włosach. Miała jednak tak samo wystające kości policzkowe. Bez wątplenia wyglądałaby znacznie atrakcyjniej, gdyby nosiła stroje w nieco żywszych kolorach. Tymczasem miała na sobie suknię w smutnym odcieniu szarości,

która uwydatniała bladość jej twarzy. Wydawało się, że musiałaby z całej siły przyszczypywać swe policzki, by zagościł na nich najlżejszy choćby rumieniec.

Nie powinna też obnosić się z wiecznie kwaśną miną. W tej chwili uporczywie wpatrywała się w Mary Roses.

- Jak się nazywasz, moje dziecko? - zapytała. Czekaając na odpowiedź, złożyła ręce jak do modlitwy.

- Nazywam się Mary Roses Claybome.

- Nie twierdzi, że nazywa się lady Victoria - rzuciła Lillian do brata. - Zastanawiam się dlaczego.

Mary Roses natychmiast pośpieszyła z wyjaśnieniem.

- Odkąd pamiętam, zawsze mówiono na mnie Mary Roses, proszę pani.

Imię Victoria nic dla mnie nie znaczy.

Bezpośredniość i szczerłość młodej kobiety ogromnie zaskoczyła Lillian.

Gniewne zmarszczki na jej twarzy pogłębiły się.

- Jesteś bardzo podobna do zmarłej żony mojego brata, ale wcale nie jestem w pełni przekonana, czy naprawdę jesteś jego córką. Jak chcesz mnie o tym przekonać, moje dziecko?

Mary Roses postanowiła pozwolić sobie na całkowitą szczerłość, nawet kosztem uprzejmości.

- Wcale nie chcę pani o tym przekonywać. Chciałabym natomiast, żeby przestała mnie pani nazywać dzieckiem, bo przecież nim już nie jestem.

- O, Boże, Williamie, ona jest bezczelna.

Mary Roses nie wiedziała, co począć w tej sytuacji. Z pomocą przyszedł jej ojciec.

- To nie bezczelność, ale szczerłość.

Lillian pokiwała głową.

- Jakie są twoje plany? - zapytała.

- Na litość boską, Lillian! Moja córka dopiero co tu przyjechała. Nie czas jeszcze rozmawiać o planach. Proszę, usiądź i przestań zadreć ją pytaniami.

- Chcę tylko jak najszybciej dotrzeć do korzeni tego wszystkiego.

- Korzeni... czego, proszę pani? - zapytała Mary Roses.

Lillian postąpiła krok w jej stronę.

- Pragnę jak najszybciej się dowiedzieć, czy naprawdę jesteś lady Victoria.

Pozwól mi zadać jej parę pytań, Williamie, a obiecuję ci, że potem będę siedziała cicho, niezależnie od tego, co zrobisz. Czy jesteś lady Victoria? - zagrzmiała.

- Tak mi wszyscy mówią - odpowiedziała Mary Roses. - ze względu na mojego ojca bardzo chciałabym, żeby to było prawda. Chciałabym, żeby wreszcie znalazł spokój; wiem, że szukał mnie bardzo, bardzo długo.

- A ze względu na siebie?

Mary Roses nie od razu zrozumiała pytanie ciotki. Spojrzała na Hamsona, po czym przeniosła wzrok na Lillian.

- Chciałabym spędzić kilka tygodni razem z moim ojcem, a potem wrócić do domu.

- Jeszcze za wcześnie na robienie planów - przerwał jej ojciec, łagodnym gestem poklepując jej dłoń. - Może się okazać, że będziesz chciała zostać tu ze mną.

Nie chciała, by żywił płonne nadzieje.

- Mam czterech braci. Muszę do nich wrócić, ojcze.

- Porozmawiamy o tym później - zdecydował. - Najpierw musisz nas wszystkich poznać. Lillian jest najtrudniejszym członkiem naszej rodziny. Ale, jak widzisz, zamilkła. Muszę przyznać, że dotąd wydawało mi się niemożliwe, by komuś udało się wyrzucić na mojej siostrze tak wielkie wrażenie, by aż zaniemówiła, ale najwyraźniej ci się to udało.

Jego słowa wprawiły Mary Roses w wielkie zakłopotanie.

- Nie było to moim zamiarem, proszę pani.

- Harrisonie, czy ona zupełnie nie zdaje sobie sprawy z pozycji swojego ojca? - zapytała Lillian.

- Rzeczywiście, nie zdaje sobie sprawy - odpowiedział. - Ona ma inne kryteria wartości niż młode kobiety w Anglii.

- Proponuję, żebyśmy przeszli do salonu - odezwał się lord Elliott. - Moja siostra musi trochę ochłonąć.

- Idź do salonu z Harrisonem. Ja chciałabym jeszcze porozmawiać na osobności z moją bratanicą.

- Nie pozwolę, byś zadręczyła moją córkę, Lillian.

- Ciocia wcale mnie nie zadręcza, ojcze.

Harrison również wolałby nie zostawiać żony sam na sam z Lillian. Dobrze wiedział, jak przykra potrafi być siostra Elliotta. Nie chciał, by Mary Roses została zraniona, i gdyby tylko miał na to czas, wziąłby ją na stronę i wyjaśnił, że nie taki diabeł straszny, jak go malują, że Lillian ma dobre serce, tylko bardzo się stara, by przypadkiem nikt tego nie zauważył.

- Moja córka i ja nie widzieliśmy się aż nazbyt długo. Wybacz, Lillian, ale nalegam, żebyśmy wszyscy razem udali się do salonu.

- Zaraz tam przyjdziemy, ojciec - powiedziała Mary Roses. - Ja też chciałabym zamienić na osobności słówko z moją ciocią.

Nie czekając, aż mężczyźni wyrażą na to zgodę, usiadła i zaproponowała, żeby Lillian zrobiła to samo.

Nie odezwały się do siebie ani słowem, dopóki nie zostały same.

- Czy mam zacząć, czy ciocia woli to zrobić?

- Ja zacznę - powiedziała gderliwym tonem ciotka. - Istnieją pewne przywileje wynikające z wieku - dodała z pobłażliwym uśmiechem. - Chciałabym wierzyć, że masz jak najlepsze intencje, moja droga, ale nie bardzo mogę. Co prawda słyszałam, że twój mąż przedstawił rozmaite dowody na to, że w istocie jesteś naszą Victorią, niemniej wciąż mam na ten temat wiele wątpliwości. Natomiast absolutnie nie mam wątpliwości, że mogłabyś życzyć sobie zostać spadkobierczynią mojego brata.

- Czy w takim razie może mi ciocia powiedzieć, dlaczego miałabym chcieć być Victorią?

- No cóż... łączą się z tym pozycja, majątek...

Była wciąż tak zaskoczona pytaniem, że formułowanie myśli przychodziło jej z niemałym trudem.

- Mogę równie dobrze wymienić wiele powodów, dla których wcale nie chciałabym być cioci bratanicą. Bycie kimś innym niż dotąd ogromnie komplikuje moje życie. Mam rodzinę w Montanie. Czy to naprawdę takie egoistyczne z mojej strony, że bardzo tęsknię za domem?

- Czy wychowałaś się w bogatej rodzinie?

- Tak, a przynajmniej tak uważam. Mam wszystko, co mi potrzebne do szczęścia.

- Czy członkowie twojej rodziny są równie bogaci, jak twój ojciec?

- Nie jestem tego pewna - odpowiedziała Mary Roses. - Mówimy o innym życiu i o innych bogactwach - próbowała wyjaśnić. - Dlaczego nie chce ciocia, żebym była Victorią?

Lillian dobrą chwilę wpatrywała się w Mary Roses, po czym wyszeptała:

- Masz oczy babki.

- Babki?

Lillian skinęła głową, i nieoczekiwanie ciepły uśmiech rozjaśnił jej twarz.

- Nigdy nie słyszałam, żeby Agatha wyraziła się o kimś nieuprzejmie, a już na pewno nie zdarzyło się jej powiedzieć złego słówka na swoją własną matkę.

Twoja babka była okropnym starym nietoperzem, ale miała piękne niebieskie oczy. Agatha prawdopodobnie przewraca się w grobie, słysząc, że źle mówię o jej matce, ale nie powiedziałam ani słowa nieprawdy. Naprawdę było trudno z nią wytrzymać.

Mary Roses wybuchnęła śmiechem. Lillian wydawała się ogromnie zasadnicza, lecz niektóre jej wypowiedzi dalekie były od nienaganności.

- Nie chcę kolejny raz przeżywać rozczarowania razem z moim bratem, nie chcę, by znów cierpiał.

- Postaram się niczym go nie zranić - obiecała Mary Roses. - Chciałam jedynie go poznać, a potem wrócić do domu. Oczywiście, będę do niego pisać listy i mam nadzieję, że pewnego dnia przyjedzie mnie odwiedzić. Chciałabym, żeby poznał moich braci.

Lillian nie wiedziała, jak sobie to wszystko tłumaczyć.

- Czy nie zdajesz sobie sprawy, co twój ojciec może ci ofiarować?

- Ależ wiem doskonale. Może mnie obdarzyć ojcowską miłością. Będę dbać o jego uczucia. I postaram się kochać go tak, jak córka powinna kochać ojca. Nie mam żadnych doświadczeń w tym względzie, ale będę się bardzo starać.

- Moja droga, jesteś kobietą zamężną, a w związku z tym pozostajesz pod opieką męża i przy nim jest twoje miejsce. Harrison mieszka w Anglii. Chyba zdajesz sobie sprawę, że powinnaś z nim tu zostać.

Zupełnie nie zdawała sobie z tego sprawy. Nie miała jednak zamiaru dzielić się swoimi poglądami z Lillian.

- Czy ciocia jest zamężna?

- Byłam. Nieodżałowany Kenneth zmarł przed pięcioma laty. Bóg nie obdarzył nas potomstwem.

- Serdecznie cioci współczuję - powiedziała Mary Roses.

- Staram się być cały czas zajęta. Organizuję akcje dobroczynne, no i oczywiście poświęcam wiele czasu i troski rodzinie. Robert ma siedmioro dzieci, które nieustannie popadają w jakieś tarapaty. Barbara jest przemiłą kobietą, ale zupełnie nie daje sobie rady ze swoją czeredką. Mają sześć córek i jednego syna - dodała. - Najdalej za dwie godziny będziesz miała okazję ich poznać.

- Kim są Robert i Barbara?

- To twój stryj i stryjenka. William, twój ojciec, jest najstarszy z rodzeństwa, potem ja, następnie Daniel, a najmłodszy jest Robert. Barbara to jego żona. Czy masz jakąś przyzwoitą suknię, moja droga?

Mary Roses popatrzyła na swoje ubranie. Nie zauważyła na nim żadnych plam ani zagnieceń.

- Czy coś jest nie w porządku z moją suknią?

- Jest okropnie niemodna.

- Wydałam kupę pieniędzy na ten materiał - zaprotestowała nieśmiało.

Lillian westchnęła głośno i przyłożyła dłoń do szyi.

- Nie wolno ci tak mówić, Victorio. Tylko prostytutki mówią tak, jak ty się przed chwilą wyraziłaś. Musimy bezzwłocznie przystąpić do pracy nad poprawą twoich manier. Mamy wiele do zrobienia, zanim zostaniesz przedstawiona w towarzystwie. Nie możesz zapominać, kim jest twój ojciec.

Nie w pełni zdawała sobie sprawę, o czym mówi ciotka, lecz z zatroskanego wyrazu jej twarzy wywnioskowała, że musi to być coś ważnego.

- Nie zapominam, kim jest mój ojciec - odpowiedziała. - Dlaczego ciocia ponownie nie wyszła za mąż? Przecież jest ciocia bardzo piękną kobietą. Gdyby ciocia mieszkała w Montanie, co najmniej dziesięciu mężczyzn starałoby się o cioci rękę, jeszcze zanim drogi zmarły spocząłby w ziemi.

- Na litość boską, moje dziecko, zachowujesz się impertynencko.

- Nie jestem impertynencka - odparła atak Mary Roses. - Po prostu jestem szczerą.

Lillian dotknięciem ręki upewniła się, że z jej nienagannie upiętego koka nie wystaje ani jedno pasemko włosów, po czym wstała.

- Musisz nauczyć się zachowywać swoje opinie dla siebie, Victorio, inaczej ludzie będą zaszokowani twoimi wypowiedziami.

Mary Roses nagle zdała sobie sprawę, że Lillian zaakceptowała ją jako cółkę brata.

- Ciocia nie może tak szybko zmieniać swoich opinii - zauważyła.

- Trudno negować fakty, niemniej jednak wciąż zamierzam polegać wyłącznie na swoim własnym osądzie. Staram się jednak wyjaśniać wątpliwości na twoją korzyść, moja droga.

- Dlaczego?

- Nieuprzejmie jest zadawać tyle pytań, Victorio. Proszę, chodźmy już.

Twój ojciec i twój mąż już wystarczająco długo na ciebie czekają.

- Chciałabym najpierw prosić ciocię o wyświadczenie mi pewnej grzeczności.

Lillian spojrzała na bratanicę.

- Mianowicie?

- Proszę, żeby ciocia nazywała mnie Mary Roses.

- Ale przecież nie jesteś już Mary Roses. Jesteś Victorią. Musisz przyzwyczać się do tego imienia.

Chwyciwszy ramię Mary Roses, pociągnęła ją w stronę domu.

- Słyszałam, że jutro ma tu przyjechać twoja przyjaciółka. Jak ma na imię?

- Eleanor - odpowiedziała Mary Roses. - Myślę, że ona spodoba się cioci.

Ma dużo lepsze maniery niż ja.

- Zobaczymy - ucięła Lillian.

Mary Roses weszła za ciotką do salonu. Ani Harrison, ani jej ojciec tego nie zauważyli, zawzięcie nad czymś dyskutując.

- Ależ oni chcą, żeby zatrzymał pan te pieniądze, a ja sądzę, że powinien pan je przyjąć - mówił Harrison.

Stał przy kominku, odwrócony tyłem do żony. Mary Roses podeszła do męża i stanęła u jego boku.

- Absolutnie ich nie przyjmę - powtórzył już po raz trzeci lord Elliott. - Proszę, odeślij je, Hamsonie.

Harrison potrząsnął głową. Mary Roses otarła się o niego ramieniem; natychmiast chwycił ją za rękę.

- Czy mówisz o tych pieniądzach, które przekazali moi bracia? - zapytała.

- Tak - odpowiedział Harrison. - Twój ojciec nie chce ich przyjąć.

Lord Elliott siedział w fotelu obok kominka. Mary Roses zwróciła się do ojca.

- Przyjmując te pieniądze sprawisz przyjemność moim braciom, tato.

Wyraz twarzy Elliotta zdradzał, że nie zamierza ustępować w tej sprawie.

Zaczął coś wyjaśniać Mary Roses, po czym zmienił zdanie i zwrócił się o pomoc do siostry.

Lillian natychmiast postąpiła kilka kroków w jego stronę.

- Nie powinnaś brać udziału w tej rozmowie, Victorio. Niech mężczyźni rozstrzygną ten problem między sobą. Chodźmy na górę i przejrzyjmy twoją garderobę. Może uda się znaleźć coś odpowiedniejszego na dzisiejszy wieczór.

Mary Roses usłyszała głębokie westchnienie Harrisona i poczuła mocniejszy uścisk jego dłoni.

- Idź, kochanie. Później wrócimy jeszcze do tej rozmowy.

Została elegancko odprawiona. Będąc u siebie w domu, z pewnością powiedziałaaby wiele gorzkich słów na temat „męskich rozmów”, lecz teraz znajdowała się w zupełnie innej sytuacji. Była w Anglii, gdzie panowały nieco inne zwyczaje i obowiązywały inne reguły

zachowań. Nagle poczuła się bardzo niepewnie. Obiecała jednak braciom, że będzie próbowała nawiązać jak najlepsze stosunki z członkami swojej angielskiej rodziny, więc posłusznie powlokła się za ciotką. W drzwiach zatrzymała się na chwilę, by spojrzeć na Harrisona z gniewnym grymasem na twarzy, dając mu tym samym do zrozumienia, co sądzi o takim wyłączeniu jej z towarzystwa, lecz nie okazał ani odrobiny współczucia. Szelmowsko zmrużył oko, co tym bardziej ją rozdrażniło, wydała więc pełne rezygnacji westchnienie i zaczęła wstępować na schody. Później będzie miała czas, by powiedzieć Hamsonowi, jak się czuła w tej sytuacji.

Następną godzinę spędziła spierając się z Lillian na temat garderoby. Starsza dama najwyraźniej była owładnięta obsesją na temat ubrań. Jej zachowanie ogromnie dziwiło Mary Roses. Nie mogła zrozumieć, dlaczego Lillian nie znajdowała nic godnego uwagi, skoro pokazała jej osiem swoich najlepszych kreacji. Lillian przyjrzała im się uważnie, po czym zdecydowanie potrząsnęła głową i wyniosłym tonem poinformowała Mary Roses, że są absolutnie nieodpowiednie.

Mary Roses starała się nie brać tego wszystkiego zbyt mocno do serca.

Powtarzała sobie w myślach, że tutaj wszystko jest inaczej. A jednak było jej przykro, że za szczególnie niegustowne uznane zostały dwie suknie, których materiał i krój własnoręcznie wybierała, jak jej się wydawało, ze szczególną starannością.

Skończyło się tym, że została w niebieskiej sukni, którą miała na sobie.

Lillian zeszła na dół, by wysłać posłańca do krawca.

Przed wyjściem z pokoju przystanęła w drzwiach.

- Jutro czekają cię badania lekarskie, które zaplanował mój brat, a później pójdziemy wybrać odpowiedni materiał i zaczniemy kompletować twoją garderobę.

- Nie potrzebuję żadnego lekarza - zaprotestowała Mary Roses. - Proszę mi wierzyć, czuję się doskonale.

- Proszę cię, Victorio, nie rób kłopotów swoim zachowaniem. To wszystko dla twojego dobra. Zadbam o to, by wyznaczono nam przy stole miejsca obok siebie, tak żebym mogła udzielić ci paru wskazówek na temat zachowania przy stole. Teraz masz godzinkę na odpoczynek, a potem zejdź na dół. Do tego czasu powinien już tu przybyć Robert z rodziną.

- Ciociu Lillian, mówiłaś, że jest jeszcze jeden brat, Daniel. Czy on też przyjedzie?

- Daniel i jego żona bawią na południu Francji i wrócą nie wcześniej niż za tydzień lub dwa. Dopiero wtedy będziesz mogła ich poznać. Jego żona ma na imię Johanna. Mają troje dzieci, trzech synów. A teraz zdrzemnij się trochę, Victorio. Przyślę ci do pomocy Anne-Marie.

Mary Roses nie zapytała, dlaczego służąca ma pomagać jej odpoczywać.

Zapewne Lillian kolejny raz powiedziała jej, że jest impertynencka. Nie pytała również, dlaczego powinna się zdrzemnąć, chociaż nie miała pojęcia, po co miałyby spać w ciągu dnia. Wcale nie odczuwała zmęczenia, chociaż kręciło jej się w głowie od nadmiaru wrażeń. Było tyle imion do zapamiętania i tyle reguł, których musiała przestrzegać.

Jak też uda jej się spełnić oczekiwania wszystkich członków tutejszej rodziny? Mary Roses nigdy nie uchylała się od podjęcia wyzwania i absolutnie nie zamierzała czynić tego teraz. Postanowiła, że uczyni wszystko, co tylko w jej mocy, by zadowolić krewnych.

Anne-Marie przysłała pomoc jej zdjąć suknię i odchyliła pościel na łóżku.

Mary Roses zrozumiała, że zdaniem rodziny rzeczywiście powinna wypocząć, kiedy młoda służąca zaciągnęła zasłony na oknach.

W przestronnym pokoju dominowały odcienie starego złota, które wydały jej się kojące. Położyła się na łóżku, mając na sobie jedynie koszulę nocną, i podłożyła ręce pod głowę. Wpatrując się w sufit, starała się uporządkować myśli.

Pomyślała o ojcu i o tym, jakim był człowiekiem. Podobał jej się jego uśmiech. Lubiła też ton jego głosu. Był łagodny, miękki, a jednak kryła się w nim stanowczość. W liście do braci napisze, że lord Elliott to bardzo sympatyczny człowiek.

Kilka minut później nadszedł Harrison.

- Twój ojciec jest okropnie uparty - powiedział. - Uważa, że pieniądze, które przysłali twoi bracia, powinny do nich wrócić. Uznał, że to ma być zapłata za jego zgodę na to, żebyś dalej z nimi mieszkała. Oczywiście on tego wszystkiego nie rozumie.

Mary Roses przewróciła się na bok, by spojrzeć na męża.

- Był wyraźnie niezadowolony, kiedy wspomniałam braci. Domyśliłam się tego ze sposobu, w jaki na mnie patrzył. Wydawał się... rozczarowany.

- Musisz mu dać trochę czasu na przyzwyczajenie się do myśli, że masz też inną rodzinę - zasugerował Harrison.

- Czy wiesz, że jutro ma mnie badać lekarz?

Harrison zdjął marynarkę, rzucił ją na krzesło, po czym usiadł na skraju łóżka i schylił się, by zdjąć buty i skarpetki.

- Twój ojciec wspominał mi o tym.

- Dlaczego muszę przejść te badania? Czuję się całkiem dobrze.

- Lekarze zapewnią ojca, że wszystko w porządku, a on bardzo potrzebuje takiego zapewnienia. Przecież to nic złego. Ale jeśli naprawdę tego nie chcesz, przekonam go, że to nie ma sensu.

Po dłuższym zastanowieniu pomyślała, że pragnie uspokoić ojca. Doszła do wniosku, że mąż ma rację. Przecież nie stanie jej się żadna krzywda.

- To strata czasu i pieniędzy - stwierdziła w ostatnim przejawie nieśmiałego protestu. - Ale zastosuję się do jego życzenia. Nie zapytałeś mnie jeszcze, co myślę o moim ojcu. Nie jesteś ciekaw?

Spojrzał na nią z uśmiechem.

- Nie zapytałem, bo już wiem, co o nim myślisz. Oczywiście, jesteś bardzo ciekawa, jakim jest człowiekiem. Wywnioskowałem to widząc, jak na niego patrzysz, kiedy ma wzrok skierowany w inną stronę. Zdażyłaś go już polubić, a myślę, że chciałabyś go pokochać.

Skinęła głową. Harrison potwierdził, że jest przenikliwym obserwatorem.

- Jestem jego córką. Powinam go kochać.

- To prawda.

- Czy mogę mu ufać?

Zaskoczyło go to pytanie.

- Tak - odpowiedział. - Możesz mu ufać. A już z pewnością możesz ufać mnie.

Nie chciała o tym rozmawiać. Próbowwała zmienić temat, lecz Harrison nie pozwolił na to.

- Rozumiem, że twoim zdaniem nie powinienem od ciebie wymagać, żebyś mi ufała. Prawdopodobnie byłem zbyt zuchwały.

- Prawdopodobnie?

- A więc jeszcze do tego nie doszłaś?

- Do czego?

- Że miłość zawsze łączy się z zaufaniem. Nie mogłabyś mnie kochać, gdybyś mi nie ufała. A przecież mnie kochasz, nieprawdaż?

Nie odpowiedziała. Temat zaufania był dla niej zbyt drażliwy, by go teraz poruszać. Harrison zranił ją, rozmyślnie ją oszukując. Potrafiła zrozumieć, dlaczego nie podał prawdziwego powodu swojego przybycia na ranczo... na początku. Tak, rozumiała pobudki, które nim kierowały, ale po tym, jak wyznali sobie miłość, nie powinien już mieć przed nią żadnych tajemnic. Tłumaczył, że obowiązek powiadomienia jej o ojcu należał do braci. To również rozumiała.

A jednak oszukał ją, a chociaż bała się o tym myśleć, wcale nie była pewna, czy kiedyś nie oszuka jej znowu.

Muszą cierpliwie odbudować wzajemne zaufanie, cegielka po cegielce, a Harrison będzie musiał uzbroić się w cierpliwość i poczekać, aż opuści ją lęk.

- Nie dojrzałam jeszcze do tego, żeby z tobą o tym dyskutować - powiedziała. - Będziesz musiał dać mi trochę czasu na ochłonięcie po tym wszystkim, czy ci się to podoba, czy nie. Tak, kocham cię - dodała, widząc, że gniewnie marszczy brwi. - A kiedy będziesz czekał, może zrozumiesz, że mnie też można zaufać.

- Zaczynasz mnie denerwować, Mary Roses.

- Ale kochasz mnie, prawda?

- Tak, kocham.

Nie był zadowolony z rozmowy, wcale jej to jednak nie zaskoczyło.

Harrison lubił mieć wszystko poukładane jak w pudełeczkach, a konieczność czekania na cokolwiek była przeciwna jego naturze. Skoro wszystko logicznie wyjaśnił, oczekiwał od niej równie logicznych myśli i zachowań.

- Mam nadzieję, że nie pomyłają mi się te wszystkie imiona.

Celowo zmieniła temat. Harrison zaczął zdejmować spodnie.

- Pomogę ci. Ale powinniśmy porozmawiać o George'u MacPhersonie. To osobisty sekretarz twojego ojca. Nie będzie obecny na dzisiejszym przyjęciu; nie wrócił jeszcze z wakacji. Nie chcę, żebyś powiedziała mu, że Douglas widział na rogu ulicy kobietę i mężczyznę, niosących koszyk. Zachowuj się tak, jakbyś nie miała najmniejszego pojęcia o tym, co zdarzyło się tamtego dnia.

- Czy to on mnie zabrał?

- Tak mi się wydaje, ale wciąż nie mam dowodów. Długo śleczalem nad różnymi starymi księgami rachunkowymi. MacPherson nie byłby w stanie zapłacić tysięcy dolarów swojej spółniczce, więc musiał wziąć te pieniądze z któregoś z kont Elliotta. Na razie nie znalazłem żadnych sprzeczności, ale czuję, że to tylko kwestia czasu.

- Czy MacPherson nie był podejrzany w śledztwie?

- Był. Ale wydaje mi się, że nie przestudiowano wtedy tych ksiąg tak starannie, jakby należało.

- Czy mogłabym ci w czymś pomóc?

Zaczął już zaprzeczać, lecz po chwili zmienił zdanie. Mary Roses była teraz jego żoną, a chociaż zazwyczaj pracował samotnie, doszedł do wniosku, że chce, aby pomogła mu w tej sprawie. Wspólna praca powinna być dla nich nowym, ważnym doświadczeniem.

- Tak.

- Uważasz, że wystarczy, by Douglas przyjechał do Anglii i rozpoznał MacPhersona jako sprawcę?

- Pewne szczegóły po latach zacierają nam się w pamięci, zmienia się też wygląd człowieka - odparł Harrison. - Obrona natychmiast podważy wiarygodność zeznań Douglasa. Musimy mieć niezbitą dowody.

- Czy powiedziałaś o MacPhersonie mojemu ojcu?

- Jeszcze nie - odpowiedział Harrison. - Sądzę, że nie potrafiłby pracować z tym człowiekiem. Oczywiście, zamierzam wyjawić mu wszystko, kiedy uzyskam potrzebne dowody. Czy chcesz, żebym od razu mu o tym powiedział?

- A zrobiłbyś to, gdybym sobie tego życzyła?

- Tak.

Ucieszyło ją, że Harrison gotów był zastosować się do jej rady. Po chwili zastanowienia doszła do wniosku, że rozsądek nakazuje wstrzymać się z powiadomieniem ojca o prawdopodobnym udziale MacPhersona w przestępstwie.

- Trudno byłoby mu siedzieć z założonymi rękami w tej sytuacji i MacPherson mógłby nabrać podejrzeń i zrobić coś, co pokrzyżowałoby nasze plany. Myślę, że powinniśmy wstrzymać się z powiadomianiem o tym ojca.

On to zrozumie.

- Tak jak ty rozumiałaś, dlaczego zwlekałem z powiedzeniem ci, jaki jest prawdziwy cel mojego przyjazdu do Montany?

- To co innego - upierała się. - Nie znam dobrze ojca, ale trudno mi go sobie wyobrazić z twarzą pokerzysty.

Harrison uniósł brwi w zdumieniu.

- Z twarzą pokerzysty?

- On nie potrafi być skrytym. Dobry pokerzysta nigdy nie zdradza innym swoich uczuć. Założę się, że ty wygrałbyś wiele gier hazardowych. Bardzo rzadko można się zorientować, co naprawdę myślisz. Czy tutaj wszyscy odpoczywają po południu?

Ta nagła zmiana tematu nie zbiła go z tropu. Zaczynał się przyzwyczajać do sposobu myślenia i reagowania swojej żony.

- Większość kobiet odpoczywa.

- A mężczyźni?

Harrison zdjął pozostałe części ubrania i dopiero potem udzielił odpowiedzi.

- Niektórzy mężczyźni odpoczywają, aleja nie mam takiego zamiaru. Zbyt cię pragnę. Czy skończyliśmy już naszą rozmowę, kochanie?

Obróciła się na plecy; natychmiast znalazł się na niej. Otoczyła ramionami jego szyję i delikatnie muskając ją palcami, zajrzała mu w oczy.

- Czy podobają ci się moje sukienki?
- Ależ skąd. Nie cierpię ich. Uwielbiam twoją nagość.

Nie uzyskała więc tak potrzebnego jej zapewnienia, że ma ładne stroje.

Postanowiła nie zamartwiać się już takimi błahostkami jak garderoba. Czekало ją teraz coś o wiele ważniejszego. Za chwilę miała kochać się z mężem i była zdecydowana doprowadzić go do szaleństwa.

- Jak długo możemy jeszcze nie wychodzić z pokoju i odpoczywać?
- Udzielił jej przerywanej odpowiedzi, zajęty obsypywaniem pocałunkami jej szyi.

- Parę godzin. Czemu o to pytasz?
- To powinno wystarczyć. Proszę, zejdź ze mnie.

Gwałtownie uniósł głowę.

- Chyba nie chcesz, żebym...
- Ależ właśnie o tym marzę - odpowiedziała zdyszczanym głosem.
- Czy mam jakiegokolwiek szansę dowiedzieć się, co masz na myśli?
- Chcesz, żebym ci to wyjaśniła, czy raczej mam ci to zademonstrować?

Natychmiast położył się na plecach.

- Wolę, żebyś mi to zademonstrowała.

Była zarumieniona jak dziewica, lecz zachowywała się jak wytrawna kusicielka. Harrison splótł dłonie za głową i zastygł w pełnym podniecenia oczekiwaniu.

Mary Roses ukłękła. Spojrzenie na rozplómienną twarz Harrisona pomogło jej pokonać początkową nieśmiałość. Powoli odwiązała satynową kokardę łączącą brzegi koszuli na wysokości piersi i mocnym pociągnięciem w dół naprężyła wstążki.

Rozbierała się niespiesznie, z zadowoleniem zauważając, że oddech Harrisona staje się nierówny, chrapliwy.

Zdjąwszy koszulę, pochyliła się tak, że piersiami dotknęła torsu Harrisona.

Jej włosy rozsypały się na ramionach.

- Masz łaskotki? - zapytała szeptem, wodząc palcami po jego płaskim, twardym brzuchu.

Gwałtownie zaczerpnął tchu.

- Nie.

Pochyliła się jeszcze bardziej, a kiedy spodziewał się, że będzie chciała przekonać się, czy mówił prawdę, pieszcząc jego brzuch pocałunkami, pocałowała go w członek.

Oszalały z podniecenia, omal nie wyskoczył z łóżka. Mocno zacisnął szczęki i zamknął oczy. Pieściła go palcami i ustami, i był pewny, że nie wytrzyma tego długo. Kiedy objęła go ustami i zaczęła ssać, krzyknął przeciągle i odepchnął ją gwałtownie.

Nie obszedł się z nią zbyt łagodnie. Był już bardzo bliski osiągnięcia spełnienia, lecz za wszelką cenę chciał ją zadowolić. Szybkim, mocnym ruchem rozwarł jej uda i zmusił, by na nim usiadła.

- Weź mnie w siebie - poprosił głosem cierpiącego.

Potrząsnęła głową.

- Jeszcze nie teraz - wyszeptła. Pochyliwszy się nad nim, oparła dłoń o jego ramię. A potem zaczęła zadrezczać go całymi seriami słodkich pocałunków. Koniuszkiem języka wielokrotnie przebiegała wzdłuż jego warg. Harrison przycisnął ją do siebie, pragnąc, by pogłębiła pocałunek, a wtedy jej język wśliznął się do środka, drażniąc podniebienie.

Harrison nie był już w stanie dłużej pozostawać bierny. Objąwszy dłońmi jej piersi, zaczął je niecierpliwie ugniatać. Poruszyła się niespokojnie, dając do zrozumienia, jak wielką przyjemność sprawia jej jego dotyk.

Przewędrował palcami w dół jej brzucha i pomiędzy uda, gdzie rozpoczął delikatne pieszczoty palcami. Kiedy poczuł na dłoniach ciepłą wilgoć, przeniósł ręce na biodra, uniół ją i delikatnie z początku drażniąc nabrzmałym członkiem powoli się w niej zagłębił.

Nie wiedziała, co powinna teraz zrobić, lecz rozgorączkowana, bezwiednie zaczęła wykonywać koliste ruchy biodrami.

Jęknął donośnie i mocniej ścisnął jej biodra. Właśnie taka zachęta była jej potrzebna. Skupiona na tym, by dać mu jak najwięcej przyjemności, czerpała z tego aktu coraz więcej własnej satysfakcji. Ujeżdżała go zapamiętale, wiedzona jedynie instynktem; z pewnością brakowało jej wprawy, lecz Harrisonowi wcale to nie przeszkadzało.

Panowała nad sytuacją, dopóki nie zaczął przyspieszać jej orgazmu pieszczotami, a kiedy poczuł, że nie jest w stanie opanowywać się ani chwili dłużej, wykonał mocne pchnięcie i wlał w nią swe nasienie, czując, jak otaczające go jedwabiste ścianki obejmują go coraz mocniej. Wykrzyknęła jego imię, czując, że ogarnia ją gorąca fala rozkoszy.

Po chwili opadła na niego, opierając policzek o jego tors. Uderzenia jego serca, mocne i szybkie jak jej własne, rozbrzmiewały echem w jej uszach.

Upłynęła dłuższa chwila, nim ochłonęli. Trzymając ją w ramionach, nie mogąc powstrzymać się, by jej nie gładzić, powoli odzyskiwał siły i panowanie nad sobą.

Kiedy w końcu był już w stanie zebrać myśli, zapytał żartobliwie:

- Co ty zrobiłaś?

Poczuła zakłopotanie.

- Nie podobało ci się?

Słyszając szczere zaniepokojenie w jej głosie, wybuchnął serdecznym śmiechem. Sama myśl o tym, jak obejmowała go ustami, sprawiła, że znowu poczuł ochotę, by się z nią kochać. Doświadczał już nawet pierwszych symptomów podniecenia.

Owinął jej włosy dookoła dłoni, zmusił do podniesienia głowy i popatrzenia na niego, po czym obdarzył ją ciepłym uśmiechem.

- Bardzo mi się podobało. Nie czułaś tego?

Odwzajemniła radosny uśmiech.

- Tak myślałam. Lubię twój smak.

Jęknął ochryple i przyciągnął ją do siebie, by złożyć długi, namiętny pocałunek na jej wargach. Lecz wciąż było mu mało, pocałował ją więc ponownie, a potem jeszcze i jeszcze raz, i wkrótce oboje byli tak podnieceni, że znowu zaczęli się kochać, choć tym razem wolniej. Harrison pragnął, by doświadczyła podobnie rozkosznych meczami, jakie przed chwilą były jego udziałem, i nie pozwolił jej panować nad sytuacją. Po niedługim czasie oboje byli tyleż zmęczeni, co szczęśliwi.

Kiedy w końcu nadeszła pora, by przygotować się do uroczystej kolacji, Mary Roses nie potrafiła opanować ziewania. Nie bez uczucia satysfakcji zauważyła, że i Harrison ledwo trzyma się na nogach.

Anne-Marie nalegała, by upiąć włosy Mary Roses w luźny węzeł z tyłu głowy. Mary Roses poddała się, gdy służąca wyjaśniła, że takie jest życzenie lady Lillian.

Harrison zapewnił ją, że wygląda wspaniale. Po trzech godzinach oględzin i niezliczonych pytań ze strony życzliwych krewnych nie była już jednak tego taka pewna. Niemal wszyscy wydawali się mieć własne zdanie na temat jej zachowania i sposobu prowadzenia rozmowy. Ten wieczór był dla niej prawdziwym koszmarem, jako że absolutnie nie była przyzwyczajona do znajdowania się w centrum uwagi, lecz uśmiechała się do wszystkich i starała się traktować to niezwykle zainteresowanie z dużą dozą wyrozumiałości.

Ciotka Barbara okazała się osobą, z której zdaniem liczyli się wszyscy członkowie rodziny. Była to wysoka, dorodna kobieta. Od razu zaakceptowała Mary Roses jako swoją bratanicę. Przytuliwszy ją do siebie tak, że głowa Mary Roses niemal zginęła wśród potężnych piersi, poklepała ją po plecach gestem, którym pociesza się małe dzieci.

- Moje biedactwo - powtarzała. - Już wszystko dobrze. Jesteś w domu, wśród swoich. Wszystko będzie dobrze. Wszyscy cię kochamy i zaopiekujemy się tobą.

Ciotka Barbara nie chciała wypuścić jej z objęć. Z pomocą pośpieszył stryj Robert.

- Zadusisz ją, Barbaro - powiedział tuż przed tym, jak otoczył Mary Roses ramionami i przycisnął do siebie, pozbawiając ją tchu.

Spojrzawszy na Harrisona, zauważyła rozbawienie na jego twarzy. Stał obok jej ojca i obserwował, jak krewni ciągną ją w trzech różnych kierunkach.

Uśmiechnęła się do niego, lecz już po chwili ponownie była zmuszona skupić uwagę na niezwykle wylewnie witających ją stryju i stryjence. Entuzjazm, z jakim ją witali, był nieledwie upokarzający, a kilka luźno rzuconych przez nich uwag wprowadziło ją wręcz w stan osłupienia. Ciotka Barbara najwyraźniej uważała, że minione lata były dla Mary Roses pasmem udrek, nie kończącym się koszmarem. Na litość boską, nie była to przecież prawda, lecz jeszcze przed końcem wieczoru zorientowała się, że krewni uważają ją za ofiarę losu.

Starła się ich usprawiedliwić. Przecież nie wiedzieli, jak wspaniałe i bogate było jej życie z braćmi.

Została przedstawiona swoim kuzynkom, które uznała za urocze stworzenia.

Najstarsza miała czternaście lat i przygotowywała się do debiutu w towarzystwie. Pięć młodszych siostr o bardzo podobnych buziach różniło się od siebie jedynie wzrostem. Najmłodszy z rodzeństwa siedmioletni kuzyn miał na imię Robert, podobnie jak ojciec. Wyraźnie nie życzył sobie, by zwracano mu głowę poznawaniem kuzynki, i nie opuszczał Harrisona ani na krok, wpatrując się w niego z zachwytem.

Dzieciom nie pozwolono usiąść przy stole razem z dorosłymi; kiedy nadszedł czas kolacji, zostały zaprowadzone na górę.

Mary Roses pomyślała, że to bardzo dziwny zwyczaj, ale nie powiedziała na ten temat ani słowa, ponieważ ciotka Lillian zdążyła już ją ostrzec, by bardzo uważała na to, co mówi.

Przydzielono jej miejsce pomiędzy ciotką Barbarą a ciotką Lillian. Harrison zajął miejsce na drugim końcu stołu.

Jak wkrótce się zorientowała, spożywanie posiłków było tu celebrowane niezmiernie uroczyście. Nikt nie odzywał się głosem donośniejszym od szeptu, kiedy służący podawali jedzenie na srebrnych półmiskach.

Mary Roses popełniła pierwszy nietakt jeszcze nim przystąpiono do jedzenia.

Zapytała ciotkę, czy zostanie odmówiona modlitwa przed jedzeniem. Jej ojciec usłyszał to pytanie i natychmiast zaproponował, by to ona wypowiedziała słowa modlitwy.

Spełniła jego prośbę, lecz nie dane było jej dokończyć. I tak nikt by jej nie słyszał, gdyż ciotka Lillian już po pierwszych słowach rozjazgotała się niczym atakujący Indianie.

- Na litość boską, Williamie, ona została wychowana na katoliczkę! I co my teraz zrobimy?

- Biedactwo - wtrąciła natychmiast Barbara. - Moje biedactwo!

- Nie jestem katoliczką - powiedziała Mary Roses. - Nie dokonałam jeszcze wyboru religii.

- Jeszcze się nie zdecydowałaś? Victorio, rodzina Elliottów od pokoleń należy do kościoła anglikańskiego. A ty należysz do naszej rodziny - natarła na nią Lillian.

- A czy nie mogę należeć do rodziny Elliottów, będąc katoliczką? Albo wyznawczynią judaizmu, albo...

Przerwała, słysząc gniewne mknienie Lillian. Musiała bardzo zdenerwować ciotkę, gdyż ta przewróciła szklanę z wodą.

- Nie chciałam zrobić nikomu przykrości - tłumaczyła się Mary Roses. - Moi bracia i ja postanowiliśmy poznać różne religie, zanim zdecydujemy się, którą z nich przyjąć.

- Oto, ile nas czeka pracy, Lillian - westchnęła Barbara.

Lillian pokiwała głową.

- W dodatku nie wiadomo, od czego zacząć. Musimy tyle w niej zmienić.

- To powiedziawszy, zwróciła się do bratanicy. - Gdyby twoja biedna matka albo babka słyszały to, co powiedziałaś na temat możliwości przyjęcia innych religii, chyba by umarły z przerażenia.

- Przecież obie już nie żyją - ofuknął ją Elliott. - Uważam za godne podziwu, że Victoria pragnie poznać inne religie. Sam to robię. Jestem jednak pewien, że w końcu zdecyduje się wstąpić do kościoła anglikańskiego.

Mary Roses nie zamierzała się z nim spierać. Wcale nie była przekonana, że dokona takiego właśnie wyboru, ale nie chciała, by wywiązała się długa dyskusja na ten temat.

Wypowiedź Elliotta zdenerwowała jednak Harrisona.

- Wydaje mi się, że powinniśmy jej pozostawić możliwość dokonania wyboru.

Elliott wzruszył ramionami. Był zdecydowany zmienić temat na mniej drażliwy. Lillian miała wypieki na policzkach. Jak na jeden wieczór przeżyła już wystarczająco wiele niespodzianek.

- Victorio, czy wiesz, że otrzymałaś imię swojej babki?

Jej oczy rozwarły się szeroko ze zdumienia. Pochyliwszy się ku ciotce Lillian, wyszeptwała:

- Dano mi imię tego starego nietoperza?

Lord Elliott usłyszał słowa córki i z trudem powstrzymał się od śmiechu.

Lillian wydała cichy okrzyk i ponownie przyłożyła dłoń do szyi. Mary Roses zorientowała się, że powiedziała coś niewłaściwego, i zaczęła gorączkowo myśleć, jak zmazać swoją winę.

Jej ojciec, najwyraźniej zamierzając jak najszybciej zażegnać ewentualny konflikt, zwrócił się do niej żartobliwym tonem:

- Nie, Victorio, nie starego nietoperza, tylko drugiej babki.

A potem uśmiechnął się i zaproponował, by wszyscy przystąpili do jedzenia.

Kolacja upłynęła w pełnym napięcia milczeniu. Zasiadając do stołu, Mary Roses była głodna, lecz teraz, zdenerwowana, nie była w stanie przełknąć nawet kęsa. Przesuwała jedzenie po talerzu, udając, że jest w doskonałym humorze.

Zupełnie nie odczuwała potrzeby takiego celebrowania posiłku. Była przyzwyczajona do kolacji, w czasie których panował gwar i rozgardiasz. Była to jedyna okazja, kiedy wszyscy bracia zasiadali razem przy stole i jeden przez drugiego chwalili się tym, co udało im się zrobić w ciągu dnia. Przekomarzali się i drażnili nawzajem, i zawsze znajdowali jakiś powód do wybuchnięcia serdecznym śmiechem.

Teraz czuła się jak na stypie. Miała ochotę natychmiast pójść na górę i położyć się do łóżka. Nie ośmieliła się jednak przeprosić towarzystwa i pokornie stosowała się do rad ciotki Lillian w czasie długiego, trwającego dla niej całą wieczność posiłku.

Ojciec wznosił uroczysty toast z okazji jej powrotu do domu i małżeństwa z Harrisonem. Barbara wystąpiła z propozycją, by połączenie się rodziny uświetniło wystawne przyjęcie wydane pod koniec września. Lillian z entuzjazmem podchwyciła ten pomysł.

Ściszonymi głosami zaczęto planować to wydarzenie towarzyskie. Mary Roses omal nie zasnęła przy stole.

Lecz jeszcze przez godzinę nie dane jej było położyć się do łóżka i kiedy w końcu dotarła do sypialni, słała się na nogach ze zmęczenia.

Czekała już na nią Anne-Marie. I róża. Ten piękny kwiat o długiej łodydze znów leżał na poduszce. Widząc różę, uśmiechnęła się.

Była już pogrążona w głębokim śnie, kiedy przyszedł Harrison. Pochylił się, by pocałować ją na dobranoc, i z zadowoleniem stwierdził, że Mary Roses zasnęła, trzymając w ręku różę. Odłożył kwiat, i wszedł do łóżka, by po chwili znaleźć się w objęciach żony.

Miała za sobą ciężki wieczór. Widział, jak była zmieszana, zakłopotana i przerażona powszechnym zainteresowaniem.

Nawet nie skubnęła kolacji. Oczywiście, zdawał sobie sprawę, że powodem utraty apetytu była ciągła krytyka, jakiej ją poddawano. On także z trudem zmuszał się do jedzenia.

Mary Roses i tak zachowywała się doskonale i znosiła to wszystko dużo lepiej niż on. On aż trzął się z oburzenia słysząc nieprzemyślane uwagi jej krewnych, lecz ona znosiła je z wdziękiem i niezwykłą cierpliwością.

Nie od razu zasnął, niepokojąc się o żonę. Tak, ten dzień był dla niej bardzo trudny.

A następne miały być przecież jeszcze trudniejsze.

październik 1872

Kochana Mamo Roses!

Proszę, przestań mnie ponaglać, żebym znalazł sobie narzeczoną. Przecież dobrze wiesz, że moja sytuacja nie pozwala mi na razie myśleć o małżeństwie.

W każdej chwili mogę trafić do więzienia lub zawisnąć na gałęzi, a nie chcę czynić mojej żony wdową, nie mam też prawa zmuszać jej do prowadzenia życia, jakie sam jestem zmuszony prowadzić.

Poza tym jest mi bardzo dobrze tak, jak jest. Jestem niezależny i nie muszę nikomu się tłumaczyć. Nie mam ochoty, żeby jakaś kobieta suszyła mi głowę.

Twój list na temat miesiączki przyszedł akurat w samą porę. Mary Roses miała silne bóle i przez dwa dni nie wychodziła ze swojego pokoju. Wciąż nie chce rozmawiać o tym, że stała się kobietą, ale wiem, że Twój list, w którym wyjaśniłaś, jak to wszystko wygląda, bardzo jej pomógł. Ona wciąż uważa, że to okropne być kobietą, ale oboje dobrze wiemy, że niedługo zmieni zdanie.

Przyjdzie taki dzień, że przestanie bić chłopaków.

Ona wciąż nie zdaje sobie sprawy z tego, że jest bardzo piękna. Na pewno nie grozi jej zarozumialstwo. Mając czterech starszych braci, którzy ciągle jej dokuczają, nie ma szans na zadzieranie nosa i próżność. Mimo to kiedy idzie przez miasteczko, nie ma mężczyzny, który by się za nią nie obejrzał. Musisz ją zobaczyć, Mamo. Owszem, jest z nią trochę kłopotu. Jest bystra i zgrabna, a te jej niebieskie oczy złamią niejedno serce.

Boże, jaki jestem niezadowolony z tego, że ona dorasta.

Przesyłam Ci moc serdeczności, Adam Następnego dnia Mary Roses była ostukiwana, opukiwana, kluta i szczypana. Doktor Thomas Wells i doktor Harold Kendleton przybyli o jedenastej i spędzili z nią ponad dwie godziny. Samo badanie trwało bardzo krótko, a resztę czasu zajęło dociekliwe dopytywanie się o jej przeszłość.

Z zadowoleniem odpowiadała na pytania, ponieważ lubiła mówić o swojej rodzinie i o życiu w Montanie. Była dumna ze swoich braci i chciała, żeby wszyscy dowiedzieli się, jacy są wspaniali.

Zaledwie lekarze wyszli z pokoju, pojawił się krawiec i jego trzy pomocnice, by przystąpić do pracy nad jej nową garderobą.

Lekarze spotkali się z lordem Elliottem, by przekazać mu swe opinie. Ojciec Mary Roses pozwolił uczestniczyć w tej rozmowie swoim siostrzom z mężami, a po pewnym czasie miał do nich dołączyć Harrison.

Doktor Wells był tęgim mężczyzną o gęstych siwych bokobrodach. Pocierał je nieustannie, wydając orzeczenie lekarskie. Harrisonowi nie przypadł do gustu afektowany, mentorski ton jego wypowiedzi, uznał również, że wygłaszane z dużą pewnością siebie opinie były pozbawione podstaw.

Spotkanie odbyło się w bibliotece na piętrze. Harrison wszedł, gdy Wells wyjaśniał, jak ważne jest okazanie Victorii pomocy, by proces przystosowywania się do nowego życia przebiegał możliwie jak najłagodniej. Harrison zamknął drzwi i oparł się o nie, krzyżując ręce na piersiach.

- Nie wolno dopuszczać, by żyła przeszłością - grzmiał Wells. - Oboje z tu obecnym doktorem Kendletonem zwróciliśmy uwagę, jak bardzo lojalna pozostaje względem tych mężczyzn, z którymi przyszło jej mieszkać. Ba, uznała ich nawet za prawdziwych braci - dodał po chwili. - Mimo nacisków z naszej strony, nie chciała przyznać, że w rzeczywistości oni wcale nie są z nią spokrewnieni.

Doktor Kendleton pokiwał głową na potwierdzenie słów kolegi i przyjrzał się zgromadzonemu znad grubych okularów.

- Uważam, że nie należy pozwalać jej na opowiadanie o tym, co przeżyła.

Należy jej pomóc jak najszybciej o tym zapomnieć. Kiedy to już się stanie, z łatwością przystosuje się do tutejszych warunków. Pańska córka jest bardzo inteligentna, lordzie Elliott. Wkrótce powinna uznać ten dom za swój i odnaleźć się w nim bez najmniejszych kłopotów, a kiedy przestanie odczuwać tę osobliwą lojalność wobec tamtych mężczyzn, okres przystosowawczy będzie można uznać za zakończony.

Słuchając tych porad, Harrison doświadczał gwałtownego uczucia buntu.

Nie zgadzał się z ani jednym zdaniem. Widział natomiast, że Elliott darzy ich bezgranicznym zaufaniem. Rozpaczliwie poszukując wskazówek, zwrócił się do niewłaściwych ludzi.

Nie mógł już dłużej milczeć.

- Sir, dlaczego nie miałby pan porozmawiać o swoich wątpliwościach z córką? Jeżeli uważa pan, że może mieć kłopoty z przystosowaniem się do tutejszego życia, proszę ją zapytać, jak mógłby pan jej pomóc.

- Właśnie mi poradzono, żeby absolutnie nie przypominać jej o przeszłości, Harrisonie. Wszyscy chcemy jej pomóc w adaptacji do tutejszych warunków.

Przecież słyszałeś, co powiedziała wczoraj wieczorem... że pobędzie tu tylko przez jakiś czas, a potem wróci do Ameryki. Ona rzeczywiście jest niezwykle lojalna wobec tych czterech mężczyzn. - Następne zdanie wypowiedział wyraźnie pod adresem doktora Wellsa. - Miał pan absolutną rację, doktorze.

- Nie da się odwrócić tego, co przeszła pańska córka - zawyrokował doktor Kendleton. - Ale wystarczy trochę pracy i cierpliwości, a jej przyszłość zarysuje się w jasnych barwach.

Harrison z najwyższym trudem opanowywał gniew.

- Dlaczego wszyscy państwo uważają, że Mary Roses ma za sobą jakieś okropne przeżycia? Przecież przez te wszystkie lata nie była więźniem. Miała szczęśliwe życie. Otrzymywała wszystko, co było jej potrzebne, i na pewno była otaczana miłością. Popęłnił pan wielki błąd nie pozwalając jej mówić o braciach. Oni są członkami jej rodziny. To oczywiste, że chce być wobec nich lojalna.

- Musimy zastosować się do rad specjalistów - upierał się lord Elliott. - Oni wiedzą lepiej niż ty czy ja, jak pomóc Victorii.

Harrison nie wiedział, jakie jeszcze argumenty mógłby wysunąć w tej sprawie. Był niemile zaskoczony postawą lorda. Brak pewności siebie zupełnie nie pasował do Eliotta. Znał go jako zdyscyplinowanego, obowiązkowego i z pewnością niezwykle rozsądnego człowieka. Gdyby tylko zechciał przemyśleć całą sprawę, bez wątpienia doszedłby do wniosku, że powinien przyjąć Mary Roses taką, jaka jest.

Gdyby byli sami, zapytałby Elliotta, czego tak bardzo się obawia.

Lord musiał odgadnąć myśli Harrisona, ponieważ niespodziewanie powiedział:

- Nie martw się, nie utracę jej, synu. Zrobię wszystko, by była szczęśliwa.

- Wszyscy pragniemy tylko jej dobra - wtrąciła Lillian.

Harrison westchnął głęboko.

- Chciałbym, żeby państwo zrozumieli, jak wspaniałą młodą kobietą jest moja żona. Ona wcale nie musi się zmieniać. Nikt nie jest w stanie wymazać jej przeszłości, a gdyby opowiedziała państwu o swoim dzieciństwie, zrozumieliby państwo, jakim błędem byłoby zmuszanie jej do udawania, że nie ma żadnych wspomnień z tego okresu.

- Ależ my wcale nie chcemy jej zmieniać - powiedziała Barbara. - Pragniemy jedynie zapewnić jej lepsze wykształcenie i poszerzyć horyzonty.

Doktor Kendleton ponownie zabrał głos, przedstawiając kolejne propozycje „prowadzenia” Victorii.

Hamson nie był już w stanie słuchać tych bredni. Bez słowa wyszedł z biblioteki. Miał ogromną ochotę spakować bagaże i zabrać żonę z powrotem do Montany. Na samą myśl o tym, że ktoś może próbować zmienić taką doskonałość, cierpła mu skóra.

Postanowił porozmawiać z Elliottem za parę dni. Da mu najpierw czas na przyzwyczajenie się do obecności córki, a potem przypomni o czymś, o czym najwyraźniej zapomniał. Że miłość ojcowska nie powinna stawiać żadnych warunków. Mary Roses wcale nie musi się zmieniać. Potrzebowała jedynie miłości i przekonania, że jest akceptowana taka, jaka jest naprawdę. Hamson głęboko wierzył w to, że Elliott wkrótce oprzytomnieje i odzyska rozsądek.

Zajrzał do sypialni, by się przekonać, że wszystko w porządku. Mary Roses stała na stołeczku z uniesionymi ramionami, a dwie kobiety brały jej miarę.

Wpatrywała się w sufit, najwyraźniej znudzona całym zamieszaniem wokół jej osoby.

Gwizdnął cicho. Przechodząca akurat koło niego Lillian nie kryła swego oburzenia.

- Mój drogi, nie gwizdź się, żeby zwrócić na siebie uwagę. Gdzie się podziały twoje dobre maniery?

- Harrison ma wspaniałe maniery! - krzyknęła Mary Roses. - Czy mogę już zejść z tego stołka? Chciałabym zamienić słówko z mężem.

- Nie, moja droga - osadziła ją Lillian. - Później porozmawiasz z Harrisonem. Mamy jeszcze dużo pracy.

- Kochanie, jadę do Londynu po pewne dokumenty. Wrócę wieczorem.

Miała ogromną ochotę jechać do Londynu razem z nim, ale ciotka Lillian zdecydowanie się temu sprzeciwiła.

- Chciałabym pocałować Harrisona na do widzenia - powiedziała.

- Nie - ucięła Lillian.

Harrison zignorował ciotkę. Podszedł do żony, nieznacznie uniósł jej podbródek dłonią i obdarzył ją długim, gorącym pocałunkiem. Ku zgorszeniu ciotki Mary Roses zarzuciła mu ręce na ramiona, z rozkoszą odwzajemniając pocałunek.

Kilka minut potem Harrison jechał do Londynu, gdzie spędził większość popołudnia w archiwum swej londyńskiej kancelarii. Na jego biurku piętrzyły się stosy papierów; wiedział, że oznaczają one kolejny miesiąc pracy. Gdy przeglądał pudła ze starymi księgami rachunkowymi i korespondencją, jego asystent zapoznawał się z przygotowaną przez Harrisona listą poleceń dotyczących najpilniejszych spraw służbowych.

Harrison wrócił do rezydencji Elliotta dopiero po zachodzie słońca. W domu roiło się od krewnych i najbliższych przyjaciół.

Żona przywitała go z wyraźną ulgą. Siedziała na sofie pomiędzy ojcem a swoją przyjaciółką Eleanor, lecz natychmiast zerwała się z miejsca, gdy tylko pojawił się w drzwiach.

Okazywanie uczuć w obecności osób postronnych zdecydowanie nie należało do dobrego tonu, lecz ani Harrison, który doskonale o tym wiedział, ani Mary Roses, która nie miała o tym pojęcia, nie dbali o zachowanie pozorów.

Klucząc wśród członków rodziny i przyjaciół, odnaleźli się w tłumie i padli sobie w ramiona.

- Strasznie się za tobą stęskniłam - powiedziała szeptem.

Pocałował ją w czoło.

- Jak ci minęło popołudnie, kochanie?

- Było okropne - odpowiedziała. - Lillian piorunuje nas wzrokiem.

Ciekawa jestem, co znowu zrobiłam nie tak.

- Nie powinniśmy dopuszczać do tego, by ktokolwiek widział, że lubimy się przytulać - wyjaśnił.

- Czy to taka bezwzględna reguła?

Wzruszył ramionami. Rozłączyli się na chwilę, lecz zaraz otoczył ją ramieniem.

Lord Elliott przyglądał mu się, zaskoczony. Harrison domyślił się, że w niedługim czasie znowu usłyszy uwagi na temat tego, jak bardzo się zmienił.

Skierowali się w stronę Elliotta. Obserwująca ich Lillian gniewnie marszczyła brwi.

- Nie poznaję cię, Hamsonie. Nigdy dotąd nie lubiłeś robić z siebie widowiska. Natychmiast zdejmij rękę z ramienia żony.

- Daj mu spokój, Lillian. Nie jest już małym chłopcem, którego należy ciągle pouczać. Podejdz do nas, synu. Eleanor właśnie mówiła nam, jak bardzo podoba jej się w Anglii.

Mary Roses i Hamson usiedli na kozetce, tuż obok ojca i przyjaciółki.

Lillian siedziała w fotelu stojącego w pobliżu sof.

- Jestem zachwycona pobytem w Anglii - potwierdziła entuzjastycznie Eleanor. - Mam własną garderobianą i wszyscy są dla mnie tacy uprzejmi.

- Ona uwielbia być rozpieszczana - szepnęła Mary Roses do Hamsona.

- Victorio, damy nie przekazują szeptem poufnych informacji w obecności innych osób - zagrzmiała ciotka Lillian.

- Przepraszam, ciociu.

Lecz ciotka natychmiast zgłosiła kolejne zastrzeżenia co do zachowania Mary Roses.

- Przestań się garbić, kochanie. Powinnaś siedzieć dumnie wyprostowana.

Pamiętaj, że nosisz nazwisko Elliott.

- Ona nazywa się MacDonald - poprawił Hamson.

- Ale należy do rodziny Elliottów - upierała się Lillian.

Mary Roses usiadła tak, jak poleciła jej ciotka; była to bardzo niewygodna pozycja. Lillian przywodziła jej na myśl generała. Trzymała się idealnie prosto i uwielbiała wydawać rozkazy tonem nie znoszącym sprzeciwu. Siedziała z rękami złożonymi płasko na kolanach. Mary Roses przybrała taką samą pozycję, co spotkało się z aprobusującym skinieniem głowy i uśmiechem krewnej.

- Trudno jest się zorientować, jakiego zachowania oczekuje się tutaj od damy - wtrąciła Eleanor. - Obowiązują tu inne zasady niż w Ameryce. Lady Barbara powiedziała mi na przykład, że prawdziwa dama nigdy nie mruży oczu. Słyszałaś o tym, Mary Roses?

- Nie.

- Ona ma na imię Victoria. Proszę tak się do niej zwracać - pouczyła ją Lillian. - Sądzę, że wszędzie obowiązują te same zasady dobrego wychowania - kontynuowała. - Dama zawsze pozostaje damą, niezależnie od tego, gdzie się znajduje. Jane Carlyle twierdzi, że damą można nazwać osobę, która przez siedem lat nie przekroczyła progu swojej kuchni, i trudno mi nie przyznać jej racji.

Mary Roses omal nie uniosła rąk w geście protestu. Nigdy jeszcze nie słyszała czegoś tak nonsensownego. Zauważyła również, że Eleanor bardzo posmutniała, usłyszawszy opinię Lillian. Najwyraźniej wzięła sobie jej słowa głęboko do serca. Eleanor rozwinęła wachlarz i pomachała nim w kierunku Mary Roses.

- Byłam kiedyś damą i wciąż bym nią była, gdyby Mary Roses... to znaczy... gdyby Victoria nie zmusiła mnie do wejścia do swojej kuchni.

Musiałam nawet gotować, lady Lillian. Czy teraz muszę czekać siedem lat, żeby znowu móc zostać uznana za damę?

Lillian sprawiała wrażenie wstrząśniętej wyznaniem Eleanor.

- Musiałaś gotować?

Mary Roses spojrzała na ojca. Wydawał się zaskoczony, że rozmowa przybrała taki obrót.

Postanowiła zmienić temat.

- Marzę o tym, żeby zobaczyć dom Hamsona - powiedziała. - Strasznie się chwalił, że na Pogórze Szkoockim jest równie ładnie, jak w mojej dolince w Montanie, i chciałabym się przekonać, czy to...

Urwała widząc, że ojciec gwałtownie zmienił się na twarzy. Wydawał się zagniewany. Co tym razem powiedziała nie tak?

- Czy zasmuciłam cię, tato?

- Ależ skądże - odparł. - Myślałem o czymś zupełnie innym - wyjaśnił.

- Pogórze Szkoockie jest bardzo piękne. Hamson mówił prawdę.

- Chciałabym zobaczyć jego strony, zanim wrócę do Montany. Czy starczy nam na to czasu?

To pytanie skierowała do męża. Skinął głową.

- Na pewno znajdziemy na to czas.

- Po cóż teraz mówić o wyjeździe? - wtrąciła Lillian. - Przecież dopiero tu przyjechałaś. Victorio, jesteś teraz u siebie w domu.

- Przestań ją zadrezczać, Lillian. Moja córka potrzebuje trochę czasu... na adaptację.

Elliott posłał siostrze karcące spojrzenie. Natychmiast zamilkła.

Mary Roses czuła napiętą atmosferę, nie miała jednak pojęcia, co było tego powodem. Zarówno ojciec, jak i ciotka wydawali się czymś szczerze zatroskani.

Mary Roses poczuła potrzebę usprawiedliwienia się. Lecz najpierw musiała się zastanowić, w czym zawiniła. Wiedziała, że to ona ponosi odpowiedzialność za nagłe milczenie i zafrasowane oblicza krewnych.

Miała ochotę westchnąć głęboko, lecz powstrzymała się w ostatniej chwili.

Nie chciała też wysłuchiwać kolejnych krytycznych uwag ciotki, więc po namyśle nie odezwała się ani słowem.

Niespodziewanie Harrison chwycił ją za rękę. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że jej dłonie bezwiednie zacisnęły się w pięści. Jego dotyk dał tak potrzebne ukojenie.

Trzymając go za rękę, przysunęła się do niego nieznacznie. Rozmowa zesłała na temat mody. Mary Roses miała wielką ochotę dowiedzieć się czegoś o pracy ojca. Harrison powiedział jej, że lord Elliott zasiadał niegdyś w parlamencie, ale zrezygnował z tego po śmierci żony. Wciąż jednak prowadził aktywną działalność polityczną, choć już nie na tak eksponowanych stanowiskach, i był inicjatorem wielu istotnych posunięć w rządzie. Mary Roses była bardzo ciekawa, co to za posunięcia.

Bała się jednak popełnienia kolejnej gai, więc cierpliwie słuchała ubolewań ciotki nad tym, że treny wychodzą już z mody. Lillian nie podobały się krótkie dopasowane zakieoty, stanowiące ostatni krzyk mody, ponieważ nazbyt śmiało podkreślały linię kobiecych bioder. Może były dobre dla młodych kobiet o szczupłej talii, lecz absolutnie nie nadawały się dla starszych, dostojniejszych niewiast.

Do dyskusji przyłączyli się Barbara i jej mąż Robert. Kolacja miała być podana za godzinę, co oznaczało sześćdziesiąt minut wysłuchiwanie rewelacji ze świata kobiecej mody. Czy nie nudziło to mężczyzn? Mary Roses spojrzała na Harrisona, chcąc znaleźć odpowiedź na swoje wątpliwości. Trudno jej było cokolwiek wyczytać z wyrazu jego twarzy, zorientowała się jednak, że spogląda przed siebie gdzieś ponad ramieniem ciotki Lillian. Doszła do wniosku, że mąż myśli o czymś zupełnie innym, jedynie udając, że przysłuchuje się rozmowie.

Postanowiła pójść za jego przykładem, lecz popełniła tym samym wielki błąd, gdyż jej myśli natychmiast powędrowały ku rodzinie za oceanem. Zaczęła się zastanawiać, co teraz mogą robić bracia, i natychmiast ogarnęła ją ogromna, dojmująca tęsknota za ukochaną doliną.

- A ty, Victorio? - zapytała Eleanor.

Ostry głos przyjaciółki przywrócił ją do rzeczywistości.

- Czy ja... co?

- Czy umiesz grać w tenisa? - wyjaśniła Eleanor. - Nie słuchałeś?

Nie słuchała.

- Nie umiem.

- Będziemy musieli cię tego nauczyć, moja droga - powiedział wuj Robert.

- To teraz bardzo modne.

- Moja żona pięknie gra na fortepianie - poinformował zebranych Harrison. W jego głosie pobrzmiwała duma.

Mocno ścisnęła jego dłoń.

- Nie gram na fortepianie - wypaliła.

Uniósł brwi w zdumieniu i zbliżył twarz do jej twarzy.

- Nie grasz?

- Nie gram na fortepianie w Anglii - wyjaśniła. Ponownie mocno ścisnęła go za rękę w błagalnym geście, by ją wsparł.

Harrison nie potrafił zrozumieć, co jej się stało. Widział, że jest przygnębiona, ale nie miał pojęcia dlaczego. Powinna być przecież dumna ze swoich umiejętności i cieszyć się, że może je zaprezentować. Postanowił, że nie będzie nalegał, dopóki nie zorientuje się, o co chodzi.

- W porządku - zgodził się. - Nie grasz na fortepianie w Anglii.

Rozluźniła uścisk. Wiedziała, że kiedy zostaną sami, będzie musiała wyjaśnić mu powody swojego zachowania, lecz wcale nie była pewna, czy potrafi wytłumaczyć mu wszystko tak, by to zrozumiał.

Tymczasem po prostu pamiętała, jak zasiadała wraz z Adamem do fortepianu i razem grali na cztery ręce. Śmiali się, kiedy któreś z nich się pomyliło, a czasami dla żartu przyśpieszała tempo, by skończyć utwór szybciej niż Adam.

Były to wspaniałe chwile, a ona za wszelką cenę starała się ocalić miłe wspomnienia. Gdyby angielscy krewni zaczęli wyśmiewać jej sposób gry, uznałaby, że tym samym śmieją się z jej brata. Nie chciała do tego dopuścić.

Jak dotąd, ciotce Lillian nic się w niej nie podobało. Mary Roses starała się cierpliwie znosić słowa przygany, ponieważ chciała, by ciocia i ojciec byli zadowoleni. Jeśli nie usłyszą, jak gra na fortepianie, nie będą mogli wygłosić krytycznych uwag na ten temat.

Po upływie niecałego tygodnia jej zachowanie zmieniło się radykalnie. Tuż po przyjeździe marzyła o tym, by opowiedzieć ojcu wszystko o swoich braciach. Teraz chciała, by jej krewni wiedzieli o nich jak najmniej. Próbowwała w ten sposób ochronić ich przed ironicznymi komentarzami, których nieustannie sama wysłuchiwała.

Wiedziała, że to wszystko nie ma sensu. Jej bracia i tak nigdy by się nie dowiedzieli, co mówiono na ich temat. Ale nie o to jej chodziło. Byłaby zdruzgotana, słysząc jakiegokolwiek złośliwe uwagi pod adresem braci, których tak bardzo kochała.

Nagle poczuła ogromną ochotę, by pobiec na górę i napisać długi list do braci. Zarazem dobrze zdawała sobie sprawę, że nie może teraz wyjść z salonu.

Musiała poczekać aż do końca kolacji.

Nie zdążyła jeszcze przywyknąć do zmian w porządku dnia. Była przyzwyczajona do wstawania o świcie i kładzenia się do łóżka koło dziewiątej albo dziesiątej wieczorem.

Tymczasem w Anglii chyba nikt nie jadał kolacji wcześniej niż o tej właśnie porze. Było już wpół do dziesiątej, kiedy służący dał dzwonkiem znać, że kolacja jest gotowa. Mary Roses omal nie zasnęła przy stole.

Oczywiście, ciotka Lillian miała tysiące zastrzeżeń co do jej manier. Trącała ją łokciem tyle razy, że Mary Roses była pewna, iż znajdzie na swym ciele mnóstwo sińców.

Mężczyźni pozostali potem w jadalni, by wypić kawę, a kobiety udały się do salonu na herbatę. Mary Roses odczuwała taką senność, że nie była w stanie w pełni kontrolować swojego zachowania. Kiedy ciotka Lillian wstała, zrobiła to samo i podniosła tacę, by zanieść ją do kuchni. Dopiero sięgając po talerz ciotki Barbary zdała sobie sprawę z tego, co robi.

Lillian znieruchomiała z przerażenia. Mary Roses poczuła ogromne zakłopotanie. Szybko odstawiała tacę, wyprostowała się i powoli wróciła na miejsce.

Jej twarz pałała. Eleanor pośpieszyła ze słowami pocieszenia. Ujęła Mary Roses pod ramię i powiedziała szeptem:

- Nie przejmuj się. Doskonale sobie radzisz, naprawdę. No, uśmiechnij się, Mary Roses... to znaczy Victorio. Wszyscy na ciebie patrzą. Czyż twoja ciocia Lillian nie jest wspaniała? - Prowadząc Mary Roses, wygłaszała hymny pochwalne na cześć jej krewnej. - Ona to wszystko robi dla twojego dobra, Victorio. Wkrótce się o tym przekonasz.

- Dlaczego uważasz, że ona jest taka wspaniała? - zapytała Mary Roses.

Eleanor nie kryła swego entuzjazmu.

- Twoja zacna ciotka zdecydowała, że ja też powinnam mieć nową garderobę. Powiedziała, że nie wypada, żebym pokazywała się w twoim towarzystwie w łachmanach. Jutro mają mi wziąć miarę.

Wychodząc z jadalni Mary Roses popatrzyła na męża. Uśmiechnął się, chcąc jej dać do zrozumienia, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, lecz kiedy służący zamknął drzwi do jadalni, natychmiast spochmumiał.

Lord Elliott uprzedził jego komentarz.

- Przestań tak na mnie patrzeć, Harrisonie. Wiem, że nie podoba ci się, iż moje siostry ciągle pouczają Victorię, ale zrozum, że one chcą jej pomóc.

Wkrótce sam się przekonasz, że mają rację. Przecież chyba nie chciałbyś, żeby twoja żona była zakłopotana, kiedy zostanie przedstawiona w towarzystwie?

Nie dając Hamsonowi czasu na odpowiedź, kontynuował:

- Prosiłem cię o pomoc i współpracę; teraz o nie wręcz błagam.

Rozmowę przerwał brat Elliotta Robert, który wszedł właśnie do jadalni. Już trzeci raz wracał z pokoju na piętrze, gdzie próbował ułożyć syna do snu.

- Chłopiec jest trudny - wyjaśnił, zajmując miejsce przy stole. - O czym mowa? - zapytał.

- Lord Elliott poprosił mnie o współpracę - odpowiedział Harrison.

- Tak - potwierdził Elliott. Utkwił wzrok w obrus i bezwiednie zaczął wygładzać jakieś nie istniejące załamane materiały. - Mam zamiar na to nalegać - obwieścił po dłuższej chwili. - Chodzi o dobro mojej córki i w tym wypadku, jak mi się wydaje, cel w pewien sposób uświęca środki. Spisałeś się doskonale, mój synu. Odnalazłeś Victorię i sprawiłeś, że powróciła do domu.

A teraz proszę, pozwól mi być jej ojcem. Pozostaw mi osąd, co jest dla niej najlepsze. Pragnę wprowadzić ją w nowe życie. Proszę, nie walcz z rodziną.

Wszyscy potrzebujemy teraz twojej pomocy. Victoria bardzo liczy się z twoim zdaniem i gdybyś również pomógł jej zapomnieć o przeszłości, z pewnością błyskawicznie przystosowałaby się do nowych warunków. Na razie nie chce przyjąć do wiadomości, kim jest naprawdę. Czy kiedy jesteście sami, nazywasz ją Mary Roses?

- Tak.

- Ona ma na imię Victoria - pouczył go Robert. - Powinna się przyzwyczajać do swego imienia.

- Nie jest już dzieckiem - upierał się Harrison. - Dobrze wie, kim jest.

- Słyszałeś, co dzisiaj powiedziała? - zapytał Robert. - Ma nadzieję, że wróci do Ameryki.

Elliott skinął głową.

- Moja córka jeszcze nie zdążyła się tu rozgościć, a już myśli o powrocie do Stanów. Nie mam zamiaru powtórnie jej utracić. Proszę, pomóż mi.

Harrison był głęboko poruszony żarliwością próśb Elliotta. Korciło go, by odmówić, lecz zakładając, że Elliotowi naprawdę leży na sercu dobro córki, ich współpraca rzeczywiście mogła pomóc Mary Roses. Z drugiej strony bał się wyrazić zgodę, ponieważ nie mógł oprzeć się wrażeniu, że krewni za wszelką cenę chcą zmienić Mary Roses.

- Uczynię wszystko, co w mojej mocy, by moja żona była szczęśliwa - obiecał w końcu. - Ale chciałbym jeszcze raz zachęcić pana do porozmawiania z nią o jej braciach. Ona naprawdę tego potrzebuje. Z pewnością rozumie pan, co ona teraz musi przeżywać.

Elliott jednak wcale tego nie rozumiał.

- Dlaczego ciągle powątpiewasz w słuszność opinii lekarzy? Przecież zawsze byłeś bardzo rozsądny. Kendleton i Wells nie są nowicjuszami w swoim fachu. A obaj zgodnie stwierdzili, że musimy pomóc w rozwoju Victorii. Nie mam zamiaru słuchać już twoich zastrzeżeń i byłbym bardzo zadowolony, gdybyś również postarał się zachęcić moją córkę do oswojenia się z myślą o ułożeniu sobie życia tutaj.

Harrison poczuł się złapany w pułapkę. Instynktownie czuł, że Elliott wybrał złą drogę, lecz jak mógł podważać opinie ekspertów? A swoją drogą, czy aby nie mylili się w swojej diagnozie?

W końcu doszedł do wniosku, że Mary Roses podoba mu się taka, jaka jest.

Nie chciał, żeby się zmieniła, i to pragnienie doprowadzało go do konfliktu z jej ojcem. Do diabła, to wszystko było okropnie skomplikowane, a cóż dopiero musiała przeżywać Mary Roses?

Znalazła się w zawieszaniu pomiędzy dwoma światami i czyż on, jako mąż, nie powinien pomóc jej w jak najłagodniejszym przejściu z jednego świata do drugiego?

Mężczyźni zaczęli dyskutować na inne tematy i jeszcze dość długo pozostawali we własnym gronie. Mary Roses nie mogła się powstrzymać od ziewania, wprawiając ciotkę Lillian w niemałe zakłopotanie. W końcu, tuż przed północą, pozwolono jej pójść na górę.

Nie miała ochoty kłaść się do łóżka, nie zwierzywszy wydarzeń minionego dnia mamie Roses i braciom, więc gdy tylko garderobiana pomogła jej się przebrać, usiadła przy stylowym biurku i napisała dwa długie listy. Do jednego z nich dołączyła kartkę z wiadomościami dla Corrie.

Na poduszce leżała kolejna róża o niewiarygodnie długiej łodydze. Ten gest męża sprawił jej przyjemność, mimo iż nie rozumiała jego przyczyny. Nie zapytała go dotąd, dlaczego nagle zrobił się taki romantyczny, ponieważ wiedziała, że usłyszy, iż zawsze był dla niej troskliwy i czuły.

Za poczynaniami męża zawsze krył się jakiś powód. Wkrótce sama się domyśli, o co tym razem mu chodzi; musiała przyznać, że lubiła te dotyczące go zagadki. Co takiego powiedziała służąca? Aha, przypomniała sobie. Że Harrison, zamawiając kwiaty, powiedział, że chce jej przypomnieć o czymś bardzo ważnym. Mary Roses wydała z siebie przeciągle ziewnięcie, z pewnością nie przystojące damie, i wsunęła się do łóżka. Zasnęła chwilę później, mocno ściskając dwa bezcenne podarunki. W jednej ręce miała medalion, który dała jej mama Roses, w drugiej - różę.

Harrison przyszedł do sypialni godzinę później. Położył medalion i różę na stoliku przy łóżku, a potem otoczył żonę ramionami i zasnął z nią w objęciach.

Po paru godzinach snu chciał się z nią kochać, lecz Mary Roses musiała być śmiertelnie zmęczona, ponieważ nie mógł się jej dobudzić. W końcu dał za wygraną i ponownie zapadł w sen. Obudziła go pocałunkiem o świcie i dała to, czego tak tęsknie oczekiwał, i dużo, dużo więcej. Był tak zmęczony, że jeszcze raz zasnął.

Mary Roses wstała cichutko, by nie obudzić Harrisona. Umyła się, ubrała i zeszła na dół, by zjeść śniadanie.

Służba nie była przyzwyczajona do widoku mieszkańców pałacu o świcie i pojawienie się lady Victorii w kuchni wywołało niemałe poruszenie. Edward szybko zaprowadził ją do jadani, podsunął jej krzesło i poprosił, by zechciała usiąść.

Odrzuciła propozycję zjedzenia znieawidzonych cynaderek z jajkiem i bułeczkami i poprosiła o tosty i herbatę. Szybko zjadła śniadanie, po czym zapytała ochmistrza, czy mogłaby pójść do biblioteki ojca.

Uznał to za doskonały pomysł.

- Czy widziała już pani portret matki, lady Victorio? Pani ojciec polecił go tu wczoraj przywieźć z londyńskiej rezydencji. Ten obraz wpływa na niego kojąco. Czy mam wskazać pani drogę?

- O której mój ojciec wstaje? - zapytała szeptem, by nikogo nie obudzić.

- Zazwyczaj tak wcześnie jak ja, milady. To tutaj - oznajmił; doszli do drzwi biblioteki. Otworzywszy je przed nią, skłonił się nisko.

- Czy będę pani jeszcze potrzebny?

Pokręciła głową, podziękowała mu za pomoc i weszła do wnętrza. W bibliotece panował półmrok. Skierowała się w stronę okien; otoczył ją zapach starych książek i świeżej skóry. Odsunawszy ciężkie zasłony, podeszła do kominka.

Portret matki był bardzo piękny. Wpatrywała się weń jak urzeczona, zastanawiając się, jaką osobą była matka.

- Mój Boże, Victorio! Co tu robisz o tej porze?

W drzwiach biblioteki stał ojciec. Wydawał się zaskoczony tym porannym spotkaniem. Uśmiechnęła się do niego. Zauważyła, że ma rozczochrane włosy.

Niewątpliwie wstał z łóżka dopiero przed chwilą. Nie był jeszcze ubrany tak, by móc pokazać się w towarzystwie; miał na sobie długi czarny szlafrok i brązowe skórzane pantofle.

- Jestem przyzwyczajona do ранego wstawania, ojczu. Czy nie masz nic przeciwko temu, że wtargnęłam na teren twojej świątyni?

- Nie, nie, oczywiście że nie. - Szybkim krokiem podszedł do biurka i usiadł, po czym zaczął nerwowo przerzucać pliki papierów.

Najwyraźniej był speszony, będąc z nią sam na sam. Mary Roses nie wiedziała, jak ma rozumieć taką jego reakcję. Chciała, by się odprężył, uspokoił, lecz nie miała pojęcia, jak może mu pomóc.

Spojrzała na portret.

- Jaka była mama?

Elliott przestał grzebać w papierach, rysy jego twarzy złagodniały, opadł na oparcie krzesła.

- Była niezwykłą kobietą. Chcesz wiedzieć, jak się poznaliśmy?

- Tak, bardzo.

Usiadła w fotelu i złożyła dłonie na kolanach. Przez następną godzinę słuchała opowieści ojca o matce. Mary Roses była bardzo ciekawa wszelkich szczegółów, chciała dowiedzieć się o matce jak najwięcej, lecz kiedy ojciec skończył mówić, wciąż jeszcze nie czuła więzi z Agathą. Ponownie spojrzała na portret.

- Żałuję, że jej nie znałam. Zrobiłeś z niej świętą, ojczu. A przecież musiała mieć jakieś wady. Proszę, opowiedz mi o nich.

Lord Elliott wyjawiał, że matka była niezwykle uparta, przytaczając wiele przykładów.

Mary Roses co pewien czas przerywała mu, by zadać jakieś pytanie, i następna godzina upłynęła im na bardzo miłej rozmowie; miała wrażenie, że ojciec przestał się denerwować i poczuł się swobodniej w jej obecności. Matka, której nie dane było jej poznać, połączyła ich w jakiś przedziwny sposób.

Począwszy od tego ranka, codziennie o świcie zjawiała się w bibliotece, gdzie czytała książki aż do nadejścia ojca. Razem jedli śniadanie, przynoszone na srebrnych tacach przez służących, i spędzali ze sobą większość przedpołudnia. Mary Roses nigdy nie opowiadała o swojej przeszłości, ponieważ ciotki wiele razy napominały ją, by tego nie robiła, gdyż jej ojciec jest bardzo zazdrosny o jej braci, więc zachęcała go, by jak najwięcej opowiadał o swojej rodzinie. Ich spotkania z czasem zaczęły przypominać lekcje historii, lecz nadal sprawiały jej wielką przyjemność.

Pomału zaczynała czuć się w jego towarzystwie coraz swobodniej, a po kilku tygodniach codziennych rozmów, kiedy zdołała już go dobrze poznać, doszła do wniosku, że bardzo go lubi. Któregoś ranka, kiedy nadszedł czas rozstania, i miała udać się do ciotki Lillian, by dowiedzieć się, co zaplanowano dla niej na ów dzień, zaskoczyła Elliotta całując go w policzek przed wyjściem z pokoju.

Elliott był zachwycony tak spontanicznie okazanym mu dowodem uczucia.

Niezgrabnie poklepał ją po ramieniu i ochryłym głosem powiedział, żeby nie kazała ciotce na siebie czekać.

Tego wieczoru poinformował swoje siostry, że adaptacja Victorii przebiega doskonale.

Tymczasem rzecz miała się zupełnie inaczej. Mary Roses stawała się doskonałą aktorką i nikt, nawet Hanison, nie orientował się, jak jest przygnębiona. Tęskniła za braćmi tak bardzo, że każdego wieczoru płakała przed snem, mocno ściskając w dłoni medalion.

Najczęściej nie było w takich chwilach Hamsona, który mógłby ją pocieszyć. Miał tak dużo pracy, zleconej mu przez Elliotta, że był zmuszony spędzać całe dnie i noce w mieście.

Widywali się tylko w weekendy, lecz wtedy wiejska rezydencja pękała w szwach od krewnych i przyjaciół i bardzo rzadko mieli okazję być sami.

Harrison wręcz obsesyjnie pragnął udowodnić winę George'owi MacPhersonowi. Ilekroć miał wolną godzinę, przynosił do sypialni księgi przywiezione z Londynu i ślęczał nad nimi, próbując znaleźć ukryte nieścisłości. Douglas ukradł niańce pieniądze, które otrzymała od MacPheisona. Jak, do pioruna, mógł wejść w ich posiadanie - mruczał Harrison pod nosem. Do szaleństwa doprowadzało go to, że nie potrafi tego dociec.

Mary Roses nie miała jeszcze okazji spotkać sekretarza ojca. Powiedziano, że MacPherson wyjechał na wakacje tuż przed jej przyjazdem do Anglii. Potem zadeszowała, prosząc o przedłużenie urlopu, i jak dotąd nie wrócił do pracy.

Kiedyś powiedziała Harrisonowi, że ma nadzieję nigdy go nie spotkać, ponieważ zamierza powrócić do Montany, zanim spadnie pierwszy śnieg, a nic nie wskazywało na to, by MacPherson zamierzał przyjechać do Anglii w najbliższym czasie. Harrison nie zaakceptował tego pomysłu, ale też mu się nie sprzeciwił.

Jej przygnębienie pogłębiało się z upływem czasu. Napisała kilkanaście listów do braci, lecz nie otrzymała od nich żadnej odpowiedzi. Nie chciała obarczać Hamsona swoim niepokojem, lękiem, że stało się coś złego, a bracia ukrywają przed nią złe wiadomości, tak więc samotnie borykała się ze swoim zmartwieniem.

Nie miała też żadnych wiadomości od mamy, a wiedziała, że Cole podał jej nowy adres w liście. Może przytrafiło się coś złego? A jeśli mama jej potrzebuje?

Niepokój o rodzinę doprowadził ją do stanu wyczerpania nerwowego.

Z dnia na dzień pogarszały się jej stosunki z ciotką Lillian. Oczkiem w głowie Lillian stała się Eleanor i ciotka dokonywała nieustannych porównań obu młodych dam. Eleanor pokornie poddawała się zaleceniom ciotki, w przeciwieństwie do Mary Roses. Eleanor z wdzięcznością przyjmowała nowe suknie i doceniała znaczenie eleganckiego wyglądu w każdej sytuacji. Mary Roses powinna uczyć się od swej przyjaciółki. Nikt nigdy nie widział Eleanor z choćby cieniem zagniecenia na sukni ani choć z jednym włoskiem wymykającym się ze starannie ułożonej fryzury. Nigdy, absolutnie nigdy, nigdzie nie biegła. Cóż, kiedy rozpocznie się sezon towarzyski, Eleanor niewątpliwie będzie doń przygotowana, lecz jak wypadnie córka lorda Elliotta? Co poczną, jeśli przyniesie im wstyd?

Mary Roses nie rozumiała przewrażliwienia ciotki na punkcie tak drugorzędnych spraw. Zachowanie osób należących do towarzyskiej elity Londynu śmieszyło ją i zdumiewało. Odnosiła wrażenie, że kobietom większość dnia upływa na zmienianiu kreacji.

Ona sama rano musiała wkładać strój do konnej jazdy, a potem aż trzykrotnie zmieniać suknie. Miała wrażenie, że ciągle pędzi na górę, by się przebierać.

Kobietom nie wolno było rozmawiać z mężczyznami na tematy polityczne.

Okazywanie inteligencji nie należało do dobrego tonu. Czy chciałabyś wprawić Hamsona w zakłopotanie, zachowując się jak równa jemu? Z pewnością nie, zawyrokowała ciotka. Mary Roses musiała nauczyć się prowadzić rozkoszne konwersacje na temat domu i rodziny. Miała się nieustannie uśmiechać do wszystkich, a jeśli chciałaby wyładować na kimś swój gniew lub surowo kogoś skrytykować, doskonale nadawała się do tego służba. Nie dopatrywano się niczego zdrożnego w obarczaniu służących urojonymi winami.

Mary Roses nie powiedziała ciotce, co sądzi o jej poglądach. Wiedziała, że przysparza swojej rodzinie powodów do zmartwień. Bardzo chciała, by ciotki i ojciec byli z niej zadowoleni, i każdego ranka obiecywała sobie, że będzie się bardzo starała spełnić ich oczekiwania. Ciotka Barbara zasugerowała, by Mary Roses myślała o sobie jako o czystym płótnie, na którym rodzina namaluje arcydzieło.

Sierpień i większa część września upłynęły na przygotowaniach jej do towarzyskiego debiutu w sezonie. Mary Roses poznała hierarchię ważności wszystkich utytułowanych dżentelmenów i dam, dowiedziała się, kto się kim interesuje, kogo powinna unikać, a komu okazywać szczególne względy, i tak dalej, i tak dalej, dopóki jej pamięć nie wypełniła się wszystkimi tymi szczegółami bez znaczenia, o których pod żadnym pozorem nie wolno było zapomnieć.

Popołudnia spędzała w oranżerii, gdzie wraz z kuzynkami pobierała nauki szydełkowania i innych równie przydatnych umiejętności.

Lord Elliott wprost zasypywał Harrisona zleceniami. Wysyłał go to w jeden, to w drugi koniec Anglii w sprawach służbowych, a w tych rzadkich chwilach, kiedy mąż był w domu, Mary Roses nieustannie poruszała temat powrotu do Montany. Harrison radził jej wstrzymać się jeszcze jakiś czas z podjęciem tej decyzji.

Poza tym tak ostentacyjnie wychwalał ją pod niebiosa, że zaczęła się zastanawiać, czy aby nie zaczyna mu się podobać to, co tu z nią robiono.

Jej ostatni wybuch gwałtownego protestu zdarzył się w przeddzień pierwszego balu. Zastała w sypialni ciotkę Lillian, dokonującą przeglądu garderoby.

- Co ciocia robi?

- Anne-Marie powiedziała, że wciąż nosisz te krynoliny, Victorio. One zupełnie już wyszły z mody. Nie pamiętasz? Teraz modne są węższe spódnice.

Powinnaś wyrzucić te starocie.

Ta propozycja oburzyła Mary Roses. Wyrzucanie ubrań w idealnym stanie wydało jej się grzechem i wyraziła gwałtowny sprzeciw.

Między kobietami wywiązało się coś na kształt gry w przeciąganie liny.

Halka, którą ciotka zamierzała zabrać, a Mary Roses zachować, została rozdarta na dwie części. Podczas gwałtownej szamotaniny na podłogę wypadły kawałki grubego śrutu.

- A cóż to takiego, na litość boską? - zainteresowała się ciotka.

- To śrut, ciociu Lillian. Moja przyjaciółka Blue Belle poradziła mi, żebym wszyła go w dolny rąbek spódnicy, żeby ją obciążyć. Na Zachodzie wiatr wieje czasem tak mocno, że może zadrzeć spódnicę aż na głowę.

Lillian była tak wstrząśnięta wyjaśnieniem Mary Roses, że aż musiała usiąść, by się uspokoić. Poprosiła Anne-Marie o przyniesienie soli trzeźwiących, a po dłuższej chwili usiadła obok Mary Roses i zaproponowała, by odbyły poważną, serdeczną rozmowę.

Mary Roses czuła, co się święci. Ciotka po raz setny zamierzała uzmysłwić jej, że zarówno ona, jak i pozostali członkowie rodziny mają jak najszlachetniejsze intencje. Z pewnością nie omieszkałaby też zaznaczyć, żeby nigdy nikomu nie wspomniała o zaszywaniu śrutu w spódnicy.

Późnym popołudniem tego dnia cała rodzina udała się do londyńskiej rezydencji, a następnego wieczoru Mary Roses została przedstawiona przyjaciołom i znajomym ojca podczas balu wydanego z okazji jej zamążpójścia.

Miała na sobie piękną suknię w kolorze kości słoniowej i doskonale komponujące się z nią rękawiczki. Jej włosy zostały upięte w luźny węzeł, podtrzymywany szafirowymi spinkami. Suknia miała niepokojąco duży dekol, zgodnie z wymogami najnowszej mody, i garderobiana musiała wiele razy zapewniać Mary Roses, że jej biust na pewno nie wynknie się spod stanika.

- Wygląda pani jak lady Victoria - wyszeptała z podziwem, skończywszy upinać niesforne kędziory swej pani.

Harrison omal nie spóźnił się na przyjęcie wydane także i na jego cześć. Wrócił do Londynu zaledwie przed dwoma godzinami. Sprawiał wrażenie zmęczonego. Stał obok ojca w westybulu i obserwował zstępującą ze schodów żonę. Elliott był wyraźnie oczarowany urodą córki. Chwyciwszy Harrisona za ramię, powiedział cicho:

- Kiedy patrzę na Victorię, widzę moją Agathę.

Mary Roses widziała, że ojciec jest bardzo szczęśliwy. Stanąwszy u podnóża schodów, wykonała perfekcyjny dyg. Stojący nieco dalej ciotki i wujowie nie odrywali od niej oczu. W oczach ciotki Lillian rozbłysły łzy wzruszenia.

- Wspaniale wyglądasz, Victorio - pochwaliła. - Doskonale.

Jedynie Harrison nie podzielał ogólnego zachwytu. Wolałby, żeby żona wróciła na górę i włożyła suknię nie odsłaniającą tak jej wdzięków.

- Przeziębi się - próbował zaprotestować.

- Nonsens - osadziła go Lillian. - Włóży swój nowy żakiet i wszystko będzie dobrze.

Eleanor kazała na siebie czekać jeszcze kwadrans. W końcu zeszła na dół w jasnozielonej sukni. Odszukawszy wzrokiem Lillian, spojrzała na nią pytająco, a gdy ciotka Mary Roses z aprobatą skinęła głową i uśmiechnęła się, Eleanor natychmiast się rozpromieniła.

Harrison pomagał właśnie Mary Roses włożyć okolony futerkiem żakiet, kiedy ciotka Lillian zauważyła jej złoty łańcuszek.

- Gdzie twoje szafiry? - zapytała.

- W pokoju - odpowiedziała Mary Roses. - Chciałam włożyć swój ulubiony medalion, a Anne-Marie powiedziała mi, że nie mogę mieć na sobie obu rzeczy.

- Nie możesz wystąpić w tym medalionie. Łańcuszek całkiem już stracił połysk. Natychmiast to zdejmij. Edwardzie, przynieś szafiry.

- Ale ona chce mieć na sobie ten medalion. On ma szczególne znaczenie dla niej i dla mnie - rzekł Harrison.

Ojciec postanowił stanąć w obronie córki i mogłoby się wydawać, że dwóm mężczyznom uda się przekonać jedną kobietę. Tak się jednak nie stało. Jak zwykle ciotka Lillian okazała się trudnym przeciwnikiem. Spór ciągnąłby się więc długo, gdyby Mary Roses wspaniałomyślnie nie postanowiła się poddać.

Poprosiła ochmistrza, by zaniósł medalion do jej pokoju i położył na biurku, dodając, aby obchodził się z nim bardzo ostrożnie.

Ciotka Lillian rozchmurzyła się, gdy na szyi Mary Roses pojawił się naszyjnik z szafirów.

- Czy czasami udaje ci się z nią wygrać? - zapytał Harrison, gdy ruszyli do wyjścia.

- Nie, ale to nie ma znaczenia - odpowiedziała. - Cioci leży na sercu jedynie moje dobro.

Harrison nie był wcale pewien, czy to jedyny motyw postępowania ciotki Lillian, ale ponieważ Mary Roses wydawała się nie przejmować ciągłym napominaniem, postanowił nie robić problemu z tego, że ciotce udało się nakłonić ją do zmiany biżuterii.

Mary Roses odczuwała radosne podniecenie. Miała wrażenie, że jest księżniczką z bajki. Chciała, by ojciec był z niej dumny, i wielokrotnie powtarzała sobie w duchu, że nie zrobi nic, co mogłoby wprowadzić w zakłopotanie jej krewnych.

Bal odbywał się w Montrose Mansion. Mary Roses, stojąc pomiędzy mężem i ojcem, została przedstawiona licznemu gronu życzliwych jej osób. Miała przyjemność poznać księcia i księżnę Tremint, których uznała za bardzo sympatycznych ludzi. Księżę był już w podeszłym wieku i nazywał ją lady Agathą, z niedowierzaniem powtarzając szeptem, że stał się cud.

Nikt nie wyprowadzał staruszka z błędu. Spojrzała na Harrisona, chcąc się przekonać, co myśli o tej pomyłce, lecz mąż jedynie mrugnął do niej wesoło.

Miała wrażenie, że nie popełniła zbyt wielu błędów. Ojciec i ciotka wydawali się bardzo zadowoleni. Prawdę mówiąc jednak, zaspokajanie nienasyconej ludzkiej ciekawości przychodziło Mary Roses z niemałym trudem.

Baron z faworytami sięgającymi niemal ust poprosił ją do tańca, a kiedy zawirowali na parkiecie, zapytał, czy kiedykolwiek widziała dzikich Indian, o których czytał w książkach. Nie dając jej czasu na odpowiedź, dodał, że ma nadzieję, iż nigdy ich nie spotkała, zważywszy fakt, że została wychowana w bogobojnej rodzinie w St. Louis.

Mary Roses nie prostowała tej pomyłki. Kiedy taniec się skończył, udała się na poszukiwanie męża. Stał nie opodal drzwi prowadzących na balkon. Był pogrążony w rozmowie z jakimś nie znanym jej mężczyzną. Temat rozmowy najwyraźniej budził gwałtowne emocje Harrisona; zauważyła jego lodowaty wzrok i mocno zaciśnięte szczęki. Zatrzymała ją lady Lillian.

- Właśnie przybyli twój stryj Daniel i stryjenka Johanna. Chodź się z nimi przywitać, kochanie.

- Już idę - odpowiedziała. - Ciociu Lillian, czy to ciocia powiedziała baronowi, z którym przed chwilą tańczyłam, że mieszkałam w St. Louis?

Ciotka nie odpowiedziała od razu. Trzymając Mary Roses za ramię, poprowadziła ją obok tańczących par. Mary Roses była jednak zbyt zaintrygowana tą sprawą, by nie powrócić do niej po chwili. Była prawie pewna, że ciotka jest odpowiedzialna za to kłamstwo, i zmusiła ją do wytłumaczenia się.

- To nie było kłamstwo, moja droga, tylko niewinna konfabulacja. Teraz wszystkim łatwiej będzie cię zaakceptować. St. Louis to cywilizowane miasto i nie ma tam zbyt wielu nieokrzesanych ludzi. Słyszałam to od osoby godnej zaufania. Nie chciałam, żeby robiono sobie żarty na twój temat, Victorio. Ale po dzisiejszym wieczorze nikt nie ośmieli się tego

uczynić. Jesteś prawdziwą królową tego balu. Jestem z ciebie bardzo dumna. Wszyscy jesteśmy dumni.

Twoja matka na pewno też uśmiecha się z dumą, patrząc na ciebie z nieba.

A oto Daniel. Nie uważasz, że w ogóle nie jest podobny do twojego ojca?

Mary Roses niewiele zrozumiała z pokrętej wypowiedzi ciotki. Wcale się nie wstydziła miejsca, w którym dorastała, lecz Lillian najwyraźniej uważała, że jest inaczej. Ciotka nie wiedziała, jak wspaniałe życie pędziła tam Mary Roses. Skąd zresztą mogłaby o tym wiedzieć? Przecież nigdy nie pozwalano Mary Roses o tym mówić.

Brat ojca sprawiał wrażenie szczerze ucieszonego możliwością poznania bratanicy. Stojąca obok niego żona, wyraziwszy swe zaskoczenie i podobnie jak wszyscy opinię, że Mary Roses to wykapana matka, serdecznie uściskała swą krewną i wyraziła zadowolenie, że tak urocza osoba pojawiła się w rodzinie.

Mary Roses od razu polubiła Daniela, lecz postanowiła wstrzymać się z wydaniem opinii na temat lady Johanny. Jeśli Johanna dołączy do grona innych i zacznie ją strofować, Mary Roses na pewno nie obdarzy jej sympatią.

Jak zwykle, kiedy była zdenerwowana, sięgnęła do medalionu. Był dla niej ogniwem łączącym ją z rodziną i niosącym ukojenie. Przeżyła chwile grozy, dotknąwszy naszyjnika z szafirów, lecz po chwili głęboko zaczerpnęła tchu, skarciła się w myślach za brak rozsądku i postanowiła z uwagą słuchać opowieści wuja Daniela o wyczerpującym urlopie.

Nie mogła się powstrzymać, by co pewien czas nie zerkać na Harrisona.

W końcu nadeszła chwila, że mogła przeprosić krewnych i pójść do męża.

Chciała mu powiedzieć, by się rozchmurzył, lecz nie mogła przecież tego zrobić w obecności nieznanego rozmówcy.

Podszedł do niej przyjaciel Harrisona, Nicholas. Przedstawił się, skłonił nisko i uśmiechnął do niej wesoło. Był bardzo przystojny, ciemnowłosy i ciemnooki. Niemalże tak wysoki jak Harrison, niezwykle szczupły i pełen uroku.

- Proszę przyjąć moje serdeczne gratulacje, lady Victorio. Życzę pani i Hamsonowi dużo szczęścia na nowej drodze życia.

- Dziękuję - odpowiedziała.

- Może pójdziemy wyrwać pani męża ze szponów największego plotkarza w Londynie?

Idąc obok niego położyła mu rękę na ramieniu.

- Jak on ma na nazwisko?

- Nudziarz - odpowiedział Nicholas.

Mary Roses roześmiała się. Jej rozbawienie przyciągnęło uwagę wielu gości.

Natychmiast powściągnęła się.

- Ależ on wcale nie zanudza Harrisona.

- Nie - zgodził się Nicholas. - Pani mąż z wielkim wysiłkiem opanowuje emocje.

Chwilę później Mary Roses miała okazję poznać Sidneya Madisona. Od razu była pewna, że go nie polubi, ponieważ był okropnym plotkarzem, a jego zachowanie potwierdzało tylko jej opinię. Adam nazwałby go fircykiem, a poza tym Sidney Madison nie zagrzałby długo miejsca w Blue Belle. Cechowała go zniewieściałość; miał zbyt długie, starannie wypielęgnowane paznokcie, które wydały jej się odrażające, i afektowany sposób mówienia.

Wsunęła rękę pod ramię Harrisona i stojąc obok niego słuchała opowiadania Madisona o wrażeniach z Nowego Jorku. Nicholas stał z drugiej strony, z rękami splecionymi z tyłu. W jego oczach nie dostrzegła już wesołych iskerek.

Nicholas przybrał równie ponury wyraz twarzy jak Harrison, który mocno ścisnął kieliszek w prawej ręce, podczas gdy lewą bezwiednie zacisnął w pięść.

Jak do tej pory wieczór przebiegał wspaniale i chciała, żeby również dla męża i ojca pozostał jak najmiłym wspomnieniem. W końcu Harrison był honorowym gościem; nie powinien już dłużej pozostawać w towarzystwie natrętnego gaduły.

Postanowiła ich rozdzielić.

- Czy mogłabym zamienić z tobą słówko na osobności? - zwróciła się do męża.

- Chyba zabrałem pani mężowi zbyt wiele czasu - odezwał się Madison i ponownie zwrócił się do Harrisona: - Jeszcze raz serdecznie ci gratuluję. To było bardzo sprytne posunięcie z twojej strony, żeby ożenić się z Mctorią jeszcze w Ameryce, zanim zdała sobie sprawę... Naprawdę, sprytne to wymyśliłeś. Moje najwyższe uznanie.

Harrison czuł, że ten łowca sensacji umyślnie go podpuszcza. Policzył w myślach do dziesięciu, postanawiając nie odezwać się ani słowem.

Nicholas postąpił o krok.

- Zanim zdążyła zdać sobie sprawę z czego, Madison?

- Ile jest warta, oczywiście. - Wypowiedziawszy te obraźliwe słowa, uśmiechnął się bezczelnie.

Mary Roses usłyszała, jak Nicholas gwałtownie zaczerpnął tchu na chwilę przed tym, jak Harrison wpadł w szal. Mimo że stał ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń, zauważyła zimny błysk w jego oczach. Nagle przypomniał jej się Cole. Jej brat zawsze miał taki wzrok, kiedy zamierzał...

O Boże.

- Nie - wyszeptała zbielełymi wargami.

Było już za późno. Gdyby nie to, że tak bacznie obserwowała męża, nie zauważyłaby nawet momentu ataku na Anglika. Pięść Harrisona z szybkością błyskawicy wylądowała na twarzy Madisona, który uderzył w drzwi, przyłożył dłonie do nosa i wydał z siebie przeciągły krzyk.

Harrison nawet nie mrugnął. Zachowywał się tak, jakby nie wydarzyło się nic niezwykłego. Nie zadał sobie nawet trudu, by sprawdzić, czy aby nie wyrządził Madisonowi krzywdy.

Nicholas stał oszołomiony, z szeroko otwartymi ustami. Przyjaciel Harrisona wyszeptał:

- Co ty zrobiłeś?

- To.

Po czym jeszcze raz uderzył Madisona. Anglik zachwiał się pod jego ciosem. Mary Roses była przerażona. Harrison spojrzał na nią z uśmiechem.

- Zatańczymy, kochanie?

Idąc na parkiet, słyszeli za sobą radosny rechot Nicholas.

- Miałam okazję być świadkiem jednego z twoich słynnych napadów szału.

Wziął ją w ramiona i zaczął poruszać się w takt muzyki.

- To już przeszłość. Jak się czujesz? Tak dawno już nie mieliśmy okazji porozmawiać.

- Czuję się świetnie. Czy mój ojciec widział, co zrobiłeś?

- Sądząc po wyrazie jego twarzy, chyba tak. Poza tym upuścił kieliszek.

- O, Boże - wyszeptała. - Jeśli zepsujesz wieczór ojcu i jego siostrze, przeżyjemy istne piekło.

Przytulił ją mocno.

- Ten wieczór, kochanie, należy do ciebie, a nie do twoich krewnych. Czy wprowadziłem cię w zakłopotanie?

Nie od razu odpowiedziała, musiała się najpierw zastanowić.

- Prawdę mówiąc, nie. Ale nie bądź z siebie taki dumny. Okaż choć odrobinę skruchy. Ojciec zmierza w naszą stronę.

Elliott nie pozwolił im się wycofać.

- Na litość boską, co ty najlepszego zrobiłeś, synu?

Mary Roses chwyciła męża za rękę.

- Nie pytaj go o to, ojciec, bo gotów ci to zademonstrować. Miał jeden ze swoich napadów szału. Myślę, że dobrze mu zrobi krótki spacer na świeżym powietrzu.

Chciała, by zostali sami, by móc poprosić go, żeby uważał na swoje zachowanie i nie zapominał, że są nie na Zachodzie, lecz w Londynie.

Nie było jej jednak dane znaleźć się sam na sam z mężem aż do powrotu do londyńskiej rezydencji ojca.

Anne-Marie pomogła jej przygotować się do snu i Mary Roses właśnie kładła się do łóżka, kiedy wszedł Harrison.

Natychmiast usiadła, sztywno wyprostowana.

- Czy złamałeś nos temu nieszczęśnikowi?

- Prawdopodobnie tak.

- I nie jest ci przykro z tego powodu?

- Nie. Obraził mnie. Jak miałem zareagować?

- Powinieneś być najpierw pomyśleć - pouczyła go.

Wzruszył ramionami, nie mając ochoty na rozmowę o tym wydarzeniu.

- Pojutrze muszę jechać do Niemiec.

- Po co?

- W sprawach służbowych twojego ojca. Muszę mu pomóc. Wiem, że to dla ciebie trudne. Wolałbym tu zostać i pomagać...

- Mogę jechać z tobą?

- Nie, kochanie, twój ojciec nie chce tracić cię z oczu. Zaplanował już dla ciebie zajęcia na najbliższe cztery miesiące. Chce się tobą nacieszyć i pochwalić. Staram się mu to ułatwić i robię wszystko, co w mojej mocy, by nie musiał martwić się o sprawy zawodowe. Mamy parę ważnych spraw do załatwienia.

Postaraj się to zrozumieć.

- To dlatego mieszkamy tutaj, a nie w twoim domu?

- Twój ojciec nie chce, żebyś była skazana na samotność, kiedy bawię poza domem.

Nie potrafił podać jej dokładnej daty swojego powrotu. Starła się nie okazać mu, jak bardzo będzie tęsknić. Jako jego żona rozumiała, że jej obowiązkiem jest wspierać go i dodawać mu otuchy.

- Rozumiem to - zapewniła.

Harrison usiadł na skraju łóżka i wziął ją w ramiona.

- Chciałabym...

- Co byś chciała?

Przytuliła się do niego.

- Żebyśmy mieli więcej czasu dla siebie. Kiedy zobaczę twoje Pogórze Szkockie?

- Niedługo - obiecał. - Postaraj się okazać ojcu cierpliwość. Nie zdążył jeszcze ochłonąć po emocjach związanych z twoim odnalezieniem. Potrzebuje czasu, żeby oswoić się z nową sytuacją i poznać cię.

Mary Roses nie zamierzała spierać się z Harrisonem. Postanowiła zapomnieć o własnych pragnieniach. Jej ojciec cierpiał tak wiele lat, że powinna teraz dać mu jak najwięcej radości. Adam powiedział jej, że ma obowiązek pocieszyć ojca. Z pewnością wytrzyma jeszcze parę miesięcy i jakoś zwalczy swoją tęsknotę za domem.

Wyglądało na to, że nie zawita do Montany wcześniej niż wiosną. Wkrótce śnieg pokryje przełęcze, które staną się niedostępne. Przypomniała sobie, że jest twardą kobietą. Zniesie jeszcze kilka miesięcy samotności dla dobra ojca.

I Hamsona.

- Powiedziałeś mi kiedyś, że podoba ci się życie w Montanie, że byłbyś tam szczęśliwy. Czy wtedy... tak tylko powiedziałeś, żeby zrobić mi przyjemność?

W rzeczywistości pytała go, czy wtedy kłamał, czy mówił prawdę.

Z trudem powściągnął gniew. Winę za tę niepewność żony ponosił jedynie on sam.

- Posłuchaj mnie uważnie. To, co się wtedy zdarzyło, należy już do przeszłości. Wiem, że nie powinienem był wtedy aż tak nalegać, żebyś mi ufała, ale raz jeszcze obiecuję, że już nigdy, przenigdy cię nie okłamię.

Wierzysz mi?

- Tak.

Rozluźnił uścisk i powoli zaczął gładzić ją po plecach.

- Postaraj się przyzwycząić do swoich krewnych i nie myśl nawet o próbie dokonania teraz kolejnej zmiany w swoim życiu. Przecież dopiero co tu przyjechałaś.

Starał się dowodzić swoich racji jak najlogiczniej i jak najrozsądniej. Jak mogła go przekonać? Jej dom był tam, gdzie byli jej bracia. Czuła się wyizolowana wśród swoich tutejszych krewnych i nieustannie dręczyło ją poczucie winy z powodu niespełniania czyichś oczekiwań. Oczywiście, zdawała sobie sprawę, że wszyscy mają na względzie jedynie jej dobro; za każdym razem, gdy ogarniała ją tęsknota, powtarzała to sobie w myślach.

Harrison był bardzo zmęczony, znalazł jednak w sobie dość sił, by kochać się z żoną. Zasnęli mocno objęci.

Była kochana i rozpieszczana. I przerażona.

28 kwietnia 1873

Kochana Mamo!

Muszę przesiedzieć całe popołudnie w domu za to, że uderzyłam Petera Jenlansa w brzuch. Pamiętasz, jak Ci pisałam, że on cały czas mi się naprzykrza. Wyobraź sobie, że dzisiaj śmiał mnie pocałować. Byłam taka zniesmaczona, że splunęłam i starannie wytarłam usta. Wiem, że to nie było eleganckie, ale przecież chyba lepiej splunąć, niż zwymiotować, prawda?

Słyszałam, jak moi bracia rozmawiali, że dobrze byłoby mnie posłać do szkoły z internatem. Czy mogłabyś do Nich napisać i poprosić, żeby pozwolili mi zostać w domu? Wcale nie muszę być bardzo wykształcona. Naprawdę tak myślę. Pomału staję się miłą młodą osobką To Ty mnie tak nazwałaś, pamiętasz?

Kocham Cię, Mary Roses P.S. Rosną mi piersi. Jest z nimi wiele kłopotu, Mamo, i wcale nie jestem zadowolona, że jestem dziewczyną George MacPherson przywoził Mary Roses na myśl łasicę. Był wysokim, szczupłym mężczyzną o długim, spiczastym nosie i małych oczkach. Czuję się trochę winna, przyrównując go do zwierzątka, ponieważ MacPherson był dla niej niezwykle wprost miły i chętnie służył jej wszelką pomocą. Wydawał się zachwycony, że ją poznał, i mogłaby przysiąc, że kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, miał w oczach łzy.

Douglas zapewne nazwałby MacPhersona elegantem, i to bez najmniejszego odcienia ironii w głosie.

Osobisty sekretarz ojca ubrany był jak spod igły w brązowy garnitur, z kamizelki którego zwisał złoty łańcuszek zegarka, i brązowe buty, wypolerowane do takiego połysku, że miała wrażenie, iż spojrzawszy w dół zobaczy w nich swoje odbicie. W jednej ręce trzymał teczkę pełną papierów, na drugiej zaczepił czarny parasol.

Elliott przedstawił jej go, po czym zaproponował, by towarzyszyła im, kiedy będą przeglądać wyciągi z kont.

- Pani ojciec jest bardzo hojnym człowiekiem, lady Victorio. To są dowody przelania pieniędzy z jego kont na rzecz angielskich instytucji charytatywnych.

Przekazujemy je raz na miesiąc.

Mary Roses pokiwała głową, po czym postanowiła porozmawiać z nim na temat przeszłości.

- Panie MacPherson, powiedział pan, że jest pan szczęśliwy, że mógł mnie poznać, ale przecież już się kiedyś spotkaliśmy, nieprawdaż? Byłam wtedy małym dzieckiem.

- Proszę zwracać się do mnie po imieniu. George - zachęcał. Usiadł na sofie tak, by patrzeć prosto w twarz Mary Roses, wygładził marynarkę, aż zniknęły z niej najmniejsze choćby załamania, po czym powiedział:

- Tak, rzeczywiście już się spotkaliśmy. Była pani uroczym dzieckiem, - Byłam łysa.

MacPherson uśmiechnął się.

- Tak, była pani łysa.

- Ojciec, czy nie sprawi ci przykrości rozmowa o tym, co zdarzyło się tego wieczoru, kiedy zostałam porwana? Jestem tego bardzo ciekawa.

- Co chcesz wiedzieć? - zapytał Elliott, wyraźnie pochmurniejąc.

Spojrzała na MacPhersona.

- Powiedziano mi, że to niańka wyniosła mnie z pokoiku dzieciennego.

MacPherson przytaknął.

- Pani rodzice udali się wtedy na uroczystość otwarcia nowej fabryki. Mieli wrócić dopiero następnego dnia. Wciąż nie wiemy, jak Lydii udało się to zrobić.

W domu aż roilo się od służby. Przypuszczamy, że wyszła tylnymi drzwiami.

- To ta piastunka miała na imię Lydia?

- Tak - odpowiedział ojciec. - Powierzyłem George'owi przeprowadzenie śledztwa. Twoja matka zachorowała i postanowiłem wracać do Anglii, by zajął się nią jej osobisty lekarz, którego darzyła bezgranicznym zaufaniem.

- Oficjalne śledztwo umorzono po sześciu miesiącach intensywnych poszukiwań, ale pani ojciec najął wówczas prywatną ekipę dochodzeniową. Ja jedynie koordynowałem ich działania.

- Jak długo prowadziła śledztwo ta twoja ekipa, ojciec?

- Zaniechała działań jakieś cztery-pięć lat temu. W końcu postanowiłem w pokorze przyjąć wolę Boga i starałem się pogodzić z faktem, że bezpowrotnie cię utraciłem. Jednak Harrison nie pozwolił mi się poddać. Wziął sprawę w swoje ręce. Sprawdzał każdy, choćby najmniejszy ślad.

Ujął jej dłoń i otoczył rękami.

- To prawdziwy cud, że cię odzyskałem.

- Pani ojciec mówił mi, że została pani znaleziona w zaułku przez jakichś rzezimieszków - wtrącił MacPherson.

Poczuła się głęboko dotknięta jego doborem słów.

- Oni nie byli żadnymi rzezimieszkami. Znaleźli mnie czterej serdeczni chłopcy, którzy pozostawieni samym sobie robili, co w ich mocy, by przetrwać.

To nie rzezimieszki - powtórzyła, dobitnie akcentując słowa.

- Masz rację - przyznał ojciec i poklepał ją po ręce. - Ale nie będziemy teraz o nich rozmawiać. Najważniejsze, że do nas wróciłaś, że jesteś w domu.

Tylko to się liczy.

Mary Roses nie chciała jednak zmieniać tematu rozmowy. Zwróciwszy się do MacPhersona, zapytała:

- Czy niania zaplanowała sobie to wszystko?

George spojrział na chlebobawcę. Już wcześniej bowiem zauważył, że ta rozmowa wiele kosztuje lorda Elliotta. Najwyraźniej miał już ochotę ją zakończyć.

- Sir, czy nie ma pan nic przeciwko temu, że udzielę odpowiedzi?

- Proszę odpowiedzieć. Victoria jest ciekawa szczegółów. To zupełnie naturalne.

- Na początku zakładaliśmy, że musiała mieć współnika bądź współników, lecz w miarę upływu czasu zyskiwaliśmy pewność, że działała w pojedynkę.

Żałuję, że nie mogę podać pani więcej szczegółów, lady Yictorio, ale mimo tylu lat śledztwa, nie udało nam się zbyt wiele ustalić. Wygląda na to, że pewne fakty pozostaną tajemnicą. Gdyby Lydia żyła, być może udałoby się ją w końcu nakłonić do wyjawienia prawdy.

- Miała znakomite referencje - wtrącił ojciec. Posępny wyraz jego twarzy dowodził, jak bardzo przeżył zdradę Lydii.

- Teraz wiemy już, że panią porzuciła, milady. Musiała przerazić się tego, co zrobiła. Nie miała pieniędzy, by móc utrzymać się bez pracy. Policja znalazła ją w jednej z kamienic. Została uduszona. Przypuszcza się, że wróciwszy do domu, zastała w nim włamywaczy.

Elliott podniósł się gwałtownie.

- Myślę, że wystarczy już tych rozmów o przeszłości. George, jutro wszystko podpiszę.

Mary Roses widziała, jak silne wrażenie wywarła na ojcu ta rozmowa.

- Czy nie wybrałbyś się na przejażdżkę konną, ojcze? - zapytała, starając się oderwać go od niewesołych wspomnień.

Uznał to za znakomity pomysł. Mary Roses poszła do swego pokoju, by włożyć strój do konnej jazdy. Zastała tam Harrisona, pochylonego nad biurkiem i wertującego stare księgi.

- Poznałam MacPhersona - powiedziała mu, gdy tylko zamknęła za sobą drzwi. - Czy naprawdę jesteś pewien, że maczał palce w porwaniu? Wydaje się tak łagodny i bojaźliwy, że trudno sobie wyobrazić, że mógłby się zdobyć na tak zuchwały czyn.

Potarł zdrętwiały kark, rozruszał ramiona i wstał.

- Do diabła, wciąż jeszcze nie mogę być tego pewny. Douglas powiedział, że mężczyzna, którego widział, miał na sobie wieczorowy strój, a MacPherson wybierał się wtedy z przyjaciółmi do teatru.

- Wszyscy wieczorem wkładają eleganckie stroje.

- Nie dotyczy to służby.

Westchnęła.

- Szukasz jakiejś nieścisłości wśród sum przelanych na potrzeby instytucji charytatywnych? Niczego jeszcze nie znalazłeś?

- W księgach figuruje kilkanaście instytucji, o których nigdy dotąd nie słyszałem - odpowiedział. - Muszę się upewnić, czy one rzeczywiście istnieją.

- A jeśli się okaże, że tak?

- Zacznę szukać gdzie indziej.

- Dlaczego to jest dla ciebie takie ważne?

- Pytasz poważnie?

- To stało się twoją obsesją, Hamsonie. Wszystko zdarzyło się wiele lat temu i skoro policja nie była w stanie znaleźć powiązań pomiędzy MacPhersonem a niańką, to skąd twoje przekonanie, że tobie się to uda?

- Nikt oprócz mnie nie rozmawiał z Douglasem - odpowiedział. - Z opisu, który podał twój brat, wynika, że tamten mężczyzna i MacPherson to może być jedna i ta sama osoba.

- Taki opis może pasować do tysiąca mężczyzn. Spójrz w lustro, Harrison.

Jesteś potwornie zmęczony i wymizerowany. Nie możesz dłużej tak się zamęczać. Każdą wolną chwilę poświęcasz na grzebanie w starych papierzyskach.

Czemu to jest dla ciebie takie ważne?

Nie wiedział, jak jej to wytłumaczyć.

- Muszę zakończyć tę sprawę - burknął gniewnie.

Postanowiła nie przejmować się niegrzeczną odpowiedzią. Przyczyną jego zachowania z pewnością było przemęczenie.

- Musisz jutro wyjechać? - zapytała.

- Tak.

- Dokąd wychodzisz? - zapytała, widząc, że sięga po marynarkę.

- Jadę do swojej kancelarii, kochanie. Przestań się o mnie zamartwiać.

- Chciałabym z tobą porozmawiać na temat naszej przyszłości. Będziesz miał chwilę czasu dziś wieczorem?

- Postaram się - obiecał. - A teraz, proszę cię, nie martw się o mnie.

Reagował wzburzeniem i zniecierpliwieniem, ilekroć zadawała mu pytania na temat tamtego dnia, zupełnie tak samo jak jej ojciec.

Pocałował ją na do widzenia i wyszedł z pokoju, dręczony różnymi wątpliwościami. Jeśli wyjaśnienie tej sprawy rzeczywiście stało się dlań obsesją, to jedynie dlatego, że czuł, iż ma do spłacenia dług wdzięczności wobec Elliotta. Wiedział, że nie spocznie, dopóki nie zyska pewności, że MacPherson był - lub nie - głównym sprawcą przestępstwa. Musiał przynajmniej starać się rozwiązać tę zagadkę, wdzięczny za serdeczność okazaną jego ojcu przez Elliotta.

Męczyło go poczucie nie spłaconego długu.

Następnego ranka Mary Roses była przed domem, kiedy przyniesiono pocztę. Była tak ciekawa, czy nie ma jakichś listów od braci, że niemal wyrwała plik korespondencji z rąk ochmistrza.

Zauważywszy pismo Adama na jednej z kopert, wydała okrzyk radości, po czym puściła się pędem na górę, by przeczytać go w samotności. Wiedziała, że na pewno uroni przy tym niejedną łzę, i nie chciała, by ktokolwiek to widział.

Adam niepokoił się, czemu do nich nie pisze. Rozumiał, że jest zajęta, ale dziwiło go, że nie liczy się z ich uczuciami wiedząc, że się o nią niepokoją.

Czy naprawdę nie może znaleźć choć chwili czasu, żeby do nich napisać?

Była przerażona i przygnębiona. Czowała, że jej bracia szaleją z niepokoju o nią. Dlaczego nie otrzymali ani jednego jej listu?

Czyżby były przechwytywane, zatrzymywane w domu? Nie, to niemożliwe.

Jej krewni nie mogli być aż tak okrutni i zrobiłaby im ogromną przykrość dając publiczny wyraz swoim podejrzeniom.

Natychmiast napisała do braci, zakleiła kopertę i włożyła list do kieszeni płaszcza. Po chwili do pokoju weszła Anne-Marie.

- Dokąd pani idzie, milady? Proszę nie zapominać o swoich lekcjach.

Mary Roses uśmiechnęła się.

- Ciocia chyba mi wybaczy, jeśli opuszczę jedno zajęcie z zarządzania gospodarstwem. Poproś Eleanor, żeby do mnie przyszła.

- Panienka pomaga pani cioci pisać zaproszenia. Czy mam oderwać ją od tego zajęcia?

- Nie - odpowiedziała Mary Roses. I tak naraziła się już na gniew ciotki opuszczeniem lekcji. Pozbawienie ciotki towarzystwa Eleanor, jej radości i dumy, niechybnie przyprawiłoby ją o tym większą wściekłość. Eleanor była nieocenioną pomocnicą. Mary Roses była

zadowolona, że tak bardzo przypadły sobie do gustu, ponieważ ilekroć ciotka zajęta była wydawaniem rozporządzeń Eleanor, Mary Roses mogła cieszyć się wolnością.

- Chciałabym trochę pospacerować. Czy nie zechciałybyś mi towarzyszyć?

Garderobiana chętnie się zgodziła i poszła po płaszcz. Mary Roses miała ukryty powód, zapraszając Anne-Marie na przechadzkę. Chciała bowiem wysłać do braci telegram, zawiadamiający ich, że wszystko w porządku, i miała nadzieję, że służąca wskaże jej najbliższy urząd pocztowy.

Chciała też prosić ją o jeszcze jedną przysługę.

- Masz wychodne w środy, prawda?

- Tak, milady - odpowiedziała Anne-Marie. - wolne przedpołudnia w co drugą sobotę.

- Czy mogłabyś wtedy wysłać moją korespondencję? Będę ci bardzo zobowiązana.

Garderobiana wydawała się zaskoczona prośbą Mary Roses, lecz nie spierała się ze swoją panią. Zgodziła się zrobić to i nie wspominać o tym nikomu ani słówkiem.

- Proszę, nie mów też nikomu o telegramie.

- Czy jest jakiś powód, dla którego nie ufa pani służbie, milady?

- Nie. Po prostu nie chcę, żeby moje listy... ginęły. Mój ojciec denerwuje się, kiedy wspominam rodzinę w Montanie. Widok moich listów na stoliku w hallu mógłby go zmartwić.

- Pani ciotki również mogłyby nie być zadowolone - dodała ze zrozumieniem Anne-Marie.

Po wysłaniu telegramu Mary Roses poczuła się dużo, dużo lepiej. Przez resztę dnia uśmiechała się do siebie na wspomnienie listu Adama.

Podczas zimowych miesięcy jej dni upływały według podobnego schematu.

Zawsze kręciła się po westybulu, kiedy przynoszono pocztę, chcąc mieć pewność, że jej listy nie zostaną przekazane komuś innemu, i dwa razy w tygodniu dawała Anne-Marie swoją korespondencję do braci.

Natomiast zmieniała się pora zaczynania dnia. Nie była już w stanie przetańczyć pół nocy, a potem wstawać o świcie.

Zaszły w niej także inne zmiany. Stała się bardzo nerwowa, co wprawdzie skrywała pod maską spokoju, lecz podskakiwała przy najlżejszym niespodziewanym dźwięku, i nigdy spontanicznie nie wygłaszała swoich opinii, starannie ważąc każde słowo.

Krewni byli zachwyceni. Absolutnie nie zauważali, jak bardzo jest spięta.

Byli przekonani, że coraz lepiej czuje się w swoim otoczeniu jako lady ^Victoria.

Wciąż była sensacją towarzyskich przyjęć i balów. Stale powiększało się grono jej znajomych, a kiedyś otrzymała trzy zaproszenia na przyjęcia odbywające się w tym samym dniu. Nieustannie gdzieś wychodziła, przychodziła i przebierała przed kolejnym wyjściem. Bywały dni, że nie miała nawet czasu o czymkolwiek spokojnie pomyśleć. Prawdę mówiąc, te dni lubiła najbardziej, ponieważ nie miała wtedy czasu zastanawiać się nad swoją sytuacją.

Pławiła się w luksusie i skłamałaby twierdząc, że jej to nie cieszyło. Pomału zaczynała nawet ciepiej myśleć o ciotce Lillian. Doszła do wniosku, że ta zasadnicza kobieta daje się lubić, oczywiście z wyjątkiem dni, w których tyranizowała otoczenie i bezustannie strofowała. Miała nawet swoiste poczucie humoru. Często opowiadała bratanicy o różnych psotach, których dopuszczała się jako dziecko, a niektóre z tych opowiadań szczerze bawiły Mary Roses.

Sama niewiele mówiła o swoim dzieciństwie, czując, że złamałaby tym samym nie pisaną zasadę nieopowiadania krewnym o swojej przeszłości.

Ciotka pokochała ją szczerze. Otoczona też była miłością krewnych, szczególnie ojca. Starła się pamiętać o tym, kiedy odczuwała nieznośną wewnętrzną pustkę i wydawało jej się, że nie wytrzyma już ani minuty dłużej.

Tak, wszyscy ją kochali. A zarazem nikt jej naprawdę nie znał ani nie rozumiał.

Harrison również niewiele jej pomagał. W czasie tych rzadkich chwil, kiedy był w domu, zapewniał ją, że postępuje słusznie i że wszystko będzie dobrze.

Boże, jak bardzo chciała spokojnie porozmawiać z nim o wszystkim. Ojciec zmuszał go do przeskakiwania z miasta do miasta jak pchła przeskakuje z psa na psa. Kiedy nie nocował w domu i nie tulił jej w swych ramionach, zasypiając kurczowo ścisłała w dłoni medalion. To maleńkie ogniwo łączące ją z mamą i braćmi działało na nią kojąco niczym ulubiona zabawka na dziecko.

W takich chwilach często całą winę za swoje przygnębienie zrzucała na Harrisona. Bo przecież nikt inny tylko on doprowadził do tej zmiany w jej życiu. Przyjechał do Montany i tam ją znalazł, niech to wszyscy diabli...

Lecz prawda wyglądała tak, że i ona znalazła jego. Nie wyobrażała sobie bez niego życia i bardzo, och, jak bardzo tęskniła do człowieka, w którym się zakochała. Jej mąż także przeżywał niełatwe chwile. Widziała to w jego oczach, w sposobie, w jaki na nią patrzył. Dobra żona powinna być bardziej wyrozumiała, powtarzała sobie ciągle w duchu. Harrison prosił, by uzbroiła się w cierpliwość, by dobrze poznała swoich krewnych, i niezmiennie podawał jej ten sam powód obecnej sytuacji. Musi doprowadzić do końca sprawę udziału

MacPhersona w porwaniu. Nie wdawał się w szczegółowe wyjaśnienia. Nigdy nie było na nie czasu.

W poniedziałek dostała list od mamy, a list Trávisa doręczono jej następnego dnia. Bracia szykowali się do wiosennego spędu bydła, ponieważ tego roku śnieg stopniał wyjątkowo wcześnie. W postscriptum dodał, że Corrie czuje się dobrze, a przynajmniej tak mu się wydaje. Kosz z jedzeniem, który zostawiał na polanie, był regularnie opróżniany i pozostawiany w umówionym miejscu. Jednakże Corrie nadal nie pozwalała mu zbliżyć się do swojej chaty i czuł się jak idiota, wykrzykując w lesie słowa listów Mary Roses.

Podczas gdy bracia szykowali się do corocznego spędu bydła, krewni przygotowywali się do wyjazdu do wiejskiej rezydencji ojca na resztę wiosny i lato. Ciotka Lillian i Eleanor również zostały tam zaproszone. Mary Roses nie miała pojęcia, kiedy Harrison będzie mógł do nich dołączyć.

Była coraz bardziej przerażona tym, co się z nią dzieje. Przypominała sobie, co Harrison mówił, kiedy spędzali noc w grocie w pobliżu chaty Corrie.

Rozmawiali wtedy na temat honoru i prawości. Doskonale pamiętała jego słowa. Jeżeli zaczniesz po trochu rezygnować z siebie, z czasem zupełnie rozmienisz się na drobne. A kiedy zrezygnujesz z siebie, czy aby nie stracisz wszystkiego?

Te słowa rozbrzmiewały teraz echem w jej głowie.

Nie mogła przecież udawać w nieskończoność. A poza tym wstrząsnęły nią dwa wydarzenia.

Pierwsze zaskoczyło ją zniecka. Nerwowo przemierzała westybul, czekając na doręczenie poczty, kiedy zauważyła szybko zstępującą ze schodów Eleanor.

- Mam wspaniałe wieści, Victorio - niemal krzyknęła. - Lady Lillian zaproponowała mi posadę swojej sekretarki. Ona mnie lubi, bardzo mnie lubi i uważa, że doskonale wykorzysta moje zdolności organizacyjne. Och, ona prowadzi tak aktywne życie. I potrzebuje kogoś do pomocy na dłuższy czas.

Czy wiesz, co jeszcze mi powiedziała? Że pomoże mi znaleźć męża. A twoja ciocia Lillian, jeżeli coś postanowi, to zrobi to z pewnością. Powiedziała mi, że jestem jej droga, jak własna córka. Tak właśnie powiedziała. Czyż to nie cudowne?

Mary Roses nie była zaskoczona tym, co usłyszała. Z całego serca życzyła przyjaciółce szczęścia. Eleanor miała bardzo trudne życie. Nie знаła swojej matki, a ciotka Lillian nie miała dzieci. Były dwiema samotnymi kobietami, które mogły sobie nawzajem pomóc.

- To rzeczywiście wspaniałe wiadomości - powiedziała. - Czy to znaczy, że nigdy już nie wrócisz... do Ameryki? - Omal nie zapytała, czy Eleanor nie ma zamiaru wracać do Montany, ale szybko ugryzła się w język.

- W Ameryce nikt na mnie nie czeka, Victorio.

- A Cole? Czy już zupełnie o nim zapomniałaś?

Eleanor ujęła dłoń przyjaciółki i uśmiechnęła się.

- Nigdy go nie zapomnę. Jak mogłabym zapomnieć? Dzięki niemu przeżyłam pierwszy pocałunek. Ale on nie ożeniłby się ze mną, i jestem szczęśliwa, że dowiedziałam się o tym, zanim zdążyłam stracić dla niego głowę. Poza tym rzeczywiście jesteśmy zupełnie inni. O wiele bardziej nadaję się do tutejszego stylu życia. I ty także, Victorio - dodała.

Mary Roses zignorowała tę uwagę przyjaciółki.

- Będę za tobą tęsknić.

Eleanor uniosła brwi w zdumieniu.

- Tęsknić? Przecież nigdzie nie wyjeżdżasz, a mam nadzieję, że na zawsze pozostaniemy serdecznymi przyjaciółkami. Przecież wiesz, że twoi przyjaciele akceptują mnie dzięki twojej pozycji. Na litość boską, jesteś lady Victorią.

Spójrz w lustro. Jesteś nieodrodną córką swego ojca. Nikt by się nie domyślił, że wychowałaś się gdzieś indziej. Jestem z ciebie taka dumna. A jaka dumna jest z ciebie twoja ciocia! Ona cię bardzo kocha. Naprawdę. Muszę już iść.

Jest tyle rzeczy do zrobienia przed wyjazdem.

Mary Roses odprowadziła wzrokiem wchodzącą na schody przyjaciółkę.

W westybulu pojawił się Edward. Była wdzięczna losowi, że to właśnie młodszy ochmistrz pełni służbę w tym dniu. Russell, najstarszy stażem służący Elliotta, pracował dla jej ojca o wiele dłużej i wiedziała, że nie byłoby łatwo uzyskać od niego jakiegokolwiek informacji.

- Edwardzie, czy mogę z tobą chwilę porozmawiać? I niech ta rozmowa zostanie między nami - dodała, by ochmistrz wiedział, że ona sama nie zamierza nikogo o tym powiadomić. - Chciałabym cię o coś zapytać. Czy ciocia Lillian zatrzymywała listy przychodzące do mnie z Ameryki?

Edward wyraźnie pobałdł.

- Nie, lady Victorio.

Nie pozostawało jej nic innego, jak tylko przyjąć do wiadomości, że to prawda. Pokiwała głową i zaczęła wstępować na schody. Zatrzymała się jednak, kiedy Edward dodał:

- Wszyscy mają na względzie jedynie pani dobro, milady, a już szczególnie lord Elliott.

Odwróciła się powoli.

- To mój ojciec przejmował moją korespondencję, nieprawdaż?

Nie odpowiedział, wbił wzrok w posadzkę. Jego milczenie wystarczyło jej za odpowiedź.

- A myślałam, że to ciocia... - wyszeptała i głosem, który zabrzmiał obco nawet w jej uszach, dodała: - Nie wiem dlaczego, ale wydawało mi się, że mój ojciec nigdy nie zrobiłby czegoś takiego... Od jak dawna to robi?

- Od początku - odpowiedział cicho.

- A co stało się z tymi listami, które zostawiałam do wysłania na stoliku w hallu? Czy także je zabierał?

Edward zajrzał do salonu, by upewnić się, że nikt ich nie podsłuchuje.

- Tak, ale sama już pani to odgadła, prawda? Nie jestem chyba nielojalny, potwierdzając jedynie pani podejrzenia?

- Nie, z pewnością nie jesteś nielojalny.

- Pani ojciec jedynie zastosował się do rad lekarzy, milady. Był bardzo zadowolony, kiedy przestała pani pisać do tych ludzi. Słyszałem, jak mówił do swojego szwagra, że rady lekarzy okazały się słuszne i że nareszcie zapomina pani o swojej przeszłości.

- To lekarze mu tak doradzili?

- Tak sędzę, lady Victorio.

Służący najwyraźniej byli lepiej zorientowani w sprawach rodziny niż ona.

Będzie musiała w przyszłości wypytać Edwarda o wiele spraw. Tylko on może powiedzieć jej prawdę.

Była zbyt zbита z tropu, by kontynuować rozmowę. Podziękowała Edwardowi i udała się do swego pokoju.

Ojciec wierzył, że może zapomnieć o przeszłości - i o braciach. Oczywiście, ani niczego nie zapomniała, ani nie przestała pisać do braci. Odkąd przeczytała list Adama, pełen wymówek, że nie odezwała się do nich ani słowem, była pewna, że ktoś musi przechwytywać jej korespondencję. Dzięki Bogu za pomoc Anne-Marie. Pocziwa garderobiana w tajemnicy wysyłała listy.

Była tak wzburzona, że logiczne myślenie przychodziło jej z niemałym trudem. Zdawała sobie sprawę, że musi opanować gniew, zanim zdecyduje się na rozmowę z ojcem, by dowiedzieć się, dlaczego postąpił wobec niej tak okrutnie. Jednakże po godzinie

nerwowego przemierzania pokoju postanowiła w ogóle z nim o tym nie rozmawiać. Na pewno usłyszałaby, że robił to wszystko dla jej dobra, a Bóg jej świadkiem, że gdyby jeszcze raz usłyszała te słowa, zaczęłaby krzyżeć wniebogłosy i chyba nigdy by nie przestała.

Jej gniew nie mijał. Wymówiła się od pójścia z rodziną do teatru, tłumacząc, że nie czuje się najlepiej.

Nawet ciepła kąpiel nie ukoila jej nerwów. Włożywszy koszulę nocną i szlafrok, sięgnęła po medalion. Trzymała ten swój skarb w bogato zdobionej orientalnymi motywami kasecie, która zawsze stała na toalecie. Chciała włożyć go przed położeniem się do łóżka. Prawdopodobnie gdy wypocznie, popatrzy na wszystko z innej perspektywy i zyska siły, by wykazać się tolerancją.

Kasetka była pusta. Mary Roses nie nabrała jednak jeszcze żadnych podejrzeń.

Metodycznie przeszukała każdą piędź pokoju. Pamiętała, że zdejmowała medalion rano, zaraz po wstaniu z łóżka. Tak, była pewna, że tak właśnie zrobiła. I zawsze wtedy wkładała go do kasetki, by leżał tam bezpiecznie w ciągu dnia.

Medalion zniknął. Po godzinie gorączkowych rozmyślań znów podjęła poszukiwania. Harrison wrócił do domu i zastał ją na kolanach, zaglądnącą pod łóżko. Opadł na najbliższe stojące krzesło, rozprostował nogi i pomyślał, że jeśli za chwilę nie pójdzie spać, gotów zemdlec.

Wciąż pozostawał pod wrażeniem odnalezionych danych, które ostatecznie potwierdziły winę MacPhersona. Zżymał się z gniewu; teraz, kiedy wszystko zaczynało się układać w spójną całość, towarzyszące mu od wielu miesięcy napięcie groziło wybuchem nie kontrolowanych emocji. Miotał się jak niedźwiedź w klatce. Z pewnością brak snu dawał o sobie znać; w ciągu ostatniego tygodnia sypiał po trzy godziny na dobę.

MacPherson stale był obecny w jego myślach. Za każdym razem, kiedy stawał mu przed oczami ten łajdak, który przez tyle lat spokojnie pracował u boku Elliotta, wzbierała w nim głucha wściekłość. Elliott darzył MacPhersona całkowitym zaufaniem, a sekretarz ze spokojem przyglądał się cierpieniom pracodawcy, których był przyczyną. Ten sukinsyn wiedział...

Harrison z najwyższym trudem zmusił się do opanowania. Był jednak zbyt wzburzony, by od razu położyć się do łóżka, i postanowił opowiedzieć żonie o swoim odkryciu.

Wydawała się go nie zauważać.

- Znalazłem to, kochanie! - wykrzyknął.

Gwałtownie wyprostowując się, uderzyła się w głowę.

- Gdzie? Szukałam go wszędzie. Och, dzięki Bogu. Myślałam, że go zgubiłam.

Słyszając jej zmieniony głos, Harrison spojrzał na jej twarz. Płynęły po niej łzy.

- Chyba nie mówimy o tym samym. Chciałem ci powiedzieć, że znalazłem wreszcie te dowody, których tak długo szukałem. Co zgubiłaś?

- Mój medalion - zaszłochała. - Zniknął.

- Znajdziemy go. Zaraz pomogę ci szukać, tylko trochę dojdę do siebie. - Złożywszy tę obietnicę, donośnie ziewnął.

- A jeśli został wyrzucony?

Zamknął oczy i zaczął nerwowo pocierać podbródek.

- Jestem pewien, że to niemożliwe. Proszę, pocałuj mnie.

Niemile zaskoczył ją nonszalancki ton, jakim się do niej zwracał.

- Przecież wiesz, jakie znaczenie ma dla mnie ten medalion. Myślę, że to oni go zabrali. Nigdy im tego nie wybaczę! Nigdy!

Krzyczała. Hamson wyprostował się na krześle i spojrzał spochmurniałym nagle wzrokiem. Starał się, by znużenie nie pozbawiło go opanowania.

- Najpierw musimy się wyspać...

- Musimy znaleźć medalion, zanim pójdziemy spać.

Postanowił przekonać ją, by spojrzała na tę sprawę z pewnego dystansu.

Medalion był dla niej bardzo cenny, to oczywiste, lecz przecież w końcu go znajdą.

- Proszę, uspokój się. Nikt nie zabrał twojego medalionu. Po prostu gdzieś go położyłaś i zapomniałaś gdzie. To wszystko.

- Skąd możesz wiedzieć, czy ktoś go zabrał, czy nie? Bywasz tu tak rzadko, że nawet nie wiesz, co się tu dzieje.

- Byłem zajęty - powiedział podniesionym tonem. - Chciałem ci powiedzieć... - Urwał, zanim zdążył poinformować ją o MacPhersonie. Uznał, że to nie najlepsza pora na takie rewelacje. Była zbyt roztrzęsiona, by dotarły do niej jego słowa.

Musiał jednak czymś wypełnić milczenie.

- Mogłabyś być trochę bardziej wyrozumiała - powiedział.

Niezgrabnie podniosła się z podłogi. Była tak wściekła, że jej dłonie same zacisnęły się w pięści. Coś w niej pękło i nie potrafiła już dłużej biernie znosić tej sytuacji. W końcu płaciła cenę za miesiące udawania kogoś, kim nie była.

- Wyrozumiała? Chcesz, żebym rozumiała ich podstępną grę? Jak długo mam to wszystko cierpliwie znosić, Harrisonie? Całą wieczność? Kiedy nie pracujesz dniami i nocami nad tym, co koniecznie musisz skończyć, obsesyjnie szukasz dowodów winy

MacPhersona. Od paru miesięcy babrzesz się w tym do znudzenia. Och, najmocniej przepraszam. Użyłam określenia, które moi drodzy krewni uznaliby za nie przystające damie.

- O czym ty mówisz? Co nie przystoi damie?

Nie odpowiedziała. I tak by jej nie zrozumiał. Nikt tutaj jej nie rozumiał.

Odwróciła się do niego plecami i patrzyła w ciemne niebo za oknem.

- Przecież oni wszyscy bardzo cię kochają - zapewnił ją łagodniejszym już tonem.

Obróciła się na pięcie.

- Nie. Oni kochają kobietę, którą tworzą. Czy wiesz, co powiedziała mi ciotka Barbara? Że powinnam myśleć o sobie jak o kawałku czystego płótna i pozwolić im wyczarować na nim arcydzieło. Oni wcale mnie nie kochają. Jak mogliby mnie kochać? Przecież w ogóle mnie nie znają. Rozkoszują się tym, że mają z powrotem swoją Victorię i próbują stworzyć pozory, że spędziłam tutaj całe życie. A ty, Harrisonie? Czy kochasz mnie, czy ich arcydzieło?

To niemal wykrzywane pytanie sprawiło, że gwałtownie zerwał się na nogi.

Jeśli nawet zamierzała się z nim pokłócić, musi natychmiast ją uspokoić.

- Kocham ciebie - powiedział.

To wyznanie nie zakończyło jednak gniewnej wymiany zdań; wprost przeciwnie, przybrała na sile. Mary Roses była tak przerażona i oszołomiona tym, co się dzieje, a Harrison tak zmęczony, że nie trafiały do nich żadne argumenty. Stanowili mieszankę wybuchową.

Co miała na myśli, mówiąc o tym płótnie? Kiedy poprosił ją o wyjaśnienie, ponownie wpadła w gniew. Powiedzieli bardzo wiele niemiłych rzeczy, chociaż na szczęście nie takiego, czego nie mogliby sobie wybaczyć, a kiedy Mary Roses poczuła, że za chwilę wybuchnie płaczem, wskazała Hamsonowi drzwi i kazała mu się wynosić.

Spełnił jej polecenie. Mary Roses położyła się do łóżka i zaniósła się szlochem. Obudziły ją gorące przeprosiny męża.

- Maleńka, przepraszam. Przepraszam - powtarzał wielokrotnie.

Była w stanie wszystko mu wybaczyć. Kochała go i gotowa była zrobić wszystko, by go chronić i ratować ich małżeństwo.

Kochali się, rozpaczliwie szukając u siebie pocieszenia, a kiedy zasypiali, usłyszała, jak wyszeptała:

- Kocham cię.

- Ja też cię kocham, Victorio.

Boże, dla niego też była Victorią.

Dwa dni później wyjechała do Ameryki.

14 sierpnia 1874

Kochana Mamo Roses!

Muszę spędzić resztę popołudnia w swoim pokoju za to, że dzisiaj nie zachowałam się jak dama. Uderzyłam Tommy'ego Bonnersmitha w nos i potem długo leciała mu krew. Zasłużył sobie na to. Cole zabrał mnie dzisiaj do Blue Belle i ledwie wyszłam ze sklepu, Tommy chwycił mnie i przycisnął swoje mokre wargi do moich ust.

Nie powiedziałam Cole 'owi, co Tommy mi zrobił. Kiedy wyszedł ze sklepu, zobaczył Tommy'ego, jak siedzi na ziemi, trzymając się za nos i płacząc jak dziecko. Mój brat zastrzeliłby Tommy'ego, gdyby wiedział, co się naprawdę stało, ale nie chciałam, by jeszcze do kogoś strzelał. Zaczyna cieszyć się złą, sławą:

Wcale, ale to wcale nie żałuję tego, co zrobiłam. Adam i Cole zawsze mi powtarzają, że nigdy nie powinnam pozwalać, by jakiś mężczyzna pozwalał sobie na poufałość w stosunku do mnie. A Tommy właśnie to zrobił, prawda?

Czy jesteś niezadowolona z tego, co zrobiłam?

Twoja kochająca córka Mary Roses Harrison wrócił do domu lorda Elliotta, kiedy statek, którym Mary Roses płynęła do Ameryki, był już na morzu. Lecz Harrison nic nie wiedział o wyjeździe żony. Nikt zresztą o tym nie wiedział.

Skierował się do oranżerii, gdzie Elliott i MacPherson dyskutowali o interesach.

- Gdzie jest moja żona?

Elliott spojrział na Hamsona i uśmiechnął się.

- Poszła na zakupy ze swoją garderobianą - odpowiedział.

- Czy mógłby pan na chwilę zostawić nas samych, MacPherson? - zwrócił się Harrison do sekretarza. Splótł dłonie za plecami, starając się zachować spokój. Miał ochotę chwycić MacPhersona za kark i wysłać go do wszystkich diabłów za to, co zrobił, i musiał bardzo się starać, by nie poddać się temu impulsowi.

- Poproś, żeby przyniesiono nam herbatę, a ja tymczasem porozmawiam z moim zięciem.

MacPherson skłonił się i wyszedł. Harrison zamknął drzwi.

- Nie sędzę, by ktokolwiek mógł słyszeć naszą rozmowę, Hamsonie.

Wszyscy wyszli już z domu, a służba jest zajęta pakowaniem bagaży. Czuję, że stało się coś ważnego. Widzę to po twoich oczach.

- Mamy towarzystwo, sir. W hallu czekają ludzie, którzy za chwilę aresztują MacPhersona. Mam nadzieję, że zmuszą go do przyznania się do wszystkiego. Zgromadziłem

wystarczające dowody, by skazać go za malwersacje i tak czy owak łądak skończy w więzieniu. To on zaplanował porwanie.

Elliott upuścił trzymane w ręku dokumenty. Nie wierzył własnym uszom.

- George... George zabrał mi Victorię? Nie, to niemożliwe. Przecież przeprowadzono śledztwo, był przesłuchiwany, i nie dowiedziono jego udziału w zniknięciu mojej córki. Dlaczego uważasz, że...

- Douglas widział, jak wysiadł z powozu i wręczył koszyk jakiejś kobiecie.

- Douglas? Kto to jest?

Harrison był zaskoczony tym pytaniem. Boże, Elliott nawet nie znał imion braci Mary Roses.

- To jeden z mężczyzn, którzy ją wychowali - odpowiedział. - Douglas jest jednym z jej braci. Byłoby dobrze, gdyby pogodził się pan z ich istnieniem, zanim będzie za późno.

Elliott był tak zaskoczony tym, co Harrison powiedział mu na temat MacPhersona, że nie mógł skupić uwagi na innej kwestii. Nie zauważył nawet, jak zdenerwowany jest jego zięć.

- Dopuścił się malwersacji?

- Przekazywał pan darowizny dla nie istniejącego sierocińca. Ten sierociniec istniał oczywiście w czasie, kiedy Victoria została porwana, lecz został zamknięty kilka lat później. Jestem pewien, że te pieniądze zasilają kieszeń MacPhersona.

- Ale defraudacja i kidnaping to dwie różne...

- Za wszystkim stał MacPherson, sir. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

Elliott zgiął się jakby pod wpływem nagłego bólu. Słowa prawdy wywarły na nim takie wrażenie, że zrobiło mu się słabo. Czynił rozpaczliwe wysiłki, by zmusić się do opanowania.

- Poczekaj, synu, poczekaj chwilę - wybełkotał.

Harrison usiadł obok Elliotta i położył mu dłoń na ramieniu. Nie odezwał się ani słowem, cierpliwie czekając, aż starszy pan dojdzie do siebie.

Po pewnym czasie Elliott ochłonął na tyle, że poprosił o dokładne zapoznanie go z faktami.

- Proszę, zacznij od samego początku i nie przerywaj, dopóki nie powiesz mi wszystkiego.

- Wiemy, że MacPherson pobrał dużą sumę pieniędzy z jednego z pańskich kont na dzień przed porwaniem. Następnego dnia późnym wieczorem zabrał Victorię i dał ją niańce. Przypuszczam, że ukradzione pieniądze były przeznaczone dla niańki - na utrzymanie dla niej

i dla dziecka, w czasie gdy MacPherson wymuszały na panu coraz większy okup. Kartki wyrwane z Biblii miały prawdopodobnie zostać wysłane do pana jako dowód, że ma pańską córkę.

- Ale co się stało? Nigdy nie otrzymaliśmy żądania okupu... tylko tę wiadomość...

- Sprawy przybrały zły obrót dla MacPhersona - powiedział Harrison. - Douglas powiedział mi, że kobieta nie chciała wziąć koszyka. Widział, jak potrząsała głową, lecz zmieniła zdanie, kiedy wyjął kopertę pełną pieniędzy i pomachał nią przed jej oczami.

- I co było potem?

- Niańka najwyraźniej poczuła wyrzuty sumienia i kiedy MacPherson odjechał, weszła w najbliższy zaułek i zostawiła Victorię na śmietniku, a potem uciekła.

- Czy możesz to wszystko udowodnić, Hamsonie?

- Mogę udowodnić, że zdefraudował pieniądze, sir. To wystarczy, by go unieszkodliwić do końca życia. Douglas twierdzi, że nawet dzisiaj by go rozpoznał.

Nie jestem tego taki pewny, ale sądzę, że policja zmusi MacPhersona do mówienia.

- Czy gdyby piastunka nie miała wyrzutów sumienia, dane by mi było odzyskać moją córkę? Nie... nie, oczywiście, że nie. Pewnie by ją zabił, prawda?

- Najprawdopodobniej - zgodził się Harrison.

Elliott trzął się z oburzenia.

- I przez te wszystkie lata ten potwór siadywał obok mnie, zachowując taki spokój, jakby nic się...

Głos uwiązał mu w gardle. Harrison ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Sir, to było niezwykle sprytnie posunięcie z jego strony. Musiał wpaść w panikę, kiedy piastunka z dzieckiem zniknęły. Nie robił jednak żadnych nerwowych ruchów. Nie ruszył się z miejsca. Kontrolował przebieg śledztwa, pozostając w samym centrum wydarzeń. Przecież dopóki pracował dla pana, mógł bez trudu przeglądać wszystkie dokumenty, zanim jeszcze pan zdążył się z nimi zapoznać.

Niespodziewanie Elliott zerwał się na nogi i ruszył do drzwi.

- Już ja pokażę...

Harrison powstrzymał go, chwyciwszy za ramię.

- Nigdzie pan nie pójdzie. MacPherson został już aresztowany. Wiem, co pan ma ochotę zrobić, i ma pan pełne prawo, ale nie może pan go zabić.

Podprowadził Elliotta do kozetki i pomógł mu usiąść. Sam usiadł obok i nie ruszył się z miejsca, dopóki nie zyskał pewności, że teść uspokoił się na tyle, że nie grozi mu popełnienie czegoś, czego by potem żałował. Harrison chciał również porozmawiać z nim o

swoich planach na przyszłość, lecz uznał, że nie jest to najodpowiedniejsza pora na obarczanie lorda dodatkowymi problemami. Postanowił zaczekać ze złożeniem rezygnacji.

Poszedł do sypialni, by w samotności zastanowić się, co powiedzieć żonie.

Chciał jak najstaranniej dobrać słowa, by zrozumiała, że ma jak najlepsze intencje, a jeśli będzie trzeba, gotów był paść na kolana i błagać ją o przebaczenie, że mimowolnie sprawił jej tyle bólu.

Elliott nie znał nawet imion jej braci. Wciąż jeszcze nie był w stanie opanować wzburzenia po tym, co usłyszał. W imię ojcowskiej miłości starał się wymazać przeszłość Mary Roses, by móc dowolnie ją kształtować według swoich upodobań. Co też musiała przeżywać Mary Roses i jak wytrzymała te nieznośne próby ulepszenia?

Na biurku leżała wiadomość dla niego. Ogarnięty złym przeczuciem, nie od razu zdecydował się ją przeczytać.

A potem aż trzykrotnie przebiegał wzrokiem linijki pisma; psychiczne udręki, jakich nie doświadczył nigdy dotąd, uczyniły go niezdolnym do jakiegokolwiek reakcji. Pochylił głowę, poddając się wewnętrznemu bólowi, który przyjmował z pokorą, świadom tego, że za wszystko może obwiniać jedynie samego siebie i że jest już za późno.

Utracił ją.

Nie miał pojęcia, jak długo stał nieruchomo, ściskając w rękę list od żony, lecz kiedy w końcu się poruszył, pokój pogrążony był w ciemności. Edward pukał do drzwi, prosząc, by wszedł na dół, gdyż lord Elliott pragnie z nim porozmawiać.

Nie zareagował, lecz po chwili doszedł do wniosku, że ma wiele do powiedzenia teściowi. Nie miał zamiaru dłużej oszczędzać Elliotta i tłumaczyć go brakiem zrozumienia sytuacji. Czuł, że musi porozmawiać z nim o córce.

Elliott stał przy kominku, spoglądając na trzymaną w rękę kartkę papieru.

- Czyżby moja żona także i do pana napisała list pożegnalny?

Elliott powoli pokiwał głową.

- Nie rozumiem - wyszeptał. - Przecież miała wszystko. Dlaczego nie była szczęśliwa? Czy wiedziałeś, że chce wyjechać? Harrisonie, ja nic nie rozumiem. Napisała... chwileczkę, zaraz ci to przeczytam... ostatnia linijka... tak, to tutaj. „Ojcze, wiedz, że cię kocham, i myślę, że gdybyś mnie znał, też byś mnie pokochał”.

Elliott uniósł głowę.

- Przecież ją kocham.

- Tak, kocha ją pan, ale od pierwszej chwili usiłował ją pan zmienić. Nie zdawał pan sobie sprawy z tego, co traci. Proponuję, by pan usiadł, a ja postaram się przybliżyć panu postać pańskiej córki. Myślę, że zacznę od Corrie.

Od szalonej Corrie. Domyślam się, że nigdy pan o niej dotąd nie słyszał. Jak mógłby pan słyszeć? Przecież nie chciał pan tego słuchać. Ale teraz dowie się pan wszystkiego. Jestem zdecydowany wszystko panu wyjaśnić.

Elliott podszedł do sofy i usiadł. Nie był w stanie przestać myśleć o pożegnalnym liście córki, który wciąż ścisnął w rękę.

Harrison opowiedział mu o przyjaźni dwóch kobiet. Elliott zbladł, usłyszawszy, jak wygląda pustelnica. W chwilę później jego oczy zaszyły łzami, kiedy usłyszał, jak Corrie wystawiła rękę przez okno, by pogłodzić córkę po ramieniu.

- Ujmuję mnie jej współczucie dla biednych i nieszczęśliwych - dodał Harrison. - Zresztą myślę, że właśnie ta jej cecha sprawiła, że tak długo wytrzymała tu z nami. Boże, ileż to razy ja sam mówiłem, by okazała wyrozumiałość, by dała wszystkim czas na przyzwyczajenie się do niej i zaakceptowanie. Ale nikt nie chciał jej zaakceptować taką, jaka była naprawdę. Nie może pan zaprzeczyć. Tak właśnie było. Ci „mężczyźni” to jej rodzina. Pańska córka umie grać na fortepianie i biegle włada francuskim.

Powinien być pan z niej dumny.

Była już zbyt późna pora na przedstawienie własnych planów, więc Harrison długo jeszcze opowiadał Elliottowi to, co wiedział o życiu Mary Roses w Ameryce.

Rozmawiali w cztery oczy. Co prawda Lillian próbowała do nich dołączyć, lecz brat ostrym tonem nakazał jej pozostawienie ich samych.

- Miłość ojcowska nie powinna stawiać żadnych warunków - wyszeptał Elliott. - Ale ja...

Nie był w stanie mówić dalej. Rozpłakał się, skrywając twarz w dłoniach.

Harrison podał mu chustkę.

- Każdego ranka siadywała tu ze mną, słuchając moich opowiadań o rodzinie. Nigdy nie mówiła mi o swoich przyjaciółach.

- Nie pozwalał jej pan na to.

Elliott pochylił głowę.

- To prawda, nie pozwalałem. Boże, co ja zrobiłem, co ja zrobiłem...

Harrison był tak wyczerpany psychicznie i fizycznie, że nie potrafił nawet okazać Elliottowi współczucia, którego niewątpliwie potrzebował.

- Wyjeżdżam.

- Co takiego?

- Wyjeżdżam, sir. Skończyłem wszystkie prace, które mi pan zlecił. Robił to pan celowo, prawda? Chciał pan, żeby córka mogła poświęcić panu więcej czasu, więc wysyłał mnie pan w różne strony kraju. Ale nie obwiniam pana za to. Byłem tak opanowany chęcią spłacenia długu wdzięczności wobec pana, że dopuściłem do tego, co się stało. To dlatego tak pochłonęła mnie sprawa MacPhersona. Ale to już przeszłość - powiedział cicho. - Proszę wybaczyć, ale zamierzam teraz udać się na górę i spakować rzeczy.

- Dokąd wyjeżdżasz?

Harrison odpowiedział mu stojąc już w drzwiach.

- Do domu.

Adam Claybome miał być sądzony za morderstwo. Harrison dowiedział się o tym w stajni. Zamierzał wynająć wóz zaprzężony w dwa konie, by przewieźć swoje bagaże do Blue Belle, lecz kiedy starszy mężczyzna, który zarządzał stajniami, powiedział mu, co się stało, Harrison natychmiast zmienił plany.

- Tak, będziemy mieli egzekucję. Jacyś dwaj śmiesznie ubrani faceci z Południa przyjechali tu ze swoim prawnikiem. Słyszałem, że chcą, aby sędzia Bums wydał im Adama, żeby proces mógł odbyć się tam, skąd przyjechali, ale ludzie mówią, że sędzia się na to nie zgodzi. Sam będzie chciał go osądzić, bo inaczej nie miałby tu życia za to, że odebrał ludziom takie widowisko. To dlatego jest tu dzisiaj tak pusto, a zobaczy pan, że jutro to już zupełnie wszystko będzie zamknięte. Ludzie w Blue Belle będą mieli wielkie święto.

Niektórzy urządzają sobie piknik, inni będą wiwatować, obserwując, jak sobie dynda na szubienicy. Coś mi się widzi, że kobiety na pewno będą płakać. Tak czy owak, tańce zaczną się dopiero wieczorem, o zachodzie słońca. To będzie wielka zabawa, radzę panu nie przegapić okazji.

Harrison dowiedział się wszystkiego, czego chciał. Bezzwłocznie wynajął konia, wręczył staruszkowi dwadzieścia dolarów i poprosił, by znalazł kogoś do przewozu bagaży.

Właśnie kończył siodłać karego konia, kiedy staruszek powiedział:

- Wnoszę z pańskiego pośpiechu, że nie chce pan stracić okazji. Ale ma pan jeszcze sporo czasu - pośpieszył z zapewnieniem. - Ja wyjadę dopiero za parę godzin. Sam zawiozę pańskie rzeczy. Chętnie zarobię te dwadzieścia dolarów.

- Adam Claybome jest niewinny. - To powiedziawszy, Harrison dosiadł konia.

- To nie ma znaczenia. On jest czarny, a oskarżają go dwaj biali. Claybome[^] i tak czeka stryczek.

Staruszek odwrócił się, by stwierdzić, że nikt nie słyszał jego słów. Harrison odjechał.

Pędził do Blue Belle na złamanie karku, przerażony tym, co mogło się tam już wydarzyć. Musiał zdążyć dojechać, zanim sytuacja w miasteczku zupełnie wymknie się spod kontroli. Nigdy dotąd nie widział tłumu dopuszczającego się linczu, lecz naczytał się na ten temat wystarczająco wiele, by czuć teraz zimne ciarki wędrujące wzdłuż kręgosłupa. Nie miał pojęcia, jak ratować Adama, lecz nie tracił nadziei, że z Bożą pomocą uda mu się wymyślić coś zgodnego, a choćby i niezgodnego z prawem.

Wolał nie myśleć w tym momencie o Mary Roses i o tym, co musi przeżywać.

Skoncentrował myśli wokół osoby Adama. Wiedział, że Adam miał za sobą jakieś mroczne przeżycia, lecz brat Mary Roses nigdy nie powiedział mu jakiego.

Morderstwo? Nie potrafił sobie wyobrazić tego łagodnego człowieka zabijającego kogoś bez uzasadniającego taki czyn powodu.

Chociaż Harrison nie był szczególnie religijny, żarliwie modlił się teraz do Boga o pomoc. Bał się. Potwornie się bał.

Oby nie było za późno. Panie Boże, spraw, żeby nie było za późno.

Przesłuchanie odbywało się w pustym pomieszczeniu sklepowym znajdującym się naprzeciwko sklepu Morrisona. W pomieszczeniu nie było gdzie wetknąć szpilki. Mary Roses siedziała przy stole obok brata. Po drugiej stronie siedział Travis. Douglas i Cole stali na zewnątrz. Nie pozwolono im wejść, ponieważ sędzia Bums obawiał się, że na sali może dojść do zamieszek.

Oskarżyciele Adama zasiedli na przeciwległym końcu stołu. Było ich trzech - adwokat i dwaj łajdacy, którzy mianowali się synami Livonii. Mary Roses nie mogła na nich patrzeć.

Sędzia Bums co chwila walił młotkiem w stół i podniesionym głosem prosił o ciszę, grożąc wyproszeniem zgromadzonych z sali. Mary Roses była tak oszołomiona, że nie docierały do niej słowa sędziego.

Wszyscy z wyjątkiem mieszkańców Blue Belle obrócili się przeciwko jej bratu. Wszyscy co do jednego. Wystarczyło pstryknąć palcami, by z uśmiechających się znajomych przeobrazili się w gniewnych sędziów. To dzięki Adamowi znaleźli się na sali, lecz jego uprzejmość nie miała teraz dla nich najmniejszego znaczenia. Był czarny, a jego oskarżyciele byli biali i tylko to się teraz liczyło. Nie potrzebowali już żadnych innych argumentów, by dokonać oceny wydarzeń. Adam był winny, bez względu na okoliczności. Gdyby tylko mogli wywlec go z sali i ukrzyżować, zrobiliby to z ochotą. Mary Roses nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości.

Nie wiedziała, jak się temu przeciwstawić. Adam zachowywał stoicki spokój i godność. Mimo iż dobrze zdawał sobie sprawę, co może go czekać, jego twarz wyrażała jedynie łagodne zaciekawienie. Delikatnie pogładziła jego dłoń.

Jak mogłaby mu pomóc? Jak ktokolwiek mógł to zrobić?

Sędzia ponownie uderzył młotkiem w stół. Miał zamiar oddalić wniosek, by proces odbył się na Południu.

- Przejrzałem dokumenty; wydają się wiarygodne.

Prawnik, którego przywieźli synowie Livonii, zerwał się na nogi. Nazywał się Floyd Manning i, przedstawivszy się sędziemu, nie omieszkął dodać, że pochodzi z rodziny, która od ponad stu lat mieszka w Południowej Karolinie.

Zapewne jego zdaniem przydawało mu to splendoru.

- Oczywiście, że są wiarygodne - powiedział. - Czy w takim razie możemy zabrać Claybome'a? Nie pozostaje wysokiemu sądowi nic innego, jak tylko postąpić zgodnie z prawem.

Tłum na sali zawył przeciągle. Kojoty domagały się żeru.

- Nie pozwól go zabrać, sędzio! - krzyknął ktoś z tyłu sali. - To nie fair.

Moja rodzina czeka na zewnątrz. Obiecałem im...

- Proszę się natychmiast uspokoić! - wykrzyknął sędzia w stronę niezadowolonego widza. - Zanim usiłował pan wymóc na mnie decyzję, Floydzie Manning, chciałem powiedzieć, że mam pewien problem z tym oto dokumentem. Prawo jest prawem, lecz sugerowanie, że nie mam innego wyjścia, jest wielkim zuchwalstwem z pańskiej strony. Postawmy sprawę jasno. Tutaj ja decyduję, co jest zgodne z prawem. Moje decyzje mają moc obowiązującą i stwierdzam, że Adam Claybome nie będzie panom wydany. Chcecie, by zawisnął na szubienicy, ale będziecie musieli poczekać, aż uznam, czy jest winny, czy nie.

- Ależ Wysoki Sądzie, w Południowej Karolinie... - zaczął Manning.

- Nie jesteśmy w Południowej Karolinie - rozległ się głos z tyłu sali. - Proszę go zaraz osądzić, panie sędzio. Jest już prawie południe.

Sędzia wyglądał tak, jakby miał zamiar kogoś zastrzelić. Jako że był jedyną uzbrojoną osobą na sali, uznał, że może zagrozić użyciem broni, jeśli publiczność się nie uspokoi.

Powiódłszy wzrokiem po tłumie zgromadzonych, zwrócił się do prawnika o stuletnim rodowodzie.

- Pragnąłbym zwrócić pana uwagę, że jesteśmy terytorium, a nie stanem, i, jak już mówiłem, moje decyzje mają tu moc obowiązującą.

Mary Roses opuściła głowę. Rozpaczliwie walczyła ze łzami cisnącymi się do oczu. Była tak zdenerwowana, że jej ramiona pokryły się gęsią skórką. Czy ten koszmar nigdy się nie skończy? Jej bracia mieli nadzieję, że Bums wyda Adama przybyszom z Południa, i zamierzali odbić go i ukryć w górach, dopóki nie znajdą wyjścia z sytuacji.

Podeksytowany tłum oczekiwał teraz, że sędzia natychmiast przystąpi do przeprowadzenia procesu. Bums lada chwila mógł przestać panować nad sytuacją. Zdecydował się więc sięgnąć po rewolwer i miał zamiar kilkakrotnie wystrzelić w sufit, by przyciągnąć uwagę zgromadzonych.

Nie musiał jednak uciec się do tak drastycznego posunięcia. Zaledwie odbezpieczył broń, przez tłum przeszedł dziwny szmer. Bums uniósł wzrok i zauważył Harrisona, torującego sobie drogę pośród rozwścieczonych mężczyzn.

Mary Roses zdała sobie sprawę, że na sali zapanowała cisza, i mocniej zacisnęła dłonie. Co mogło się wydarzyć? Czyżby prowadzono Douglasa i Cole'a? Bała się podnieść wzrok.

Hamson przeszedł tuż obok niej. Nie spojrzawszy nawet na jej braci, podszedł do stołu, za którym siedział sędzia Bums.

- Mam sprawę do Wysokiego Sądu.

Drgnęła, podniosła głowę i zamrugła powiekami, nie wierząc własnym oczom. Zamknęła oczy, lecz po ich otwarciu Hamson nie zniknął. Hamson?

Harrison jest w Blue Belle? Nic nie rozumiejąc, z trudem zaczerpnęła tchu.

- Proszę powiedzieć, co to za sprawa - polecił sędzia.

- Nazywam się Hamson Stanford MacDonald...

Bums nie pozwolił mu dokończyć.

- Po co podajesz mi swoje nazwisko? Przecież doskonale je znam.

- Chcę, żeby zostało wniesione do protokołu, Wysoki Sądzie.

- O jakim protokole mówisz? Nie sporządzamy tu żadnych protokołów.

Jesteśmy jedynie terytorium i nie prowadzimy tak szczegółowej dokumentacji, jak w sądach stanowych. Proszę powiedzieć, o co chodzi - powtórzył.

- Reprezentuję Adama Claybome'a.

Oczy sędziego rozbłysły zaciekawieniem. Odchyliwszy się na krześle, potarł dłonią brodę.

- Reprezentujesz oskarżonego?

- Tak, Wysoki Sądzie.

- W takim razie usiądź, ponieważ mam zamiar sądzić go za morderstwo.

- Czy w obrębie terytorium oskarżony ma prawo do uczciwego procesu?

- zapytał Hamson.

Sędzia znał Harrisona na tyle dobrze, że wiedział, iż to pytanie nie miało na celu obrazić sądu.

- Oczywiście.

- W takim razie muszę mieć czas na naradzenie się z moim klientem.

- Jak długo to potrwa?

- Miesiąc.

Przez salę przeszedł gniewny pomruk niezadowolenia. Sędzia spokojnie uniósł rewolwer i wypalił w powietrze.

- Nie mogę tak długo czekać, Harrisonie.

- Wysoki Sądzie, muszę mieć czas na przygotowanie się do obrony.

- Gdzie mamy go trzymać, zanim zdecydujesz się, jaką przyjmiesz linię obrony?

- Proponuję, by został zwolniony za moim poręczeniem.

- On ucieknie, panie sędzio. Czarnuch ucieknie. Sam się pan sędzia przekona.

Sędzia Bums wychylił się zza stołu, by spojrzeć na mężczyznę, który wypowiedział te słowa.

- Czy to ty, Bickley, ośmielasz mi się przeszkadzać? Jak mi Bóg miły, jeśli natychmiast się nie zamkniesz, wpakuję ci kulę w tyłek. Daję ci dwa tygodnie, Harrisonie. Czy mógłbyś złożyć kaucję na wypadek, gdyby Adam dał nogę?

- Dam wszystko, co posiadam.

- Wystarczy sto dolarów. Resztę dasz za dwa tygodnie, chyba że on ucieknie.

- Tak jest, Wysoki Sądzie.

Sędzia uderzył młotkiem w stół.

- Adam Claybome pozostanie w areszcie domowym do czasu rozprawy.

Ci, którym się to nie podoba, niech czuwają, by nie wyściubił nosa poza granice posiadłości Claybome'ów. Słyszycie wszyscy, co mówię? Bickley, jeśli nie masz nic lepszego do roboty, możesz wleźć na drzewo i stamtąd obserwować teren. Zrozumiano? Ogłaszam, że jeśli ktokolwiek postawi stopę na terytorium Claybome'ów, mają prawo użyć broni. Rozprawa odbędzie się za dwa tygodnie.

Odraczam posiedzenie sądu.

Sędzia po raz ostatni uderzył młotkiem w stół.

- Czeka cię niełatwe zadanie, Harrisonie - powiedział cicho. - Mam pełną teczkę dowodów przeciwko Adamowi. Możesz się z nimi zapoznawać, a ja wyjadę na ryby. Papiery zostawię u Belle. Przynieś tam te sto dolarów.

Do Hamsona podszedł Floyd Manning.

- obrońca czarnuchów - zasyczał.

Sędzia usłyszał go.

- Nie ma pan tu już nic do roboty, Manning. Może pan jechać do domu.

Sam wystąpię w roli prokuratora. To będzie rozprawa z udziałem przysięgłych i ja sam dokonam wyboru dwunastu sędziów.

Krzaczaste brwi Manninga zbiegły się w jedną gniewną linię.

- Ten chłopak nie zasługuje na uczciwy proces. Oni wszyscy powinni być stąd wywleczeni i powieszani.

Jego twarz pokryła się szkarłatnymi plamami. Był wściekły, że rozprawa przebiegła nie po jego myśli.

Sędzia Bums popatrzył na Hamsona.

- Kogo on chciałby powiesić? Całe miasteczko czy tylko Claybome'ów?

Manning z rozkoszą udzielił mu odpowiedzi.

- Oczywiście, miałem na myśli Claybome'ów, a szczególnie tę białą dziewczynę mieszkającą pod jednym dachem z czarnuchem. To dziwka.

- Czy chciałbyś coś powiedzieć na ten temat? - zapytał sędzia.

Harrison policzył do dziesięciu i dopiero wtedy zdecydował się na odpowiedź. Jednakże zwłoka nie spowodowała zmiany decyzji.

- Jaką grzywnę wymierza się tu za napaść z zamiarem pobicia. Wysoki Sądzie?

W oczach Burnsa zamigotały wesołe iskierki.

- Pięć dolarów, zważywszy na szczególne okoliczności.

Harrison wyjął z kieszeni pięć dolarów i położył je na stole.

To, co zdarzyło się zaraz potem, tak zaskoczyło prawnika z Południa, że nie miał czasu na jakąkolwiek reakcję. Harrison mocno uderzył go pięścią w twarz.

Po tym ciosie Manning stracił przytomność i bezwładnie osunął się na podłogę. Sędzia wychylił się zza stołu, by mieć lepszy widok na leżącego, po czym popatrzył na Hamsona.

Z trudem powstrzymywał się od śmiechu.

- No cóż, to było działanie z premedytacją, Harrisonie.

Harrison wręczył mu pieniądze i podszedł do żony i jej braci.

Powiódł wzrokiem po twarzach zebranych. Mężczyźni niespiesznie opuszczali salę i Harison miał dużo czasu, by im się przyjrzeć. Nie zauważył nikogo znajomego.

Travis chciał wstać, lecz Harrison kazał mu zostać na miejscu.

- Mary Roses, proszę, wstań i podejdź do mnie. Sprawiasz wrażenie zaskoczonej, że mnie tu widzisz.

Nie wahała się ani chwili. Szybko wstała i podeszła do niego. Pochyliwszy się, pocałował ją w czoło, po czym mocno przytulił.

- Witaj, Harrisonie - powiedział cicho Adam.

- Kiedy to się stało? - zapytał.

- Obudzili mnie wczoraj - odpowiedział Adam. - I oto tu jestem. Przyjechałeś w samą porę. Za godzinę mogło już być za późno. Może wstrzymaliby się do jutra z egzekucją, ale gdyby zapadł wyrok, nikt nie mógłby już nic zrobić w tej sprawie.

Ostatni widzowie opuszczali pomieszczenia sklepowe. W sali pojawili się Douglas i Cole.

- Zamknijcie drzwi! - krzyknął Harrison.

- Wyjdźmy stąd jak najszybciej - mruknął Cole. Podał Travisowi rewolwer, przeciskając się obok wychodzących. - Adam, w porządku?

- Tak - odpowiedział jego brat.

Harrison wypuścił Mary Roses z objęć. Nie odsunęła się jednak od niego.

Trzęsła się teraz na całym ciele. Miała za sobą bardzo ciężki dzień, a następne nie zapowiadały się lepsze.

Pragnął jej tak wiele powiedzieć, lecz z pewnością nie było teraz po temu ani czasu, ani miejsca. Doprowadzenie Adama na ranczo wymagało od nich wszystkich pełnej koncentracji.

- Myślę, że powinniśmy uciec stąd jak najszybciej - zaproponował Cole.

- Jeśli spróbujemy to zrobić, wystrzelają nas jak kaczki - zaproponował Travis.

- Travis ma rację - powiedział Douglas. - Nie możemy teraz uciekać.

- Jeśli mam gdzie iść, to tylko do domu - obwieścił Adam. Odsunąwszy krzesło, wstał. - Harrisonie, nie wiem, czy powinienem ci dziękować, czy cię uderzyć. Dałeś mi dwa tygodnie na myślenie o pętli zaciskającej się na mojej szyi.

- Widzę, że nie darzysz zbyt wielkim zaufaniem swojego obrońcy - zauważył chłodno Harrison.

- Mam do ciebie wielkie zaufanie. Ale jest problem z resztą świata. Jesteś szlachetnym człowiekiem, Harrisonie, a to rzadka cecha w dzisiejszych czasach. Powiedziałem Mary Roses, że wrócisz. Nie chciała mi wierzyć. Ale teraz już chyba uwierzyła.

Harrison zeszywniał. Naprawdę myślała, że zostanie w Anglii i będzie zajmował się swoimi sprawami, jakby nic się nie stało? Czyż nie rozumiała, że zabrała z sobą jego serce?

- Harrison, idziesz z nami do domu, czy najpierw wstąpisz do Belle zapoznać się z aktami sprawy? - zapytał Travis.

- Do domu - odpowiedział. - Chcę najpierw porozmawiać z Adamem.

Przed sklepem czekała na nich spora grupka mieszkańców Blue Belle, którzy serdecznie pozdrawiali Adama, dodając mu otuchy. Świadomość, że mieszkańcy miasteczka nie zwrócili się przeciwko niemu, stanowiła duże pocieszenie.

Hamsonowi przypadło zadanie ochrony tyłów podczas powrotu do domu.

Szedł w sporej odległości za Mary Roses i jej braćmi, a kiedy schodzili z ostatniego pagórka, zatrzymał się i poczekał, dopóki nie znaleźli się poza zasięgiem strzału.

Gdy wszedł do domu, Mary Roses i bracia siedzieli przy stole w jadalni i ściszonymi, pełnymi niepokoju głosami rozmawiali na temat dwutygodniowego odroczenia rozprawy.

Mary Roses myślała o Harrisonie. Spotkanie sprawiło, że odczuwała teraz niezwykle silną tęsknotę. Dlaczego wrócił? Nie była przecież kobietą, jaką chcieliby widzieć londyńscy krewni. Czyżby tego nie rozumiał? Boże, co teraz ma zrobić? Była tak przygnębiona od chwili, kiedy go opuściła... aż do dzisiaj.

Czuła się tak, jakby wszystko w niej umarło, a kiedy dzisiaj spokojnym krokiem wszedł do sali, by pośród ogólnego szaleństwa zaprezentować głos rozsądku, natychmiast odżyła.

Usłyszała, jak Harrison wchodzi do domu i idzie na górę. Skrzypnęły otwierane i zamykane drzwi. Pomyślała, że szuka jej pokoju; czyżby oznaczało to, że zamierza tu zostać?

W końcu zszedł na dół.

- Adamie, chciałbym porozmawiać z tobą w cztery oczy w bibliotece.

Nawet na nią nie spojrzął.

- Moi bracia i siostra wiedzą o wszystkim - powiedział Adam.

- W cztery oczy - powtórzył Harrison.

Nie niepokojeni przez nikogo, spędzili ponad dwie godziny. Harrison nalegał, by Adam opowiedział mu wszystko, co pamiętał, na temat rozkładu dnia w czasach, kiedy pracował na plantacji, i na temat ludzi, którzy byli jego właścicielami.

- Pani Livonia wyszła za mąż za Waltera Adderleya. Mieli dwóch synów.

Obu widziałeś dzisiaj w sądzie. Reginald jest o kilka lat młodszy ode mnie.

Lionel jest starszy. To wykupany ojciec. Walter był pijakiem. Zaczynał pić w południe, a wieczorem trzeba go było nieść do łóżka. Kiedy wypił, robił się okropnie podły, co znaczyło, że był taki przez większość czasu. Prowokował wtedy kłótnie ze swoją żoną. Coś się musiało wydarzyć między nimi, bo kiedy był pijany, nie mógł wprost znieść jej widoku.

- Bił ją?

- O tak, często puszczał pięści w ruch. Nie była dla niego godnym przeciwnikiem. Miał ponad sześć stóp wzrostu, a ona była bardzo drobna. Bił też moją mamę. Była towarzyszką Livonii, więc też obrywała za swoje.

Późnym popołudniem w piątek, gdzieś tak w porze kolacji, przechodziłem koło domu po drodze z plantacji, kiedy usłyszałem krzyk pani Livonii. Adderley bił je obie. Wpadłem pomiędzy Livonię a mojego właściciela, ponieważ kiedy wszedłem do pokoju, okładał ją pięściami. Pamiętam, że przyszło mi do głowy, że jeśli ściagnę na siebie jego gniew, da spokój mamie i Livonii. Mama miała zakrwawiony nos i opuchliznę koło oka. Livonia wyglądała znacznie gorzej.

Próbowała podnieść się z podłogi i prawie już jej się to udało, kiedy ponownie ją uderzył. Upadła. Błagała go, by przestał, a on zaczął ją wtedy kopać. Prosiła go o zmiłowanie i modliła się. Błagała, żebym jej pomógł... więc to zrobiłem.

Adam przerwał i głęboko zaczerpnął tchu.

- Złapałem go w pasie i odciągnąłem, a mama podbiegła wtedy do Livonii i pomogła jej wstać.

- Adderley wpadł w szał. Ryczał, że zabije Livonię, wyrwał mi się i znów do niej dopadł. I wtedy go uderzyłem. Zatoczył się do tyłu na jakieś dziesięć stóp, a potem natarł na mnie. Zachwiał się i trzasnął głową o krawędź kominka. Pomyślałem, że nie żyje, jeszcze zanim zwałił się na podłogę.

- Gdzie go uderzyłeś?

- W brodę.

- A nie z tyłu? Powiedziałeś, że odwrócił się w stronę Livonii...

- Tak, ale byłem szybszy niż on. Stałem przed panią Livonią i uderzyłem go, kiedy próbował ją kopnąć.

- I co się potem stało?

- Pani Livonia dała mi pieniądze i kazała uciekać. Ona i mama miały powiedzieć władzom, że zostałem sprzedany. Kiedy przybyły władze, Livonia powiedziała im, że to był

wypadek. Żadna z kobiet nie wspomniała o mnie ani słowem. Nie mogłem zrobić Adderleyowi żadnej krzywdy moim ciosem.

Miałem trzynaście lat i nie wiedziałem, jak się walczy. Nikt nie podał w wątpliwość słów Livonii. Opowiedziała wszystkim, jak jej mąż zatoczył się po pijanemu i uderzył o krawędź kominka. Uznano, że to był wypadek.

- Czy ktoś inny widział, co się stało?

- Nie.

- To dlaczego jej synowie cię niepokoją? Jakie mogą mieć dowody?

- Listy, które pisałem do mamy. Ona przechowywała wszystkie listy.

Synowie Adderleya musieli je znaleźć. W kilku listach pisałem o tych wydarzeniach i o tym, że się o nią niepokoję.

Harrison westchnął.

- Nie popełniłeś żadnego przestępstwa, Adamie.

- Byłem niewolnikiem i odważyłem się podnieść rękę na mojego pana.

Uderzyłem go. Jego synowie uważają, że to wystarczający powód, by skazano mnie na śmierć.

- Myślisz, że synowie Adderleya zmusili matkę do opowiedzenia o wszystkim, co zaszło?

- Na pewno. Lionel zaczyna postępować podobnie jak jego ojciec. Mama pisze, że bardzo boi się o panią Livonię. Ale to wszystko nie ma znaczenia, prawda? Jeżeli dwaj biali mężczyźni oskarżą mnie o morderstwo, to obaj dobrze wiemy, że zostanę skazany.

- Nie poddamy się bez walki - obiecał mu Harrison. - Chciałbym cię o coś jeszcze zapytać. Czy chcesz zostać i stawić temu czoło, czy wolałbyś uciec?

- A pozwoliłbyś mi uciec, nawet gdybym chciał? Położyłeś na szalę wszystko, żeby przekonać sędziego, że nie ucieknę.

- Nie zastawiłem swego największego skarbu - odpowiedział. - Wciąż mam Mary Roses, jeżeli pozwoli mi tu zostać.

- Co mi radzisz?

- Adamie, jesteś moim bratem od dnia, w którym ożeniłem się z twoją siostrą. Nie chcę, żeby stało ci się coś złego. Ale jako twój obrońca radziłbym ci zostać i walczyć.

- A więc brat radzi mi ucieczkę, a prawnik wolałby, żebym został i walczył, - Coś w tym rodzaju - zgodził się Harrison. Zauważył oprawiony w ramki fragment utworu, który Adam przepisał i powiesił na ścianie. Teraz rozumiał już, dlaczego Adam tak lubił te słowa.

- Musisz mi coś obiecać, Adamie.

- Tak?

- Kiedy będzie już po wszystkim i kiedy wygramy, zdejmiesz ze ściany ten cytat.

Adam wstał i rozprostował ramiona.

- Przez całe dotychczasowe życie byłem zmuszony ukrywać się i czekać.

Nie mam zamiaru tak dłużej żyć. Zawsze wiedziałem, że ten dzień nadejdzie, a teraz, kiedy w końcu nadszedł, chcę zostać i stawić mu czoło. „Komu bije dzwon - dodał szeptem. - Biję on tobie.”

- Ależ to ponure.

- Bo też wcale mi nie do śmiechu. Mam dzisiaj prawo być ponury. Czy już skończyliśmy?

Harrison uśmiechnął się.

- Dopiero zaczynamy. Będziemy musieli ustalić, co masz mówić w sądzie, a o czym, moim zdaniem, mówić nie powinienes. Usiądź. Mamy przed sobą cały wieczór.

Harrison zaczął robić notatki. Cole przyniósł ser, herbatniki i piwo. Ponieważ nie poproszono go o wyjście z biblioteki, oparł się o biurko i słuchał, jak Harrison zadaje bratu kolejne pytania.

Travis i Douglas dołączyli do nich po godzinie, lecz Mary Roses została w kuchni. Pomyślała, że Adam będzie czuł się swobodniej, nie martwiąc się o jej reakcję na drastyczne szczegóły.

Nie mogła przelknąć ani kęsa, była zbyt zdenerwowana, i po kilku godzinach siedzenia przy stole i rozmyślania o Adamie wstała i poszła do swego pokoju.

Jej myśli zaczęły krążyć wokół Harrisona. Co zamierzał zrobić? Nazwał ją Victorią. Kogo w takim razie kochał? Czy nie rozumiał, że zwracając się do niej w ten sposób złamał jej serce? Czy nie mógł jej kochać taką, jaka była naprawdę?

Na poduszce leżał piękny kwiat. Nie była to róża, lecz wspaniała purpurowa wierzbówka.

Zrozumiała, co pragnął jej przypomnieć, poczynając od pierwszej nocy w Anglii, kiedy poprosił o położenie czerwonej róży na poduszce. Wiedział, jak będzie wyglądało jej życie w Anglii, jak ciężko będzie się jej dostosować do wymagań rodziny, więc gdy wszyscy dookoła starali się w niej wszystko zmienić, Hamson mówił bez słów, że kocha ją taką, jaka jest. Że akceptuje ją ze wszystkimi zaletami i wadami.

Była jego różą.

Zadziwił ją i zawstydził zarazem. Jak mogła wątpić w prawdziwość jego uczuć? Czy kiedykolwiek wybaczy jej ten brak zaufania?

Usiadła na brzegu łóżka i delikatnie tuląc kwiat zwiesiła głowę i zapłakała.

- Kwiat powinien dawać radość, nie smutek.

W drzwiach stał Harrison. Serce podskoczyło jej w piersi tak gwałtownie, jakby wykonywało salto. Był tak zaniepokojony, zmęczony i... bezbronny.

- Kochasz mnie.

- Tak.

- Dziękuję - wyszeptała.

- Za to, że cię kocham?

Pokręciła głową.

- Za to, że cierpliwie przetrwałeś okres moich wątpliwości. Tak bardzo cię kocham, a tak bardzo się bałam. Zaczekaj - dodała, widząc, że zmierza w jej stronę. - Najpierw chcę prosić cię o przebaczenie.

Ze zdumieniem stwierdziła, że się uśmiecha. Nie powinna się uśmiechać w takim momencie. Powinna zachować powagę, by uwierzył w jej zapewnienia, że odtąd zawsze już będzie mu ufać.

- Masz cierpliwość Hioba - zaczęła. - Przez cały ten czas czekałeś, aż zrozumiem, prawda?

- Nie, ty zawsze to wiedziałaś. Ja ci tylko o tym przypominałem.

- Nazwałeś mnie Victorią.

- Naprawdę? - Wydawał się szczerze zdumiony.

- Złamałeś mi serce.

Hamson zamknął drzwi i podszedł do niej.

- Kocham cię, Mary Roses MacDonald. Nieważne, pod jakim imieniem.

Możesz je sobie zmieniać co tydzień i wcale mi to nie będzie przeszkadzało.

I tak na zawsze pozostaniesz moją Różą.

Nie miała już ochoty dłużej tulić kwiatu. Chciała mieć w ramionach męża, Położyła kwiat na stoliku i wstała.

- Kocham cię - powiedziała. - Przepraszam, że nie miałam do ciebie zaufania. Czy kiedykolwiek będziesz w stanie mi to wybaczyć?

- Powiniennem być przy tobie. Wiedziałem, co cię czeka w Anglii, i powiniennem być już dawno temu zrezygnować z pracy dla twojego ojca. Nie powiniennem być za wszelką cenę dążyć do uporania się najpierw ze sprawami zawodowymi. Czy będziesz w stanie kiedykolwiek mi to wybaczyć?

- Zrezygnowałeś z pracy? - zapytała szeptem.

- Mam nadzieję, że po powrocie nie narobiłaś jakichś głupstw i nie przyszedł ci do głowy żaden szalony pomysł.

- Jaki szalony pomysł?

- Na przykład wystąpienie o rozwód, który podobno bardzo łatwo jest tu dostać.

- Nie odpowiem ci na to pytanie, dopóki mnie nie pocałujesz. Och, Harrisonie, nawet dzisiaj pamiętałaś, że kiedyś myślałam, że wierzbowki to róże. Proszę, pocałuj mnie.

- Jeśli dostałaś rozwód, ostrzegam, że ponownie się z tobą ożenię. Musisz na zawsze być moja.

Po tych słowach wziął ją w ramiona i nakrył jej usta namiętym, czułym pocałunkiem. A wtedy opuścił go niepokój, jaki odczuwał w czasie rozłąki, i ponownie poczuł się szczęśliwy.

Obsypywała gorącymi pocałunkami jego twarz.

- Czemu tak długo zwlekałaś z przyjazdem do mnie?

- Kochanie, gdybyś obejrzała się za siebie na statku, na pewno zobaczyłabyś, jak macham do ciebie - zażartował. - Przyjechałem najszybciej, jak tylko mogłem. Muszę cię jeszcze raz pocałować.

Aż drżeli z chęci ponownego odnalezienia się w miłości. Mary Roses oparła głowę o jego tors. Uwielbiała słuchać mocnych, miarowych uderzeń jego serca, zresztą kochała w nim wszystko, kochała go nawet wtedy, gdy doprowadzał ją do szaleństwa swoim uporem i zuchwałością.

Zastanawiała się, czy on zdaje sobie sprawę z tego, jaki jest wspaniały.

- Tutaj wcale nie jest łatwo o rozwód. Naczytałaś się zbyt wielu tanich powieści, Harrisonie. Nie, nie rozwiodłam się z tobą. Na zawsze, pamiętasz?

Oparł brodę o czubek jej głowy. Boże, jaki był szczęśliwy. Czuł się znów pełnowartościowym człowiekiem, a to wszystko za przyczyną jej niezwyklej miłości.

- Czy wrócimy do Anglii? Gotowa jestem pojechać z tobą choćby na koniec świata. Dopóki będziemy razem, będę szczęśliwa.

Był zachwycony i głęboko wzruszony jej wyznaniem. Była gotowa zrezygnować dla niego ze swego rajy i uczyniłaby to chętnie, ponieważ go kochała.

- Nie, nie wracamy do Anglii. Zamieszkamy tutaj. Kupię kawałek ziemi w pobliżu waszego domu i postawię na nim dom.

Rozpląkała się. Oczywiście natychmiast pośpieszyła z zapewnieniem, że to łyzy radości. A potem cofnęła się o krok i powiedziała, że nie odezwie się do niego ani słowem, dopóki nie zdejmie z niej ubrania.

Był zachwycony, że jest gotowa tak chętnie go przyjąć. Ustanowił chyba rekord świata w zdejmowaniu ubrania, dziwiąc się, że niczego przy tym nie rozdarł. Któreś z nich odchyliło koce i po chwili znaleźli się w łóżku.

Nakrywszy ją sobą całował ją delikatnie, dopóki nie poczuł, że jej usta rozchylają się. Koniuszki ich języków spotkały się na chwilę, by zaraz zacząć penetrować ciepłe wnętrze. Chciał rozkoszować się nią jak najdłużej i powtarzał sobie w duchu, że nie wolno mu dążyć do jak najszybszego zaspokojenia swej ogromnej tęsknoty, lecz ona sama mu to uniemożliwiła. Pieściła jego ciało, a kiedy dotknęła członka, zapomniał o swoich postanowieniach.

Chwyciwszy jej długie kędziory, owinał je wokół dłoni i zmienił pozycję.

Zanurzył język głęboko w jej ustach, jednocześnie zagłębiając się w niej jednym mocnym pchnięciem. Czując otaczające go ciasne ścianki, zamknął oczy w uniesieniu.

Podciągnęła kolana, by jak najpełniej się z nim zespolić, cichutko kwiląc z rozkoszy. Intensywność doznań sprawiła jednak, że wkrótce utraciła kontrolę nad sobą. Czując, jak rozkosz ogarnia ją kolejnymi gorącymi falami, bezwiednie robiła wszystko, by znaleźć zaspokojenie.

Okazał więcej opanowania niż ona i dopiero gdy poczuł spazmy jej rozkoszy, przyspieszył i tak już szybki rytm pchnięć i osiągnął spełnienie.

Była to rozkosz doskonała.

Nie miał sił, by położyć się obok niej na łóżku, więc pozostała mu nadzieja, że nie miażdży jej swym ciałem, a gdy jego umysł był już w stanie nakłonić ciało do współpracy, zyskał tak potrzebną mu pewność.

Tym razem nie płakała. Śmiała się radośnie. Ten śmiech okazał się zaraźliwy.

W końcu uniósł się na łokciu, by zajrzeć w jej błyszczące oczy.

- Było miło, prawda?

Pokiwała głową.

- Było cudownie.

- Zachowywałem się jak parzące się zwierzę.

Wybuchnęła perlistym śmiechem.

- Ja też. Ale te wspomnienia zaczynają mi się pomału zacierać. Czy mógłbyś mi to przypomnieć?

- Wykończysz mnie, Mary Roses.

Omali jej się to nie udało. Harrison zasnął godzinę później, przekonany, że umiera jako szczęśliwy człowiek.

2 stycznia 1876

Kochana Mamo!

Dzisiaj kończę szesnaście lat i nareszcie będę mogła nosić mój piękny medalion. Tak długo czekałam na tę chwilę. Jeszcze raz dziękuję Ci, Mamo, za ten piękny prezent. Zawsze będzie moim najcenniejszym skarbem. Jestem taka szczęśliwa, że mam Ciebie. Adam mówi, że Bóg ma nas wszystkich w Swej opiece od dnia, w którym Bracia znaleźli mnie w tym śmietniku. I On ma rację, Mamo. Bóg dał mi czterech kochających Braci, którzy się, mną opiekują, i dbają o mnie, i dał mi Ciebie.

Udało mi się już zebrać połowę pieniędzy, które będą mi potrzebne na podróż do Karoliny. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, w przyszłym roku będę mogła do Ciebie przyjechać. To jest moje wielkie marzenie, Mamo. Proszę, pozwól mi przyjechać. Tak bardzo chciałabym cię uścisnąć.

Twoja córka Mary Roses Maiy Roses obudziła Harrisona około pierwszej w nocy, wstając z łóżka.

- Dokąd idziesz? - zapytał rozspanym głosem.

- Na dół. Umieram z głodu. Nie chciałam cię budzić. śpij.

Harrison stwierdził, że on także jest głodny. Włożył spodnie, uderzając się przy tym w palec, i skakał po pokoju na jednej nodze, mamrocząc coś gniewnie pod nosem.

- Ćśś... - powiedziała cicho rozbawiona. - Nie chcę niepokoić braci.

Było już za późno. Harrison narobił tyle zamieszania, narzekając na bolącą stopę, że obudził cały dom.

Cole pierwszy dosiadł się do nich przy stole. Mary Roses, siedząc na kolanach Harrisona, kroїła ser.

Zobaczywszy brata, natychmiast usiadła na sąsiednim krześle.

- Nie mogłem spać - wyjaśnił. Usiadłszy naprzeciwko Harrisona, spojrzał na niego poważnym wzrokiem. - Myślisz, że to ci się uda?

- Obawiam się, że nie jestem w stanie ci tego zagwarantować, Cole.

- W takim razie pomóż mi namówić Adama do ucieczki.

- Nie mogę tego zrobić. Musi podjąć samodzielną decyzję. Powinieneś go w tym wspierać. On na pewno starałby ci się pomóc w taki właśnie sposób.

Cole potrząsnął głową.

- Adam na pewno nie potrafiłby biernie przyglądać się, jak umieram.

Mówię wam tu i teraz, że jeżeli on ma być skazany, to natychmiast go stąd zabieram.

Mary Roses błyskawicznie straciła apetyt, czując, jak jej żołądek kurczy się ze strachu.

- Myślę, że powinniśmy zaufać Harrisonowi, Cole. Możesz mi wierzyć, że zrobi wszystko, by ocalić Adama.

Harrison nakrył jej dłoń swoją.

- Nie jestem cudotwórcą, ale bardzo dziękuję ci za zaufanie.

- Do diabła z zaufaniem - mruknął Cole.

Douglas, który właśnie wchodził do kuchni, usłyszał uwagę brata. Miał na sobie spodnie i flanelową koszulę z długimi rękawami, zapiętą w pośpiechu na niewłaściwe guziki. Widząc to, Mary Roses uśmiechnęła się z rozrzewnieniem.

- Masz już jakiś plan? - zapytał Harrisona.

- Rano mam zamiar wysłać telegram do znajomego prawnika w St. Louis.

Pracuje dla dużej firmy. Być może będzie znał jakiegoś prawnika z Południowej Karoliny. Muszę znaleźć tam prawnika, choćbym miał sam tam pojechać.

- W jakim celu chcesz wynająć tego prawnika?

- Muszę uzyskać złożone pod przysięgą zeznanie Livonii i Roses. Mamy mało czasu, ale dam sobie radę.

- Jakie znaczenie mogą mieć ich zeznania? - zapytał Douglas.

- Potwierdzą to, o czym mówił mi Adam. W tej chwili dwaj mężczyźni występują przeciwko jednemu. Mam zamiar wyrównać te proporcje. W Bogu nadzieja, że Livonia zechce nam pomóc, bo może być za bardzo wystraszona.

Bracia przytaknęli.

- Adam się na to nie zgodzi. Dobrze wie, co stałoby się z tą biedną kobietą po powrocie synów do domu. Sądzę, że nie pozwoli ci się starać o to zeznanie.

Harrison nie spierał się. Uznał, że należy zrobić wszystko, by Adam miał uczciwy proces.

- Proponuję, żebyśmy zmienili temat rozmowy. Mary Roses robi się coraz smutniejsza.

- To nieprawda.

- Przecież nic nie jest.

Wzruszyła ramionami.

- A o czym chciałbyś porozmawiać?

Odpowiedzi udzielił wchodzący do kuchni Travis.

- Co się stało po jej wyjeździe z Londynu? Czy rozpętało się piekło? Czy ciotka nazwała ją niewdzięcznicą? Mary Roses mówiła, że na pewno tak będzie.

Mary Roses w zamyśleniu wpatrywała się w talerz.

- Zrobiłam wielką przykrość ojcu, prawda?

Harrison nie zamierzał kłamać.

- Tak.

- Miałam nadzieję, że może mnie zrozumie - wyszeptała.

- Kochanie, miał na to mnóstwo czasu i nawet nie dał ci szansy. Myślę, że uświadomiłem mu to wystarczająco wyraźnie. Kiedy kończyłem swoją tyradę, wydawało mi się, że nareszcie zaczyna coś rozumieć, ale nie jestem tego pewny. Nie miałem zamiaru czekać, by się o tym przekonać.

- Dlaczego oni jej tam nie lubili? - zapytał Cole.

- Chcieli mieć swoją Victorię. Nie potrafili przyjąć do wiadomości, że przez te wszystkie lata Mary Roses nie była ofiarą. W ich mniemaniu była nieszczęśliwa, ponieważ nie była otoczona luksusem. Nikt nie zadał sobie trudu, by ją naprawdę poznać. Byli zbyt zajęci kształtowaniem jej według swoich wymagań. To było szaleństwo. Wyobrazili sobie, jaka powinna być ich Victoria, i próbowali ją zmienić.

- Miałam być ich arcydziełem - dodała Mary Roses.

- Czemu nie uderzyłaś swojej ciotki, kiedy kazała ci myśleć o sobie jako o czystym płótnie? - zapytał Harrison.

Roześmiała się na samą myśl o czymś tak absurdalnym.

- To ciotka Barbara wystąpiła z taką propozycją. Nie mogłam się jej przeciwstawić. Miała jak najlepsze intencje i moje dobro na względzie.

- Czy zamierzasz zabrać ją do Anglii i spróbować jeszcze raz, Hamson?

- zapytał Douglas.

- Nie.

Bracia uśmiechnęli się.

Nie pytali o szczegółowe plany na przyszłość.

Rozmawiali jeszcze ponad godzinę. W końcu powrócił temat Adama, lecz do tego czasu Mary Roses zdążyła już się posilić.

- Co możemy zrobić, żeby mu pomóc?

- Bardzo wiele - powiedział Harrison. - Stopniowo będę was wprowadzał w szczegóły. Kiedy znajdziemy się na sali sądowej, nie chcę, by Mary Roses siedziała obok Adama. Cole usiądzie po jego prawej stronie, a ja - po lewej.

Mary Roses usiądzie pomiędzy Travisem i Douglasem w pierwszym rzędzie.

Jeśli zostanie ogłoszona przerwa, usiądziecie ponownie na tych samych miejscach.

- Dlaczego nie mogę siedzieć koło Adama? - zapytała.

- Chcę, żebyś trzymała się jak najdalej od niego.

Ta zuchwała odpowiedź wprawiła wszystkich w zdumienie, za którym jednakże nie krył się gniew, lecz jedynie ciekawość.

- Jeśli wykonasz jakikolwiek pocieszycielski gest, wszyscy zobaczą, że biała kobieta dotyka czarnego mężczyzny. Ludzie dobrze znają waszą rodzinę i zdążyli już zaakceptować Adama. Ale nie należy wystawiać ich na zbyt ciężką próbę, Mary Roses. Broń Boże, nie chcę, żeby zapomniano, że jest twoim bratem, ale walczymy nie tylko przeciw oskarżeniu o morderstwo. To byłoby całkiem proste, ale walczymy również z uprzedzeniami rasowymi. Nie chcę słyszeć żadnych sprzeciwów w tej sprawie - dodał, widząc, że Mary Roses zamierza się z nim spierać. - Wszyscy macie okazywać mu poparcie jako rodzina, ale nie jako poszczególni ludzie.

- Dlaczego chcesz, żeby to Cole siedział koło Adama, a nie Travis albo Ja?, - W celu onieśmienia publiczności. Cole ma coś takiego w spojrzeniu, że ludzie tracą pewność siebie.

Cole uśmiechnął się.

- To prawda.

- Tak. Ława przysięgłych będzie słuchała stron, a Cole będzie patrzył na wszystkich dwunastu sędziów po kolei, by zyskali pewność, że zapamięta każdą ich reakcję.

- Czy to nie obróci się przeciwko nam? - zapytał Douglas.

- W innych warunkach mogłoby się tak stać, ale nie tutaj. Mary Roses powiedziała mi kiedyś, że tutejsi ludzie zajęci są bardziej tym, by przeżyć, niż martwieniem się o innych. Chcę, żeby przysięgli pomyśleli o tym, czy warto narażać się na gniew Cole'a, jeśli uprzedzenia rasowe miałyby wpłynąć na ich decyzję.

- Walczysz wszystkimi metodami - powiedział Cole. - To mi się podoba.

- Chciałbym wam przypomnieć, że mówiąc to wszystko liczę na waszą dyskrecję. Zrozumiano?

Mary Roses ziewnęła. Harrison natychmiast zaprowadził ją do pokoju.

- Mam dla ciebie niespodziankę. Usiądź i zamknij oczy.

Spełniła jego prośbę. Otworzywszy oczy na chwilę, zauważyła, że Hamson wyciąga ubrania z torby podróźnej.

- Czy aby na pewno masz zamknięte oczy? - zapytał.

Mocno zacisnęła powieki. Odgarnęła jej włosy, a potem poczuła coś zimnego na szyi.

Wiedziała, co to za niespodzianka, jeszcze nim otworzyła oczy.

- Medalion mamy! - wykrzyknęła. - Gdzie go...

Nie była w stanie dokończyć zdania, rozplakała się.

- Leżał pomiędzy materacem a oparciem łóżka.

Rzuciła mu się w ramiona i dziękowała, obsypując jego twarz pocałunkami. Natychmiast jej zapragnał. Opadli na łóżko i kochali się burzliwie i namiętnie.

Wiedział, że te wspaniałe emocje będą musiały wystarczyć im na dłuższy czas.

Nadciągała burza.

W następnym tygodniu Mary Roses rzadko widywała Harrisona. Większość czasu spędzał w domu Belle, zapoznając się z aktami sprawy i przeglądając listy, które Mary Roses i jej bracia pisali do mamy Roses, a które padły łupem synów Adderleya. Wieczorami przesiadywał w bibliotece, czytając listy mamy Roses do rodziny. Zapełniał notatkami kolejne stronicę, a kiedy nie pracował, siadywał na ganku, by wszystko przemyśleć i jak najstaranniej zaplanować.

Nie musiała go pytać, jakie czyni postępy. Jego zacięty, ponury wyraz twarzy wystarczał jej za odpowiedź. Czowała się beużyteczna i bezsilna. Każdego ranka pytała, czy może mu w czymś pomóc, lecz miał dla niej zawsze tę samą odpowiedź - jeśli będzie potrzeba, natychmiast jej o tym powie.

W miarę zbliżania się terminu rozprawy, stawał się coraz bardziej zajęty.

Nie czuła się jednak lekceważona nawet wtedy, gdy zasypiał nie całując jej na dobranoc. Wiedziała, że pochłonięty jest myślami o rozprawie, i tylko tego od niego oczekiwała.

W niedzielę całą rodziną zasiedli do kolacji. Obiecywała sobie, że niezależnie od wszystkiego uczyni, co w jej mocy, by posiłek upłynął w dobrej atmosferze, i gdy tylko ktoś napomykał o procesie, szybko zmieniała temat.

Pozostali członkowie rodziny podjęli tę grę i po pewnym czasie Travis był nawet w stanie zareagować śmiechem na jej żartobliwą uwagę.

- Cole, nie zapytałeś mnie o Eleanor. Nie jesteś ciekaw, co się z nią dzieje?

Wzruszył ramionami.

- Jest szczęśliwa?

- Tak - odpowiedziała Mary Roses. - Pracuje dla mojej cioci Lillian.

- Dla generała? No, no, jest dzielniejsza, niż myślałem. Zuch dziewczyna.

Hamson uśmiechnął się.

- Nazwałaś ciotkę generałem?

- Bo tak się zachowuje - wyjaśniła Mary Roses. - Corrie przekazała mi wczoraj wiadomość. Chcecie, żebym wam przeczytała?

- Nie! - zakrzyknęli chórem bracia, po czym wybuchnęli śmiechem.

Nie zrażona tym Mary Roses zwróciła się do Harrisona:

- W takim razie przeczytam tobie.

- Kochanie, czytałem to już trzy razy. Corrie chce, żebyś przyniosła jej następną książkę.

- I co dalej?

- Jest szczęśliwa, że jesteś już w domu. Jesteś urocza, kiedy się tak rumienisz.

- Wcale się nie rumienię. Nic mnie nie obchodzi, że moi bracia się śmieją.

Oni nie potrafią zachować się przy stole jak ludzie cywilizowani. Nie zwracaj na nich uwagi.

- Myślę, że brakowało mi tego niecywilizowanego zachowania w Anglii.

- O, Boże. Czyżbym poślubiła kogoś podobnego do moich braci?

- Mam taką nadzieję. Byłby to największy komplement, jakim możesz mnie obdarzyć.

- Mówiłem ci, że on nas lubi - powiedział Cole, skrzępowany swą reakcją na pochwałę Harrisona.

- Ktoś zbliża się do naszego domu - powiedział Douglas. - Ma na sobie garnitur i jedzie powozem.

Hamson wstał.

- To Alfred Mitchell - powiedział. - Prawnik, któremu zleciłem parę spraw.

Zaczekajcie tutaj - zwrócił się do braci, widząc że podnoszą się z miejsc. Chcę z nim porozmawiać bez świadków. Poznacie go później.

Wyszedł z pokoju, zanim jeszcze Adam zdążył go zapytać, jakie zadania zlecił Mitchellowi w związku ze sprawą. Zadał to pytanie Cole'owi.

- Hamson chciał uzyskać informacje na temat synów Livonii. Zadeponował do prawnika w St. Louis, prosząc o polecenie zaufanej osoby w Południowej Karolinie, i wybór padł na Mitchella. Facet musiał jechać tutaj cały dzień i całą noc. Nie wyobrażam sobie, jak mógł pojawić się tu tak szybko.

- Może podsłuchamy ich rozmowę? - zaproponował Travis.

- W żadnym razie - obwieścił Adam. - Hamson musi mieć możliwość rozmawiania z nim w cztery oczy.

Po chwili skrzyknęły drzwi; Hamson wrócił do pokoju.

Sprawiał wrażenie oszołomionego.

Powód jego zdumienia stał tuż za nim.

Mary Roses zerwała się na nogi.

- Ojciec?!

Jej bracia także wstali, w milczeniu wpatrując się w lorda Elliotta.

Hamson obserwował żonę. Pobladła na twarzy tak, że miał wrażenie, iż za chwilę zemdleje.

W kilku susach znalazł się przy niej i podał jej ramię.

Elliott stał na progu, przyglądając się członkom rodziny. Wciąż nie wiedział, co powiedzieć. Niepokoiło go to przez całą podróż. Jak miał powiedzieć jej braciom, że uznaje ich za członków rodziny, i ma nadzieję, że i oni go zaakceptują?

Harrison zauważył w jego wzroku niepokój i postanowił pośpieszyć mu z pomocą. Pochyliwszy się, szepnął żonie do ucha:

- Twój ojciec jest bardzo zdenerwowany.

Wiedział, że nie musi niczego dodawać. Mary Roses natychmiast podbiegła do ojca i wspiąwszy się na palce pocałowała go w policzek.

- Tak się cieszę, że cię znowu widzę, tatusiu.

Wyrwany z odrętwienia, chwycił jej dłonie.

- Czy kiedykolwiek przebaczysz mi, córeczko? Z całego serca przepraszam cię za ból, który ci zadałem.

Łzy napłynęły jej do oczu. Ojciec mówił z takim przejęciem, że była pewna, iż przemawia słowami płynącymi prosto z serca.

- Och, ojciec, tak bardzo cię kocham. Już ci przebaczyłam. Kocham Harrisona i cały czas mu coś przebaczam. A on także musi mi coś ciągle przebaczać. Po to właśnie ma się rodzinę. Wybacz, że cię zraniłam wyjeżdżając.

- Nie, nie, dzięki temu nareszcie przejrzałem. Postąpiłaś słusznie.

Bracia byli świadkami jego przeprosin, lecz żaden z nich nie okazał jakichkolwiek emocji. Harrison pomyślał, że ich twarze przywodzą na myśl kamienne rzeźby.

- Ojciec, tutaj mówią na mnie Mary Roses.

- Rozumiem.

- Rozumiesz... Więc nie masz nic przeciwko temu? - Rzuciła mu się w ramiona i mocno uściskała.

- Kiedy przyjedziesz do mnie w odwiedziny do Anglii, mogę się pomylić i parę razy nazwę cię ^ictorią. Nie będziesz miała mi tego za złe?

- Nie, nie, absolutnie, jakbym mogła...

Elliott delikatnie poklepał ją po ramieniu, uśmiechając się łagodnie. Jego niepokój zniknął, ulotnił się. Zrobił to, co powinien był zrobić już dawno.

Mary Roses w końcu przypomniała sobie o etykietce. Cofnąwszy się o krok, obdarzyła ojca promiennym uśmiechem.

- Ojcze, pozwól, że przedstawię ci moich braci - powiedziała głosem, w którym pobrzmiewała duma.

Elliott uważnie przyjrzał się całej czwórce. Harrison stanął obok. Elliot domyślił się, dlaczego zięć to zrobił. Pragnął w ten sposób dać mu do zrozumienia, jaka hierarchia istnieje w sercu Mary Roses. Najważniejsze miejsce w jej sercu zajmował mąż, potem bracia, a potem ojciec. Nie miał nic przeciwko takiemu stanowi rzeczy, ponieważ wiedział, że miała wystarczająco wiele uczuć dla nich wszystkich.

W końcu nadszedł czas, by uznał ich za członków rodziny. Nie śpieszył się. Spoglądając na krzepkich młodzieńców, poczuł się nagle jak w obliczu gigantów. Onieśmielali go, budząc zarazem jego niekłamany podziw, wręcz zachwyt.

Byli jak odpowiedź Boga na jego modlitwy. Przez te wszystkie lata cierpienia i zgnębienia, w czasie najczarniejszych nocnych godzin, kiedy poczucie osamotnienia wydawało się wprost pożerać jego duszę, modlił się o cud.

A Bóg wynagrodził go poczwórnice.

Czuł, że Bóg naprawdę go pobłogosławił. Miał wspaniałą córkę, szlachetnego zięcia, a teraz...

- Wygląda na to, że mam czterech synów.

28 listopada 1877

Kochana Mamo Roses!

Pisze ten list, żeby cię poprosić, żebyś się nie martwiła. Uważamy, że niepotrzebnie tak nas namawiasz, żebyśmy znaleźli sobie żony. Wiemy, że sądzisz, że Adam powinien ożenić się pierwszy, ponieważ jest najstarszy, ale On nie ma zamiaru tego zrobić, bo nie czuje potrzeby zmian w swoim życiu.

My zresztą, też, więc prosimy, porzuć swoje myśli o wnukach.

Przypuszczamy, że któregoś dnia Mary Roses wyjdzie za mąż. Teraz, kiedy jest w szkole, nie musimy już być tacy czujni. Tutejsi mężczyźni bez przerwy starają się wzbudzić Jej zainteresowanie. Wszystkim podoba się Jej urocza buzia. Bardzo za Nią tęsknimy, o wiele bardziej, niż myśleliśmy. Absolutnie nie musisz się o nią martwić. Nauczyłem Ją, co ma robić, gdyby jakiś mężczyzna z St. Louis Ją zaczepiał. Zabrała ze sobą pistolet i dwa pudełka naboju. To powinno wystarczyć.

Mam nadzieję, że nie pogniewasz się na mnie za moją śmiałość i szczerość.

Wszyscy bardzo cię kochamy i bardzo chcielibyśmy, żebyś mogła tu przyjechać i z nami zamieszkać.

Cole Pan Bóg z pewnością ma poczucie humoru. Elliott doszedł do tego wniosku przez ponad godzinę obserwując zachowanie braci. Aniołowie stróże Mary Roses byli serdeczni i weseli, rozprawiali o czymś z przejęciem, czasami wszakże prezentując zaskakującą powściągliwość sądów, lecz przede wszystkim byli hałaśliwi. Bardzo hałaśliwi. Elliott czuł się jak w samym centrum wiecującego tłumu.

I było to dlań wspaniałe przeżycie.

Po jego słowach podeszli do niego, kolejno ściskając mu dłoń. Nie byli przekonani co do tego, że mają w nim członka rodziny, lecz Elliott wcale nie czuł się tym urażony ani zniechęcony. Z czasem sami stwierdzają, że nie mają wielkiego wyboru w tym względzie. Bóg połączył ich ze sobą i odtąd będą już razem.

Najpierw przywitał się z Adamem.

- Czy to ty najbardziej lubisz się o wszystko wyklócać? - zapytał ściskając jego dłoń.

Adam natychmiast popatrzył na Hamsona.

- Powiedziałeś panu...

- Mówiłem tylko, że uwielbiasz dyskusje - wyjaśnił.

Elliott potwierdził jego słowa kiwnięciem głowy.

- To to samo - stwierdził. - Ja też lubię się kłócić, synu. W dodatku przekonasz się, że zawsze wygrywam.

Oczy Adama rozbłysły ożywieniem.

- Naprawdę?

- Mylisz się co do motywów kierujących Grekami. Będę musiał ci to uzmysłwić.

- Z chęcią przyjmuję wyzwanie na pojedynek - odpowiedział Adam.

Następnie Elliott poznał Trvisa.

- A ty będziesz doskonałym prawnikiem - obwieścił.

- Ja?

- Tak, ty. Harrison uważa, że masz wrodzoną zdolność odnajdywania drogi przez grzęzawisko.

Travis uśmiechnął się.

- Akurat wczoraj o tym rozmawialiśmy, sir. Mówiłem, że zawsze miałem ochotę powystrzelać wszystkich prawników; bynajmniej nie zamierzam zostać jednym z nich.

Następny był Douglas.

- A co Harrison naopowiadał panu o mnie?

- Że potrafisz wyczyniać cuda z końmi. Mógłbyś zbić w Anglii niezłą fortunę, zajmując się końmi czystej krwi. Zwierzęta ci ufają, a to mi mówi, że potrafisz wczuć się w położenie innych. Zastanawiałem się, skąd to się wzięło u mojej córki. Teraz już wiem.

Cole cierpliwie czekał na swoją kolej. Postanowił, że nie da się tak łatwo omotać jak bracia. Elliott zranił Mary Roses. Musi za to zapłacić, zanim będzie mógł cieszyć się ich gościnnością.

- A gdzie jest ten najpodlejszy? - zapytał Elliott.

- Tutaj, sir - odpowiedział, zanim zdał sobie z tego sprawę, a po chwili jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu. - To Harrison powiedział panu, że jestem podły?

- Wyrażał się o tobie z wielkim podziwem i uznaniem - zapewnił Elliott.

- Wiele o tobie słyszałem. Niektóre opinie pochodzą z ust młodej damy o imieniu Eleanor. Obawiała się, że mnie zastrzelisz, i radziła postępować z tobą niezwykle ostrożnie. - A co do Eleanor - ciągnął - to zastanawiałem się...

Cole uniósł brwi.

- Nad czym, sir?

- Czy będziecie mieli coś przeciwko temu, żeby ją przyjąć z powrotem?

Bracia jednocześnie wykrzyknęli gromkie: „nie”. Elliott roześmiał się, podobnie zresztą jak Cole.

- Sir, na pewno jest pan do niej bardzo przywiązany - powiedział po dłuższej chwili.

- Ona jest tam szczęśliwa - stwierdziła Mary Roses. - Ojczy, musisz być głodny. Zjedliśmy już kolację, ale będziemy ci towarzyszyć przy stole. Proszę, usiądź. Na pewno jesteś zmęczony podróżą.

Nie czekając na jego zgodę, pomknęła do kuchni, cały czas się uśmiechając.

Miała ochotę paść na kolana i dziękować Bogu za to, że zmiłował się nad jej biednym ojcem.

W korytarzu Harrison objął ją i przytulił, całując w ucho.

- Tak się cieszę, że znowu jesteś szczęśliwa - wyszeptał. - Odwróć się, proszę, niech no i ja zaznam trochę tego szczęścia. Muszę cię pocałować.

Zarzuciwszy mężowi ręce na szyję, z radością poddała usta pocałunkowi, który zaraz odwzajemniła. Jeden pocałunek okazał się niewystarczający, a po chwili zdali sobie sprawę, że jeśli natychmiast nie zaprzestaną wymiany czułości, nie będą się mogli już powstrzymać.

Zarumieniona, oszołomiona, cofnęła się o krok. Taką właśnie lubił ją najbardziej.

- To ty sprawiłeś, że ojciec wszystko zrozumiał, prawda? Dziękuję ci, Hamsonie.

- Nie, zrozumiał to, kiedy wyjechałaś. Zrezygnowałaś ze wszystkiego, co cię tam otaczało, a kiedy zorientował się, co naprawdę ma dla ciebie znaczenie, zaczął rozumieć. Kochanie, ja również jestem bardzo szczęśliwy, że tu przyjechał. Szukałem kogoś takiego.

- Dla Adama?

Hamson pokiwał głową.

- Elliott dopilnuje, żebyś niczego nie przeoczył.

- Pozwól mu najpierw zjeść kolację. Obawiam się, że... jak mu wszystko opowiesz, nie będzie mu dopisywał apetyt.

Hamson był pewien, że bracia nic nie powiedzą Elliottowi. Wrócił do jadalni i usiadł obok Cole'a. Adam siedział tuż obok ojca Mary Roses, rozmawiając z nim o tym, w którym pokoju będzie spał.

Cole uśmiechnął się. Hamson domyślił się, że za chwilę usłyszy jakąś ważną wiadomość. Miał też przeczucie, że nie będzie to dobra wiadomość, ponieważ Cole uśmiechał się jedynie wtedy, gdy przekazywał niepomyślne wiadomości - To już postanowione, Hamson. Lord Elliott będzie spał w pokoju Mary Roses. Możecie sobie spać w baraku. Będziecie czuli się tam swobodniej.

- Kiedy wyszłicie z pokoju - powiedział Travis - urządziliśmy głosowanie.

Hamson nie miał ochoty spać na prowizorycznym łóżku w baraku. Próbował zaprotestować, lecz urwał, widząc stojącą w drzwiach Mary Roses. Nie sprawiała wrażenia szczęśliwej.

- Cole, Samuel znowu wymachuje w moją stronę nożem rzeźnickim. Nie pozwala mi podać ojcu kolacji. Proszę, zrób coś, na litość boską.

- Ja z tym zrobię porządek - mruknął gniewnie Hamson, wstając, lecz Cole zdecydowanym gestem nakazał mu usiąść.

- Hamson, jeśli tam wejdiesz, gotów cię okaleczyć. Jeszcze nie zdążył cię polubić. Ja to załatwię.

Elliott siedział jak osłupiały.

- Ktoś jest w kuchni... z nożem... i grozi nim mojej córce?

- Tak - odpowiedział Cole, ruszając do drzwi. Po drodze zatrzymał się, wyjął rewolwer i dopiero wtedy wyszedł z jadalni.

- Samuel, wystawiasz moją cierpliwość na zbyt ciężką próbę! - ryknął.

- Dobry Boże! - Elliottowi zabrakło słów.

Hamson rozluźnił się. Odwróciwszy się w stronę Elliotta, uśmiechnął się do niego. Na twarzy lorda malowało się przerażenie.

- W dodatku oni płacą mu pensję. Przyzna pan, że to się nie mieści w głowie.

Elliott przytaknął. Harrison wybuchnął śmiechem. Prawdę mówiąc, na ranczo nie można się było nudzić. Adam pokręcił głową z miną niewiniątka.

Domyślał się, że obcym naprawdę trudno zrozumieć, jak mieszkańcy tego domu wytrzymują z Samuelem.

- Samuel jest naszym kucharzem - wyjaśnił.

Mary Roses czekała, przytupując w podłogę. W końcu Cole zawołał, że może już wejść. Z westchnieniem ulgi udała się do kuchni.

Pięć minut później podała ojcu sutą kolację. Harrison i bracia popijali kawę, czekając, aż skończy posiłek. Mary Roses sięgnęła po pusty talerz i skierowała się do kuchni.

- To może chwilę potrwać. Muszę pogodzić się z Samuelem. Na pewno zmusi mnie, żebym go błagała o przebaczenie.

- Masz zamiar powiedzieć o tym lordowi? - zapytał Cole Hamsona.

- Tak. Sir, mamy ostatnio ciężkie dni. W przyszły piątek...

Przerwał mu Adam.

- Będę sądzony za morderstwo.

Elliott zamrugał powiekami, lecz była to jego jedyna widoczna reakcja na tę wiadomość.

- Popełniłeś morderstwo?

- Tak, sir.

- Cholera, niech to będzie ostatni raz, kiedy przyznajesz się do tego! - wypalił Harrison.

- Nie przeklinaj, synu.

- Przepraszam.

- Czy istnieją okoliczności łagodzące?

Adam skinął głową i dokładnie opisał przebieg wydarzeń. Elliott słuchał go w skupieniu, nie przerywając ani razu.

- Harrisonie, czy jesteś przygotowany do obrony?

- Jeszcze nie całkiem, sir, ale cały czas się przygotowuję. Czeka mnie jeszcze sporo pracy.

Elliott przewiercił go wzrokiem.

- Czy masz już szczegółowy plan działania?

- Tak.

- Czy linia obrony przypadłaby mi do gustu?

Harrison odpowiedział, patrząc prosto w oczy lorda.

- Nie, sir, na pewno by jej pan nie zaaprobował.

Elliott pokiwał głową.

- Potrzebny mi będzie papier, pióro i atrament. Musimy zacząć od nowa, Adamie. Harrisonie, chciałbym zobaczyć twoje notatki.

- Proszę nam powiedzieć, co pan naprawdę o tym sądzi - zwrócił się Cole do Elliotta. - Czy uważa pan...

Elliott uderzył dłonią w stół.

- Nie dopuszczę, żeby to się stało. Oto, co myślę.

Oparłszy się wygodniej, czekał, aż Harrison przyniesie przybory piśmienne i notatki.

Nikt nie odezwał się ani słowem. Wiedzieli, że Elliott zastanawia się, jak pomóc Adamowi, i nie chcieli mu przeszkadzać. Mary Roses weszła do pokoju i usiadła przy stole.

Milczenie przedłużało się. Wszyscy trwali w pełnym napięcia oczekiwaniu.

Bracia i siostra, przysiadłszy na brzegu krzeseł, radzi by jak najszybciej poznać opinię Elliotta. Czuli, że usłyszą coś niezmiernie ważnego, choć trudno byłoby im powiedzieć, na czym opierali swoje przekonanie. Po prostu wiedzieli.

Kiedy Elliott odezwał się w końcu, zwrócił się do Adama. Jego głos był łagodny jak szept, lecz przyprawiał o dreszcz.

- On jest naprawdę najlepszy. Niemal współczuję twoim oskarżycielom.

Nie będzie miał dla nich ani odrobiny litości, ani na sali sądowej, ani poza nią, po tym, co wyrządzili jego rodzinie. Tak, jestem bliski tego, żeby im współczuć.

Ramiona Mary Roses pokryły się gęsią skórką.

- To ty go wyszkoliłeś, ojciec - zauważyła.

- Ja nauczyłem go jedynie teorii. A on ma jedyny w swoim rodzaju sposób prowadzenia spraw. Jest błyskotliwy i bezlitosny zarazem. Na sali sądowej budzi się w nim lew. Miałem sposobność widzieć go w tej roli i muszę przyznać, że kilka razy autentycznie się go bałem. Nigdy nie chciałbym występować przeciwko niemu. Sami widzicie, mówię to ledwie zapoznawszy się z jego planami, ale kiedy skończy, twoi oskarżyciele mogą nie wyjechać żywi z tego miasta.

Kilka minut później wrócił Hamson, przynosząc przybory do pisania i notatki. Od razu jego uwagę zwróciła głęboka cisza panująca w jadalni.

Wszyscy wpatrywali się w jego twarz; domyślił się, że musiało się stać coś ważnego. Czekał, aż ktoś powie mu, co się wydarzyło.

Nikt nie odezwał się ani słowem. A po chwili zauważył coś jeszcze.

Zobaczył to w oczach Adama.

Nadzieję.

W następnym tygodniu Mary Roses prawie nie widywała Harrisona.

W poniedziałek pojechał do miasteczka wraz z Douglasem i wrócili już po zmierzchu. Douglas przyprowadził pięć koni, lecz ani mąż, ani brat nie wyjaśnili, dlaczego je wynajęli.

We wtorek Travis towarzyszył Hamsonowi w wyprawie do Blue Belle.

Wrócili z ponurymi minami. Tej nocy kochała się z Hamsonem; był bardziej nienasycony niż zazwyczaj. Wyczyniał z nią rzeczy, które nie wydawały jej się możliwe, i przeżyła trzy orgazmy, zanim osiągnął spełnienie.

W środę cały dzień przeglądał notatki. Następnego ranka Dooley przyjechał na ranczo, by przekazać wiadomość, że sędziemu Bumsowi znudziło się już łowienie ryb i znowu można go zastać u Belle. Elliott chciał jak najszybciej zapoznać się z aktami sprawy, lecz Harrison zabrał go do miasteczka dopiero około jedenastej, wcześniej bowiem zajmował się chorą żoną.

Mary Roses wymiotowała od dziesiątej. Prosiła, by ją zostawił i zajął się swoimi sprawami, zapewniała go, że czuje się dobrze, lecz po chwili znów zebrало się jej na wymioty i Harrison nie mógł zostawić jej w takiej sytuacji.

Godzinę później czuła się już znacznie lepiej. Wiedziała, że musi przedstawiać sobą oplakany widok. Leżała na łóżku z rozwichrzonymi włosami, a Hamson przysiadł obok niej, ocierając wilgotnym ręcznikiem jej czoło.

- To moja wina, kochanie. Wymęczyłem cię w nocy, a teraz...

- Nie wymęczyłeś mnie... to znaczy tak, wymęczyłeś, ale było to bardzo miłe zmęczenie i bardzo mi się podobało. Już od kilku dni odczuwałam mdłości. To nie twoja wina. To wszystko przez ten proces. Cały czas niepokoje się o Adama.

Douglas przyszedł do baraku, by dowiedzieć się o samopoczucie siostry.

- Gdzie się, do diabła, podziewałeś? - natarł na niego Harrison. - Biedna, męczy się już tak od godziny. Zrób coś, na miłość boską!

Douglas był nieprzyjemnie zaskoczony tonem, jakim zwracał się do niego Harrison.

- Musiała cię niezłe przestraszyć. Ona bardzo rzadko choruje. Zajmę się nią. Myślę, że czuje się już lepiej, nawet nie jest już taka blada. Dooley odjeżdża. Chcesz z nim porozmawiać?

- Twoja siostra musi mi obiecać, że kiedy po południu wrócę do domu, zastanę ją w łóżku. Obiecuj mi to, Mary Roses, albo się stąd nie ruszę.

Wydała ciężkie westchnienie.

- Dobrze. Zostanę w łóżku.

Odgarnęła włosy, by mógł ją pocałować, lecz pozwoliła, by po chwili znów zasłoniły jej twarz.

Douglas zaczekał, aż Harrison wyjdzie, po czym postanowił poruszyć delikatny temat.

- Czy domyślasz się, dlaczego odczuwasz te nudności? - zapytał.

- Jestem chora. Dlatego.

Przysiadł na krawędzi łóżka.

- Co to za choroba? Zjadłeś coś, co ci zaszkodziło?

- Nie. Po prostu martwię się tym procesem.

- A może jesteś w ciąży?

Zaskoczyło ją to pytanie i musiała się dłuższą chwilę zastanowić.

- Kiedy miałaś ostatnią miesiączkę?

Zaczerwieniła się gwałtownie.

- Wprawiasz mnie w zakłopotanie. Na litość boską, jesteś moim bratem!

Nie powinieneś mi zadawać takich osobistych pytań.

- Kiedy?

- Dwa... nie, trzy miesiące temu. - Mary Roses uniosła głowę. - Myślisz, że...

Nie była w stanie dokończyć. Dziecko. Możliwe, że będzie miała dziecko.

Nagle przepelniła ją ogromna radość.

- Coś mi się wydaje, że zostanę wujkiem - powiedział Douglas. Poklepał ją po ramieniu i uśmiechnął się.

- Nie możemy o tym powiedzieć Hamsonowi. Zresztą nie mów nikomu, dopóki nie zyskam pewności. Mój mąż ma teraz wystarczająco wiele spraw na głowie. Będzie szczęśliwy, usłyszawszy tę wiadomość, ale to może rozproszyć jego uwagę. Nie możemy teraz ryzykować.

Douglas przyznał jej rację. Harrison zawiózł ojca Mary Roses do Belle, by zapoznał się z aktami sprawy, po czym udał się do miasteczka. Spędził tam resztę dnia i pojawił się w domu dopiero w porze kolacji.

Pierwsze kroki skierował do baraku, by upewnić się, czy Mary Roses posłuchała go i jest tam, gdzie ją zostawił. Wystarczyło mu jedno spojrzenie, by zorientować się, że wstawała z łóżka.

Nie chciała się do tego przyznać.

- Czy odpoczywałaś cały dzień, kochanie?

- Tak.

Uśmiechnął się.

- Leżałaś w łóżku?

Odwzajemniła uśmiech.

- Powinieneś być ze mnie zadowolony - odpowiedziała, co uznał za absolutnie niewłaściwą odpowiedź. - Przyznaj, nie spodziewałaś się, że zastaniesz mnie w łóżku. Zauważyłam, że byłeś zaskoczony. Jak minął dzień?

Postanowił zmusić ją do zdecydowanego kłamstwa. Do tej pory udało jej się uniknąć udzielenia jednoznacznej odpowiedzi. Sprawiała przy tym wrażenie niezmiernie z siebie zadowolonej, ba, dumnej.

- Czy leżałaś cały dzień w łóżku?

Nie spuściła z tonu.

- Dlaczego znowu mnie o to pytasz? Czyżbyś mi nie wierzył, Hamsonie?

Chyba powinieneś darzyć mnie zaufaniem.

Potrząsnął głową. Jego urocza żona całkowicie lekceważyła sobie jego rady.

Nie wiedział, co począć w tej sytuacji. Głęboko westchnął. Nie było na nią sposobu; była uparta i samowolna. Jeżeli nie przywiąże jej do łóżka, będzie robić to, co uzna za stosowne.

- Obiecay mi, że jeśli będziesz się źle czuła, położysz się. Dobrze?

Usiadła.

- Dlaczego mi nie wierzysz?

Nie odpowiedział.

- Idę do domu. Nie byłoby chyba złym pomysłem nałożenie czegoś na twarz, zanim do mnie dołączysz, kochanie.

Wiedział, że natychmiast zapyta go, dlaczego ma to zrobić, i nie mógł się doczekać, kiedy udzieli jej odpowiedzi. Licząc w myślach do dziesięciu, ruszył do drzwi.

- Zaczekaj! - zawołała. - O co ci chodzi z moją twarzą?

- Jest za bardzo opalona.

Nie odczuwała skruchy w najmniejszym choćby stopniu, lecz przynajmniej dał jej tym do myślenia. Zaczekała, aż zamknie drzwi, po czym wybuchnęła radosnym śmiechem.

I jak tu się dziwić, że tak bardzo ją kochał?

Kończyli już kolację, kiedy Alfred Mithell zjeżdżał właśnie ze wzgórza, kierując się w stronę ich domu.

- Ktoś tu jedzie. Proszę spojrzeć, sir. Czy to któryś z pańskich krewnych?

Elliott spojrział w okno.

- Nie widzę dokładnie z tej odległości, ale nie wydaje mi się, żebym znał tego człowieka.

- W takim razie musi to być Alfred Mitchell. Hamsonie, chcesz, żebyśmy tu poczekali, kiedy będziesz z nim rozmawiał?

- Tak.

- Zaproponuj mu jakąś przekąskę! - zawołała Mary Roses.

Nie była pewna, czy Harrison ją słyszał, ponieważ zdążył już wyjść z domu.

Nie czekał na gościa na ganku, lecz szedł w jego stronę. Obaj mężczyźni spotkali się w połowie drogi przez łąkę.

Zsiadając z konia, Mitchell głośno jęknął. Uściskawszy dłonie, przedstawili się sobie nawzajem.

- Sprawia pan wrażenie wyczerpanego - zauważył Harrison.

Mitchell kiwnął głową. Musiał ją zadzierać, by spojrzeć na Harrisona, ponieważ był znacznie niższy, wyglądało też na to, że jest młodszy.

- To prawda, jestem skonany - przyznał, powoli wymawiając słowa w sposób charakterystyczny dla ludzi z Południa. - Zdobyłem to, o co pan prosił, ale mam też straszne wiadomości. Czy możemy rozmawiać spacerując?

Chciałbym rozprostować kości i pozbyć się potwornego bólu w plecach, zanim wrócę na nocleg.

- Proszę zatrzymać się u nas.

- Obawiam się, że to zostałyby zauważone i mogłoby stać się powodem nieprzychylnych komentarzy. Poza tym domyślono by się, co planujemy.

Proszę mi wybaczyć, ale chyba będzie lepiej, jeżeli zatrzymam się gdzie indziej.

- Jutro powinien pan złożyć zeznania - przypomniał mu Harrison.

- Tak, doskonale pamiętam. Nie mogę się już doczekać, kiedy powiem wszystkim, co się stało.

Harrison i Alfred skierowali się w stronę wzgórz. Mary Roses odprowadzała ich wzrokiem zza szyby.

Harrison dłuższą chwilę szedł spokojnie z założonymi do tyłu rękoma, po czym nagle zwrócił się do Mitchella.

- Niczego stąd nie usłyszysz - powiedział cicho Douglas, stojący za Mary Roses.

Podskoczyła gwałtownie.

- Hamsonowi najwyraźniej nie podoba się to, co mówi Mitchell. Popatrz, jacy są usztywnieni. Nie wydaje mi się, żeby Mitchell przywiózł dobre wiadomości.

- Jediną złą wiadomością byłoby nieprzywiezienie przez Mitchella dokumentów, o które prosił Harrison, a popatrz, Harrison trzyma jakieś papiery.

Może Mitchellowi nie udało się uzyskać podpisu Livonii na dokumentach?

Harrison i Mitehell rozmawiali jeszcze ponad dwadzieścia minut. Mary Roses domyśliła się, że ich rozmowa jest zakończona, kiedy skierowali się w stronę domu. Wyszła na ganek i czekała.

Alfred uściskał dłoń Harrisona i dosiadł konia. Mary Roses omal nie zawołała, by zatrzymał się u nich na noc, lecz gdy zobaczyła twarz Harrisona, słowa zamarły jej na ustach. Mąż był czymś przygnębiony, potwornie przygnębiony.

W pewnej chwili zatrzymał się i popatrzył na nią.

Chciał, żeby do niego przyszła. Nie zwlekając, pobięła w jego stronę.

Nie odezwaawszy się ani słowem, chwycił ją za rękę i zawrócił.

Przeszli przez łąkę; dopiero wtedy się zatrzymał.

- Jutro mam zamiar skłanać.

Spojrzała na niego rozszerzonymi ze zdumienia oczami.

- Masz zamiar skłamać w sądzie?

Nie odpowiedział.

- Nie będę kłamał, dopóki nie udzielisz mi na to pozwolenia.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Znowu ruszyli przed siebie ze zwieszonymi głowami myśląc o nadchodzącym dniu.

Po kilku minutach Mary Roses zrozumiała.

- Nigdy nie kłamałbyś w sądzie. Tak, nigdy byś tego nie zrobił. To nieetyczne... a poza tym w ten sposób okłamałbyś również moich braci, Miałbyś ochotę okłamać i mnie, ale...

- Obiecałem, że już nigdy tego nie zrobię. I nie złamałbym danego ci słowa...

- Chyba że na to pozwolę.

- Tak.

- W porządku.

Uśmiechnęła się do niego.

- Ufam ci. Rób, co uważasz za stosowne. Nie czas teraz martwić się o mnie.

Był wzruszony jej wyznaniem. Zanknął oczy i powoli skinął głową.

- Dziękuję.

- Za to, że ci ufam?

- I za to, że mnie kochasz... i że jesteś taka, jaka jesteś.

- Pocałuj mnie, a będę wiedziała, że mówisz prawdę.

Spełnił jej prośbę.

W milczeniu wracali do domu.

- Mam ochotę na przejażdżkę konną. Pojedziesz ze mną?

- Musisz wszystko dokładnie przemyśleć. Chyba potrzebna jest ci chwila samotności.

Pocałował ją jeszcze raz i poszedł do stajni. Mary Roses oparła się o balustradę na ganku.

Po chwili mąż wyszedł ze stajni, prowadząc MacHugha. Ogier nie był osiodłany, nie miał nawet kantara, ale spokojnie towarzyszył Hamsonowi, gdy szli przez łąkę.

Nagle Harrison chwycił konia za grzywę i po chwili siedział już na końskim grzbiecie. MacHugh pogalopował na najbliższe wzgórze.

- Jeździ jak Indianin - powiedział Travis. - Dokąd się wybiera?

- Zamierza wszystko przemyśleć.

- Ojciec chciałby, żebyś zagrała na fortepianie. Jak się czujesz?

- Świetnie - odpowiedziała, chociaż niezupełnie było to prawda.

Gra na fortepianie pozwoli mi zapomnieć o zmartwieniach - pomyślała.

Weszła do domu i zasiadła przy instrumencie.

Ojciec stał nie opodal, przyglądając się jej w radosnym oczekiwaniu.

- Co masz zamiar nam zagrać, córeczko?

Bracia widzieli wyraz jej twarzy, kiedy szła do salonu, i doskonale przeczuwali, co zagra.

- Sonatę - powiedzieli chórem.

Wzięła mocny akord.

Wstał słoneczny piątkowy poranek. Mary Roses była rozczarowana patrząc na nie zmacony błękit nieba. Bardziej odpowiadałaby jej pochmurna pogoda, a najlepszym rozwiązaniem wydawała się potężna burza z piorunami; wtedy zapewne część ciekawskich pozostałaby w domach.

Pojechała do miasteczka wraz z ojcem w zakrytym powozie. Żadne z nich nie miało ochoty na rozmowę. Droga upłynęła jej na modlitwach i zamartwianiu się o Adama i Harrisona. Spełniały się najkoszmarniejsze sny jej brata, a ona nie była w stanie się temu przeciwstawić.

Wszystko zależało od Harrisona. Niech Bóg ma go w swej opiece. Wczorajszego wieczoru był bardzo przygnębiony i całą noc trzymał ją w ramionach.

Próbowała z nim porozmawiać, kiedy się ubierali, lecz uciał tę rozmowę, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć. Chciała zapewnić go o swojej miłości, o tym, że darzy go bezgranicznym zaufaniem i że niezależnie od tego, co się wydarzy, nie przestanie go kochać i ufać mu. Harrison jednak nie chciał słuchać. Był nieobecny myślami i na wszystko reagował zniecierpliwieniem.

Była przerażona jego stanem, ale kiedy wychodzili, popatrzył jej w oczy i przedstawił najdziwniejsze, a zarazem najokrutniejsze żądanie, jakie kiedykolwiek zdarzyło jej się słyszeć.

Powiedział, że będzie zmuszony ją zakneblować, jeżeli powie albo zrobi coś, co mogłoby go wprowadzić w dobry nastrój. A jeśli usłyszy od niej, że go kocha, zamknie ją w szafie i będzie tam musiała spędzić cały dzień.

- Innymi słowy, nie chcesz, by rozpraszano twoją uwagę.

Przytaknął.

Godzinę później wyjechali do Blue Belle. Harrison jechał na czele, Travis zamykał kawalkadę, trzymając w ręku strzelbę.

Harrison zatrzymał się na obrzeżach miasteczka.

- Mary Roses? Czy dobrze się czujesz? Nie chcę, żebyś wymiotowała w sądzie.

- To się nie zdarzy - zapewniła go solennie.

- Adam, gdzieś wyczytałem, że niewolnikom nie wolno było patrzeć panom prosto w oczy, dopóki nie uzyskali na to ich wyraźnego pozwolenia.

Czy to prawda?

- Tak. Było to uważane za zuchwalstwo... bezczelność. Dlaczego o to pytasz?

- Ponieważ zapomniałem zapytać cię o to wieczorem - sarknął. - Kiedy już zasiądziecie za stołem w sądzie, chcę, żebyście patrzyli na synów Livonii.

Patrzcie na nich z łagodnym wyrazem twarzy, ale tak, żeby wiedzieli, że na nich patrzycie. Obserwujcie ich uważnie, kiedy będą składać zeznania. Patrz im prosto w oczy, Adamie. Kiedy pochylę głowę, niech na waszych obliczach odmaluje się pogarda.

- Będą wściekli - ostrzegł go Adam.

Harrison kiwnął głową.

- Mam nadzieję. Czy wszyscy pamiętacie, co wam powiedziałem?

Zaczekał na potwierdzenie, po czym udzielił im ostatniej rady.

- Będąc w sądzie nie wierzcie w nic, co zostanie tam powiedziane.

- Nawet jeśli będą to twoje słowa? - zapytała Mary Roses.

Powtórzył prośbę. Nie chciał mówić im, że będzie kłamał, ponieważ nie miał takiego zamiaru. Nie chciał, by uwierzyli w prawdziwość złych wiadomości, dopóki sędzia Bums nie poprosi, by przysięgli udali się na naradę.

- Niezależnie od tego, co powiem albo zrobię, nie dajcie po sobie poznać, że jesteście zaskoczeni albo oburzeni. Słyszysz, co mówię, Cole?

- Tak.

- Więc do dzieła.

Harrison zjechał ze wzgórza na rozległą równinę, przez którą prowadziła droga do miasteczka. Jechali bardzo powoli, ponieważ w miasteczku zgromadził się już wielki tłum, czekający, aż sędzia Bums otworzy drzwi do pomieszczenia sklepowego, pełniącego rolę sali sądowej.

Niektórzy wznosili okrzyki poparcia dla Adama; inni starali się ich zagłuszyć, miotając wulgarne przekleństwa. Mary Roses starała się udawać, że nic do niej nie dociera, lecz prawdę mówiąc, przekraczało to jej możliwości.

Tłum rozstał się na tyle, że mogli przejść. Uczepiona ramienia ojca Mary Roses została przezeń wprowadzona do sali.

Sędzia Bums siedział już za stołem w odległym końcu pomieszczenia, zwrócony twarzą do drzwi. Dał znak, by podeszli. Na salę przyniesiono najprzeróżniejsze krzesła i stołki z wszystkich okolicznych domów i ustawiono je w regularnych rzędach, zostawiając szerokie przejście środkiem.

Około piętnastu stóp od stołu sędziowskiego ustawiono dwa rzędy, po sześć krzeseł w każdym, dla przysięgłych.

- Możecie zająć miejsca. Hej, William - zwrócił się do ojca Mary Roses.

- Nie widzę cię zza tych drągali. Mamy sądny dzień.

- To prawda, Wysoki Sądzie.

- Harrisonie, jeśli chodzi o twoją wczorajszą propozycję, którą sprytnie chciałeś przeforsować jako mój własny pomysł, to przystałem na nią, ponieważ wydaje mi się rozsądna. Nie chcę tu żadnych obcych. Będą mnie tylko rozpraszać, czyniąc zgiełk, i w końcu będę musiał zacząć strzelać. Nie mogę dopuścić, by w sądzie panował bałagan. Cole, podaj mi strzelbę. Zaopiekuję się nią należycie. Wy, chłopcy, zróbcie to samo. Mary Roses? Masz jakiś pistolet?

- Nie, Wysoki Sądzie.

- A więc w porządku.

Sędzia zaczął, aż strzelby Claybome'ów zostały złożone na stole.

- Harrisonie, Morrison obiecał mi pomóc oddzielić tych, co mieszkają w Blue Belle i okolicach, od tych, którzy mieszkają dalej niż dziesięć mil od miasta. Obcy nie mają tu prawa wstępu, a zwłaszcza ci ze straży obywatelskiej w Hammond. Za chwilę do nich wyjdę. Ale najpierw chciałbym was zapytać, czy macie jakieś zastrzeżenia co do składu przysięgłych. Macie coś przeciwko temu, żeby wśród sędziów znalazły się ze dwie kobiety? Jeżeli się uprę, będzie to możliwe.

Harrison uśmiechnął się.

- Nie wnoszę żadnych zastrzeżeń, Wysoki Sądzie. Zadowolony mnie każda pańska decyzja.

- To bardzo zobowiązujące. Czy macie jakieś pytania?

- Nie, Wysoki Sądzie. Sporządziłem własną listę osób mieszkających w Blue Belle i okolicach. Pozwoliłem sobie postawić znak przy tych, którzy pochodzą z Południa.

Sędzia uśmiechnął się szeroko.

- A czy na twojej liście nie ma żadnych podstawionych osób?

- Przepraszam, nie rozumiem, Wysoki Sądzie.

- Nieważne. To nie ma związku ze sprawą. Znam cię i słyszałem, jak przemawiałeś w sądzie w Hammond. Nie zniżyłbyś się do tego, żeby kogoś przekupić. Z radością skorzystam potem z twojej listy. To mi w znacznym stopniu ułatwi pracę. Mam zamiar wyznaczyć Johna Morrisona na przewodniczącego ławy przysięgłych. Czy macie coś przeciwko temu?

Harrison udał, że się zastanawia. Nie chciał, by sędzia Bums wiedział, jak bardzo mu to odpowiada. Adam pomagał Momsonowi, kiedy zawalił się dach jego sklepu. Miał nadzieję, że Morrison o tym pamięta.

- Nie, Wysoki Sądzie. Nie mam zastrzeżeń. Morrison jest uczciwym człowiekiem.

- Skoro wszyscy są już gotowi, poproszę publiczność.

- Wysoki Sądzie, czy ktoś mógłby stanąć przy drzwiach i nie wpuszczać obcych?

- Ja to zrobię - odpowiedział sędzia.

- Spodziewam się otrzymać ważny telegram. Jeśli nadejdzie...

- Dopilnuję, abyś go otrzymał. Rozumiem, że ten telegram bardzo ci pomoże.

- Tak, ale nie jest niezbędny do przedstawienia sprawy.

Bums wstał.

- Ci faceci z Południa wejdą tu na samym końcu. Ponieważ zamierzają świadczyć przeciwko Adamowi, posadzę ich po przeciwnej stronie pozwanego.

Ustawiłem krzesła pod takim kątem, żeby ława przysięgłych i publiczność mogli dobrze ich widzieć.

Harrison zaczekał, aż sędzia ruszy w stronę drzwi, po czym usiadł obok Adama i szeptem powiedział mu coś do ucha.

Mary Roses nie słyszała słów męża, lecz widziała reakcję brata. Adam był zdumiony. Po chwili uśmiechnął się. Po raz pierwszy od kilku tygodni okazał odrobinę radości. Nie mogła odgadnąć, co takiego Harrison mógł mu powiedzieć.

Jej mąż wygodniej rozsiadł się na krześle. Nie patrząc na nią, zapytał raz jeszcze, czy dobrze się czuje.

- Tak - odpowiedziała.

Harrison polecił im, by zachowywali spokój w czasie rozprawy, więc kiedy na salę wszedł pierwszy mężczyzna, kierując się w stronę krzeseł przeznaczonych dla ławy przysięgłych, zamilkli.

Wśród sędziów nie było żadnej kobiety. Mary Roses rozpoznała większość mężczyzn, lecz nie potrafiła przypomnieć sobie niektórych nazwisk. Żaden z dwunastki nie uśmiechał się. Siedzieli z poważnymi minami, które wydawały się Mary Roses jak najbardziej odpowiednie, zważywszy wagę sprawy, z jaką mieli się zapoznać.

Jako ostatni weszli na salę Lionel i Reginald Adderleyowie. Ich kroki wydawały się rozlegać zwielokrotnionym echem, gdy szli na swoje miejsca.

Obaj mieli jasne włosy. Reginald był o kilka lat starszy od brata. Jego krótko przycięta broda poprzetykana była siwizną. Miał orzechowe oczy, w których więcej było jednak barwy żółtej niż zielonej. Przywodził na myśl jaszczurkę.

Jego brat wyglądał równie niesympatycznie. Miał brązowe oczy, a skórę tak samo niezdrowo białą i ciastowatą jak brat, co stanowiło dowód, że obaj nigdy w życiu nie przepracowali ani jednego dnia na świeżym powietrzu.

Obowiązek strzeżenia drzwi przypadł Dooleyowi; potem miał go zmienić Billie.

Harrison nie wstawał, dopóki Bums nie zbliżył się do stołu; wtedy natychmiast zerwał się z miejsca; to samo uczynił Adam.

Nikt inny nie poszedł za ich przykładem. Sędzia wydawał się zadowolony, że Harrison i Adam okazali mu szacunek.

- Wysoki Sąd pozwoli?

Bums domyślił się, do czego zmierza Harrison, i natychmiast dał znak, że się zgadza.

- Poczekaj, aż zniknę na zapleczu - powiedział szeptem. - Chcę, żeby od początku wszystko było, jak należy.

Adam zamierzał usiąść. Harrison go powstrzymał.

- Stój - szepnął.

Harrison zaczekał, aż sędzia pójdzie na zaplecze, po czym donośnym głosem zawołał:

- Proszę wstać, sąd idzie. Rozprawie przewodniczy sędzia John Bums.

Obecni na sali natychmiast unieśli się z krzesel. Sędzia wyjrzał zza framugi, by upewnić się, że wszyscy stoją, i dopiero wtedy majestatycznie wkroczył do sali, zadowolony i dumny jak paw. Najwyraźniej uwielbiał ten ceremoniał, a rzadko miał okazję nim się cieszyć.

Niespiesznie podszedł do stołu i zajął miejsce.

- Usiądźcie. Nie mam zamiaru niczego powtarzać, więc słuchajcie uważnie. Nie będę tolerował żadnych krzyków i hałasów w czasie rozprawy. To jest od tej pory szczególne miejsce, ponieważ ja tu zasiadłem. Najpierw zamierzam zapoznać ławę przysięgłych z dowodami przeciwko Adamowi Claybome'owi.

Następnie wezwę dwóch świadków.

Sędzia przerwał, by napić się wody.

- John Quincy Adam Claybome został oskarżony o zamordowanie Waltera Adderleya. Adderley był właścicielem Adama w czasach niewolnictwa. Synowie Adderleya przywieźli listy, które członkowie rodziny Claybome'ów pisali do matki Adama, Roses. Obecnie Roses nadal mieszka na Południu, na tej samej plantacji, wraz z żoną Adderleya, Livonią. Opiekuje się nią, ponieważ Livonia jest niewidoma. W sześciu lub siedmiu listach wspomniana jest śmierć Adderleya. Nie znalazłem tam jednak niczego, co można by uznać za dowód przyznania się do winy. Adam nie pisał, że zabił Adderleya, niemniej jednak przyznaje, że był świadkiem jego śmierci, przyznaje także, że uciekł. Mam zamiar zapytać go o to, kiedy będzie składał zeznania. Czy oskarżony gotów jest zeznawać? - zwrócił się do Hamsona.

- Tak, Wysoki Sądzie.

- To dobrze. A teraz moja ostatnia prośba do przysięgłych. Chciałbym, żeby zapadł tu dzisiaj sprawiedliwy wyrok. Jeżeli któryś z was już teraz jest przekonany o winie Adama, niech podniesie swój tyłek i wynosi się stąd.

Każdy człowiek jest niewinny, dopóki nie udowodni mu się winy, i nikomu nie pozwolę wyciągać pochopnych wniosków.

- Czy obrona chciałaby powiedzieć coś przysięgłym?

- Tak, Wysoki Sądzie - odpowiedział Harrison.

Wstał, zwracając się twarzą w stronę dwunastu mężczyzn.

- Mój klient został oskarżony o dokonanie czynu, którego nie popełnił.

Jeśli wysłuchacie, panowie, wszystkich zeznań, nie wątpię, że Adam Claybome wyjdzie z tej sali jako człowiek uwolniony od zarzutów. Otwórzcie wasze serca i umysły, pozbadźcie się wszelkich uprzedzeń co do koloru jego skóry i dopilnujcie, by miał uczciwy

proces. Abraham Lincoln głęboko wierzył, że wszyscy ludzie są równi, i tak też uważały setki czy tysiące dzielnych młodych ludzi, którzy oddali życie, by zostało zniesione niewolnictwo. Uszanujcie i miejcie wzgląd na ofiarę tych odważnych mężczyzn. Pamiętajcie, jak i w jakiej sprawie oddali życie. Życie Adama Claybome'a jest w waszych, panowie, rękach, a ja udowodnię wam ponad wszelką wątpliwość, że jest niewinny Harrison odwrócił się i wolno podszedł do stołu. Mary Roses pomyślała, że zakończył już swoje wystąpienie. Z trudem powstrzymała pełen zadowolenia uśmiech. Była dumna z męża. Duże wrażenie wywarła na niej treść wystąpienia; było w tej mowie coś, co czyniło ją niezwykle sugestywną. W jego głębokim, nośnym głosie z charakterystycznym akcentem mieszkańców Pogórza Szkockiego pobrzmiwał ledwie dosłyszalny akcent, charakterystyczny dla mieszkańców Zachodu. Chociaż zapewne nikt nie zauważył tej małej zmiany w sposobie mówienia, wiedziała, dlaczego Harrison stara się imitować lokalny akcent. Miał nadzieję, że przysięgli uznają go za jednego z nich.

- Zamierzam przybliżyć państwu postać Johna Ouincy Adama Claybome'a.

Najpierw chciałbym powiedzieć, dlaczego matka wybrała dla niego takie imię.

John Ouincy Adams był szóstym prezydentem Stanów Zjednoczonych. Ale to nie dlatego zyskał taki szacunek matki Adama. Kiedyś usłyszała opowieść o prezydencie Adamsie, a potem dowiedziała się, że była to najczystsza prawda. Kiedy dobiegła końca kadencja tego znakomitego prezydenta, wrócił do domu w przekonaniu, że odtąd będzie prowadził miłe, spokojne życie, i takie też wiódł, dopóki nie usłyszał o haniebnych wydarzeniach w naszym kraju. W 1835 roku hiszpańscy piraci porwali pięćdziesięciu dwóch Afrykanów i sprzedali ich dwóm Kubańczykom, którzy mieli zamiar odsprzedania porwanych właścicielom plantacji trzciny cukrowej. Afrykanie zbuntowali się przeciwko niewoli; zabili jednego z członków załogi. Kiedy statek dopłynął do Long Island, Kubańczycy wtrącili ich do więzienia, oskarżając o bunt i morderstwo.

- Jak państwo myślą, dlaczego to wydarzenie tak bardzo zaniepokoiło prezydenta Adamsa? Przecież niewolnictwo było wtedy najzupełniej legalne, prawda?

Kilku przysięgłych przytaknęło.

Zachodni akcent w głosie Hamsona stawał się coraz lepiej słyszalny - Ja również byłem zdziwiony i postanowiłem się dowiedzieć, dlaczego prezydent uznał te działania za bezprawne. W 1835 handel niewolnikami z innymi państwami był już u nas zabroniony. Wiele innych państw także zabraniało takiego handlu. A więc tak stanowiło prawo. Murzyn urodzony w Ameryce w 1835 roku był niewolnikiem, ale nie wolno było przywozić tu niewolników z innych państw.

- Sytuacja Afrykanów nie dawała spokoju prezydentowi Adamsowi. Uważał, że wszyscy zobowiązani są przestrzegać z takim trudem ustalonych praw, i nie ukrywał swoich poglądów na ten temat. Przyjaciele doradzali mu, by trzymał się z dala od tej sprawy, ponieważ stawanie w obronie Murzyna nie było dobrze widziane. Ale te rady jedynie przyprowadziły Adama do jeszcze większego rozdrażnienia. Wiecie państwo, co powiedział?

Sędziowie pokręcili głowami.

- Powiedział: „Chciałbym zawsze móc śmiało spoglądać ludziom w oczy, nie uchylać się od żadnych obowiązków, przeciwstawiać się wszelkim próbom narzucania poglądów i wykazywać się niezłomną postawą tam, gdzie nieskrępowane wyrażanie myśli pociąga za sobą obmowę i okrywa niesławą”. Mówiąc to miał na myśli, że prawo jest prawem i że gotów jest uczynić wszystko, by bronić honoru swego kraju. Prawo musi być przestrzegane. Jeśli choćby jeden człowiek je zlekceważy, a nikt nawet nie kiwnie palcem w tej sprawie, coraz większa liczba obywateli będzie próbowała nagiąć prawo do swoich potrzeb.

I wkrótce wszystkie prawa, przekazane nam przez naszych ojców w Konstytucji, będą ignorowane... także wasze.

Harrison zrobił wymowną pauzę i powiódł wzrokiem po twarzach zgromadzonych.

- Adams miał już wtedy siedemdziesiąt cztery lata, lecz wiek i nie najlepszy stan zdrowia nie powstrzymały go od pójścia do gmachu Sądu Najwyższego i wygłoszenia swojej opinii. Stał w obronie Murzynów i w rezultacie zostali oni odesłani do swych krajów. Prawo jest prawem. Adams zawsze o tym pamiętał. A ja chciałbym, żeby także wszyscy państwo wzięli to sobie do serca. Matka Adama Claybome'a szczerze podziwiała tę inicjatywę prezydenta Adama i dlatego dała synowi jego imię.

- Mój klient urodził się jako niewolnik. Ówczesne prawo stanowiło, że był nim od chwili narodzin. Mieszkał i pracował na plantacji Adderleya. Walter Adderley nie szanował swoich niewolników. Nie szanował też swojej żony, Livonii. Potrafię udowodnić prawdziwość moich słów. Dysponuję dokumentami z uwierzytelnionymi podpisami białych obywateli z Południa, którzy widzieli okrutnie pobitą Livonię. Jej mąż pił, a kiedy był pijany, budziły się w nim najgorsze instynkty. Był potężnie zbudowanym mężczyzną, miał ponad sześć stóp wzrostu. Jego żona to bardzo drobna kobieta, ma najwyżej pięć stóp. Nie miała żadnych szans, żeby bronić się przed ukochanym... - Harrison dobitnie wypowiedział to słowo, jakby w przekonaniu, że popełnia bluźnierstwo - mężem. Jak udało mi się ustalić, Walter Adderley bił ją bardzo często.

Szczególnie upodobał sobie bicie po głowie. Straciła wzrok i wszyscy lekarze zgodni są co do tego, że spowodowały to ciosy, których nie skąpił jej ukochany... - ponownie

podkreślił to słowo - mąż. Czy któryś z panów obecnych na sali uważa, że ma prawo bić swą matkę lub żonę?

Harrison dobrze zdawał sobie sprawę, że nie powinien zadawać pytań, więc nie chcąc narazić się na reprimendę ze strony sędziego, szybko dodał;

- Nie, panowie, trudno wam w ogóle sobie coś takiego wyobrazić, nieprawdaż?

Wszyscy przysięgli kiwnęli głowami. Harrison czuł, że zyskał ich przychylność. Miał zamiar utrzymać ją aż do końca.

- Adam Claybome także reagował na to wzburzeniem. Livonia nie była zresztą jedyną kobietą, która otrzymywała regularne lanie od jego pana.

Również matka Adama padała ofiarą złości Adderleya. Starła się bronić swojej pani; pewnego razu Adderley złamał jej nos za to, że „się wtrącała”.

- Adam miał trzynaście lat, kiedy któregoś dnia usłyszał okropne krzyki dochodzące z domu. Livonia wzywała pomocy. Adam wbiegł do środka, chcąc zobaczyć, co się dzieje. Jego pani leżała na podłodze, a ukochany mąż kopał ją zapamiętale. Oczywiście Adam sam opowie o tym wszystkim. Wiedział, że Adderley jest pijany, ponieważ czuć było od niego odór whisky, więc objął go w pasie i odciągnął od żony. Adam nie był wyrosnięty ponad swój wiek, więc Adderley z łatwością strząsnął go z siebie i ponownie natarł na Livonię, Adam zaś znów próbował go odciągnąć. Wtedy Adderley zatoczył się i uderzył głową w nadstawę kominka. Adam nie zabił Adderleya. To nie ulega wątpliwości.

Waltera Adderleya zniszczyły pijaństwo i podły charakter. A czemu Adam uciekł? Uciekł dlatego, że prosiła go o to jego pani. Wiedziała, co się stanie, jeżeli synowie dowiedzą się o wszystkim. Pamiętajcie państwo, że Adam był niewolnikiem, a niewolnikom nie wolno było nawet dotknąć swych panów.

Synowie Adderleya zabiliby go za to, że próbował ocalić życie ich matki.

Harrison odwrócił się i ruszył na swoje miejsce, lecz niespodziewanie zatrzymał się i dodał zdecydowanym głosem, w którym pobrzmiwał gniew.

- Jeżeli jakkolwiek człowiek zasługiwał na to, żeby go zabić, to tym człowiekiem z pewnością był Walter Adderley. Każdy mężczyzna, który bije kobietę, zasługuje na śmierć. Jednakże Adam go nie zabił. Zgromadzone przeze mnie dowody niezbicie świadczą o jego niewinności. Muszę jednak państwu powiedzieć, że gdybym znalazł się na miejscu Adama, gdyby ktoś, nawet mój własny ojciec, podniósł rękę na moją matkę, wątpię, czy byłbym w stanie się opanować. Bardzo możliwe, że bym go zabił. Tak przynajmniej mi się wydaje.

John Morrison i dwaj inni mężczyźni ze zrozumieniem pokiwali głowami.

Wszyscy sędziowie pamiętali swoje matki. W większości przypadków myśleli o nich jak o świętych. Żaden z nich nie zachował ani odrobiny sympatii dla Waltera Adderleya.

Dobry początek został zrobiony. Harrison pragnął wzbudzić nienawiść przysięgłych w stosunku do Adderleya, by potem przenieść tę nienawiść na synów.

Wciąż jednak pozostawało faktem, że czarny mężczyzna miał za przeciwników dwóch białych. Szala nie przechyliła się jeszcze na stronę Adama, a Harrison zamierzał doprowadzić do tego za wszelką cenę. Ludzie niezdolni do głębszej refleksji zazwyczaj nie cierpią wszelkiej odmienności i obawiał się, że nawet żywiąc coś w rodzaju współczucia dla Adama, przysięgli mogą skazać go na śmierć.

Chyba że znajdzie się ktoś, kogo znienawidzą jeszcze bardziej. Następnym jego zadaniem było więc wzbudzenie w nich sympatii dla Adama. Uroczystym tonem powiedział:

- Nie zabiorę już państwu wiele czasu. Myślę jednak, że powinni państwo poznać Adama Johna Claybome'a. Domyślam się, że jesteście państwo ciekawi wiadomości na temat całej rodziny Claybome'ów. Rzeczywiście, mówią o sobie bardzo niewiele. Cenią sobie prywatność, podobnie jak większość z was, uważam jednak, że powinniście usłyszeć, jak doszło do tego, że stali się rodziną.

- Po śmierci Waltera Adderleya Adam pojechał do Nowego Jorku. Sypiał tam w zaułkach wraz z trzema innymi chłopcami. Douglas, Travis i Cole byli młodszy, więc przypadła mu rola ich opiekuna. Wydaje mi się, że na wątych barkach trzynastoletniego chłopca spoczęła bardzo duża odpowiedzialność.

Prawdę mówiąc, uratował ich od śmierci głodowej i postanowił, że będzie się nimi opiekował, dopóki nie zostanie złapany i zabrany na Południe. Bał się, bardzo się bał, i to wcale nie dlatego, że Walter Adderley nie żył. To był wypadek, a nie umyślne działanie Adama. Adam bał się, ponieważ dotknął swego pana, obejmując go w pasie. Wiedział, że takie zuchwalstwo jest karane śmiercią. Tak, próba ratowania matki Adderleyów nazywana tam była zuchwalstwem.

Harrison pokręcił głową.

- Którejś nocy chłopcy znaleźli kosz porzucony na śmietniku. Dookoła roiło się od szczurów, lecz Adamowi udało się zabrać koszyk. W środku znajdowała się Mary Roses. Ona także, podobnie jak Travis, Douglas czy Cole, została wyrzucona. Na ulicach wałęsały się całe chmary dzieci, których rodzice nie chcieli się nimi dłużej zajmować. Niektóre wsadzano do pociągów i wysyłano na Zachód. Inne umierały z głodu. Mary Roses miała wtedy zaledwie cztery miesiące. Chłopcy nie chcieli oddać jej do sierocińca, wiedzieli, jakie panują tam warunki, i byli pewni, że nie pożyłaby tam długo. Postanowili ocalić jej życie. Wtedy właśnie

zdecydowali, że przybiorą nazwisko Claybome i wyjadą na Zachód, którego mieszkańcy słyną z przestrzegania praw moralnych i odwiecznych wartości. Po wielu tarapatkach udało im się dojechać do Blue Belle. Jedyne Adam umiał czytać - nauczyła go tego matka - więc nauczył czytać swoich braci. Chcieli też zapewnić edukację siostrze, marząc o tym, by miała lepszy start życiowy niż oni. Bardzo pomogła im też Belle, która szła ubranka i uczyła dziewczynkę, jak ma się zachowywać. Wkrótce przybyło tu osadników i Mary Roses zyskiwała coraz więcej przyjaciół do zabawy. Miała też rodzinę, taką, jaka naturalnym prawem potrzebna jest każdemu człowiekowi. Chłopcy oszczędzali i rezygnowali z niejednego, by Mary Roses mogła pobierać lekcje gry na fortepianie. Kiedy była w odpowiednim wieku, wysłali ją do szkoły z internatem w St. Louis. Nie było im wtedy łatwo, o, nie. Mieli jednak życzliwych sąsiadów, a z kolei kiedy sąsiedzi znaleźli się w kłopotcie, Claybome'owie natychmiast śpieszyli z pomocą.

- Mary Roses wie wszystko o tym, jak została znaleziona. Bardzo się denerwuje, kiedy któryś z braci nazwie ją imieniem Sidney. To było pierwsze imię, jakie nadali jej chłopcy, nie wiedząc jeszcze, że to dziewczynka. Była łysa, a chłopcy, wtedy jeszcze mali, doszli do wniosku, że ona też musi być chłopcem.

Przysięgli uśmiechali się. Harrison uznał, że powiedział już wystarczająco wiele.

- Teraz więc już wiecie, jak zostali rodziną. To nie Mary Roses, tak jak przypuszczali bracia, była łączącym ich ogniwem. Był nim Adam. To on dbał o to, by pielęgnowali rodzinne więzi. Adam jest uczciwy, opiekuńczy i ma rzadko spotykane poczucie honoru. Gdyby kogoś zabił, sam by się do tego przyznał. Weźcie to pod uwagę, panowie. Sądźcie uczciwego człowieka.

Posłuchajcie teraz, co on ma do powiedzenia. Dziękuję.

Sala owacyjnie przyjęła wystąpienie Harrisona. Nawet sędzia Bums bił mu brawo.

Skinąwszy głową do Harrisona, wypił kolejny łyk wody, po czym wezwał Johna Quincy Adama Clayborne'a.

Adam podszedł do krzesła na końcu stołu sędziowskiego i usiadł, wyprostowany sztywno jak generał.

- Czy zabił pan Waltera Adderleya? - zapytał sędzia.

- Nie.

- Proszę mi opowiedzieć, co wydarzyło się tamtego dnia.

Adam zrelacjonował przebieg wydarzeń. Mówił bardzo cicho. Mimo iż na sali panowała cisza jak w pustym kościele, ludzie z tylnych rzędów musieli wyteżać słuch, nie chcąc uronić ani słowa.

Adam nie opowiedział o tym, jak uderzył Adderleya w brodę. Ten cios nie mógł spowodować śmierci jego pana. Potężny mężczyzna, którego starał się odciągnąć od Livonii, nawet się nie skrzywił po tym uderzeniu. Harrison zabronił Adamowi wspominać o tym w sądzie.

- Chciałbym teraz zadać ostatnie już pytanie. Dlaczego pańska mama nie wróciła tutaj i nie zamieszkała z wami po zakończeniu wojny i zniesieniu niewolnictwa?

- Pani Livonia była już wtedy prawie zupełnie niewidoma i uzależniona od pomocy mojej mamy. Gdyby pan sędzia znał moją mamę, zrozumiałby, dlaczego nie potrafiła opuścić tej bezradnej kobiety. Została tam, żeby się nią opiekować.

- Livonia Adderley ma przecież dwóch obecnych tu synów. Czy pomagali matce?

- Nie.

- Dziękuję. Może pan odejść.

Sędzia zaczekał, aż Adam zajmie miejsce, po czym wezwał następnego świadka.

- Świadek Lionel Adderley, kolej na pana. Proszę usiąść. Zadam panu parę pytań, a potem przesłucha pana Harrison MacDonalda. Co to za poruszenie przy drzwiach, Dooley?

- To miss Blue Belle, panie sędzio. Mówi, że pozwolił jej pan wejść.

- Wpuść ją - zgodził się Bums. - Niech usiądzie obok Trávisa.

Spojrzenia wszystkich powędrowały ku idącej środkiem sali Blue Belle.

Obdarzywszy sędziego czarującym uśmiechem, usiadła na wskazanym miejscu.

- Dziękuję, sędzio - zawołała.

- Miło cię widzieć, Blue Belle. Ślicznie wyglądasz w tej niebieskiej sukience.

- Kochany panie sędzio, dobrze pan wie, że zawsze jestem ubrana na niebiesko. Cieszę się, że sprawia to panu przyjemność.

Skinął głową, po czym zwrócił się do Lionela. Zarówno Bums, jak i Harrison zauważyli wyraz niesmaku malujący się na twarzy Lionela. Lionel przyglądał się Blue Belle z uśmiechem pełnym politowania.

Sędzia zareagował na to gwałtownym wyprostowaniem się na krześle i wyduchem warg.

- Proszę mi powiedzieć, co pan wie na ten temat, panie Adderley. Proszę się streszczać.

- Mój brat i ja znaleźliśmy listy czarnucha do matki. Kiedy je przeczytaliśmy, wiedzieliśmy już, że Adam zabił naszego ojca.

- Chwileczkę. Czytałem te listy i wcale nie doszedłem do takiego wniosku.

- Czarny przyznaje się do tego, że uciekł. Poza tym przyznał się, że dotykał mojego ojca. Musiał wiedzieć, jaka kara grozi za dotknięcie białego człowieka, a jednak to zrobił. Powinien zawisnąć na szubienicy za morderstwo i za zuchwalstwo, i przyjechałem tutaj, by tego dopatrzeć. Przyznaje, że nie napisał wprost, że zabił mego ojca. Mój brat i ja musieliśmy poprosić matkę, żeby opowiedziała nam, jak naprawdę było. Przedłożyliśmy opis wydarzeń, który sporządziliśmy zaraz po tym, jak powiedziała nam prawdę, a potem daliśmy jej pióro i podpisała zeznanie. Powiedziała, że to czarny zabił mojego ojca.

Oto dowód, którego pan poszukuje.

- To rzeczywiście obciążające oświadczenie - przyznał sędzia. - Czy byli jacyś świadkowie wyznania pańskiej matki?

- Tak, był przy tym obecny mój brat, Reginald... i matka czarnucha. Ale ona oczywiście się nie liczy. My, ludzie z Południa, nigdy nie ufamy temu, co mówią czarni.

Harrison doszedł do wniosku, że Lionel wprost wieje nienawiścią. Spojrzał na przysięgłych, ciekaw ich reakcji. Sprawiali wrażenie zaniepokojonych, gdyż kręcili się nerwowo na krzesłach, lecz w ich oczach nie dostrzegł nienawiści do Lionela Adderleya. Jeszcze nie.

Nadchodził czas działania.

- Kolej na pytania obrony.

Wychylił się w stronę Adama.

- Nie wierz ani jednemu mojemu słowu. Kiedy kiwnę głową, wiedz, że mówię nieprawdę. Powiedz to swoim braciom i siostrze, ale zrób to tak, żeby nikt cię nie słyszał.

Harrison specjalnie głośno odsunął krzesło, żeby nikt nie podsłuchał, co Adam mówi do członków rodziny. Podszedł najpierw do stołu sędziowskiego.

- Cóż, może jest to oświadczenie obciążające, a może i nie. Będziemy musieli się tego dowiedzieć, nieprawdaż?

- Oczywiście.

Harrison zwrócił się do Lionela. Wpatrywał się w niego dłuższą chwilę, by przysięgli mogli zobaczyć odrazę malującą się na jego twarzy.

Zaczął przesłuchanie spokojnym, wręcz słodkim tonem.

- Często z zadowoleniem myślę, że jestem podobny do ojca. Czy pan też jest taki jak ojciec?

- Mam nadzieję. Jestem dumny ze swego ojca.

- Czy podziwiał go pan?

- Tak. Wszyscy podziwiali mojego ojca.

- Co stało się po jego śmierci? Czy coś się zmieniło na plantacji?

- Wybuchła wojna.

- Założę się, że pan myśli, iż ojciec nie dopuściłby do takiej sytuacji. To bardzo prawdopodobne, zważywszy, że jest pan z niego dumny i uważa za swój wzór.

- Nikt tego nie wie, to chyba oczywiste - wycedził ironicznie Lionel. - Ale być może nie dopuściłby do tego, co się stało. A już nasze obecne życie na pewno wyglądałoby inaczej. Straciliśmy wszystko, a tatuś nigdy by do tego nie dopuścił.

- Ile miał pan lat, kiedy umarł ojciec?

- Siedemnaście.

- A młodszy brat?

- Dwanaście.

- Siedemnaście lat to wystarczająco dużo, by stanąć do walki. Zaciągnął się pan do wojska?

- Nie, ale od służby w armii Konfederacji powstrzymała mnie jedynie fizyczna dolegliwość.

- Jaka dolegliwość?

- Czy muszę odpowiadać na to pytanie, panie sędzio?

- Tak.

- Choroba stóp - warknął. - Mam płaskostopie. Nie mogę pokonywać pieszo długich dystansów.

- Płaskostopie sprawiło, że nie mógł pan służyć w armii Konfederacji?

- Tak.

Harrison w to nie wierzył i był pewien, że nikt spośród obecnych w sądzie również nie daje temu wiary.

- Czy pański ojciec kiedykolwiek pana uderzył?

- Nie, nigdy.

Ponownie kłamał. Harrison podszedł do stołu, uniósł Biblię i pokazał ją Lionelowi.

Sędzia nie zadał sobie trudu zaprzysiężenia świadków. Harrison postanowił naprawić ten błąd.

- Kiedy obwieściłem, że sąd idzie i na sali pojawił się czcigodny sędzia John Bums, nie robiłem tego tylko po to, by okazano mu szacunek, na który z pewnością zasługuje. Był to zarazem sygnał dla wszystkich obecnych, że od tej pory mają mówić prawdę i tylko prawdę. Nie zamierzam dłużej przymykać oczu na krzywoprzysięstwo. Zajmuje pan cenny czas

członków ławy przysięgłych i sędziego. Jeszcze raz pytam pana, czy ojciec kiedykolwiek pana uderzył?

Lionel wzruszył ramionami.

- Ot, czasem dał mi klapsa. Nic takiego, co robił...

Harrison pozwolił sobie dokończyć:

- Nic takiego, co robił pańskiej matce?

- Ona go prowokowała! - wykrzyknął Lionel. - Żona powinna być posłuszna. Matka dobrze o tym wiedziała. Ale prowokowała kłótnie i rękoczynny. Wiedziała przecież, że jest porywczy.

- Czy niektóre z tych kłótni dotyczyły panów?

- Być może. Trudno mi powiedzieć.

- Trudno panu powiedzieć? Mam potwierdzone własnoręcznym podpisem zeznanie jednego z pańskich sąsiadów, który pewnego dnia wszedł do państwa domu i zobaczył, jak pan i pański brat chowają się za mamina spódnica, a ojciec bije matkę. Pozwalała mu na to, by ochronić synów.

- Byłem wtedy bardzo młody.

- Miał pan szesnaście lat i był prawie dorosły. Był pan nawet wyższy od matki.

- W pańskich ustach brzmi to gorzej, niż było naprawdę.

Lionel zwrócił się do sędziego.

- Chyba nie chodzi tu o piętnowanie zachowania mojego ojca. Przecież oskarżonym jest ten czarnuch. Proszę zwrócić uwagę jego obrońcy.

Sędzia uśmiechnął się.

- Harrisonie MacDonald - powiedział po chwili. - Mam nadzieję, że pańskie pytania prowadzą do jakiegoś celu.

Lionel był potwornie zdenerwowany. Harrison postanowił dać mu chwilę odpoczynku przed zadaniem ostatecznego ciosu.

- Zgadza się z panem. To nie zachowanie pańskiego ojca podlega dziś oskarżeniu. Czy jest pan uczciwym człowiekiem?

- Każdy dżentelmen z Południa jest uczciwym człowiekiem.

- Czy pańska matka nie została aby zmuszona do złożenia swego zeznania?

Czy nie zmusił jej pan siłą do podpisania dokumentu?

- Z całym przekonaniem mówię, że nie. Matka chciała nam opowiedzieć o wszystkim, ale bardzo długo zachowywała swe wiadomości dla siebie, bo bardzo się bała.

- Czego?

- Tej Murzynki, która się nią opiekuje. Matka wiedziała, że jeśli powie nam prawdę, ta czarna baba ją zabije.

- Proszę przysięgłych, aby nie brali pod uwagę tego oświadczenia. Świadek nie może być pewien tego, co mówi - odezwał się sędzia.

- Skoro Roses jest tak podła, jak usiłuje ją pan przedstawić, to dlaczego nie zabiła pańskiej matki znacznie wcześniej i nie uciekła?

- Bo jest na to za głupia; tylko dlatego. Wiele razy miała po temu okazję, ale była zbyt tępa, by się zorientować.

- Czy opiekował się pan matką po śmierci ojca?

- Trudno było mi patrzeć na to, jak stopniowo traci wzrok. Mój brat i ja mieszkamy w głównej rezydencji, a matka i ta Murzynka zamieszkały w chacie na skraju posiadłości.

- Czy przejął pan obowiązki ojca?

- Próbowałem.

Harrison pokiwał głową, podszedł do przysięgłych i popatrzył na nich wymownie.

- Oto jaka jest moja wersja tych wydarzeń. Pan Adderley oznajmił, że zeznania matki nie były wymuszone, i spodziewa się, że wszyscy tu obecni mu uwierzą. Jest przecież biały i powinniśmy wierzyć jemu, a nie czarnemu Adamowi Claybome'owi. Ale postanowiłem dociec tego, czy pan Adderley mówi prawdę. Jeżeli kłamie w jednej sprawie, jest wielce prawdopodobne, że nie powie nam prawdy w innej. Tak właśnie to widzę. Panie Adderley, co pan sądzi o naszym miasteczku?

- Jest całkiem przyjemne.

- Czy tutejsi mieszkańcy budzą pana sympatię?

- Tak, są bardzo uprzejmi.

- Czy spędził pan tu wiele czasu?

- Mój brat i ja musieliśmy się tu zatrzymać. Chcieliśmy pojechać w góry, ale nie udało nam się wynająć koni, a przyjechaliśmy tu dyliżansem.

- Czy byli panowie w sklepie Morrisona?

- Tak.

- A w saloonie?

- Też.

- Więc mieli panowie okazję poznać wiele miłych osób, nieprawdaż?

- Tak.

- A czy spotkali panowie kogoś, kto nie zrobił na panach najlepszego wrażenia?

Lionel udał, że głęboko się zastanawia.

- Nie. Wszyscy byli bardzo sympatyczni.

- A Blue Belle? Czy ona też przypadła panu do gustu?

Lionel najwyraźniej zorientował się, do czego zmierza Hamson. Poślawszy wymowne spojrzenie sędziemu, zamilkł.

- Proszę odpowiedzieć na to pytanie, panie Adderley - polecił sędzia.

- Tak. Wydała mi się równie sympatyczna, jak pozostali mieszkańcy.

Ton głosu Hamsona uległ gwałtownej zmianie. Nie skrywał już pogardy i gniewu.

- Ma pan osobliwe poglądy na to, co jest, a co nie jest miłe. Ale przede wszystkim pan kłamie. Serdecznie nienawidzi pan nas wszystkich.

- To nieprawda.

- Więc jaki jest pana stosunek do Belle? - nie ustępował Hamson.

- Już powiedziałem. Uważam, że jest sympatyczna.

- On kłamie, panie sędzio - wykrzyknęła Belle. - Nazwał mnie wstrętną tanią dziwką.

Powiedział to w obecności Billie'ego.

- Przecież jest dziwką - bronił się Lionel.

Hamson uśmiechnął się.

- Dziękuję, Blue Belle - powiedział. - Dziękuję, że pomogła pani nam to wyjaśnić.

- Mamy kolejny problem, panie sędzio. Wygląda na to, że to, co my uważamy za miłe, a to, co uważają obecni tu przybysze z Południa, to dwie różne rzeczy. Panie Adderley, czy słowo „miły” oznacza u was to samo, co „wstrętny”?

Lionel nie odpowiedział. Hamson nie ustępował.

- A jakie jest pańskie zdanie na temat innych kobiet w miasteczku? Na przykład Mary Roses?

- To dziwka. Mieszka pod jednym dachem z Murzynem.

Hamson nie stracił panowania nad sobą. Oczywiście, miał wielką ochotę uderzyć drania za obrazę żony, ale ważniejsze było to, by go zniszczyć.

- Czemu mają służyć te wszystkie pytania? Dlaczego pyta pan świadka o mieszkańców miasteczka? - zapytał sędzia.

- Badam osobowość świadka - odpowiedział Hamson. - Skoro twierdzi, że mówi prawdę, muszę się przekonać, czy mogę mu wierzyć.

Sędzia wyraził zgodę na zadawanie dalszych pytań.

- A Catherine Morrison? Co takiego powiedział pan na jej temat w obecności Dooleya, Henry'ego i Ghosta?

- Nie pamiętam.

- Ale ja pamiętam. Poprosiłem również Henry'ego, żeby opisał sytuację i potwierdził prawdziwość zeznań własnoręcznym podpisem. Mogę zaraz go powołać na świadka, by nam wszystko opowiedział.

Hamson podszedł do stołu i sięgnąwszy po leżącą na wierzchu kartkę papieru wręczył ją sędziemu.

- Lionel Adderley nazwał Catherine dziwką, która na pewno spała ze wszystkimi mężczyznami w Blue Belle. Sugerował Henry'emu, żeby zaczęła prowadzić interes z Belle. Brzydko wyrażał się również o jej matce. Nie chcę przytaczać jego słów, gdyż były zbyt obrzydliwe. Jeśli Wysoki Sąd uzna za stosowne, proszę o przeczytanie ich przysięgłym.

Sędzia postąpił zgodnie z sugestią Hamsona, który celowo nie spoglądał tam, gdzie stał John Morrison. Wziąwszy ze stołu cztery inne oświadczenia, poczekał, aż sędzia skończy czytać zeznanie Henry'ego, po czym wręczył mu dokumenty.

Następnie powrócił do przesłuchiwania Lionela.

- Wszyscy dobrze rozumiemy, co to wszystko znaczy, panie Adderley. To znaczy, że głęboko pan nami pogardza. Nie jesteśmy tak cywilizowani i prawdopodobnie nie mamy tego obycia, które jest wymagane na Południu, więc jesteśmy w pańskich oczach nędznym robactwem. Ostatni tydzień upłynął panom na wyśmiewaniu i szydzeniu z nas wszystkich. Słyszała to połowa mieszkańców miasteczka.

Lionel gwałtownie wyprostował się i spojrzał na Hamsona. Tym razem jego oczy całkiem już wyraźnie pałały nienawiścią.

- A jeśli nawet tak myślę, jakie to ma znaczenie? Miniony tydzień spędziliśmy w straszliwych warunkach, byle tylko być świadkami przykładowego ukarania zbrodni. Tak, to prawda, mój brat i ja uważamy, że jesteście prostakami. Ale to, co sobie myślimy, niczego tu nie zmienia. Moja matka podpisała zeznanie, w którym oświadcza, że czarny jest winny. Tylko to ma znaczenie.

- Ale przecież przed chwilą zaprzeczył pan sobie.

- Po prostu próbowałem być taktowny.

- Po co te starania? Przecież przez cały tydzień był pan niezmiernie „taktowny”. Czy zmusił pan matkę do podpisania oświadczenia? - Hamson zadał to pytanie podniesionym głosem.

- Nie, i nie jest pan w stanie niczego innego mi udowodnić.

- Wysoki Sądzie, kiedy skończę, proszę o aresztowanie tego człowieka za krzywoprzysięstwo. Jeszcze nie zakończyłem przesłuchiwania pana Lionela Adderleya, ale chciałbym poprosić go ponownie po wysłuchaniu zeznań innego świadka.

Sędzia uważnie przyglądał się Lionelowi.

- W porządku. Proszę wstać, panie Adderley, ale proszę nie opuszczać sali sądowej.

Hamson wezwał Alfreda Mitchella i poprosił o zaprzysiężenie świadka.

Mitchell położył dłoń na Biblii.

Sędzia zapytał:

- Czy zobowiązuje się pan mówić prawdę?

- Tak.

- Nie sądzę, aby Biblia była tu niezbędna. W czasie posiedzenia sądu wszyscy zobowiązani są do mówienia prawdy.

- Proszę się przedstawić i powiedzieć, dlaczego pan się tu dzisiaj znalazł - zaczął Hamson.

- Nazywam się Alfred Mitchell. Jestem adwokatem w spółce prawniczej Mitchell, Mitchell i Mitchell. Pozostali dwaj Mitchellowie to moi bracia - wyjaśnił.

- Otrzymałem depezę od pana Hamsona MacDonalda. Pan MacDonald prosił mnie o zdobycie pewnych informacji. Ponieważ zlecił mi ważne zadanie, a w dodatku chciał, żebym przyjechał tu przed upływem dwóch tygodni, poprosiłem o pomoc moich braci i wszyscy trzej przystąpiliśmy do pracy.

Zdobyłem wszystkie informacje dla pana MacDonalda... i, niestety, jeszcze więcej. Wczoraj przekazałem panu MacDonaldowi podpisane i uwierzytelnione dokumenty.

Następnie Mitchell zwrócił się do przysięgłych. Był jeszcze młody, ale umiał już pozyskiwać ludzką sympatię i robił doskonałe wrażenie.

- Muszę powiedzieć, że bardzo podoba mi się Blue Belle. Co prawda, nie miałem okazji dokładnie poznać miasta, ale przypomina mi miasteczko położone nieopodal miejscowości, w której się wychowałem. W głębi duszy wciąż jestem chłopcem z farmy i lubię mieć brud pod paznokciami, bo uświadamia mi, że uczciwie i rzetelnie przepracowałem dzień.

Hamson nie uśmiechnął się, choć miał na to wielką ochotę. Wyznanie Mitchella zrobiło duże wrażenie na przysięgłych. Morrison aż pokraśniał z zadowolenia.

- Proszę opowiedzieć o Livonii Adderley - poprosił Hamson.

Uśmiech w jednej chwili zniknął z twarzy Mitchella.

- Nie zastałem jej w chacie. Sąsiad powiedział mi, że jest w pobliskim szpitalu, więc poszedłem tam, by zadać jej parę pytań. Przez cały czas towarzyszył mi lekarz, a Livonia opowiedziała, co się stało. Spisałem zeznanie, które następnie jej przeczytałem, a pani Adderley je podpisała.

Hamson przerwał odpytywanie świadka i podszedł do stołu, by wręczyć sędziemu wzmiankowany dokument.

Bums przeczytał zeznanie przysięgłym.

- John Quincy Adams nie jest odpowiedzialny za śmierć mojego męża.

Walter Adderley potknął się i uderzył głową w nadstawę kominka. Uderzenie to spowodowało natychmiastową śmierć.

- Proszę przeczytać wszystko, panie sędzio - poprosił Hamson.

Bums popatrzył na Cole'a i Adama i dopiero po chwili zgodził się spełnić prośbę Hamsona.

- Jest pan tego pewien?

- Tak.

- W takim razie czytam. Pani Adderley mówi: „Nie obwiniam moich synów za ich zachowanie i nie zamierzam wnieść oskarżenia przeciwko nim.

Roses też złożyła mi taką obietnicę, a moja oddana przyjaciółka nigdy jeszcze nie złamała danego słowa. Kocham moich synów. Przerażają mnie jedynie, kiedy opanowuje ich gniew. Na pewno nie chcieli zrobić mi krzywdy, ale odmówiłam podpisania dokumentu, a oni postanowili mnie do tego zmusić.

Nie chcieli pogodzić się z faktami, a ja nie byłam już w stanie znieść kolejnych uderzeń, ponieważ jestem słabą kobietą, jak zawsze twierdził Walter, więc zgodziłam się złożyć swój podpis. Niech Bóg wybaczy mi moje kłamstwo.

Przez tłum przeszedł szmer. Sędzia Bums był wyraźnie wzburzony, podobnie jak wszyscy obecni na sali. Hamson zmusił się do opanowania. Miał zamiar ujawnić dalsze szczegóły.

- Czy oprócz lekarza ktoś jeszcze towarzyszył panu w sali szpitalnej?

- Tak - odpowiedział Mitchell. - Była tam mama Roses. Tak pani Adderley nazywa panią Claybome, która poprosiła mnie, żebym ją też tak nazywał.

- Gdzie spotkał pan panią Claybome? W sali, w której leżała pani Adderley, czy przed szpitalem?

- Siedziała obok łóżka chorej. Trzymała Livonię za rękę, by dodać jej otuchy.

Harrison głęboko zaczerpnął tchu. Musiał teraz zadać pytanie, którego wolałby nie zadawać.

Jak wyglądała mama Roses?

Mitchell pokręcił głową.

- Była prawie w tak ciężkim stanie, jak Livonia. Miała opuchniętą twarz, podbite oczy i okropnie posiniaczone ramiona i nogi. Powinna leżeć w łóżku, ale nie chciała odchodzić od łóża Livonii. Ilekroć pani Adderley budziła się, natychmiast przyzywała Roses, a słysząc jej głos, uśmiechała się i ponownie zapadała w sen.

- Czy mama Roses również podpisała oświadczenie, że Adam jest niewinny?

- Tak.

Harrison podał dokument sędziemu.

- Czy Livonia wyzdrowieje?

- Lekarze nie dają zbyt wielkich nadziei. Została dotkliwie pobita. Jej słabe ciało może już nie odzyskać sił.

- A mama Roses?

- Lekarze troskliwie się nią opiekują. Pozwolono jej całą noc czuwać przy chorej, mimo że jest to wbrew regulaminowi szpitala, a po dwóch dniach, kiedy pielęgniarki zauważyły, jak troszczy się o panią Livonię, ustawiły w pokoju składane łóżko, by nie musiała już spać na krześle. Trzeba czasu, by doszła do siebie, ale lekarze są dobrej myśli.

Harrison zwrócił się do Adama. Najstarszy brat Mary Roses sprawiał wrażenie oszalałego z bólu. Mocno wparł się dłońmi w blat stołu, gotów lada chwila zerwać się na nogi.

Harrison zaczekał, aż Adam na niego spojrzy, a wtedy powoli pokiwał głową. Brat Mary Roses natychmiast się uspokoił, pamiętając, że ten gest Hamsona oznacza kłamstwo.

Cole bezwiednie wyciągnął rękę w poszukiwaniu broni, a uzmysłowivszy sobie, że ta leży na stole, zaczął myśleć o tym, jak by po nią sięgnąć i przeszyć kulą serce Lionela. Zauważył jednak gest Hamsona i szybko powściągnął gniew.

Kiwanie głową oznaczało, że Harrison mówi nieprawdę. Cole aż trzykrotnie musiał powtarzać w myślach słowa Adama, nim zaczął normalnie oddychać.

- Proszę powiedzieć, kto tak bestialsko pobił Livonię?

- Lionel Adderley Na sali dały się słyszeć gniewne pomruki. Ignorując te odgłosy, Harrison zwrócił się do Lionela.

- Jaki ojciec, taki syn.

Powrócił do zadawania pytań Mithellowi.

- Skąd pan wie, że to był Lionel?

- Mama Roses i Livonia powiedziały mi, że to Lionel je pobił. Lekarz zobaczył go następnego dnia po południu. Lionel wszedł do sali, kiedy akurat był tam doktor. Mam również jego zeznanie, opatrzone podpisem. Lekarz zeznał, że kiedy Lionel pochylił się, by

ucałować matkę, zobaczył zadrapania i sińce na jego rękach. Zapytał wtedy Lionela bez ogródek, czy to on tak dotkliwie pobił matkę, i usłyszał, żeby nie wściubiał nosa w cudze sprawy.

Potem nigdy już nie pojawił się w szpitalu. Przypuszczam, że kilka dni później najął adwokata i wraz z bratem wyjechał do Montany.

- Dziękuję, panie Mitchell. To wszystko. - Zwracając się do przysięgłych, dodał: - Alfred Mitchell jest żywym dowodem na to, że na Południu nie brak uczciwych ludzi.

- Wzywam pana Lionela Adderleya.

Lionel był czerwony jak burak; miał ponurą, zaciętą twarz.

- Panie Adderley, okłamał pan mnie, sędziego Bumsa i obecnych tu przysięgłych, i to okłamał pan niejeden raz. Zadałem panu jednoznacznie sformułowane pytanie, czy zmusił pan matkę do podpisania tego dokumentu.

Dwa razy odpowiedział pan, że nie.

- Do niczego jej nie zmuszałem. Chciałem jedynie pomóc, by uświadomiła sobie, że powinna powiedzieć prawdę.

- Łamiąc jej niemal wszystkie kości? - zagrział Harrison. - To miała być pańska pomoc? - Harrison z niesmakiem pokręcił głową. - Nie mam więcej pytań.

Wracając na miejsce, Lionel toczył bezmyślnym wzrokiem po twarzach przysięgłych. Harrison wezwał na świadka Reginalda. Nie zamierzał oszczędzać młodszego Adderleya. Był wobec niego wymagający, ostry, wręcz groźny.

Zbliżywszy twarz do twarzy Reginalda, zdecydowanymi pytaniami wydobył z niego potrzebne informacje i nie omieszkął powiedzieć mu, co o nim myśli, po czym odesłał go na miejsce.

Nadszedł czas na rekapitulację. Stał przed przysięgłymi, w takiej odległości, by sześciu siedzących w pierwszym rzędzie nie musiało wychylać się, by go dobrze widzieć.

- Dowody są niepodważalne. Dwaj świadkowie uwolnili Adama Clayborne'a od zarzutu morderstwa. Lionel i Reginald Adderleyowie przybyli do naszego miasteczka i oskarżyli Adama, twierdząc, że jest mordercą. Jako przybysze z innego regionu uważają, że wszystko wiedzą lepiej niż prości małomiasteczkowi ludzie tacy jak my. Adam nie jest obcy. Jest jednym z nas.

Jest naszym przyjacielem i sąsiadem. Gdy ktoś potrzebuje pomocy, zawsze może na niego liczyć. Jest lojalny. Jest dobrym człowiekiem. Wszyscy o tym wiemy. Na pewno był równie mocno oburzony jak wy słysząc, że urocza Catherine Morrison została nazwana dziwką i że obrażona została jej matka.

Ci wielkopańscy przybysze użyli w stosunku do nich wulgarnych, wstrętnych słów. W dodatku mówili nieprawdę. Czy mamy nadstawić drugi policzek i udać, że nie żywimy do nich pretensji? W tej sali znajdują się przestępcy.

Przyjrzyjcie się im uważnie, panowie. To Lionel i Reginald Adderleyowie.

Pomyślcie o tym, co zrobili swojej matce, a potem pomyślcie o waszych matkach. Wszyscy modlimy się o zdrowie Livonii, lecz prawdę mówiąc wątpię, czy przeżyje. Pani Adderley nie wniesie oskarżenia, ale jeśli umrze, lekarze zamierzają powiadomić władze i oskarżyć jej synów o morderstwo. Proszę, abyście wydali słuszny wyrok. Niech zwycięży sprawiedliwość. Dziękuję.

Sędzia Bums zastanawiał się, co powiedzieć przysięgłym. Nie chciał, żeby zgromadzeni opuścili salę, ponieważ znowu byłby zmuszony dokonywać selekcji osób, które mogą wejść. Poleciał więc ławie przysięgłych udać się na naradę na zaplecze.

- Proszę zabrać ze sobą krzesła - dodał. - Zaczekamy tu tak długo, jak będzie trzeba. Nie wypuszczę nikogo z sali.

Harrison nie patrzył na przysięgłych przechodzących na zaplecze. W sali panowała cisza; nawet widzowie zamilkli. Harrison miał nadzieję, że wszyscy rozważają w duchu jego słowa.

Nienawiść. W tej sprawie siłą sprawczą była nienawiść. Na myśl o tym ogarniało go przerażenie. Dla człowieka ogarniętego nienawiścią dowody nie mają decydującego znaczenia. Gotów jest ucześć się najdrobniejszego wycinka prawdy, by pogrozić przeciwnika. Znika wtedy rozsądek, znika ludzkie współczucie i zrozumienie. Nienawiść niszczy je, zżera jak nowotwór.

Miał pewne wątpliwości, czy wolno mu uciec się do zastosowanych chwytów, a mimo to postanowił z nich skorzystać. Wiedział, że okoliczni ludzie musieli kogoś nienawidzić, więc umiejętnie podsycił ogień, aż buchnął wielkim płomieniem. A potem ochronił Adama przed tymi płomieniami. Wystawił przysięgłym inną ofiarę, kogoś, kogo znienawidzili jeszcze bardziej.

Usiadł przy stole i popatrzył na żonę. Musiał na nią spojrzeć, upewnić się, że jest przy nim. Potrzebował jej wsparcia, pocieszenia, tymczasem był tak przerażony i niepewny, że z trudem dobierał słowa.

Miała łzy w oczach.

- Dobrze się czujesz? - wyszeptał.

- Mogę ci teraz coś powiedzieć?

Jej serdeczność gorącą falą oblała mu serce.

- Tak.
- Kocham cię.
- Ja też cię kocham. Proszę, weź moją chustkę.

Odwróciwszy się, napotkał wzrok Adama.

- Kiedy pokiwałaś głową, to znaczyło, że...
- Tak, to właśnie to znaczyło.

Do sali wszedł John Morrison, prosząc sędziego na zaplecze. Bums natychmiast zerwał się na nogi i podszedł do drzwi. Tam przystanął, chwilę posłuchał, co mówią przysięgli, skinął głową w kierunku Hamsona i pośpiesznie dołączył do dwunastu mężczyzn na zapleczu.

Harrison i Adam wstali.

- Proszę wstać, sąd idzie - obwieścił Harrison.

Sędzia wprowadził przysięgłych do sali. Mężczyźni zostawili krzesła w magazynie, lecz stanęli w tym samym szyku, co poprzednio.

- Czy ława przysięgłych wydała już werdykt, Johnie Morrison?
- Tak, Wysoki Sądzie.
- Czy uznaliście Johna Quincy Adama Claybome'a winnym morderstwa?

Morrison, patrząc w kierunku Adama, ogłosił uroczyście:

- Uznaliśmy, że jest niewinny.

Tłum dosłownie oszalał. Ludzie skakali, krzyczeli i bili brawo.

Sędzia zastukał młotkiem w stół.

- W porządku, to wszystko. Jesteśmy szczęśliwi, że sprawiedliwości stało się zadość. Lionelu i Reginaldzie Adderley, szybko wynoście się z miasta. Nie myślcie sobie, że ci, którzy ośmielają się nazywać dziwką kobietę, której imię nosi to miasto, pożyją tu długo. Sam chętnie wpakowałbym parę kul w te wasze przebrzydłe gęby. Harrisonie, podejdź bliżej. Zamykam posiedzenie sądu - ogłosił, po raz ostatni uderzając młotkiem w stół.

Harrison natychmiast znalazł się przy sędzim. Bums rozprostowywał ramiona.

- Powiedz mi, jaki telegram spodziewałaś się otrzymać. Jakie wiązałaś z nim nadzieje?

- Żadnych, panie sędzio, ale brat Mitchella miał mnie zawiadomić o śmierci Livonii. Bardzo mi żal tej kobiety. Jej życie było jednym wielkim pasmem udręk. Może odnajdzie pokój na tamtym świecie. Jeżeli jakakolwiek kobieta zasługuje na to, by pójść do nieba, to z pewnością jest nią Livonia - dodał po chwili.

- W takim razie jeszcze żyje.
- Gaśnie w oczach. Nie ma szans. Krwotoki wewnętrzne.

- Chciałeś, żeby wiedzieli, że grozi im oskarżenie o morderstwo.

- Tak, Wysoki Sądzie, tego właśnie chciałem.

- Pierwsi wyskoczyli z sali. Niech no uścisknę ci prawicę, synu. Spisałeś się doskonale.

Podając dłoń sędziemu, Harrison poczuł, że Mary Roses otacza go ramionami i ściska z całej siły.

Natychmiast nasunęło to pewne skojarzenia Bumsowi.

- Belle, słodka Belle, podejdź tutaj i pokaż, jak bardzo się cieszysz, że mnie widzisz.

Chcąc się odwrócić, Harrison musiał rozpleść otaczające go ramiona.

Po twarzy Mary Roses płynęły łzy radości - Jestem z ciebie taka dumna, Hamsonie.

Pocałował ją w usta.

- Musisz koniecznie powtórzyć mi to dzisiaj w łóżku, kochanie. Ale najpierw odwieziemy Adama do domu. Bickley wciąż czai się przed sklepem.

- Niech Cole go zastrzeli - powiedziała.

Harrison roześmiał się.

Wychodząca z sali Belle zatrzymała się w drzwiach, by go pocałować.

- Muszę biec do domu i przygotować wszystko dla sędziego - wyjaśniła.

- Jutro odwiedzę was na ranczo, żeby razem z wami uczcić wygraną.

- Czekamy na ciebie, Belle. Przyrowadź też sędziego - zawołała Mary Roses.

Nie odstępowała męża ani na krok. Jej bracia stali w gronie przyjaciół.

Adam sprawiał wrażenie oszołomionego. Harrison wątpił, czy w pełni zdaje sobie sprawę, co oznaczają dla niego słowa Johna Morrisona.

Wyszli na dwór. Ulica była prawie pusta. Gdy stojący na zewnątrz usłyszeli, że nie będzie egzekucji, rozczarowani udali się do domów.

Na środku drogi stał Bickley w towarzystwie pięciu członków straży obywatelskiej. Harrison zauważył, że są uzbrojeni; natychmiast zasłonił sobą Mary Roses i zwrócił się do jej ojca;

- Proszę wsiąść do powozu. Cole będzie pana osłaniał. Proszę zabrać ze sobą Mary Roses.

Podeszła do ojca, nie spuszczając jednak wzroku z Bickleya. Nie patrzył teraz na Adama. Jego złość wydawała się skupiać na Hamsonie.

Bickley uniósł strzelbę. Mary Roses nie wahała się ani chwili, natychmiast osłaniając męża swym ciałem.

Harrison krzyknął:

- Nieee!!!

Wszyscy w tym samym momencie chwycili za broń. Sędzia był najszybszy, ponieważ już od pewnego czasu trzymał odbezpieczony rewolwer. Domyślał się, co może przyjąć do głowy Bickleyowi, więc czekał na swoją szansę.

Kula trafiła w sam środek czoła Bickleya, który zatoczył się i osunął na ziemię.

- Któryś z was jeszcze chce powąchać tej broni? - ryknął sędzia.

Kompani Bickleya potrząsnęli głowami i podnieśli ręce.

- W takim razie natychmiast mi się stąd wynoście! - rozkazał. - I zabierzcie z sobą to ścierwo. Precz! Już was tu nie ma!

Harrison trząsał się na całym ciele, mocno tuląc żonę.

- O mały włos cię nie zabił. Co ty zrobiłaś, na miłość boską?!

- Nie chciałam, żeby cię zastrzelił.

- Gdyby coś ci się stało... o, Boże, Mary Roses, nie mógłbym bez ciebie... jak mogłaś...

Cole roześmiał się.

- Zrób jej awanturę w domu, Hamsonie. Chyba wiesz, dlaczego Bickley chciał cię zabić?

- Domyślam się, że nienawidzi prawników tak samo jak wszyscy. Harrison, czy naprawdę jesteś pewien, że muszę zostać adwokatem? - zapytał Travis.

Harrison jednak nie potrafił się odprężyć. Poprosił, by Cole przyprowadził jego konia, i wsiadł do powozu z Mary Roses i jej ojcem.

Travis, Douglas i Cole jechali półkolem; Adam w środku. Nie ufali kompanom Bickleya i nie zamierzali dopuścić do tego, by któryś z nich zabił Adama lub Harrisona.

Harrison mocno zacisnął szczęki. Mary Roses wiedziała, że stara się dojść do siebie po tej próbie zamachu. Postanowiła odwrócić jego uwagę od tamtego wydarzenia, poruszając temat rozprawy.

- Ojczy, czyż Harrison nie był cudowny?

- Był wspaniały. Jestem zadowolony, że nie był zmuszony działać brutalnie. Wszystko ułożyło się po jego myśli.

- Uważasz, że nie był brutalny?

- Oczywiście, że nie. Był bardzo miły.

- Hamsonie, jak ci się udało namówić Mitchella do złożenia fałszywych zeznań?

- Wcale go nie namawiałem.

- To w takim razie...

- On mówił prawdę... to, co uważał za prawdę - dodał celowo, by wprowadzić ją w błąd.

- To było częścią twojego planu?

- Tak.

Przytuliła się do niego.

- Przestań tak ze mną rozmawiać. Wiem, że jesteś na mnie zły. Ale obowiązkiem żony jest chronienie męża. Nie możesz temu zaprzeczyć.

Posadził ją sobie na kolanach; wtuliła twarz w zagłębienie jego ramienia.

- Jestem z ciebie dumny, synu - powiedział Elliott.

- To nie była trudna sprawa, sir. Adam był niewinny.

- Ale nie tylko o to chodziło w tej rozprawie, nieprawdaż?

- Nie. Trzeba było pokonać uprzedzenia, nienawiść.

Elliott skinął głową i zapadła między nimi cisza; koń wolno piał się pod górę. Elliott nie mógł się doczekać, kiedy zostanie sam na sam z Hamsonem i będzie mógł zadać mu pytanie o szczegóły jego planu. Wiedział, jakim torem szło rozumowanie Hamsona, ale jednocześnie był głęboko przeświadczony, że Harrison nigdy, przenigdy nie kłamałby w sądzie. Nie pozwoliłby również na to, by ktokolwiek robił to w jego imieniu. Jak więc udało mu się to wszystko pogodzić?

Co prawda Harrison nie kłamał w sądzie, ale okłamał Mary Roses i jej braci.

Elliott oczywiście rozumiał, dlaczego zięć to zrobił. Przecież nie byliby tak spokojni i opanowani, gdyby wiedzieli, co synowie Livonii zrobili ich mamie Roses.

Elliott nie spodziewał się, by Harrison zdecydował się powiedzieć im prawdę, postanowił jednak wieczorem poprosić go o wyjaśnienie wątpliwości.

- Niedługo muszę wracać do Anglii - powiedział.

- Nie możesz jeszcze wyjechać. Chciałabym pokazać ci mnóstwo rzeczy.

Musisz poznać Corrie i musisz zobaczyć moje góry. Jeśli zostaniesz, pokażę ci, gdzie są pochowane duchy.

Elliott był szczęśliwy, że go zatrzymuje. Oczy mu zwilgotniały; powoli skinął głową i drżącym głosem powiedział:

- Dobrze, córeczko. Zostanę jeszcze parę tygodni. Ale obiecaj mi, że ty i Hamson w przyszłym roku przyjedziecie latem do Anglii na wakacje. Jeśli obiecacie mi to teraz, przedłużę swój pobyt o kolejny tydzień.

- Ależ to ty musisz tu przyjechać w lecie przyszłego roku. Ja wtedy nie będę mogła wyjechać - powiedziała.

- Kochanie, możemy tam pojechać na miesiąc i wrócić. Bardzo chciałbym pokazać ci Szkocję - nalegał Harrison.

- Nie mogę niczego obiecać, dopóki nie porozmawiam z Hamsonem, ojciec. Proszę, poczekaj do jutra.

Skinął głową na znak, że się zgadza.

- Nie mogę się doczekać, kiedy opowiesz mi o tym cmentarzysku duchów.

Proszę, zaspokój moją ciekawość. Kogo tam pochowałaś?

- Potwory spod mojego łóżka - odpowiedziała Mary Roses. - Kiedy miałam pięć albo sześć lat, nie spałam w swoim łóżku. Zawsze wślizgiwałam się do łóżka któregoś z braci. Zawsze sypiałam tak, kiedy byłam mała, i bracia starali się mnie od tego odzwyczaić.

- Douglas zawiesił kotarę, która oddzielała moje łóżko od reszty pomieszczenia. Wtedy wciąż jeszcze mieszkaliśmy w baraku. W każdym razie wydawało mi się, że słyszę różne potwory pod moim łóżkiem. Wszyscy bracia oprócz Cole'a przekonywali mnie, że tylko mi się tak wydaje.

- Jednakże Cole zastosował inną taktykę. Ukłękł, zajął pod łóżko, po czym gwizdnął przeciągle. „Coś podobnego! Rzeczywiście, tam jest potwór.

Mary Roses, mocno, ale to bardzo mocno zaciśnij powieki, a ja go stamtąd wypłoszę. Jest strasznie brzydki i nie powinnaś go oglądać.”

Hamson i Elliott uśmiechali się.

- Cole wyjął strzelbę i krzyknął, żeby Douglas otworzył drzwi. Wybiegł tak szybko, że nie zdążyłam go zobaczyć. A potem usłyszałam strzał.

- Zabił go dla ciebie.

- Oczywiście - odpowiedziała. - Obiecał mi, że ten zabity potwór będzie leżał przed domem przez całą noc, żeby wszystkie potwory dowiedziały się, co Claybome'owie z nimi zrobią, a rano go pogrzebie. Byłam wtedy bardzo mała i oczywiście mu uwierzyłam. Kazałam mu raz w tygodniu strzelać do potworów i wydawało mi się wtedy, że jestem bezpieczna. Cole stawiał przed domem puste pudło i mówił mi, żebym nie zaglądała do środka, bo moje kędziorki przestraszą się tego, co tam zobaczą.

Roześmiała się na to wspomnienie.

- Byłam bardzo dumna z moich włosów. Wolałam nie ryzykować. Szliśmy potem przez łąkę na wzgórze i wyprawialiśmy potworowi pogrzeb. Nie modliliśmy się, bo nie chcieliśmy, żeby poszedł do nieba.

Hamson wyobraził sobie małą dziewczynkę, kurczowo ściskającą dłoń strzelca.

- Była otoczona miłością - powiedział szeptem.

- Tak - zgodził się Elliott. - Wieczorem musisz opowiedzieć mi jeszcze jakąś historyjkę. Wiele dowiedziałem się o tobie z listów. Twoja matka nigdy nie żywiła do nikogo urazy. Skąd u ciebie ta cecha?

- Myślę, że po Cole'u - odpowiedziała.

- I po Douglasiu, i po Travisie - dodał Hamson.

- Nie byłem idealnym dzieckiem, ojcze. Ciągle na coś narzekałam i skarżyłam na moich braci w listach do mamy Roses, kiedy zrobili coś nie po mojej myśli.

- Czy będę musiał zabijać potwory dla moich dzieci?

- Oczywiście. To obowiązek ojca. Jeśli będziemy mieli chłopca, nazwę go Hamson Stanford MacDonald.

- Czwarty - dodał.

- Czwarty - zgodziła się.

- A jeśli będziemy mieli dziewczynkę?

- Myślę, że dam jej imiona dwóch kobiet, które tak bardzo mnie kochały.

Agatha Roses. Ładnie brzmi, prawda?

Elliott był zbyt wzruszony, by potwierdzić to słowami, więc kiwnął głową, by dać jej do zrozumienia, jak piękne jego zdaniem jest to imię i jak doskonale brzmi.

Wszyscy troje myśleli teraz o tym, jak ważne jest zachowywanie i pielęgnowanie tradycji.

Kilka minut później dojechali do domu. Bracia nie pozwolili, by Hamson i Mary Roses od razu zniknęli w baraku. Chcieli najpierw usłyszeć odpowiedzi na kilka nurtujących ich pytań i nie zamierzali się poddawać. Hamson usiadł na ganku, posadził sobie żonę na kolanach i zastygł w oczekiwaniu na pierwsze pytanie.

Zadał je Travis.

- Jak udało ci się namówić Mitchella do zeznania nieprawdy?

- Daję wam tydzień na odgadnięcie tej zagadki. Potem powiem.

Następne pytanie zostało zadane przez Douglasa.

- Teraz już chyba rozumiem, dlaczego prosiłeś mnie o wynajęcie tych wszystkich koni i przyprawienie ich tutaj. Chciałeś, żeby Lionel i Reginald nie mogli ruszyć się z miasteczka.

- Tak.

- Wiedziałeś, że będą wściekli z tego powodu. Jak na to wpadłeś? - zapytał Cole.

- Adam opowiedział mi, jak wyglądało ich życie na Południu, zanim wybuchła wojna.

Bracia byli przyzwyczajeni do pławienia się w luksusie.

Chciałem, żeby byli wściekli i zaczęli narzekać na złe warunki, na wszystko i wszystkich.

- I co jeszcze zrobiłeś? - zapytał Douglas.

- Rozmawiałem z Billiem, Henrym i Dooleyem. Okazało się, że Adam ma tu lojalnych przyjaciół.

Adam uśmiechnął się.

- Wiem o tym.

- Billie podawał im posiłki i pilnował, by były jak najokropniejsze. Henry dostarczał Billie'emu piwa warzonego przez Ghosta, by zawsze podawał je do posiłków, a Dooley miał zapamiętywać, co mówili o ludziach z miasteczka, a potem przekazywać te informacje mnie.

- A ty mówiłeś potem ludziom, jak się o nich wyrażali Adderleyowie i podtykałeś dokumenty do podpisu?

- Nie, to Dooley sprytnie ich już podjudził. Ja tylko wyrażałem im swoje współczucie i wtrącałem mimochodem, że można by wnieść skargę przeciwko Adderleyom.

- Oskarżyć ich o zniesławienie?

- Coś w tym rodzaju - odpowiedział Hamson.

Elliott wstał.

- Idę zdjąć z siebie to miastowe ubranie. Nie potrafię zgadnąć, co wymyśliłeś, Harrisonie. Podejrzewam, że za tydzień będziesz musiał wyjaśnić nasze wątpliwości co do zeznań Alfreda Mitchella. Znam cię, synu, i wiem, że nie posłużyłbyś się oszustwem.

- Proszę o tydzień cierpliwości. Adamie, jak się czujesz jako wolny człowiek? Ta sprawa dręczyła cię przez tyle lat.

- Wspaniale - powiedział cicho. - Chyba jeszcze nie zdążyłem w to uwierzyć. Zaraz pójdę do biblioteki i zdejmę ze ściany ten cytat. Powiedz mi, Harrisonie. Dlaczego te słowa miały dla ciebie tak wielkie znaczenie? Nauczyłeś się ich na pamięć.

- Co wieczór czytałem ten fragment mojemu ojcu. Lubił go. Mówił, że te słowa go uspokajają.

Adam ze zrozumieniem pokiwał głową. Hamsona ogarnęło nagle ogromne zmęczenie, również Mary Roses sprawiała wrażenie wyczerpanej. Powiedziawszy wszystkim „dobranoc”, zaprowadził żonę do ich tymczasowego domu.

Marzył o tym, by przywróciła mu siły, podniosła na duchu tak, by był zdolny zabijać potwory.

Stał w drzwiach baraku patrząc, jak Mary Roses zdejmuje ubranie.

Przystępowała już do zdejmowania bielizny, kiedy poprosił ją, by usiadła na łóżku.

Ukląkł przed nią i nakrył jej dłonie swoimi.

- Mama Roses naprawdę przychodzi do siebie. Mitchell nie kłamał.

- Wiem. Nigdy byś go o to nie poprosił. Naprawdę wszystko będzie w porządku?

- Tak. Okłamałem twoich braci, bo nie chciałem, by usłyszeli prawdę, kiedy siedzieli tak blisko człowieka, który skrzywdził ich matkę. Mogłem sobie wyobrazić, co by się wtedy działo.

- Co stanie się z Livonią, kiedy jej synowie wrócą do domu?

- Kochanie, Livonia umiera. Jeden z braci Mitchella przyśle nam telegram, kiedy to się stanie. Alfred wynajął człowieka, który pilnuje jej dniem i nocą.

Pilnuje także waszej mamy, ale nie wydaje mi się, by Lionelowi i Reginaldowi spieszo było w rodzinne strony. Boją się, że zostaną postawieni w stan oskarżenia.

- Dlaczego nie wyjaśniłeś tego moim braciom na ganku?

- A jak myślisz, co zrobiłby Cole, poznawszy prawdę?

- Ruszyliby za nimi w pościg.

Harrison skinął głową.

- Daję synom Livonii tydzień na zniknięcie. Inaczej musiałbym bronić Cole'a w sprawie o dwa morderstwa.

Wysunęła dłoń spod jego ręki i delikatnie pogładziła go po policzku, - Cole na pewno zrobiłby coś głupiego. Przynajmniej tak mi się wydaje.

Łagodziłeś reakcje moich braci. Postąpiłeś słusznie.

- Dziękuję ci za to, że mi ufasz.

- Nie musisz mi dziękować. Wierzę w ciebie. Jeszcze tego nie czujesz?

Jesteś teraz członkiem mojej rodziny Klóćimy się, sprzeczymy, a potem całujemy się i przepraszamy, prawimy sobie nawzajem kazania, jednocześnie dodając sobie otuchy; robimy wszystkie wspaniałe rzeczy, które może zapewnić tylko rodzina. Miłość dodaje nam sił.

- Po to właśnie ma się rodzinę.

Kochane Dzieci!

Livonia jest już uwolniona od ziemskich trosk. W ubiegłym tygodniu odbył się pogrzeb. W czasie nabożeństwa stałam przed kościołem, a potem odprowadziłam Ją, na cmentarz. Zostałam tam z Nijeszcze długo po tym, jak wszyscy już odeszli, i Ją pożegnałam. Będzie mi Jej bardzo brakowało.

Znalazłam towarzyszkę podróży i w końcu wracam do domu. W Kansas jest miasteczko, gdzie mieszka wielu Murzynów, którzy wyjechali z Południa i osiedlili się tutaj.

Zatrzymam się tam na parę dni i odwiedzę starych przyjaciół, a potem udam się w dalszą podróż.

Niech Bóg ma Was w Swojej opiece, dopóki do Was nie przyjadę.

Wasza mama Roses Adamie, przywiozę Ci narzeczoną.

Wśród kwiatów wielbię ponad wszystko różę, Co jest niewiasty znakiem doskonałym,
Bo w czułym flircie z wiatrem od zachodu Rozchyła skromnie płatki, barwiąc słońce
Cnotliwym pasem! Lecz gdy gbur i raptus Z północy natrze, wtedy, niczym cnota, Swe
wdzięki kryje, znów się pękiem stając, A jemu tylko ciemną pozostawia Szlachetną piękność...

Wśród kwiatów wielbię ponad wszystko różę.